

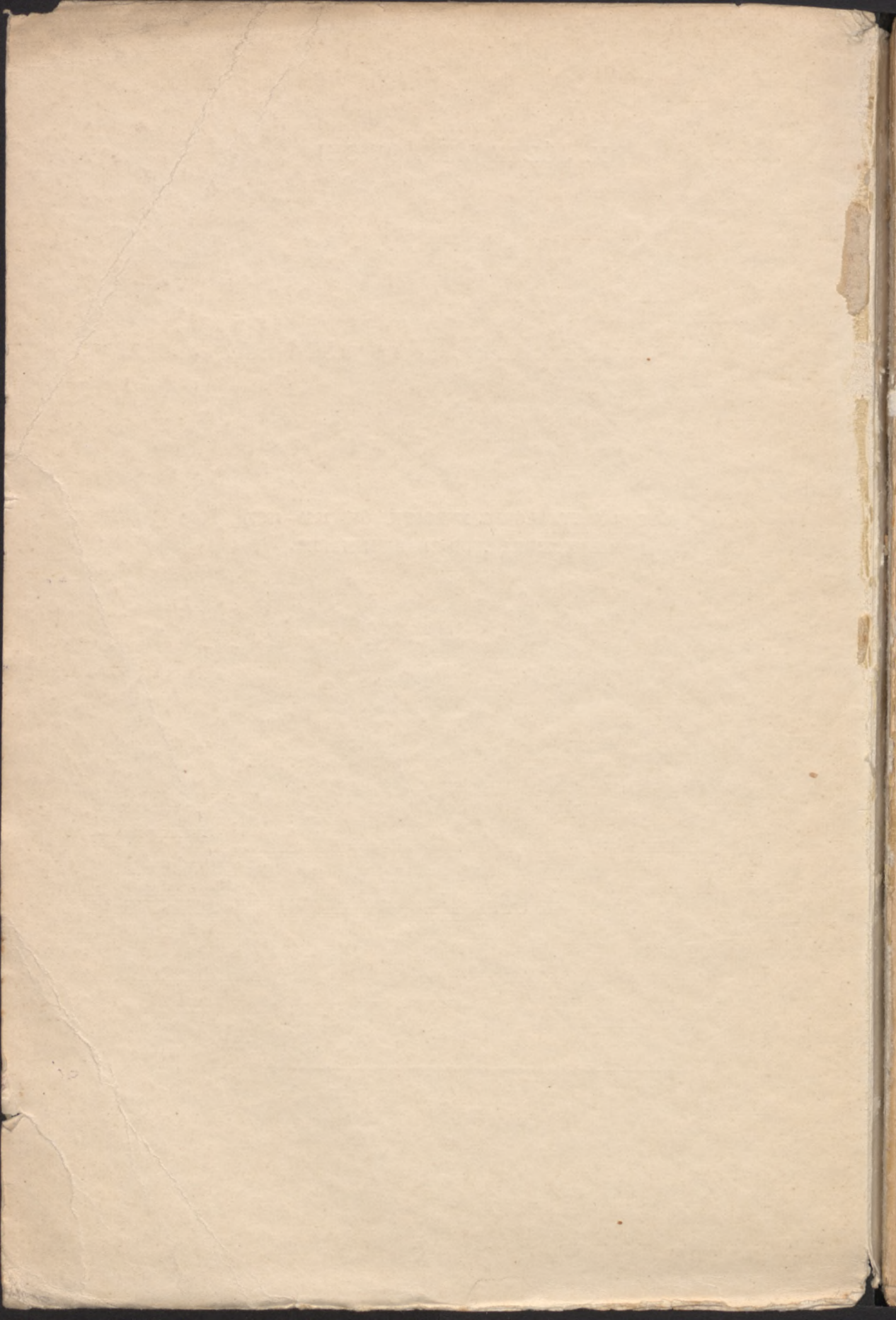
X. JÓZEF WINKOWSKI

W GŁĄB I WZWYŻ

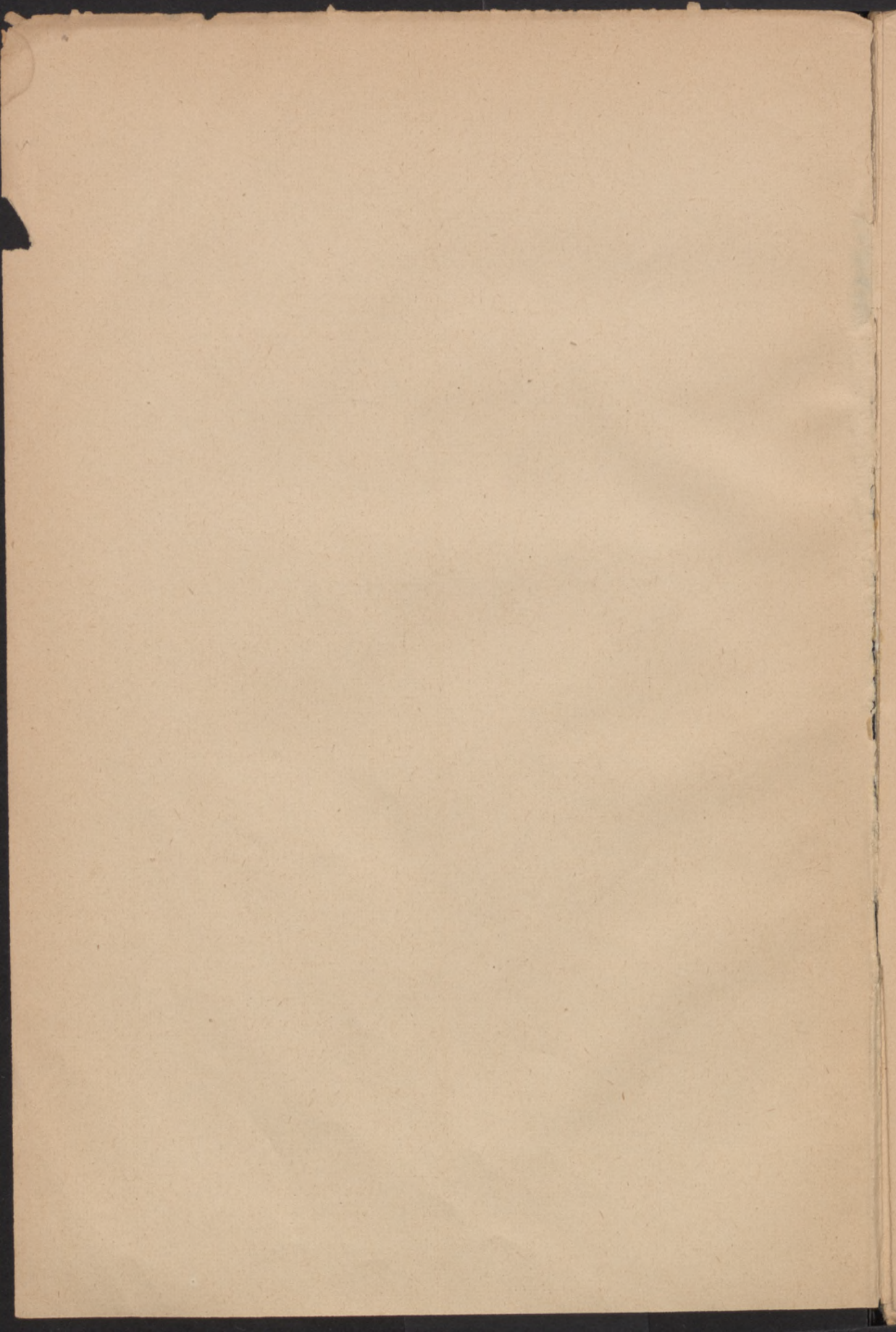
WYBÓR ARTYKUŁÓW Z 17 ROCZNIKÓW (1920—1937)
MIESIĘCZNIKA „POD ZNAKIEM MARI”

X. JÓZEF WINKOWSKI: W GŁĄB I WZWYŻ

ZAKOPANE 1938



W GŁĄB I WZWYŻ



X. JÓZEF WINKOWSKI

W GŁĄB I WZWYŻ

WYBÓR ARTYKUŁÓW Z 17 ROCZNIKÓW (1920—1937)
MIESIĘCZNIKA „POD ZNAKIEM MARII“

ZAKOPANE 1938

L. 7133/37.

POZWALAMY DRUKOWAĆ

Z Książęco Metropolitalnej Kurii

Kraków, dnia 18 października 1937.

† *Stanisław*
Wikariusz Generalny

X. Stefan Mazanek
Kancelarz

L. S.



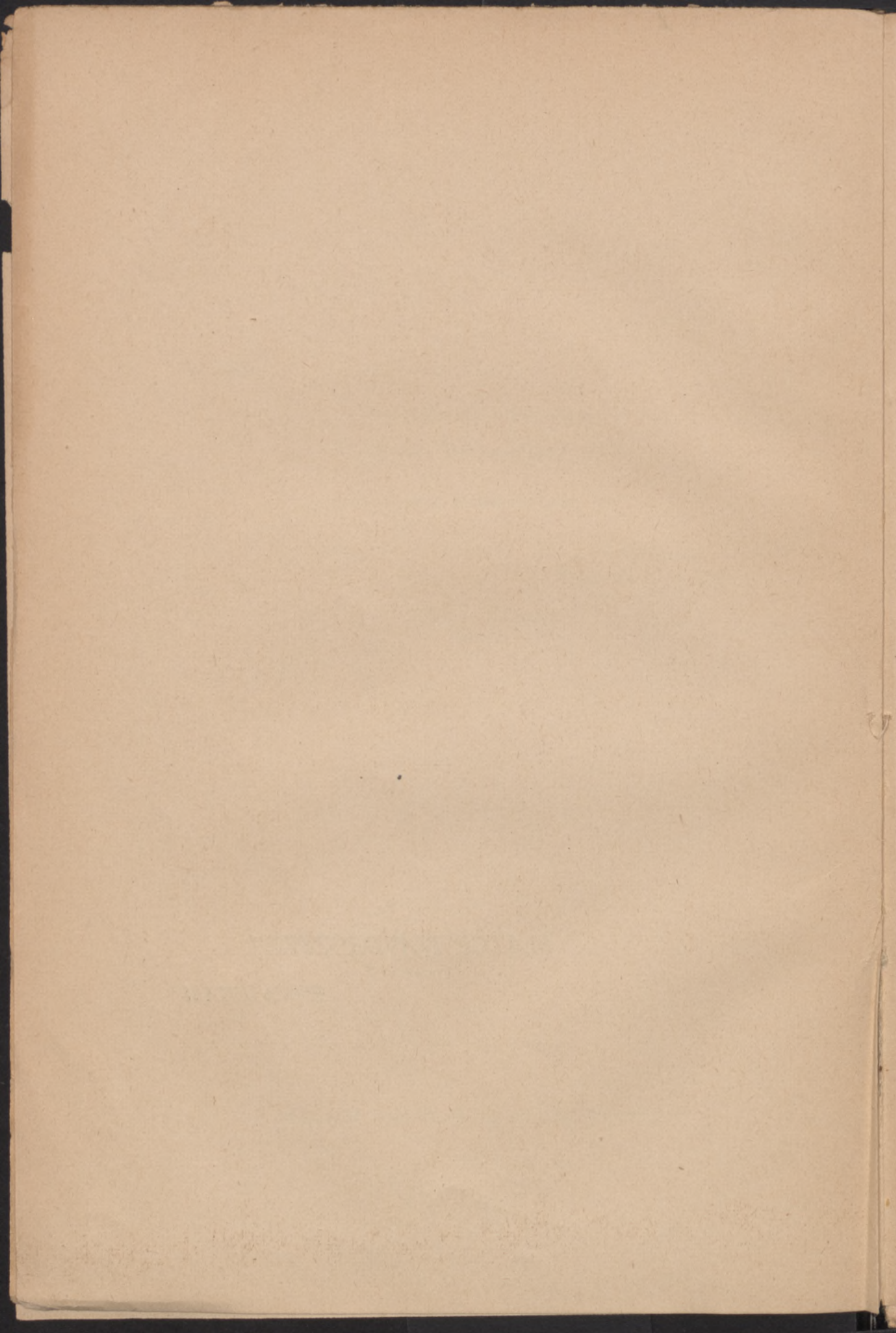
KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

588068

15.2512/86

MATCE NAJDROŻSZEJ

POŚWIĘCAM



SPIS RZECZY

Przedmowa	Str. XI
---------------------	------------

NASZE HASŁA

Idea naczelna	3
I. Bądź czystym!	5
Promienie Roentgena	7
Echo rostkowskiej komnaty	9
Świeca ciała twego	11
Świątynią Bożą jesteś!	13
Rycerski obowiązek	14
Atmosfera szczytów	17
Brzemie odpowiedzialności	19
O zdrową duszę	21
Czyste wakacje	23
II. Bądź obowiązkowym!	25
III. Bądź konsekwentnym!	27
IV. Bądź pobożnym!	37
V. Bądź karnym!	51
VI. Bądź miłosiernym!	58
VII. Bądź pracowitym!	59
Sodalis człowiekiem pracy	59
On pracował	60
VIII. Kieruj się w życiu prawdą!	62
Prawda was wyswobodzi	64
IX. Bądź dobrym synem!	66
X. Żyj w przyjaźni z Bogiem!	75
XI. Bądź katolikiem czynu!	81

DOKOŁA ROKU SZKOLNEGO

I. Zajedź na głębie — Na nowej pracy rok	85
II. Nasz Patron	87
Patron	89
Święty Stanisławie módl się za nami!	90
III. Niepokalanej	91
Wola Niepokalanej	92
Nieskalani	93

	Str.
IV. Sodalis u żłóbka	95
Z opłatkiem	97
V. Na Nowy Rok	98
VI. Na progę nowego półrocza	105
Nasz obowiązek	107
VII. Karnawał — księżę czy Moloch?	109
VIII. Gromniczne światło	113
IX. Wielki Post	115
Sodalis i rekolekcje szkolne	117
X. Na Zwiastowanie	118
XI. Na Zmartwychwstanie	119
Zmartwychwstał	121
Poznali Go w łamaniu chleba	123
XII. Nasz miesiąc	124
Miesiąc sodalicji	126
Majowy czyn	126
Wielki majowy dzień	128
Za Polskę	129
Idzie maj	131
W majowe święty	133
Miesiąc Marii	134
Ofiara na maj i na zawsze	135
Majowe dary	136
Apostolstwo Mariańskie	137
Rycerski my huf...	138
XIII. Przed maturą	140
XIV. Wakacje sodalisa	142
Wakacje	146
Idzie ku wakacjom	148
Sodalicyjne wakacje	150
Weź mnie z sobą!	153
Na wakacje	154
Z krzyżem w ręku na wakacje	156

Z IDEOLOGII SODALICYJNEJ

Entuzjizm	161
Czego chcemy?	162
Poczucie siły	165
O szarej godzinie	167
Najbliżsi celu	170
O wyższą wartość naszych sodalicyj	173
Bóg tak chce!...	185

W OBRONIE WIARY

Rzeczy zastanawiające	191
Czy nauka zawsze jest uczciwa?	213
Kościół a bieda	216

SYLWETKI KATOLICKIE

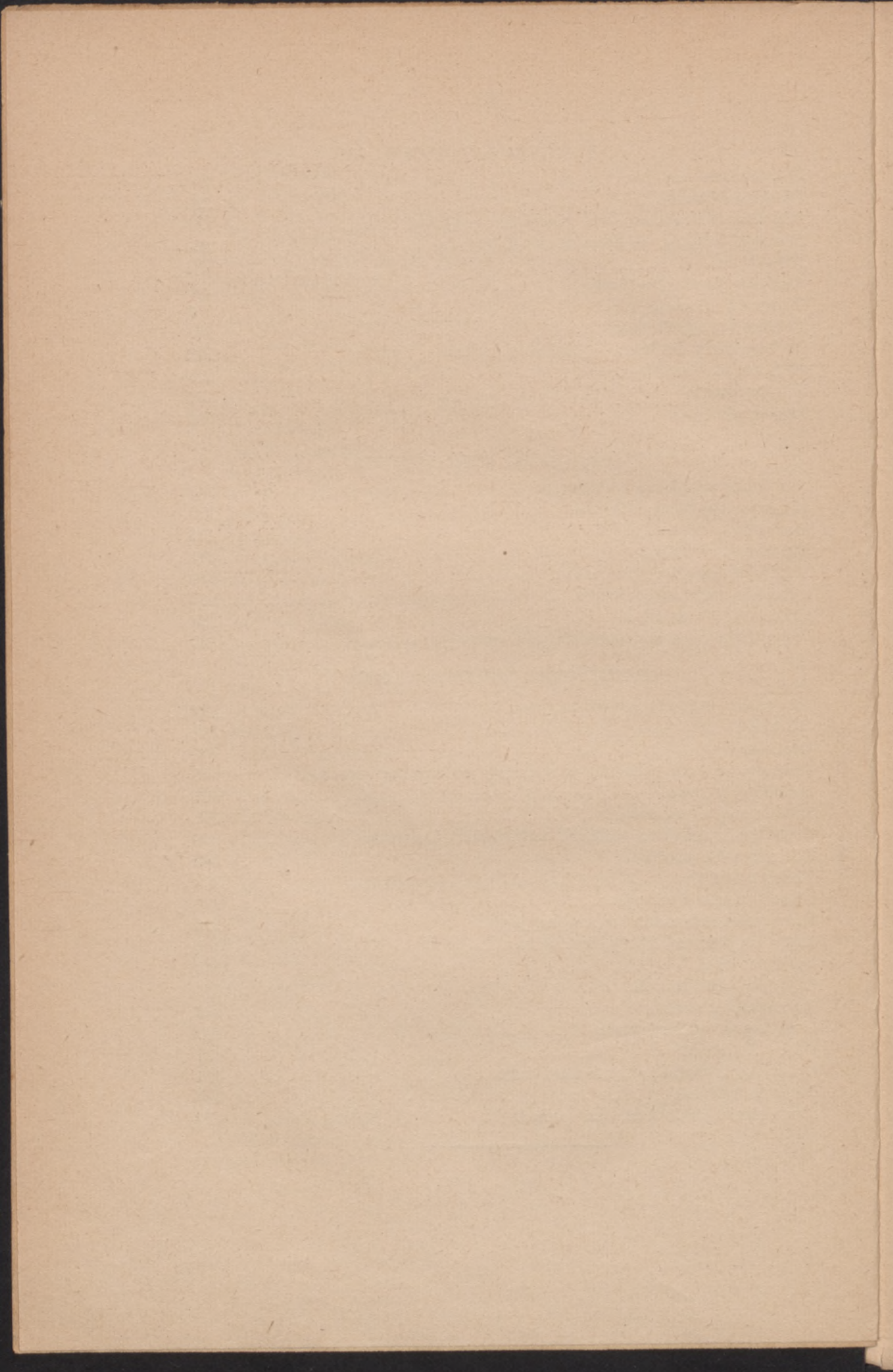
Ludwik Pasteur	221
Ferdynand Foch	224
Dziewica Orleańska — W pięćsetlecie zgonu	228
X. Adolf Kolping — Apostoł młodzieży	231
Filip Vrau	244
Profesor Contardo Ferini	249
Fryderyk Ozanam	255
Doktor Paweł Michaux	261
Dr Engelbert Dollfuss — Kanclerz Austrii — Sodalis	272
O. Edward Gemelli	276
Ksiądz Skarga	279
Papież młodych	282

Z PEDAGOGIKI SODALICYJNEJ

Kształemy sumienie sodalicyjne	287
Jak się uczą wasi sodalisi?	290
Czy umiesz się uczyć?	291
Zatrważające cyfry	304
O zdrowy sport	311
Z krainy srebrnego ekranu	317
Palić czy nie palić?	324
Przygotujmy się do «społecznych wakacyj»	335

Z DZIEDZINY ORGANIZACYJNEJ

Czy masz poczucie organizacyjne?	339
Iść musi!	341
Konsulta	342
Rola i znaczenie konsulty w sodalicyi mariańskiej uczniów	345
Sodalicyjny senat	350
Kilka uwag o karności	353
O pracy w sekcjach sodalicyi mariańskiej uczniów	356
Jak odbywać obrady?	362
Nasze referaty	373
Kilka uwag o dyskusji	376
Ku przebudowie zebrań sodalicyjnych	378
Listy do prezesa, który się martwi	408
Zerwane nici	413
Czytajmy miesięcznik	414
Występuję z sodalicyi	416
Z dialogów sodalicyjnych	419
Po co Związek?	421
O finansach sodalicyjnych słów kilka	426
Jakie to bolesne!	428
Czy zawsze «katolicka darmocha»?	429



PRZEDMOWA

Jeśli jaka książka na swą drogę w świat domaga się kilku chociażby słów od autora, to niewątpliwie ta, która w tej chwili znajduje się w ręku Łaskawego Czytelnika. Złożyły się na nią, jak głosi karta tytułowa, artykuły redaktora i zarazem wydawcy miesięcznika sodalicyj mariańskich uczniów szkół średnich w Polsce, drukowane w ciągu długich lat siedemnastu na łamach tegoż pisma od najpierwszych chwil jego ukazania się w październiku 1920 r. aż po czerwiec 1937 r., w którym to okresie wyszło 153 numerów.

Cyfra poważna i okres czasu, jak na skromne piśmko studenckie, dość długi.

A w tym okresie, ileż spraw wołało o poruszenie, ile błędów o naprawę, ile potrzeb o zaradzenie...

Cóż przeto dziwnego, że redaktor, jak to zwykle bywa w tego rodzaju prasie, zostawiony niemal wyłącznie własnym siłom, musiał w całym tego słowa znaczeniu dwoić i troić swe pióro, by zadość uczynić, o ile to było w jego mocy, wszystkiemu i wszystkim.

I ta zasadnicza uwaga rzuca dużo światła zarówno na treść, jak poziom, jak wreszcie styl¹⁾ tych bardzo i bardzo różnorodnych fragmentów redaktorskiej pracy. Być może zresztą — Czytelnik sam już osądzi — właśnie dlatego zbiorek ten przedstawia istną mozaikę tematów, nastrojów, uczuć i form, które grzesząc z konieczności brakiem jednolitego ujęcia, mogą w praktyce zaspokoić niejedną potrzebę zarówno Czcigodnych Księży Moderatorów sodalicyj czy Patronów naszych katolickich organizacji młodzieży męskiej, jak również samych młodych, szukających w nim już to lektury, już to źródła lub natchnienia do pogadanki, odczytu, referatu...

¹⁾ Jeśli w niektórych artykułach wyda on się nieco patetycznym, proszę łaskawie zważyć, że będą to najczęściej artykuły wstępne, ideowe dla danego miesiąca lub nawet okresu pracy.

I oto jedyna idea autora, przyświecająca mu w ogłoszeniu drukiem tej książki: Dać Drogim Pracownikom naszym na niwie sodalicyj mariańskich czy stowarzyszeń młodzieży katolickiej zasób źródeł, materiałów, czy wreszcie po prostu czytanek organizacyjną, z której niejedno wybierze się i przyda na zebranie, może nawet na nabożeństwo, — tym więcej, że ciągle jeszcze słyhać u nas skargi na brak tego rodzaju zbiorów czy podręczników.

Nie moją rzeczą sądzić, czy ten właśnie zbiór spełni swoje zadanie i odpowie nadziejom autora. I nie taję, że przez parę lat — z powodu całkowitego braku czasu — porządkując go, zestawiając i przygotowując do druku, miałem niejednokrotnie pewne w tym kierunku obawy.

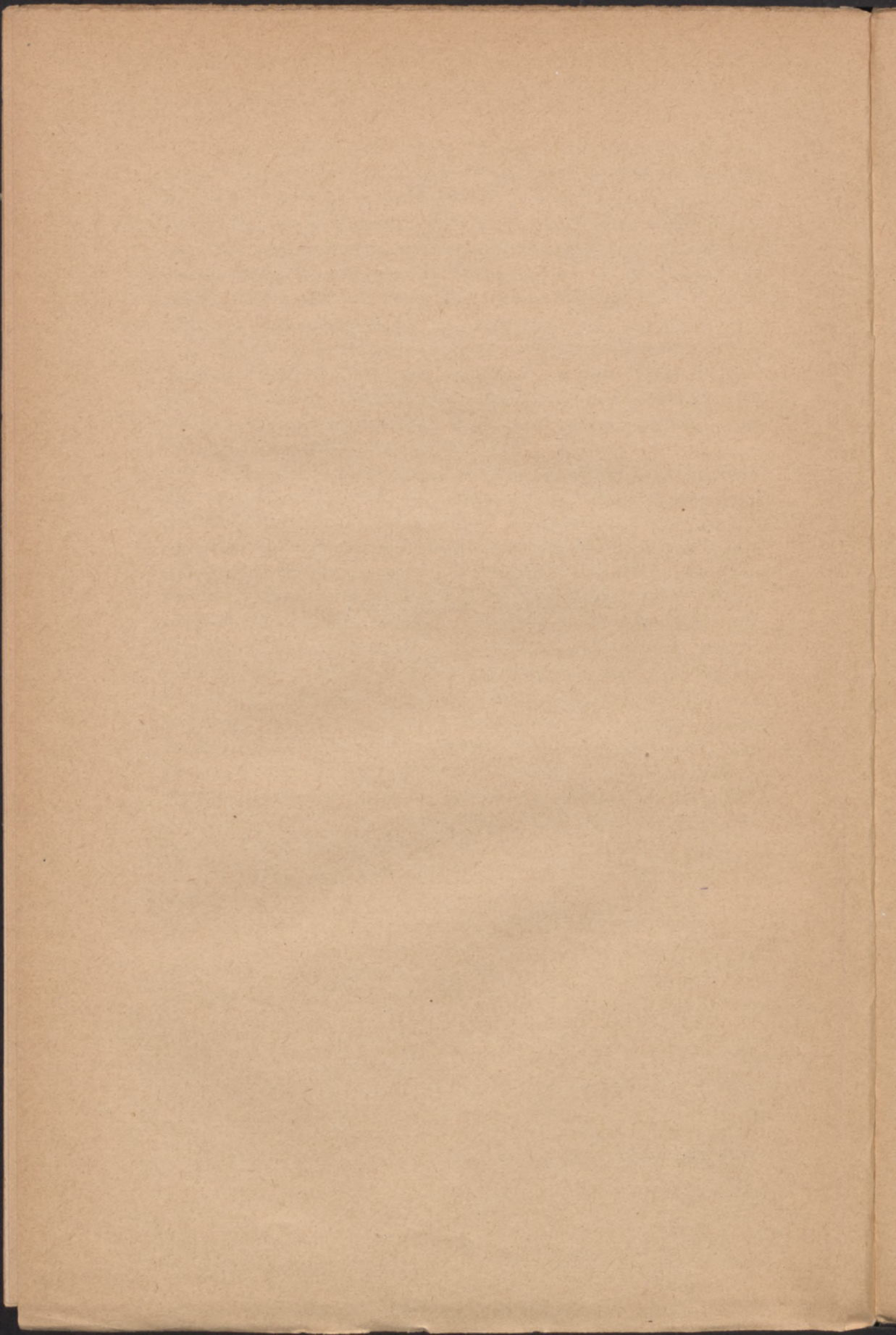
Z drugiej jednak strony pośród ogromnej korespondencji, otrzymywanej przez długie lata z całego kraju w sprawach miesięcznika «Pod znakiem Marii» i drukowanych w nim artykułów, nierzadko znajdowałem listy Czcigodnych Księży Moderatorów, zachęcających mnie do stałego zamieszczania artykułów redaktorskich na jego łamach. Znajdowałem listy stwierdzające, że artykuły te były odczytywane na zebraniach naszych sodalicyj, że doczekały się nawet zaszczytu tego na lekcjach religii w wyższych klasach gimnazjum. Jeśli pozwolę sobie do tych objawów dołączyć wiele serdecznych słów drogich, młodych czytelników miesięcznika oraz wyniki ankiet na jego temat, w których te właśnie artykuły znajdowały uznanie sodalisów i jedno z pierwszych miejsc w ocenie treści pisma — to może te wszystkie tak liczne, proste i szczere myśli w nich zawarte i w obecnym wydaniu książkowym będą dalej pełniły swoją pożyteczną służbę.

I to też, to jedynie pozostaje gorącym pragnieniem ich autora.

KS. JÓZEF WINKOWSKI

Zakopane, w uroczystość św. Stanisława Kostki, 13 listopada 1937 r.

NASZE HASŁA



IDEA NACZELNA

Zjazd wileński ¹⁾ rzucił wielkie hasło!

Podjęty i przeprowadzony konsekwentnie z pewną myślą zasadniczą, zostawił ją w swym spadku duchowym, niezapomnianym — i Związkowi całemu i wszystkim poszczególnym sodalicjom.

Hasło to umieszczone na miejscu naczelnym programu Zjazdu głosiło jako ideę naczelną: Obronę młodzieży polskiej przed zalewem współczesnego zepsucia!

Dlaczego to i tylko to?

Jedno tylko, bardzo jasne i bardzo konkretne — bo nic tak nie potęguje pracy, jak jej jednolitość i nic takich olbrzymich nie przynosi wyników. Bo — przeciwnie — nic nas tak nie osłabia, jak rozbieżność, zróżniczkowanie działalności poszczególnych organizacyj i poszczególnych kół.

To zaś właśnie, to hasło, tę ideę obrony moralnej rzuciliśmy, bo po długich obradach Wydziału Wykonawczego wiosną br. w Warszawie przyszliśmy, jako przedstawiciele tak bardzo odrębnych prowincyj naszej Ojczyzny, do najzgodniejszego przekonania, iż ono właśnie jest nakazem chwili!

Tak! W oczach naszych giną tysiące młodych dusz. Dokonywa się zbrodnia, wobec której błędnie mord Kainowy i zabójstwa Heroda!

Giną tysiące młodych, polskich dusz, krwią Chrystusową odkupionych, stworzonych przez Boga dla Jego chwały, dla szczęścia własnego i Ojczyzny.

Dzień w dzień niemal przynoszą pisma wstrząsające wiadomości o zdziczeniu, demoralizacji, występkach, nawet zbrodniach popełnionych przez małoletnich. Mnożą się tragiczne samobójstwa dzieci i młodzieży...

¹⁾ W lipcu 1926 r.

I co najstraszniejsze, na alarm niemal nikt nie woła i nikt niemal nie idzie, nie biegnie na ratunek. A ukryta ręka szatańska, co naród chce upodlić, rozłożyć moralnie, a potem zgubić, działa nieustannie i po mistrzowsku.

Brukowe i nie brukowe gazety żyją sensacją i skandalami, potwornościami patologicznymi — a dziś niestety docierają już do najmłodszych...

Kinematografy prześcigają się w erotyzmie, zbrodniach, gangrenie — «wstęp tylko dla dorosłych» — to w wielkich zwłaszcza miastach komedia, której mało kto wierzy.

Wystawy sklepowe, reklamy kinowe, ilustrowane dodatki niedzielne pism pełne bezceństw...

Mody kobiece, zwyczaje towarzyskie, nowoczesne tańce, zmysłowa muzyka, poziom stosunku wzajemnego mężczyzn i kobiet — to wszystko wskazuje na taki upadek, taką degenerację człowieczeństwa, iż człowiek chwyta się ręką za czoło i oczy przeciera i pyta zdumiony: jawa-li to — czy sen jeno taki okrutny...?

A co najboleśniejsze, co staje się tragedią duszy dziecięcej, grobem idealizmu młodości, rozpaczną zjawą, widzianą przez piekące łzy młodych, do radości stworzonych źrenic — to upadek życia rodzinnego, to rozluźnienie węzłów, to nielitosne gaszenie ognisk domowych. O któż pojmie, o któż zrozumie, odczuje niedolę i ból naszych dzieci i hańbiące naród zgorzenie dane tym małym...

Więc idziemy na ratunek — my, sodalisi spod znaku Niepokalanej.

Cóż jednak zdziałać możemy, my młodzi, najmłodszy, gdy tak mało działa lub wcale nic nie działa społeczeństwo starsze, rząd, policja?

Dużo! Naprawdę dużo!

Najpierw p o ś r e d n i o przez opanowanie samych siebie, przez szczere, istotne ukochanie absolutnej czystości, przez wyrobienie niezłomnego charakteru, przez dołożenie wszelkich sił, by ofiarą z czasu, z własnej przyjemności, z siebie samych umocnić, zjednoczyć, rozpalić życie naszej najbliższej rodziny.

A potem nawet b e z p o ś r e d n i o. Tak jest! Powiedzmy sobie to jasno.

Jesteśmy potęgą zorganizowaną blisko 7.000¹⁾ chłopców dzielnych, wyrobionych, świadomych celu, dobrych katolików i gorących Polaków. Jesteśmy w blisko 150 miastach i miasteczkach. Tępmy, ale r o z w a ż n i e, u m i e j ę t n i e z ł o i z e p s u c i e. W naszej klasie, w rozmowie i żartach, w stosunkach koleżeńskich, w towarzystwie, w organizacjach szkolnych. Tępmy brud, plugawy dowcip, wstrętny rysunek, ohydną pieśń, jak się tępi robactwo! Nie kupujmy nic w sklepach, które sprzedają gorszące gazety, pisma, karty, obrazy, książki. Bojkotujmy całym naszym wpływem niemoralne kina, teatry, wypożyczalnie. Gdzie nie liczą się z etyką — tam z pewnością liczą się przynajmniej z zyskiem i pieniądzem. Więc odmówmy pieniądza naszego, nie dajmy zysku im — a zmiękną w swej złości.

W końcu w sodalicjach naszych przez cały rok krzewmy tę wielką ideę obrony dusz i walki o dusze młodzieży, naszych braci, naszych kolegów i przyjaciół. Niech rezolucje zjazdu wileńskiego będą nieustannym memento, niech brzmiały w uszach naszych tym potężnym odgłosem dzwonu bijącego przeraźliwie sercem w jedną tylko stronę, czasu groźnego pożaru.

Nad ojczystym domem płonie już dachowe wiązanie, ogień straszliwy zagraża całości.

Sodalisi na ratunek! Wy — zawiesić nie możecie!

1926.

I.

BĄDŹ CZYSTYM!

Ciekawa rzecz!

Zjazd lwowski²⁾ na konferencji xx. moderatorów zastanawiał się na wniosek prezesa nad hasłem i naczelną ideą pracy wewnętrznej w naszych sodalicjach związkowych w przyszłym roku szkolnym. Potrzebę takiego hasła, takiej linii wytycznej uznaliśmy w Związku już dość dawno. Gorący wyraz dał jej ostatni ogólny (VIII) zjazd Związku w lipcu

¹⁾ W r. 1926.

W lipcu 1927 r.

1926 r. w Wilnie, rzucając ideę samoobrony moralnej młodzieży polskiej wobec współczesnego zepsucia. To też xx. moderatorzy podnieśli kilka, ich zdaniem najbardziej palących kwestii i złożywszy je w ręce prezesa, polecieli przedstawić na posiedzeniu Wydziału Wykonawczego w Warszawie.

Na posiedzeniu tej władzy związkowej okazała się również pewna rozbieżność zdań wśród xx. moderatorów. Najlepszy to dowód, jak wiele spraw nagłych a niezmiernie poważnych czeka na naszą pracę, na naszą uwagę, na naszą troskę serdeczną. Jak wiele bolączek domaga się usunięcia, jak wiele chorób naszej młodzieży polskiej wygląda lekarstwa. A któż te braki, te cierpienia lepiej i głębiej od naszych księży odczuwa?

Kiedy zaś sprawę idei przedstawiono naszym drogim prezesom prowincjonalnym, sodalisom — oni wyczuwając niemal instynktownie z punktu widzenia młodzieży samej największą jej potrzebę duchową w dniu dzisiejszym — j e d n o g ł o ś n i e oświadczyli się za hasłem zrodzonym jeszcze w Wilnie, dalekim jednak jeszcze od urzeczywistnienia, ale ujętym bardziej konkretnie i lapidarnie, — i z wielu projektowanych wybrali nakaz krótki, żołnierski i silny: **BĄDŹ CZYSTYM!**

Zgoda na ten nakaz stała się ogólną. Przyjął go cały Wydział Wykonawczy Związku.

I ten nakaz, to hasło bojowe w walce ze sobą i otoczeniem, w walce z pokusą i zepsuciem rzuca dziś władza związkowa tysiącom swej sodalicyjnej młodzieży na rok pracy 1927/28, jako hasło przez samą młodzież wybrane.

Sodalisie bądź czystym!

Bądź czystym w twych najtajniejszych myślach, uczuciach, pragnieniach, tak, aby dogłębne przeźrocze twej duszy mógł badać — z twym pełnym spokojem — wzrok Boży i ludzki.

Bądź czystym w twych słowach, żartach wesołych, opowieściach, aby ich zawsze słuchać mogła twoja matka i twoja mała siostrzyczka!

Bądź czystym w twym wzroku, aby oczy twe — ta ewangeliczna *świeca ciała twego* — zawsze odbijały lazur czystego nieba i nie plamiły się błotem ulicy.

Bądź czystym w twych czynach, w poszanowaniu twego młodego ciała — co rośnie, rozwija się, buduje się w drogo-

cenną Ducha Bożego świątynię, Ducha mieszkającego w tobie przez wiarę i łaskę... Szanuj je, ale *karz i podbijaj w niewole*, by ono snać rozpieszczone, nie męskie, nie hartowane nie wypowiedziało ci służby, nie rzuciło się na twą duszę nieśmiertelną, czyniąc z niej — królowej — nędzną niewolnicę złych chuci, rozkiełzanych namiętności!

Bądź takim, a wtedy czystość będzie z ciebie promieniować, jak ciepło i światło promieniują z ogniska... Sam będąc czystym, innych pociągniesz, podźwigniesz, zachęcisz — wskazując własnym przykładem, iż wbrew wszystkim podszeptom, pokusom i żądzom — można być czystym w młodości i można — miast dźwigać kajdany — po królewsku panować!

Niechaj wakacji czas zdarzy wam pod dźwięk tej pobudki rzeńskiej, młodzieńczej zgromadzić siły ducha i ciała do walki, która was czeka!

Nie bronić się tylko wam trzeba, ale iść z sodalicyjnym hasłem rozgłosnym w życie i atakować wroga!

Iść zdobywać na nim i wydzierać mu z paszczy zatrutej najdroższe skarby dusz młodych i narodu całego, które okrutnie pożera i miażdży — nieskalaność, niewinność i czystość...

Iść dusze młode ratować z toni, topieli ohydy i zatracenia. To wasz czyn, to wasz trud na cały nowy rok, na zawsze!

A zatem sodalisie ukochany — **BĄDŹ CZYSTYM!**

1927 (czerwiec).

PROMIENIE ROENTGENA...

Po europejsku urządzone sanatorium... W przedpokoju naczelnego lekarza tłum chorych... Cała galeria typów ludzi dotkniętych cierpieniem. Jedni przyszli tu raz pierwszy, inni — ah! jak dobrze już znają — te wysiedziane kanapy, fotele i ten stos banalnych ilustracyj na stole...

Od czasu do czasu otwierają się drzwi gabinetu... rozsuwa się ciężka, słowa i tajemnice boleści chłonna kotara... wchodzi i wychodzą pacjenci... A ten i ów w towarzystwie asystenta dąży długimi, wyściełonymi dywanem korytarzami do osobnej salki, gdzieś na końcu olbrzymiego gmachu...

i staje przed drzwiami, z dużym, wyraźnym napisem: gabinet roentgenologiczny. Ciemność zupełna... Mała chwila niesamowitego milczenia, w którym coś ma się stać... Zgrzyt korby, głuchy szcęk wyłącznika i trzaskająca iskra elektryczna odkrywa na przeciwległej tablicy najgłębsze tajnie organizmu... Prześwietlając go na wskrós, cudownie, pozwala jak w księdze czytać wewnętrzne przemiany, obrażenia, procesy...

I jeszcze chwila, a na czulej kliszy utrwalona na zawsze pozostaje tajemnica ludzkiego wnętrza — fotografia Roentgena.

Rozwarła się przed ludzkim geniuszem zamknięta dotąd, zda się nieodwołalnie, tajnia organizmu człowieka... Największy chyba wysiłek tego geniusza nie rozewrze tajni jego myśli... Bo gdyby rozwarł... i utrwalił zechciał na kliszy — ach... rozumiecie, przyjaciele drodzy, ile klisz pełnych byłoby ohydy... może, może nawet u niejednego, który...

Rzuciliśmy na ten rok sodalicyjny hasło: Bądź czystym! Wielkie hasło... Wielki też znój, aby odzewem nań było radosne, gromkie, młodzieńcze: *Jestem!*

Chcesz ten okrzyk z pełnej piersi wyrzucić, bodaj przy końcu tego nowego roku pracy, zacznij od bezwzględnej czystości myśli i na najbliższy miesiąc, na ten mariański październik weź sobie, umocnione spowiedzią i modlitwą, hasło czystości myśli.

Czystość myśli!

Ah — Boże Drogi — czemuż nigdy nie zastanawiamy się nad bezcennością zdolności myślenia... Tego snucia z głębin duszy własnej srebrnej przędzy, którą możemy składać w bogatych motkach we własnym skarbcu duchowym, albo oblekać w kształty wymowne albo zamykać w znaki liter i przekazywać braciom, narodowi i wiekom potomnym... Dar myśli! Wielki, wspaniały, dostojny dar Boży... Dar naprawdę Boski, gdyż Bóg umysł nasz stworzył na podobieństwo umysłu Swojego i nadać mu raczył zupełnie te same prawa, którymi kieruje się w Swoim najdoskonalszym, Boskim umyśle... Taki dar kazić... w srebrnej przędzy nić — wplatać zgniliznę i brud... w najdelikatniejszy instrument, zamiast najczystszej wody krynicznej, wlewać cuchnące, wstrętne wody rynsztoka... plamić umysł i zatruwać ohydą duchową jego dziedzinę — toć grzech... Grzech przeciw Bogu i przeciw sobie...

A cóż nieraz owym Boskim aparatem prześwietlenia czyta nasz Pan w księdze naszych rozmyślań, On, przed którym nic się nie ukryje?

A przeto chcąc hasło: Bądź czystym! w tym roku w każdej duszy sodalicyjnej przyoblec i wcielić w czyn, pocznijmy dziś, dziś właśnie stałą, systematyczną pracę nad bezwzględną czystością myśli naszych. Precz z nich z wszelką brzydotą moralną! Precz z błakaniem się samopas po bagnach i młakach i topieliskich moralnych.

Każdego ranka, budząc się, wspomnijmy promień Roentgena, który sam Bóg przez cały dzień zapuszczać będzie w głębinę naszych dusz i myślny czysto, myślny kryształowo, niepokalanie...

A będzie ona czystość myśli przeświecać przez dusze nasze, jako światło utajone prześwieca konchę z alabastru i sami czyści myślą, promieniować będziemy w około tą tajemniczą dziewiczością umysłu, co budzi lęk, uszanowanie i zazdrość świętą i o naśladowanie woła głosem cichym, subtelnym, mocnym, potężnym... i w echo czynów bogatym...

1927 (październik).

ECHO ROSTKOWSKIEJ KOMNATY

U kasztelana zakroczymskiego w Rostkowie świetlica pełna gości. Suto zastawione stoły. Stary węgrzyn złocistym leje się strumieniem. Rośnie gwar rozmów, gorących dysput, wesołych żartów i anegdot. U końca stołu dwóch młodzieńców zasiadło... Jakże bardzo różnych, odmiennych. To kasztelańscy synowie... bracia... Wszakże nie podobni do siebie. Starszy oczy rozjarzył... wyciągnął głowę przed siebie i, zda się, utonął w rozgwarnej, hałaśliwej atmosferze, bacząc nie uronić ni słowa... Młodszy, jako na węglach rozpalonych siedział... Widać było, że cierpiał i marzył o cichej izdebce, a był tu jeno przez posłuch dla woli rodzica, czekając rychłego końca udreki...

Nie przychodził.

Ze łbów golonych, szlacheckich kurzyć się już poczęło... Za oknami éma się rozłożyła nocna, a cicha... hajduki kasztelańskie wniosły już smolne łuczywa... A w ich drżących, czer-

wonych szlakach świetlnych jeszcze okropniej wyglądała uczta... Już przestano się liczyć ze słowem... Jowialne dowcipy przeszły w bezwstydy... Nikt nie pomyślał o dwóch chłopcach u stołu... Aż na kamienną posadzkę komnaty zważyło się całym ciężarem zemdlone ciało Stanisława Kostki... Zrobił się ruch... Wołanie o wodę... Zdziwienie i coś — jakby wstyd, odbiło się na przytomniejących powoli twarzach biesiadników... Wszak dziecko nieletnie naukę im dało gorzką, dotkliwą i niejednemu może z grozą i lękiem wspomniały się słyszane gdzieś w kościele, straszliwe słowa Pana o głębokościach morskich i młyńskim kamieniu... dla gorszycieli — tak dla gorszycieli.

A w skarbnicy żywotów świętych powszechnego Kościoła przybył jeden nowy, niebывałym blaskiem pałający klejnot... Omdlenie polskiego pacholęcia na zgrzyt nieskromnego słowa.

Zda się, że echo jego upadku na kamienie świetlicy drga jeszcze gdzieś w powietrzu... Że to piorunujące wrażenie... to potężne odbicie bezwstydu od jego nieskalanej duszy drży do dziś w uszach jego rówieśników i braci — i działa i broni i ostrzega...

Echo rostkowskiej komnaty...

Czyż nie rozumiecie, jakim mistrzem czystości staje tu przed wami Stanisław? Czy nie czujecie porywu ku niemu?

On rozumiał, mimo nieletnich dni swoich, jakim skarbem jest dar mowy, dar słowa w człowieku... On czuł okropność bezczeszczenia tego skarbu Bożego słowem plugawym, słowem z rynsztoka... On wspomniał tę ołtarzową płytę języka swego, na której w Eucharystii Przenajświętsze Ciało Jezusowe tyle razy spoczęło. I dlatego zraniony, dotknięty w swej anielskiej czystości, padł bez zmysłów i ostawił wam wszystkim przykład, bodaj jedyny wśród świętych, takiej czułości, takiej delikatności młodzieńczej...

Czy nie sądzicie, czy nie jesteście najgłębiej przekonani, że to jedyna droga dla każdego sodalisa? Dla brata, dla druha, dla przyjaciela świętego Stanisława?

A przeto strzeżcie czystości języka, nieskalaności warg waszych, bo mówi Pismo Boże, iż Pan z nich w szczególniejszy sposób pragnie uczynić chwałę sobie; bo jeśli komu, to wam ich plamić nie wolno. Wszakżeście to kiedyś przysięgli Marii, Pani i Matce, błagając: *Wyjednaj mi łaskę, abym nigdy słowem Twoich i Syna Twego oczu nie obraził...* To był parol

rycerski! To był ślub sodalicyjny, a wierność dlań to sprawa waszego honoru...

Nigdy! Słyszycie, sodalisi najmilsi? Nigdy dziś i nigdy w życiu na wargach waszych dźwięk brudnego słowa nie powstanie... lub honor wasz sodalicyjny wdepiecie w błoto i kał!

Niech zawsze brzmi wam w uszach... niech dźwięczy w duszy młodej rozgłośnie — echo rostkowskiej komnaty!...

1927 (listopad).

ŚWIECA CIAŁA TWEGO...

(Mat. VI 22)

W cudownie pięknym i głębokim kazaniu na górze, wśród mnóstwa porównań i przepięknych figur i podobieństw, wypowiedział Pan Jezus i te, dziwne na pierwszy rzut oka słowa, zapisane przez św. Mateusza w rozdziale szóstym jego Ewangelii: *Świecą ciała twego jest oko twoje. Jeśliby oko twoje było szczere, wszystko ciało twoje światłe będzie. Ale jeśliby oko twoje złe było, wszystko ciało twoje ciemne będzie...*

Zgadniają się tłumacze kazania na górze, iż Boski Nauczyciel myślał tutaj przede wszystkim o porównaniu oka i roli, którą odgrywa w organizmie i życiu człowieka — z sercem i jego rolą w życiu duchowym.

Ale nie odstępując od myśli Zbawiciela, jakże łatwo możemy Jego słowa zastosować i do tej roli, którą oko spełnia niewątpliwie i w życiu moralnym człowieka. Czyż i dla niego nie jest świecą, lampą, która światłością napędza duszę, gdy zwraca się ku rzeczom pięknym, jasnym, czystym, i na odwrót ciemności pełne stęchlizny i zgnilizny wprowadza w nią, gdy szuka przedmiotów brudnych, nieczystych?

Tak, oko staje się świecą i ciała i duszy człowieka.

Cóż dopiero oko młode!

Ta źrenica wiecznie ruchliwa, wiecznie ciekawa, wiecznie upatrująca czegoś nowego, a niebywałego, drażniącego i pełnego sensacji.

Te szeroko otwarte drzwi do duszy, którymi natarczywie, jak tłum ludzi na widowisko, pcha się tłum wrażeń, spostrzeżeń, obrazów, sytuacji, niestety najczęściej tak bardzo

niegodnych tych Bożych przybytków, w których Duch Boży jeno z czystością pospołu ma zajmować mieszkanie...

Nie wiecie, żeście Kościołem Bożym a Duch Boży mieszka w was? (I. Kor. 3, 6).

I to wszystko, niemal wszystko przez otwarte na oścież wierzeje twojego oka.

Czyś zastanowił się kiedy nad rolą, jaką ono odgrywa w zdobyciu, zachowaniu i ustrzeżeniu czystości?

A jeżeliś się nie zastanowił, to przeczże dziwisz się, iż w duszy, iż w wyobraźni twojej aż się roi od wrażeń, wyobrażeń, obrazów brudnych, plugawych...?

Tak! Świecą twoją jest oko twoje. Jeśli by oko twoje było szczere...

Mój drogi przyjacielu! Rzuciliśmy sobie na ten rok hasło: **B a d ź c z y s t y m!** Pragniemy, aby odzewem nań było gromkie, z tysięcy piersi sodalicyjnych: **JESTEM**, ale jak bez opanowania myśli, czy języka, tak bez opanowania oka — czystości nie będzie.

Zwłaszcza dziś, gdy brud wypełził już bezwstydnie na ulice nasze w jasne południe. Gdy przechadza się bezkarnie po drogach i drożynach, gdy wciska się do ognisk domowych, ba, nawet do kościołów Pańskich, gdy urąga nam z białych ekranów kina i z desek sceny i z wystaw sklepów i magazynów... O jeśli kiedy — to dziś czuwajmy i bardzo czuwajmy nad świecą ciała naszego i duszy naszej. Niech nam oświeca tylko obrazy czyste, nieskalane, niech ich odbicie wprowadza w czystą duszę. Ale niech to oko młode, delikatne, szlachetne instynktownie odwraca się, niech się zamyka na wszelki brud, na wszelką ohydę, choćby porywała ciekawość, choćby wabiła smak estetyczny, choćby nęciła i drażniła słodko młode zmysły.

Precz!

Niepokalana Dziewica nam wzorem! Niepokalana nam Mistrzynią czystości! Pójdziemy w Jej ślad i ku Niej, jak ku Matce, bezpiecznie kierować będziemy zawsze nasze młode oczy, poić je będziemy i karmić odblaskiem Jej nieskalaności, a wtedy zaprawdę nie tylko dusza nasza, ale cała młodość, całe życie będzie niepokalane.

1927 (grudzień).

ŚWIĄTYNIĄ BOŻĄ JESTEŚ!

W kilku dyskusjach, ożywionych i długich, ważyły się losy hasła naszego: Bądź czystym! Byli tacy, którym zdawało się, że rzucić to hasło w sodalicji młodzieży — rzecz zbędna, bo czyż ono z natury rzeczy w niej nie brzmi, nie żyje? Byli inni, którzy sądzili, że dość je rzucić i poddać sodalicjom, a one już same znajdą drogi i środki do jego urzeczywistnienia. Byliśmy innego zdania. I oto już w kilku artykułach próbujemy hasło wileńskie stosować do życia, wprowadzać je w nie praktycznie i konkretnie, a obszerność tematu tak rośnie przed nami, że zdaje on się być wprost niewyczerpany.

Pisaliśmy wam już o czystości myśli, słowa, wzroku. Przyjmijcie dziś chętnym sercem słów kilka, na temat głębokiego zdania św. Pawła: *Nie wiecie, żeście Kościołem Bożym, a Duch Boży mieszka w was?* (I. Kor. 3, 6).

Obliczył ktoś niedawno wszystkie składniki chemiczne wchodzące w skład ciała ludzkiego i w sumie otrzymał mizerną cyfrę wartości kilku złotych... Mizerna cyfra i mizerna wartość zlepka materii...

Ale w tym zlepku mieszka królowa — Dusza Nieśmiertelna, rozumna i wolna, ale w tym zlepku przez duszę mieszka sam Bóg. *Duch Boży mieszka w was.*

Tak! Naprawdę, to dopiero religia mówi nam o wartości i znaczeniu ciała, które ona właśnie po ziemskich próbach i cierpieniach, po śmiertelnym rozpadzie i zniszczeniu przecież do chwały zmartwychwstania i wieczności prowadzi.

Nic przeto dziwnego, że też religia nieustannie ciało człowieka uświęca, zmysły jego do Boga zwraca i za ich pośrednictwem łaskę do duszy sprowadza. Widzialność znaków sakramentalnych najwyraźniej nam o tym mówi. Ciało jest organem, jest instrumentem, który uzmysławia nam łaskę obmycia, namaszczenia, nakarmienia. A któż by wątpił, że przez to przewodnictwo i ono samo uświęca się, uszlachetnia, uzaenia?

Zaiste świątynią Bożą jesteś!

I dlatego bracie mój i przyjacielu serdeczny ciało swoje musisz szanować. Musisz czuwać nad tym troskliwie, aby zawsze, ale szczególnie w młodości, było ono miłą Bogu, czystą i wonną świątynią.

Bo widzisz, o krok tylko od ciebie, czyha straszliwa tragedia.

Jeśli przestaniesz czuwać, ciało twoje miast być materialnym niejako przez twoje zmysły przewodnikiem zdrojów łaski dla duszy, może zmienić się dla niej w śmiertelnego wroga, w najokropniejszego truciciela i rozpaliwszy niebacznie zmysły i nerwy i krew, zadać Królowej Duszy cios śmiertelny, zburzyć świątynię Bożą, zrujnować życie nadprzyrodzone, zgotować zgubę i śmierć.

Czyżbyś na sekundę wahać się miał w wyborze?

Ciało narzędziem łaski — czy zguby i potępienia? Ciało świątynią Ducha Bożego — czy ducha ciemności przybytkiem?

Nie! Po stokroć nie!

A przeto szanuj młode ciało twoje i upatruj w nim zawsze Kościół Boży! A przeto czuwaj i chroń je od pokusy zmysłowej! A przeto zostaw je w spokoju zupełnym i nienaruszalnym, byś przez niepokojenie go nie rozpętał buntu i pożogi! Pomnij, że wówczas może być za późno i łza gorzka i skarga serdeczna nie na wiele się zdadzą... w ohydnej, długiej niewoli...

Niech w uszach brzmia ci krzepiące słowa Wielkiego Leona papieża, które Kościół głosić każe światu w noc Bożego Narodzenia:

Złóżmy z siebie starego człowieka z uczynkami jego, a dostąpiwszy uczestnictwa narodzin Chrystusa, wyrzeknijmy się spraw cielesnych...

Poznaj, o chrześcijanie! godność twoją, a stawszy się współuczestnikiem natury Bożej, nie chciej przez życie nikczemne wracać do dawnej podłości...

1928 (styczeń).

RYCERSKI OBOWIĄZEK

Patrz... Jako idą wczesnym rankiem prastarą drogą, co z Dawidowego Betlejem wiedzie do królewskiej niegdyś Jerozolimy...

Przecudnej urody Dziewica tuli Niemowlę do serca, słoniąc Je przed chłodnym wiatrem lutowym... A poważny, święty

Opiekun ochrania Ich Oboje... Najdroższych Mu na ziemi —
Matkę i Dziecię...

Wskazuje lepszą drogę, podaje rękę, podpira, zatula
szatę na piersi przeciwko mroźnym powiewom... Stróż i Ży-
wiciel Najświętszej na ziemi Rodziny. A potem — w świą-
tyni — toruje drogę wśród tłumów, zaciszny kąć znajduje... Za-
wsze radosny, przezczysty, dobry duch opiekuńczy Matki Boga...

Chciałbym, sodalisi ukochani, aby postać świętego Jó-
zefa towarzyszącego Marii w dzień Oczyszczenia stała przed
wami zawsze, jako niebiańska wizja i wzór w stosunku wa-
szym opiekuńczym i rycerskim do kobiety...

Czy będzie nią matka ukochana, czy siostra, koleżanka,
czy towarzyszka uczciwej rozrywki... czy kiedyś, kiedyś towa-
rzyszka życia...

Nic tak jasno, tak praktycznie nie rozwiązuje nam tej
delikatnej, subtelnej kwestii, jak owo nieustanne wspomnienie
Najświętszej Dziewicy i Jej Oblubieńca... zwłaszcza dla soda-
lisów.

W naszym rozważaniu zagadnienia młodzieńczej czysto-
ści niepodobna pominąć tego punktu milczeniem. Stosunek
młodego chłopca do płci drugiej musi być już na progu mło-
dości postawiony należycie, zdrowo i bardzo jasno. Bo do-
maga się tego życie, domaga się przyszłość i szczęście mło-
dzieńcze.

A najważniejszą sprawą ze wszystkich na tym delikat-
nym terenie — jest nauczyć się od najwcześniejszej młodości
należycie i właściwie patrzeć na kobietę. Ból serdeczny ogar-
nia nas na myśl, jak niestety dziś właśnie, ona sama niebacz-
nie i nieszczęście zda się wszystko czynić, aby ten czysty,
uczciwy, chrześcijański i sodalicyjny punkt widzenia podko-
pać, unicestwić... Jak zda się wszystko czynić, aby ukryć war-
tości swej duszy, swego umysłu i serca — te wartości praw-
dziwe i nieprzemijające — a wystawić na pokaz, na widowi-
sko tanie... jarmarczne... chwilowe... wdzięki cielesne, fałszo-
wane powaby, czysto zmysłowe uroki... Uległa modzie, prą-
dowi chorobliwej opinii, naprawdę wygląda dziś, jak gdyby
chciała wołać i głosić, iż nic w niej nie masz poza cielesnością
i zmysłami...

Ale nie! To fala, która przejść musi, choć zbruka i spodli
tysiące dusz. To epoka, która minie, choć będzie ciemna i prze-

klęta w dziejach niewiasty, to karta, która się odwróci, choć zapisze ją duch zła i zgnilizny! Tak! — to minąć musi... Zostanie to, co wielki wieszcz niemiecki nazwał «Das ewig Weibliche» i co zawsze zasługiwać będzie na cześć i rzetelny szacunek...

A zresztą, drodzy moi — pamiętajcie, że mimo wszystko — zło ma zawsze to do siebie, iż krzyczy! Rozgłośnie, wrzaskliwie, przerażająco krzyczy i zagłusza cichą pieśń Dobra...

Pomnijcie, że i dziś ukryte przy ogniskach domowych są i żyją idealne matki i córki... Jenó ich nie widać, ni słyhać. Pomnijcie, że i dziś w setkach domów zakonnych modlą się i pracują Bogu poświęcone, czcigodne dziewice, bohaterki znoju, zaparcia, miłości bliźniego. Pomnijcie, że sodalicje dziewczęce gromadzą w sobie już tysiące tych, co zasługują i zasługiwać będą na wasze poważanie.

One wszystkie idą, chcą iść przez życie, przez młodość śladem i wzorem Niepokalanej.

A przeto wy idźcie śladem świętego Józefa.

Rozbudzajcie i kształćcie w sobie mimo wszystko prawdziwą i rzetelną cześć dla kobiety. Wszak była nią i jest Najświętsza Panna, jest nią wasza najdroższa matka, siostra... Ale to mało! Jako mężczyźni, bądźcie względem niej zawsze rycerscy. Nawet wówczas, gdy błądzi. Bądźcie pomocą i ochroną, bądźcie uosobieniem tego naprawdę chrześcijańskiego poczucia honoru własnego i jej godności osobistej, które przez wieki całe znoilo się, by ją wywieść z mroków upodlenia w pogaństwie bohaterskiej Grecji, czy świetnej Romy, a postawić u ogniska domowego, jako panią w aureoli sakramentalnego małżeństwa i świętości macierzyństwa...

A to wysokie, wielkie, rycerskie nastroje waszej młodszej, sodalicyjnej duszy nie dozwoli wdrzeć się do niej kiedykolwiek ani jednej myśli, ani jednemu uczuciu, ani jednemu pragnieniu, które było by niegodne was czy jej...

A tak będziecie budować wasze i jej szczęście, fundamentem kładąc cześć, rycerstwo i czystość...

To wasz święty, rycerski obowiązek!

W jego spełnieniu dopomóż wam Bóg!

1928 (luty).

ATMOSFERA SZCZYTÓW

Zdarzyło się raz — komuż to się nie zdarzy — że skończywszy lekcję religii, ostatnią już tego dnia lekcję w klasie... wyszedłem szybko, spiesząc do domu, ale jeszcze w dziedzińcu gimnazjalnym spostrzegłem, że jedna z mych książek pozostała przez zapomnienie na profesorskiej katedrze. Zawróciłem więc mocno niezadowolony z swego roztargnienia i wpadłem do sali szkolnej, dopiero co opuszczonej przez dużą gromadę chłopców... Uderzyło mnie nagle z całą siłą to nieznośne, okropne powietrze, które wypełniało klasę po skończeniu nauki. W tumanach pyłu, wzniesionych przez zbierających się prędko do domu uczniów (przy czym, jak zwykle, nie obeszło się bez lekkich bitek i szturchańców), unosił się bezwodnik węglowy, odór potu, obuwia, nieco czadu z pieca i tym podobne składniki zwyczajnej atmosfery przepelnionej, a nie dość intensywnie wietrzonej izby szkolnej...

Prawem kontrastu odczułem to niezwykle silnie, wróciwszy tu nagle z świeżego, czystego powietrza... I przeraziłem się na myśl, żeśmy razem, blisko w pięćdziesiątkę pracowali godzinę w takim powietrzu...

A drugie, znane prawo psychologiczne — prawo asocjacji — czyli łączenia i kojarzenia się wyobrażeń i pojęć — nasunęło mi natychmiast liczne refleksje na temat atmosfery moralnej w tej klasie... w szkole... wśród młodzieży w ogóle...

I miałem już o czym rozmyślać, wracając wolno, pod wpływem mych myśli, do domu...

Pozwolicie, drodzy moi — wszak prawda — że i tymi myślami dziś się z wami podzielę i może, może znów się wam trochę przysłużę w urzeczywistnianiu naszych haseł wileńskich...

Atmosfera moralna...

Ileż to czynników składa się na nią i w tym małym społeczeństwie, jakim jest szkoła, a choćby tylko klasa... Poziom duchowy i wyrobienie jednostek, środowisko, z którego wyszły, wpływ wychowawców, lektura, sztuka i wiele, wiele innych czynników często nieuchwytnych, tajemnych, a tak niezmiernie doniosłych...

W wytwarzaniu tej atmosfery moralnej, ale zdrowej,

W głąb i wwyż

2



uczciwej — dominującą rolę jednak powinni odegrać ci spośród uczniów klasy, którzy imię swoje wpisali w księgę sodalisów.

To takie proste!

Sodalicja mariańska trzy stawia ludziom swym cele: cześć Najświętszej Panny, wyrobienie siebie, apostołstwo. Te dwa pierwsze wydają się nam bliskie i jasne. Trzeci zda się nam jakiś odległy, mglisty, nieuchwytny... Ja mam być apostołem? No dobrze, ale czego, gdzie, jak?

Masz być apostołem w twojej klasie, na twoim kursie, w najbliższym gronie koleżeńskim. Masz rzucać cały twój wpływ, cały twój wysiłek na szalę, aby wyprzeć z klasy zatęchłą atmosferę, stwarzaną przez niektóre wpływowce, ale zaszargane duchowo jednostki, a otworzywszy na oścież okna na słoneczny świat Boży, masz — ty — tak jest ty! wpuszczać strumienie prześwieconego, czystego powietrza, stwarzać a t m o s f e r ę s z c z y t ó w.

Mój Boże Drogi! myślę sobie nieraz — w tej — w tamtej — w owej klasie jest sześciu, ośmiu, dziesięciu sodalisów. Czy ich znać w życiu klasy? Czy oni mają ten wpływ ludzi uświadomionych, czystych, nieugiętych w dobrem, który podbija, który zdobywa resztę kolegów... A jeśli go nie mają, to po co oni tam są? Tak jest, po co oni tam tkwią i po co tkwią w sodalicji? Jeśli myślą, że bez apostołstwa czczą Marię, że bez apostołstwa są wyrobieni duchowo, to myślą się zupełnie, myślą się na całej linii... Jeśli dopuszczają w klasie do dwuznacznych rozmów, dowcipów, anegdot, rysunków i nie protestują, nie palą się oburzeniem świętym — zapierają się ducha sodalicyjnego, nie zastawiają się ani za Chrystusa i Jego prawo, ani za Marię... A zastawić się winni, choćby do męczeństwa!... *Boście się jeszcze aż do krwi nie zastawili, walcząc przeciwko grzechowi* — wyrzucił św. Paweł chrześcijanom jerozolimskim... Tak! aż do krwi! Słyszycie! Wy, którzy nawet na proste «nie pozwalam», czy «przezań» zdobyć się nie możecie w waszej klasie, w waszym koleżeńskim kółku! I was, sodalisów w tej klasie jest pięciu, ośmiu, dziesięciu? Po co — pytam raz jeszcze, po co?

Dziś już wiecie!

Czystymi, nieskalanymi bądźcie wy sami i stwarzajcie wokoło was atmosferę czystości, a t m o s f e r ę s z c z y t ó w.

To będzie wasze precudne, pełne zasługi apostołstwo sodalicyjne.

I jaka radość, jaki zaszczyt!

Powoli, cierpliwie, z dnia na dzień oczyszczać moralną atmosferę swojej klasy. Tępić brud, zgniliznę, a wpuszczać strumienie światła i powietrza gdzieś z niebosiężnych tatrzańskich szczytów... Poić nią swe własne dusze i dusze braci, kolegów... Wieść je wzwyż... do słońca i wskazywać ideał nieskalanej czystości czynem, przykładem, życiem całym... Powiedźcie, czy to nie cudowne zadanie młodości? Czy nie wspaniała zasługa najlepszego w świecie koleżeństwa?

O chciejcie, o zacznijcie już dziś to apostołstwo sodalicyjne!... Bądźcie Aniołami Stróżami klas waszych i wszędy wnoście ze sobą promienną czystość, nieskalaność, która dźwiga upadłych, krzepi słabych, porywa ziemskich synów w krainy Chrystusowego ideału...

1928 (marzec).

BRZEMIEŃ ODPOWIEDZIALNOŚCI

Bywa czasem tak w życiu młodego chłopca, że dom jego rodzinny dotknie jakiegoś okropnego nieszczęścia, jakiś zgon lub ciężka choroba i nagle na jego młode, słabe barki zwali się brzemie olbrzymich, nieraz nad siły obowiązków, olbrzymich odpowiedzialności za dom i za młodsze rodzeństwo. I świadczy życie i dziesiątki przykładów, że zwykle takie brzemie, takie poczucie niesłuchanie wyrabia wolę, krystalizuje charakter i że z takiego młodzieńca niemal zawsze wyrasta dzielny, prawy, nieprzeciętny człowiek.

Nie myślcie jednak, drodzy sodalisi, że dopiero ciosów trzeba, aby w młodej duszy wyrobić poczucie odpowiedzialności, że tylko nieliczne jednostki przechodzą przez jej szkołę w latach młodych, szkołę tak bolesną i ciężką, iż słusznie nawet wzdygało by się przed nią wasze serce.

Wielka, poważna, święta odpowiedzialność ciąży już dziś, nawet już oddawna, na każdym z was. Odpowiedzialność nawet bardzo zróżniczkowana, za waszą duszę, za zdrowie, za rodzeństwo i kolegów, za młodość ich świętą, za całą przyszłość.

A wśród tych różnych rodzajów odpowiedzialności bardzo doniosłe miejsce zajmuje ta, o której mówić wam chcę dziś, acz nie bez wahania, odpowiedzialność za przyszłe pokolenie...

Czy to nie zbyt głęboki temat, problem dla młodych chłopców? Czy nie wzruszą oni ramionami na jego rozważanie?

A jednak nie waham się!

Kto jak kto, ale sodalisi, i oni chyba przede wszystkim, zdolni są nad tą kwestią poważnie pomyśleć i głębiej się zastanowić.

Przymknijcie oko wasze, a wzrokiem duszy wybiegnijcie w przyszłość i zobaczcie w tej przyszłości siebie, jako ludzi dojrzałych, obywateli państwa, ojców rodzin, ojców waszych dzieci... Wszak to przyszłość niewątpliwie olbrzymiej większości was — dzisiejszych chłopców i uczniów.

I któż z was nie chciałby, nie pragnąłby całym sercem w tym nowym życiu, w tej dalekiej przyszłości pełnego szczęścia? pełnej radości przy domowym, własnym ognisku, pełnej pociechy z własnych dziełek, dobrych, zacnych, czystych, ukochanych...?

I oto błysk światła, tak jaskrawego, aż razi w oczy... To przyszłe szczęście, ta cnota waszych dzieci, ten ich charakter, co więcej szczęście, cnota, charakter wnuków, prawnuków, całych przyszłych pokoleń w dużej, olbrzymiej mierze zależy od waszej dobrej, uczciwej, czystej młodości.

Waszej dobrej, uczciwej, czystej młodości! — Słyszycie?

To nie frazes, to nie przesada, to szczerą istotną prawdą, chociaż tak wielką, tak olbrzymią, tak ciężką — iż obawiam się, czy wszyscy już dziś zdolni jesteście ją pojąć i rozumieć. Ale choćby część pojęła — to już dość, aby o niej mówić... Mówić dziś, gdy chyba za szatańskim podszeptem to brzemie odpowiedzialności ogólnie pragnie się strząsnąć z młodych bark, wyrzucić z młodej świadomości. Wmówić w siebie, że za siebie i tylko za siebie się odpowiada, a na odpowiedzialność za drugich przyjdzie czas kiedyś, po latach i latach, gdy się stanie nad kolebką dziecięcia.

Inaczej, o jakże inaczej mówi Bóg, Stwórca i Dawca życia twego i życia przyszłych pokoleń. Bóg, który w najświętszym i najmędrszym planie Swoim postanowił, aby życie rodziło życie i aby człowiek pochylony wiekiem ku ziemi

i śmierci odradzał się w przyszłym pokoleniu dzieci swoich i przekazywał im z własnego ducha i ciała, zarówno dobro jak zło, aby czuł się po wszystkie dni życia swego ogniwem łańcucha ludzkości i rodu swego, i aby za dalsze ogniwa dźwigał i rozumiał całą i pełną odpowiedzialność. Taki plan Boży, taka Boża wola i żadna ludzka wymówka, żaden opór na ten porządek nic nie poradzi...

Wstrząsające memento z Bożego natchnienia głosi wielki prorok Jeremiasz, gdy w księdze swej te głębokie kreśli nam słowa: *Ojcowie zjedli jagodę winną niedojrzałą a zęby synów drętwieją* (Jer. 18, 2).

Sodalisie! Ty odżyć masz kiedyś w twoich najdroższych. Za nich już dziś spoczywa na tobie przeogromna odpowiedzialność przyszłego, dostojnego ojcostwa!

Czyś gotów ją podjąć i dźwigać? Czyś gotów o niej nieustannie pamiętać dla szczęścia twego i twoich?

A przeto zbieraj i gromadź w duszy twej młodej wszystko, co Boże, co dobre, co czyste. Uczyń twą duszę kryształem niewinności, jądrem zdrowia i siły, skarbnicą wszelkiej cnoty. Zbieraj dla siebie i dla twych potomków. Niech ci nie będzie zbyt ciężki, zbyt gorzki żaden trud, żadna walka, żadne zaparcie! A nade wszystko bądź czystym! Pamiętaj, iż żadna cnota, jak czystość, nie przepromienia na wskrós i duszy i ciała i to na trwale i na zawsze, na pokolenia całe, i żaden grzech, jak nieczystość — nie kała ich na trwale, na pokolenia i pokolenia. O gdybyś pojął, o gdybyś zrozumiał! Ty! Przynajmniej ty, sodalisie, i żył, żył pełnią nieskalanego życia w twych myślach, słowach i czynach. Żył dla siebie i dla twoich najdroższych kiedyś, dla przyszłych pokoleń, dla przyszłej Polski!

Niech ci to ziści Bóg i Niepokalana!

1928 (kwiecień).

O ZDROWĄ DUSZĘ

W dzisiejszej medycynie coraz silniej i coraz głębiej utrwała się przekonanie, że leczenie organizmów już poważnie chorych, ogarniętych takim lub owakim zakażeniem, jest to w dużej ilości wypadków trud stracony, mimo olbrzymiego nieraz wysiłku lekarza zarówno jak i chorego. Dlatego na całej

linii przechodzi się dziś do tzw. «profilaktyki», czyli wczesnego zapobiegania chorobom, przez kształtowanie organizmów na wskrós zdrowych, odpornych, przez stwarzanie dla nich możliwie idealnych warunków życia, zwłaszcza w okresie rozwijającej się młodości.

Olbrzymie koszty, które pochłaniają dziś szpitale, kliniki, sanatoria, staną się wówczas zbędne, a przynajmniej silnie będą ograniczone, natomiast letniska, kolonie wakacyjne, szkoły umieszczane w okolicach zdrowych, rozwój gimnastyki, racjonalnych sportów, gier i zabaw ruchowych przyniesie ze sobą potężnie podniesiony poziom higieny indywidualnej i społecznej, przyniesie nieoceniony skarb zdrowia.

I nic słusniejszego!

Elementarne choćby wiadomości o potędze drobnoustrojów wystarczą, aby ocenić zdrowe i logiczne podstawy tego stanowiska. Wobec bakterii — wrogów zaciętych człowieka — odporność organizmu gra rolę pierwszorzędną. Ona to właśnie decyduje nie tylko o podatności na samo zakażenie, ale co ważniejsze i o pokonaniu przez cały ustrój fizyczny wdzierającego się weń nieprzyjaciela. Profilaktyka — to słońce, powietrze, woda, zdrowy pokarm, ci najwierniejsi przyjaciele w walce o byt, o zdrowie i życie. Zwłaszcza człowieka młodego...

Jakkolwiek prawa życia duchowego niezawsze mogą pokrywać się z prawami życia fizycznego, to jednak na tym właśnie polu uderza nas od pierwszej chwili niewątpliwie przedziwna analogia między jednymi a drugimi. Któż by się wahał choć na chwilę przed jej wykryciem?

Kiedyż to zło na kształt straszliwego zakażenia, czy najgroźniejszej epidemii rzuciło się z taką wściekłością na nasze organizmy duchowe, jak dzisiaj? Kiedyż takie szeregi młodziuży padały pod zatrutym tchnieniem zgnilizny grzechowej, jak właśnie w tych powojennych czasach?

I tutaj więc, jak tam, leczenie dusz zatrutych, zgangrenowanych, śmiertelnie chorych bywa często, niestety, aż nazbyt często nieodwołalnie spóźnione.

Trudno wyleczyć ciało, o ileż trudniej wyleczyć, uzdrowić już na trwałe chorą duszę!

A przeto obowiązkiem naszym jest w pierwszym rzędzie wobec siebie, ale także względem wszystkich naszych kolegów,

towarzyszów stosować profilaktykę duchową i ze wszystkich sił dbać o nienaruszone, całkowite zdrowie duszy.

Oto na co chciałem dziś bardzo usilnie zwrócić waszą uwagę.

Bo przecież my na ogół tak mało dbamy o zdrowie naszej duszy, a tak dużo umiemy narzekać poniewczasie na jej choroby!

A pomyślcie, czy może być coś piękniejszego, szlachetniejszego nad zdrową duszę! Czy może być większa radość nad tę, gdy mówimy sobie: moja dusza jest zdrowa, wolna od zakażenia, krzepka, nietknięta!

Nie tknęła jej trucizna pesymizmu, co odbiera wszelką radość życia, nie skaziła jej niewiara, zwątpienie, nie skalała cielesność i nieczystość, nie wyniszczyło lenistwo, ni pycha, ni kłamstwo. O jakże mało dziś na świecie zdrowych dusz, jakże mało ludzi szczęśliwych!

A gdzież być winny całe ich szeregi, jak nie w sodalicjach mariańskich młodzieży? Szeregi zdrowych, tęgich, czystych i radosnych dusz!

Trzeba więc, ukochani, użyć wszelkich możliwych środków, wyteńczyć wszystkie siły i wszystkie ponieść ofiary, aby osiągnąć tę prawdziwą radość młodości i całego życia — zdrową duszę!

W szczególniejszy sposób proście o nią Matkę Najświętszą w Jej majowym miesiącu!

1928 (maj).

CZYSTE WAKACJE

Przez cały rok szkolny staraliśmy się według sił i możliwości służyć w naszym piśmie naczelnej idei zjazdu wileńskiego, podkreślonej tak mocno w roku następnym przez dwa zjazdy prowincjonalne Związku, idei i hasłu: **BĄDŹ CZYSTYM!**

Drodzy czytelnicy nasi pamiętają zapewne cały szereg artykułów, które poświęciliśmy w tym roku wydawniczym temu wielkiemu naprawdę i niesłuchanie dziś doniosłemu wezwaniu.

Dzisiejszym numerem miesięcznika zamykamy znów jeden rok pracy, a zarazem żegnamy czytelników naszych i przy-

jaciół na długi okres trzymiesięczny, na długie, letnie wakacje i na cały wrzesień.

Lęk ogarnia nas, lęk przyjaciół serdecznych i oddanych, na myśl, jakich spustoszeń dokonywa zwykle w duszach młodych okres wakacyj! Zda się, jakby jakaś siła potępiénca zawzięła się, aby wyrwać z dusz i serc z korzeniem to wszystko dobro, te wszystkie cnoty, te wszystkie postanowienia i wysiłki, które w nich stwarzał dzień za dniem i miesiąc za miesiącem szkolnego roku Boski Siewca i najlepszy Sprawca winnicy Swojej... Zbawiciel nasz Najśłodszy.

Czyżby i was sodalisów miało to czekać?

Pokusa bezwątpienia tak! I to bardzo silna pokusa. Ów ewangeliczny *człowiek zły*, który *nasiał kłokolu między pszenicę*, ze szczególną zawziętością uderzy na wasze właśnie sodalicyjne dusze. Czyż zdobycie jednej z nich, nie jest dlań większym zwycięstwem, większym tryumfem niż upadek innych dziesięciu? Czyż wyrwanie spod opieki, spod serca Niepokalanej jednej duszy sodalicyjnej i unurzanie jej w błocie grzechu, nie jest szczytem marzeń tego, którego Ona głowę zdeptała, ale który nie przestał czyhać na stopę Jej, na ślad i piętno Jej opieki, Jej dobroci, Jej zmiłowania w każdej sodalicyjnej duszy?

Marii zaszkodzić nie może... ale może zdruzgotać Jej obraz w twojej duszy, może zbeszcześcić serce, na którym spoczywa Jej ryngraf i duszę, która przysięgła Jej wierność.

Sodalis! Ryngraf Marii i sztandar Marii w niebezpieczeństwie!

Moce zła i potępienia już dają hasło do boju!

Rozpali się walka o czystość waszych dusz, o świętość waszych ideałów, o moc waszej przysięgi!

Zdzierżycie?

Tak! Tak!

*Słyszycie? Już grają pobudki,
Już Jezus przybliży się k'nam!*

— — — — —
*Pan idzie! Słoneczność rozlewa się w krąg,
Pan idzie na świata siąść tron!
Drży szatan, wysuwa mu berło się z rąk,
Słyszycie? Zwycięstwa gra dzwon!*

O niech wam gra! Niech brzmiać wam w sercu sodalicyjnych haseł pobudki, gdy wolni, swobodni na wakacyjnych wywczasach mierzyć się będziecie oko w oko z podszeptem, z ponętą, z naporem zła.

I na wakacyj czas weźcie ze sobą sodalicyjną ustawę. Zaglądajcie do niej, czytajcie i spełnijcie! Na pierwszym zaś miejscu wśród waszych wakacyjnych obowiązków sodalisa niech będzie komunია św. i spowiedź miesięczna. Sakramenta święte uchronią was i ustrzegą od upadku, od ran, od śmiertelnej choroby.

Wakacje wasze będą czyste! Będą z pewnością! A wracając w sodalicyjne szeregi, z dumą świętą wołać będziecie za wielkim Pawłem apostołem: *Potykanie dobrym potykałem się, zawodum dokonał, wiarę-m zachował!*

Przeżyłem nieskalane, godne sodalisa Niepokalanej wakacje!

1928 (czerwiec).

II.

BĄDŹ OBOWIĄZKOWYM

Takie hasło — krótkie i jędrne — rzucił na nowy rok pracy zjazd lubelski ¹⁾.

Obowiązek!

Wielkie — słowo i wielka idea.

A przeto jak każdą wielką ideę można go umiłować aż do fanatyzmu i aż do fanatyzmu zniechęcić.

Kogóż więcej w naszym społeczeństwie, w naszej młodzieży? Czy tych, co miłują — czy tych, co nienawidzą? Niestety, zda się, że większość, że tłum olbrzymi stoi pośrodku i nie zdając sobie sprawy z wielkości i świętości idei, obojętnie, apatycznie idzie przez życie, ugina się pod nieznośnym jarzmem obowiązku, ale nigdy, ani na chwilę, nie stara się wniknąć w głębinę samego pojęcia, w istotę rzeczy i zdecydować się na jasne, konsekwentne ujęcie obowiązku, jego doniosłości, powagi, świętości...

¹⁾ W lipcu 1928 r.

A najbardziej chyba widać to w niezliczonych szeregach szkolnej młodzieży, w których chłopiec obowiązkowy uchodzi za zjawisko nie tylko dziwne, niezrozumiałe, ale wprost ośmieszane.

Ideal — to linia najmniejszego oporu, to prześlizgiwanie się, to «fortel» szkolny, bo wzamian — bezmiar użycia, przyjemności, zabawy... Wielkie słowo «obowiązek» nie budzi nawet echa, odgłosu w duszach. Nie dojrzeją też one już nigdy chyba do umiłowania obowiązku w życiu, do poświęcenia się i zaparcia w jego służbie. Skarlałe od młodości nie dojrzeją nigdy chyba na mężów! Otóż takie silne dusze, takich mężów musimy stworzyć z siebie — my sodalisi! Stworzyć na naszej szkolnej ławie, stworzyć w naszej organizacji! Ludzi twardych, mężów nieugiętych, bezkompromisowych, wszędzie tam, gdzie woła, gdzie wzywa obowiązek.

I dlatego rzucamy hasło równie wielkie, jak niepopularne: Bądź obowiązkowym!

Położ obowiązek na czele twoich wszystkich spraw duchowych i fizycznych, wynieś obowiązek na szczyty twojego młodego życia. Obowiązek względem Boga, obowiązek względem bliźnich, obowiązek względem samego siebie.

I niech wschodzące w każdy dzień słońce budzi cię do służby tego potrójnego obowiązku w myśl nieugiętych postanowień i niech cię zapadającej nocy woła cię do surowego porachunku, jak za dnia pełniłeś tę służbę...

Żołnierzem bądź na placówce obowiązku na każdy dzień, na każdą godzinę! Odkryjesz naonczas jego wielkość i słodycz. I pokój Boży i radość, może dotąd nieznaną, nieprzeczuwaną nawet napelni ci duszę, gdy po dniu mozolnym w szczerą modlitwie wieczoru powiesz twemu Panu: Otom dziś spełnił mój obowiązek!

I rozmiłujesz się w nim już na cały życia czas! I rzesze innych porwiesz za sobą.

W tej świętej służbie szczęść ci Bóg!

1928 (październik).

III.

BĄDŹ KONSEKWENTNYM

1.

Czwarty rok mija, jak władza związkowa sodalicyjnym drużynom naczelne rzuca hasło na szkolny rok — hasło wysiłków i prac, hasło naczelne myśli i słów i czynów sodalicyjnych.

Bądź czystym! Dwa lata ten nakaz dziś tak niesłuchanie ważny kierował życiem sodalicyj uczniowskich w Polsce.

Bądź obowiązkowym! — zawołał IX Zjazd Związku w Lublinie przed rokiem.

Bądź konsekwentnym! — rzuca nowe hasło w braku tegorocznego zjazdu — Wydział Wykonawczy i Prezydium Związku.

Konsekwencją!

Jedno z tych słów łacińskich, którego treść rozumiemy, którego jednak nie potrafimy oddać w naszym, skądinąd tak bogatym języku.

Sequor — postępuję znaczy, *consequor* zatem: idę razem, wspólnie, współcześnie postępuję. Skąd konsekwencja oznacza współpostępowanie, towarzyszenie równoczesne, jak się już powszechnie i oddawna przyjęło rozumieć: towarzyszenie czynów — zasadom, słów — przekonaniom, życia — uznaniu pogładowi na świat.

Już z samej przeto analizy pojęcia konsekwencji wynika jej wielkość, dostojność — ale i trudność.

Najdoskonalszym oczywiście wzorem konsekwencji jest Bóg. Ona należy do Jego istoty. Bóg przecież w najdoskonalszym rozumie Swoim stwarza, poznaje najdoskonalsze zasady i prawa — a najświętszą Swoją wolą wprowadza je w czyn, idealnie tak samo, jak je stworzył i poznał.

Konsekwencja jest wspaniałym przymiotem Bożym.

Idealem też konsekwencji, porywającym wprost ku sobie każdą, zwłaszcza prawdziwie męską, młodzieńczą duszę jest Jezus Chrystus, który po linii Swej Boskiej zasady i Swego posłannictwa idzie niewzruszony, nieugięty przez całe Swe ziemskie życie. Dla tej nieugiętości zasady znoi się, naraża,

walczy, cierpi, w końcu umiera z okrzykiem zwycięstwa na ustach, z tryumfalnym: *Consummatum est* — *Wypełniłem wszystko, wszystko do ostatka!*

I ten rys konsekwencji dziedziczą jakby po Zbawicielu Jego Święci. Jest on u nich cnotą, cechą charakterystyczną, rysem dominującym. Wierność zasadzie do ostatka, wierność w wielkich i najmniejszych rzeczach, wierność wbrew wszystkiemu i wszystkim — aż do zgonu, do ostatniego tchu.

Czy jesteś konsekwentnym?

Oto pytanie!

Nie pytam, czy znasz i masz zasady; zasady mądre, zdrowe i uczciwe...

Czyż nie widzę w twoim ręku Ewangelii i katechizmu i sodalicyjnych ustaw!

Ale pytam się, czy ty według Ewangelii, według katechizmu i sodalicyjnej ustawy — żyjesz?

Czy twoje myśli, twoje pragnienia, czy twoje słowa, czyny i postęпки, czy jednym słowem całokształt twojego dotychczasowego życia zgadzał się możliwie wiernie z nauką Jezusa Chrystusa, z duchem sodalicyjki mariańskiej?

Niestety, niestety!

Niekonsekwencja stała się jedną z głównych wad naszego narodowego charakteru. Rozdźwięk między teorią a praktyką, między zasadą a życiem stał się przerażający... Pusty frazes, deklamacja, blaga — oto, na co w życiu wychodzą wniosłe i piękne zasady katolicyzmu, patriotyzmu, obywatelskiego ducha u wielu, bardzo wielu Polaków.

A poczyną się to już we wczesnej młodości.

Tak być nie może, bo to przecież prowadzi do zniszczenia w zarodku każdego charakteru, każdej wybitniejszej osobowości, prowadzi do zalania nas falą ludzi miernych, płytkich, przeciętnych, których się już u nas mnożą całe legiony.

Podejmujemy walkę z niekonsekwencją!

Idziemy twardą i stromą ścieżką ku Boskiej iście cnotcie, wierności zasadom Chrystusowym wszędzie i zawsze, wierności w wielkich i małych rzeczach, wierności do ostatka!

To nasze hasło czynu i pracy na nowy rok! Niech idzie! Niech grzmi, niech budzi tysięczne rzesze sodalisów naszych

do wysiłku najszlachetniejszego, do cnoty najradośniejszej, do wierności, do siły, do konsekwencji.

W tej pracy roku nowego — w pracy młodości i całego życia — niech nam wszystkim stokrotnie szczęści i błogosławi Bóg!

2.

Kiedy o konsekwencji mam pisać w listopadowym numerze miesięcznika, nie mogę oprzeć się uczuciu wielkiej radości.

Czyż bowiem wszelkich, choćby najpiękniejszych słów i wywodów nie zastępuje nam dziś właśnie postać i żywot Stanisława?

Najmłodszy ze świętych naszych, a jakoby mąż stateczny i dojrzały w swoich zasadach, postanowieniach i czynach!

W wieku, w którym poglądy zmieniają się z dnia na dzień, w którym u nas — któż by mógł zaprzeczyć — popelnia się dziesiątki rażących niekonsekwencji, sprzeniewierzeń, odstępstw od zdecydowanych, zda się, ideałów, może, może... nawet tych poprzysięgniętych u stopni ołtarza Marii — to chłopię polskie wybiera sobie cel życia i powołanie, do ideału swego idzie nieugięte poprzez prześladowanie rodzonego brata, poprzez cierpienia i razy, poprzez odmowy i groźby, idzie z Austrii do Niemiec, z Niemiec do Włoch... aż cel umiłowany osiąga i obejmuje młodzieńczo oburącz, by mu zostać wiernym na wieki...

Cóż to za zjawia przedziwna, cóż to za dar Boży dla nas i dla dzisiejszych czasów!

Jakże my karlejemy i malejemy wobec Stanisława Kostki!

Święty Paweł każe się złemu zastawiać aż do przelania krwi. Zaleca konsekwencję aż do męczeństwa. Stanisław bierze te słowa za sztandar swego życia i w domu brata swego umie dla anielskiej cnoty przelać krew, aż do krwi katowany i bity, nieugięty i nieporuszony.

A my? A my?

O ideałach młodości umiemy wysłuchiwać egzort i referatów, może je sami wygłaszamy. Może, może nawet szczerze i w głębi duszy czujemy się poruszeni ich wielkością i świętością, może uznajemy je rzeczywiście i przyjmujemy za swoje. Ale niech tylko przyjdzie jakaś trudność, niech zjawi się ofiara

z siebie, konieczność zadania sobie gwałtu, by wytrwać w wierności dla ideału, mój Boże! — jak to wszystko gdzieś się ulatnia i pryska. Wichurą pokus szarpane opadają kwiaty i liście z naszego drzewa, lecą może w brud i błoto życia, a my stoimy, jak jesienny, listopadowy pień, nagimi konarami sterzące żałośnie w niebo, odarty z całej krasy i piękna... beznadziejnie bolesny, przesmutny.

Wzoru nam trzeba! Przykładu, co porywa!

I Bóg nam go daje w dowód Swej niezwykłej łaski i miłości.

Daje nam tego chłopca polskiego z piątej, szóstej, siódmej klasy gimnazjalnej... serce bohaterskie, duszę wierną, patrona konsekwencji chrześcijańskiej nieporównanego!

Idźmy za nim!

Weźmy go za sztandar. Niech on nas wiedzie, uczy, prowadzi! Z nim i za nim idąc przez życie, posiłdziem upragnioną, umiłowaną cnotę wierności zasadom, cnotę konsekwencji. Każdy dzień młodego życia będziem znaczyć zwycięstwem, i rósć będziem w siłę, w moc, którą daje poczucie obowiązku, szczytna zasada i najszlachetniejsze przeświadczenie, iż jej w nas nic nie osłabi, nic nie złamie, nie skruszy do końca!

3.

W październikowym numerze polskiego miesięcznika sodalicyjnego, wychodzącego w Krakowie pod wytrawną redakcją ks. Edwarda Kosibowicza T. J. pt. «Sodalis Marianus» ukazał się niezmiernie ciekawy artykuł sodalisa St. Stommy, który z naszego hymnu związkowego tytułu dlań zaczerpnął, wypisując w nim słowa «Czas strząsnąć zwątpienia już pleśń». Na ten właśnie artykuł pragnę dziś zwrócić uwagę drogich czytelników naszego miesięcznika, gdyż bardzo blisko łączy się on swą myślą przewodnią z naczelnym hasłem naszej tegorocznej pracy «Bądź konsekwentny»!

Dwukrotnie już mieliśmy sposobność na tym miejscu rozważać ideę i obowiązek konsekwencji. Z natury rzeczy obecnie, przy dalszym omawianiu tego tematu wysuwa się zagadnienie konsekwencji w wierze, konsekwencji w naszym, osobistym stosunku do Boga i Kościoła. Zdajemy sobie z tego jasno sprawę, że teoretycznie jesteśmy my wszyscy w sodalicjach mariańskich ludźmi wierzącymi. Uświadamiamy sobie jasno

te silne i zapewne niejednokrotnie już przeżywane momenty gorącej, głębokiej wiary. Momenty, w których, jak mgła jesienna w promieniach słońca, rozplywały się i zanikały wszelkie trudności, wszystkie opary sceptycyzmu i wątpienia. Wierzyliśmy wtedy naprawdę całą duszą.

I oto — podejmujemy myśl wspomnianego autora — po jakimś czasie, zaszło coś dziwnego. Jakaś książka, jakieś zdanie, jakiś wykład, rzucone przez kogoś pytanie, wystarczyły, aby z nową siłą odżyły wszystkie: «a nuż... a nuż...» Aby jakaś złowieszcza «zwątpienia pleśń» osnuła nam duszę swoim śliskim, stęchłym porostem. I czujemy, że znów wszystko zaczyna się jakoś chwiać, wahać, pochylać. Znika zapał, siła do walki, moc przekonań... Na wszystkim osiada szara, nędzna pleśń zwątpienia.

Otóż i sprawa naszej konsekwencji.

Dlaczego mielibyśmy tak łatwo, tak szybko zapominać o owych chwilach siły i mocy religijnej, w których wierzyliśmy całkowicie, bez zastrzeżeń? Dlaczego mielibyśmy nieopatrnie i niekonsekwentnie co pewien czas otwierać w duszy jakąś tajną furtkę wrogowi-wątpieniu i wpuszczać go do wnętrza naszej twierdzy? Dlaczego mielibyśmy wątpić, azali posiadany przez nas czysty diament wiary nie jest przypadkiem lichym szkiełkiem złudzenia?

Bądźmy raz wreszcie w naszej wierze konsekwentni! Szanujmy i cenmy łaskę wiary, której nam Bóg w nieskończonyj dobroci nie odmawia i umiejmy i chciejmy zawsze w chwili trudności odwołać się myślą, pamięcią, wolą do owych aktów wiary głębokiej, chciejmy i umiejmy je odnowić, wskrzesić w swej świadomości i nie dopuścić do ich najmniejszego naruszenia. Czyż możliwą jest rzeczą, aby pod wrażeniem chwili, pod wrażeniem marnego słowa, zarzutu czy trudności waliło się w gruzy to, cośmy zdobyli naszą pracą, modlitwą i łaską?

Święty Paweł, wielki i wspaniały umysł filozoficzny i teologiczny zostawił nam w swych cudownie pięknych i głębokich listach taki okrzyk, cały buchający ową potęgą konsekwencji we wierze: *Scio cui credidi et certus sum!* — *Wiem, komum zawierzył i pewien jestem!* W okrzyku tym Paweł zda się całą swą wiarę, dla której poświęcił wszystko i wszystko aż do ostatka, opierać na tym męskim, jasnym, wewnętrznym przekonaniu o jej nadziemskiej, nadprzyrodzonej pewności!

Cóż nam, słabym ludziom, przeszkadza iść Pawłowym śladem i w chwili pokus, słabości i trudności przeciw wierze świętej i najczcigodniejszej przyzywać i wskrzeszać w naszej świadomości akty niewzruszonej wiary pewnych chwil życia naszego z przeszłości, przyzywać i wskrzeszać niezłomną pewność i nieugięte przekonanie, że ona i ona jedynie jest prawdą przez Boga nam objawioną, która zwycięsko i tryumfalnie przetrwała próbę wieków, walk, ataków i prześladowań i błyszczy jak gwiazda zaranna — zawsze świeża, czysta promienna na firmamencie dziejów chrześcijaństwa.

To nie jest — powtórzmy z całym naciskiem za naszym autorem — to nie jest żaden bezkrytycyzm, ani żadna autosugestia. To jest jedynie i wyłącznie logiczna konsekwencja płynąca z tych trzech zasadniczych, fundamentalnych prawd wiary: 1) że Bóg istnieje, 2) że Jezus Chrystus jest Bogiem, 3) że Kościół katolicki jest Kościołem Chrystusowym, a papież nieomylnym stróżem wiary. Z tych prawd idą, płyną, snują się wszystkie bez wyjątku...

Niechże więc męska konsekwencja raz wreszcie zapanuje u nas w dziedzinie wiary. Niech hasło «Bądź konsekwentnym!» — złączy się w jedno z okrzykiem najgłębszego przekonania, najsilniejszej pewności: *Wiem komu zawierzył i pewien jestem*, a na takiej niewzruszonej podstawie łatwo już przyjdzie nam wznosić wyżej i wyżej granitowe mury chrześcijańskiej konsekwencji całej młodości, całego życia naszego.

4.

Bądź konsekwentnym!

Przypominam sobie drobne, ale charakterystyczne zdarzenie ze zjazdu naszego Związku w X.

Przezacny ks. moderator jednej z tamtejszych sodalicyj związkowych jak najserdeczniej zaprosił mnie do siebie w gościnę, oddał do dyspozycji własną pracownię i w wyszukany wprost sposób starał się umilić kilka dni mego u siebie pobytu. Na biurku miałem na zawołanie telefon, z którego jednak niemal nie korzystałem, nie znając nikogo w mieście. Aż raz, gdy zjazd powoli zbliżał się do końca, a ja po jednym z bardzo ożywionych zebrań sekcyjnych pozwoliłem sobie trochę wypocząć... trrr... trrr. Telefon.

— Czy ks. moderator N. w domu?

— Niestety, wyszedł. — A kto mówi?

— Jestem NN., matka jego sodalisa. Kto przy telefonie?

— Tu prezes Związku!

— Ach jak doskonale! Księżę prezesie przezacny miałam taką wielką prośbę do ks. N., ale widzę, że jeszcze lepiej trafiłam. Mam chłopca w sodalicy, jest w siódmej klasie. Należy do konsulty i nadzwyczajnie jest sodalicy oddany. Ale cóż z tego, gdy nie jest ani dobrym synem, ani bratem. Wiecznie się mi wymawia od obowiązków domowych, rodzinnych, bo — to zebranie ogólne, to sekcyjne, to posiedzenie konsulty. Wraca do domu bardzo późno, słuchać nie chce, z rodzeństwem młodszym sprzeczki i niezgoda. Ojciec się irytuje, powiada, że z tej sodalicy mały pożytek... Niechże ksiądz prezes coś powie na tym zjeździe, nakładzie im w uszy, że to przecież tak nie można! To przecież nie po sodalicyjnemu! Sama czytałam dokładnie ustawy księdza i wiem, że wyraźnie każe być dobrym synem i bratem przede wszystkim... Gdzież konsekwencja u tych sodalisów. No? Czy nie mam racji?

— Najzupełniej, szanowna pani! Serdecznie dziękuję za te uwagi. Co tylko będę mógł, powiem dziś na ten temat w dyskusji na zebraniu plenarnym...

Tak! Sodalisi drodzy — dziś po kilku latach od tej rozmowy z «matką sodalisa» rzucając wam to jej pytanie: «Gdzież konsekwencja»?

Rodzina i dom, rodzice, rodzeństwo i krewni i nawet służba domowa — to środowisko, w którym sodalisa obowiązują w sumieniu pierwsze po Bogu obowiązki. Tego żąda od niego ustawa sodalicy, cały jej duch, jej idea.

Sodalis — wzorowy syn, wzorowy brat, wzorowy członek rodziny, a potem dopiero wzorowy uczeń, kolega, członek organizacji.

I nic na świecie nie może zmienić tego porządku. Trudno i darmo!

Sprawa jest oczywista, jasna.

W dziesięciorgu Bożego przykazania Najwyższy Prawodawca świata i ludzkości na pierwszym miejscu wśród wszystkich ziemskich, społecznych obowiązków człowieka położył nakaz czci, miłości, posłuszeństwa dla rodziców. Któż lepiej, ściślej, gorliwiej ma spełnić rozkazy Boga, jak nie sodalis.

sługa Boży w szczególniejszym znaczeniu? Sodalis — wierny i wyborowy syn Bożego Kościoła?

A poza tym sodalis, najdobrowolniej w świecie zgłaszając się do sodalicji, od razu dostał w rękę jej ustawy. *Clara pacta!* Uznał te ustawy za swoje, rok lub dłużej badał je, próbował się... Wreszcie złożył śluby uroczyste, poważne, dojrzałe. Śluby na zachowanie wierne ustaw sodalicyjnych... A więc?

Powoli z uwagą i zastanowieniem odczytajmy teraz, mój drogi, wspólnie 19 paragraf naszych ustaw: *Sodalis... pilną a czynną uwagę zwróci na swe obowiązki rodzinne..., starając się być jak najlepszym, wzorowym synem dla swych rodziców, a kochającym, usłużnym bratem dla rodzeństwa, zwłaszcza młodszego od siebie, któremu zawsze będzie świecił dobrym przykładem...*

Przyznasz mi, że ów sodalis, ba! konsultor, może później nawet prefekt sodalicji z X., o którym telefonowała mi matka, nie był dobrym sodalisem, nie był sodalisem konsekwentnym!

5.

Nie szukamy w tych krótkich artykułkach odległych dziedzin dla naszej konsekwencji. Przeciwnie, znajdujemy je tuż obok nas, na każdym niemal kroku codziennego życia... w rodzinie, w szkole, w sodalicji...

Tym lepiej! Tym łatwiej pracować nam nieustannie nad urzeczywistnieniem naszego tegorocznego hasła.

I dziś chodźmy z nim do szkoły, przypatrzmy mu się na chwilę w naszym stosunku do uczenia się, jako przedmiotu szkolnego — religii katolickiej.

Sodalis — wybitny z natury rzeczy, oświecony i konsekwentny katolik, jest z przekonania i zamiłowania najlepszym uczniem w tym przedmiocie. Czyż może być inaczej?

Sodalis uczy się z konsekwencją swej religii pilnie i wzorowo, ponieważ ta «Boża wiedza» interesuje go szczerze i głęboko. On jest, on chce być naprawdę inteligentnym katolikiem, on chce znać swoją wiarę, on w życiu pragnie nieraz i innych o niej rzeczowo pouczyć, błędy sprostować, zarzuty odeprzeć, dogmaty uzasadnić. Chce więc poznać dokładnie cudowną historię swego Kościoła, której równej nie masz na świecie. Z uczuciem głębokiej czci bierze do ręki «Dogmatykę» — ona

księgę, która naprawdę ocieka krwią męczeńską, przelaną przez miliony za wiarę w głoszone tam prawdy, z rzetelnym szacunkiem wgłębia się w «Etykę», tę księgę, która od wieków rodziła i rodzi świętych, wychowanych i wyżywionych na jej najwznioślejszych zasadach i prawidłach katolickiej moralności.

Sodalis uczy się pracowicie i sumiennie religii, bo tę religię swoją serdecznie i szczerze kocha! Wiara dla niego to nie zabytek, to nie tradycja, obyczaj, ale to skarb i łaska Boża, to ideał życia, to umiłowanie najgorętsze. A jakże mógłby ją kochać — nie znając? Wiara dla niego to najdroższa spuścizna po tych trzydziestu pokoleniach praojców, dla których Chrystusowa religia była «drogą, prawdą i żywotem», to najdroższy klejnot dziejów narodu, który mu dał misję, potęgę, blask czasów złotych — a niezłomność i niezmożoność zadziwiającą czasu niewoli.

Sodalis uczy się wreszcie swej religii znakomicie, bo jego obowiązkiem jest pokazać i dać przykład kolegom niesodalitom, jak młody katolik poważa i miłuje swoją wiarę, jak ją ceni i na czele wszystkich przedmiotów w szkole z głębokiego przekonania stawia.

Czy w świetle tych uwag możesz sobie jeszcze wyobrazić sodalisa, który by w religii zdobył notę «dostateczną»?

Ja nie!

Chyba... chyba, że pisząc ją, dodaję w myśli dla niego ocenę inną: «w poczuciu konsekwencji — niedostateczny».

6.

Nie ma chyba w ciągu całego roku bardziej wymarzonego okresu do wykazania stałości zasad życiowych i konsekwencji we wprowadzaniu ich w czyn i praktykę, jak wakacje.

Jeśli gdzie, to tutaj sodalis może okazać się *trzcina chwiejącą się od wiatru* — albo — dębem nieugiętym, który wszystkimi korzeniami zagłębił się w podłoże ducha sodalicyjnego, a bujną, nieugiętą koroną dumnie strzelił ku niebu, czerpiąc zeń blask słońca i strumień ożywczej ulewy, a opierając się wichrom i piorunom nawałnic.

Czy jesteś konsekwentnym, czy będziesz konsekwentnym na wakacjach?

Przyjmij już dziś założenie, że według odpowiedzi na to

pytanie ocenisz twą wartość moralną, twój charakter i twoją «sodalicyjność».

Konieczność stalowej konsekwencji nasunie ci twój wakacyjny stosunek do Boga i Kościoła. Choćby nie wiem jaka zjawiała się przeszkoda — ty musisz odmówić codziennie ranny i wieczorny pacierz, tak ci bowiem każe twoja wiara i ustawa sodalicyjna. Choćby nie wiem co zaszło, ty musisz w niedzielę i święto uczestniczyć w całej mszy św. i według mszy układać projekty podróży, wycieczek, czy rozrywek — a nie odwrotnie... Posłuchaj!

Po całodniowej w pewną sobotę, od świtu do późnej nocy trwającej i męczącej wycieczce Janka w Tatry, całe ciało, każda kość, wszystko gwałtem krzyczało o wypoczynek... W wiosce podhalańskiej mały kościółek drewniany, przepelniony ludem... na dworze lipcowy upał... A przecież — a przecież zwłókl się chłopiec z łóżka, poszedł na długą, wiejską sumę do kościoła. Stał — ślaniając się po prostu ze zmęczenia, z książeczką do nabożeństwa na skwarze słonecznym przez całutkę sumę, całutkie kazanie... Ale wytrwał! Obowiązek spełnił do końca. Męską, wspaniałą okazał konsekwencję, o której nikt prócz Boga i rodziców nie wiedział!

Cóż chcesz? Był przecież sodalisem!

Tak i ty! I z niedzielnym obowiązkiem i z miesięczną, wakacyjną komunią świętą, sodalicyjną. Musisz być konsekwentny!

A stosunek do rodziców, rodzeństwa?

Przez cały rok szkolny brałeś z domu, może z uszczerbkiem wszystkich twoich, może z odjęciem od ust! Przyszły wakacje — jeśli masz poczucie honoru, jeśli masz odrobinę konsekwencji — oddaj, oddaj coś winien! Miłość za miłość, dar za dar, serce za serce. Pomagaj, ulżyj, pracuj, słuchaj, opiekuj się młodszym rodzeństwem. Bądź dobrym sodalisem-synem, sodalisem-bratem! Sposobności nigdy nie braknie.

Bądź konsekwentnym w towarzystwie! Ileż tu trzeba odwagi, stałości. Uważaj z kim się poznajesz, do kogo się zbliżasz. Uważaj na treść i ton rozmowy. To są rozmowy sodalisa! Uważaj na skromność i wstyd! Bądź żywym protestem przeciw bezwstydnemu dniu i nie lękaj się słowa ludzi słabych, może już zbłąkanych nieszczęśliwie. W oczy będą drwić z ciebie, w głębi duszy podziwiać twą odwagę cywilną i konsekwencję.

I jeszcze uważaj na pisma i książki, które sam brać będziesz do ręki, albo które ci będą inni usiłowali wsunąć, zachwalić. Uważaj na poziom zabaw i rozrywek, uważaj na dobre imię bliźniego i twej sodalicji...

Pamiętaj, drogi mój, że z wakacyj możesz wrócić, jak mocarz, co zwyciężał, albo... albo jako niewolnik, poraniony i skrepowany, który znów długi czas nowego roku szkolnego i mnóstwo wysiłku stracić musi na leczenie ran i zrywanie niebacznie zaciśniętych pętli i węzłów.

Co wybierzesz? Czyżbys wątpił choć na chwilę?

Wierzę i ufam, że będziesz konsekwentny i z jasnym czołem i radosnym sercem wrócisz w wrześnieowe dni do umiłowanej sodalicji twojej — wrócisz zwycięzcą!

1929/30.

IV.

BĄDŹ POBOŻNYM

1.

Oto wezwanie, które w tym roku Wydział Wykonawczy Związku na swym XVII posiedzeniu, w kwietniu 1930 w Warszawie uchwalił rzucić sodalicjom naszym, jako hasło całorocznej pracy.

BĄDŹ POBOŻNY!

Mam wrażenie, że na dźwięk tego właśnie hasła, niejednen z was, mili czytelnicy, doznaje trochę dziwnego wrażenia... Wrażenia, które zda się już... już graniczyć z pewną... jakby niechęcią... z pewnym zawodem.

«Bądź czystym» — «Bądź obowiązkowym» — «Bądź konsekwentnym» — trzy nakazy rzucane wam w ostatnim cztero-leciu ¹⁾ drgały nutą konkretną, pociągały jasnym, zrozumiałym przedmiotem walki i pracy. Bądź pobożny — to mimo wszystko, brzmi nam jakoś abstrakcyjnie i wygląda jakoś mglisto — ba! nawet pochmurnie!

Skąd to wrażenie?

Najpierw nie taję, że samo pojęcie pobożności dość trudne jest i dość złożone. My zaś z natury nie lubimy pojęć, których istotę trzeba mozolnie odszukiwać i badać. Powtóre,

¹⁾ Hasło «Bądź czysty» obowiązywało przez dwa lata.

dzięki tej właśnie swojej trudności, pojęcie to stosunkowo rzadko bywa wyjaśniane i określane w sposób przystępny, a pociągający, zwłaszcza młodych. Następnie — co znów z obydwóch poprzednich wynika, dla ludzi płytkich, powierzchownych, a cóż dopiero niechętnych, stało się ono niejednokrotnie przedmiotem zarzutów i docinków, nie mało od pobożności odstrasżających ¹⁾ — oczywiście jednostki na jej polu dopiero początkujące i jeszcze nie wyrobione. Dodajmy na koniec moment bynajmniej nie ostatecznego w praktyce znaczenia, że niestety wielu ludzi tak zwanych «pobożnych» przez swoje przedziwne istotnie niezrozumienie pobożności i rażącą niezgodę między teorią a praktyką, przez spaczenie i skrzywienie samej istoty pobożności i niepojęte nieraz dziwactwa, pełni z wytrwałością godną lepszej sprawy — rolę straszaków, które wielu, bardzo wielu, znowu w pierwszym rzędzie młodych, raz na zawsze do pobożności zrażają.

Przyznasz więc, kochany sodalisie, że Wydział Wykonawczy rzucił na ten rok hasło trudne i że na tego, który, jak ja w tym wypadku, chciałby je choć odrobinę wyjaśnić i młodzież naszą drogą do jego praktykowania zachęcić, spadło zadanie wcale nie łatwe. Idzie jednak o sprawę w sodalicjach tak zasadniczą, dla stosunku naszego do Boga tak doniosłą, dla wyrobienia duszy i zbawienia jej tak istotną, że mimo tych ogromnych trudności z ufnością w pomoc Bożą, z serdeczną gotowością usłużenia wam, acz nie bez lęku i obawy do tych szkiców, czy raczej przyjacielskich pogadanek o pobożności się zabieram.

Zabieram się zaś tym chętniej, że z doświadczenia wiem, jak wy młodzi lubicie, by ukazywać wam szlaki wysokie, jak w głębi dusz, mimo pewnej obawy przed wysiłkiem, chętnie przyjmujecie duże, nawet bardzo duże wymagania, jak wam to — i słusznie — pochlebia, że rzucając wam hasła trudne, z jednej strony okazujemy wam prawdziwe i szczere zaufanie, że ich nie zdradzicie, z drugiej zaś dajemy wyborną sposobność do wyładowania w najszczytniejszym trudzie tej bujnej, bogatej energii młodości, która, od Boga dana, jak dar bezcenny, w każdym z was wre i kipi i jak młody rumak, targa

¹⁾ Dość wspomnieć tak zgryźliwe nazwy, jak: pobożniś, świętoszek, bigot, dewot itp.

i gryzie wędzidło, by rwać w szerokie, otwarte, bezkresne, a słoneczne krainy wielkich ideałów i wielkich poczynań.

Na tym serdecznym przeświadczeniu wsparty, już z mniejszą obawą i mniejszym lękiem rzucam wam i sobie pytanie: Co to jest pobożność i jak ją zdobyć w życiu, spełniając nasze, zalecone hasło?

Pozwólcie jednak, że nawiązując do wstępnych uwag i ułatwiając zarazem ujęcie istoty zagadnienia, odwrócę pytanie i postawię je w formie: A czym pobożność na pewno nie jest?

Nie jest na pewno samym tylko odmawianiem długich pacierzy, ani nawet częstym przystępowaniem do świętych sakramentów; nie jest samym tylko wysiadymowaniem w kościele i «wysłuchiowaniem» po kilka mszy świętych; nie jest tylko częstym rozmawianiem o Bogu i sprawach religijnych, nie jest nawet ujmowaniem się za nimi i ich obroną; nie jest tylko praktykowaniem postów, ani rozczytywaniem się w nabożnych księgach... A nie jest dlatego, że to wszystko są, a raczej mogą być jedynie objawy pobożności, jej cechy, jej wykładniki, ale nigdy same przez się nie stanowią one istoty pobożności, jej najistotniejszej, wewnętrznej treści!

Powtórzmy więc nasze pytanie — Co to jest pobożność? I — odrzuciwszy wszystko, co wyżej, jako dla określenia jej istoty nieprzydatne, powiedzmy po prostu i jasno, że: pobożność to jest przeniknięcie całego życia naszego Bogiem!

Tak — powiecie mi — świetnie! Ale to już chyba szczyt, szczyt zawrotny, niebosiężny życia religijnego, to więc absolutnie nie dla nas. To wykluczone!

A ja wam odpowiem, że to życia religijnego i wiary i stosunku do Boga — podstawa.

I dlatego, moi drodzy przyjaciele, w nas samych i dookoła nas tak mało prawdziwej pobożności, że my najchętniej rzucamy się na jeden, czy drugi z jej objawów, odrywamy jedną z jej cech — jak gałązkę od pnia się czasem odrywa i dziwimy się potem, że gałązka nam uschła — a pobożności, jak nie było, tak nie ma.

Nie więdnących zatem gałązek nam trzeba, ale korzenia pobożności. Musimy go odkryć, musimy się doń dokopać. Musimy z korzeniem pobożność w życie nasze przesadzić, a wtedy urośnie w pień twardy i mocny, puści pędy i zielone latorośle,

i gałęzie, i konary... Oprze się burzom zwątpienia i gromom Bożych doświadczeń... I wyda owoc wyborny i znakomity, który nikogo nie zrazi cierpkością, ale nakarmi, orzeźwi, wzmocni nasze życie religijne, duchowe, i może nawet życie bliskich naszych, i uczyni z nas całych ludzi, całych chrześcijan i całych sodalisów.

Jak do tego dojść — zobaczymy za łaską Bożą nieco później.

2.

W gromadzie wesółych kolegów — pamiętam jak dziś — wracałem raz ze szkoły, z gimnazjum. Wśród nas, pierwszoklasistów znalazł się starszy kolega — «starszy», bo już z trzeciej klasy, który — oczywiście — pustą rozmowę pierwszaków chciał skierować na poważniejsze, naukowe tory i zaczął nam z dostojną miną «mądręgo» powtarzać dopiero co w gimnazjum słyszany wykład fizyki o ziemskiej atmosferze, z którego niezbitnie wynikało, że każdy człowiek dźwiga na sobie nie mniej i nie więcej, jak ciężar z górą 1.000 kilogramów powietrza, cisnący na górną powierzchnię jego ciała. Wiadomość ta, której początkowo nie chciałem wierzyć, wprawiała mnie oczywiście w zdumienie. Zdawało mi się, że lada chwila będę zdruzgotany, zmiażdżony i wprost czułem, jak mi coś dech zapiera... Niestety, ani ów mędrzec z trzeciej klasy, ni ja sam tym bardziej — nie wiedzieliśmy wówczas, że od niechybnej śmierci pod takim ciśnieniem zewnętrznym chroni nas cudowne ciśnienia powietrza wewnątrz nas samych się znajdujące, które działając wraz z bocznym w przeciwnym kierunku równoważy tamten olbrzymi ciężar...

Zdaje mi się, że coś podobnego jest z ową pobożnością istotną, o której przed miesiącem słyszeliśmy, że powinna przenikać do głębi całą naszą duszę i w ślad za tym całe życie.

Spędzamy je niewątpliwie pod olbrzymim ciśnieniem czysto ziemskiej atmosfery, doczesnych spraw materialnych, które po prostu zgniatają nas, wbijają w ziemię, jeśli, jeśli w duszy naszej nie zdołamy wytworzyć przeciwcisnienia, jeśli nie zdołamy przeniknąć jej istotną, rzetelną pobożnością.

Pójdźmyż krok dalej ku tej nieodzownej dla chrześcijanina, podstawowej cnocie i pytając o środki jej zdobycia, postawmy na pierwszym miejscu akt bardzo prosty i łatwy, który

określmy sobie jako pragnienie poświęcenia wszystkich naszych myśli, słów, czynów ludzkich Bogu.

Przy naszym rannym pacierzu — któryż *sodalis*, *p r a w d z i w y s o d a l i s* mógłby zapomnieć o pacierzu rannym i zacząć dzień bez Boga? — wzbudzimy to krótkie, jędrne postanowienie: cały mój dzień dzisiejszy pragnę spędzić dobrze na chwałę Bożą. Pragnę moją myślą, słowem, postępowaniem uczcić Boga, sprawić Mu zadowolenie.

O jakże przez taki prosty akt staną się naprawdę «pobożne» wszystkie czynności całego dnia. Nie idzie tu o to, by koniecznie i ciągle o tym wśród dnia pamiętać. Mimo zapomnienia, akt nasz wzbudzony rano działa. Działa tajemniczo, działa podświadomie, a przypomina się niechybnie chwili pokusy, chwili wahania i nie pozwala odstąpić od naszej zasady.

Tak właśnie pojmuje swoją pobożność św. Stanisław Kostka, uczeń jezuickiego gimnazjum, brat i kolega — jak każdy z nas. Tak pojmuje ją św. Teresa od Dzieciątka Jezus, która tak serdecznie pragnie zawsze coś czynić «pour plaisir de Dieu» — dla sprawienia radości, zadowolenia Bogu.

I któżby z was, *sodalisi* kochani, nie mógł w swej pobożności iść w ich ślady? Czy to wymaga wielkiego wysiłku, czy nadzwyczajnej cnoty? Ależ to rzecz odrobiny dobrej woli, odrobiny pamięci porannej — i już!

A skutki?

Sami zobaczycie i to prędko! Atmosfera zewnętrzna miazdząca w was na każdy dzień, bez żadnego oporu wszelkie duchowe wartości napotka teraz w duszy waszej owo błogosławione ciśnienie wewnętrzne, Boże, potężne, które oprze się tamtemu i stworzy w was zaczątki owej prawdziwej «pobożności», którą zdobyć macie w myśl hasła naszego w bieżącym roku pracy.

Obyście ją zdobyli śladem Stanisława świętego jak najprędzej i jak najgłębiej wkorzenili ją w młode dusze wasze!

3.

Od pierwszej chwili powrotu Janka ze szkoły poznała matka, że ma jakieś strapienie. Na pytania odpowiadał półsłówkami, przy stole jadł uderzająco mało, nawet ulubiona legumina nie znalazła w jego oczach uznania. Skarżył się na ból głowy i prosto od obiadu uciekł do swego pokoju. Z ciężkim

sercem usiadł przy studenckim stoliku, głowę wsparł na łokciach i raz jeszcze w myśli przeżywał smutne, poranne chwile.

Nie umiał historii... To nie ulega wątpliwości... nie umiał także fizyki... U profesorów wzbudził niechęć i wywołał zarzut lenistwa... kolegom dał zły przykład, nie przygotowując wczoraj zupełnie lekcji... A teraz sodalicja... Konferencja tak blisko... Jakież będą konsekwencje...?

Janek zapadał coraz głębiej w myśli i z jakiegokolwiek strony badał swoje dotychczasowe postępowanie, widział i czuł, że zawinił i że tak dalej stanowczo być nie powinno...

Zbawienne to było rozważanie i gdyby je częściej odbywał, nie byłby nigdy dopuścił do tak wielkich zaniedbań, jak te, które powtarzały się u niego już od kilku miesięcy...

Rozważanie...

Gdy czytamy lub słyszymy czasem o religijnym rozmyślaniu, zdaje nam się, że to sprawa bardzo nam obca i daleka, że to czynność ludzi wyłącznie oddanych służbie Bożej i kontemplacji, a równocześnie, nie wiedząc o tym, wcale często praktycznie dowodzimy, że przecież umiemy rozmyślać i rozważać i nieraz nawet z tych rozważań bardzo praktyczne wyprowadzać wnioski.

Bez kilku chociaż chwil rozmyślenia nie można dojść do prawdziwej, rzetelnej pobożności. I znowu, jeśli ona często u nas taka powierzchowna, słaba, anemiczna, bezbarwna, to w głównej mierze dlatego, że tak rzadko, tak bardzo rzadko płynie z poważnej myśli o Bogu, z głębszego zastanowienia się nad rzeczami Bożymi.

Znajdźmy od czasu do czasu małą chwilkę na takie właśnie rozmyślanie. Pomyślmy o Bogu, o naszym do Niego stosunku, o wartości naszego dotychczasowego życia religijnego. Pomyślmy o naszej obowiązkowości wobec Boga, o naszej wierze, miłości, o trwaniu w łasce, o owocności naszych praktyk religijnych, nade wszystko naszych częstych spowiedzi i komunij świętych. Pomyślmy po prostu o naszym osobistym stosunku do Pana Jezusa, o naszym nabożeństwie do Najświętszej Panny. Przy dobrej woli znajdzie się zawsze jakaś spokojniejsza chwila czasu, którą doskonale i bez wielkich trudności możemy wykorzystać w tym kierunku. Więc czasem przechodząc po południu koło kościoła, wstąpić na 10 minut takiego rozważania i to może najlepiej i najowocniej. In-

nym razem gdzieś, na samotnej przechadzce, to o szarej godzinie w naszej izdebce, to po wieczornym pacierzu. Może jakieś zdanie z niedzielnej egzorty uderzyło nas szczególnie... może z czytanej książki religijnej myśl jakaś utkwiała nam w sercu, w pamięci... Ileż koło niej osnuć można głębokich i świętych rozważań! W pobożność naszą wprowadźmy koniecznie niezbędny jej do życia czynnik refleksji, rozmyślenia. Wtedy i tylko wtedy pocnie ona naprawdę przenikać całe nasze życie i nigdy nie stanie się pustą, czczą formą, lecz wytryśnie źródłem niewyczerpanym prawdziwie religijnych, nadprzyrodzonych wartości.

4.

Zakopane, w styczniu 1931.

Drogi Stefku!

Bardzo serdecznie dziękuję Ci za list pisany do mnie w sam dzień Niepokalanego Poczęcia. Nie umiem powiedzieć Ci, jak się nim bardzo ucieszyłem. Prawda, że z niemalym współczuciem czytałem, na jak duże trudności napotkała w ten dzień Twoja spowiedź i komunია święta, ale one to właśnie były dla mnie źródłem najczystszej radości. Przedziwna to była zaiste wędrówka po Krakowie za Najświętszym Chlebem! I gdy pomyślę, żeś Ty, Żołnierzu mój Najmilszy, wypowiedawszy się u franciszkanów, obszedł 5 kościołów, by wreszcie dobrze już koło południa przyjąć komunię świętą, bo to dzień Niepokalanej, a nasza sodalicja wtedy ją zawsze przyjmuje, to jeszcze jaśniej i stokroć jaśniej rozumiem, co może zdziałać ta właśnie sodalicja dla stworzenia prawdziwej, głębokiej pobożności.

Pewno, że to łatwiej, milej i przyjemniej wysłuchać mszy żołnierskiej, a potem w odświętnym mundurze zażywać z kolegami wolnego przedpołudnia i tej odrobiny wytchnienia, o które tak trudno ponoć w Waszej twardej szkole podchorążych... Ale oto wspomina się drogi obowiązek sodalicyjny tylu lat na służbie Niepokalanej w gimnazjum spędzonych i idzie się szukać rozgrzeszenia i posiłku sakramentalnego, którego pragnie dusza.

Więc wybac, że odpisuję Ci dopiero na kartach drogiego miesięcznika, ale tak gorąco chciałbym Tobie i wszystkim na-

szym podkreślić tę konieczność pragnienia sakramentów świętych, których przyjęcie jest ostoją pobożności prawdziwej, a pragnienie wykładnikiem jej rzeczywistego stanu w naszej duszy.

Pragnienie sakramentów!

Właściwie bardzo łatwo ocenić w duszy jego stopień. Wystarczy, by każdy sodalis postawił sobie dwa pytania: co czuję w głębi serca, gdy mi je przyjdzie opuścić? I co gotów jestem uczynić, poświęcić, wycierpieć, by je przyjąć?

Obawiam się szczerze, że w naszych sodalicjach spory jeszcze będzie odsetek tych, którzy czytając ogłoszenie konsulty o nadchodzącej, miesięcznej spowiedzi i komunii świętej sodalicyjnej, tam właśnie w głębi duszy wyszeptują westchnienie: *Ach znowu!* To dusze, które jeszcze nie rozbudziły się do prawdziwej pobożności... Wiesz o tym, Stefku Kochany, ilu do naszej szkoły wyjątkowo przybywa stale z całej Polski nowych uczniów. Wśród nich spora garść chłopców z różnych gimnazjów i konwiktów katolickich. Wszędzie oni tam niemal z reguły przyjmowali święte sakramenta co tydzień, czasem co dzień nawet przystępowali do komunii świętej i to przez dwa, trzy lata. Odpada dawna szkoła, dawne środowisko, w tej samej chwili zanika u nich potrzeba sakramentów. Najspokojniej w świecie idą obowiązkowo trzy razy do roku i nie odczuwają żadnego głodu duchowego, żadnego braku...

Czy tam w duszy było kiedy prawdziwe zrozumienie sakramentów, prawdziwe odczucie ich potrzeby?

Gdzież rozwiązanie tej przedziwnej zagadki?

Sądzę, że tylko i jedynie w ich zapatrywaniu na życie wewnętrzne, na pobożność. Zwykły u naszych chłopców punkt widzenia — jakże płytki i powierzchowny — bywa ten: komunikuję i tak grzeszę! Komunikuję i nie czuję wzrostu duszy! Komunikuję i nie jestem lepszy!

Pomijam tu pytanie (niezmiernie ważne): ale, jak ty się spowiadasz i czy masz stałego kierownika duszy? Jak się gotujesz do komunii świętej i jak po niej odprawiasz dziękczynienie? Ale pytam po prostu: a kiedyż ty widzisz i czujesz, że rośniesz? Kiedy obserwujesz skutki walki twego organizmu z zarazkami, z chorobą, walki staczanej, zwycięsko, nieustannie dzięki codziennemu pokarmowi, którym wzmacniasz twe młodzieńcze ciało, twój organizm? Prawie, że nigdy! A jednak

rośniesz, a jednak zwyciężasz dziesiątki infekcyj, wymijasz dziesiątki chorób.

Tak. Nie widzisz łaski uświęcającej w tobie, a ona jest i rośnie. Nie widzisz skutków spowiedzi, a one są, nie widzisz owoców twych komunij, a one trwają i mnożą się nieustannie. Przestań, odwyknij, odsuń się od sakramentów na rok — zobaczysz, co się z tobą stanie. Oczywiście nie kieruję tych słów do Ciebie, mój Stefanie, bo doskonale wiem od szeregu lat, żeś zawsze inne w tej sprawie zajmował stanowisko.

Ale, gdy myślę o tym, chciałbym na cały głos wołać do wszystkich: Rozbudzajmy w sobie potężne pragnienie sakramentów! Wkładajmy w wyznanie win i potrzeb naszej duszy przed ukochanym jej ojcem i kierownikiem całe serce. Otwierajmy w komunii świętej Jezusowi-Hostii na oścież całą duszę. Nie umiejmy żyć bez sakramentów, a dożyjemy cudu. Dusza nasza zacznie rosnać i na skrzydłach wiary wznosić się coraz wyżej, zostawiając za sobą brud i grzechy ziemi. Zakosztujemy życia, o którym dziś jeszcze może nawet nie mamy pojęcia.

Wybacz, mój Drogi i Kochany, że taką i tutaj daję Ci odpowiedź na list, z którego zaczerpnąłem myśli do rozmowy z naszymi sodalisami, rozrzuconymi po całym kraju. Wiem, że mi tego za złe nie weźmiesz...

Życzę Ci, z serca, by ta święta radość, o której piszesz mi, iż nawiedziła Cię w ów dzień Marii po komunii świętej naprawdę żołnierskim szturmem zdobytej, by ta radość wielka, czysta, młodzieńcza była Twą cząstką przy każdej następnej komunii i weselem, którego nikt i nic na świecie odjąć Ci nie zdoła.

Żyj w Chrystusie, rośnij w duszy i bądź w każdej walce Twojej żołnierzem zwycięskim!

Matce Najmilszej Cię oddaję Drogi mój!

Twój Moderator.

5.

Jak wielu chłopców w życiu swoim duchownym napotyka na ogromne trudności w modlitwie!

Trudności te są najczęściej powodem ich zrażenia się do niej, a potem nawet i całkowitego zaniedbywania modlitwy. Zdaje się, że nie omijają one i naszych sodalisów, o ile oczywiście jakaś szczerólna łaska Boża — dar modlitwy, lub wy-

jątkowy wysiłek woli nie ratuje ich przed poddaniem się ich wpływowi.

Jeśli zaś zważymy, że ponad wszelką wątpliwość właśnie modlitwa jest aktem pierwszorzędnym pobożności, że jest jej posiłkiem, podstawą, duszą, to niebezpieczeństwo grożące nam z powodu owych trudności wzrośnie do groźnych wprost rozmiarów.

Gdy więc mówiąc o pobożności, nie podobna na boku zostawić kwestii modlitwy, pozwólcie, drodzy czytelnicy, że pomijając dziś znane nam już dobrze sprawy jej istoty, potrzeby, przymiotów, zajmę się wyłącznie tym, co nas najwięcej interesuje, a może i boli — i pomówię z wami o trudnościach naszej modlitwy.

Jedną z pierwszych i bodaj, że najważniejszych upatruję w tym, iż niemal żaden młody chłopak nie umie sobie dać rady z przystosowaniem treści modlitewnej swych pacierzy codziennych do istotnych potrzeb swej duszy; nie może sobie dać rady z pogodzeniem idącej w nim ciągle naprzód ewolucji duchowej z tradycyjnie niezmienną formą modlitwy. Przy ciągłej, szybkiej zmianie swej rozwijającej się gwałtownie osobowości, odczuwa znużenie, tkwiące w wieloletnim powtarzaniu zmechanizowanych już aż nadto wyrazów takiej nawet niepojęcie głębokiej Modlitwy Pańskiej, czy Anielskiego Pozdrowienia, czy choćby Litanii Loretańskiej. Przykucie myśli, uwagi, wyobraźni wiecznie żywej do martwych na pozór słów modlitwy — oto niewątpliwa trudność, niewątpliwe źródło zniechęcenia, czy nawet zrażenia się do codziennego pacierza, za którym idzie powoli jego opuszczanie coraz częściej i w coraz dłuższych okresach się powtarzające, aż może i kończące się zanikiem modlitwy rannej i wieczornej, co żadną miarą nie powinno zdarzać się u sodalisa Marii.

Czy na tę trudność istotnie nie ma rady?

Zobaczmy!

Nikt z was, drodzy moi sodalisi, nie zaprzeczy, że siłą faktu raz już, acz niemal niepostrzeżenie dokonał się proces ewolucyjny waszej modlitwy w formie i treści, a to wtedy, gdyście wychodzili z lat najwcześniejszego dzieciństwa, a wchodzili w lata chłopięce.

Małeńkiej dziecinie wystarczyły najzupełnie te nigdy

niezapomniane, przez ukochaną matkę wpojone pierwsze modlitewki, do dziś rozrzewniające nas swym dźwiękiem serdecznym, sielskim... anielskim...

*Do Ciebie Boziu rączki podnoszę,
O zdrowie mamy i taty proszę
I proszę także niech mnie od złego
Na każdym kroku Aniolki strzegą...*

I tej drugiej umiłowanej prośby dziecięcej:

*Aniele Stróžu mój!
Ty zawsze przy mnie stój,
Rano, wieczór, we dnie, w nocy,
Bądź mi zawsze ku pomocy!*

Słowa i tony, które przebrzmiały na zawszel. Od dawna, od bardzo dawna, tak się nie modlicie, prawda? Przyszedł czas dla solidniejszego pokarmu modlitewnego. Wtedy poczęła was matka powoli uczyć pacierza ludzi dorosłych. Był on dla was pewną nowością. Nie rozumieliście, rzecz oczywista, głębokiej treści «Ojcze nasz», ani «Zdrowaś», ani tym mniej «Wierzę w Boga», choć niewątpliwie niektóre zdania i prawdy, zwłaszcza wyjaśnione przez mądrą i roztropną matkę były wam przystępne i jasne. Boska prostota «Modlitwy Pańskiej» przy niezgłębionej wartości ideowej jest tu klasycznym przykładem. Ale powoli, przy braku wyrobienia duchowego i ascetycznego zaczęła się do tych co dzień w domu i szkole powtarzanych pacierzy wkradać groźna i niebezpieczna dla wszelkiej wzniosłości — nuda. A raz zakradłszy się, została i skaziła modlitwy wasze codzienne może na długie lata młodości.

Przyznacie mi chyba pełną rację i stwierdzicie ją szczerze waszym osobistym doświadczeniem.

I spytacie o radę, o pomoc, bo wy przecież chcielibyście umieć się modlić i modlić się z głębi duszy, z przejęciem się i oddaniem, z włożeniem w modlitwę własnej osobowości, własnego ja.

I o to cała rzecz idzie.

Trzeba pewnego wysiłku, ale nie będzie on wcale zbyt trudny, a owocny za to w najwyższym stopniu dla waszej duszy, dla waszej modlitwy.

Spróbujmy choć trochę modlić się rano i wieczór wła-

snymi myślami, własnymi uczuciami, własnymi słowami. Nasza modlitwa jednym słowem niech będzie nasza.

Budzisz się rano, robisz znak krzyża, jako pierwszą czynność na początku nowego dnia. Zerwawszy się z łóżka. załatwiasz sprawy umycia i ubrania, a zawsze w takim wymiarze czasu, by na pacierz zostało bezwzględnie wolnych i nietykalnych 3—5 minut. Uklękasz na obydwie kolana przed krzyżem czy obrazem Matki Najświętszej i zaczynasz modlitwę ranną. Czy ona nie mogła by na przykład tak wyglądać:

«Boże mój i Ojczy najlepší! Na początku nowego dnia oddaję Ci najgłębszy pokłon czci i uwielbienia z całą ziemią budzącą się do nowego życia. Dzięki Ci składam z głębi duszy za noc szczęśliwą i sen krzepiący, którego tylu ludzi chorych i cierpiących napróżno godzinami całymi wyglądało. Poświęcam Ci i oddaję cały ten dzień, pragnę go przeżyć i przepracować na Twoją, Boże, chwałę. Za nic w świecie nie chcę Cię obrazić żadnym grzechem, ale Ty wiesz, Panie, przenikający głębinę duszy mojej, jak bardzo dziś i zawsze zagraża mi ta pokusa... Wiesz, jak niebezpieczna dla mnie skłonność do tego... grzechu. Pragnę unikać doń wszelkiej sposobności, ale Ty, o Boże, udziel mi łaski, siły i światła, abym duszę moją od upadku uchronił. Polecam Ci szczególnie moje dzisiejsze zajęcia (egzamin, zdawkę, zadanie szkolne, zebranie sodalicji, mój referat, mój udział w dyskusji, rozgrywki sportowe mojej klasy, zbiórkę harcerskiego zastępu, posiedzenie samorządu klasowego...). Polecam Ci w końcu, Panie, moich drogich rodziców, moje rodzeństwo. Niech i dla nich, najbliższych moich ten dzień będzie dniem Twego błogosławieństwa. Pozwól mi, Panie, szczęśliwie dożyć wieczora i daj, abym przy końcu dnia był nie tylko o dzień jeden starszym, ale lepszym, miłszym Ci, jeszcze bardziej oddanym niż w tej chwili».

Teraz dodajesz na te wyżej wymienione i wzbudzone intencje serdeczniej już odmówione «Ojczy nasz», «Zdrowaś Mario» i «Wierzę w Boga» i twój ranny pacierz, naprawdę wartościowy, naprawdę, twój, osobisty, własny skończony! Anioł Stróż z radością poniósł go jako wonny dym kadzidła przed tron twego Pana i Stwórcy. Dzień zbożnie zaczęty, zbożnie ci upływać będzie i w życiu na pewne nie będzie stracony!

Na wzór modlitwy porannej, o której mówiliśmy w pierwszej części tej naszej pogadanki, każdy sodalis z łatwością

może sobie ułożyć własny pacierz wieczorny. I tutaj wkładając osobistą treść, osobiste potrzeby w modlitwę, włoży w nią własną myśl, serce, duszę...

Kłękając przeto znowu, u schyłku pracowitego dnia do swej rozmowy z Ojcem niebieskim, z jakąż prostotą próbuje ją oblec w taką mniej więcej formę:

«Boże mój i Panie! Oto kończy się znów jeden dzień mojego życia. Zacząłem go w imię Twoje i tak go też zakończyć pragnę, nim się udam na nocny spoczynek. Z całego serca dziękuję Ci za łaski i błogosławieństwa dziś z Twej ręki odebrane, szczególnie zaś za to... powodzenie... za tę... radość dzisiejszą. Spotkała mnie też dziś ta przykrość... upokorzenie... cierpienie... Przyjmuję je chętnie od Ciebie, Panie mój, jako pokutę za moje przewinienia tak liczne. I dziś się ich niestety nie wystrzegłem. Uległem jeszcze tej wadzie... i tej pokusie... Obraziłem Cię Panie Najwyższy (tu czynisz krótki przegląd dnia całego, rachunek sumienia z myśli, słów, czynów, zaniedbań obowiązków...). I znów okazałem się złym i niewdzięcznym względem Ciebie. Jakże jestem jeszcze słaby, ułomny... Racz mi przebaczyć Ojczy Najlepszy! Jutro z łaską Twoją chcę lepiej pracować nad sobą. Polecam Ci noc dzisiejszą, pozwól mi wypocząć uczciwie, bym z nowymi siłami jutro Ci służył i pełnił Twą świętą wolę».

I znów do tej szczerzej, własnej modlitwy dodajesz według życzenia «Ojczy nasz», «Zdrowaś», «Pod Twoją obronę», westchnienie za dusze zmarłych i twój serdeczny pacierz wieczorny skończony.

Nie lękaj się tylko układać w ten, czy podobny sposób twoje z Bogiem codzienne rozmowy. Choćbyś miał bardzo mało talentu w tym kierunku, możesz Mu dać myśli, uczucia, akty woli naprawdę bardzo wartościowe. A może... może zdołasz i w czasie mszy świętej stworzyć sobie czasem jedną lub drugą osobistą modlitwę, może potrafisz ułożyć sobie akty własne — te najcenniejsze — po przyjęciu świętej komunii...? Tylu ludzi zostawiło nam po sobie precudne modlitwy własne, by u nas tylko sodalisa i poetę Lucjana Rydla wymienić... Czemużbyś i ty nie mógł wlać w modlitwę cząstki samego siebie?

Zdaje mi się, że to, co dotąd tu powiedziałem, stanowi rdzeń zagadnienia trudności naszych modlitewnych, którym

poświęciłem ten obszerniejszy nieco artykuł. Wgłębienie się w te skromne uwagi, a przede wszystkim próba ich zastosowania praktycznego, niejednemu sodalisowi, z Bożą pomocą, przyniesie nie małą korzyść w tej dziedzinie.

Na zakończenie chciałbym dorzucić jeszcze dwa słowa.

Pismo święte, Duchem Bożym natchnione, zaleca nam wyraźnie przed modlitwą do Boga *przygotować swą duszę*. To ważne! Parę sekund zastanowienia się przed każdą czynnością przynosi naszemu działaniu niezmiernie wiele pożytku, cóż dopiero przed rozmową z Najwyższym Panem i Stwórcą naszym.

Do kogo mam przemawiać za chwilę? Kto ja jestem wobec Niego? Co chcę osiągnąć przez ten pacierz? Jak go odprawię? Oto garść zapytań. Skupieniu wewnętrznemu dają one bardzo wiele. Modlitwa idzie po nich już całkiem inaczej.

A wreszcie... wreszcie jeszcze strona zewnętrzna modlitwy.

Nie zdajemy często sobie sprawy, jak potężnie oddziaływa ona na wnętrze człowieka. Czy nie zauważyliście, że milej jakoś i radośniej płynie nam życie i praca w schludnym, sprzątniętym mieszkaniu, a przeciwnie w pokoju pełnym nieładów odczuwa się zawsze jakieś przygnębienie i rozdrażnienie duchowe. Na uprzątniętym stoliku łatwiej odrabia się lekcje i pisze zadania, aniżeli wśród stosów porozrzucanych książek, zeszytów, pudełek i kto wie, jakich jeszcze przedmiotów.

Tak! Nie darmo stare łacińskie przysłowie powiada: *Ordo est anima rerum tramesque ad Deum*¹⁾.

Otóż i modlitwa nasza koniecznie tego zewnętrznego porządku potrzebuje. I nigdy nie trzeba go się wstydzić!

Uklęknąć więc przyjdzie na obydwie kolana. Ręce złożyć pobożnie na piersiach, jak przepisuje liturgiczne prawo Kościoła, oczy podnieść na krzyż Chrystusa czy obraz Matki Najświętszej, wytrwać tak do końca pacierza, a i ten porządek pomoże nam odnaleźć duszę w modlitwie i na jej skrzydłach stanie się przewodnikiem do Boga.

1931.

¹⁾ Porządek jest duszą wszechrzeczy i ścieżką do Boga.

V.

BĄDŹ KARNYM

1.

Dziwne słowo i dziwne hasło!

Jedno z tych, co bardzo pociąga, imponuje i zarazem bardzo odstrasza.

Patrzcie tylko!

Ulicą miasta maszeruje zastęp harcerzy. Prężą się młode piersi, w takt uderzają nogi... raz — dwa, raz — dwa. Idzie, zdaje się, jeden człowiek. A wszystkich oczy zwrócone na komendanta. Jego skinienie rządzi gromadą — bez apelacji, bez zastrzeżeń. Wszak ślubowali! I radością pełną, serdeczną chlubą uśmiechają się przechodnie. Pociągają ich, cieszy ich, może entuzjazmuje k a r n o ś ć tej młodej drużyny.

Na błoniach ćwiczą żołnierze — kompanie i bataliony związają się i rozwijają w szeregi, węże i koliska. Na pierwszy rzut oka poznasz, czy karność panuje w ich pułku, w ich całej armii. Karność, która jest podstawą jej wartości, jej siły a nie-raz warunkiem zwycięstwa. I znowu ten duch k a r n o ś c i narodowego wojska raduje i cieszy każdego prawego syna ojczyzny.

Zdumienie i radość wywołuje w świecie k a r n o ś ć katolickiego Kościoła. Bezbronny, biały starzec na watykańskim wzgórzu jest największą potęgą duchową świata! Nie tylko dlatego, że moc swej powagi i władzy czerpie wprost od Boga, ale także dlatego, że rządzi największą na kuli ziemskiej, milionową armią, która zawisła na jego wargach i wsłuchała się w jego słowo, gotowa mienie, krew, życie ponieść w ofierze dla sprawy Chrystusa-Króla, na jego wezwanie.

I gdziekolwiek w świecie spostrzeżemy objawy karności, organizacyjnej, wojskowej, czy religijnej — wszędzie witamy je z niewątpliwym uznaniem, radością, chlubą.

Jakże odmienne, wprost odwrotne uczucia budzą się jednak w każdym niemal człowieku, gdy to on, on sam ma się stać tej karności — już nie widzimy tylko, ale przedmiotem. Jak wówczas ulatnia się najczęściej cały dla niej entuzjazm, opada pierś nabrzmiąta do niedawna poczuciem chlubą, myśl

marzy o wyłamaniu się, może ucieczce... Karność, ta sama podziwiana, uwielbiana karność — cięży, gniecie, gniewa, oburza...

Czemuż tak jest?

Odpowiedź prosta i łatwa, każdy ją sobie dopowie w duszy. Ale czy każdy z was, sodalisi drodzy, odkryje w swej duszy ten najistotniejszy powód naszego fałszywego ustosunkowania się do zagadnienia i hasła karności, powód, który leży w braku karności naszej osobistej, karności wewnętrznej, duchowej, bez której o prawdziwej karności ani mowy być nie może?

Jeśli sodalicja mariańska rzuca wam na ten rok i na całe niewątpliwie życie hasło: *Bądź karnym!* — to jaśniejsze nad słońce, że ma na myśli przede wszystkim i w pierwszym rzędzie tę karność osobistą, karność wewnętrzną, którą wyrobić w sobie — winno być dla was na prawdę punktem honoru młodzieńca, chrześcijanina, sodalisa.

Przyznać muszę, że praca to ciężka, trudna, wyczerpująca. Dotrzeć w nią bowiem trzeba do samych głębi, do samych korzeni natury skażonej, zanarchizowanej przez grzech pierworodny. Bóg bowiem stworzył pierwszego człowieka w całym tego słowa znaczeniu — karnym. Cudownie piękna i zachwycająca była ta hierarchia rajskiej karności.

Oto wszystko, co w człowieku zmysłowe i cielesne poddane było silnej, ku dobremu skłonnej, ale przecież zupełnie wolnej woli. Wola kornie poddana kierownictwu jasnego, oświeconego nadprzyrodzonym światłem wiary rozumu, a rozum bez zastrzeżeń, radośnie posłuszny Prawdzie i Prawu Bożemu. Nie było więc po prostu miejsca na niekarność. Karność była pierwszego człowieka radością, harmonią, szczęściem. W tę jasną krainę wtargnął jednak — wróg, wdarł się grzech. I w tej samej chwili prysnęła cała misterna budowa wewnętrznej karności Adama.

Rozum przyćmiony winą odwrócił się od Boga, a źródła prawdy i prawa począł szukać — o ironio — w samym sobie. Zmiarkowawszy to wola, wypowiedziała mu posłuszeństwo i poszła na oślep za podnietami ku fałszywym dobrom doczesnym. W tej samej chwili żądze i namiętności, jak dzikie bestie spuszczone z łańcucha, wypowiedziały służbę woli, rozumowi, Bogu i poczęły hulać i szaleć po swojemu.

Zginęła i przepadła cudowna, wewnętrzna karność ludzkiej istoty.

O jakąż szkoda, jaka strata, jaki żal!

Po wiekach przychodzi na ziemię Zbawiciel. Podejmując boskie dzieło naprawy rajskiej katastrofy, ma wprowadzić człowieka-anarchistę z powrotem na tory wiodące ku Bogu, ku celowi, ku szczęściu.

Z boskim artyzmem bierze więc w Swoje błogosławione ręce strzępy rajskiej tkaniny, rozplątuje porwane, skręcone włókna, odszukuje zblakane nitki, rozwiązuje skręcone supły, odtwarza dawne niebiańskie wzory i linie... Rekonstruuje, odradza, odbudowuje wewnętrzną karność człowieka!

Przywraca naczelną rolę rozumu, któremu zapala przejasne światło ewangelicznej Prawdy i Prawa...

Oslabłą, znędzniałą wolę wzmacnia precudownym ciksirem łaski, karmi i poi u sakramentalnych krynic, a potem wprowadza na władczą stolicę, pod którą teraz znowu legną poskromione, opanowane namiętności ciała i zmysłów.

W królestwie wewnętrznym człowieka po grzechowej anarchii — zapanuje teraz Boża «archia», zapanuje praworządność, a przynajmniej otwartą do niej będzie jasna, prosta droga...

Oto cudowne misterium naszej karności!

Jakże ukochany mój przyjacielu jest w twoim osobistym, wewnętrznym królestwie?

«Archia» — czy an-archia?

Karność, ład, harmonia — czy bunt, walka, rozdarcie wewnętrzne i nieustanna burza?

Oto pytanie, które rzucam ci w tej pierwszej naszej przyjacielskiej pogadance o karności!

Wierzę i wiem, że jej całą duszą pragniesz, że chcesz wprowadzić ją z powrotem w swoje wewnętrzne królestwo.

Nie lękaj się wysiłku! Oplaci on się stokrotnie. Od dziś rozpocznij z Jezusem, Mistrzem niezrównanym w tym dziele, odbudowanie twej duchowej karności. Nie odkładaj ani o dzień, ani o godzinę. Wzmacniaj się i bądź dzielny. Hasło nasze, drogie, męskie, sodalicyjne *Bądź karny!* — niech cię budzi o świcie krzepką, dźwięczną pobudką — niech ci po

karnym dniu brzmi w uszach słodką kołysanką odniesionych zwycięstw.

A zatem hasło nasze: *Bądź karnym!*

Odzew: *Będę!*

2.

W pierwszym numerze tegorocznym naszego miesięcznika starałem się, jak mogłem najlepiej, przedstawić wam, drodzy sodalisi, konieczność zdobycia w młodych latach karności wewnętrznej, którą w człowieku tak niemal doszczętnie zrujnował grzech pierworodny, a którą przywrócił w nim tak cudownie nasz Boski Zbawiciel.

Jego to dzieło mamy dalej prowadzić, Jego pracę uzupełnić i z Jego pomocą odbudować we wnętrzu swej duszy prawdziwą, męską i chrześcijańską karność.

Ale jak to uczynić, od czego zacząć?

Życie wewnętrzne człowieka — to życie rozumu, woli i serca. W tę potrójną dziedzinę mamy wprowadzić ład i porządek — mamy wprowadzić karność.

Karność rozumu?

Na czymże może polegać rola rozumu w tej całej sprawie?

Oto na zdobyciu, na umocnieniu, na wszczępieniu węń na zawsze głębokiego, wewnętrznego przekonania o potrzebie karności, o konieczności potępienia nieodwołalnie wszelkiej anarchii umysłowej, wszelkiego chaosu pojęć i zasad, bo stąd przecież płynie w następstwie anarchia woli i całego życia. A nic przecie na świecie tak nie wyrabia karności umysłu, jak wiara! Ona mu w imieniu najwyższego autorytetu Boga głosi konieczność poddania się i posłuchu, ona zabrania stanowczo tak powszechnego dziś mędrkowania i krytykowania wszystkiego i wszystkich, ale równocześnie, szanując jego naprawdę Boskie pochodzenie, żąda *rozumnego posłuszeństwa*, przytacza racje i dowody, legitymuje się sprawdzianami, tak, że każdy umysł niespaczony i nieskażony pychą z prawdziwym poczuciem karności jej prawdy i tajemnice przyjmuje.

Karność woli?

To jej chętnie poddanie się stale i zawsze zasadom przyjętym przez rozum. Stale i zawsze! Nie czasem, nie pod wpływem chwilowych, choćby najszlachetniejszych wrażeń, porywów, pobudek. To łatwość, to szczerza chęć słuchania połą-

czona z tym serdecznym zaufaniem, że tak zawsze najlepiej, najpewniej, najszcześliwiej. To wreszcie siła woli nabywana mozolnie i żmudnie w codziennym, karnym trudzie, w codziennym spełnianiu cenionego nade wszystko prawa Bożego i moralnego obowiązku.

Karność serca?

Czy to nie dziwne o niej mówić i jej wymagać? A przecież serce niekarne może stać się najokropniejszym tyranem człowieka, albo przeciwnie zrobić zeń niedołęgę-marzyciela i uczuciowca, niezdolnego do żadnego wysiłku. Więc i serce musi być karne! Uczucia, bez których życie byłoby szare i bezbarwne, muszą jednak w pełnym i wartościowym charakterze ludzkim być poddane rozumowi i woli. Bynajmniej nie aż do zimnego wyrachowania czy stalowego uporów, bo to by je zabiło, ale do skierowania ich we właściwe łożysko, do jasnego określenia ich roli, która powinna zgadzać się ze szlachetnym, wykształconym rozumem, z wyrobioną moralnie, silną i uczciwą wolą.

Czy w tych trzech dziedzinach duszy panuje u ciebie karność?

A jeśli to pytanie dla młodego zbyt daleko idące, to pytam przynajmniej, co już uczyniłeś w życiu, aby tę karność choć w części urzeczywistnić?

Jaki twój pogląd osobisty, wewnętrzny, jakie twoje przekonanie o istotnej wartości wiary? Jak odnosisz się w głębi duszy do jej prawd, do jej tajemnic, czy i w jakim stopniu o nie oparłeś początki twych zasad, które tylko w łączności z nią mogą z czasem stać się naprawdę kierownicze i nieugięte?

Jaki stosunek twej woli do prawd i zasad rozumu? Czy ona stale ich słucha, czy czasem tylko, czy najczęściej wyłamuje się spod ich autorytetu i puszcza się samopas na drogi rozbicia, błędu, namiętności?

A wreszcie serce! Czy zdajesz sobie sprawę z wartości uczuć, czy je kształcisz, uszlachetniasz, uzgadniasz w miarę możliwości z głosem rozumu i potęgą zdecydowanej woli?

Karność wewnętrzna — to najcudniejsza, Boża harmonia duszy. Obyś ją zdobył, posiadał, zatrzymał na całe życie, na zawsze.

Słowo teraz o karności zewnętrznej.

Może ona być niewątpliwie godną i niegodną człowieka.

Tam, gdzie przed nim staje prawo, przepis, czy rozkaz, a obok groźba kary i ta jedynie decyduje o karnym wypełnieniu prawa — tam oczywiście mowy nie ma i być nie może o posłuchu odpowiadającym jego godności. Będzie słuchał, jak tresowany biczem zwierz, będzie słuchał, bo musi, ale wewnątrz jego pozostanie niekarnym, może nawet buntowniczo wobec prawa usposobionym.

Taką karność wykluczmy z góry z naszych rozumowań i uwag.

Ale jest karność zewnętrzna, która się na wewnętrznej opiera i buduje. Karność płynąca z głębokiego zrozumienia istoty i potrzeby prawa, karność wynikająca ze zrozumienia istoty i potrzeby karności samej i ta nie tylko nie uwłacza człowiekowi, lecz przeciwnie wyrabia go i podnosi.

Dlatego w wyrabianiu w sobie poczucia karności jest niezmiernie ważną rzeczą stałe uświadomienie, stosowane w każdym poszczególnym wypadku, zastosowania się do prawa, które potem powoli staje się jakby zbawiennym i szlachetnym przyzwyczajeniem człowieka, staje się c n o t ą k a r n o ś c i.

O taką cnotę mamy się starać właśnie w tym roku! O niej to mówi nasze hasło związkowe.

Jakże sympatyczny typ chłopca, ucznia sodalisa — przedstawia tak pojmujący karność młodzieniec!

Rozumiejąc doskonale potrzebę karności w rodzinie, szkole, organizacji i w całym społeczeństwie — poddaje się, ulega, słucha, z wewnętrznego, głębokiego przekonania. Przez takie zaś stanowisko wyrabia się wewnątrz, duchowo za każdym poszczególnym wypadkiem. Na możliwy ze strony płytkich i powierzchownych rówieśników zarzut «serwilizmu» ma zawsze gotową i przekonującą, bo na osobistym i szczerym przekonaniu opartą odpowiedź. Jest prawdziwą ostoją ładu społecznego wszędzie, gdzie się znajduje i pracuje, i jest promiennym, dobrym przykładem i dowodem, jak można rozwijać bez najmniejszej szkody swą własną indywidualność, poddając się ochnie spełnianiu nawet najcięższego prawa.

Dewizą jego w życiu obywatelskim w przyszłości będzie rzymska maksyma: *Dura lex sed lex* (twarde prawo — ale prawo), a w ślad za poczuciem męskiej karności pójdzie u niego wysokie poczucie obowiązku, obywatelskiej służby, wierności prawom Kościoła i państwa...

Obyśmy takiej karności doczekali jak najwięcej w naszych sodalicyjnych szeregach!

3.

W ostatniej wiązance uwag pozostaje nam wspomnieć jeszcze słowem o naszej karności organizacyjnej.

Sodalicja mariańska zrodzona w czasie gigantycznych zmagania się Kościoła z herezjami, powstała w łonie zakonu, stworzonego przez rycerza i rycerską rządzonego karnością, od samego początku zwała się mariańskim rycerstwem i słusznie się tą nazwą i tym duchem chlubiła.

Dlatego sodalicja bez karności po prostu nie może istnieć!

Cały jej ustrój domaga się karności, wszystkie nakazy jej ustawy są nakazami karnej armii, całe jej życie, cała owocność jej działania w dużej mierze od poziomu karności zależy.

Członek sodalicyj nie może mieć zostawionym sobie do woli, czy zechce przyjść na zebranie, nabożeństwo, spełnić tę czy ową praktykę religijną. On to spełnić musi! Musi, bo od pierwszej chwili przybycia do sodalicyj powiedziano mu o tym jasno i uczciwie, dano w rękę statut, zostawiono rok czasu do obserwacji i próby. Ale gdy złożył ślubowanie swoje świadomie i dobrowolnie, musi słuchać i musi być karnym, chyba, że mimo wszystko, buntując się przeciw temu, co raz uznał za drogie dla siebie, święte i pożądane, zdecyduje się szeregi sodalicyjne porzucić.

Oto dlaczego w sodalicyj musi obowiązywać karność!

Karność wobec statutu, ks. moderatora i jego zarządzeń, konsulty i jej uchwał.

Jeśli zdarza się, że sodalicja jakaś powoli chyli się ku upadkowi, to w przeważnej części dla zaniku karności. Nic tak nie zabija organizacji, jak lekceważenie.

Dlatego sodalicja, starając się ze wszystkich sił o utrzymanie karności organizacyjnej, musi bezwzględnie przestrzegać następujących warunków:

Przyjmować członków ostrożnie i jeszcze ostrożniej dopuszczać ich do ślubowania.

Położyć główny nacisk na wyrobienie wewnętrznych wartości swych ludzi i nigdy nie dać się ściągnąć na manowce sodalicyjne czystą zewnętrżnością formy bez ducha.

Wybierać do zarządu członków prawdziwie wartościowych, dobrych uczniów, chłopców z charakterem i gorąco do idei sodalicyjnej przywiązanych.

Prowadzić bardzo ścisłą kontrolę wszystkich obowiązków sodalicyjnych, żądać przez «klasowych» konsultorów szczerego usprawiedliwienia każdej nieobecności, każdego zaniedbania.

Stosować rozumnie, ale stanowczo kary przewidziane statutem aż do wykreślenia tych, co nam karność psują swoim do sodalicyjki stosunkiem.

Te zasady postępowania bardzo wydatnie przyczynią się w każdej sodalicyjki do wprowadzenia ducha karności, porządku i posłuchu, które też, jak wspomniałem, nieraz w znacznej mierze będzie decydował o jej wewnętrznej wartości, spoistości i sile.

1931/2.

VI.

BĄDŹ MIŁOSIERNYM

Takie hasło na nowy rok ¹⁾ pracy sodalicyjnej projektuje Wydział Wykonawczy Związku i nie wątpi, że na zjeździe w Gostyniu znajdzie ono pełną aprobatę księży moderatorów i delegatów naszych sodalicyjki. Wzmagająca się fala niedostatku, bezrobocia i ekonomicznego zastoju dosięga dziś już wszystkich rodzin, a przez nie wciska się i do szkół naszych i organizacyj młodzieży. Z drugiej strony jako uświadomieni głęboko i prawdziwie chrześcijanie-katolicy zdajemy sobie sprawę, że mało która z cnót tak wyraźnie, tak dobitnie jest nam nakazana przez Boga, jak cnota miłosierdzia, która w Piśmie Świętym obydwóch Testamentów zdobyła dla siebie przesłiczne, wzruszające wprost słowa, przypowieści, obrazy. A chociaż jesteśmy nieraz świadkami cudów bohaterstwa w jej dziedzinie, to przecież musimy przyznać, że jeszcze szerokie koła społeczeństwa i młodzieży, wzrastającej w atmosferze wojennego materializmu i samolubstwa nie zdołały jakoś do głębi przejąć się jej nakazami. Dlatego na cały rok pracy so-

¹⁾ 1932/3.

dalicyjnej rzucamy hasło: Bądź miłosierny! Niech każdy z was, jako jednostka i niech każda sodalicja, jako społeczność promieniuje wokoło siebie tę właśnie cnotę, niech ociera łzę nędzy, podaje rękę ubóstwu, krzepi zwątpienie i rozpacz! Z pomocą Boga i Matki naszej, Matki Miłosierdzia, niech zapłoną ogniska tej Boskiej, Jezusowej cnoty w setkach sodalicj naszych i niech od nich rozgrzeje się dużo, dużo serc naszych bliźnich i braci w Chrystusie i Polsce ¹⁾.

1932.

VII.

BĄDŹ PRACOWITYM

1.

SODALIS — CZŁOWIEKIEM PRACY

Oto idea, która przyświecała nam w wyborze tegorocznego hasła.

Podnoście oczy wasze a przypatrzcie się krainom, że już białe są ku żniwu (Jan 4, 35) — tak mówił Chrystus Pan do Swych pracowników-apostołów i tak zdaje się przemawiać dziś do synów i sodalisów Swej Matki Najświętszej, więc jakoby do Swych braci.

Istotnie, cóż za bezmierne łany pracy przed nami!

We własnej duszy tyle nam trzeba wypracować dobrego, cnoty, nieugiętych zasad, niezniszczalnych wartości charakteru. Życia by brakło, by zrobić z siebie *męża doskonałego* — *virum perfectum*, jak tego domaga się wielki święty Paweł.

W tejsze dziedzinie duchowej czekają na nas całe bezmiary pracy naukowej. Sodalis powinien niewątpliwie więcej wiedzieć i umieć od niesodalisa! Czyż nie ciąży na nim większe i poważniejsze obowiązki? Czyż nie ma być apostołem, obrońcą wiary, kierownikiem pracy społecznej katolickiej w przyszłości — ileż mu do tego potrzeba rzetelnego, solidnego wykształcenia, które trudem i znojem na ławie szkolnej winien zdoby-

¹⁾ Ten krótki apel zamieściłem dlatego, aby wśród artykułów na temat haseł pracy nie brakło wzmianki o miłosierdziu. Obszerniej sam na ten temat nie pisałem, otrzymałszy artykuł od jednego z sodalisów.

wać, lekturą i studium prywatnym uzupełniać i pogłębiać — a ileż to kosztuje znów tej pracy, którą wam dziś głosimy!

Sodalis powinien zapoznać się w miarę możliwości i z pracą fizyczną. Niemal każdy będzie miał do niej sposobność w domu rodzinnym. Ta, czy inna pomoc rodzicom w pracach gospodarczych, pomoc rodzeństwu, może i służbie — dostarczy mu pracy, która wśród zajęć umysłowych będzie i rozrywką i zasługą, a nauczy cenić tych, co całe życie fizycznie się znoją dla naszego utrzymania, zdrowia, wygody.

Pozostaje w końcu praca organizacyjna. Ta nie każdemu w równej mierze się dostaje. Najbardziej obarcza członków zarządu sodalicyj czy innego zrzeszenia młodzieży, w którym piastują godności naczelne, ale współpraca z nimi, sumienność w spełnianiu obowiązków sodalicyjnych, punktualność, gotowość na każde zawołanie ks. moderatora czy konsulty — to wszystko praca organizacyjna, którą uczciwie i wiernie spełniać — znaczy urzeczywistniać nasze piękne i wzniosłe tegoroczne hasło: *Bądź pracowitym!*

Oby Jezus-Młodzieniec — wzór i miłośnik pracy raczył w tych wysiłkach być naszym wzorem, pomocnikiem i mistrzem!

2.

ON PRACOWAŁ!

Radosną to jest rzeczą, że obierając w tym roku usilną pracę jako naczelną ideę całej działalności naszych sodalicyj, w św. Stanisławie znaleźć możemy tak pociągający i wspólniały wzór i przykład.

Wśród cnót, którymi wypełnił swój krótki, ziemski żywot, niezmordowana, serdeczna praca zajmuje przecież jedno z pierwszych miejsc.

Jak i nad czym pracował?

Najpierw nad sobą, nad swoją młodą duszą. Czyż bowiem bez tej wytężonej, codziennej pracy byłby został świętym? Nieustanny wysiłek o zachowanie nienaruszonej łaski uświęcającej, nieskalanej czystości duszy, zdobycie daru modlitwy, poczucia obecności Bożej — oto szlaki promienne, na których hartowała się jego wola, wyrabiał się charakter, wzbogacała się nieustannie dusza.

Pracował nad swym wykształceniem. Nie dał mu Bóg wybitnych zdolności. Przeciwnie. Nauka szła mu trudno. A jeśli dawał sobie jakoś radę w zdobywaniu elementarnej wiedzy pod rodzicielskim dachem, to cóż mówić o spiętrzonych trudnościach w jezuickim kolegium w Wiedniu, gdzie wymagania były wysokie, a obcość nauczycieli i kolegów, mimo międzynarodowej łaciny, jako języka wykładowego, sporo musiała naszemu Stachowi przysparzać kłopotów! A przecież. Nieustanną pracą, osobistym, rzetelnym wysiłkiem wybił się na jedno z pierwszych miejsc w swej klasie i dowodnie wykazał olbrzymią wartość i znaczenie sumiennej pracy szkolnej.

Nie była mu też obcą praca fizyczna. Oszczędzono mu jej w domu i w Wiedniu — oczywiście, ale w zakonnym nowicjacie widzimy go całymi tygodniami z miotłą w ręku na klasztornych krużgankach, to znów ze ścierką schylonego nad pomywaniem naczyń w kuchni, to wreszcie z naręczem drewna na nieprzywykłych do tej pracy ramionach... Pogodny, uprzejmy, nieznużony nawołuje i nas ten święty nowicjusz do pomocy w pracy fizycznej, zwłaszcza w rodzinnym domu, gdzie do niej nieraz nadarza się sposobność...

I jeszcze w żywocie jego znajdujemy ślady pracy organizacyjnej, należał bowiem, jak twierdzą jego biografowie, do religijnego kółka, jakoby przyszej sodalicji mariańskiej i zapewne był jego gorliwym i oddanym członkiem...

Bierzmy go więc za wzór, za pomocnika i druha szczerego w naszej poczwórnej pracy tegorocznej. Może nam w niej nieraz ciężko — nie było w niej lekko i jemu, ale mocy, energii szukał w modlitwie, w częstej komunii świętej i zawsze ją znajdował. Idźmy jego śladem i wyteźmy wszystkie siły, aby cały ten rok szkolny, był rokiem pracy rzetelnej, zbożnej, owocnej... pracy Stanisławowej!

1933/4.

VIII.

KIERUJ SIĘ W ŻYCIU PRAWDĄ!

1.

Jaka to uderzająca i niesłychanie głęboka rzecz, iż u źródeł pierwszego upadku moralnego ludzkości zjawia się duch kłamstwa!

— Nie wierzcie Bogu! — przemawia kusiciel do pierwszych rodziców — On oszukuje!...

— Patrzcie! On drży o Swoje władztwo, On ukrywa przed wami prawdę, On was straszy, grozi wam, bo lęka się, by drzewo wiadomości dobrego i złego, którego najpyszniejsze owoce tak wspaniale tu błyszczą przed wami, nie uczyniło was równych Jemu samemu...

— O naiwni! O dziecięcy prostaczkowie! Ściągnijcie rękę waszą, skosztujcie zakazanego wam owocu, *a będziecie jako bogowie*, będziecie równi Jemu samemu, sami sobie stwarzając i pełną naukę prawdy i pełną, autonomiczną moralność...

I kłamca zwyciężył!

Uwiódł... namówił...

Katastrofa, która przyszła, była strasliwym przejrzeniem, ale zaród kłamstwa wszczepiony raz, pozostał już na wieki i wszystkimi mackami przywarł do duszy ludzkiej i wkorzenił się w nią tak głęboko, że nawet łaska chrztu, nawet duże wyrobienie moralne ze szczerem go czasem usunąć nie zdołają.

Czyż nie widzimy dziś niestety powszechnego królowania kłamstwa?

Cóż to za tragedia ludzkich dusz, zwłaszcza dusz młodych!

Jak się paczą i krzywią, jak wędną i obumierają w tej okropnej, zatrutej atmosferze!

Wspomnijcie tylko kłamstwo w rodzinie... wobec ojca i matki... tych najbliższych naszych! Wspomnijcie kłamstwo w szkole, tego codziennego, zasiedziałego gościa naszych sal szkolnych, rozpierającego się w nich, jak u siebie w domu, w tych wykrętach i usprawiedliwieniach, w podpowiadaniach i ściąganiach, w niezliczonych podstępach szkolnych, o najgorszym z nich — o hipokryzji i obłudzie — już nie mówiąc...

A kłamstwo w życiu koleżeńskim i towarzyskim i organizacyjnym — ta nasza studencka blaga... to niesłychane bujanie, kogo i gdzie się tylko da...

No — a na szerokiej arenie życia — w polityce i dyplomacji, w literaturze i prasie, w przemyśle i handlu, we wszelkich stosunkach ludzi między sobą...

Obraz to ciemny, straszny, tragiczny, ale nieprzesadzony chyba? Nieprawdaż?

Jeśli kiedyś mówiono, a i dziś się ponoś to powtarza, iż według łacińskiego aforyzmu — *homo homini lupus* — to z całą słuszością, można by zmieniając go nieco, powiedzieć — *homo homini mendax*¹⁾!

I cóż to za szaleńcy, którzy dziś mają odwagę rzucić młodym szeregom sodalicyjnym jasne, słoneczne i rycerskie hasło — Kieruj się w życiu prawdą!?

Cóż to za szaleńcy — pytam?

To my!

Spod błękitnych sztandarów mariańscy rycerze!

Mamy tę odwagę i mamy to szaleństwo Boże!

Idziemy w tym roku całą falangą naszą na służbę Prawdy! Idziemy wszyscy, choćby nam, nie wiem jak ciężko było. Idziemy śmiało, odważnie i prosto! Wsparci łaską Bożą, wpatrzeni w słońce odwiecznej Prawdy, idziemy walczyć z duchem kłamstwa we własnych duszach wpierw, a potem w duszach braci naszej młodej i ufamy, że nam w tej wielkiej i ciężkiej walce poszczęści Bóg i Niepokalana!

1934.

2.

Dlaczego nie: Bądź prawdomównym — jak to, dotąd zwykle brzmiało?

Dlaczego nie: Mów prawdę, unikaj kłamstwa?

Bo to wszystko za mało!

W dzisiejszych czasach trzeba nam czegoś więcej. Żyjemy przecież w epoce dziwnej nieszczerości, fałszu, zakłamania. Niestety — ale niemal każda dziedzina życia stała się podobną do sceny, na której działają i mówią ludzie «ucharakteryzo-

¹⁾ Człowiek człowiekowi wilkiem — człowiek człowiekowi kłamcą.

wani». Każdy stara się usilnie osłonić i ukryć swoje istotne «ja» — i gra!

Gra w domu, w szkole, w towarzystwie, gra słowem, miną, gestem, obejściem całym. Stąd ta ogromna nieufność i podejrzliwość wśród ludzi, nawet wśród nas młodych... Skarga: dziś nikomu wierzyć już nie można — zesłała do najmłodszych i zrodziła w nich przedwczesną gorycz pesymizmu, zniechęcenia, zawodu...

Dlatego my sodalisi rzucamy hasło jasne, otwarte, szczerze: **Kieruj się w życiu prawdą!**

Prawdą w myśleniu uczciwym i jasnym, bez sofistycznych wykrętów i przeskoków...

Prawdą w mowie: tak, tak — nie, nie, bez trującej na dnie każdego zdania blagi.

Prawdą w czynie, w postępowaniu chrześcijańskim, męskim, rycerskim i honorowym wobec wyższych i niższych, przyjaciół i wrogów, swoich i obcych.

Kieruj się prawdą!

I nie wierz ani na chwilę, że przez to stracisz! Choćbyś drobną, doraźną poniósł szkodę — twoja istotna wartość moralna, twój charakter, jak prawda kryształowy i jak prawda niezłomny, zyskają ci uznanie i cześć wszystkich szlachetnych ludzi — o innych wszak dbać nie będziesz.

A gdybyś i dużo znieść i ścierpieć musiał dla prawdy — to pomnij, że w tej samej chwili otoczą cię niezliczone, wielkie duchy męczenników prawdy, najlepszych, najszlachetniejszych z synów ludzkich i słodko przyjmą cię w swe przejaskne grono i nazwą cię swoim druhem, rycerzem bez skazy i prawdy majestatu sługą i wyznawcą. I już ci nigdy żal nie będzie, iż się pracował, walczył i cierpiał, by się kierować w życiu młodym, w życiu całym prawdą!

1934.

PRAWDA WAS WYSWOBODZI...

(Jan VIII 32)

Oto w portyku Salomonowej świątyni rozprawa się toczy między Boskim Nauczycielem Prawdy — a nauczycielami błędu, faryzeuszami.

W lotnym, genialnym umyśle swoim notuje ją Jan apostoł, by potem ludzkiej pamięci ją przekazać na kartach swej nieśmiertelnej Ewangelii...

Wspaniała to rozprawa i wspaniały ten ósmy rozdział Janowy...

Jezus staje przed nami jako Mistrz Prawdy. Blask bije z Jego Boskiej postaci, a na ustach zjawiają się słowa — mające w sobie światłość błyskawicy a moc gromu...

Poznacie prawdę, a prawda was wyzwolodzi!

Boża Prawda głoszona ustami Jezusa przynosi światu, ludzkości wyzwolenie z niewoli pierworodnego grzechu, z niewoli szatana, upadków i namiętności — i daje tak przez człowieka upragnioną od wieków i na wieki — wolność.

Wolność, której każdy pożąda, a każdy na swój sposób. Inaczej dziecię, inaczej młodzieniec, inaczej mąż dojrzały — ale nie masz na ziemi duszy ludzkiej, która by się do wolności nie rwała.

A jednak — któż zaprzeczy — mimo tylu wysiłków, tylu ofiar, mimo rzek całych przelanej krwi — wolności w duszach, w społeczeństwach tak mało!

Jakieś straszliwe nieporozumienie wplątało się w umysły, poglądy, instytucje ludzkie i niemi swoimi, jak pajęczyną omotało wolność...

A czy takie nieporozumienie tragiczne, w swoistym zakresie oczywiście, nie oplątało także każdej duszy, która służy kłamstwu i kłamstwem się posługuje?

Istotnie!

Człowiek, który kłamie, pragnie się zwykle oswobodzić od konsekwencji, jakimi grozi mu Prawda. Zbłąkany w myśli, uczuciem szuka drogi najłatwiejszej z sytuacji, która mu się wydaje, a może nawet i jest w rzeczywistości, trudną, niemiłą, niebezpieczną. I uwolnienie od niej widzi w kłamstwie. Wszak ono jest mu tak wygodne, tak bliskie, tuż pod ręką, niemal się mu samo wprasza z usługą. Droga łatwa!

Ah, czy i tego znów nie mówił kiedyś Chrystus? *Prze-stronna jest droga, która wiedzie na zatracenie, a wielu jest, którzy przez nią wchodzą* (Mat. 7, 13).

A czyż brama szeroka i przestronna droga oglądały kiedy prawdziwie wybitne i wartościowe jednostki? Czy rodziły się na nich wielkie, wybitne charaktery?

Czy więc «łatwa droga» kłamstwa może zgodzić się z prawdziwą, moralną wartością człowieka, młodzieńca, sodalisa?

Młodym pragnienie wolności i swobody wrodzone jest w stopniu bardzo wysokim... I może dlatego właśnie w jakiejś tragicznej pomyłce tak często szukają ich tam, gdzie czai się największa niewola — w kłamstwie!

Szukajmy tedy wolności synów Bożych!

Tegorocznym hasłem naszym: «Kieruj się w życiu prawdą»! Szukajmy wąskich i trudnych, ale świetlistych szlaków Prawdy. Nitka po nitce, wytrwale, cierpliwie, odważnie zrywajmy pajęczynę fałszu, kłamstwa, które omtać chcą i spętać naszą młodą duszę... Prawda da nam wolność wewnętrzną, rodząc olbrzymią potęgę charakteru — tylko silny może być wolnym — i Prawda da nam wolność zewnętrzną — w ludzkim uznaniu, ludzkim zaufaniu, ludzkiej miłości, które tak cenią Prawdę i tak lgną do ludzi Prawdy. A nade wszystko Prawda zbliży nas do Boga, który na świat zeszedł, by ludzi Prawdy nauczyć i wyzwolić!

1935.

IX.

BĄDŹ DOBRYM SYNEM

1.

Mocne echo czwartego przykazania unosi się nad tegorocznym ¹⁾ hasłem naszej sodalicyjnej pracy. I może dlatego niejednemu z was wyda się ono zbyt oczywistym, zbyt prostym...

Przykazanie Boże, statut sodalicyjny, jedno wreszcie z naszych dziesięciu praw... czy to wszystko nie wystarcza? Czy świadomość tego obowiązku nie jest aż nadto jasna każdemu sodalisowi?

To wszystko prawda — a przecież mimo to pytam otwarcie: czy wszyscy członkowie naszych drużyn mariańskich z ręką na sercu położoną mogą wyrzec to zapewnienie: «Co do

¹⁾ 1935/6.

mnie — jestem dobrym synem i nic sobie nie mam tu do wyrzucenia!»!

Z tym samym zresztą, co zawsze, uporem twierdzą i twierdzić będą, że my na ogół niesłuchanie skłonni jesteśmy do zaniedbywania się w najprostszych, najoczywistszych obowiązkach.

Nie chciałbym uwłaczać sodalisom Marii, ale tak nieśmiało nieraz rzuciłbym pytanie, czy ich ranny i wieczorny pacierz codzienny nic nie zostawia do życzenia? Czy uczestnictwo we mszy św. niedzielnej pełne jest szczerzej pobożności, głębokiego zrozumienia, skupienia... wzoru i przykładu dla kolegów? Czy?... i tak dalej i dalej...

I coś mi mówi, że podobnie jest z czwartym przykazaniem Bożym....

Mamy niewątpliwie w szeregach sodalicyjnych wyborowych członków organizacji, wzorowych konsultorów... Słyszemy dobre i rozumne referaty, ożywione dyskusje, zbańwienne pomysły i projekty w pracy realizacyjnej... ale, czy ci sami chłopcy w czterech ścianach rodzinnego domu dociągają zawsze do tak wysokiego poziomu swoje obowiązki synowskie?

Wiem, co mi powiecie!

— Ah, tamte sprawy to zupełnie co innego! Zdarzają się rzadziej, zdarzają się w gronie kolegów, dają pole do wyładowania się, wypowiedzenia, do pokazania się i zaimponowania... a tu? Ciasna scenka życia, wiecznie ci sami współaktorzy szarej, codziennej akcji i żadnych, niemal absolutnie żadnych... widzów. — Przepraszam was — nie! Wszak czasem zdarzają się i widzowie... Przychodzą goście, rozszerza się scena, wkłada się kostium i wtedy z satysfakcją gra się rolę «dobrego syna» — aż do wyjścia ostatniego, obcego człowieka... Czy nie tak?

— Jakiż miły ten Zbyszek...! — Jakim dobrym synem musi być Władeczek... — Ah wiesz, że Piotrowscy mają dziwnie dobre dzieci — zauważyłeś? — I tak dalej i tak dalej! — mówią sobie goście. Ah! Ale to było na pokaz! A na codzien? Na taki sobie wtorek i piątek, tylko w najciaśniejszym kółku domowym?

No — sodalisie drogi — powiedz sam szczerze!

I to widzisz — jedna strona zagadnienia. Twoja osobi-

sta, indywidualna dziedzina pracy nad sobą w obrębie jednego z najistotniejszych obowiązków młodego. Sodalicja mariańska, która jest szkołą charakteru i mistrzynią życia, musi w nią wejść i zapytać cię: Czy jesteś dobrym synem?

Ale jest druga dziedzina równie doniosła i ważna!

Dziedzina społeczna.

Szatan i jego ludzcy szeregowcy na ziemi rozpętali dziś walkę przeciw rodzinie. Przeciw idei rodziny, przeciw jej organizacji, trwałości, autorytetowi, tradycjom... Skoncentrowany atak wali kilofami w nasz dom rodzinny, podkłada miny, żagiew rzuca na strzechę.

Sodalicja musi walczyć z tym szatanem! W swoim zakresie, swoimi siłami i środkami. Musi — rozważcie to słowo — musi paraliżować atak, chować obrońców, uzbrajać ich, rozpalać! Przez starsze społeczeństwo katolickie idzie okrzyk wojenny, hasło wielkie: *Brońmy rodziny!* Przez nasze szeregi idzie odzew nasz, skromny, młodzieńczy, ale także silny i płomienny: Bądźmy dobrymi synami!

I cóż to ma do obrony?

Bardzo dużo!

Sodalis-syn — to jeden więcej czynnik, przez który Boży pierwiastek utrzymuje się wybitnie i działa w ognisku rodzinnym. Rozumiejąc rodzinę jako instytucję Bożą — chłopiec ten, jakże inaczej ustosunkuje się do niej w sumieniu własnym, w poglądach, w walce ze sobą i złym przykładem u innych. On to wie na pewno, niezłomnie, że każdy akt życia rodzinnego spełniony przezeń uczciwie, sumiennie, po Bożemu, to węzeł zacieśniający to życie, to nowa, jasna i ciepła iskra w ognisku domowym. I dlatego wbrew swoim upodobaniom, zachciankom, nawyczkom da z siebie dużo na każdy powszedni dzień, aby jemu z rodziną i rodzinie z nim było dobrze, da z siebie przykład młodszemu, a może i starszemu rodzeństwu, nawet kolegom, przykład jeden z najbardziej wzniosłych i wzruszających — dobrego syna, a przez to mimo swego wieku i niedojrzałości życiowej — stanie w szeregach apostołów i obrońców życia rodzinnego w narodzie.

Czy to nie chluba i cześć?

Czy nie warto choć trochę się poświęcić — ukochani synowie-sodalisi?

1935.

2.

Chciałbym dziś zwrócić waszą uwagę na kulturę pożycia domowego.

Jej obowiązek płynie z dwóch źródeł. Najpierw całkiem po prostu z katechizmu, który uczy nas o obowiązku miłości bliźniego, jako o jednym z dwóch zasadniczych przykazań samego Chrystusa Pana. Obowiązek ten na swoim, bodaj najniższym stopniu polega na czynieniu drugim tego, czego od nich dla siebie pragniemy, a unikaniu tego, co by nam samym przykrym było z ich strony.

Przenieśmy to na teren stosunku do rodziców.

Kto z was chciałby być traktowany niegrzecznie, nieuprzejmie, brutalnie? Czy przeciwnie, każdy nie odczuwa jak najmilej uprzejmego, kulturalnego obejścia ze strony ludzi, z którymi się spotyka? Jakże trwałe a przyjemne wrażenie robi na nas np. uprzejmy urzędnik, konduktor, kupiec? Jak przykro odczuwamy ludzi nieokrzesanych, gburowatych, niekulturalnych. To jasne przecież!

Czyż zapominać mamy, że z bliźnich najbliżsi nam — to rodzice? Czy dlatego właśnie, że najbliżsi, że «codzienni» — mają być traktowani mniej uprzejmie, mniej grzecznie niż tamci, dalsi, może bardzo dalecy?

Odpowiedź zdaje się nie ulegać wątpliwości, a przecież w praktyce tak o nią trudno!

Wszak jesteśmy wyznawcami nauki Chrystusowej, wszak uznajemy jej nakazy! Jako młodzi chrześcijanie-katolicy, jako uczniowie Boskiego Mistrza musimy wprowadzić w nasz stosunek do ojca i matki — szczerą uprzejmość, prawdziwą życzliwość, wysoką kulturę pożycia.

Musimy i dlatego, że jako uczniowie szkoły średniej sami wytyczamy sobie drogę do wyższego poziomu kulturalnego, że za ambicję sobie mamy szlachetną nabycie pięknych form towarzyskich i wielkiej umiejętności prawdziwie kulturalnego pożycia z ludźmi. Tę ambicję powinniśmy w czyn wprowadzić na terenie rodzinnego domu. Czuwać nad sobą i bezustanku się ćwiczyć i kontrolować.

I niech nikt z was nie mówi, ani nawet nie pomyśli, że może... że czasem on sam nie spotyka się z takim obejściem ze strony rodziców lub najbliższej rodziny. Właśnie dlatego ty,

mój drogi, musisz być inny! Ty, prawdziwy uczeń Pana Jezusa, ty sodalis i uczeń gimnazjum, ty przyszły człowiek inteligentny w pełnym znaczeniu tego wielkiego słowa! Nauka grzeszności, zwłaszcza ta codzienna, czynem wpajana i męskim opanowaniem siebie nigdy nie zostanie bez wpływu nawet na starszych. Tylko cierpliwie, pokornie, a stale ją wypełniaj z twojej właśnie strony.

I nie lekceważ tej sprawy jako «drobnostki życiowej», bo takie drobnostki to mają do siebie, że stwarzają, jak skorupki podmorskich ślimaczków, wartości i wielkości niespożyte.

Jakże miłym jest życie w rodzinie, gdzie wszyscy są dla siebie uprzejmi, grzeczni, usłużni i widzą w tym szczerze swój pierwszorzędny obowiązek współżycia!

I na odwrót, ile zgrzytów, zadrażnień, wstrząśnięć nawet głębokich tam, gdzie choćby jeden tylko członek rodziny, nie daj Boże, syn właśnie, wnosi ze szkoły, z boiska, z ulicy brutalność i łobuzostwo!

Dobry syn-sodalis — pamiętajcie — nigdy nie podnosi głosu wobec rodziców, nigdy nie używa tonu ni słowa niewłaściwego, nigdy nie występuje hałaśliwie z tupaniem nogą, trzaskaniem drzwiami, nigdy nie rzuca pogroźek czy słów obelżywych. Czyniąc bowiem w ten sposób, nie tylko przekracza Boże przykazanie miłości bliźniego i poszanowania rodziców, ale wystawia sobie świadectwo niekulturalnego, źle wychowanego, brutalnego młodzieńca.

Dobry syn — to uprzejmy i grzeczny syn. Pamiętajcie!
1935.

3.

Od szeregu lat rano, w dzień Wigilii wyjeżdżam spod Tatr do Krakowa.

Niezwykła to podróż, bo pociąg zakopiański niemal co 2—3 stacyj «krzyżować» musi z mnóstwem pociągów nadzwyczajnych, pędzących z Krakowa, z Warszawy — w góry. A pociągi te przepelnione do ostatniego miejsca budzą we mnie zawsze niezmiernie przykre, niemal bolesne wrażenie. Tysiące ludzi na te najmiłsze w roku święta, na te najserdeczniejsze, nigdy niezapomniane chwile wigilijne ucieka z domów rodzinnych, tłoczy się w hotelach, pensjonatach, schroniskach... za-

pomina już nie tylko o mszy świętej, ale nawet o modlitwach do Boga, który schodzi z niebios w świętą noc i rodzi się w stajence dla ich zbawienia, dla ich miłości; zapomina o wszystkich, przepięknych zwyczajach, co tak łączą i zespalają dusze nieraz nawet obce dla siebie, cóż dopiero najbliższe! Jest coś pogańskiego i kosmopolitycznego w tym pędzie, w tym. — nie waham się powiedzieć — obłądnie, co niszczy nasze najpiękniejsze tradycje religijne i narodowe z jakąś zaciekłością i uporem godnym chyba szatana.

A do tego prądu dołącza się drugi, równie silny i mętny, równie antyświęteczny przez odrywanie dzisiejszego człowieka od ogniska rodzinnego i wywlekanie go znowu z domu do lokalów publicznych, sal dancingowych, kinoteatralnych, bo tam pełno drażniących i podniecających wrażeń... a... w domu tak płasko i szaro, tak nudno...

Nie zapomnę też nigdy jakiejś nowelki, w której okazuje się, że w zamożnym, inteligentnym domu polskim w Warszawie została w wigilię wieczór tylko samotna, stara babunia, bo rodzice i dzieci poszli sobie, każde na swoją rękę, gdzie kto chciał... a córka z domu telefonowała do koleżanki, że gwiazdka i choinka to zabawne przeżytki i strasznie staroświeckie historie.

Plakać się chce, gdy człowiek myśli, co tym biednym, polskim dzieciom zostanie na zawsze, miasto tych wspomnień, które dla nas, dla nas «staroświeckich» zostały na całe życie tak drogie, najdroższe, jak kołysanka przez ukochaną matkę niegdyś nucona... Co im zostanie? Parkiety dancingu, wrzask jazzbandu i oślepiający superfilm z kina... To mało, strasznie mało! I biedne będą w latach męskich, w dniach cierpień i zawodów — te dzieci, dziś odarte z całego uroku drzewka i kołedy i wigilii...

Ale poza tą stratą indywidualną — jest inna, stokroć większa, strata społeczna, strata narodowa, o religijnej już nie mówiąc.

Jeśli kto, to my Polacy powinniśmy rozumieć, powinniśmy pamiętać, jaką potęgę ma w sobie chrześcijańska i ojczyśta tradycja! Jaką ostoją duchową, jaką więzią nierozzerwalną były dla nas zawsze te święte i te precudne zwyczaje najmilszych naszych Bożych Narodzin! Wieczerja wigilijna skupiała przy białym opłatku całą rodzinę... Z daleka zlatywały się pta-

szeła życiem rozprószone do rodzinnego gniazda... To był w Polsce prawdziwy «dzień rodziny», dzień ojca — głowy domu i matki — jego serca!

Jeśli dziś, zamiast się skupiać, rozlatujemy się po świecie, po tańcach, sportach, kinach — to w tym naprawdę tkwi jakaś wraza ręka, ta sama, co nam chce rozbić małżeństwo i rodzinę!

I dlatego po przez te drogie święta, od domu do domu my sodalisi, my dobrzy synowie nieśmy wici płomienne i wołajmy gromko: brońmy rodziny, brońmy naszych czcigodnych tradycji świątecznych, brońmy wigilijnej, choćby skromnej uczy i opłatka i drzewka i kolędy! Bo w tym wszystkim kryje się Dziecina Boża i Matka nasza Polska!

I nie tylko brońmy! Zdobywajmy się na cały, na wszelki wysiłek, aby przez poświęcenie, zaparcie siebie, choćby największe — wprowadzić w te święta w domu rodzinnym najserdeczniejszy, najcieplejszy nastrój, falę miłości tchnijmy w nie, oddania się i ofiary. Bo *Chrystus się narodził* — w stajence, drżał z zimna na twardym żłobie, ofiary dopełnił już jako niemowlę... a myśmy poń Jego wyznawcami i uczniami... W te święta wyjdźmy z siebie, z zimnej skorupy egoizmu, wygody, lenistwa i zróbmy wszystko, by one w naszej rodzinie były nasze, były polskie i katolickie, były starodawne, bogate duchem, sercem... Po latach Bóg nam za to cudownie może zapłaci...

1936.

4.

Zagadnienie, które ujmuje nasze tegoroczne hasło, jest, jak widzicie z dotychczasowych choćby pogadanek na jego temat, bardzo obszerne. I zdaje się, że nawet trudnym będzie w jednym roczniku pisma je wyczerpać. Będę zadowolony, jeżeli w ogólnych zarysach uda mi się rzucić wam nieco światła na niektóre, najistotniejsze jego fragmenty.

Po kwestii kultury domowego pożycia, o której pisałem w listopadzie, a która tak niestety bardzo jest zaniedbana w dzisiejszych czasach w całokształcie stosunków ludzi między sobą, nie bez pewnego lęku chciałbym was w jeszcze wyższe poprowadzić regiony i słów kilka poświęcić niezmiernie doniosłej dla rodziny sprawie kształcenia w sobie od najwcześ-

niejszej młodości bardzo delikatnej i bardzo trudnej umiejętności wczuwania się w położenie, nastrój, uczucia, pragnienia naszych najbliższych, szczególnie w te niewymówione... nieokazane na zewnątrz... Czynię to z lękiem, bo sięgam istotnie wysoko, ale ufam, że kto jak kto, ale synowie-sodalisi najprędzej jeszcze mnie zrozumieć mogą.

Podziwiam zawsze precudną scenę takiej intuicji w Ewangelii...

Oto gody małżeńskie w Kanie Galilejskiej. W najpiękniejszy dzień życia rodzinnego taka przykrość, taki wstyd, by nie rzec hańba, dla tych dwojga zaczynających dziś nową epokę... Sprosil gości, pełno ludu w komnatach... Sam Jezus z Nazaretu z Matką i uczniami gościem jest nowożeńców. I przy uczcie weselnej już nie ma co podawać. Szczupły zapas wina wyczerpał się do dna... Nie spodziewali się tylu gości... A upał może był wielki dnia tego... wszak wody tam na Wschodzie pić prawie niepodobna... Przedziwną, najtkliwszą intuicją odczuwa to wszystko Maria... Idzie do Syna... O nic nie prosi... On i Matka rozumieją się bez słów... Mimo pozornego sprzeciwu Jezus, odczuwając całą skalę uczuć i pragnień Marii, dopełnia cudu... Rozjaśnia oczy i czoła nowożeńców... gości... ale przede wszystkim te najmiłsze, najdroższe dlań oczy Matczyne...

Czy i jak często w twoim życiu rodzinnym naśladujesz Marię i Jezusa — sodalisie-synu?

Ah! Może każdy rozkaz trzeba ci parę razy powtórzyć, każde życzenie wyrazić najogólniej... a może niejedno, niejedno w połowie zaledwo wypowiedziane zamknąć z powrotem w ustach i zdusić milczeniem na widok twej obojętnej, niechętnej twarzy, mówiącej tak wyraźnie: «dajcie mi spokój! — teraz mi się nie chce... — nie podoba...».

A gdzież tu mówić o synowskiej intuicji, która czyta z oczu wolę i życzenie ojca, matki, by w lot je, niewypowiedziane jeszcze — uchwycić i nikomu nie dać się upzedzić w jego spełnieniu?

Na jeden moment, na chwilę zamień swą rolę z rodzicami i powiedz mi, co byś ty uczynił na ich miejscu, gdy byś wiecznie i wiecznie widział grymas niechęci i egoizmu wykrzywający twarz syna, gdy idzie o ich wolę, życzenie, zamiar? Czyś kiedy o tym pomyślał?

Jeśli życie rodzinne porównamy do będącej nieustannie przez cały dzień w ruchu maszyny, to umiejętność wczuwania się w sytuację ojca, matki napewno będzie ową dobroczynną oliwą, która łagodzi tarcie kół i kółek i tłoków, oszczędza zgrzytów i zapaleń, może nawet pożaru... Czy nie chciałbyś stać się taką łagodzącą, dobroczynną oliwą w twoim właśnie domu?

Spróbuj od dziś tej wielkiej, wielkiej, wspaniałej sztuki...

Patrz i badaj, czy komuś z twoich czego nie brakuje. Czy nie dolega im ból głowy, czy nie trapi ich jakaś ukryta zgryzota, smutek, zmartwienie? Czy nie zabrakło w gospodarstwie domowym tego i owego, czy nie zabrakło przypadkiem grosza, czy nie nadeszła pocztą jakaś przykra wiadomość... Czy...? Ach, ileż takich pytań niesie z sobą każdy dzień niemal, każda godzina...

Przez zastanawianie się nad tym stałe, przez baczne śledzenie sytuacji i nastrojów życia rodzinnego możesz bardzo wyostrzyć swoje wycucie, a choć nie dojdiesz może, mój chłopcze drogi, do subtelności siostry miłosierdzia u łoża chorego, to jednak na pewne, na pewne nie będziesz tłukł się hałaśliwie po domu, ani gwizdał ulubionych piosenek, gdy dostrzeżesz jakąś chmurę na najdroższym ci czole, albo skrzywienie bólu, albo przykrością doznaną ściśnięte wargi, albo roztrzęsione rozdrażnieniem nerwy. Przeciwnie, w takiej chwili nauczysz się w szczególny sposób panować nad sobą, poświęcić się, pomagać, współpracować, choćby z największą ofiarą i wysiłkiem... Kropla po kropli łagodząca oliwa sączyć się będzie za twoją przyczyną na tarcia i zgrzyty i zadrażnienia zapalne...

A potem pójdziesz dalej i wyżej. I odkryjesz, czym mógłbyś sprawić szczególną radość, wywołać uśmiech zadowolenia, rozczulenia na czole pooranym i więdnijacej już może od życiowej wichury twarzy.

To jakaś robota zaczęta przez ojca, ale nieskończona z braku czasu czy naglej przeszkody — a dokończona w tajemnicy przez ciebie... to jakaś sprawa w mieście czekająca na swą kolej, bo matka bardzo zajęta... to jakaś pomoc braciškowi czy siostrze, o którą rodzice może nie śmia prosić bardzo zajętego nauką syna-gimnazjalistę... to porządek zrobiony w domu... to... Znowu tych drobiazgów bez liku w codziennym życiu, dotąd przez ciebie niezauważonych, ale od dziś skrzętnie

odkrywanych przy pomocy cudownego, powiększającego szkła synowskiej intuicji... Wspaniałe to, zachwycające Boga i ludzi odkrycia!

Czy nie chciałbyś się stać takim odkrywcą?

Spróbuj więc — raz jeszcze gorąco zachęcam cię i proszę. W «szkole dobrego synostwa» uczynisz wielki postęp... Najdroższym twym umilisz życie... Sobie na różaniec wspomnień synowskich bezcenne nanizas ziaarenka... U najlepszego, Boskiego Syna znajdziesz kiedyś niezrównaną nagrodę.

1936.

X.

ŻYJ W PRZYJAŹNI Z BOGIEM

1.

Wśród hasel, rzucanych sodalicjom przez Związek, nasze tegoroczne hasło chyba niewątpliwie będzie jednym z najgłębszych, a przeto może i najtrudniejszych do zrealizowania. Każdy bowiem jasno to pojmuję, iż dotyczy ono niemal wyłącznie wewnętrznych dziedzin duszy i tej najbardziej osobistej pracy nad sobą, nad charakterem...

Rzucił je przed dwudziestu wiekami sam nasz Boski Zbawiciel i Mistrz Najlepszy, gdy w chwili pożegnania z Apostołami wyrzekł do nich te najśłodsze słowa: *Wy jesteście przyjaciele moi...* (Jan 14, 4). Tyle lat minęło od onej wiecznikowej przemowy, a myśmy jeszcze tak mało postąpili w zrozumieniu Jezusowej nauki o przyjaźni z Bogiem. I gdy słuchamy hasła sodalicyjnego — podziwiamy je, uznajemy w pełni — ale mimo wszystko zostaje nam ono jakieś dalekie, jakieś może nawet obce...

Gdzie powód tego odczucia raczej, jak skonkretyzowanego sądu? Wrażenia więcej, niż świadomej niechęci?

Jeśli w tym roku wszyscy, jak nas jest jedenaście tysięcy ten właśnie nakaz sumiennie wypełniać mamy, to godzi się mu nieco bliżej przypatrzeć i w miarę możliwości uważnie zanalizować.

W czym więc — zobaczymy to na początku — hasło nasze napotyka na największą trudność?

Naprzeciw niego wysuwamy niewątpliwie, niemal instynktownie naszą cześć i najgłębsze uszanowanie wobec wielkości, świętości i majestatu Bożego. One to zdają się sprzeciwiać takiemu zbliżeniu, takiej serdecznej poufałości w stosunku do Boga, jakie głosi właśnie idea istotnej z Nim przyjaźni.

Zapominamy jednak, że sam Pan Jezus zechciał zmienić w swej Boskiej Ewangelii postać stosunku człowieka do Boga. Zachowując poczucie czci najgłębszej, dołączył doń nieznaną dotąd na świecie miłość. W naukach, a zwłaszcza w przypowieściach Jego wysledzić można to żarliwe usiłowanie przebudowy stosunku człowieka do Boga ze starotestamentowego na ewangeliczne.

Stary Zakon dany narodowi *twardego karku* (Wyj. 33, 3), narodowi, który *zawsze się sprzeciwiał Duchowi świętemu* (Dz. 7, 51) — musiał z konieczności być prawem surowości, lęku, grozy i stąd płynącej czci padającego na twarz przed majestatem Jahwy człowieka. Stąd i charakter całego kultu, wyglądu świątyni, odsunięcia od niej całkowitego ludzi świeckich, nawet poza kapłański dziedziniec... A przecież i w tym Starym Zakonie, niby klejnoty najdroższe — to tu, to ówdzie rozsypane znalazły się czasem słowa dziwnie miękkie, dziwnie ciepłe, jakby z kart Ewangelii żywcem przeniesione, na znak i na zapowiedź, że rozedrze się kiedyś zasłona grozy i lęku, a słońce bezbrzeżnej miłości oświeci i ogrzeje dusze ludzkie tak jej spragnione. I oto Stajenka Betleemu, jak pod wielu innymi względami, tak i w stosunku człowieka do Boga zmieniła świat. Dziecię najuboższe, wyciągające z żłobu małeńkie rączki do pasterzy i królów dopuszczonych najbezpośredniej w pobliże wcielonego Boga — to pierwsza zapowiedź przyjaźni z Nim, to całkowity przewrót w stosunku człowieka Ewangelii do jego Boga.

Jezus więc przynosi przyjaźń i oczekuje przyjaźni. Niestety... *Przyszędł do swoich, a swoi Go nie przyjęli...* (Jan 1, 11) skarży się ustami Ewangelisty Miłości... i co najsmutniejsze, tak często fałszywie pojętą cześć i uszanowanie Majestatu Bożego wysuwali i wysuwają przeciw wołaniu: *Pójdźcie do Mnie wszyscy...* (Mat. 11, 28) *Wy przyjaciele Moi...*

2.

Jest jeszcze druga trudność, wysuwana może nie tak już wyraźnie, jak poprzednia, o której mówiliśmy w pierwszym numerze, tkwiąca raczej w podświadomych pokładach duszy, a bodaj że poważniejsza od tamtej. Trudnością tą — śmiem twierdzić ogólnoludzką, to lęk przed konsekwencjami, jakie z natury rzeczy wypłynąć muszą dla człowieka, który raz w swej głębi powiedział sobie to wielkie, święte i ważne słowo: *Jestem przyjacielem Boga!*

Jeśli przyjaźń z drugim człowiekiem rodzi bardzo poważne, honorowe zobowiązania wierności, prawdomówności, spieszenia z pomocą, ofiary, zaparcia siebie, to cóż mówić o przyjaźni z Bogiem, przyjaźni z Jezusem Chrystusem!

Obawa przed tym, że nie sprostamy, że zawiedzimy, że w wielu wypadkach może bardzo niehonorowo postąpimy wobec naszego Boskiego Przyjaciela, krępuje nas i wstrzymuje od tego najslodsze i najdroższe ze związków przyjaźni.

Czybyśmy mieli temu tchórzostwu ulegać?

Czy raczej nie odwrócić całej sprawy i nie powiedzieć sobie: jeśli tak, to dla przyjaźni z Nim ja właśnie zdobędę się na wszystko, a przynajmniej będę usiłował w najwyższej mierze tego dokonać.

Wszak Jezus-Przyjaciel musi mnie podciągnąć do Siebie! A ponieważ tego pragnie, ponieważ mnie kocha i w końcu ponieważ jest wszechmocny — nie odmówi łaski, pomocy Swojemu ziemskiemu przyjacielowi, byle tylko widział we mnie odrobinę dobrej, poczciwej woli...

A czegoż On żąda ode mnie?

Zapewne najpierw i przede wszystkim — pamięci.

O przyjacielu się nie zapomina. Przywołuje się go tak często na myśl, chowa się jego fotografię, pamięta się o jego dniach imienia, radosnych czy bolesnych rocznicach, współczuje się najszczerzej ze wszystkim, co go spotyka, miłego czy przykrego, odwiedza się go często i radośnie przyjmuje jego odwiedziny, z obecnym wiedzie niekończące się godzinami rozmowy, do oddalonego długie, długie pisuje się listy...

Takiej samej pamięci żąda od nas Boski Przyjaciel.

Czy o nią naprawdę trudno, choćby i młodemu chłopcu?

Ileż to krótkich, parosekundowych aktów strzelistych stoi do naszej dyspozycji wszędzie i zawsze, jako znak stałej z Nim łączności... Jakżeż to łatwo rzucić nam okiem na Jego wizerunek nad naszym stołem do pracy, nad naszym łóżkiem czy na naszej piersi! Jakże gościnnie stoją przed nami nieraz przez cały dzień otworem drzwi Jego mieszkania, gdzie migotliwy płomyk wiecznej lampki oznajmia Jego obecność i najłaskawszą gotowość... Ileż sposobności do odnowienia i wzmocnienia tej pamięci nadarzają nam Jego wielkie rocznice — święta Kościoła Jego i te uroczyste i te skromne... choćby taki pierwszy piątek miesiąca...

O nie mów, sodalisie drogi, kochany, że trudno ci będzie pamiętać o Boskim Przyjacielu, jeśli tylko naprawdę zechcesz tę najświętszą z przyjaźni nawiązać i utrzymać!

3.

Drugi obowiązek i zarazem podstawa naszej przyjaźni z Bogiem to liczenie się z Jego wolą, Jego prawem. Liczenie się nie teoretyczne tylko, w przekonaniu, w myśli, w zasadzie moralnej, ale przede wszystkim w praktyce, w życiu, w czynie.

I tu oczywiście druga trudność w utrzymaniu tej przyjaźni z naszej strony.

Czy jednak trudność nadmierna?

Z pewnością nie, gdyż osładza ją, ułatwia i umniejsza właśnie nasze głębokie uczucie miłości i przyjaźni dla Boga, nasze silne przekonanie, iż cokolwiek czynimy dla Niego, czynimy także dla siebie, dla naszego prawdziwego i ostatecznego szczęścia.

I wtedy już nakazy Boskiego Przyjaciela stają się lekkie, wdzięczne, jak On sam powiada: *Jarzmo moje wdzięczne jest, a brzemię moje lekkie...* (Mat. 11, 30).

Dusza ofiarna dla Boga raz wszedłszy na tę drogę, jakże łatwo wychodzi poza granice ścisłego prawa i rzuca się do heroiczných czynów miłości już tylko dla sprawienia radości Swemu Miłemu — jak mówiła św. Teresa od Dzieciątka Jezus: *Pour le plaisir de Dieu* — dla sprawienia radości Bogu...

Oczywiście nie każdy z nas i nie od razu dojdzie do takich wyzryn. Ale zacznijmy od rzeczy najprostszych i najłatwiejszych.

Postanawiamy dzień za dniem i tydzień za tygodniem przeżyć w stanie łaski poświęcającej, która przecie jest najistotniejszym węzłem przyjaźni z Jezusem Panem. Usuńmy za wszelką cenę grzech ciężki z naszego życia, usuńmy jego możliwość nawet. W tym kierunku wysilmy całą naszą krzepką i dzielną wolę, z tego rachujemy się codziennie wieczorem w naszym sumieniu, to postanowienie odnawiamy codziennie rano w pacierzu, łącząc je z aktem przyjaźni dla Jezusa.

W księgach Starego Zakonu znajdujemy przesłaniczne nakazy i polecenia tego nieustannego liczenia się z prawem Bożym w całym życiu. Oto co mówi Bóg do następcy Mojżesza, Jozuego:

«Zmacniaj się tedy, a bądź mężnym bardzo, abys strzegł i wypełniał wszystek zakon (czyli prawo)... Nie odstępuj od niego ani w prawo, ani w lewo, abys rozumiał wszystko, co czynisz... Niech nie odstępuje księga zakonu tego od ust twoich, w niej będziesz rozmyślał w dzień i w nocy, abys strzegł i czynił wszystko, co w niej napisane; wtedy prostą uczynisz drogę swoją... (Joz. 1, 8—10).

Czyż trzeba nam czegoś więcej nad te wspaniałe słowa z ust samego Boga?

Jeśli tak mówił On o prawie Starego Zakonu, cóż mamy powiedzieć o prawie Ewangelii, prawie miłości, jakiej nie widział świat.

Tak, sodalisi drodzy, jeśli kto, to my właśnie musimy w życiu naszym młodym na całej linii zawrócić do czci i poszanowania prawa Bożego, które w oczach naszych tak strasznie lekkomyślnie, tak okropnie, tak lekceważąco jest łamane przez naszych kolegów, naszych towarzyszków... I to zawrócić nie z lęku, tylko z czci, ale przede wszystkim z miłości. Dla sprawienia radości Boskiemu Przyjacielowi.

I wtedy, ale dopiero wtedy nasza przyjaźń dla Niego nabierze życia, stanie się rzeczywistością coraz i coraz słodsza, coraz nam droższą — *albowiem jarzmo moje wdzięczne jest, a brzemień lekkie...*

4.

Z omówionych wyżej podstaw przyjaźni z Bogiem i jej przejawów w naszym życiu wynika przede wszystkim, niezwykle doniosły wniosek.

Oto z przyjaźni tak właśnie pojętej płynie w dusze nasze przeogromna, nadziejska MOC.

Czyśmy sobie kiedy już zdali z tego sprawę?

Przyjaciel możnego władcy, dostojnika, wpływowego człowieka jakże bardzo sam staje się możnym i wpływowym.

A przyjaciel Boga?

I to nie żadne złudzenie, to nie frazes. Bóg nas kocha, my kochamy Jego, mamy więc prawo do czerpania pełną dłońią ze skarbów Boskiego Przyjaciela. Ile światła, ile mądrości, ile siły woli, ufności, wytrwania, ile zwycięstw nad sobą, światem, szatanem idzie z tej przyjaźni!

I pomyślcie na chwilę tylko, że nasza sodalicja staje się taką zwartą gromadą «przyjaciół Boga», że w każdej klasie jest ich kilku, kilkunastu! Chłopców wiernych, czystych, opanowanych, zrównoważonych i żarliwych Bożą miłością, chłopców trwających na służbie Bożej i Maryjnej na każdy dzień w życiu rodzinnym, w obowiązkach szkolnych, w koleżeńskim, serdecznym stosunku do klasy — mój Boże, co za siła, co za potęga!

Ile stąd dobrą płynąć musi w dusze ich samych i w dusze wszystkich ich kolegów i towarzyszków, jak naprawdę za ich pośrednictwem Bóg wchodzi ze Swoim prawem, ze Swoją nauką, ze Swoją łaską w życie młodych, jak się ci chłopcy, nasi sodalisci dzień za dniem i rok za rokiem coraz i coraz mocniej i głębiej przemieniają w Apostołów Jezusa i choćby nigdy nie weszli w szeregi kapłańskie, jak blisko stają Jezusowych kapłanów i jakimi potężnymi stają się współpracownikami w szerzeniu Królestwa Bożego na ziemi!

Takie to szerokie horyzonty otwiera przed każdym z Was idea przyjaźni z Bogiem, idea jednak nie w abstrakcyjnym ujęciu, ale w realizowaniu przez czyny, przez życie, przez stały, pracowicie utrzymany stan duszy.

Każdy z was młodych całym sercem wyrывa się do MOCY.

Być silnym, być mocnym, być zwycięskim i władcym — co za rozkosz dla młodej duszy, prężącej się do życia, do czynu twórczego istoty.

Oto droga do MOCY, która nigdy nie słabnie, która stale rośnie, zasilana u źródeł Wszechmocy Boskiego Przyjaciela.

Na tę drogę wejdz od dziś. I nie oglądaj się już nigdy za

siebie. Idź ku Bogu, który cię miłuje i pragnie twej miłości, który nie waha się nawet prosić cię o nią.

Synu daj Mi serce twoje... (Przyp. 23, 26).

Czy potrafilbyś odmówić — ty, przyjacielu Boga?...

1937.

XI.

BĄDŹ KATOLIKIEM CZYNU

Dopókiż będziecie ślepymi synowie światłości i jakże długo piekło odnosić będzie nad wami tryumfy?

Te słowa w usta Chrystusa Pana wkłada w swej precudnej książeczce «Katolik uczynkiem i prawdą» autor jej, O. Paláu.

Zaiste, dziwna to książeczka ¹⁾!

Dziwna zwłaszcza, gdy zważymy, że z górą trzydzieści lat już mija od chwili ukazania się jej w hiszpańskim oryginale, a przecież już wtedy znalazły się w niej proroczo wypowiedziane myśli, urzeczywistnione dopiero później czy w wiekopomnej encyklice o Jezusie Chrystusie Królu, czy w tworzeniu Akcji Katolickiej.

I dlatego rzucając na nowy rok ²⁾ jedno z najaktualniejszych haseł pracy katolickiej, zarówno wewnętrznej, jak i zewnętrznej, wspominamy książeczkę O. Paláu, gdyż nie wyobrażamy sobie realizacji tego hasła bez jej pomocy.

Wezwanie nasze *Bądź katolikiem czynu* powinno do głębi wstrząsnąć sodalicyjnymi sercami, powinno zelektryzować dusze! Młody zawsze rwie się do czynu, do pracy twórczej, jeno nie zawsze umie znaleźć wielki, prawdziwie godny jej przedmiot, jej idee, jej warsztat.

Sodaliczka Mariańska wskaże mu to wszystko i nie tylko wskaże, ale pomoże, ułatwi, pokieruje, byle on sam tylko do głębi przejął się bezwzględnością tego czynu koniecznością i by uwierzył, że pole tego czynu leży tak blisko, tak niesłychanie

¹⁾ O. Gabriel Paláu T. J.: «Katolik uczynkiem i prawdą», Kraków, xx. jezuiti.

²⁾ 1937/8.

W głąb i wwyż

blisko codziennego życia, jego prac i wysiłków, cierpień i radości, powodzeń i zawodów.

Bądź katolikiem czynu!

To hasło dla nas tak radosne jest zarazem najstraszniejszym dla naszych wrogów. Katolicyzm śpiący, tradycyjny, uczuciowo-słowny — to dla nich najmilsze w świecie, najbardziej pożądane zjawisko!

Katolicyzm czynu, katolicyzm aktywny, energiczny, idący w ofensywie — to potęga, której się nic nie oprze. Oni to wiedzą doskonale, lepiej może od nas i dlatego tak wysilają się, by usypiać czujność, paraliżować pracę, gasić odwagę... Czyście tego nie zauważyli wkoło siebie?

Ale płomień czynu dziś już ugasić się nie da. Strumienie wody, ogniotrwale pokrywy, wory z piaskiem rzucające od tyłu lat — już go nie stłumią... Zwłaszcza, gdy młodzi całą pełnią swych płuc rozdmuchują ogień i żarzą od niego coraz i coraz nowe pochodnie.

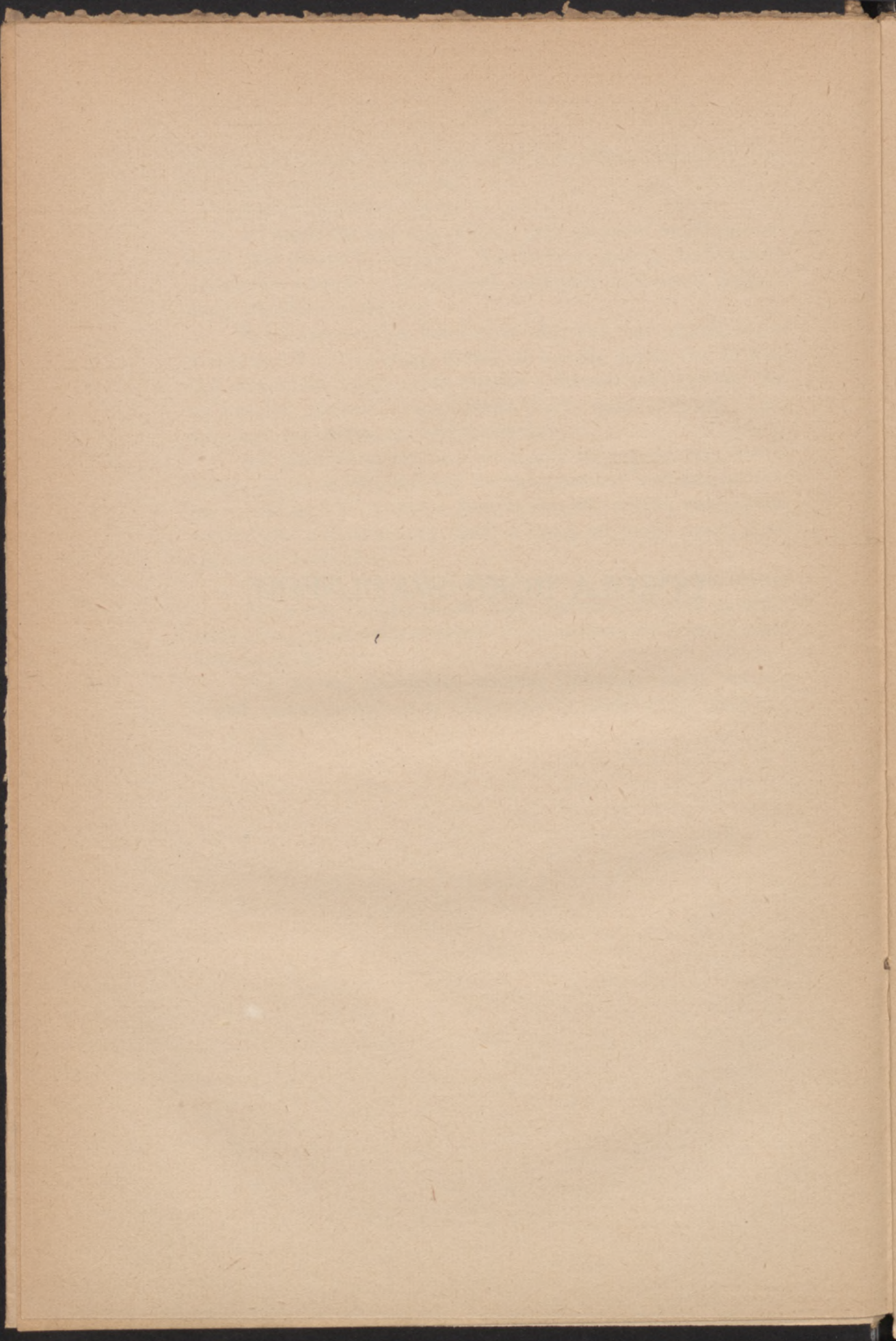
Przyszedł czas, by zapłonęły sodalicyjne pochodnie czynu!

Tysięczne zastępy nasze ruszą karnie i rozpalą ognisko, jakiegośmy jeszcze nie widzieli! Wici rozniosą po Polsce i szkołach naszych!

I w każdej dziedzinie naszego młodego życia wstanie wielki, młodzieńczy czyn Chrystusowy, sodalicyjny czyn!

1937.

DOKOŁA ROKU SZKOLNEGO



I.

ZAJEDŹ NA GŁĘBIĘ...

NA NOWEJ PRACY ROK

Onego czasu, kiedy Piotr z uczniami Jezusa noc całą pracując na jeziorze, żadnej nie ujął zdobyczy, Jezus siadłszy w łódź jego, nakazał: *Zajedź na głębię, a zapuśćcie sieci wasze na połów* (Łuk. 5, 4).

I usłuchał — lubo z wahaniem — księżę apostołów Mistrza swego i Pana, usłuchali i towarzysze jego.

A gdy to uczynili — opowiada Ewangelista — zagarnęli ryb mnóstwo wielkie, i rwała się sieć ich... I skinęli na towarzysze, co byli w drugiej łodzi, aby przybyli i zabrali ich. I przybyli i napełnili obie łódki, tak iż się mało nie zanurzały... (Łuk. 5, 6—7).

— — — — —
Zajedź na głębię!...

Wyjeżdżając sodalicyjną barką na pracę nowego roku, bierzemy za hasło i okrzyk nasz ten Chrystusowy nakaz.

Przyszedł czas w naszej pracy związkowej, aby to hasło rzucić i ogłosić. Minęły lata pierwszych prac organizacyjnych. Skonsolidowany już dość mocno Związek, oparty o nową, doskonałą ustawę, musi dziś zabrać się z całym zapałem do pracy wewnętrznej, musi pogłębić ducha sodalicyjnego, umocnić zasady, wyrobić charaktery, rozwinąć cnoty. Jednym słowem, kształcić ludzi wewnątrznych, ludzi żyjących pełnią życia Bożego, szukających i znajdujących w sodalicyj przedewszystkim jego źródła, jego zasoby nieprzebrane, obfite...

Przyszedł czas!

Każda praca ideowa, organizacyjna przez bogactwo swych zjawisk i korzyści czysto zewnętrznych, spotęgowanych cechą społeczną, która mówi przez gromadę zawsze silniej i donośniej — kryje w sobie olbrzymie niebezpieczeństwo zatracenia

z oczu idei wewnętrznej, idei obowiązku szarej, codziennej pracy nad sobą, która przeraża i odstrasza zwłaszcza młodych, milujących z natury życie na powierzchni, życie formy raczej, niżeli treści wewnętrznej...

Trzeba nam więc za Chrystusowym rozkazem w każdej z osobna sodalicyj i w każdej z osobna duszy sodalisa — *zjechać na głębie*...

Musimy zdać sobie jasno, jak najjaśniej sprawę z tego, że bez wychowania ludzi wewnętrznych, charakterów Bożych, — uderzalibyśmy właściwie w próżnię...

Mielibyśmy znakomitą ustawę i dziesiątki wzniosłych i gorących rezolucyj — na papierze! Mielibyśmy liczne i doskonale zorganizowane zjazdy — bez rezultatu. Wypuszczalibyśmy co roku setki sodalisów-maturzystów, którzy z dyplomem dojrzałości popospołu chowałiby do stolika na zawsze i dyplom sodalisa. I słyszelibyśmy z sodalicyj szkolnych wielu i wielu ciągłą skargę, że praca źle idzie, że bierność i apatia panują, że wszystko chyli się ku upadkowi...

Nie, drodzy!

Od dziś, od nowego roku pracy z Jezusem w duszy, w sercu zajedźmy na głębie. Precz z wahaniem i wątpieniem Piotrowym! Od razu, bez chwili straconej kierujmy ster naszego życia indywidualnego i społecznego w sodalicyj na ciche głębiny, tak bogate, tak życiodajne. Bez chwili straconej *na Jego słowo* zapuszczajmy sieć i bierzmy się do pracy wewnętrznej...

Potrzeba jej już odczuta u nas i jak głęboko! Bracia-sodalisi tak gorąco o niej mówili na zjazdach dwóch wielkich prowincyj kościelnych. Głód tego życia w duszach młodych jest silny nad podziw. A ono tuż obok nas, ono w nas jest. Jenó rękę wyciągnąć...

Uczyńmy to w tym roku właśnie, a będzie on pierwszym bodaj rokiem wzmożonej, gorącej pracy duchowej, rokiem gromadzenia w duszach olbrzymiej energii Bożej, nadprzyrodzonej, która w nas i przez nas zdziała cuda!

1927.

II.

NASZ PATRON

Smutny, mglisty listopad zeszedł już na ziemię naszą. Miesiąc liści opadających w dół... cicho jakoś i boleśnie; jakby wspominały minione bezpowrotnie dni radości wiosennej i letnich godów z ptaszęcym przyspiewem i złote chwile jesieni i srebrne nitki białe, pajęczce... i wszystko, co przeszło, przebrzmiało na zawsze...

Miesiąc umarłych, co jako te liście, strząśnięci z drzewa życia, opadli w proch ziemi, z której powstałi i legli pod stopy przyszłych pokoleń... dusze swe jeno wiodąc w zaświaty.

Smutny, mglisty, ponury listopad...

I wśród tego miesiąca właśnie, na otuchę, na pokrzepienie ściśniętych smutkiem i tęsknotą za słońcem i wiosną dusz młodych, przybitych i zwarzonych listopadowym chłodem i mgłą wilgotną więcej, niż kto inny — jeden jasny, promienny dzień, dzień Patrona.

Młodzieńcza jego, wiośnianym czarem młodości tchnąca postać w tym miesiącu zjawia się, jako widzenie cudowne, na ziemi naszej, staje pośród niekończących się zastępów młodzieży sodalicyjnej i z anielskim uśmiechem szepce im:

— Otom wasz — wasz z ducha i wiary, i mowy, i krwi... Witajcie...

Święty Stanisław Kostka, umiłowany nasz, w gościnę do nas przychodzi w tym miesiącu, niby przejasny promień słońca, przedzierający się przez listopadowych zwały chmur, niby lilia przezysta, bielsza nad śniegowy już... już... z nieba sypiący się puch.

On — nasz!

I idą ku niemu oczy nasze i wyciągają się dłonie i żywiej biją serca, a wargi z uniesieniem mówią mu wzajem w pozdrowieniu bratnim: Ty nasz!

O! Sodalisi ukochani, jak gorąco, jak głęboko, jak serdecznie witać winniście i odczuć to doroczne święto, ten doroczny dzień patrona.

Może nigdy obecność jego nie była tak wśród polskiej

młodzieży potrzebną, może nigdy tak potrzebną jego pomoc i jego wstawienie.

Dla tej młodzieży ciężkie przysły czasy, bardzo ciężkie. I zda się, że patrzeć tylko, jak znowu u Stanisława powiek w cudownym krakowskim obrazie u św. Barbary brylanty leż zawisną nad młodzi naszej losem, nad losem jej przebolesnym.

Wojenna kosa przeredziła jej szeregi, kosząc je długich sześć lat bez przerwy na pobojowiskach całej Polski i Litwy i Rusi, na pobojowiskach Francji, Tyrolu i Włoch... Wszystko, co najlepsze było i najszlachetniejsze, legło w grób lub wróciło niezdolne do życia i pracy.

A druga kosa — zaraza — szła poprzez dusze i w odęcie wojny, w oparach krwi, w pożarów łunach i stokroć gorszych łunach namiętności ludzkich niosła im śmierć ducha i zgniliznę.

Ostała się jeno garść nietknięta za Bożym cudem lub... nawrócona.

Część z niej ukryła się pod opiekuńcze skrzydła Matki Marii, schroniła się w Jej sodalicjach. I ta część, ta szczupła garstka przede wszystkim, dziś obchodzi swoje wielkie, wielkie święto.

Święty Stanisław to przecie jej patron, jej przodownik, orędownik i wzór. Wpatrzona weń ta garstka idzie pod sodalicyjnym sztandarem w życie, w walkę i znoj i sama odrodzona w Chrystusie, odradzać chce brać swoją młodą, a przez nią naród umiłowany swój.

To jej hasło, to życia młodego cell!

Więc ku świętemu się garnie, by prosić, by się uczyć, by naśladować, by, uratowawszy siebie samą, z ratunkiem spieszyć dla innych.

A Stanisław rozradowanym wzrokiem patrzy na tych swoich, na tych umiłowanych ziemskich braci i wskazuje im pomoc i ratunek, i uczy.

Wskazuje miłość Jezusa-Hostii, którego on ukochał tak bardzo, tak nadziejsko w anielskiej swojej młodości i uczy cichej modlitwy na adoracji, uczy uczestniczenia w Ofierze przeświętej, uczy jednoczenia się z Boskim Mistrzem młodości w chwilach najświętszych, Boskich — w chwilach Komunii.

Wskazuje miłość Marii, Niepokalanej Dziewicy i Matki swej Niebieskiej i uczy, jak wzywać Ją na pomoc zawsze, jak

kochać Ją, jak życie młode kierować ku Niej nieustannie, niby kwiat zwracający się zawsze kielichem ku słońcu.

Wskazuje wreszcie czystości anielskiej cnotę i uczy, że mimo wszystko i wszystko można w młodości ustrzec jej skarbu i w walce, choćby nad siły na pozór, nie ustać, nie cofnąć się, ni poddać — lecz zwyciężyć lub paść i zginąć.

Wskazuje i uczy nie słowem tylko, lecz przykładem własnym i życiem i pracą...

Pójdźcie za nim sodalisi drodzy!

Młodzi idźcie za młodym, bardzo młodym, a bardzo świętym. On wasz! On patron odrodzenia waszych własnych dusz, on patron odrodzenia całej polskiej młodzieży, a przez nią narodu. Taki wam bliski, taki ukochany, taki wasz!

Bądźcie wy braćmi Stanisława czystością dusz, miłością Eucharystii i Marii.... dziś i po żywota kres i na wieki.

1920.

PATRON

Myślę nieraz, jakbyśmy byli biedni, gdybyśmy go nie mieli.

Tak!

Matki miałyby św. Jadwigę, kapłani Wojciecha i Stanisława — męczenników, nauczyciele Jana z Kęt, zakonnicy Jacka, a my, co najwięcej potrzebujemy wzoru i opiekuna?...

I nagle z łaski Bożej szczególnej przysłaby dla nas z Wiecznego Miasta wieść szczęsna, radosna... Jeden z nas, jeden z młodych ogłoszony świętym... kanonizowany... Taki święty chłopiec, święty uczeń, kolega, brat... Na ołtarzach... w modlitwach... w litaniach... we Mszy świętej...

I jaki święty!

Zadziwiający starych mistrzów doskonałości swą dojrzałą cnotą, swoją śnieżną czystością, swoją miłością płomienną...

O, jakążby to wielka chwila była dla wszystkich polskich chłopców.

O jakąż radość, jakie szczęście, jaki entuzjizm, żeśmy swojego dostali w ołtarzu i w niebie kolegę!

I pomyślcie, jaka dobroć Boża, dla nas, dla młodzieży Polski, jaka łaska?

Taka, taka właśnie wieść na skrzydłach wiary niesiona przyleciała do Polski, do nas przed dwustu laty.

W ostatni dzień roku 1726 Ojciec św., Benedykt XIII otoczył młodzieńczą głowę Stanisława Kostki aureolą świętych rzymskiego, katolickiego Kościoła.

Radością uderzyły serca naszej młodzieży XVIII wieku i tej, co zasiadała ławy szkolne jezuickich czy pijarskich kolegiów i tej po szkołkach wiejskich, parafialnych i tej, co znoła się w warsztacie, czy u pługa.

Mamy naszego, drogiego patrona!

Dwa wieki mijają od tej chwili. Około ołtarzów Kostki skupiamy się, czując w nim wodza i przewodnika.

Wielką rocznicę — w wolnej święcimy Ojczyźnie.

A patrząc weń dziś, w jego miesiącu, rozumiemy, iż on nam zawsze jednako bliski, a dziś może bliższy i potrzebniejszy, jak ongiś.

Wiary nam trzeba niezłomnej — a jakoż on wierzył gorąco, niezachwianie...

Miłości nam trzeba płonącej — a jakoż on się palił miłością ku Bogu, Marii i ludziom...

Czystości nam trzeba nieskalanej — a jakoż kwitnął on, by lilia przeczysta, ukochaniem tej właśnie cnoty...

Pracowitości nam trzeba niezmożonej, ukochania świętego obowiązku — a jakoż to on się znoił nad księgami w wieńskim czy rzymskim kolegium...

Tak ukochani! On nasz patron, przewodnik, brat i kolega...

Wszystko, co w naszej mocy, uczynimy, by jemu stać się podobnymi.

1926.

ŚWIĘTY STANISŁAWIE — MÓDL SIĘ ZA NAMI

Abyśmy za twym wzorem kochali Boga i Marię...

Abyśmy, jak Ty, wierni byli zawsze obowiązkom naszym...

Abyśmy najdroższe lata młode przeżyli w nieskalanej czystości duszy i ciała, jak ty je przeżyłeś...

Abyśmy zdobyli hartowną wolę, która nie cofnie się przed żadnym trudem i żadną przeszkodą...

Abyśmy poznali nasze powołanie i urzeczywistnili je, jak ty urzeczywistniłeś w krótkim życiu twoim wołanie Boże...

Abyśmy umieli zaprzecć siebie i nieść krzyż za Chrystusem, jak ty niosłeś najwierniej...

Abyśmy apostołowali własnym życiem i własnym przykładem w domu i w szkole na wzór twojego apostołstwa...

Abyśmy młodością naszą co największy pożytek przynieśli Kościołowi i Ojczyźnie...

Abyśmy sodalisami Marii byli w całej pełni przekonania i czynu...

Uproś nam bracie nasz drogi, kolego święty, rodaku nasz najmiłszy i ziemi naszej kwiecie najwdzięczniejszy — o dobry, kochany, serdeczny święty Stanisławie.

1935.

III.

NIEPOKALANEJ

Po święcie anielskiego patrona — dzień Niepokalanej!

Jeden niemal za drugim — takie dwa dni poświęcone tryumfowi nieskalanej CZYSTOŚCI.

Zda się, że opuszczamy ziemię, a idziemy gdzieś w dal, na pola liliami rosnące, w inny lepszy świat, kędy nie docho dzi żaden brud, żadna zmaza ni grzech.

O jakże nam trzeba takich świąt. Jakże nam trzeba takich dni nadziemskich wzlotów dusz i serc.

Jak trzeba ich nam, otoczonym dziś, jak nigdy, zatrutym powietrzem i wyziewami zepsucia, które nie szcędzi ni domowego ogniska, ni sali szkolnej, a nawet do świątyń Pańskich wdrzeć się usiłuje, kusząc i nęcąc, i wabiąc...

Jak trzeba nam tych świąt niepokalanych, zwłaszcza w tym roku, gdyśmy za cel, za ideę naszej całej pracy po sodalicjach i szkołach naszych wzięli obronę przed złem moralnym, gdyśmy podnieśli sztandar walki o czystość dusz polskiej młodzieży.

Słabiśmy sami, ale z nami NIEPOKALANA!

Ją obwołaliśmy przecie Królową naszych serc, Jej przy-

siegnęliśmy wierność synowską, ryngraf na piersi wieszając i dyplom sodalisa Marii biorąc w dłonie...

Jej przeto u stóp złożmy prace nasze i walki, i wysiłki.

Jej, Niepokalanej, wzywajmy w walce ze sobą, z młodym ciałem i młodą krwią, co pali się i wre...

Jej wzywajmy w walce z tym wrogiem odwiecznym wszelkiego dobra i wszelkiej czystości, co łeb swój piekielny ośmielił się podnieść na Jej stopę, a potem wyć z wściekłości, gdy Dziewica i Nasienie Jej starło na proch zatrute żądło księcia ciemności...

Jej wzywajmy w walce z tymi, co upodleni już sami, spodlić chcą wszystko, co jeszcze czyste i dobre zostało w Ojczyźnie...

A powtórzy się w raj u wieszczony cud.

Niepokalana, *obleczona w słońce, z księżycem u stóp, a na głowie z koroną gwiazd dwunastu* zejdzie na świat, by razem z nami walczyć i z nami zwyciężyć.

Myśmy Jej dzieci, Jej syny, Jej sodalisi — na zawsze!

1926.

WOLA NIEPOKALANEJ

Wspaniała uroczystość Niepokalanego Poczęcia Matki Jezusowej tak bliska i droga dla nas, sodalisów, przenosi nas co roku w duchu do owej stolicy Jej na ziemi, w której raczyła roztoczyć przed oczyma i duszami ludzkimi cały blask Swej przemożnej potęgi u Boga i okazać całą głębię Swej miłości ku nam — do Lourdes.

Nie ma roku, nie ma miesiąca, by nas stamtąd nie dochodziły radosne wieści o nowym cudzie, o nowej łasce Najświętszej Dziewicy, która Swą mocą i potęgą zadziwia świat, porywa serca, rozpromienia dusze...

I jedna myśl szczególna uderza nas tam w Jej przedziwnych zamiarach i czynach.

Na naszej biednej ziemi raczyła obrać tyle miejsc łaskami i cudami słynących, tyle zbudować sobie stolic dobroci i miłosierdzia, kędy wzywają Jej przyczyny utrapione dzieci ludzkie, sławiąc Ją jako Matkę, jako Królową, jako Patronkę... Żadne z tych miejsc cudownych nie dorówna sławą i potęgą owemu Lourdes we Francji...

Zda się, iż Dziewica Najświętsza tam zogniskowała i skupiła w szczególny sposób Swą siłę, Swą pomoc, Swą łaskę i — rzecz uderzająca — szafować je tam pragnie najhojniej pod wezwaniem Niepokalanej. Czyż sama w objawieniu cudownym przed laty siedemdziesięciu nie wyrzekła: Ja jestem Niepokalane Poczęcie?

W tych niezliczonych, a przepotężnych, wstrząsających nieraz cudach i łaskach kryje się Jej wyraźna nauka i wola. W imię niepokalanej czystości i świętości Dziewica Maria działa największe cuda, niepokalana czystość stanowić ma i w nas Jej sodalisach największą duchową potęgę.

I jest nią istotnie.

Gdzież większego trzeba wysiłku, gdzie większego panowania nad sobą? Gdziez wspanialsze królestwo ducha i władztwo nad ziemią, nad ciałem?

Chcecie pełnej potęgi człowieczeństwa w was? Chcecie pełnej wolności w życiu młodym? Chcecie świętego rycerstwa Marii w sobie?

Nieskalanymi bądźcie sługami Niepokalanej Dziewicy!

1928.

NIESKALANI...

Duszę męską zdobić mogą bardzo liczne i nieraz wspaniale przymioty. W historii też każdego narodu spotyka się przepiękne typy mężów. Głęboki rozum, przedziwna intuicja, wieszczce natchnienie, talent wojenny, genialny artyzm, a obok tego żelazna wola, szlachetne serce, zdumiewająca pracowitość, bohaterskie poświęcenie... I ileż innych prawdziwie królewskich przymiotów... Zachwycają one, zdumiewają nieraz, budzą wolę naśladowania, świecą, jak jasne pochodnie, pokoleniom i pokoleniom...

A przecież jest jeden, który nie błyszczy zewnętrznym blaskiem, ni wspaniałością, ni rozgłosem, a mimo to tak jest piękny, taki świeży, radosny, dziwnie pociągający... Świat być może, wpatrzony w tamte wielkości, nie docenia go i nie wielbi, tak, jakby na to zasługiwał, ale ceni go wysoko, bardzo wysoko Bóg, ceni go sumienie ludzkie, radość znajduje w nim serce i wyrywa się ku niemu, jako ku diamentowi przepromienionemu światłem słonecznym.

To czystość!

Czystość, która zamyka w sobie i mądrość, i szlachetność, i męstwo, i bohaterstwo, i ofiarność; czystość, która charakterowi męskiemu nadaje jakąś zaziemską poświatę, nieuchwytną i nieokreśloną, a taką niepojęcie piękną, zachwycającą...

Ta czystość ma w roku swój dzień, swoje wielkie święto — Dzień Niepokalanej...

Błogosławiona dusza młodzieńcza i męska, która w ten dzień jasne oczy podnieść może ku Przczystej Dziewicy i w poczuciu pełnej czystości i najgorętszego jej pragnienia cieszyć się i radować tym przedziwnym przywilejem Marii, którego jakoby cząstkę nosi w sobie przez panowanie nad niższą częścią ludzkiej natury, przez poskromienie sił grzechowych, przez silny, zdecydowany pęd ku nieskalaności myśli, słowa, życia całego męskiego.

I błogosławiona dusza młodzieńcza i męska, która znoi się i walczy dla zdobycia tego ideału, dla zachowania i ustrzeżenia skarbu czystości, tego rysu najbardziej synowskiego podobieństwa do Matki Ukochanej, Niepokalanej, Najświętszej...

To Jej — czystości dzień, to Jej święto...

A Sodalicja Mariańska, nasza sodalicja, czystą, nieskalaną młodość swoich członków, swoich chłopców najmilszych uważa za jeden z najpierwszych celów, najpierwszych serdecznych wysiłków swoich... Do stóp Przczystej Panny wieść pragnie nieskalane serca młodzieńcze, chronić je od złowrogiej iskry pożądań, od bagiennych powiewów zepsucia, od burz i pokus namiętności...

O! Pozwólcie, by wasza sodalicja zawsze mogła stać na straży czystości dusz mariańskich, pozwólcie, by wam bronila klejnotu czystości i nieskalanych brudem doprowadziła kiedyś do Pani naszej Niepokalanej...

1935.

IV.

SODALIS U ŻŁÓBKA

Boczna kaplica kościoła... może osobny ołtarz gdzieś w nawie... a na nim stajenka betlejemka. Pod daszkiem słomianym... w grocie, klęczy Maria wpatrzona w Dziecinę, położoną w żłóbku, uwinioną w pieluszki. Obok Staruszek-Opiekun, św. Józef, stanął i adoruje Jezusa. Opodal wół i osioł... Pastuszkowie zbiegają się do szopki. Zdjęli kapelusze wielkie, szerokie, zniżyli kije swe pasterskie; jedni grają na fujarkach i multankach, inni poklękali na mchu zielonym i składają dary... W górze aniołków roje — na modrym tle nieba się unoszą i śpiewają: GLORIA IN EXCELSIS...

Oliwna lampka u stóp żłóbka się pali, czerwone blaski rzucając do wnętrza stajenki. A przed szopką cisną się gromadki uszczęśliwionych dzieci. Ciągną za sobą matki, wspinają się na palce, rączkami wskazują coraz nowe szczegóły, wodzą roześmianymi oczętami po świętych figurach i szepczą, szczebioczą o Dziecinie Bożej, tak żywo, tak serdecznie, tak do głębi przeżywając świętą noc narodzin...

Wśród tych radosnych dziełek przed laty może niewielu byłeś i ty! — Pamiętasz?

Ach, tak! Bo któżby zapomniał o tych najslodszych chwilach dzieciństwa, o tych najmilszych na całe życie wrażeniach z przed Jezusowego żłóbka.

Pójdź tam i dziś, sodalisie drogi, wraz ze mną!

W długich, wolnych chwilach świąt wynajdź jedną, spokojną i przyjdź na minut parę, jak niegdyś — do żłóbka, do Dzieciny w twoim ulubionym kościele. Uklęknij cicho, podnieś oczy i patrz! Duszą całą zapomnij o dzisiejszym dniu, a przenieś się do Betleemu, do stajenki i rozważ na chwilę tajemnicę Słowa, które się ciałem stało...

Z tajemnic naszej świętej, ukochanej wiary — to tajemnica jedna z najgłębszych i najświętszych, a zarazem — rzecz dziwna, prawda? — jedna z nam najbliższych...

Bóg — człowiekiem! Bóg jednym z nas... I taki ubogi i taki kwilący i taki nie poznany przez współczesnych, a taki kochający. W maleńkie rączęta Swoje, które wyciąga ze

żłóbka, radby objąć i do serca przycisnąć cały świat, wszystkich ludzi i ciebie — ukochany mój.

Patrz! Gdy te rączki urosną, pracować będą w znoju... czarne, zgrubiałe, robocze na chleb codzienny i uświęcać pracę ludzką... Potem kłaść się będą na czoła zbolale, na cierpiące ciała i dusze, i nieść im będą łaskę, win odpuszczenie, zdrowie... I płynąć będzie przez nie nieustannie miłosierdzie i cuda. A potem jeszcze te same ręce przebite niemilosierdzie wyciągną się na krzyżu miłościwie, serdecznie za wszystkich i dla wszystkich... sprawiedliwych i grzesznych, wrogów i przyjaciół... Za wszystkich — więc i za ciebie...

Czy nie czujesz, jak serce twoje bić zaczyna coraz większą miłością ku tej cudownej, miłującej cię Dziecinie? Pomyśl, jak przez wieki i dziś powtarzają się nieustannie te btlemskie chwile... Jezus stanął na ziemi, a któż Go zna i wita? Maria, Matka Najświętsza i Józef, anieli i pasterze... Potem Mędrcy ze Wschodu... Ale wielki świat? Potężny, bogaty, uczony... Czy wiedzą co o Nim choćby w Jerozolimie? a w Atenach? Koryncie? Rzymie? Za trzydzieści lat zaledwie ukaże Go Jan rzeszom, wołając: *Oto Baranek Boży!* Ale mimo to przedtem i potem dla tysięcy i tysięcy prawdą bolesną zostaną Janowe słowa: *W pośrodku was stanął, którego wy nie znacie* (Jan 1, 26) i te słowa drugiego Jana, Apostoła i Ewangelisty: *Przyszedł do własności, a swoi Go nie przyjęli* (Jan 1, 11).

Sodalisie drogi, wpatrz się w Boskie Dziecię, leżące oto przed tobą w lichym żłóbeczku i spytaj się we własnej duszy, czy znasz Jezusa?

Czy znasz Jego życie i Jego naukę, nie tylko ze szkolnej lekcji, ale z własnego zamięłowania i lektury? Czy znasz Jego osobę Boską i Jego cudowne człowieczeństwo? Czy żyjesz z Jezusem, jak z kimś żywym, kochanym? Czy On jest naprawdę dla ciebie Mistrzem młodości, Idealem wybranym, Przyjacielem i Powiernikiem? Czy szukasz Go, a żarliwie w Najświętszym Sakramencie, czy gościsz Go w młodym sercu twoim, a często, a serdecznie?

Czy całą swoją duszą, całym życiem jesteś naprawdę, istotnie wyznawcą i synem Chrystusa — chrześcijaninem?

Czy może? — nie! to niemożliwe u sodalisa — Jezus jest dla ciebie kimś bardzo czcigodnym, ale obcym, ale dalekim, ale obojętnym?

Kłęcząc dziś, w cichej chwili świątecznej u stóp żłóbka, staraj się rozważyć to jedno pytanie i znaleźć na nie odpowiedź. Czy i w jakim stopniu ty jesteś naprawdę chrześcijaninem?

I gdy się zawstydzisz w duchu i gdy serce twe żywiej uderzy i miłością tej cudownej Dzieciny się rozpali, wstań z twych klęczek przed żłóbkiem i idź tam, gdzie wieczna mi-goce lampka... Tam, w tabernakulum znajdziesz twój Je-zusa... żywego, prawdziwego, utajonego Boga-Człowieka. Kończąc twe święte rozważania, padnij przed Nim na twarz i, adorując Dziecię Boże w Eucharystii, adorując Je z Marią i Józefem, aniołami, pasterzami i królami, z milionami miłujących Je dusz, ślubuj Mu i przyrzekaj być zawsze chrześcijaninem, tak, jak dziś to pojąłeś i tę obietnicę, ten ślub, ten obowiązek weź z sobą dziś z przed żłóbka i tabernakulum, weź jako twój ideał sodalicyjnej służby i czynu na Nowy Rok i na zawsze.

1920.

Z OPLĄTKIEM...

Chcielibyśmy z białym oplątkiem w cichy wieczór wigilijny znaleźć się w każdej z naszych sodalicyjnych rodzin... Chcielibyśmy dłoń spracowaną uścisnąć naszym przezacnym współpracownikom, kapłanom, chcielibyśmy wyciągnąć rękę do naszych ukochanych sodalisów i dać im bratnie pocałowanie miłości... Chcielibyśmy oplątek nasz łamać na tyle cząstek, ile serc bije w drużynach naszych mariańskich miłością Boga i Ojczyzny i razem z nimi śpiewać chwałę na wysokości Bogu i pokój wieścić Chrystusowy na ziemi ludziom dobrej woli... Chcielibyśmy...

Gdy nie możemy, duchem przynajmniej idziemy w sodalicyjne grona nasze i życzenia niesiem wigilijne, noworoczne, serdeczne...

Niech wam szczęści Boża Dziecina, stokrotnie, przeobficie. W orce waszej na roli dusz i siejbie ziarn Bożych serdecznej, niech wam plony daje bogate w Bożą moc, w życia treść, w gorące młodzieńczych serc! Na Nowy Rok niech nowe stwarza życie i nowych darów udzieli. By rosły wam serca, by prężyły się piersi młode zapalem przeogromnym, by rwały się

dłonie do pracy, tej najmilejszej, choć znojnej a ciężkiej, pracy nad sobą i pracy dla drugich.

Niech okrzykiem tej pracy na Nowy Rok będzie głos wielkiej duszy Pawłowej: «Nam żyć jest Chrystus!»

U stóp Dzieciny, w złóbkku rączęta Boże wyciągającej ku wam miłościwie, bierzcie w swe serca Jej życie i życie nim młodzieńczo, gorąco, podniosłe. Bierzcie to życie Jezusowe w dusze w anielskim chlebie Eucharystii. I żyjcie! Wy do życia stworzeni i do życia się rwący! A oto wigilijny opłatek — tego życia symbol i zapowiedź. Z «Domu Chleba» — z Bethlehem wam go przynosim. Pożywajcie darów Bożych z radością, wzmacniajcie się i bądźcie silni, niezwalczeni, nieugięci w obronie ideałów waszej, Chrystusowej do dna, młodości i tacy idźcie w Nowy Rok! Pan z wami i pokój Jego i chwała jako Jednorodzonego od Ojca, pełnego łaski i prawdy...

1922.

V.

NA NOWY ROK

1.

Zdałoby się, że ów 1-szy stycznia, wracający co roku w kalendarzu, to dzień, jak setki innych, to czysta konwencja ludzka, od niego licząca nowy okres czasu.

Boć przecie ani w przyrodzie, ani w obiegu ziemi dokoła słońca, ani w życiu człowieka ten specjalnie dzień niczym nie różni się od swego poprzednika czy następcy...

I dekret Juliusza Cezara z roku 46 przed Chr. przenoszący w ślad za reformą kalendarza początek roku z 1 marca na *Calendae* Janusowego miesiąca, nie był niczym innym, jak konwencjonalnym rozporządzeniem bez głębszej treści.

A jednak taka była potęga tej konwencji, że państwo za państwem i lud za ludem oznaczać poczęły na ów dzień początek nowego roku.

Przyjął tę rachubę i Kościół katolicki. Przyjął ją mimo wewnętrznej, najgłębszej niechęci do owego dnia, który Rzymianie święcili, nie! — bezczęścili raczej wyuzdaną zabawą, rozpustą i pijaństwem, na jakie gromy słusznego potępienia

rzucała i władza duchowna i Ojcowie Kościoła w swych epokowych kazaniach i pismach.

A przyjął nie tylko dlatego, że bliską mu zawsze była kultura Rzymu, w którym siedzibę obrał na wieki dla swej Głowy, z którym zrósł się na wieki w języku i cywilizacji, po wszystkie czasy rzymsko-katolickim się zowiąc, ale przyjął przede wszystkim dlatego, że dzień ów, święty dzień nadania Dziecięciu imienia Jezus, oktawą był Jego najdroższych Narodzin, że przez to zespolił się po kres świata z nową erą, z nową epoką dziejów ludzkości, epoką, którą odtańd znaczyć już będą na zawsze owe tajemnicze, w treści niesłychanie przecież głębokie litery każdego nowego roku, aż po przyjście powtórne Pana na sąd — *A. D. p. Chr. n. — Roku Pańskiego po narodzeniu Chrystusa...*

I tak dzień konwencjonalny, dla milionów ludzi pozbawiony treści i znaczenia poza banalnym życzeniem, toastem czy podarkiem, dla nas wierzących, dla nas katolików kryje w sobie wielką głębię i całą skarbnicę myśli...

I jak przed dziewiętnastu wiekami poczęła się walka między chrześcijańskim a pogańskim poczynaniem roku nowego — tak trwa do dziś!

W sylwestrowy wieczór wypełniają się świątynie rzeszami wiernych, nad którymi wysoko unosi się złota monstrancja, a w niej — KRÓL WIEKÓW ukryty w Hostii nieskalanej, odbiera hołdy i dzięki i przebłagania za rok stary, a słucha miłościwie próśb ludu Swego o łaskę, o zmiłowanie w roku nowym...

Rozbrzmiewa przebłagalne *Przed oczy Twoje Panie*, które może nigdy nie bije w niebo z taką potęgą uczuć i łez, i żalu, a potem z oczyszczonych nimi serc rozdzwania się tryumfalne *Te Deum laudamus* za wszystko, za wszystko, co dał, użyczył, ziścił w tym starym, kończącym się roku...

To jest rok nowy chrześcijański. *Annus Domini post Christum natum...*

A równocześnie, o tej samej porze i potem przez całą noc, spadkobiercy pogańskich *Calendów* święcą zmianę roku na sposób pogański, w oną straszną, szatańską sylwestrową noc!

Dwa światy, dwa obozy, dwa duchy — zawsze naprzeciw siebie!

A my?

Ach! któżby wątpił!

Po Bożemu skończyliśmy rok dawny, dzięki czyniąc, korażąc się i kajając...

Po Bożemu poczynamy nowy, w prośbie i głębokiej ufności...

Niechże więc dla nas, dla naszych rodzin, dla naszych sotalicyj i prac — ten nowy rok będzie ROKIEM PAŃSKIM!

Niech na każdy dzień uświęca go słowo modlitwy, wysiłek charakteru, danina obowiązku i pracy.

Niech z nami i w nas z rosnącym w swe dni rokiem — rośnie Dziecina Boża przez łaskę i cnotę, aż wedle słów Pisma *wszyscy zejdziemy się w jedność wiary i poznania Syna Bożego, w męża doskonałego, w miarę wieku zupełności Chrystusowej* (Ef. IV, 13).

1927.

2.

Starzec zgrzybiały, wyczerpany życiem i walką, patrząc przygasłym okiem na zmieniającą się w dzień Nowego Roku liczbę lat, mimowoli sięga pamięcią w przeszłość, wspomina i liczy przeżyte dni swego żywota i pyta w głębi ducha: azali to dla niego rok nie ostatni, azali to nie rok kresu i sądu?

Dojrzały człowiek, ojciec rodziny i obywatel swej ojczyzny, rok stary żegna, zwłaszcza w dzisiejszych warunkach, z uczuciem pewnej ulgi, że skończył się, że przeszedł i w nowy patrzy z niepokojem i trwogą, czy gorszy od poprzednika nie będzie i myśl swą wznosi ku Przedwiecznemu Ojcu, w ten jeden dzień goręcej, niż zwykle, polecając Mu siebie i ukochnych, najdroższych...

A młody?

On może najmniej w wiosnie swojego życia zwraca uwagę na tę wielką i ważną chwilę, mechanicznie nową cyfrę dopisuje w dacie, gniewny na początkowe omyłki i głębiej już myślą nie sięga. Zresztą jemu się spieszy. Spieszo mu do celu, do ukończenia gimnazjum, matury, uniwersytetu... Mijajcie lata... plyn czasie... byle prędzej, byle naprzód!...

O drogi mój! Przystanij dziś na chwilę, na moment w tym rwaniu naprzód, w tym locie młodości tak szybkim, tak gwałtownym. Dziś Nowy Rok! Ile takich dni zaczynających rok minęło już w twym życiu, a minęło — pomnij — bezpowrotnie? Rwieś się naprzód, do celu, do ideału? To dobrze, to szlachetnie. Ale pamiętaj, że nie możesz ku nim rwać i pędzić, lekceważąc i marnując czas młodości.

Wśród wielu klejnotów, którymi Bóg na drogę życia wywianował przed laty twą dziecięcą duszyczkę, był jeden wielki, wspaniały, przebogaty... Wiesz, jak on się zowie? Czas! I zwłaszcza i przede wszystkim czas młodości. Klejnot wielki, bezcenny, więc właśnie dlatego większego już trzeba i głębszego rozumu, by go poznać i ocenić. I pomyśl teraz, że rozeznanie, że pojmowanie zjawia się ogólnie w życiu ludzkim około szóstego roku. Więc pomyśl — już sześć lat odpada. Ale i dalej — w szóstym roku żadne dziecko nie pojmuje jeszcze wartości czasu. Staje się to w dziesiątym, w dwunastym, w czternastym... może i później dopiero. Ile tu chwil, ile dni, ile miesięcy i lat o zapoznanej wartości, ile dni, miesięcy, lat straconych, może zmarnowanych zupełnie...

I pomyślcie, drodzy sodalisi, czy dziś, u progu Nowego Roku ta myśl, ta wielka idea, że znów jeden rok legł w grób przeszłości bezpowrotnej, a znów jeden nowy się zrodził, nie powinna z całych sił wstrząsnąć waszymi młodymi duszami, nie powinna w ich głębie rzucić promienia olśniewającego światła, nie powinna zrodzić na cały rok — zbożnej refleksji i młodzieńczego hasła: Od dziś już nie tracić czasu nam!?

Nie utracaj dnia dobrego, a częśćka dobrego daru niechaj cię nie mija mówi Pismo święte (Ekkł. 14, 14), bo każdy dobry dzień, każda godzina dobrze użyta i przeżyta może ci wysłużyć wieczność błogosławioną. I zapewne jednym z największych, najboleśniejszych wyrzutów tych nieszczęsnych, co na potępienie idą, jest pamięć o zmarnowanych, drogocennych, a bezpowrotnych chwilach ziemskiego życia. Więc myśl, że Bóg nam daje nowy rok życia na pracę dla nieba, niech będzie nieustanną towarzyszką naszych prac, obowiązków i zajęć, a tarczą i dzwignią w pokusie.

A po wtóre — czas niezmienną ma wartość dla życia naszego tu na ziemi. Policzmy stracone dotąd w życiu chwile. Te kwadransy i godziny, które marnowaliśmy, «bo na tak

krótko do pracy zabierać się nie warto», te godziny stracone na bezczynności w dni wolne od nauki na święta i podczas wakacji, te godziny stracone nad bezwartościową, może złą książką, na bezmyślnej, dla zabicia czasu, rozmowie, lub w inny podobny sposób... Ileżby się z nich złożyło dni, może miesięcy, ile książek poważnych można było przez ten czas przeczytać, ile spełnić dobrych uczynków, ile przysług innym wyświadczyć, w końcu nawet o ile zwiększyć swój majątek, swoje oszczędności, a przez to majątek i oszczędności narodu i państwa?

Niestety! Przeszły, przepadły, nie wrócą drogie, bezcenne, zmarnowane chwile.

I co najdziwniejsze, że ci chłopcy, co najwięcej ich marnują i tracą, stale wzdychają: Ach, jak ja mało mam czasu, ach, gdybym ja miał czas!

Wszak znacie ich między sobą — a może — może wy sami należycie do ich grona? Przepraszam! Należeliście, bo od dziś przejdziecie do grona innego, do grona uczciwych, rzetelnych pracowników, ceniących i szanujących czas. Wszak prawda? Od dziś hasłem waszym: Nie tracić czasu nam!

A dokonacie cudów! Pisze jeden z angielskich autorów: «Na dokonanie ilu cudownych rzeczy starczy jedna godzina dziennie! Godzina codziennie, odkradziona lekkomyślnym igraszkom, a dobrze użyta, pozwala człowiekowi średnio uzdolnionemu, opanować całą gałąź wiedzy. Godzina dziennie w ciągu dziesięciu lat może zmienić prostaka na światłego człowieka. Przez godzinę dziennie zarobić można tyle, aby rocznie opłacić dwa dzienniki, dwa tygodniki, dwa miesięczniki i tuzin dobrych książek. Przez godzinę dziennie chłopiec może przeczytać uważnie dwadzieścia stron, to jest siedem tysięcy rocznie, czyli osiemnaście grubych tomów. Jedna godzina dziennie może stanowić całą różnicę między życiem pustym i czczym a użytecznym i szczęśliwym. Godzina dziennie może dać i nie raz dawała człowiekowi nieznanemu sławę, bezużytecznemu — zasługę dobroczyńcy ludzkości. Proszę tedy policzyć, ile możliwości tkwi w dwóch, trzech, czterech wreszcie, może i sześciu godzinach dziennie, trwonionych przez wielu młodzieńców na nieustannym uganianiu za uciechą i zabawą». (Marden).

Pomyślcie, sodalisi, że od nowego roku każdy z was dla Boga i Ojczyzny ofiaruje do skarbu sodalicyjnego jedną go-

dzinę rzetelnej, sumiennej pracy dziennie. To za każdym dniem przybędzie do tego skarbu kapitał olbrzymi, wprost bezcenny blisko 2.000 godzin pracy. A czy to postanowienie, ta ofiara niemożliwa? O, gdybyście ją podjąć chcieli!

Rozważcie, pomyślcie — i czyńcie!

W nowym roku ukochani młodzi przyjaciele idźmy wspólnie, razem pod hasłem szanowania czasu — idźmy w imię Króla Wieków Jezusa Chrystusa, któremu Kościół każdy Nowy Rok uroczystością nadania Imienia Jezus Dzieciątku poświęca, a okrzyk młodzieńczy: kochajmy pracę, szanujmy czas, niech będzie naszym serdecznym, wzajemnym, a owocnym, noworocznym życzeniem.

1921.

3.

W cudownie pięknym hymnie na cześć Najśw. Sakramentu *Sacris solemniss*, który wypłynął z natchnionej duszy największego filozofa chrześcijaństwa, św. Tomasza z Akwinu, a który stał się prawdziwą perłą kościelnej liturgii na dzień Bożego Ciała i oktawy, zaraz w pierwszej zwrotce słyszymy potężne, lapidarne wezwanie teologa-poety:

*Recedant vetera, nova sint omnia
Corda, voces et opera...*

*Niech znika wszystko — co stare...
Nowym niech wszystko będzie
Myśli i słowa i czyny...*

Jest rzeczą uderzającą w całym kulcie katolickim, we wszystkich świętach i uroczystościach, jak mocno, jak wyraźnie przewodnia ich idea łączy się zawsze z duchowym odnowieniem katolików. Wprawdzie u wielu z nich — niestety — zeszyły owe święta do czysto formalnych rocznic i uroczystości, ale to ich wina, że nie żyjąc życiem Kościoła, nie potrafią czerpać z głębi jego duszy, nie zdołają nigdy dotrzeć do wnętrza jego myśli i serca.

Nie jest więc ono duchowe odnowienie człowieka moralnym nakazem li tylko uroczystości Bożego Ciała. Równie głęboko, równie potężnie tkwi ono w majestatycznym obchodzie Wielkiej Nocy, we wzruszających misteriach Bożego Narodze-

nia, w uroczystościach mariańskich, apostołskich czy wreszcie jakiegokolwiek świętego.

Dzień Nowego Roku nie jest właściwie uroczystością kościelną.

Wszak to dawne, rzymskie i pogańskie *Calendae Januarii*... Dla nas przecież uświęcone dniem oktawy Bożego Narodzenia, dla nas święte i pamiętne nadaniem Dziecięciu imienia Jezus i stąd czerpiące swój chrześcijański charakter.

A przeto, jeśli dzień Nowego Roku w tak bliskim, tak głębokim związku zostaje z uroczystością Narodzin Jezusa, które zarówno przez Adwent, jak przez całą już własną liturgię nawołują nas do wewnętrznego odnowienia, to wolno nam, wolno z pewnością jak nad triumfalnym łukiem procesji Bożego Ciała, jak nad ubogą szopą betleemską — i nad bramą Nowego Roku, wiodącą nas w nową przyszłość, umieścić złote słowa św. Tomasza:

*Recedant vetera... Nova sint omnia!
Corda, voces et opera.*

I to nasze najserdeczniejsze noworoczne życzenie!

Nowym niech wszystko będzie!

W Jezusie Chrystusie schodzącym na świat i w blaskach nocy betleemskiej, wiodącym nas w rok nowy życia i prac, zmagania i walk, zwycięstw i może... upadków — odnowmy się wewnątrz! Zewleczmy z siebie człowieka starego — a w nowy rok idźmy jako ludzie odnowieni. Niechaj odnowią się w źródłach łaski Jezusowej myśli i serca, niech odnowią się słowa i czyny. Niech odnowi się nasze życie indywidualne, nasze życie rodzinne i życie społeczne, organizacyjne w sodalicjach naszych. Niech jego hasłem, pobudką, ideą naczelną w Roku Pańskim 1928 będzie Tomaszowe wezwanie i nakaz serdeczny:

*Nova sint omnia!
Corda, voces et opera!*

1928.

VI.

NA PROGU NOWEGO PÓLROCZA

Pierwsze półrocze szkolne skończone. Skończony i stary rok. Przystańmy na chwilę w zawrotnym pędzie dzisiejszego życia, spojrzymy wstecz i spytajmy o nasze hasło.

W poczwórnej dziedzinie nakreśliśmy je sobie niegdyś u skłonu wakacyj nad rozpoczynającą się pracą sodalicyjną. Jakież zdobyliśmy wyniki?

W pracy nad sobą, nad charakterem najpierw. Ileż słyszeliśmy egzort i przemówień, referatów i dyskusyj... Ile razy uczestniczyliśmy w Najświętszej Ofierze, w nabożeństwach, ile razy ręka kapłańska w świętym Sakramencie Pokuty nakreśliła nad nami błogosławiony znak odpuszczenia i u stopni ołtarza podała Hostię Przeświętą w Komunii?... Ile modlitw, adoracyj... A przy tym wszystkim, co dawał nam Bóg miłościwy, ile naszej osobistej pracy, wysiłku, postępu? Może świadczą o nim te małe kratki przedostatniej strony miesięcznika, gdyśmy w tajemnicy przed ludźmi, dla siebie tylko, znaczyli zwycięstwa i ofiary... Może tam gęsto od tych radosnych znaków na każdy, każdy dzień... Dałby to Bóg, bo przyjaciele młodzi, najdrożsi — czas nie stoi, życie płynie niewstrzymanym prądem ku brzegom oceanu wieczności i Pan na nas patrzy nieustannie, zali idziemy ku Niemu z coraz pełniejszymi dłońmi... z coraz bogatszą duszą...

A praca dla naszych najbliższych, dla domu rodzinnego? Pomnijcie dni kończącego się lata i długie dni wlokącej się jesieni i zimy, pomnijcie, ile tam było sposobności, by ulżyć w pracy tym, którzy nas kochają, którzy dla nas wszystko by oddali i czekali może tak zlaknieni na ten mały wysiłek, trud, usługę... od syna, od brata najmilszego. Czy się doczekali? Wszak i on członkiem rodziny, latoroślą pnia ojczyńskiego, co nie tylko bujnym kwiatem młodości ma się stroić i rwać ku słońcu, ale i owoc przynieść stokratny czasu swego i podporą być i pociechą ojcu, a matce... ukochanym...

A nasz warsztat szkolny? Od Boga nam dany, powierzony, z takim bogactwem nauki i wiedzy, środków i pomocy... Już

mamy w rękach świadectwa półroczne, te urzędowe, autorytatywne stwierdzenia naszych trudów w. postępie, posłuchu, karności, zachowaniu...

Ej, te sodalicyjne świadectwa! Czy wasza sodalicja mogłaby dziś położyć je z dumą na świętej płycie ołtarza Marii i rzec: O Matko Dobra, patrz! — tak się uczą Twój synowie...

Czy mogłaby je publicznie wystawić w sali swych zebrań i całą szkołę przywieść i zawołać: tak pracują moi członkowie?

Czy mogłaby?

Ach, może niejedno świadectwo szkolne sodalisa lepiej, by nie oglądało światła dziennego, bo takie marne i taki wstyd ze sobą jemu i organizacji niosące.

Przyjacielu, jakoś tu wszedł?...

Praca w końcu dla sodalicji i w sodalicji... Ten udział we wszystkich nabożeństwach i zebraniach ochotny, serdeczny, gorący — sumiennosc i punktualność, i zapał, i miłość... To moja, moja sodalicja, moja matka i mistrzyni życia przecie... A udział w dyskusji? Przejęcie się jej treścią, dobre, poczciwe myśli, gorące zachęty, bogate plany, silne postanowienia...

I zawsze i wszędzie ten wysilek, aby sodalicja była górą, była poważana, ceniona i stała naprawdę wysoko przez członków, przez ciebie.

Czy taka twoja tegoroczna, półroczna praca?

*Nowy Rok bieży,
W jasełkach leży,
A kto, kto?
Dzieciątko małe,
Dajcie Mu chwałę...*

Z pełnych, spracowanych dłoni, splecionych modlitwą, złączonych książką czy szkolnym zeszytem, gotowych na usługę domu, wyciągniętych ku sodalicyjnej, umiłowanej pracy...

Dajcie Mu chwałę na ziemi...

Dziś i na Nowy Rok i na zawsze...

1934.

NASZ OBOWIĄZEK

Minęła połowa roku szkolnego.

Szkoła wręczyła nam przed paru dniami urzędowe wykazy naszych postępów w nauce i zachowaniu. Jak one wypadły dla sodalisów? Chciejmy wierzyć, iż zupełnie dobrze. A jednak, gdybyśmy tak każdy z osobna zapytali się w duszy: czy nie mogły wypaść lepiej, znacznie lepiej?..

Powiedzmy sobie otwarcie, że dzisiejsze czasy zawiłanych stosunków powojennych, nieustannych wstrząśnień w naszym budującym się państwie, ogromnie trudnych warunków życiowych i szkolnych, nie są bynajmniej sposobne do cichej, spokojnej, wyteżającej pracy naukowej. Wszystko nas od niej raczej odrywa, jak ku niej pociąga. To też czytając całe szeregi czasopism młodzieży szkolnej, zarówno jak uniwersyteckiej w Polsce, widzimy z przykrym zdziwieniem, iż tego ważnego tematu wcale się tam nie omawia, wcale się nawet nie dotyka. Zdawałoby się, że uczciwą naukę szkolną i dobre w niej postępy uważa się za rzecz zupełnie prostą, zrozumiałą, samo przez się. Tymczasem wyniki klasyfikacyj szkolnych, egzaminów dojrzałości czy fachowych uniwersyteckich w Polsce świadczą, iż niestety jest inaczej. Fala lenistwa, wygody, bezwładu woli, zalewając społeczeństwa powojenne, dosięgła i młodzieży, i spiętrzyła się nad jej głową. Nie ludźmy się, dziś praca szkolna, szara, powszednia, a sumienna, wymaga w wyjątkowo ciężkich warunkach wyjątkowej siły woli i sumienności, wymaga oddania się jej w całości niemal, poza koniecznym wycoczynkiem i uczciwą od czasu do czasu rozrywką. A na te właśnie niezbędne przymioty dziś nas tak często i tak bardzo nie stać, choć rozumiemy, iż narodowi naszemu potrzeba przede wszystkim ludzi uczciwych i głęboko wykształconych, iż oni i tylko oni podtrzymają dawną, a zbudują nową kulturę duchową Polski i oni — i tylko oni będą mieli prawo być w przyszłości nie samozwańcami, ale powołanymi i godnymi przewodnikami społeczeństwa. Tymczasem co dzieje się tak często? Oto przy egzaminach przeróżnych padają nasi chłopcy, rzucający się najczęściej do pracy gorączkowo, w ostatniej chwili, po nocnej, powierzchownej i płytkiej, przy podniecającym dymie papierosów i całych szklankach czar-

nej kawy nauce, a zdają je dobrze, nawet doskonale koledzy-
żydzi, którym rodzice i starsi nieustannie kładą w głowę obo-
wiązek pracy, nauki i uzyskania stopnia, zanim rozpoczną ja-
kąś na szerszej arenie działalność. Nie dziw też, że coraz bar-
dziej wypierają oni polską inteligencję z należnych jej stano-
wisk. Dopóki tego młodzież polska nie zrozumie i nie naprawi,
nic jej przykrego położenia w tym względzie nie zmieni. A jak
wspomniałem wyżej, w tej chwili nic jeszcze na rychłe zro-
zumienie tego obowiązku u niej nie wskazuje. W organach
jej, nieraz doskonale redagowanych, czyta się dużo o różnych
ideologiach, orientacjach, organizacjach, na zebraniach i w re-
feratach słyszy się nieustannie o niezliczonych zagadnieniach
literackich, estetycznych, społecznych, nawet politycznych,
a głosu nawołującego do rzetelnej, codziennej pracy szkolnej
czy uniwersyteckiej niemal się nie dosłuchasz. Przecież to ta-
kie niesympatyczne, niemiłe!... Czyżbyśmy mieli zapomnieć, iż
po obowiązkach wobec Boga i rodziców, to nasz obowiązek
najpierwszy, najbliższy, nasz obowiązek stanu, czyżbyśmy jego
zdeptania nie mieli sobie uważać za grzech, grzech ciężki
względem Boga i Ojczyzny?

Tak nie powinno być, tak być absolutnie nie może w na-
szych sodalicjach. Sprzeniewierzylibyśmy się naszej idei, na-
szym zasadom i ustawom, gdybyśmy u siebie znosili i cierpieli
uczniów miernych, leniwych, fortelem szkolnym i sprytem
tylko, a nie pracą i osobistym wysiłkiem przechodzących
z klasy do klasy, uczniów o zachowaniu ledwie że przecięt-
nym, odpowiednim. Dla takich nie ma u nas miejsca, takim
nigdy nie damy w rękę medala Niepokalanej ni dyplomu so-
dalisa.

Dlatego hasłem naszym drodzy, ukochani sodalisi w no-
wym półroczu roku szkolnego, w całej naszej gimnazjalnej
czy uniwersyteckiej nauce, niech będzie od dziś świętość szkol-
nego obowiązku. Nie szczędźmy znoju ni trudu, nie szczędźmy
walki i wysiłku, bądźmy wszyscy dobrymi, najlepszymi w na-
szej szkole, w naszej klasie uczniami, by w przyszłości być
najlepszymi obywatelami, najlepszymi synami Kościoła
i Ojczyzny. Pracą i sumiennością z prawością charakteru po-
społu zyskajmy szacunek profesorów i poważanie naszych ko-
legów ze szkolnej ławy; pracujmy uczciwie, uczmy się dla lep-
szej doli naszej i Polski, a najlepiej przysłużymy się umiłow-

nej sodalicii i okażemy wszystkim, że ona chce i zdoła wychować krajowi ludzi możliwie najgłębiej wyrobionych, szlachetnych i prawdziwie wybitnych.

1924.

VII.

KARNAWAŁ

KSIĄŻĘ CZY MOLOCH...?

Przy wejściu na rzymski Kapitol od strony sławnego Forum Romanum widać do dziś dnia ruiny starej, pogańskiej świątyni. To templum Saturni. Bożek zasiewów, stary, italski bóg miał na tym miejscu od dawna swój ołtarz, aż mu w roku 497 przed Chr. wybudowano wspaniałą świątynię, w której podziemiach pod dobrą, jak wierzono, opieką spoczywał skarb państwowy rzymskiego imperium. Od najdawniejszych czasów z jego imieniem złączyło się wspomnienie szczęśliwego, złotego wieku szczęśliwej niegdyś ludzkości, o którym we wstępie do do swych *Metamorfoz* pisze Owidiusz. To też jego święto, przypadające w rzymskim kalendarzu na dzień 17 grudnia, święto jedno z najdawniejszych i najbardziej popularnych w Rzymie, miało przypominać, uzmysławiać powrót szczęsnych, radosnych czasów saturnińskich, wśród pieśni weselnych, wśród kaskad śmiechu, wśród uczt, płasów i tańców bez końca. Już za czasów cesarza Augusta rozbawionemu Rzymowi za mało było jednego dnia na Saturnalia, przeznaczono więc aż trzy, a od cesarza Kaliguli nawet pięć na coraz bardziej wyuzdaną, rozpustną orgię zabawy. Im słabszy był Rzym pogański, im bliższy upadku i grobu, tym więcej hulał i szalał bez pamięci. Aż legł i zginął na zawsze!

Kiedy chrześcijaństwo podbijało go sobie, nie mogło ustrzec się prześlizgnięcia się pewnych zwyczajów ludowych, pewnych tradycji i zabytków pogańskich do całokształtu swego życia. Zbyt one były silne, zbyt głęboko zakorzenione. I tak resztki, wspomnienia Saturnaliów przedzierzgnęły się rychło w karnawał, znajdując sprzymierzeńców we wszystkich, coraz to nowych ludach, przyjmujących chrześcijaństwo i z natury ogólnoludzkiej niepozbawionych pociągu do beztróskiej wesołości i zabawy.

Umiało też chrześcijaństwo szybko i stanowczo opanować i w należyte granice zamknąć owe taneczne i ucieszne porywy, zaznaczając im, jak później i owym walkom rycerzy rabusiów przez *treuga Dei* — kres bezwarunkowy u progów Wielkiego Postu, u świętych obrzędów Popielca, tak dalece, iż sama nawet nazwa «karnawał», w średniowiecznym włoskim języku pierwotne *carnevale* (od łacińskiego *caro* — mięso, i *levare* — podnieść, usunąć) oznaczała, jak widzimy, właściwie ostatni dzień zapust, gdzie po najhuczniejszej zabawie odbywało się owo usunięcie precz mięsnych potraw, czego ślady dzisiaj w pierwszym śledziu na Popielec zostały. Słusznie też i, po swojemu, dowcipnie lud włoski inne słowo *carnevale* podsunął znaczenie, rozdzielając je na *carne* i *vale*, co dosłownie znaczy «żegnaj mięso»! Prędko też sama nazwa karnawału, jak i czas zabaw za wzorem rzymskich saturnalijskich rozciągnęły się na znacznie dłuższy, niż same zapusty, okres czasu i objęły kilka tygodni już od Trzech Króli aż po samą popielcową środę.

We Włoszech, gdzie tradycje saturnińskie były najżywsze, cały ten okres zabaw przybrał najwięcej cech tradycyjno-ludowych, tam też nazwano go «księciem karnawałem».

I rok rocznie ów «książę» rozbawiony, roztańczony i zwykle niezbyt trzeźwy rozpoczyna w orszaku setek tysięcy, jeśli nie milionów ludzi swój zwycięski pochód po wszystkich już niemal częściach świata...

Wszystko zda się w tym orszaku tchnąć weselem i radością... wszystko błyszczeć złotem, grać barwami tęczy, poić się pieśnią, muzyką i tańcem...

A jednak, jeśli kiedy, to dziś, owo porównanie książęce już chyba nie jest na miejscu... nie na miejscu zwłaszcza, gdy patrzeć nam przyjdzie na rozbawioną dzisiejszym stylem (jeśli go się tak nazwać godzi bez ubliżenia stylowi) młodzież. Cały sposób i poziom zabawy, rodzaj tańców najnowszych, toalety kobiece i muzyka i trunkami płynący bufet wszystko to baczniej patrzącym, głębiej myślącym, a miłującym z serca młodych, nasuwa inne porównanie, jakże tragiczne, krew w żyłach mrozące.

Przechowało się w historii ludów semickich straszliwe wspomnienie bóstwa Molocha.

Straszliwe!

Oto potwór zbudowany z żelaza, z ogniskiem rozpalonym we wnętrzu. Na ponuro, przeokrutnie wyciągnięte ręce składają mu w ofierze niewinne dzieci, ustrojone w paradne szaty, z wianuszkami kwiatów na główkach. Rodzice sami je wiodą w podwoje groźnej świątyni, kapłani wrzucają je w płomieniste wnętrze, czyniąc zgłęb pieśni i bębnow i trąb, by płacz niewiniątek zagłuszyć, a wmawiając w nieszczęsnych ojców i stokroć nieszczęśliwsze matki, iż zaszczyt je spotyka w takiej ofierze...

A dziś? Nieopatrzni nieraz rodzice i wychowawcy sami dzieci swe prowadzą na dzisiejsze zabawy, stroją z ostatnim może wysiłkiem synów i córki, Molochowi-Karnawałowi na ofiarę, wśród hałaśliwej, jak nigdy muzyki, co zrywając z wszelką kulturą zabawy, wrzaskliwe piszczałki, grzechotki, gongi i bębny w barbarzyńskie melodie wprowadza. Świat wmawia w nich, że to zaszczyt, że to szczyt powodzenia i elegancji i hałasem balowej orkiestry zagłusza wyrzut sumienia, że oto giną w niej tak często setki młodych dusz, giną czyste, może dotąd niewinne, nieskażone serca, a młode ciała i organizmy starzeją się przedwcześnie w wykradzionych spoczynkowi nocach, w dusznej atmosferze sal balowych, w obfitych alkoholowych libacjach...

Nie! Drodzy czytelnicy, nie! To nie przesada!

Karnawałowy Moloch toczy się przez Polskę i rok rocznię porywa sobie ofiary. Karnawałowy szal unosi tysiące naszych dzieci, uczniów i uczenic... Nowoczesne tańce i powojenne zepsucie poziom zabaw obniżyły do niepoznania. Dla mnóstwa młodzieży stało się ideałem dojść do doskonałości w ekscentrycznych, dziwacznych, obrzydliwych nieraz ruchach nóg i całego ciała. Najwyższą pochwałą i uznaniem słowo jakiegoś zagranicznego skoczka: «Pan dobrze tańczysz». Dobrze — jak rodowity Hotentot czy Buszman!

Lecimy w dół, w przepaść bezdenną i giniemy, jak ćmy w ogniu. Kipi młoda, już i bez tych tańców i bez tej, w najwyższym stopniu zmysłowej muzyki, gorąca krew. Burzą się namiętności, napinają się już, już do pęknięcia młode, niewytrzymałe nerwy, płyną strumieniem grzechy, ciężkie grzechy myśli, pragnienia, czynu...

Potwór Moloch-Karnawał idzie przez Polskę i porywa sobie ofiary.

A na protest, a na okrzyk grozy, a na wołanie o ratunek nikt się już zdobyć nie może. Odzew biskupów naszych przebrzmiał i zginął — zgłuszony murzyńską muzyką, co jakby na ironię brzmieć poczyniała coraz częściej już nawet w dniach Wielkiego Postu...

Starsze społeczeństwo nie poczuło się ani na chwilę do obowiązku dobrego przykładu dla młodszego. Owszem i tu przeciwnie. Objawy, na które to młodsze musi patrzeć, które musi poznać, demoralizują je coraz bardziej i do reszty. Zda się pękły wszelkie hamulce, runęły wszelkie zapory.

Czy wiecie, iż dziś taniec, ów taniec tak nam obcy, zagraniczny, murzyński stał się potrzebą życia? Że ludzie z ulicy wchodzą do pierwszej lepszej kawiarni czy cukierni i puszczają się nagle, w najzwyczajniejszy roboczy dzień w bestroskie, godzinne płasy, przy dźwiękach huczącej muzyki, co płynie na ulice, dociera do fabryk i warsztatów, do głodnych i bezrobotnych, i wszędzie budzi nienawiść i zazdrość i bunt, który osłabia wewnętrzną spoiłość i siłę narodu i państwa.

Czy wiecie, że przeciw tym nowym tańcom budzi się na całym cywilizowanym Zachodzie reakcja, a ankiety rozpisywane na ich temat wśród lekarzy, artystów, nauczycieli dają przerażające swą grozą wyniki?

Czy wiecie, iż obcy przybysze, może jakieś wyrzutki własnych społeczeństw, często żydzi, przybywają do Polski jako mistrze, przodownicy owych tańców zamorskich i bez pytania o legitymowanie się jakąkolwiek wartością moralną swoją czy przeszłością, mają dostęp swobodny do wszelkich towarzystw i domów polskich, do klubów, które do niedawna szczyły się dobranym gronem członków?

Czy wiecie, iż ci goście, w których nieraz młodzież nasza widzi ideały i wzory najnowszego szyku i mody, zarabiają za kilka nocy tysiące złotych i wywożą je z waszej Ojczyzny, z której w duszy kpią i którą pogardzają.

Czy wiecie o tym wszystkim, wy, młodzi Polacy, sodalisi najdrożsi, i czy wam młodej twarzy nie zalewa rumieniec wstydu za to wszystko i czy nie zaciskają się wargi tym szlachetnym, najgorętszym postanowieniem bujnej, czystej, wierzącej w swoje siły młodości: Nie, tak być nie może! My musimy to zmienić, usunąć!

My młodzi, dla których w pierwszym rzędzie istnieje

w życiu przywilej radości słonecznej i czystej, my musimy zacząć się bawić inaczej, my musimy przywrócić polskiej zabawie karnawałowej jej dawne szlachetne, jej swojskie serdeczne oblicze.

My musimy, bo nas na to stać, bo mamy w sobie dość siły i potęgi, by stopami zaryć się w ziemię i zdzierzeć, a nie puścić Molocha do naszych szkół, do naszych domów, do naszych organizacyj młodzieńczych.

Nie puścim sami i budzić będziemy innych i wołać na alarm i trwogę, bo najwyższy to i ostatni już czas!

Ojczyzny naszej ukochanej nie zmogą bolszewickie bandy, co wkradają się w jej granice ze zbrodnią i łupieżą, nie zmogą flotyle aeroplanów, nie zduszą gazy trujące zachodnich wrogów. Obroni się! Ale zabić ją, zalać, zdusić może straszliwa trucizna duchowa, którą najpodstępniejszy wróg już nie kroplą po kropli, jak dawniej, ale całym strumieniem wpuszcza w żyły i arterie moralne Narodu i jego młodzieży. My, cośmy rycerską służbę ślubowali u sodalityjnego ołtarza, my, młodzi i najmłodszy, staniemy na straży przed tym wrogiem i nie damy naszej Polski, nie damy!!

1925.

VIII.

GROMNICZNE ŚWIATŁO

Okres Bożego Narodzenia w roku kościelnym możemy nazwać okresem światłości.

W adwentowe przedświty, u roratnich ołtarzy szczytu płonie świeca jasna, ozdobna... Światłość Chrystusa nadchodzącego głosi światu, przypominając ideę mesjańską, która przez długie wieki świeciła ludowi wybranemu, jak gwiazda przewodnia wśród mroków pierwotnej przewiny...

A potem przychodzą blaski stajenki z Betleem w ową cudną noc Narodzenia, która oświeciła wszystkich świat i skończyła panowanie ciemności.

Ale to jeszcze nie koniec.

Serce Boże nie zapomni o nikim.

W głąb i wzwyz

I przychodzi ów dzień czterdziesty od Narodzenia Dzieciny, dzień Ofiarowania w świątyni, gdy w ubogim orszaku Dziecięcia staje tajemniczy, święty starzec Symeon i w uniesieniu radości nucąc łabędzi śpiew Starego, konającego Przymierza, wieści nowe czasy i nowe niepojęte oświecenie...

A z duszy jego Kościół wyjmuje wielką ideę proroczą, a z ust jego przejmuje hymn, co w sobie całą przeszłość i przyszłość mesjańską zamyka i święcąc w dzień Ofiarowania symboliczne świece, każe śpiewać w procesji hymn Symeona i powtarzać zeń refren proroczy: *Światłość na objawienie poganów i chwałę ludu twego izraelskiego...*

Światłość na objawienie poganów...

Wiecznie trwające wypełnienie słów Symeonowych...

Wpatrując się w blask świecy gromnicznej, którą pobożność ludu wiernego poświęciła w prostocie umiłowanej Marii, do której przywiązała głęboką wiarę obrony przed gromami, którą tak cudnie włożyła w rękę umierających, jako światło przewodnie na ostatnią już, ciemną drogę śmierci... Wpatrując się w ów blask, szukajmy przecież jego właściwego znaczenia i właściwej myśli, najgłębszej myśli Kościoła, poświęcającego w on dzień symbol Chrystusa-Oświeciciela, *Światło prawdziwe, które oświeca wszelkiego człowieka na ten świat przycho- dzącego...*

Światłość na objawienie poganów...

Dwa tysiące lat minęło od dnia Ofiarowania...

Miliony dusz ludzkich oświeciło światło Chrystusowe, ale ileż milionów jeszcze *w ciemności i w cieniu śmierci siedzi*, zdala od Prawdy, zdala od światłości Bożej.

Tak tedy Symeonowe słowa i obrzędy Kościoła w ten dzień gromiczny myśl naszą i serce kierują ku nieszczęsnym synom ludzkim, pogrążonym do dziś dnia w pogaństwie i ku tym wielkim bohaterom Chrystusowym, którzy od wieków i wieków potem swoim i krwią serdeczną zraszają i użyźniają bezkresne pola misyjne.

Myśl naszą przeto i serce zwróćmy dziś za odgłosem słów Chrystusowego Piastuna w stronę dalekich misyj...

Wspierajmy je pomocą modlitwy, o którą tak gorąco proszą misjonarze nasi i ci najmłodszy chrześcijanie, narażeni na tyle walk, pokus, trudności...

Zwróćmy dalej ku nim naszą uwagę, nasze zainteresowa-

nie w lekturze, w referatach sodalicyjnych, w sekcjach i kółkach misyjnych.

A jeżeli i grosz jaki uda się zebrać i zaoszczędzić, choćby przez gromadzenie zużytych znaczków pocztowych, w miarę sił i możliwości przyjdźmy z bratnią pomocą walczącym nieraz ze skrajnym niedostatkiem misjom naszym.

Niechaj rozszerzy się serce nasze i obejmie wszystkie, wszystkie dzieci Boże swym wielkim, gorącym uczuciem.

Niechaj gromniczne światło jasno zapłonie dziś w duszach młodych, niech je zapali, rozgrzeje dla wielkiej sprawy oświecenia Prawdą Bożą dusz braci naszych pogańskich, a Światłość, która przed wiekami zesłała na ziemię *na objawienie poganów*, łaski Swej dobroci i miłości zleje na dusze nasze współpracujące w wielkim dziele przywiedzenia całej ludzkości do stóp prawdziwego, jedyne Boga.

1927.

IX.

WIELKI POST

Jest w niektórych polskich kościołach piękny zwyczaj, iż w ostatni wtorek zapustny, niedługo przed północą odzywa się dzwon na wieży kościelnej i bije długo, przeciągle, jękliwie... Biję na Popielec...

I nie można tego dzwonu słuchać bez głębokiego wzruszenia.

W duszy wierzącej musi wywołać on poważną bardzo refleksję, powiem więcej, uczucie jakiegoś przełomu, który dokonywa się w oną noc Popielca świętego...

W duszy wierzącej...

A my przecież wszyscy wierzymy, my chcemy, pragniemy wierzyć po prostu, serdecznie w to wszystko, czego nas uczy Kościół święty, Matka nasza najlepsza.

Jakżebyśmy więc przejąć się nie mieli Jej wielkopostnym wołaniem?

Każąc dzwonom bić na popielcową środę, każąc synom swym popiół święcony na głowy kłaść, a świątynie odzierać z ozdób i kwiatów i smętnie jeno w fiolety pokuty je stroić,

Kościół z całą powagą i surowością uczy nas o konieczności zastanowienia się nad sobą, nad naszą naturą ludzką, nad naszym życiem całym i celem, do którego dążymy.

Oстрым mieczem Słowa Bożego i Pokuty zadaje nam pe-wien, ale jakże błogosławiony gwałt, oddziela duszę od ciała, zanim to śmierć bezlitośnie uczyni i wskazując garść prochu z naszej cielesnej natury, każe żyć duchem i dla ducha.

Bolesna to dla dzisiejszych ludzi nauka, ale nauka ko-nieczna.

Ciało i jego kult dochodzący nie do ostatnich granic, nie do przesady, ale już do skrajnej obrzydliwości, do beze-ceństwa — zapanowały dziś w świecie.

W służbę ciała poszedł człowiek współczesny, niemal bez słowa protestu.

Skrajny materializm zabił w nim wszelką duchowość i jej pożądanie. Cały postęp techniki, wygody, komfortu poszedł na służbę li tylko ciała. Sztuka kulinarna stała się pierwszorzę-dnym zagadnieniem. Moda obwołana królową pospołu z nago-scią i bezwstydem. Literatura i sztuka w niewoli zmysłów i cielesności. Sport, nieraz z pogwałceniem dni świętych, wpatrzony w mięśnie tylko i mięśnie...

A z wysokości katedr mędrców i uczonych poszedł głos aprobaty jakoby najwyższej: człowiek to jeno wyżej ukształ-cone zwierzę... co dziś jest, a jutro przemija. Niechże używa, póki jest!

Dusza i nieśmiertelność, wiara i objawienie, nadprzyro-dzoność i łaska — przeżytkami uznane i niegodnym człowieka pojęciem.

I poszła ludzkość w zawrotny tan cielesności, zmysłowo-ści, rozpusty. Straszliwa obręcz materializmu zacisnęła się około szyi nieszczęsnego człowieka XX wieku. Na oczy zarzu-cono mu czarną płachtę doczesności i tak bez celu, bez świa-tła, bez ideału w takt pieśni hulaszcznej i szalonej muzyki, ka-zano mu iść przez marne, puste życie aż nad grobową kra-wędź... nad krawędź nirwany nicości.

Straszne to...

Z powagą wieków, z autorytetem Bóstwa, staje nad tą nieszczęsną, zgnębianą ludzkością Chrystusowy Kościół, nie-ustraszony i nadziemski, i wyciąga dłoń swoją i ubóstwianemu ciału naprzeciw okazuje garść szarego, mialkiego popiołu...

My, co duchem chcemy żyć i mamy odwagi i mocy Bożej dość, by murem stanąć i tamą się kłaść w poprzek gwałtownych, namiętnych prądów epoki ciała i zezwierzczenia człowieka, my w tym Wielkim naprawdę Poście, sypiąc popiół święcony na młode nasze, do życia prawdziwego rwące się głowy, ślubujemy Ukrzyżowanemu to jedno:

Duchem żyć.

Ducha nie gasić.

Duchowi podbić ciało na służbę.

I panem siebie być zawsze i wszędzie, choćby paliła się krew, choćby porywał nas żar, choćby zdało się nam, iż trupem w walce przyjdzie paść... My, których woła Bóg, byśmy Królestwo Ducha głosili ginącemu światu...

I to niech będzie nasz Wielki, Wielki Post...

1926.

SODALIS — I REKOLEKCJE SZKOLNE

Czy pomyślałeś, że w religijnym życiu twojej szkoły do-
roczne rekolekcje stanowią jeden z najważniejszych, jeśli
w ogóle nie najważniejszy moment?

A ty jesteś człowiekiem, który Bogu i sobie przyrzekł,
że pogłębi swoje życie religijne możliwie najbardziej i jeszcze
innym pospieszy z dobrą przysługą, zachętą, podniętą.

Czy zdałeś sobie sprawę, jaką sumę wysiłku kosztuje
twojego ks. prefekta przygotowanie rekolekcji, obmyślenie
i przewidzenie wszystkiego, zorganizowanie św. spowiedzi dla
tyłu i tyłu uczniów?

A ty przecież, jako sodalis masz być pomocnikiem i pra-
wą ręką twego księdza.

Więc co? — zapytasz. Cóż ja tu mogę pomóc, co dzia-
łać, wszak to nie moja, nie uczniowska dziedzina!

Jeszcze jak! — odpowiem.

Wspomagaj księdza prefekta i kapłana głoszącego nauki
i spowiedników, wspieraj dobrą wolę słuchaczy i penitentów,
kolegów twych, starszych i młodszych, gorącą na intencję re-
kolekcji modlitwą.

Wspomagaj i wspieraj to dzieło Boże dobrym, najlep-
szym z twej strony przykładem! Do rekolekcji rocznych je-

steś obowiązany i jako uczeń i jako sodalis (p. Ustawy zasadnicze sodalicji mariańskiej). Dusza twoja potrzebuje ich bardzo, bardzo. Tak mało czynisz dla niej w ciągu roku. Przeżyj rekolekcje jak najlepiej dla siebie. Ale i dla drugich.

Sodalis — to apostoł dobrego przykładu! To jego naczelny obowiązek!

Twoje skupienie, twoja pobożność, twoje oddanie się rekolekcjom całą duszą niech pociągną innych!

A przez to wszystko staniesz się pomocnikiem samego Jezusa! Ten Boski Pracownik winnicy Bożej, wyczerpany trudem nad zbawieniem dusz, skarży się ustami Izajasza: *Oglądałem się, a nie było pomocnika, szukałem, a nie było, ktoby ratował...* (63, 5).

Sodalisie — patrz ile dobrego możesz uczynić!

Pomocnikiem Bożym masz być!

Kapłanów Bożych masz wspierać!

Braci twej drogę ku Bogu ułatwić!

— — — — —
Czyżbyś mógł odmówić?...

1933.

X.

NA ZWIASTOWANIE

W pierwszych promieniach wiosennego słońca staje przed nami co rok nadziejska wizja Zwiastowania. W cichej, ubogiej izdebce Nazaretu dopełnia się tajemnica cudu nad cudami. Anioł Pański zwiastuje Dziewicy misterium Wcielenia... Na wargach Jej szept przyzwolenia: *Oto ja służebnica* — ledwie dosłyszalny szemrze... *I Słowo Ciałem się staje...*

Jak cichym i ukrytym było Zwiastowanie, tak i rocznica jego cicho nam przychodzi.

A przecie ze wszystkich świąt ona jedyna — tysięcznym dźwiękiem głosów podzwonnych niesie się po ziemskim okręgu...

Bóg, który wywyższa uniżone i pokorne z mocarzami równa, od wieków i na wieki wolą Kościoła swego nakazuje głosić światu cud Zwiastowania.

I biją dzwony na cześć Annuncjaty co dzień, co dzień...

Skoro świt perłowy dzień zapowiadać poczyna i skoro słońce do zenitu się wzniesie i potem, gdy w zachodu purpurowych obłokach na nocny spoczynek się układa.

Na Anioł Pański biją dzwony!

— — — — —
Sodalisi Marii, zali chylą się głowy wasze w pokłonie choć raz jeden w dniu, gdy wieczornych dzwonów echo was doleci?

O, zegnijcie kolana, odkryjcie głowy i złożcie pokłon korny Matce Dziewicy — na Anioł Pański.

1928.

XI.

NA ZMARTWYCHWSTANIE

Rezurekcyjne biją dzwony...

Przez ziemię całą, jak długa i szeroka, idzie potężne, powszechno-światowe już, jak powszechny Kościół, ALLELUJA...

Jakaś siła, jakaś moc nie z tego świata wstępuje w serca i dusze ludzkie, tak, że i one rozdzwiają się pieśnią zwycięstwa, poją się hymnem tryumfu, największego, jaki zna ludzkość, tryumfu życia nad śmiercią, łaski nad grzechem, nieba nad piekłem, Boga nad szatanem.

RESURREXIT!

Zmartwychwstał, jako powiedział. Zmartwychwstał i nie zawiódł tych, co uwierzyli weń i poszli za Nim, widząc w Nim swoje szczęście, swoje wszystko!

I stało się święto Jego Zmartwychwstania symbolem mocy, zorzą odrodzenia, wizją tryumfu...

I uciśnione dusze poły się u krynic wszechmocy, która trysnęła z głębin Jego grobu.

I zbolale serca krzepiły się i dźwigały w górę, wpatrzone w przejasną postać Zwycięzcy.

I zgębnione narody marzyły o swym Zmartwychwstaniu, ufne w wskrzeszenia moc Zmartwychwstałego.

Oto dlaczego dzień Zmartwychwstania był rozdartej, pogrzebanej Polski półtorawiekowym świętem nie tylko Wiary

i Miłości, ale niezłomnej, przeciwko wszelkiej nadziei —
NADZIEI.

Spełnił się śniony, marzony cud.

Polska zmartwychwstała.

Zmartwychwstało państwo, mocarstwo wielkie Europy.
Czy zmartwychwstał naród?

Ach, niestety, tu ciągle jeszcze trwa w nas wyglądanie
świtów zmartwychwstania.

Widzicie więc, czujecie już, czemu to święto jest jeszcze
nadal dla nas świętem narodowej nadziei.

A przeto jest świętem naszym, jest umiłowanym, symbol-
icznym dniem tej *zmartwychwstańczej* młodzieży, jaką jest
nasza młodzież sodalicyjna.

Otośmy rzekli sobie: idziem ku świtom zmartwychwsta-
na narodu, zmartwychwstania ducha Polski!...

Otośmy zbudzili już w sobie dusze, rozżarzyli iskrę Bożą
w nas, otośmy w sodalicyi i przez sodalicję zerwali się z gro-
bowej martwoty i bierności, i zapragnęli żyć pełnią życia,
Wiary i Łaski. Ale żyć nie tylko dla siebie...

Pojąwszy sami tajemnicę, chcemy z serca, by pojęli ją
wszyscy; skrzepiwszy własne serca i dusze, chcemy, by je
skrzepili bracia nasi wszyscy, dzień zmartwychwstania dusz
polskich dla Chrystusa chcemy, pragniemy dać wszystkim
w Polsce, w całej, wielkiej, potężnej, szczęśliwej Polsce.

Czujemy w sobie moc. Potęga Boga nad ziemię nas unosi.
Wszystko, co w siłach naszych, nie — nawet, co ponad siły —
uczynim, by przybliżyć ten dzień. A żeśmy młodzi, do mło-
dych idziemy z naszym hasłem zmartwychwstania. Wieścimy
im Alleluja, którego pragną ich dusze, szczerozłote, młode du-
sze polskie, jeno że słabe, drzemiące...

W rezurekcyjny bijem dzwon.

Na wielkanocną dzwonim pobudkę.

Chrystus wstał z martwych.

Młodzieży ukochana słysz!

Wstań i żyj!

1925.

ZMARTWYCHWSTAŁ...

1.

Jakiś dreszcz radości nie z tego świata przenika serca wierzących wśród onej niezrównanej liturgii Wielkiej Soboty, gdy u ołtarza Pańskiego kapłan w bieli szat świętych intonuje radosne *Gloria in excelsis*, a po świątyni całej idzie srebrny głos dzwonek, budzi stare, milczące w żałobie dzwony na wieżycach i niesie się światem wiosennym, słonecznym w onym weselnym *Alleluja*.

To echo rezurekcji, co nadchodzi, to jutrzienka słońca Zmartwychwstania...

Z serca Kościoła płynie radość, bucha niepowstrzymana pieśń wesela, bije moc nadprzyrodzonego szczęścia i uniesień, które łzawią oczy i ściskają za gardło jakimś serdecznym wzruszeniem, niezapomnianym i wielkim.

Poczucie siły — nieci zawsze w duszy człowieczej uczucie szczęścia.

I dlatego święto Zmartwychwstania jest nam tak drogie i tak cenne, bo bije zeń krynica najpotężniejszych wzruszeń mocy i radości.

W tej krynicy Bożej, krynicy, którą ostawił nam Pan Najlepszy zanurzymy dusze nasze tak bardzo słabe, tak często przybite i smutne.

Niech się okrzepią, niech się orzeźwią!

Nie żałoba, nie niemoc, nie ciemność, nie próżnia wieje z Chrystusowego grobu pieczary. Ale wesele, ale siła, ale światło, ale pełnia życia... Czyż to nie cud?

Przed nami w życiu zadanie wielkie, nad siły ludzkie może, zadanie zbudzenia ducha narodu i poprowadzenia go ku świtom duchowej rezurekcji. Zadanie to domaga się całej mocy ducha, całego entuzjazmu młodości, całej Wiary i Nadziei niezłomnej i Miłości już nie ziemskiej...

Wpatrzmy się przeto w Zmartwychwstałego Jezusa. On staje przed nami dziś jako Wódz i Mistrz.

Z jasności Jego ran bije ku nam wezwanie: — Na wszystko bądźcie gotowi, na mękę i śmierć nawet, jeśli spełnić chcecie posłannictwo wasze...

Z nieskalanych blasków Jego szat wołanie bije: — Czy-

stość i duszy biel zdobądźcie i ukochajcie, jeśli chcecie bym z wami zawsze był.

Z poszumu Jego sztandaru krzyk się niesie potężny: — Wiareę miejcie w zwycięstwo, w końcowy tryumf waszych znojęw i walk...

A my wielkim sercem, z Bożą mocą i Bożą radością w duszy okrzyknem Mu — idziemy Panie, Ty nas wiedz!

Duchową moc — tę od Ciebie, ludowi naszemu pragniem dać i pokazać, że jeszcze słabość i niemoc nie wszystkie objęła serca...

Nadziemską radość — tę Twoją, w życie braci chcemy wnieść i nauczyć ich, gdzie szukać wesela, co nie mija i szczęścia, co trwa na wieki...

Jeno Ty nas wiedz — Chryste Zmartwychwstały.

Bez lęku, bez niemocy, bez wątpienia i niepokoju idziem za Tobą w życie i czyn, w naród i kraj...

Przed namiś Ty... Przejasny, Promienny nasz Pan i Bóg...

1926.

2.

Patrzcie!

Piotr i Jan społem spieszą do grobu Jezusa.

Chwilę temu Maria z Magdali zdyszana przyniosła do wiecznika wieść niepojętą, iż *wzięto Pana z grobu* i oto ci dwaj, bez chwili namysłu, bez wahania biegną co sił, Piotr i *on uczeń drugi, którego miłował Jezus...*

Jan apostoł z całą swoją płomienną miłością, głęboką wiarą i nieskalaną duszą biegnie... i on — najmłodszy z apostołów i najbardziej umiłowany, wie dzie nas młodych za sobą do Zmartwychwstałego Jezusa...

Nie brakło go u stóp krzyża, nie może brakować go w tryumfalnej grocie Zmartwychwstania.

Tam, on — pierwszy sługa i sodalis Marii trwał niewzruszony, jedyny z uczniów, wierny do ostatka...

Tu — pierwszy u grobu, bierze nagrodę za miłość i wierność.

Tam na Golgocie, zwyciężając obawę i wzgląd ludzki, brał z wysokości krzyża pasowanie na sodalisa Matki Dziewicy — już na zawsze!

Tu — pierwszy z apostołów ogląda znaki tryumfu Jezusa i staje się uczestnikiem Jego zwycięstwa.

Idźmy za Janem sodalisi!

Odważni w wierze, wytrwali w cierpieniu, bohaterscy w walce, trwajmy u boku Matki naszej pod Jezusowym krzyżem obowiązku, pracy i ofiary. Gdzie Ona, tam i my być musimy, choćby poświęcić siebie do ostatka!

A Dobry Pan w nagrodę za wierność i nam nie odmówi cudów Zmartwychwstania i Tryumfu Swojego.

Przez wiarę, nadzieję i miłość złączeni z Piotrem i Kościołem, dobiegniemy i my do blasków ostatecznego zwycięstwa i ostatecznej, najwyższej nagrody...

Niech się więc krzepią serca, niech się prężą młode piersi i dłonie i krok szybki niech się podwaja — jako Janowi... Do Pana idziem, do Chrystusa Zmartwychwstałego bieżymy.

I nic już na świecie nie zawróci nas z tej drogi ku Niemu! Prawda, ukochani sodalisi?

1928.

POZNALI GO W ŁAMANIU CHLEBA...

(Łuk. XXIV 35)

Dzieje męki i zmartwychwstania Jezusa Chrystusa po wszystkie wieki nierozdzielnie złączyły się z Eucharystią.

Rodzi się ona w święty, przedśmiertny wieczór Wielkiego Czwartku jako zapowiedź Ofiary Krzyża, a tuż po zmartwychwstaniu w rękach znowuż samego Jezusa staje się tej Ofiary istotnym, rzeczywistym powtórzeniem...

Pod zachód słońca Wielkiej, największej w dziejach Niedzieli, w skromnej gospodzie Emausu, na onej pierwszej Wieczery, którą raczył przyjąć w Swym uwielbionym życiu, powtarza Jezus cud Wieczery Ostatniej i przez Eucharystię otwiera ziemskie, zaćmione oczy uczniów ku wierze w zmartwychwstanie, ku wierze w objawienie Swego Bóstwa...

I tak obraz Swego wielkanocnego tryumfu — On sam po wszystkie czasy zamyka w eucharystyczne ramy.

I tak za Jego wolą — Kościół święty po wszystkie czasy łączy i jednoczy rezurekcję Jezusa z rezurekcją duchową swych dzieci przez Wielkanocną Eucharystię..

Jesteśmy katolikami, a sodalisami będąc, powinniśmy być katolikami wybornymi. Mamy poznać Jezusa — całym, najgłębszym przekonaniem uwierzyć w cud zmartwychwstania, ów kamień węgielny naszej wiary, naszego katolicyzmu...

Ziemiński kąt widzenia, uparty racjonalizm i pycha naszego rozumu jakże bardzo *zatrzymują nam oczy* na fakta nadprzyrodzone, jak bardzo przyćmiewają wzrok duszy...

Nie masz dla nas innej rady, ni drogi, jeno ta, co wiedzie do Emaus!

Jako uczniowie *poznali Go w łamaniu chleba i otworzyły się oczy ich*, tak i my! W gorącym, serdecznym, najczęstszym łamaniu chleba eucharystycznego duszom naszym szukajmy, poznajmy i znajdujmy Chrystusa.

Dla wiary naszej naonczas nie będzie się *mieć ku wieczorowi ani się jej dzień nachyli*, jeno niezachwiana i niewzruszona, ofiarna i żywa świecić będzie jasno blaskami poranku zmartwychwstania, aż rozbłyśnie w zorzy ostatecznej rezurekcji naszej z Chrystusem na żywot wiekuisty...

1929.

XII.

NASZ MIESIĄC

Rozdzwoniły się wieżycy naszych katedr i kolegiat wspinałych... drewniane wieżyczki modrzewiowych kościółków rozśpiewały się cichymi dźwiękami sygnaturek... Na cały okręg ziemski leci i leci radosny gwar dzwonów...

Przyszedł maj!

W ciche, wiosenne wieczory... gdy słońce kłonić się zdaje w pokorze do stóp Królowej nieba i ziemi... gdy srebrny miesiąc wychodzi już powoli na swą nocną wędrówkę... wśród weselnego świągotu zwijających się tuż nad ukwieconą łąką i drogą polną jaskółek... idą rzesze na pierwsze majowe nabożeństwo. I jak w kościelnych dzwonicach — żywiej i weselej biją serca ludzkie... jako gwiazdy niebieskie — chylą się do stóp Marii dusze... a z piersi całych płynie radości pełna pieśń majowa:

*Chwalcie łąki umajone,
Góry, doliny zielone...*

I przez ziemski glob cały idzie w ten miesiąc cudowny
chwała Marii.

Zawsze cicha, zawsze pokorna i uniżona «Służebnica
Pańska» — dziś króluje! Jej pochód królewski idzie przez
świat...

Syn Jej Boski wniesiony w procesji na majowe ołtarze,
Sam On pochód prowadzi w hostii białej... a za Nim idą bi-
skupi i kapłani, uczeni i prostaczkowie, wielcy i mali, starcy
i męże, niewiasty i dzieci... Cały Kościół święty Chrystusowy
idzie w tę niezrównaną, majową pielgrzymkę... A jedni z pier-
wszych w nim, do stóp swej Pani... Królowej i Matki idą so-
dalisi — straż Jej przyboczna, huf Jej rycerski, zbrojny wiara,
płomienny miłością, a mocarny wytrwaniem i walką... niezwy-
ciężony! Idą z czołem podniesionym w górę, jasnym i śmia-
łym, z sercem bijącym chlubą świętą, z okrzykiem, w który
zamknęli całą swą młodość, czystą i górną — *My słudzy Marii!*

Maj to nasz miesiąc. Na honorową straż u Swych ołtarzy
woła nas w maju Pani nasza... Idziemy o Mario!

Na gorętszą niż zwykle modlitwę, na ofiarę przeświętą,
bezkrwawą przed Twym ołtarzem o świcie majowym, przed
pracą, przed szkołą — idziemy o Mario!

Do stołu Syna Twojego co tydzień, co dzień, ku Twojej
czci — idziemy o Mario!

Na ciche modły majowe u stóp Twych, na cudne nabo-
żeństwa wieczorne — idziemy o Mario!

Na pracę wreszcie i znój codzienny, na czystą służbę
obowiązku w domu i szkole, na orkę i siebie cnot Twych —
miłości i wiary, czystości i pokory i męstwa — idziemy
o Mario!

Ty nas prowadź i wiedz!

A gdy młodość przejdziem, by maj nasz radosny, gdy
lato życia miniem i jesień w złote plony obfitą — wołaj nas
o Ty — Matko nasza ukochana, wołaj na wieczny maj Twej
służby i zwól, zwól o Pani, byśmy Ci i wtedy rycerskim ozwali
się hasłem, co hasłem nam było dni młodych i życia ziem-
skiego — Idziemy o Mario!

1921.

MIESIĄC SODALICJI

Miesiąc Marii przychodzi... wonny, zielenią i kwiatami zdobny, rozśpiewany skowronczą pieśnią... najpiękniejszy miesiąc w długim roku. A ten miesiąc Marii — to nasz miesiąc, sodalisi drodzy! Któż z was nie cieszy się na te cudne dni majowe, na te poranki o wschodzie słońca może, spędzone na rannej modlitwie u stóp Jej ołtarza, na te niezrównanego uroku pełne nabożeństwa majowe wieczorem? A przecież nie w tych uczuciach, nie w uniesieniach poetycznych znaczenie mają naszego. Winien on być dla nas miesiącem wielkiego mariańskiego święta, ale jeszcze więcej mariańskiej służby i pracy, miesiącem rozżarzenia sodalicyjnego ducha i sodalicyjnych ideałów, o których może niestety w ciągu roku nieraz zapominaliśmy.

Dlatego u progu maja odnowmy nasz akt ślubu i poświęcenia się na Jej służbę i z odgłosem tych słów świętych zaznijmy na nowo iść ścieżką cnót Marii na każdy dzień, w każdej pracy, w domu, czy szkole, choćby najzwyczajszej, najbardziej powszedniej. Wszak w tej właśnie pracy Ona jaśniała! Sodalis do swej Pani, poddany do Królowej, syn do Matki winien być podobny, a jeszcze do takiej Matki!

Więc dzień za dniem idźmy w tym cudnym miesiącu za Marią. Niech nam serce powie, jaki najlepiej obrać sposób Jej uczczenia, jaką cnotę wybrać z Jej cnót nieprzebranej skarbnicy, jaką Jej złożyć modlitwę, ile razy ofiarować ku Jej czci świętą z Synem Boskim Komunię. Niech powie synowskie, kochające serce... A maj spłynie nam słodko, mile i owocnie a w łaski bogato pod macierzystym wzrokiem i u Serca Tej, którą w sodalicyj obraliśmy z taką radością na zawsze za *Panią, Orędowniczkę i Matkę...*

1922.

MAJOWY CZYN

Wraca nasz miesiąc. Mariański, sodalicyjny. Jeśli komu, to nam, sodalisom, drogi on wyjątkowo; jeśli komu, to nam nie trzeba mówić w nim o Przczystej Dziewicy, której ślubowaliśmy naszą służbę po wszystkiek czas młodości i życia.

Bo czyż nas do niej w nim wszystko nie zachęca, nie woła, nie wzywa? Rozśpiewany, rozdzwoniony świat, rozradowany Kościół, bijące żywiej serca, rozmodlone Niepokalanej dusze.

A przecież dla nas to wszystko winno być jeszcze za mało. I my chcemy zrobić coś więcej dla naszej Matki, i Ona od nas więcej się spodziewa. Miłą Jej nasza pobożność i pieśń majowa i majowe nabożeństwo. Miłe Jej bardzo te nasze ranne Msze i częste Komunie św. Ale najmiłszy Jej nasz czyn, nasza praca, nasz choćby jeden, ale rzeczywisty majowy wysiłek. Czynu żąda od nas Maria w tym maju. Potężnego, młodzieńczego, płomiennego czynu. Czyżbyśmy Jej mieli odmówić?

Pytacie wszyscy, jaki to czyn? Obowiązek w życiu naszym osobistym, apostołstwo dobra w życiu społecznym, szkolnym i sodalicyjnym.

Jakież to proste i jasne!

Nasz pacierz, nasze lekcje, nasze prace dla rodziny i domu muszą w maju żarzyć się zapalem, ofiarą, poświęceniem. Obowiązek ma w nich być ideą naczelną, tak jak był w życiu Marii, Tej zawsze i we wszystkim Służebnicy Pańskiej.

A w pożyciu z drugimi, w obcowaniu naszym z kolegami, przyjaciółmi, sodalisami promieniować musi apostołstwo dobra, apostołstwo Ducha Bożego i Bożej Miłości. Nam nie wolno dobrymi być dla siebie tylko! Nam nie wolno zasklepiać się w ciasnym kółku osobistej doskonałości. To egoizm, to lenistwo. Do drugich iść musimy z sercem i słowem palącym się miłością, przykładem własnym rozpalać mamy dusze bliskie nam i bratnie, i porywać je za sobą ku Marii, ku Bogu. To istota sodalicyjki, to jej rdzeń pacierzowy, to racja jej bytu i całej wielkości.

Do czynu zatem sodalisi! Do majowego czynu potężnej, płomiennej młodości naszej sodalicyjnej. Ukochajmy obowiązek, ukochajmy dusze naszych braci, choć jedną z nich uczynimy lepszą, pociągnijmy do Boga w tym maju. Uczynimy to dla Matki, a będzie to dla nas najpiękniejszy miesiąc roku i życia.

1924.

WIELKI MAJOWY DZIEŃ

Tegoroczny maj należyć będzie do historii.

Dlaczego? — spytacie.

Wspomnijcie dzień pierwszego kwietnia 1656 roku i to wszystko, co słyszała weń czcigodna katedra lwowska od króla, ukorzonego przed cudownym wizerunkiem Marii.

Słowa Jana Kazimierza drgały głębokim wzruszeniem... Cudowna obrona Częstochowy zbyt była blisko jego pamięci i serca, pamięci i serca wynurzającego się z potopu narodu.

I może dlatego właśnie, gdy minęło wzruszenie — uleciały z nim i słowa obietnic i ślubów...

Ani król, ani naród ich nie spełnił.

Przyszły dni upadku, niewoli i klęski...

Gruzy walącego się domu ojczyzstego jeszcze głębiej pokryły królewskie zamysły... zda się już na zawsze.

Ale ta, która chciała sama być nazwana i wzywana KRÓLOWĄ POLSKI nie zapomniała!

Powstało Jej Królestwo, odżyła Najjaśniejsza Rzeczpospolita i oto z jasnogórskiego tronu schodzi na jej ołtarze, ogłoszona we Lwowie królewskimi usty Monarchini, Królowa.

«...Ślubuję, że jeżeli za wielowładną przyczyną Twoją u Syna nad nieprzyjaciółmi zwycięstwo otrzymam, wówczas starać się będę u Stolicy Apostolskiej, aby ten dzień corocznie jako uroczysty i święty na wieki obchodzono...»

Za czasów wolnej Polski nie święcono jednak nigdy owego DNIA KRÓLOWEJ. Zaborcy zaś usilnie starali się do takiego święta w zdławionym narodzie nie dopuścić.

Aż przyszedł cud Zmartwychwstania.

Katolicka Polska domagała się wielkim głosem wprowadzenia ślubowanego przed półtrzecia wiekiem święta.

I przedziwnym zrządzeniem Bożym ten papież, który stał u kolebki odradzającego się Państwa, który w jego stolicy sakrę biskupią odebrał, który własnymi oczyma patrzył na Cud nad Wisłą wśród bolszewickiego potopu, daje nam święto Królowej Korony Polskiej i łączy je po wszystkie wieki z wielkim świętem narodowym, z rocznicą wiekopomnej Konstytucji Majowej.

Jakiż to zatem naprawdę dziejowy moment świta dla ka-

łockiej Polski w tegoroczny dzień 3-go maja, jakie potężne uczucia budzi on w wiernej Bogu i Marii, a na szczęście i za łaską Pana, tak potężnej, tak olbrzymiej większości Polaków!

A w nas sodalisach?

My — cośmy wzięli na barki nasze i ślubowali ze wszystkich sił dążyć przez pracę nad sobą i pracę dla rodaków do ziszczenia Kazimierzowskich ślubów — czy my tego dnia, dziś i już na zawsze nie mamy uważać za nasz dzień, za nasze wielkie, największe mariańskie, sodalicyjne święto?

Wyteżmy wszystkie siły duszy, zdobądźmy się na największy wysilek, aby ten dzień, ten maj trwał w nas, w duszach naszych, w służbie naszej mariańskiej, zawsze i zawsze.

Czy kobierce kwiatów i pieśń płaszęca i potoki słonecznych blasków majowych niesie nam czas, czy — co najcięższe — szary, mglisty, ponury dzień wlecze się i przygniata duszę beznadziejnym ciężarem znoјnej, powszedniej pracy, cierpienia i ofiary... w naszych duszach niech zawsze rycerski odzew brzmi, gromkie hasło sodalicyjnej pobudki, majowych dzwonów echo:

*O Bogarodzico Dziewico
Tchnij siłę w mariański ten zew,
Z otwartą stajemy przyłbicą
I serca Ci niesiem i krew!
Siac miłość będziemy
Wśród burzy i slot,
W zwycięski Ty powiedz nas szlak.
A gdy nam tchu będzie.
I mocy już brak
Do nieba pokieruj nasz lot!*

1925.

ZA POLSKĘ

Wraca maj.

Śród mrocznych dni jesiennych, długich zimowych wieczorów, śmiertelnej pustki i głuszy w przyrodzie wyczekiwany, wyniony miesiąc słońca i zieleni, kwiatów i pieśni słowiczej, słodki, ukochany maj...

Królowej swojej i Pani umiłowanej Kościół go poświęca.

W głąb i wzwyz

Przyoblec Ją chce w słoneczną łącie szatę chwały, w zieleń i kwiaty naszych pól i łąk, opiewać Ją pragnie radosnym kwileniem ptasząt, rozgłosem majowych dzwonów i pieśnią ludzką, serdeczną, uniesioną...

Królewski, radosny miesiąc maj!

A nam tak go bardzo potrzeba w naszej udręce. My przecież wiemy i wierzymy, że Ona, Pani i Matka jest naszą, wybraną od wieków Królową. My czujemy, że zawsze nam bliska, kochana w tym miesiącu schodzi do nas jeszcze bliżej, idzie na ziemię naszą polską, przez cały kraj, przystaje u kapliczek na rozstaju, a lud się Jej do stóp kloni, jak te kwiaty polne i trawy pod wichrem.

Więc gdy ból nam i troska tak głęboka utkwila w sercu, gdy niepokój targa nam dusze o Ojczyznę serdeczną, spieszymy w maju z błaganiem do Marii.

Złe dzieje się w Polsce. Bardzo źle. Gorzej, niż sądzimy i przypuszczamy. Pomimo wszystkich wybuchów patriotyzmu, mało kto naprawdę myśli o Ojczyźnie i tylko o Ojczyźnie. Ciasnota interesów osobistych i partyjnych, chorobliwe ambicje jednostek i stronnictw, jaskrawa nieuczciwość, potępięcze swary i niezgoda, zanik woli, niepojęty brak odwagi, by rzeczy nazwać po imieniu i nie bać się narazić i nadstawić, ruina gospodarcza, upadek obyczajów i czystości życia, i to najgorsze, przeklęte, a niestety polskie do samej głębi: «jakoś to będzie» — to wszystko razem w jakiś tragiczny, pogrzebowy wieniec splecione, otoczyło Rzeczpospolitą i dusi wężowymi sploty.

Nie nasza rzecz dziś ratować i leczyć. Młodziśmy. Ale kto jeno z nas myśli i czuje, kto jeno umie patrzeć, kto umie słuchać, ucha przyłożywszy do ojczyściej ziemi, ten rozumie, co się nam za przyszłość gotuje, ten wzdryga się na myśl samą, która potwornie wierci gdzieś w mózgu, draży w głębinach serca, tak rozpacznie, tak uparcie, myśl złowroga, okrutna o tym, co przyszłość przyniesie.

Więc cóż nam zostaje innego, jak pracować i modlić się?

Wierzmy całą duszą w Boga ojców naszych na niebie i kochamy Marię. W tym maju, w tym Jej miesiącu rzućmy się wszyscy w błaganie, w modlitwie, we łzach i prośmy jednym, zgodnym, potężnym chórem młodzieńczym o ratunek, o zlitowanie, prośmy za Polskę.

Niechaj nie będzie sodalicyj ani jednej, któraby nie urządziła w tym maju osobnego nabożeństwa za Ojczyznę, któraby nie wołała do modlitw stałych, nie głosiła dobrowolnych ofiar, aktów, słuchania rannej Mszy świętej, przyjęcia częstej, codziennej Komunii za Polskę.

Idźmy do Marii.

Z całą potęgą ufności.

Idźmy sami, porwijmy za sobą innych, rodziny, młodzież, dzieci, niech ten miesiąc spłynie pod hasłem wielkiej, nieustannej modlitwy wszystkich za Ojczyznę.

Mówmy Marii bez ustanku, bez wytchnienia: «Pomnij, że od wieków nie słyszano, abyś odmówiła, nie słuchała...

Ratuj nas, bo giniemy. Jakoś ratowała czasów potopu szwedzkiego, jakoś krzepiła czasów rozdarcia, jakoś zbawiła w nadwiślańskim cudzie pamiętnym...

Matko nie odmów, wstaw się, ubłagaj lepszą dolę, lepszych ludzi, lepszą przyszłość dla Twojej Polski.

Nie daj zginąć narodowi, co od zarania, od jutrzeńki swych dziejów służy Ci, wielbi Cię i miłuje... Azali odmówić możesz — Ty — Matka proszącym dzieciom? O Mario!

Dawna nasza Ty Królowo

o Mario —

Ty za nami przemów słowo

o Mario —

Ochromiałym podaj rękę,

Niewytrwałym skracaj mękę,

Twe Królestwo weź w porękę

o Mario!

1926.

IDZIE MAJ

Nie ma chyba narodu na świecie, który by miesiąc mariański rozpoczynał pod tak szczęsnymi auspicjami, w tak głębokim nastroju, jak nasz naród polski.

U samego progu tego cudnego miesiąca zespolone na zawsze w jednej dacie, w jednym dniu — dwa święta najdroższe każdemu Polakowi.

Królowej Korony Polskiej uroczystość wspaniała i wielkopomnej Konstytucji wielka, radosna rocznica...

Tak! Dzień 3 maja to symbol, to majowy dla nas drogowskaz.

Serca skłaniamy przed Marią Najświętszą, która raczyła władztwo dusz objąć w narodzie i ślubujemy Jej wierność, miłość, cześć i oddanie na zawsze, a przez to silniej i najidealniej umacniamy Jej panowanie w Polsce i — ojczyźnie naszej jakoby duchową, mariańską dajemy Konstytucję, która państwowej jest fundamentem i rękojmią najpewniejszą.

I pamięć o tej wielkiej myśli mariańskiej i polskiej ma nam towarzyszyć w tym uroczym, niezrównanym miesiącu.

Dla Marii i dla ojczyzny!...

A miesiąc to ma być nie tylko modlitw żarliwych i litanii błagalnych i suplikacyj i pieśni... ale ma to być miesiąc pracy i czynu dla Królowej i dla Jej królestwa w narodzie.

Któż zaś w Polsce do tej pracy więcej powołany nad przednią straż mariańską, nad rycerską drużynę Niepokalanej?

Ranki i wieczory tedy majowe poświęćmy modlitwie i nabożeństwu... Ze wschodem słońca zrywajmy się z pościeli i spieszymy do świątyń w najświętszej codziennie Ofierze uczestniczyć u ołtarza Marii, Syna Jej Boskiego przyjmować do serca młodego w przeświętej komunii — co dzień. W blaskach zachodu gromadźmy się my pierwsi, my najgorliwsi na nabożeństwa majowe. Ale dzień cały wypełnijmy pracą — gorliwą, wzmożoną, serdeczną na cześć Marii, na pożytek ojczyzny naszej. Żąda tego od nas sodalisów nie tylko koniec roku i okres dorocznych żniw szkolnych, ale żąda dobra sława sodalisów, żąda apostołstwo dobrego przykładu, żąda wysoko pojęta idea pracy dla Boga i ojczyzny.

Niech w sodalicjach naszych w tym maju święci tryumf **MODLITWA i PRACA!**

A stanie się maj dla niejednej duszy błogosławionym czasem ożywienia miłości, pogłębienia wiary, rozpalenia prawdziwej, sodalicyjnej pobożności.

Takim darem i taką łaską odpłaci stokrotnie Maria dary naszych serc, dary naszych trudów i prac, mozołów i walk, bo jeśli nikomu nie odmawia serca Swego i matczynej pomocy — cóż dopiero tym, którzy Ją w szczególniejszy sposób ukochali,

obrali za Panią, Orędowniczkę i Matkę, którzy sercem całym modlą się do Niej i proszą na każdy dzień i każdą godzinę:

*Nos cum Prole pia
Benedicat Virgo Maria!*

1927.

W MAJOWE ŚWITY

Musi być w sercu każdego sodalisa głęboka a dźwięczna struna mariańska.

Każda uroczystość Niepokalanej, każde Jej święto rozdzwania ją w przedziwne akordy przywiązania, czci i miłości... Rozdzwania ją także miesiąc maj...

Ale komuż z nas tajno, że nie o pieśń, nie o uczucie, nie o nastrój tu idzie. Miesiąc Marii ma nas ku Niej zbliżyć, bardzo istotnie, bardzo rzeczywiście. Musi naszą dla Niej, sodalicijną służbę umocnić, podnieść, ożywić, musi w wyższym niż zwykle stopniu urzeczywistnić hasło sodalicyj: *Przez Marię do Jezusa!*

I właśnie dlatego, aby Jej, Matce naszej sprawić radość, aby uszyć i ubogacić Jej miesiąc, zbliżmy się w nim w szczególny sposób przez Nią do Jezusa; do Jezusa, który jest z nami, który zostaje, żyje i idzie z nami przez życie nasze, przez młodość naszą.

Przez Nią i dla Niej szukajmy Go w świątyniach i kaplicach naszych w majowe świty. Niech jasne słońce wiosenne budzi nas co dzień w godzinach wschodu i wiedzie do stóp ołtarzy. Jak kto może i zdoła, niech stanowi mocno co dzień lub przynajmniej w dniu sobie wyznaczone uczestniczyć u stóp Marii w Najświętszej Ofierze. Niech stanowi co dzień lub jak najczęściej przyjmować Jezusa-Hostię do serca. Niech stanowi i niech dotrzyma. Miesiąc maj, miesiąc Matki naszej będzie wtedy najmiłszym Jej miesiącem mariańskim, gdy będzie miesiącem eucharystycznym.

Bo musi być wierne i czyste i gorące serce, które gości Jezusa, które się łączy z Jezusem i musi coraz i coraz się rozpalać, uszlachetniać, bogacić...

A przeto zważcie i stanówcie... Niech majowe świty widzą was zrywających się wcześniej i szukających i pożądaną

cych i łaknących Eucharystii z miłości ku Jezusowi i ku Matce Marii. *Kosztujcie, a obaczcie iż słodki jest Pan...* (Ps. 33, 9).

A takiego maja wspomnienie słodyczą i radością napelni wam serca i dusze na rok cały.

1928.

MIESIĄC MARIII

W chwili, gdy ten zeszyt naszego pisma znajdzie się w waszych sodalicyjnych dłoniach, miesiąc mariański już pewno dni kilka będzie miał za sobą.

Któż, jeśli nie sodalis, powitał go z tym dziwnie serdecznym uczuciem, które nam tak żywo przypomina dzień imienia matki ukochanej w życiu rodzinnym?

Maj — to miesiąc naszej najdroższej Matki!

Witamy go z synowskim uniesieniem, mnożymy dobre postanowienia i odnawiamy sodalicyjne śluby.

Ale maj idzie, bieży niewstrzymanie, jak ten potok czasu, który go nam przyniósł i znów go w nieogarnioną dal porywa. Z każdym dniem, tak bardzo niestety po ludzku ścisząją się uczucia, blednie siła przyrzeczeń... słabną postanowienia.

Nie pozwólmy na to sodalis!

Ofiarujmy Matce naszej niewiele, ale już wiernie, najwierniej na cały miesiąc.

W kościele — choćby i co dzień mszę św. ku Jej czci i raniutką, cichą komunię św., a pod wieczór, gdy tylko czas pozwoli tę majową, cudną litanie i rzewne «Pod Twoją obronę...».

W domu rodzinnym dużo, dużo miłości, ofiary, posłuszeństwa i zgody.

W szkole i dla szkoły umiłowanie obowiązku, sumienność w lekcjach, wzorowe, godne sodalisa zachowanie...

To wszystko — prawda — zwyczajny nasz trud, ale niechże w tym maju szczególnie będzie wyteżony, szczególnie wartościowy — bo to dla Matki Marii, bo to w Jej mariańskim miesiącu.

A jako całe Jej życie ciche było i takie bardzo zwyczajne, tak i u nas z pewnością ten właśnie codzienny, powszedni trud i znój najmilszym dla Niej będzie miłości, czci i przywią-

zania sodalicyjnego dowodem. Ale już przez cały, cały miesiąc, aż do ostatniego dnia i do ostatniej majowej godziny!

1929.

OFIARA NA MAJ I NA ZAWSZE

Wzruszającą jest rzeczą, jak w świętym miesiącu mariańskim dusze oddane Niepokalanej Dziewicy starają się u stóp Jej składać na każdy dzień swoje serdeczne ofiary...

Kwiaty i wieńce, świece i lampy z tych ofiar zakupione zdobią ołtarze, wizerunki i statuy Marii.

Stokroć Jej miłsze przecież zostają dary modlitw i pieśni, najmiłsze zaś niewątpliwie ofiary z siebie, z pracy i mozołów nad własną duszą, nad tym, by ją uczynić coraz bliższą Bogu i coraz bardziej mariańską, ofiary z codziennych wysiłków i codziennych dobrych czynów.

Rok bieżący to rok święty. Cały świat chrześcijański obchodzi w nim tysiącdziewięćsetlecie nieskończonej Ofiary Chrystusa, tysiącdziewięćsetlecie Odkupienia ludzkości.

Łącząc się z całym Kościołem w uczczeniu świętego roku, my sodalisi przecież pamiętać musimy, że ten rok to dla nas tysiącdziewięćsetlecie tej wielkiej, niezapomnianej chwili, w której konający na krzyżu Zbawiciel świata z taką nieskończoną miłością w testamencie najdroższym zostawił nam słowa: *Oto Matka twoja — Oto Matka wasza!*

Tegoroczny maj powinniśmy przeto poświęcić tej Matce naszej najmiłszej w sposób szczególny, tchnąć w nasze życie mariańskie coś nowego, większego, głębszego w pracy naszej nad sobą dla Boga i Marii.

Uświęćmy go więc wszyscy codzienną, stałą, umiłowaną ofiarą dla Matki naszej.

Rozpocznijmy w sodalicjach zbieranie dla Jej miłości w maju i zawsze, w każdym już miesiącu, obfitego żniwa dobrych uczynków, które Jej będą najmiłszym dowodem naszej synowskiej miłości, a duszom naszym pożytkiem nieocenionym i postępem w cnocie, w doskonałości.

Na końcu tego majowego zeszytu znajdziecie wszyscy skromny kalendarz tej majowej, mariańskiej pracy.

Oby w żadnej z naszych ukochanych drużyn sodalicyj-

nych nie brakło ani jednego członka, który by od chwili przeczytania tych słów nie pospieszył na każdy dzień ze swoją ofiarą dla Umiłowanej Patronki majowej i Matki swej Najdroższej.

1933.

MAJOWE DARY

Czytałem niedawno w pięknej powieści, której akcja rozgrywała się w serdecznie kochającej się rodzinie, jak to nadchodzący dzień imienin ojca czy matki już na długo przed tym wprawiał ich dzieci w gorączkowe jakby podniecenie... Wszystkie razem układały program tego rodzinnego święta, obmyślały przybranie pokoju i stołu, a poza tym każde z osobna wysilało się, by z drobniotkich oszczędności przygotować jakąś, choćby małą niespodziankę, jakiś podarek z własnej pracy, z talentów i zdolności... I gdy nadszedł dzień upragniony, zdało się, że samo słońko z nieba przywędrowało w gościnę pod ów dach rodzinny, tyle tam było światła, szczęścia i radości.

Miesiąc maj, cały maj to wielkie święto najdroższej Matki naszej.

Dzieci Jej najmilsze, synowie ukochani, my sodalisi już w tamtym miesiącu zapewne niejedno obmyśliśmy ku Jej czci, ku Jej radości, zrobiliśmy pewne postanowienia, złożyliśmy serdeczne, synowskie obietnice...

Ale i to pewnym, że niektóre sposoby sprawienia Jej radości wcale nie przyszły nam na myśl... Więc może nie od rzeczy będzie tu je wam przypomnieć, podsunąć i gorąco do ich spełnienia w maju na cześć Najświętszej Matki zachęcić.

— Co mógłbym w tym miesiącu dla Niej uczynić?

O ileż tych darów przede mną, niby cudnych kwiatów wiosennych, rozkwitłych kobiercem na łące... A co jeden to piękniejszy, co jeden to cudowniej pachnący... Kwiaty, kwiatuszki Marii... Niech się nimi całkiem zapelni majowy kalendarz pracy nad sobą na okładce pisma!

Codziennie rano przed szkołą będę na mszy świętej i przystąpię do komunii świętej... Dar to istic królewski, ofiara wspianiała, najdroższa...

Uczynię to przynajmniej w każdą sobotę, ten mariański dzień maja...

Codziennie pójdę na wieczorne nabożeństwo majowe i całym sercem śpiewać będę precudną litanię loretańską i pieśni maryjne...

Dołożę starań, by do tych świętych aktów zachęcić i pociągnąć choć raz... choć jednego kolegę, zwłaszcza spoza sodalicji..

Odmówię co dzień cząstkę lub dziesiątek różańca...

Przeczytam jedną książkę o Najświętszej Pannie...

Obrazek Jej w domu stroić będę w zieleń i świeże kwiaty...

Małej jałmużny udzielię dla Jej miłości ubogim...

Czcic Ją będę w mojej matce i w tym miesiącu w stosunku do matki odzwierciedle zawsze stosunek Jezusa do Marii, w poszanowaniu, miłości, pomocy, posłuszeństwie...

Czuwać będę w szczególny sposób nad czystością duszy. Myśli mej, uczucia, oczu, uszu, języka i ciała strzec będę pieczołowicie przed najdrobniejszą skazą na wzór tej Lili Przechystej...

Prace moje i obowiązki spełniać będę sumiennie i wiernie, jako Ona je pełniła w ubogim domu Nazaretu...

I jeszcze co dzień od rana do wieczora wzbudzać będę często poczucie świętej dumy i radości i wdzięczności, iż oto mnie, nędznego i grzesznego i niegodnego spośród setek i tysięcy w sodalicji *w liczbę synów Swoich i za wiernego poddanego przyjąć raczyła...*

1934.

APOSTOLSTWO MARIAŃSKIE

...Mocno postanawiam... starać się wedle możliwości, aby Tobie wszyscy wiernie służyli.

Ślub sodalisa!

Niemal przysięga!

Bo przecie w dniu rycerskiego pasowania, przed Bożym ołtarzem, w sakramentalnym zjednoczeniu z Boskim Zbawicielem złożony.

Bo przecie podpisany ręką własną i w archiwum sodalicji przechowany na zawsze.

Czy spełniony?

W jedno nie wątpię, że postanowiłeś mocno. Ale już zaraz potem z wątpieniem pytam, czy i ile dołożyłeś starań? Wspomnij i porachuj, od chwili, gdy wyrzekłeś słowa obietnicy sodalicyjnej...

Aby wszyscy? To znaczy kto? Twój braciszek, twoja siostra, twój kolega, zwłaszcza ten niesodalis. Aby poznał, wielbił, ukochał Ją — Matkę twoją, ale i jego Matkę, o której może zapomina. Jak często słowem, przykładem mogłeś coś zdziałać i przepuściłeś sposobność? Jaka szkoda! I jaki żal!

Ale oto maj!

Kochasz Marię? Przyprowadź choć jedną młodą duszę do Jej stóp! Wstąp razem do kościoła, przed Jej ołtarz. Weź z sobą na mszę świętą poranną w powszedni dzień, na nabożeństwo majowe. Zachęć do majowej spowiedzi i komunii świętej. Daj w rękę książkę maryjną, wspomnij delikatnie o sodalicyj... Tak wiele, tak naprawdę wiele zdziałać możesz dla bliższych ci — a nawet dalekich. Tylko nie bój się i spróbuj dziś jeszcze.

Spełnisz twój sodalicyjny ślub.

Sprawisz radość Najświętszej Pani i Królowej.

Dokonasz wielkiego czynu miłości bliźniego.

Przeżyjesz nigdy nie zapomniany, bogaty, pełny maj!

1936.

RYCERSKI MY HUF...

Miesiąc Marii nie może być żadną miarą dla nas, sodalisów, jedynie okresem słodkiej pobożności, majowych wzlotów i wzruszeń!

Winien być dla każdej sodalicyj i sodalisa każdego raczej miesiącem mariańskich rekolekcyj, głębokiego zastanowienia się nad urzeczywistnieniem sodalicyjnych ideałów, nad naszym osobistym stosunkiem do sodalicyj i Marii w sodalicyj... miesiącem sodalicyjnego rachunku sumienia...

Ludźmi jesteśmy i tylko ludźmi, stąd grozi nam zawsze niebezpieczeństwo spłylenia każdej idei, zniesienia lotu, głoszenia frazesu i ulegania frazesom. To też i sodalicyja niejedna nie będzie od nich wolną i niejedna sodalicyjna dusza młoda.

Zwłaszcza, że dziś frazes pusty rozsiadł się i rozpanoszył na tyłu, tyłu wargach!

W hymnie naszym związkowym śpiewamy z zapalem dużo mocnych słów. Pełne one treści, pełne ducha, a jednak grozi im t a k ż e niebezpieczeństwo zamiany w tani frazes, pusty dźwięk, liczman błyszczący pozłotą...

O «rycerstwie maryjnym» śpiewamy także...

*Spod znaku Marii
Rycerski my huf...*

I mówimy o nim niewątpliwie w wielu referatach, przemówieniach, dyskusjach...

Prawdą ono jest, ale czy zawsze? Czy wszędzie?

Obliczmy się tu dziś, w majowy, mariański dzień z naszym sodalicyjnym sumieniem!

Rycerz — to kto?

Człowiek wysokich ideałów, nieugiętej wierności, nieskazitelnej czci i charakteru, poświęcenia i ofiary, opiekun i obrońca słabych... zwycięzca siebie i zwycięzca w boju...

Wszystkie te wspaniałe i pożądania godne zalety i cechy niemal słowo w słowo zawiera i przynosi nam sodalisom rycerski kodeks nasz — sodalicyjne prawo.

I każdy z nas doskonale wie i rozumie, że takim być, to chyba marzeń szczyt dla młodego i całej naszej pracy i walki promienny cel.

Ale gdy od pieśni i słowa przyjdzie do czynu na każdy, powszedni dzień, na szary codzienny znój, na zmaganie się z sobą, z najzwyczajniejszą, przyziemną pokusą — wtedy, o wtedy dopiero pokazuje się, czy słowo frazesem pięknym tylko było, czy treścią naszej duszy, naszej zdecydowanej woli...

Nasz ideał rycerski?

Bóg Jezus i Jego Ewangelia nie umniejszona przez nas, nie uszczuplona przez kompromis, ale pełna i żywa i całkowita...

Drogą naszą do Jezusa — Maria jako Przewodniczka, Mistrzyni i Matka — wielbiona z przekonania i uczucia i kochana z całego serca.

Nasza wierność rycerska? — Wszak złożyliśmy przysięgę lub się do niej gotujemy. A jak nam z tym właśnie trudno!

I dlatego maj winien być miesiącem wierności nieugiętej na każdy dzień aż do ostatka. Bodaj, że to najpiękniejsze będzie *majowe nabożeństwo* nasze!

Nasza sodalicyjna cześć? — Niesplamiony błękit mariańskiego sztandaru i niesplamiony honor sodalisa w domu, w klasie, w koleżeńskim obcowaniu...

Nasz duch poświęcenia i ofiary — choćby najcięższej dla ideału, dla Boga, dla Marii i sodalicji.

Nasza opieka i troska — może nie o uciśnionych i słabych, ale o tych bliskich nam, młodszych braci w domu, klasowych kolegów narażonych dziś na potok zła, na błędne ogniki fałszu, na pokusę od wewnątrz i zewnątrz... Dyskretna, nieznaczna opieka sodalisa... słowo dobre i w czas, pomocna dłoń, uczciwa książka, zachęta... Rycerski to czyn najprzedniejszej opieki i ochrony brata, towarzysza broni!

I w końcu pęd... potężny, młodzieńczy pęd do zwycięstw...

Trofea troczyć na każdy dzień w znojnej, najznojniejszej walce o Boga i Marię, o ideał we własnej duszy... Znać i liczyć ze świętą dumą — «oto raz jeszcze i dziś i wczoraj i jutro...»

Spod znaku Marii rycerski my huf...

Rycerski niech będzie nasz tegoroczny maj!

I zwycięski...

A zwycięstw owoce, jako majowe kwiaty składajmy w wieczornych pacierzach codziennie u Jej niepokalanych stóp.

1937.

XIII.

PRZED MATURĄ

Wyglądana z upragnieniem przez całe gimnazjum, witana z jakimś lękiem, gdy nadchodzi blisko, coraz bliżej, stanowi matura bez wątpienia moment przelomowy w życiu każdego ucznia szkoły średniej. Otwiera ona przed nim nie tylko nową kartę, całkiem jeszcze białą, niezapisaną, ale rozszerza niezmierznie horyzont całego życia i sprawia, że kto ją ma za sobą, mimowoli czuje, iż za sobą zostawia także lata sielskie, anielskie dzieciństwa, a wchodzi coraz wyraźniej w wiek męski,

wiek klęski tak często — wiek, w którym powaga życia staje przed nim w całym majestacie. I w tym właśnie tkwi cecha przełomu...

Szukać ścieżki nowej, bo utarty szlak szkolny skończył się na zawsze, znaleźć właściwą, tę właśnie, która jakby dla mnie wytknięta, to nielada zadanie. I cóż dziwnego, że w takiej chwili około naszych maturzystów skupiają się i gromadzą myśli nie tylko ich najbliższych, więc rodziców, wychowawców dotychczasowych, kolegów i przyjaciół... Ich los, ich przyszłość, ich wybór stanu obchodzi żywo całą sodalicję, która ich tak serdecznie, tak po macierzyńsku przysparza do swego serca w latach wczesnej młodości, która kochać ich będzie już zawsze, jako syny swoje umiłowane, jako swój dorobek, swą chlubę serdeczną... iż obchodzi żywo cały nasz Związek, który tak bardzo spodziewa się po nich, że sztandar nasz mariański, sodalicyjny poniosą dalej w mury uniwersytetu, czy politechniki, że dalej żyć będą i pracować w naszym duchu, w myśl naszych ideałów.

I dlatego sodalicja, będąc matką waszą do końca i na zawsze, pragnie wam, ukochani, z serca dać na tę chwilę, to co ma w swej skarbnicy najdrogocenniejszego, najbardziej dla was wartościowego, pragnie wam dać, umożliwić w przełomowym dniu życia, od którego może wszystko zależeć, chwilę błogosławionego skupienia i ciszy, chwilę zastanowienia nad tym, co było już i zostaje za wami i nad tym, co ku wam idzie tajemnicze, nieznane... pragnie wam dać zamknięte rekolekcje.

Mówić wam o ich doniosłości, wobec której wszystko schodzić winno na plan drugi, ostatni, doniosłości, wobec której, wierzcie mi, błędą wszystkie pomaturyczne projekty, dziś może stojące przed wami w tak ponętnym, różowym świetle, projekty zabaw, komersów, wycieczek, odwiedzin, obozów itd., itd., mówić o tym wam, którzy za chwilę macie być nie tylko naukowo, ale życiowo uznani za «dojrzałych» — zda mi się zbytecznym. Kto rozumie, czym są w takiej jedynej chwili życia rekolekcje, kto pytał o nie przeszłorocznych zachwyconych nimi uczestników-maturzystów, ten z pewnością wszystkiego potrafi sobie odmówić, by dla szczęścia swego, dla przyszłości swej jasnej, błogosławionej, wydrzeć kilka dni codziennemu życiu i jego drobnostkom, a poświęcić je własnej duszy i rzeczom wiecznym... Kto to rozumie i ocenia, tego wzywamy

i zapraszamy gorąco... Nadchodzą dni łaski, Bożego światła...
Bożego głosu w wyborze przyszłości... bywajcie ukochani nasi,
wesele nasze i korona nasza w Panu, bywajcie...

1923.

XIV.

WAKACJE SODALISA

1.

Też coś nowego — powie niejedyn z was, czytelnicy kochani, na widok tego tytułu. Już pod tym względem chyba nie będzie różnicy między mną, a każdym innym kolegą! Ja sam nawet sobie żadnej różnicy nie życzę. Chcę wypoczywać, bawić się i koniec! Przynajmniej na wakacjach chcę mieć spokój od statutu i sodalicyjnych obowiązków! Dość tego przez cały rok! Wakacje dla mnie!

Ależ tak, tak bez wątpienia! Niechaj cię, mój drogi, ten tytuł nie gniewa, zaręczam ci, że zaraz dojdziemy do porozumienia.

Mówiliśmy sobie to pewno nieraz w sodalicyj, na zebraniach i na nabożeństwach i w referatach, że nasza droga przez życie i szkołę jednak bardzo różni się i różnić się musi od drogi poza sodalicyjnych kolegów naszych.

A czym? Poziomem!

Na życiową wędrówkę idziemy razem, ale nasza ścieżyna musi iść po wyższym poziomie, bośmy po to przyszli do sodalicyj. Podnóżem gór idą liczne, aż nazbyt gromadki młodzieży. Idą, to znów zatrzymują się, szukają drogi, wracają... Co chwilę sięgają ręką po ziemski chleb... Spoczywają co chwilę i tak często, niestety — nie dochodzą wcale do celu.

Nasza ścieżyna nie podnóżami się wije. Idzie szczytami gór! Wierchów słonecznych się czepia, ziemskie opary za sobą w dole zostawia, w gniazda orle zagląda, i z wyżyn idzie do gwiazd, do słońca. Nasza «orla perć».

Więc jakże mój drogi? To na to piałeś się rok cały w górę mozolnie, by teraz w doliny ziemskie się spuścić i podnóżem iść, w cieniu, w pyle i w prochu i brudzie... Przez wakacje? Przenigdy!

Zgadza się obaj na to, że i podczas wakacji musimy iść szczytami, a jeśli tak, to już niewiele słów nam trzeba, by zrozumieć, czym byłoby dla nas opuszczenie się niebaczone, czy wygodne i miękkie w doliny życia. Nie możemy, nie wolno nam i w czasie wakacji zapomnieć o naszym najwyższym, ukochanym celu sodalicyjnym, wyrobienia własnego charakteru, wydoskonalenia siebie na Chrystusowy wzór i modłę. Tu przerwa już nie dwóch miesięcy, ale dwóch tygodni, dwóch dni nawet, byłaby klęską, ruiną, stratą niepowetowaną — znojem i potem i najwyższym wysiłkiem zdobytych klejnotów. I oto ukochany mój, pierwsza przyjacielska, wakacyjna rada: pamięć nieustanna o sodalicyjnym, umiłowanym ideale młodości i życia. Przyznasz, że w tej pamięci i od tej pracy dla nas nie może być wakacji!

A jeśli tak, zobaczmy najpierw, co może się przyczynić do zatracenia tej pamięci.

Czy wyjedziesz z siedziby twojej szkoły, czy zostaniesz w niej przez wakacje — to jedno jest pewne, że warunki, okoliczności, środowisko i tryb twojego życia wielkiej ulegną zmianie. A zmiana ta na ogół będzie raczej niebezpieczna, raczej szkodliwa. Zniknie na dwa miesiące twój regularny, wypełniony ścisłymi obowiązkami tryb życia. Na jego miejscu zjawi się swoboda wakacyjna, poczucie pewnej niezależności od władzy, przepisu i szkoły. Zjawi się rozleniwienie wakacyjne, może nuda, może nowe, często nieostrożne znajomości, nieodpowiednia lektura... Legion wrogów i legion niebezpieczeństw. Cały kłębek nici mocnych, dość często niewidzialnych, co mogą tak łatwo oplątać i ściągnąć w dół nieostrożnego, zbyt pewnego siebie sodalisa... *Caveant sodales...*

Więc co? — zapytasz. Chciej chwilę przyjaciela posłuchać!

Postanów poważnie całkiem, wakacje twoje spędzić w całości w łasce poświęcającej. Powiedzmy sobie to całkiem szczerze i otwarcie, po męsku. To jest przecież fundament nie tylko sodalicyjny, ale prostego życia chrześcijańskiego. To jest pierwszy zasadniczy warunek dobrych i szczęśliwych wakacji. Tego klejnotu stracić nam nie wolno. Cóż uczynić w tym celu? Oto kilka mocnych, a nieugiętych postanowień:

Mimo wszelkich przeszkód i lenistwa pacierz codzienny i codzienny rachunek sumienia. Przynajmniej raz w miesiąc

spowiedź i komunია św. Przynajmniej jedna, druga książka poważna, religijna w zastępstwie sodalicijnej egzorty czy zebrania. Baczność i uwaga na lekturę i towarzystwo. Jeśli ks. moderator jest na miejscu, odwiedziny u niego, choć raż, dwa w czasie wakacji. Jeśli zdala od niego — list obszerny z doniesieniem o sobie i twoich wakacjach.

A obok wypoczynku i zabawy odrobina choć pracy, choć tyle, by się nie nudzić, by umysłu nie wyjałowić, by się od myślenia nie odzwyczaić. Jeden dział wybierz, najbliższy ci i najmiłszy i poświęć mu trochę czasu i szczerego zainteresowania. Historia, literatura, przyroda, języki obce, dostarczą ci wiele do tego sposobności i niejedną zgotują miłą chwilę, o pożytku dla przyszłości już nie mówiąc.

Wielu z was zapewne podczas wakacji obejmie lekcję lub t. zw. guwernerkę. Pamiętajcie i przy tym zajęciu o jak najsumienniejszym spełnianiu przyjętego na się obowiązku, o dobrym wpływie na waszego ucznia i o dobrym przykładzie. Może, może jego rodzice właśnie liczą na was w tym względzie, wiedząc, że jesteście sodalisami. I doprawdy jakże to pięknie będzie i miło dla was, jeśli coś w tym kierunku zdziałacie, jeśli jaki ślad dobroczynny po was zostanie w młodziutkiej duszy waszego wychowanka. Razem z nim iść do kościoła, razem zabrać się do spowiedzi i komunii św. — oto być sodalisem-korepetytorem.

Jeszcze na jedno pragnę zwrócić uwagę waszą, sodalisi drodzy. Wykorzystajcie wakacje, pilnie obserwując ludzi, wypadki i stosunki. Starajcie się we wszystkim wyrobić sobie wasz zdrowy sąd, a zawsze na podstawie Chrystusowej prawdy i Chrystusowego przykazania. Jedno i drugie spostrzeżenie wasze zanotujcie króciutko. Będzie to wyborny może temat do wakacyjnej rozmowy z ks. moderatorem, czy referatu na sodalicijne zebranie, któremu tak często brakuje aktualności. Niedaleka już przyszłość okaże wam, jak to kształci i wyrabia. Naturalnie czyniąc to, unikajcie przesadnego, więc niezdrowego krytycyzmu, co «szuka dziury na całym» i płam upatruje na słońcu. Rodzi to pychę i zarozumiałość tylko, a tych nam zawsze troskliwie unikać.

Na zakończenie jedno jeszcze. Wydobądźcie na wakacjach więcej, niż kiedy indziej, na wierzch wasze dobre, pocziwe, zacne serca. Bądźcie dla waszych dobrzy! Nie szukajcie

siebie i tylko siebie, wmawiając w swe otoczenie, że jesteście bardzo zmęczeni i wyczerpani całoroczną pracą szkolną, że musicie długo i wygodnie wypoczywać. Iluż z waszych rodziców, jak rok długi nie ma wcale wakacji, iluż nie wie, co spoczynek i wytchnienie bez troski. Nie szukajcie więc siebie tylko, wypędźcie precz egoizm. Rodzicom drogim, rodzeństwu chętnie i serdecznie, czym możecie pomóście, okażcie szczerą uwagę domowymi i rodzinnymi sprawami. Wokoło siebie szerzcie nieustannie dobroć i życzliwość, a błogosławione będą wakacje wasze dla was i rodzin ukochanych waszych. Będą to w całej swej istocie «wakacje sodalisów».

1921.

2.

Nigdy i nigdzie nie przestając być sodalisami, musimy i wakacje letnie spędzić w całości tak, aby godnie stanąć mogły obok całego roku pracy nad sobą, pracy dla drugich w sodalicji. Rzecz jasna, że nie będziemy tu przypominać elementarnych obowiązków katolika, do których należy codzienny pacierz, niedzielna msza św., ani też rachunku sumienia, religijnej lektury. Czyby to nie było nawet pewną obrazą naszych kolegów-sodalisów? O co innego nam chodzi.

Już po kilkunastu dniach feryj słyzy się tak często z ust młodych o nudach, zwłaszcza na wsi lub w małym miasteczku. Otóż chcemy wam podać sposób, jak tych nudów nieszczęsnych uniknąć, sprawić sobie i drugim wiele radości, pomóc wielkiej sprawie Bożej w narodzie. Rozglądnijcie się w waszej wiosce, sodalisi drodzy, za młodzieżą w waszym wieku, pracującą na roli; w miasteczku waszym — za pracującą w warsztacie, czy fabryce i pomyślcie, co dla niej uczynić możecie wy, młodzi obywatele Polski, Kościoła św. synowie, spod znaku Marii towarzysze pancerni. Zapewne ta młodzież ma swoją katolicką organizację, która szerzy się dziś tak pomyślnie w Polsce całej i grupuje już dziesiątki, nawet setki tysięcy braci waszych serdecznych od brony i pługa, od kowadła, igły, siekiery, czy fabrycznej maszyny. Na czele jej kapłan, patronem zwany stoi i kieruje «druhami», ale nieraz pod nawałem pracy w kościele i organizacji upada. Jakże on chętnie powita waszą wakacyjną pomoc w odczycie małym, w wycieczce

z «druhami», w przygotowaniu dla nich chóru, jak oni gorąco, po przełamaniu pierwszych lodów, uściskną dłoń waszą, dłoń brata Polaka-katolika, żyjącego na innym polu, przy innej pracy, ale w myśl tych samych ideałów Chrystusowych! A ile wreszcie skorzystacie wy sami, ile świętej chluby, ile głębokiej treści wniesiecie we własne, tak dotąd czcze i puste życie wakacyjne!

Nie chcemy zaś już sięgać dalej i spoglądać na te dalsze, olbrzymie, wspaniałe horyzonty przyszłości, na tę zgodę i miłość stanów i warstw społecznych w ojczyźnie, dziś tak niechrześcijańsko rozerwanych nieszczęsną walką klas, walką partyj, walką pracy fizycznej z pracą umysłową ku nieszczęściu i zgubie ojczyzny.

Patrzcie, co spocząć może w rękach waszych, patrzcie, czego możecie dokonać, co możecie zacząć przynajmniej — dziś, teraz!

Więc do dzieła sodalisi! Niech tegoroczne wakacje będą chlubą waszą, chlubą sodalicii, chlubą Związku naszego. Napiszcie potem słów parę z waszych doświadczeń, skreślcie kilka uwag, małe sprawozdanie i prześlijcie redakcji po feriach. Jakież to będzie ciekawy materiał, jakie ważne i zajmujące spostrzeżenia.

Na tegoroczne wakacje zatem jedziemy sodalisi z hasłem pomocy i współdziałania z młodzieżą pozaszkolną polską, współpracy sodalisów-uczniów z wiejskimi i miejskimi druhami! Z hasłem «w jedności siła» — «dla Boga i Ojczyzny»! W takich wakacjach stokrotne «szczęść wam Boże sodalisi»!

1922.

WAKACJE

Hej wakacje idą! Wolność, rozkosz, swoboda!

Dwa miesiące wolnego, wypoczynku, zabawy, sportu i wycieczek! Najmilszy czas w roku dla każdego bez wyjątku ucznia.

Wrodzony człowiekowi pęd do swobody święci swoje dni, których przebiegu nie mąci zgiełkliwy dźwięk dzwonka szkolnego, ni widmo profesorskie z katalogiem czy dziennikiem w ręku...

Aż przechodzi jeden i drugi tydzień upojenia, jednostajny brak zajęcia zaczyna się dłużyć, z kątów domowych wyglądać poczyna oblicze nudy, a za nim wysuwa się gdzieś z głębin duszy tęsknota za szkołą i pracą, nauczycielem i kolegami i tym całym splotem kochanych, mimo wszystko, wypadków życia szkolnego. Z radością nietajoną idziemy we wrześniu do szkoły.

Ale to nic, to tylko jeden więcej dowód niepokoju wiecznego ludzkiej natury, o którym świadczą nam z roku na rok wakacje. I wszystko byłoby dobrze i dobrze by się skończyło, gdyby nie pokusy i zasadzki, jakimi jeżą się zwykle nasze letnie dróżki i ścieżyny.

Poczucie zerwanych wędzideł szkolnego rygoru i opieki jest zawsze groźne w młodości. Zda się ono wołać: Używaj, wyzyskaj, okaż się niezależnym naprawdę. Zrzuć jarzmo przepisu, przykazania, posłuchu! Pokaż, żeś pan! To zrozumiałe, ale jakże niebezpieczne!

Taki głos, jak błędny ognik niejednego zawiódł już na bezdroża bagniste i manowce, skąd często nie bywa powrotu... Za takim głosem tai się zło, kryje się grzech...

My sodalisi, w dobrej szkole sodalityjnego życia chowani, wiemy i co ważniejsza jesteśmy głęboko o tym przekonani, że tak nie można, że tak się nie da. Że człowiek musi czuć nad sobą pana i przykaz. Że jeśli braknie szkoły, sam sobie stać się musi stróżem sumiennym i surowym, sam sobie musi nałożyć wędzidło i odświeżać pamięć nieustanną o prawie, którego bez klęski, bez nieszczęścia przekroczyć nie wolno i sam musi czuwać, by jako u progu, tak i kresu wakacyj sobą był, w górę szedł i nie uwikłał się w ciernie i głogi zła, co jeno szatę mu zedrą w strzępy, a potem cierpkim udarują owocem...

Strażnikiem takim bądź, sodalisie drogi, ukochany czasu tych wakacyj. Czuwaj i walcz i broń skarbów w twej duszy złożonych. Łam wołę, rwij pęta, idź w górę, żyj święcie i czysto. A blaski słoneczne chłoń w duszę młodą i piersi pojąc tchnieniem lasów i pól rodzinnych, wypoczywaj ciałem i duchem i krzep się do pracy, która cię czeka znów w złote, jesienne dni...

1924.

IDZIE KU WAKACJOM...

Opustoszeją mury szkolne, ucichną i zamrą, jak człek, z którego uszło życie... Wyciągnięte zwykle w długie szeregi ławy spiętrzą się w barykady, by odsłonić deski podłogi pod szczotki i miotły... Znikną obrazy ze ścian... wypchane ptaki i zwierzęta wrócą do szklanych szaf gabinetów... W kipiących gwarem przestrzeniach rozłoży się cisza, ta głucha, gorąca, za-tęchła cisza wakacyjna, przepojona odorem rozpalonych po-kostów ze szkolnych sprzętów, nietknięta wszechwładnym — dziś bezwładnym już dzwonkiem, który — napróżno — zda się — zachciały by zastąpić swym brzękiem biedne, chude, aż tutaj zabłąkane szkolne muchy — mądrale...

Smutna jest szkoła czasów wakacyj... Mało kto z was wtedy do niej zaglądał, więc nie odczuł może nigdy tej cichej tragedii wionącej ze wszystkich kątów, tragedii i żalu i smutku matki, której dzieci na długo, na długo uleciały hen w dal... do domów rodzinnych, do wiosek zielonych, do lasów i gór niebosiężnych polskiej ojczyzny...

I życie sodalicyjne stanie za życiem szkolnym. Ani na-bożeństw, ani zebrań... ni cichych adoracyj, ni wspólnych z Je-zusem komunij... Szara brać sodalicyjna rozpierzchła się i wróci nieprędko...

A jaka wróci?

Jak spędzi te długie letnie wakacje? Siła dobrego, czy może... może złego ze sobą przyniesie?

Dobrego z pewnością wszelką, jeśli tylko każdy z tej braci pamiętać będzie, pamiętać zechce, że i na wakacjach jest sodalisem, że i na wakacjach wiąże go ustawa, której wierność ślubował, biorąc dyplom i medal, wierność na zawsze...

Pierwszy więc i główny obowiązek sodalisa na waka-cjach — to żyć wedle ustawy. To czytać ustawę, rozważać i do życia nowego stosować.

O księdzu pamiętać i słów kilka napisać. O miesięcznej komunii św. za nic nie zapomnieć, a miasto zebrań — złączyć się z sodalisami swojej czy innej sodalicyj, by pomówić, pocho-dzić razem, rozgrzać się wspólnotą myśli i uczuć sodalicyjnych, z odległymi braćmi choć list jeden, drugi wymienić, jeśli w okolicy odwiedzić ich się nie da. I książkę wziąć do ręki

uczciwą, katolicką, by ducha zagrzać i serce w wierności utrzymać...

Już z tego będzie, będzie naprawdę siła dobrego.

A potem unikać nudów, bezczynu, niepewnych towarzysztw, a za to rękę przyłożyć we wsi czy w mieście do zbożnego dzieła, wysiłku czy pracy innych, zwłaszcza w związku, w stowarzyszeniu młodzieży polskiej, bratniej, choć z roli czy warsztatu ku nam idącej...

I jeszcze jedno!

Z naszych tysięcy sodalicyjnych iluż zostanie w wielkich, upalnych miastach, w ciasnych izbach wiejskich, w powietrzu duszącym pyłem ulic i parującą wodą miejskich sikawek...

Nie zapominajcie o wielkiej potrzebie miłości sodalicyjnej, o naszych koloniach letnich...

Bronki pod Lwowem już... już mają otworzyć podwoje... Rodzą się inne projekty... Trzeba o nich myśleć, mówić, trzeba je będzie popierać... Da Bóg, może ziści się kiedyś — dziś jeszcze w wyobraźni jeno istniejący — obraz letniej kolonii Związku...

Obszerny dom wiejski z kaplicą... Obraz w niej Częstochowskiej Pani, a co dzień Najświętsza Ofiara i wspólne modły wieczorne... i pieśni nasze cudowne i owe «Błękitne rozwinięty sztandary»...

A oneż dopiero z moderatorem «letnim» wycieczki i rozhowory, a oneż braterskie opowieści z całej ojczyzny i tyłu, tyłu gniazd sodalicyjnych zniesione... wymiany myśli, tysiącznych projektów, uniesień, zapalów...

A nad kolonią biało-błękitny sztandar łopoce z Jej inicjałem srebrzystym i złoci się w słońcu krzyżyk kapliczki... bucha radosny gwar głosów młodzieńczych i pieśni serdecznych... O jakże cudnie, jak radośnie mieszkać braci społem...

Racze to tedy ziścić Ukochana Matko nasza!

1927.

SODALICYJNE WAKACJE

1.

Na progu wakacyj zamiast ogólnych jakichś rozważań przegłębimy sobie raz jeszcze doniosłe rezolucje IX Zjazdu Związku naszego w Lublinie i zobaczymy, ile cennych myśli, jako wskazówek wakacyjnych dla nas, kryją one w sobie.

Wszak jeśli rezolucje zjazdów nie mają zostać na papierze, muszą wejść w kości i krew sodalisów, muszą wejść w ich życie codzienne, równie dobrze czasu nauki szkolnej, jak czasu wakacyj.

I zaraz pierwsza z kraja rezolucja woła do nas silnie, bardzo silnie, że *naczelnym obowiązkiem sumienia każdego sodalisa jest świecić wszędzie przykładem w zachowaniu prawa Boskiego i kościelnego z pełną gotowością poniesienia największej nawet ofiary.*

Sodalisi! Przeczytajcie uważnie te słowa i wspomnijcie zaraz wakacyjne trudności z pacierzem, z uczestnictwem w niedzielnej Mszy św., z nawiązywaniem nowych znajomości, z towarzyskimi stosunkami. I pamiętajcie: dobry przykład zawsze i wszędzie, także we własnej rodzinie, choćby to nie wiem co miało was kosztować!

A zaraz potem rezolucja o pogłębieniu wiadomości religijnych.

Także na wakacjach? O tak! Więc z biblioteki sodalicyjnej, czy od ks. prefekta, a może proboszcza rodzinnej wioski pożyczyć sobie jedną, dwie książki religijne i sumiennie przeczytać, zwłaszcza gdy niebo się zachmurzy, a strumienie lipcowego deszczu nie pozwolą nogi z domu wysunąć.

I ta z wakacyjnych najbardziej wakacyjna rezolucja o Komunii św. sodalicyjnej co miesiąc, a już wspólnie w całej Polsce w dzień Wniebowzięcia N. Marii Panny dnia 15 sierpnia, czyż mogłaby ulec zapomnieniu, czy zaniedbania? Przenigdy! W ten wielki dzień niewątpliwie xx. moderatorzy pamiętać będą przy Mszy św. o swych sodalisach, a sodalisi przyjmując Komunię św., pomodlą się za moderatorów swoich, za braci sodalisów rozprószonych po całej Ojczyźnie i może nieraz zmagających się ze złem nad siły własne i nad wyrobienie duchowe. Ten dzień Marii stanie się dniem wielkiej Komunii

naszej z Jezusem, Matką Jego, z kapłanami i sodalicyjną bra-
cją. Wielki i drogi będzie to dzień naszych wakacyj!

A w końcu niech nikt z was nie zapomni i o obowiązkach
rodziny, na które Zjazd lubelski tak wielki położył nacisk.

Więc głęboka cześć i miłość dla rodziców, więc skore po-
słuszeństwo i pomoc w pracy, gospodarstwie, domu w miarę
sił, więc serdeczna opieka i troska o rodzeństwo, a przez to
zacieśnienie najdroższych węzłów rodzinnych, które rok
szkolny siłą rzeczy niemało rozluźnia i osłabia.

A jeśli idzie o sodalicję, o jej dzieła, w szczególności
o Związek nasz, niechaj żaden sodalis nie zapomni ani na
chwile o sprawie kolonii. Niech doloży sił i starań, by znów
rozszerzyć setki i tysiące nalepek, które rozsyła Centrala, by
zebrać jakąś składkę, choćby najdrobniejszą w kole znajo-
mych, by, jeśli się da, urządzić jakiś wieczorek czy przedsta-
wienie amatorskie, a przez grosz przysporzony wpisać sode-
licję swoją do *Złotej Księgi* kolonii jak najrychlej i z jak naj-
wyższą kwotą.

Tak pojęte i tak spędzone wakacje będą w pełni waka-
cjami sodalisa Marii. Pokrzepią duszę, wzmocnią ciało i zjed-
nąją wam błogosławieństwo Boże i łaskę Matki naszej na trudy
i znoje nowego roku szkolnego.

W takich wakacjach «Szczęść wam Boże».

1929.

2.

Ostatni numer miesięcznika dociera do rąk naszych dro-
gich sodalisów. Minie jeszcze dni kilkanaście, a w opustosza-
łych salach szkolnych zamrze wszelkie, tak dotąd ruchliwe
i gwarne życie, cisza osnuje korytarze i klasy, zmilknąć każe
nawet alarmowym dzwonom gimnazjum. Ta sama cisza, to
samo zamarcie zawiesi i sodalicyjne życie w naszej szkole.
I zarząd i członkowie znajdą się w rozprószeniu, działalność
stanie aż do nowego roku.

Czy jednak to rozprószenie będzie zupełne? Czy zerwa-
nie nici kompletne? Niech Bóg uchwala! Jeśli gdzie to w so-
dalicji wiecznotrwała idea i duch nieuspiony łączyć będą «na-
szych», choć ich czas i przestrzeń rozdzieli, rozrzuci.

Wszyscy zdaje się będziemy pamiętać o przepisach usta-

wy sodalicyjnej, która nie zna wakacyj. Wszyscy będziemy co miesiąc garnąć się do Sakramentów świętych i donosić o tym pocztą ks. moderatorowi, wszyscy, wszyscy co do jednego wypełniać będziemy zasadnicze obowiązki katolika, od których nam odstąpić nigdy nie wolno.

To rozumiacie. O tym się na ogół pamięta.

Na jedną rzecz, na pozór także rozumiały, ale dziwnie łatwo zapominaną chcę zwrócić dziś sodalicyjną uwagę waszą, to jest na obowiązek i zaszczyt zarazem godnego reprezentowania sodalicyjki zawsze i wszędzie przez dobrego, jak najlepszy przykład, przez szczerą, wybitną, ujmującą uprzejmość.

Obserwując życie i zachowanie naszej, polskiej młodzieży, niestety często ubolewać nam przychodzi nad brakiem jej towarzyskiego obycia, kulturalnej ogłady, grzeczności. Objawia się to w całym zachowaniu, w ruchach, a już nie najmniej w języku i sposobie przemawiania.

Jeśli to złe u wszystkich, to podwójnie złe, niedopuszczalne, karygodne u członków tak wysoko ideowej organizacji, jak sodalicyjka mariańska, która ma przecież skupiać i wyrabiać wybranych — elitę katolicyzmu! Czy tu jesteśmy wszyscy bez winy?

Opowiadał mi przed kilku miesiącami jeden poważny kapłan, że w czasie ostatnich wakacyj, jadąc koleją, był świadkiem wysoce niekulturalnego zachowania się w wagonie młodego chłopca, jak przypuszczał ucznia gimnazjalnego. Wszyscy podróżni oburzali się na jego niegrzeczność i brak kultury. Jakież było zdziwienie i jak głęboka przykrość owego księdza, gdy nagle w dziurce surduta dojrzał u owego studenta srebrny znaczek sodalicyjny!

Więc jednak to możliwe! Pewno, zdarzy się czasem zderzować, zapomnieć, zagalopować, ale to wszystko nie musi być ordynarne, brutalne. Prawdziwa kultura duszy przebija zawsze i wszędzie. Można jej nawet nie mieć z domu, z środowiska, z którego się wyszło, ale można ją zdobyć usilną pracą nad sobą, przestudiowaniem odpowiedniej książki, obserwacją postępowania ludzi inteligentnych i uprzejmych.

Zwróćmy więc w czasie tych wakacyj baczną uwagę na tę stronę naszego życia, naszej miłości bliźniego, naszej etyki! Bądźmy bardzo grzeczni, bardzo kulturalni i uprzejmi w chacie wiejskiej i we dworze, w warsztacie i wagonie, na boisku

i na wycieczce. Niech ta grzeczność stanie się między innymi cechami nieodłącznym znamieniem, błyszczącą srebrem mariańskiego monogramu odznaką prawdziwego sodalisa!

1932.

WEŻ MNIE Z SOBĄ...

Skończyło się!

Janek w podskokach wpadł do swej izdebki, rzucił na stół dopiero co otrzymane świadectwo i nucąc wesołego krakowiaka, począł się na gwałt pakować. Jedzie dziś, jeszcze dziś, najbliższym pociągiem. Jest dwunasta. Pociąg odchodzi nieco po piętnastej. Chyba się zbierze. Przecież nie jest panną, co się godzinami całymi pakuje...

Dalej do roboty, dziś mniejsza nawet o obiad! Wieczereżę zje już u matuchny. Ej! Boże dobry, cóż to za szczęście... Hurra!

Otworzył walizę i dalej rzucać w nią ubranie, bieliznę, książki, drobiazgi przeróżne, które wyjmował z otchłani szuflad i półek.

Nieszczęsna walizka zapelniała się szybko, aż zbyt szybko. Już nie ma miejsca! Ugniata kolanem... Nuże, jeszcze się coś zmieści... i to i owo i tamto...

Nareszcie gotów!

Raz jeszcze rzuca okiem do stolika. W kącie szuflady szarzeje mała książeczka. *Ustawy Sodalicji Mariańskiej*. Eh, co mi po tym na wakacjach! Nie będzie zebrań, ani posiedzeń. Zamknął szufladę, pomyślał chwilę. I zdawało mu się, że usłyszał jakby wyszeptane wołanie z szufladki: Weź mnie z sobą, weź! Wrócił, otworzył, wsunął książeczkę do kieszeni. Przyda się. Zagładnę do niej, muszę przecież pamiętać, że sodalisem. Wakacje... no cóż, zawsze trudno się krępować, swobody więcej będzie i wesołości. Koledzy, towarzystwo — a nużbym się zapomniał? Zboczył? Nie! Położę Ustawy na stoliku i choć czasem do nich zagładnę! Dobra!

Wakacje!

Ah! Prawda, coś to mówili jeszcze na zebraniu o kartkach wakacyjnych¹⁾. Rozdawali... Zaraz! A gdzie te moje

¹⁾ Z doniesieniem ks. moderatorowi o komunii św. wakacyjnej.

kartki? Ani rusz sobie przypomnieć, co z nimi zrobił. Ah, to pech! — Aha! na zebranie czerwcowe poszedłem przecież od Zbyszka. Tak. Oddał mi wtedy mój zeszyt geometryczny. Ah, doskonale, napewno będą w zeszytcie. A miał go tu zostawić. Grzebie w półce. Jest! Są kartki! Doskonale! O, patrzcie, pocziwy Jurek sekretarz wypisał tu nawet adres księdza.

Otworzył wieko walizki. Wyjął książkę, wsunął w nią kartki. Teraz już nie zapomni. Nie zapomni o wakacyjnym obowiązku, nie zapomni, że zawsze i wszędzie ma być sodalisem... Dwie małe, kolorowe karteczki przypomną mu to ci cho, ale mocno i wyraźnie. Wakacje będą dobre, uczciwe, naprawdę sodalityjne!

1933.

NA WAKACJE

1.

— Czy ktoś z was wątpi choć trochę, że wakacje sodalisa powinny na sobie odbijać wszystkie cechy tego wyższego życia, które znamionują duszę członka mariańskiego rycerstwa?

— Chyba nikt!

A przeto nikt nie będzie się dziwił, gdy powiem, że sodalityjne wywczasy nie tylko żadną miarą nie mogą być dla nas obniżeniem lotu i rozluźnieniem tężyzny duchowej, lecz przeciwnie, winny ją pogłębić i utrwalić.

W jakim kierunku? — zapytasz.

Niech ci odpowiedzią na to będą trzy rady, trzy wskazówki.

Na wakacjach najpierw zbliz swoją duszę do Boga, którego winienesz wszędzie szukać i wszędzie znajdować. W modlitwie codziennej, w kościele częściej niż zwykle (tyle masz czasu!), w komunii świętej, w piękności i majestacie przyrody...

Zbliz swoją duszę do ludzi! Życie i obowiązki szkolne zobojętniają cię w pewnym względzie dla spraw innych ludzi, zwłaszcza twoich najbliższych. Jakże często nie rozumiesz ich, nie chcesz, nie umiesz zrozumieć. Odsuwasz od siebie ich prze-

życia, ich troski, ich sprawy, zwłaszcza jeśli powoli wychodzisz z ich niższego położenia społecznego ku wyższym szczeblom inteligencji. W czasie wakacyj zbliż się do nich! Chciej szczerze zrozumieć ich, odczuć, wżyć się w ich życie... Wtedy może dopiero ocenisz, ile im zawdzięczasz i wtedy radosną ci będzie każda pomoc, każda usługa, każda odpłata najbliższym...

Zbliż się wreszcie do własnej duszy! Dziwi cię to wezwanie — prawda? Ale pomyśl, rozważ, jak ci nieraz obcą twoja własna dusza, jak odległą, obojętną. Jak dla niej w roku strasznie nie masz czasu, współczucia, oddania... Tyle lat już żyjesz — ile w nich uczyniłeś dla duszy, dla twojej własnej duszy? Cóż ci szkodzi w długich dniach wakacyj choć czasem do tej duszy młodej zaglądnąć, w samotności obcować z samym sobą, na chwilę być sobą, pozbywszy wszystkich nalotów i tej całej warstwy nieszczerości, sztuczności, którą niby wstrętną szminkę, życie nałożyło już na świeże, rumiane, czyste oblicze twej młodzieńczej duszy!

Ach! Ileż bezcennych skarbów dały by ci takie wakacje!

Czyżbyś nawet nie miał spróbować?

Nie wierzę! Więc w wysiłku: Szczęść ci Boże!

1934.

2.

Ze szkolnego frontu pracy i walki ruszają sodalicje nasze na front wakacyj.

Cóż to za front?

Nie widzisz na nim może ni walki ni pracy — upatrujesz jeno swobodę, zabawę, spoczynek.

Więc jesteś w błędzie, złudzeniu ulegasz groźnemu.

Nie może na wakacjach ustać twa praca nad sobą, bo wtedy stałyby się one grobem twego charakteru.

Nie może ustać walka w obronie sodalicyjnego ideału, bo wtedy stałyby się początkiem przegranej życiowej.

Nie może ustać nieustanna troska o zdrowie duszy, bo wtedy — zdobywając zdrowie ciała — jakże łatwo naraziłbyś twą młodą duszę na ciężką, może śmiertelną chorobę.

Nie może ustać twoje apostołstwo dobra, bo straciłbyś wspaniałą sposobność okazania twej sodalicyjnej tężyzny i duchowej ekspansji.

Nie może w końcu ustać ani na chwilę twoja służba Bogu i Marii, bo wtedy nie byłbyś chyba sodalisem.

A przeto ani na chwilę nie zapomnij na wakacjach kim jesteś, kim być powinienes i coś powinien zdziałać, jeśli Sodalicję Mariańską rozumiesz, szanujesz i kochasz!

1935.

Z KRZYŻEM W RĘKU NA WAKACJE

Jednym z największych grzechów dzisiejszych chrześcijan katolików jest to, że często, powiem zbyt często, zapominają, że są katolikami.

Łatwo im zachować wiele tradycyjnych zwyczajów narodowo-chrześcijańskich, łatwo w niedzielę czy święto znaleźć się na Mszy świętej, łatwo nawet przystąpić na Wielkanoc do świętych Sakramentów... Ale — wnieść katolicką zasadę w codzienne życie osobiste, rodzinne, wnieść ją w stosunki towarzyskie, w sprawy zawodowe, do biura i do warsztatu, do sklepu i do fabryki, na ulicę i na stadion sportowy. Nie, to się wielu, bardzo wielu wprost nie mieści w głowie. My sami nie zdajemy sobie nawet sprawy z tego, jak bardzo podatny grunt znalazło w nas socjalistyczne, tak wszelkiemu zdrowemu pojęciu o religii urągające hasło: Religia jest rzeczą prywatną.

Któż, jeśli nie my sodalisi, winniśmy raz wreszcie zrozumieć, że religia jest rzeczą z publicznych najbardziej publiczną!

Że religii wartość i siła okazuje się dopiero na arenie życia!

Że religia od święta, tradycji, uroczystości i kościoła tylko — jest religią chorą na suchoty i skazaną na bezlitosną zagładę!

To — my młodzi katolicy musimy zrozumieć; to przekonanie musimy uczynić naszą duchową, osobistą własnością. Z tym przekonaniem iść w życie i w każdy życia odcinek — iść więc teraz, w najbliższej przyszłości także na wakacje.

Iść tym pewniej i tym silniej, że umilkną egzorty nasze i lekcje religii, że staną zbiórki sodalicyjne i posiedzenia, że zniknie nam z oczu nasz sztandar, nasz moderator, nasz miesięcznik!

Z krzyżem Chrystusowym na wakacje!

Z zasadą katolicką na letnie wywczasy, w rodzinny dom, w nowe środowisko, na obóz czy na górską wyprawę, na sporty letnie i zabawy wszelkie z dumnym, jasnym wyznaniem: *Catholicus sum — Sodalis sum!*

Jest nas przecież taka ogromna gromada!

Wśród roku szkolnego zbici jesteśmy w szkolne zastępy — wakacje rozsypią nas po całej Polsce. Nie będzie w niej może ani jednego miasteczka bez któregoś z nas, zaludnimy tysiące wiosek.

Wszak jest nas 13.000!

Niech każdy przeto krzyż i zasadę krzyża wniesie w kołisko swego zasięgu wakacyjnego życia — co za potęga apostołstwa Dobra i Prawdy! Co za chluba i zaszczyt!

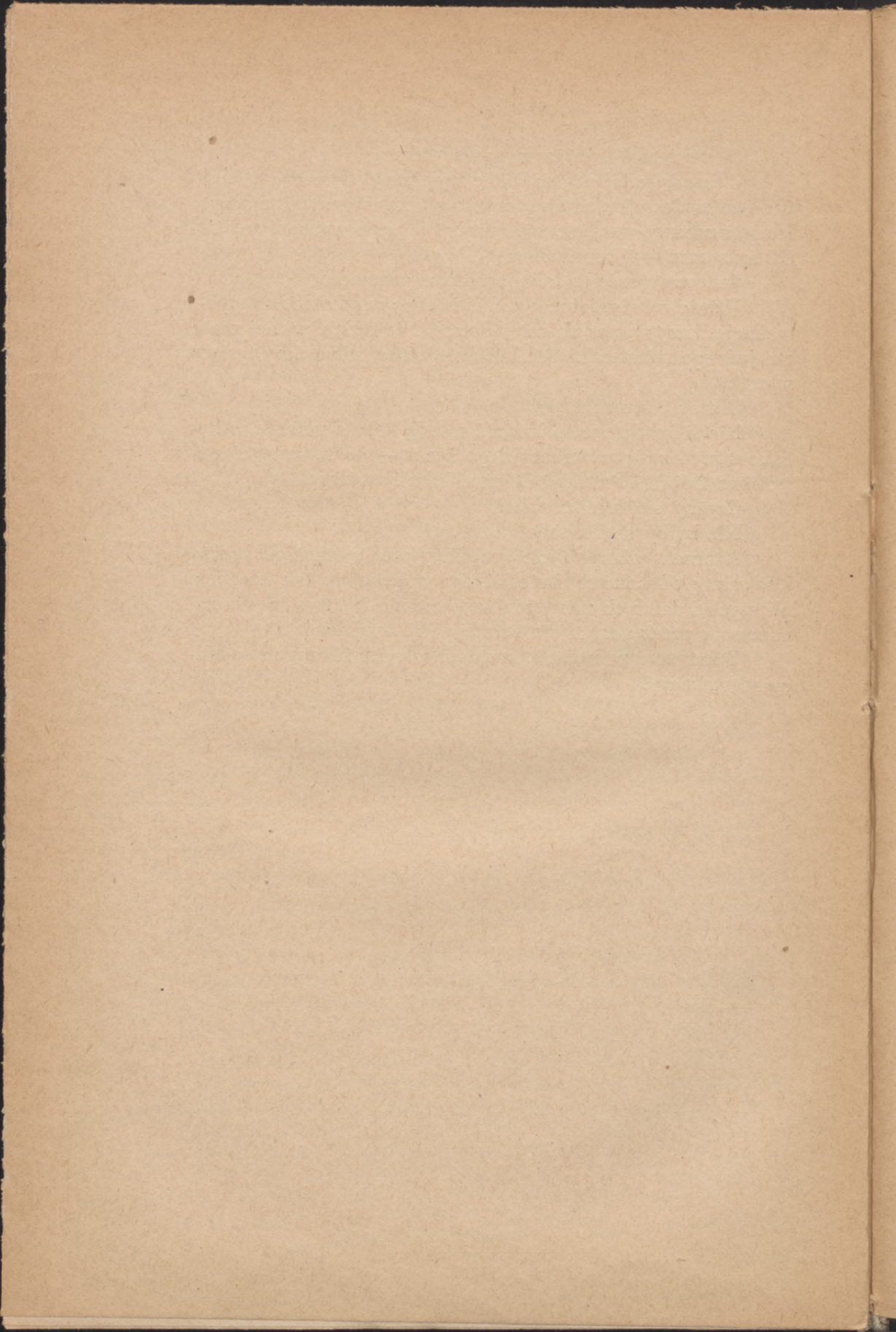
Czyżby się ktoś zawahał?

Nie byłby chyba sodalisem!

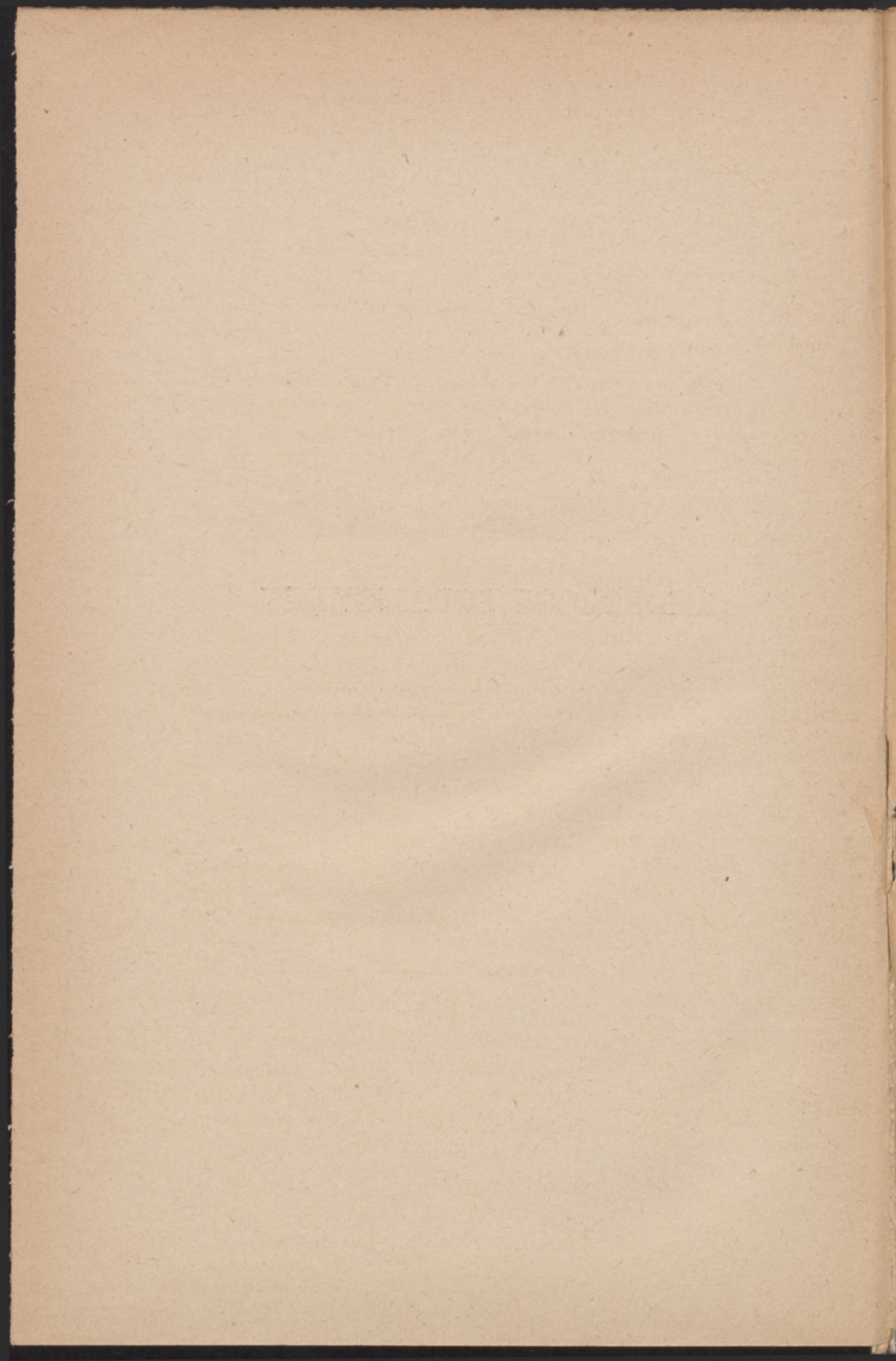
A przeto własne życie urządzmy według ramion krzyża i w miarę sił naszych i stosunków wpływajmy tak na życie bliższych i dalszych nam ludzi, aby zasada i prawo krzyża zapanowały przez nas jak najszerszej i jak najgłębiej.

Z krzyżem w sercu, z krzyżem w ręku idźmy na sodalicyjne wakacje!

1937.



Z IDEOLOGII SODALICYJNEJ



ENTUZJAZM

Zabiła go w nas wojna.

Życie społeczeństw i narodów poczęło przesycać się coraz skrajniejszym materializmem. Siła fizyczna, ogień i żelazo, zwyciężały na frontach; w kraju toczyła się walka o każdy kęs chleba, o każdy strzęp szaty. Przewrót finansowy jednych strącał w przepaść nędzy, innych bogacił w miliardy. Zepsucie moralne szło ku nam z nieprzeliczonych armij, wartości duchowe topniały niemal z dniem każdym w oczach szerokich mas... I tak przez szereg lat wysychały źródła entuzjazmu, który przestał sobą karmić i poić dusze młode, tak bardzo dla niego stworzone — tak puste, tak szare i niskie bez niego.

W jasnej, pogodnej, uroczej Helladzie się zrodził. Techniem bóstw olimpijskich przenikał serce, piersi, całą duszę człowieka, porywał, zapalał, unosił gdzieś wzwyż, ku szczytom Olimpu... A gdy przyszło chrześcijaństwo, poszedł bez słowa na jego służbę. Spotęźniał, skryształizował się pod błogosławnym słowem nauki Chrystusa. Obrął sobie siedlisko w wielkich duchach apostołów, w sercach męczenników, w przejasnym umyśle Pańskich wyznawców. I działał cuda. Wszystko ożywiało, wszystko rozpalał, rwał w górę, w błękity, gdzie wypatrywał z bohaterskim Szczepanem «Syna człowieczego stojącego po prawicy Bożej». I serdecznym był druhem, przyjacielem młodych, skarbnikiem był, co im na życie, na męski wiek kleński, na siwizny czas, skarbił bezcenne klejnoty.

Zabiła go w nas wojna...

My musimy go wskrzesić, wrócić mu życie w nas, a przezeń ożywić swoje dusze i braci... Musimy!

Idźmy w wędrówkę ku jego źródłom, one się jeno skryły w kamieniach, lecz sączą się dalej. Hej! Gruz nam usunąć i skałę, a buchnie strumień potężny i wartko popłynie krajem i światem. Tylko do pracy, w drogę! Do źródeł entuzjazmu.

Skrześmy w sobie iskrę wiary, a z iskry niech płomień

się nieci, i błyska i grzeje. Bóg naszym Ojcem, Maria nam Matką. Na opoce niezłomnej wznosi się wiara nasza i oczom ducha ukazuje horyzonty bez granic, cuda mądrości i piękności Bożej. Dusze nam karmi Bogiem, do życia z Nim wzywa. Nie po ziemi nam pełzać, nie proch nam gryźć i trawić. Inny nam pokarm gotuje Bóg!

Rozzłóćmy w sobie słońce miłości. Przejasne, ogromne. Miłości Boga, ludzi, narodu i ojczyzny. Niech rozszerzy się serce i ukocha wszystko, co na jego miłość zasługuje, a dzięki Bogu dużo tego jeszcze i dziś — na świecie. Ukochajmy czystość, ukochajmy piękno rozlane w duszach i będące duszą przyrody całej, odzwierciedlającej w sobie wiekiuste piękno Boże. Ukochajmy zapał rwący się do czynów wielkich, do wielkich poświęceń. Ukochajmy wiedzę, tę radość i światło naszego umysłu, ukochajmy obowiązek, uczynmy go naszą świętością. Ukochajmy cierpienie i krzyż, co siły nasze doświadcza, a wartości, jak ogień, próbuje. I z tych źródeł mozolnie odkopanych czerpajmy i pijmy Entuzjizm. A *odnowi się jako orłowa młodość nasza*, nowa krew w niej zatętni, rozświecą się oczy młode blaskami, co nie gasną, dłoń ku pracy się wyciągnie ofiarnie, pierś się wypręży i odetchnie powietrzem ze szczytów, a barki udźwigną wszelki znój i trud...

Do dusz młodzi polskiej wróci święty zapał, wróci z Boga, Wiary i Miłości płynący Entuzjizm.

1924.

CZEGO CHCEMY?

Na jednym ze zjazdów naszego Związku wyłoniła się w ożywionej dyskusji kwestia wydania deklaracji ideowej solidarności mariańskiej. Był to czas, w którym tych deklaracji namnożyło się w Polsce co niemiara. Każde zrzeszenie młodzieży uważało za rzecz najpotrzebniejszą i najpilniejszą wywiesić swoje publiczne Credo, ogłosić społeczeństwu swoje zasadnicze, wytyczne, linie poglądów, zamierzeń i działań.

I słusznie poniekąd. Nie zaprzeczam bowiem, iż wydanie deklaracji, przejętych zresztą w świecie organizacyjnym z życia i zwyczajów stronnictw politycznych, przyniosło niejednen pożytek.

Same stowarzyszenia rzuciły sobie podstawę pracy i wytyczyły drogę, którą ona iść miała, unikając zbroczeń w jedną lub drugą stronę. Społeczeństwo, a więcej jeszcze przyszli, nowi członkowie czy sympatycy, usłyszeli jasno, czym żyje i chce żyć dane zrzeszenie.

Nasz Związek przeciw deklaracji ideowej nie wydał, nie uważaliśmy jej bowiem za rzecz konieczną, tym mniej za nagłą, palącą.

Nie znaczy to bynajmniej, by w nas samych nie było jasnej świadomości idei sodalicyjnej, by nie było głębokiego przejęcia się nią, by ona w nas choć na chwilę przybladła czy przygasła.

Świadczy o tym nasz statut, który będąc nie czym innym, jeno rozszerzoną deklaracją ideową, rozszedł się w Polsce całej w tysiącach egzemplarzy w kilku zaledwie latach, świadczy każdy niemal numer naszego miesięcznika «Pod znakiem Marii», świadczy każdy nasz zjazd doroczny.

Deklarację ideową my mamy w sobie, a miast ją ogłaszać, pragniemy, aby ona w nas promieniowała w modlitwie i w pracy, w rodzinie i szkole, w sodalicyj, w życiu całym, tak jasno, tak silnie, tak gorąco, by sama przez się dawała poznać, co świeci umysłom i co żarzy się sercom naszym.

Żeśmy się nie mylili w naszym przekonaniu dowodzi olbrzymi wzrost naszej idei, naszego życia, naszej siły w ostatnich kilku latach. Sprawozdanie za rok 1923/24 — piąty rok istnienia Związku — stwierdza to najwyraźniej. Wykazuje ono 99 sodalicyj (nowych w tym jednym roku 20), 4.258 członków, 5.100 abonentów miesięcznika związkowego. A w tych sodalicyjach, znowu w tym jednym tylko ostatnim roku, 540 nabożeństw sodalicyjnych, 580 wspólnych komunii św., 867 zebrzań ogólnych, 821 sekcyjnych, 774 posiedzeń wydziału; na tych wszystkich zaś zebraniach i posiedzeniach około 2.200 wykładów, referatów i pogadanek. Oto kilka tylko suchych cyfr.

Idziemy więc naprzód z całą potęgą pomocy Bożej, z całym rozmachem młodości.

Ale właśnie dlatego przystanąć na chwilę trzeba nam u progu nowego roku naszej pracy i jasno i wyraźnie zapytać się, zapytać nas samych: Czego chcemy? — a odpowiedź zapamiętać dobrze i głęboko i podać ją jasno i otwarcie tym, co pytają.

Czego chcemy?

Chcemy wychować, wykształcić, urobić garść ludzi, Polaków-katolików z przekonania i z życia, a wychować i urobić przez miłość, cześć i naśladowanie Niepokalanej, przez pracę nad sobą, przez apostołstwo Dobra wśród młodej braci naszej.

Chcemy urzeczywistnić lub przynajmniej przybliżyć Królestwo Boże na ziemi, nie tej szerokiej i wielkiej ziemi, choćby naszej ojczystej, bośmy na to za młodzi, za słabi jeszcze, ale w tej jej części, którą stanowi nasza najbliższa rodzina, nasza klasa, nasza szkoła.

Chcemy więc przez sodalicję pomóc w wielkiej pracy i w wielkim zadaniu Kościołowi Chrystusowemu, rodzinie polskiej i szkole naszej narodowej.

I wszystko, czym przez sodalicję jesteśmy, lub chcemy być, wszystko, co w niej i przez nią czynimy, wszystko jest jedynie i wyłącznie środkiem do tego potężnego celu.

Pracę naszą podjęliśmy w pierwszym świecie niepodległości i zjednoczenia ojczyzny, w pamiętnym roku Pańskim 1918 i prowadzimy ją cicho i spokojnie, codziennie, a nieugięcie i konsekwentnie naprzód. Nie zagarniamy tej pracy wyłącznie dla siebie. Wszystkim, którzy pracują obok nas z serca życzliwi, nawet w miarę sił pomocni, cieszymy się z każdego ich dorobku, byle ich praca dla młodzieży opartą była na katolickich i narodowych zasadach.

Od rozpoczęcia zatem naszej pracy, ile nas stać, przysparzamy Kościołowi dzielnych, nieustraszonych wyznawców, rodzinie najlepszych synów, szkole narodowej wzorowych uczniów, najlepszych obywateli Ojczyźnie.

Mając od wieków gotowe, wypróbowane formy organizacyjne, chcemy naszych ludzi po skończeniu szkoły średniej, widzieć w tej samej organizacji sodalicyjnej, przy tej samej pracy na naszych szkołach wyższych, a po uzyskaniu dyplomów, w życiu publicznym, jako ojców rodzin, jako wiernych synów Kościoła, jako wzorowych obywateli państwa.

A przeto gorąco popieramy bratnie sodalicje akademickie i popierać będziemy sodalicje obywatelskie, urzędnicze czy nauczycielskie, które powstaną niezawodnie w niedalekiej przyszłości.

Sodalicje alumnów polskich seminariów duchownych, które zasilają się naszymi sodalisami szczęśliwie powołanymi

przez Pana do służby Ołtarzy, przygotowują nam dzielnych, oddanych, już od zarania życia kapłańskiego, moderatorów i dlatego i z nimi łączą nas najbliższe, węzły przyjaźni.

Oto widzicie ukochani sodalisi — jak szeroko i głęboko zaciągnięta nasza sodalicyjna sieć. Oto widzicie i rozumiecie, czego my wszyscy, zjednoczeni i miłujący się wzajemnie jak bracia, chcemy dokonać. Służyć Bogu i Marii, uświęcić i zbawić własną duszę, uświęcić i zbawić dusze wszystkich, wszystkich rodaków, dać Kościołowi i Polsce wyborowy hufiec dusz, czystych, prawych, ofiarnych — to nasze credo, to ideowa deklaracja naszej pracy w nowym roku szkolnym, jak i w tym, co minął tak niedawno, jak zawsze i na zawsze.

Do tej pracy zaszczytnej, wielkiej i świętej wzywamy was. Bywajcie! Pod znak Marii spiescie, imajcie się pracy, tej znoej, powszedniej, mało znanej i mało cenionej przez ogół, która jednak, jak pług wolno, a nieustannie idzie po ziemi naszej dogłębnie i rzuca w nią ziarna złote, z których strzeli stokrotnych plonów kłos.

Lecz na plon nie czekajcie! Lecz kłosów dorobku nie uglądajcie! I dziś jeszcze nie czas! Dziś i jutro i długo jeszcze pracy nam trzeba i pracy. Do niej idźmy i chwytajmy się jej całą duszą. Pracy w domu, pracy w szkole, pracy we wnętrzu własnym, pracy dla siebie i pracy dla drugich, a wierźmy i ufajmy, że Bóg i Maria i plonów kiedyś doczekać dozwolą radosnych i obfitych, bogatych...

1924.

POCZUCIE SIŁY

Jednym z głównych powodów skargi na zastój życia, pracy, rozwoju w naszych organizacjach jest brak poczucia siły.

Patrząc w dzieje ludzkości, Ojczyzny naszej, Kościoła, jakżeż często nie możemy wyjść wprost ze zdumienia, czego to nie zdołał dokonać jeden człowiek. I to nie zawsze człowiek wyjątkowy, geniusz, i nie zawsze w wyjątkowo sprzyjających warunkach. Nie! Sumienna praca, charakter, zasady niezłomne, wiara w pomoc Boga i we własne siły już nieraz dokonały cudów. A przecież zdobycie tych wszystkich przymiotów

zależy w pierwszym rzędzie od nas, od naszej wytrwałej pracy nad sobą, nad urobieniem i uświęceniem własnej duszy. Jeśli zatem taką potęgę stanowić może jeden wyrobiony i świadomy celu swej pracy człowiek, to cóż powiedzieć o zrzeszeniu całego szeregu podobnych jednostek? Przedstawiają one siłę, która nie ma sobie równej w świecie moralnym.

Dwunastych zrzeszonych w imię Chrystusa rybaków galilejskich nawróciło Rzym i świat.

Zakony katolickie uratowały starą, a stworzyły nową cywilizację, wtedy, gdy o niej jeszcze nikt inny nie myślał.

Dzisiejsze związki i organizacje dokonywują nieprawdopodobnych rzeczy i osiągają cele, zdało się do niedawna nieosiągalne.

Sodalicja jest organizacją. Jest organizacją, która ma za sobą próbę wieków i wawrzynowe wieńce zasługi. Jest organizacją, która skupia najlepszych i najtęższych, a jak u nas — skupia w okresie najbujniejszej, kwitnącej młodości.

Sodalicja jest i winna być potęgą!

Czy macie poczucie własnej siły? Czy macie je wszyscy?

Ale przede wszystkim czy spełniacie te warunki, od których siła wasza i siła sodalicji w waszej szkole zawisała?

Oto pytanie?

A warunki te proste i jasne. Pierwszym z nich gorąca cześć Niepokalanej Dziewicy, naszej Matki i naszego Wzoru.

A drugim nieustanna w Jej właśnie imię podjęta i na każdy dzień podejmowana praca nad sobą, nad własnym charakterem.

Sodalicja, w której te dwa warunki spełnia się na każdy dzień, sodalicja taka musi promieniować na zewnątrz i musi być na terenie swej działalności, więc w swej szkole, w swej klasie, w życiu szkoły i klasy, potęgą moralną, potęgą najwyższą.

Bo nic się nie oprze sile i mocy ducha.

Jeśli się wam opiera, jeśli waszego wpływu nie znać na waszej klasie, jeśli nie znać na waszych kolegach, jeśli nie podniósł się poziom rozmów, żartów, zabaw, rozrywek, lektury, uczciwości uczniowskiej — to znak, że jesteście bezsilni, że istniejecie na papierze, że nie macie w sobie poczucia siły, że naprawdę nie wiecie, po co w szkole jest sodalicja.

Więc niechaj każdy z was przed oczy swoje stawi termometr życia duchowego szkoły i niechaj baczy pilnie, aby jego

igła w sodalicy samej i w jej pobliżu wskazywała ciepłotę jak najwyższą. Niech sam będzie ogniem i płomieniem, niech sam będzie zapalem i entuzjazmem, niech się rwie, niech się znoi, niech się poświęca, a wtedy zapali i porwie drugich.

Ciężka to praca i żmudna, lecz pomnijcie, iż bez niej nic. My musimy najpierw z siebie uczynić idealnych ludzi, potem idealnych Polaków-katolików, w końcu idealnych sodalisów Marii. A wtedy nie tylko zrodzi się w nas poczucie siły bożych olbrzymów, ale promieniując tę siłę, tę potęgę tkwiącą w nas na zewnątrz, setki i tysiące najbliższych nam i najdroższych nam kolegów i braci przywiedziem ku blaskom nadziemskim, idącym od krzyża Chrystusowego i mariańskiego sztandaru.

1924.

O SZAREJ GODZINIE

Coraz głębiej i głębiej szary zmrok zimowy zagląda z pola przez małe kwadraty szyb do mej ciasnej izdebki... Po nerwowych podmuchach wiatru, co do kości przejmuję, a świszczy tak przenikliwie i ostro, uciszył się świat... Nagie chojary drzew stoją bez ruchu, zamarłe. Ani jedna gałązka nie zadrga... Błękitne dymy wznoszą się w tej ciszy zupełnej spokojnie i prosto do góry, ku szaremu niebu... Tu i ówdzie po domach błyskają już czerwone światełka lamp i lampek.

Staję u okna... Opieram zmęczone czoło o chłodną szybę i patrzę w śnieżną, nieskalaną dal, aż tam hen, gdzie góry z górami się schodzą, przepuszczając jeno wąskim przesmykiem drogę na północ, ku szerokiej naszej Ojczyźnie... Ostatnie szaro-różowe błyski zachodu ścielą się po śniegu i konają... W białą przestrzeń puszczam na chwilę wytechnienia wyobraźnię moją i myśl, gdzieś z głębin duszy poczętą.

O szarej, mrocznej, godzinie...

Myszę o was...

W kamienicach miast i domach małych miasteczek, po bursach i konwiktach, i wy w tej chwili niecicie światło wieczorne i myślicie zabrać się do pracy... W większym lub mniejszym nieładzie rzucone książki i zeszyty czekają na nią po waszych biurkach i stolikach. Wkrótce tysiące młodych głów pochylą się znowu nad nimi, tysiące młodych, żywych oczu, wbiją się w zapisane, zadrukowane karty, by zdobyć wiedzę

potrzebną na jutro, na lekcje, na profesorskie pytanie... Otoście przed kilku tygodniami zaledwie wrócili ze świąt.. Z ojcowskich domów, z kół rodzinnych a w każdym razie, z intensywniejszego niż zwykle życia domowego i towarzyskiego, wróciliście do szkoły. Kto jeno z was nastawił uważniej ucho na to wszystko, co wokół was mówiono na tych świątach, nawalił nim pełno żalów, narzekań, skarg, może nawet złorzeczeń i przekleństw. Tak! Żle się dzieje w Rzeczypospolitej. Ciężka, bezlitosna doła gnębi ludzi. Głód i chłód zagląda do chat chłopskich i izb robotniczych. Bezrobocie, drożyzna, podatki, redukcja, zakazy... oto — wszak prawda, drodzy moi — niezmienny wieczny temat ludzkich rozmów i żalów, jeśli nie płaczu i łez. A do tych wszystkich goryczy miesza się inna, bardziej zgryźliwa, bardziej piekąca, przejmująca lękiem do głębi duszy, to narzekanie na ludzi. I niepodobna zamknąć na to wszystko, co się dzieje, waszych młodych oczu, niepodobna zamknąć uszu na rozprawy i dyskusje starszych. A w tym wszystkim niestety tyle, tyle prawdy. Tak — myślę, że niepodobna... Bo przecież wy w tym wszystkim żyjecie, wznastacie i musicie się o to nieustannie ocierać. Z bólem serca polskiego tyle widzimy w życiu, w społeczeństwie nieuczciwości, tyle oszustw, tyle wyzysku. Taki zanik etyki indywidualnej i społecznej, i już nie tylko naszej, religijnej katolickiej, ale nawet tej przyrodzonej, czysto ludzkiej. Takie nieposzanowanie własnej Ojczyzny, jej dobra i majątku, takie nadużywanie wysokich w społeczeństwie stanowisk i ludzkiego zaufania, taka zaguba ducha obywatelskiego i obywatelskiej cnoty. Zda się, że dobro i dobrzy ludzie, których nie brak przecie, pokryli się gdzieś i zataili, a jakieś zło okrutne zalewa nas, przygniata, dusi i niszczy... Zło od ludzi, co zbyli poczucia obowiązku, uczciwości, sumienia...

Gorycz zalewa serce, przepelnia duszę...

I myślę sobie o tej szarej godzinie... Ot tam hen... po całej Rzeczypospolitej chylą się nad stołem i książką młode głowy i młode oczy nowego pokolenia... Tego, co rośnie i wyrośnie na mężów i obywateli przyszłości... Tego, co wschodzi nam na szarym, rozpaczonym zwałami ciężkich chmur niebie — przedświtem lepszych dni i zjawą lepszych ludzi...

I myślę sobie cicho, cichutko — jeśli ci mają być lepsi, dzielniejsi, uczciwsi od «tamtych», to i młodość ich i nauka

i szkoła musi być inna, odmienna od młodości, od nauki i szkoły «tamtych».

Musi być! — Słyszycie sodalisi najdrożsi?!

Musi być!

Inaczej gorze nam, gorze Polsce całej!

Jeśli tamci, co dziś tak źle służą Ojczyźnie, na szkolnej ławie źle pełnili swój obowiązek — nie wolno wam!

Jeśli tamci tak mało i tak rzadko naprawdę głębiej myśleli o Bogu, lękali się Jego prawa i sądu, znali i poznali do głębi swoją religię, a potem zapomnieli o niej w życiu i praktyce — nie wolno wam!

Jeśli tamci, co dziś oszukują władzę, niegdyś wysilali cały swój spryt, aby oszukać nauczyciela, — nie wolno wam!

Jeśli tamci, co dziś warcholą się w partyjnictwie zaciekłym i skrajnym egoizmie stronnictwa, wnosili zamęt i waśń w życie swej rodziny i klasy — nie wolno wam!

Jeśli tamci nieszczęśliwi, co dziś prywaty jeno szukają i samolubstwem żyją wszędzie, egoistami byli niegdyś w domu i w szkole — nie wolno wam!

Jeśli tamci, co dziś plawią się w grzechu i rozpuszcie, zgębnieni przez namiętność do ostatka, w młodości już mieli dusze chore i serca zatrute nieczystością — nie wolno wam!

Jeśli tamci, co dziś w życiu szukają tylko maksimum użycia za wszelką cenę, w młodości nigdy nie myśleli o ideale, w młodości nienawidzili wysiłku i poświęcenia — nie wolno wam!...

Nie wolno!

Więc jacy wy jesteście chłopcy najdrożsi dziś? — myślę sobie — i jak gotujecie dziś wasze lekcje i zadania i odpowiedzi na jutro? jak zmawiacie wasze modlitwy, jak słuchacie waszych ojców i nauczycieli?? Jak czynicie to wszystko przyjaciele? — Wy ludzie JUTRA???

Chciałbym ze wszystkimi, co zostali zaci i święci w narodzie, co cierpią dziś w wnętrznościach dusz swych polskich, chciałbym stanąć przy waszych stołach i stolikach w izdebkach waszych i w salach naukowych i spojrzeć w wasze jasne oczy i usłyszeć z waszych ust słowa ukojenia i pewności, że wy pojmujecie i rozumiecie do głębi, co macie dać z siebie, co macie wnieść w dni JUTRA Polski i że wy to wniesiecie z pewnością.

Wniesiecie!

- Wiarę i Prawdę!
- Obowiązek i Pracę!
- Uczciwość i Zgodę!
- Jedność i Pokój!
- Czystość i Ofiarę!

Wniesiecie!

Tak! Jestem tego pewien!

I choć minęła szara godzina i niemal nocna ciemność zaległa świat, w duszy mi jaśniej, raźniej, weselej!...

Myślę o naszych ludziach lepszego, jaśniejszego JUTRA...

— — — — —
Na wieży kościelnej godzina uderza... Raz za razem, powoli i dźwięcznie...

Jakaś ręka za sznur chwyta dzwonnicy... Leci w smutny, zimowy świat podzwonne wołanie na Anioł Pański... modlitwa Zwiastowania... Więc sercem modłę się za tych, co JUTRO zwiastują Polsce...

1925.

NAJBLIŻSI CELU

Jakże często, spiesząc do gimnazjum z książkami pod pachą, spotykam po drodze liczne gromadki dzieci, okutanych w kożuchy i chusty, z parcianymi torbami na tabliczki i książki na plecach, gramolące się zimą po śniegu, swawolne, roześmiane, poświstem mroźnym zaróżowione na twarzyczkach... Idą do szkoły... Do szkoły powszechnej... po elementa nauki i wiedzy, po wychowanie, po życia podstawę i siłę.

I jakże często, gdy zajdę do cichej i pustej niemal po południu świątyni, ukryty w zakątku, dostrzegam tychże dzieci gromadki całe, co zwolnione z nauki wpadają do kościoła, jak stadko małych wróbli, ćwierkających jeszcze w kościelnym progu, a potem nagle spłoszonych ciszą i majestatem Domu Bożego, przypadających, jak ptaszę w locie, na kilka sekund do stopni Pańskiego Ołtarza...

I jakże często wtedy myśl moja leci ku nauczycielom i wychowawcom tych najmłodszych latorośli narodu, ku nauczycielstwu naszych szkół powszechnych polskich, wśród któ-

rego z rokiem każdym mnożą się zastępy naszych ukochanych sodalisów, rycerzy «spod znaku Marii»...

Rokrocznie wychodzą ich dziesiątki, może już setki z naszych seminariów nauczycielskich, wyjdą i tego roku po maturę — niemal odrazu na posady, na pracę, w szerokiej i dalekiej Polsce.

Z natury rzeczy olbrzymia ich większość znajdzie się po wsiach, w tych szkółkach ubogich i ciasnych, przepelnionych równie ubogą dziatwą. W warunkach pracy bardzo ciężkich i trudnych, zwłaszcza na kresach, albo w miejscowościach fabrycznych. I może wielu, wielu ugnie się pod ciężarem nad siły, pod zadaniem nad możność młodzieńczą.

Bo to przecież dziwne, pomyślmy, — choć zdaje się nieuniknione — że ta nasza młodzież seminarialna tak odrazu, tak niemal z ławy szkolnej przechodzi na stanowisko jedno z najtrudniejszych, najbardziej odpowiedzialnych. Czyż przez ten, sam jeden fakt nie zasługuje na serdeczne zajęcie i zainteresowanie się, na duchową, braterską pomoc z naszej strony?...

Jakżeż to bowiem olbrzymie na słabe barki bierze zadanie?

Jeżeli uczyć małego człowieka pierwszych zasad mądrości i wiedzy jest sztuką nad sztukami, to cóż dopiero mówić o tego człowieka wychowaniu? O zastąpieniu mu ojca i matki, którzy nie mogą, albo nie chcą zająć się urobieniem duchowym swego dziecka?

Cóż to za olbrzymia praca, cóż to za wysiłek umysłu, woli, serca czeka tego młodego chłopca, to dziewczę, co z blankietem matury w ręku, z drżeniem i lękiem w duszy idzie na pierwszą posadę?

Zapewne seminarium nauczycielskie i jego mistrze duchowni i świeccy czynią wszystko, by tych młodych przygotować do życia, do pracy, do walki, ale czy to wystarczy?

Młody maturzysta gimnazjalny w tym samym niemal wieku ma przed sobą kilka lat pracy na uniwersytecie czy technice, kilka lat przygotowania do życia, do stosunków nowych, do zupełnej samodzielności...

Młody kleryk w seminarium duchownym otoczony najtroskliwszą opieką kierowników, cztery, pięć lat gotuje się do

kapłaństwa i jeszcze czuje wielki, wielki brak w przygotowaniu...

A nauczyciel szkoły powszechnej, taki młodziutki idealista, zapaleniec, idzie odrazu w życie, w bój, w pracę najcięższą, w najniebezpieczniejsze pokusy, w odpowiedzialność największą, tak bliską, bliższą odpowiedzialności ojca, odpowiedzialności kapłana, za dusze, za serca, za młode pokolenie narodu, które ma uczyć, które — co więcej — ma wychować, wyrobić, umocnić...

Cóż to więc za olbrzymi znój wali się na te słabe, młodzieńcze barki!

I za parę miesięcy znów taki rój młodych, pełnych zapału ludzi ruszy w świat z naszych seminariów, z naszych sodalicyj seminarialnych.

Cóż dziwnego, że ku nim z całą miłością, z całym zajęciem kieruje się myśl nasza i serce i życzenie gorące, przyjacielskie.

Ale to mało.

Mówi się dziś wiele o stanie nauczycielskim, mówi się wiele o jego położeniu materialnym, o potrzebach intelektualnych, o organizacjach zawodowych, a tak mało tym ludziom daje się serca, tego szerokiego, katolickiego serca, które kocha, wspomaga uczuciem, modlitwą, poparciem, bo odczuwa i rozumie potrzeby tych, co idą w pierwszym rzędzie uczciwej wiedzy i chrześcijańskiego wychowania do najszerszych warstw całego narodu.

Rozumiejąc ich i kochając wielkim sodalicyjnym, uczuciem, chcielibyśmy tym drogim maturzystom-sodalisom naszym rzucić na drogę, na życie dwie sodalicyjne myśli.

Dążcie w miarę sił do tego, aby we wszystkich seminariach nauczycielskich zawiązały się sodalicyje. Aby z nich wychodzili ludzie do zadania nad siły uzbrojeni mocą nadludzką. Aby złączeni z macierzystą sodalicją swoją szkolną, nie czuli się sami i pozbawieni pomocy, aby wiedzieli i czuli, że tam o nich myślą, za nich się modlą, że ślą za nimi nowe, bratnie zastępy sodalisów-nauczycieli, serdecznych druhów spod mariańskiego sztandaru.

Po wtóre, dążcie według sił i możliwości do zakładania sodalicyj nauczycielskich w poszczególnych okręgach czy powiatach, któreby stały się źródłem siły, ożywczą krynicą duchową, skupieniem światła bożego i tej mocy, jaką daje braterska, so-

TEGOŻ AUTORA:

Egzorty do uczniów szkół średnich, tom I. (egzorty na uroczystości i święta roku szkolnego, egzorty na wszystkie niedziele roku szkolnego). Str. XII+358, wydanie drugie. *Na wyczerpaniu*. Zł. 5.20.

Egzorty do uczniów szkół średnich, tom II. (egzorty na niedziele i święta pierwszego półrocza, do niedz. VI po Trzech Królach włącznie, egzorty do sodalicji mariańskiej uczniów, egzorty i kazania okolicznościowe z lat wielkiej wojny). Str. XII+316). *Wyczerpane*¹⁾.

Egzorty do uczniów szkół średnich, tom III. (egzorty na niedziele i święta drugiego półrocza, od niedz. Siedmdziesiątnicy, dwa cykle egzort rekolekcyjnych do uczniów i do uczniów gimnazjalnych, egzorty okolicznościowe). Str. XII+318. *Wyczerpane*¹⁾.

Przed tak wielkim Sakramentem, adoracyjne rozważania dla młodzieży sodalicyjnej na 1-szy piątek każdego miesiąca roku. Str. 135. Cena 70 gr., w opr. pł. 1.30 zł.

Księga podręczna dla XX. Moderatorów i Konsult sodalicji mar. uczniów szkół średnich w Polsce (wskazówki i wzory. Str. VIII+232. Cena (tylko w oprawie) 4 zł. *Na wyczerpaniu*¹⁾.

Praktyczny Podręcznik Duszpasterstwa w szkole średniej. Str. XI+219. Cena zł. 3.

O „Praktycznym Podręczniku Duszpasterstwa w szkole średniej“

Oto spis rozdziałów tej książki:

Nauczyciel religii czy duszpasterz? — Duszpasterz szkoły i proboszcz. — Duszpasterz a dom rodzicielski. — Prefekt i grono nauczycielskie. — Osobistość duszpasterza. — Kontakt osobisty z młodzieżą. — Życie nadprzyrodzone uczniów i jego źródła. — Modlitwa. — Nabożeństwa szkolne. — Egzorty. — Sakrament Pokuty. — Komunia święta. — Rekolekcje. — Kult N. Marii P. i Świętych P. — Lektura. — Powołania kapłańskie. — Wychowanie fizyczne, sport i harcerstwo. — Konieczność religijnej organizacji. — Wybór organizacji. — Istota sodalicji. — Trudności i przeszkody. — Młodzież o sodalicji. — Założenie sodalicji. — Zebrania miesięczne. — Zadanie moderatora. — Konsulta, plan pracy. — Sekcje. — Choroby sodalicji. — Stan obecny w Polsce. — Duszpasterstwo akademickie.

¹⁾ Drugie wydanie niewykluczone.

*Z listu J. E. Najprzewielebniejszego Ks. Biskupa
Dra T. Kubiny do autora „Podręcznika Duszpaster-
stwa w szkole“:*

BISKUP CZĘSTOCHOWSKI

Częstochowa, 2 stycznia 1927 r.

Czcigodny Księżu Prefekcie!

Dzielko Jego «Praktyczny podręcznik duszpasterstwa w szkole średniej» stanowiło dla mnie najpiękniejszy podarunek gwiazdkowy.

Jest w nim Chrystus, jest Jego miłość do młodzieży, jest Jego troska o dusze, jest i Jego program pracy. O tym się przekonałem, przeglądając całą książkę, a wgłębiając się w rozdziały, które wzbudziły we mnie szczególne zainteresowanie.

Składam serdeczne dzięki za przesłanie mi tej pięknej pracy i równocześnie szczere powinszowanie i życzenie, żeby dziełko i myśli w nim zawarte jak najdalej się rozpowszechniły. W urzędowych «Wiadomościach Diecezji» gorąco polecę książkę nie tylko WW. XX. Prefektom, ale i całemu Duchowieństwu w ogóle.

Przede wszystkim cieszy mnie, że Czcigodny Ksiądz Prefekt wszędzie jak najsilniej podkreśla czynnik nadprzyrodzony w wychowaniu i życiu młodzieży. U nas niestety zbyt często zapomina się o tym, że nasza religia w całej swej istocie jest nadprzyrodzona i dlatego też tylko przez użycie nadprzyrodzonych środków może stać się w nas życiem i siłą.

Podoba mi się także trzeźwość, z jaką roztrząsa W. Ksiądz Prefekt stosunek między proboszczem i prefektem. Wywody Jego odpowiadają moim zapatrywaniom na tę kwestię. Podzielam również myśli wypowiedziane w rozdziałach o Sakramencie Pokuty i Komunii świętej.

Niechaj uwagi, które poczyniłem, będą dowodem mego wielkiego uznania dla pracy Wiel. Ks. Prefekta i zachętą do dalszych prac na tym polu, dotąd niestety u nas przez nikogo prawie nieobrobionym.

Niech Chrystus, Summus Magister, błogosławi Czcigodnego Ks. Prefekta, jak ja Go błogosławie.

In caritate Christi

† Teodor Kubina

Biskup Częstochowski.

PRZEGLĄD HOMILETYCZNY, Kielce, nr 1, styczeń 1937.

Na wielką wdzięczność księży pracujących w szkolnictwie zasłużył sobie autor przez wydanie tej naprawdę «praktycznej» książki. Czytelnik znajdzie w niej bardzo gruntownie i wszechstronnie omówiony sposób pracy ks. prefekta w szkole, osnuty na wieloletnim doświadczeniu autora. Znać, że autor sam te rzeczy przez wiele lat wypraktykował, wypróbował, doszedł do dobrych wyników i dopiero potem dzieli się z konfratrami swym doświadczeniem. W stosunku do czytelnika kapłana udało mu się uniknąć mentorstwa, zająć stanowisko brata i przyjaciela, dzielącego się wszystkim najlepszym, co posiada, wskutek tego uwaga i przekonanie wewnętrzne czytelnika zostają zdobyte wstępny bojem od pierwszych stron książki. Może ona dla wielu okazać się rewelacją.

PRZEGLĄD POWSZECHNY, Kraków, luty 1927.

To, co nam autor daje w swej pracy, to nie są jakieś luźne uwagi o pewnych stronach zadań katechety szkoły średniej, ale metodyczny i można powiedzieć śmiało — kompletny a znakomity przewodnik w trudnym dziele gimnazjalnego duszpasterstwa... We wszystkich kierunkach dostarcza książka całe mnóstwo wskazówek, często głębokich i uderzająco trafnych, zawsze świeżych, a duchownych, pełnych taktu i umiarowania. A ten takt jest tym cenniejszy, że autor najdelikatniejszym nawet problemom z drogi nie schodzi, ale roztrząsa je bez obawy czy to ludzi, czy utartych teoryj. Obdarzony od Boga niemalym do pracy nad młodzieżą talentem, studiuje autor młody świat, wśród którego się obraca z wielką dozą subtelnego, spostrzegawczego zmysłu, z największą delikatnością, a przede wszystkim z najżywszą miłością... Swój zdrowy, szlachetny optymizm przelewa w swą książkę tak obficie, że nie może oprzeć się czytelnik panującemu w niej nastrojowi pogody i ufności... X. W. dał nam podręcznik bardzo wybitny, doskonale pojęty i napisany, bogaty w myśli, pełen prawdziwej, duchowej kultury. Dla poczynających zwłaszcza katechetów będzie ta książka nieocenionym poradnikiem, który im dostarczy i światła i podniet.

X. Jan Rostworowski T. J.

ROCZNIKI KATOLICKIE, na rok 1927, str. 602.

Całość robi wrażenie jak najlepsze, bo autor pisze z szczerym optymizmem, a przy tym z takim zapalem i tak pięknym stylem, że chciałoby się przeczytać książkę za jednym zamachem.

X. Żegota Posadzy.

GŁOS NARODU, nr 15 z 15 stycznia 1927.

Książka ta będzie niewątpliwie z sympatią przyjęta przez księży uczących w szkołach średnich. Nie jest to wykład teoretyczny systemu wychowania, ale co jego największą wartość stanowi — zbiór praktycznych, przez obserwację i życie podyktowanych uwag. Cechuje je szerokość horyzontów myślowych.

KIELECKI PRZEGLĄD DIECEZJALNY, nr 4 z kwietnia 1927.

W tej doskonałej książce znajdzie czytelnik bardzo gruntownie i wszechstronnie omówiony sposób pracy ks. prefekta w szkole, osnuty na wieloletnim doświadczeniu autora... Sposób ujęcia każdej kwestii jest bardzo jasny, tok myśli logiczny, styl językowy bardzo lekki. Ton książki dziwnie serdeczny, szczerzy, prosty. Czuje się, że autor szczerze kocha młodzież i chce jej dostarczyć kochających duszpasterzy. Autor wykazał wiele talentu obserwacyjnego, w zdarzeniach pozornie najprostszych wykrywa i wypukla dużo doniosłości wychowawczej. Z dzieła korzyść

bezpośrednią wyciągną prefekci, pośrednio skorzysta i duchowieństwo parafialne, bo poznając znakomity owoc cudzej obserwacji, samo swój zmysł spostrzegawczy zaostrzy.

X. E. Gielniewski.

KRONIKA DIECEZJI WŁOCŁAWSKIEJ, nr 6 z czerwca 1927.

Autor podaje także wynurzenia młodzieży, niezmiernie cenne i pożyteczne dla prefekta ze względu na ich szczerłość i bezpośredniość przeżyć wewnętrznych. Tak się przedstawia treść tego niezmiernie wartościowego dziełka, które z wdzięcznością dla jego autora winien nabyć każdy duszpasterz, w pierwszym rzędzie każdy prefekt szkoły średniej.

MIESIĘCZNIK KATECHET. I WYCHOW., nr 4 z kwietnia 1927.

Mamy wreszcie to, na co długośmy czekali: podręcznik duszpasterski dla prefekta. Książka zapelnia lukę bardzo dotkliwą i będzie nie tylko młodym, niedoświadczonym prefektem, lecz i starym, cennym drogowskazem w ich pracy. Zrozumienie istotnych celów pracy kapłańskiej, wczucie się w psychikę młodzieży i stąd płynące znakomite rady praktyczne — cechują książkę.

X. dr Kazimierz Thullie.

SODALIS MARIANUS, Kraków, nr 6 z czerwca 1927.

Książka jest pierwszą tego rodzaju publikacją w języku ojczystym, ale przyznać należy z uznaniem dla autora, że publikacją pierwszorzędną...

WIADOMOŚCI ARCHIDIECEZJALNE WILEŃSKIE z 25 lutego 1927, nr. 4.

Jest to naprawdę praktyczny podręcznik. Nie mogę się powstrzymać od bardzo gorącego polecenia książki nie tylko XX. Prefektom szkół średnich, ale wszystkim Księżom w ogóle.

X. A. N.

WIADOMOŚCI DIECEZJALNE CZĘSTOCHOWSKIE, nr 2, luty 1927.

...Podręcznik może oddać nieocenione usługi, wobec tego polecamy go usilnie Przew. Duchowieństwu.

WIADOMOŚCI DIECEZJALNE PODLASKIE, nr. 4, kwiecień 1927.

...Książka, którą z całą przyjemnością przeczytałem, obejmuje tak żywotne tematy, tyle daje rzeczowego materiału, iż sładzę, powinna znaleźć się w ręku każdego ks. prefekta... To owoc poważnej pracy, dużego doświadczenia i wielkiego umiłowania młodzieży.

X. K. Piotrowski.

WIADOMOŚCI DLA DUCHOWIEŃSTWA, Poznań, luty 1927, nr. 2.

Wydanie książki należy powitać jako bardzo szczęśliwą próbę, a chwila obecna jej się już od dawna domagała i jej wyczekiwała... Wszystkie zagadnienia, najbardziej skomplikowane i trudne, nieraz zupełnie świeże i nowe, z którymi się prefekt spotyka na terenie szkoły, omawia X. W., korzystając z sumiennej obserwacji życia i młodzieży... Poprzez wszystkie karty książki wije się jako nić złota niezwykle serdeczne i gorące umiłowanie naszej młodzieży. Oby miłość autora do młodzieży rozpalila równą miłością każdego czytelnika książki.

X. Leon Łagoda.

dalicyjna jedność dusz, razem idących ku spełnieniu wielkiego, wspaniałego celu.

Jeśli jaki związek, to sodalicja mariańska, stojąc bardzo, bardzo daleko od wszelkiej polityki, li tylko dobro dusz mając na względzie, może stać się moralną potęgą, dźwignią, pociechą naszych młodzieńców, a potem i starszych nauczycieli-sodalistów.

Choćby bardzo osamotnionym i opuszczonym, choćby zapomnianym i zmagającym się z ciężką dolą życia, da ona poczucie rodzinnej łączności, da kierownika i przyjaciela duchownego, da wszystkie skarby religii i Kościoła, da Bożą moc i światło i radość z życia, pracy, zawodu.

A sodalicje nasze seminarialne niechaj ani na chwilę nie zapominają o braciach, którzy odeszli porać się z życiem, dla Boga i Polski pracować i dusze najmłodszych dzieci Ojczyzny wieść ku światłości.

Módlcie się za nich na każdym zebraniu. Zapraszajcie ich z okolicy na wasze obchody i zgromadzenia, choćby i nie z waszej byli sodalicji, piszcie do nich choć słów kilka o tym, co się w sodalicji, dzieje. A wtedy, gdy i na was przyjdzie czas odlotu w obcą, nieznaną dal, pójdą za wami też same skarby bratniej miłości, przywiązania i pomocy.

1926.

O WYŻSZĄ WARTOŚĆ NASZYCH SODALICYJ

I.

Na jednej z pierwszych kart swej niezrównanej książeczki «W obliczu życia»¹⁾ pyta O. Plus młodego: Czy ty żyjesz?

Dziwne to pytanie, jeśli zważymy, że kieruje się ono do istoty, której w tych właśnie, młodych latach zasadniczą treścią jest życie, żywotność, żywość, jakiej człowiek już nigdy później nie osiąga...

Czy ty żyjesz?

Ah! My dobrze rozumiemy autora, rozumiemy, o jakie życie mu chodzi...

To samo pytanie o życie, życie Boże, nadprzyrodzone,

¹⁾ Wyd. xx. jezuitów.

życie łaski poświęcającej chciałbym zawsze i wszędzie stawiać naszym młodym sodalisom, czy ich widzę w gromadzie na nabożeństwie, zebraniu, czy w pojedynkę na szczerzej, przyjacielskiej rozmowie, boć to przecie pierwszy i zasadniczy warunek ich osobistej, a przez nich także zbiorowej, całej sodalicji wartości.

Mamy wiele w naszym katolickim społeczeństwie stowarzyszeń i związków religijnych, nieraz bardzo licznych, dobrze wyposażonych, nawet dobrze zorganizowanych, a jednak coś w nich nie idzie... czegoś tam brak, coś niedomaga... Głowi się wydział, układa plany reform, dobiera coraz nowe jednostki... Słabość trwa, niewidoczna, a przecie wyraźna... Wiecie, co to za słabość? Indywidualne, nadprzyrodzone życie członków niedomaga. Prąd łaski nie krąży w duszach, mistyczna jedność z Chrystusem przerwana. Praca nie idzie, energia nie dopływa, życie zamiera...

Jest zdaje się rzeczą ponad wszelką wątpliwość stwierdzoną, iż najprostsze, najoczywistsze prawdy i zasady najłatwiej zacierają się w ludzkiej świadomości. Słyszac o nich, zawsze jesteśmy skłonni wzruszyć ramionami i rzec: Eh! to takie znane, to takie stare, oklepane, proste. Pożądamy wiecznie czegoś nowego... Wszak już przed wiekami stwierdził to rzymski poeta, wołając: *In nova fert animus...* Cóżby powiedział dziś? Dziś, gdy w szalonym pędzie świat cały ugania za sensacją i dreszczem nowości?

Patrzcie na tytuły bijące w oczy wykrzykami w naszych dziennikach, czytajcie uliczne plakaty, prześcigające się w sensacyjności, wspomnijcie kino, radio... Prędkiej, prędkiej z nowościami, jeszcze na świeżo, na gorąco! Niechaj nie przysycha nawet farba drukarska! Do wieczora to już się wszystko przedawni, zestarzeje... My chcemy nowości! — woła i żąda świat.

I my ulegamy, może podświadomie tej atmosferze... Zwłaszcza my młodzi. I gdyby się dało, chcielibyśmy tych dreszczów sensacji nawet w religii, nawet w życiu wewnętrznym...

Nie, drodzy moi! Musimy się z tego otrząsnąć, otrząsnąć stanowczo i energicznie, a zawracać z całym przekonaniem do owych starych, znanych i prostych rzeczy, które nam życie dzisiejsze przysłoniło niebezpiecznym oparem spowszednienia i niechęci...

Mówmy więc dziś śmiało o tych znanych rzeczach, znanych z ducha, założenia, statutu sodalicji mariańskiej i spytajmy się, jak tam w naszych drużynach sodalicyjnych ze sprawą najważniejszą ze wszystkich, z nadprzyrodzonym życiem łaski Bożej?

Czy to byłoby, czcigodni księża moderatorzy i drodzy prezesi, naprawdę niebywałą rzeczą, aby tak — przypuśćmy tu sobie — na jakimś zwykłym, miesięcznym zebraniu sodalicijnym — wszyscy obecni sodalisi, padłszy na kolana, mogli spokojnie przyjąć do serca eucharystycznego Jezusa, gdyby im Go kapłan podał w świętej komunii? Ilu onej godziny musiałoby się cofnąć lub opuścić zebranie, gdyż dusza ich obciążona śmiertelną przewiną nie byłaby godną otworzyć się na przyjęcie Pana?...

W czasach pierwszych chrześcijan, wszyscy co do jednego wierni, obecni na Ofierze Bezkrwawej szli w długich szeregach do Stołu Pańskiego, bo gdy się poczynano od ofiarowania prześwięte misterium, diakon wydalął z kościoła katechumenów i pokutujących... Czy wśród naszych sodalisów w te powszednie, szare dni tygodnia nie ma może wielu, wielu takich katechumenów, do których Anioł Boży mógłby skierować słowa Janowe: *Masz imię, że żyjesz, aleś jest umarty*¹⁾.

Chyba nie można dość często, dość silnie o tym mówić, mówić na cały głos w sodalicji: — sprawdzianem jej wartości, jej znaczenia, jej siły — nie świetność organizacji, nie liczba członków wpisanych, nie zewnętrzne wyniki i wyrazy uznania — ale ilość członków żyjących w łasce.

I tego musimy się od naszych drogich sodalisów przede wszystkim domagać, tego żądać, to polecać i nakazywać. To nasza największa i najwyższa wartość i nie ma na świecie siły, któraby nas jej mogła kiedykolwiek pozbawić!

II.

Pospołu z koniecznością stałego życia nadprzyrodzonego, życia w łasce u wszystkich sodalisów, drugim sprawdzianem wartości naszej sodalicji mariańskiej będzie niewątpliwie nieustanny pęd, dążenie, rwanie się do wewnętrznego

¹⁾ Ob. 3, 1.

wyrobień, do prawdziwie wartościowego, chrześcijańskiego charakteru.

— Powiedz mi Jaśku — ale tak całkiem szczerze — dlaczego chcesz wstąpić do naszej sodalicyj?

— Bo ja — proszę księdza — chcę zacząć pracować nad sobą!

— A ty czemu Leszku?

— Ja czuję, że bez sodalicyj całkiem się puszcze!

Czasem to powiedziane całkiem tak samo, czasem może mniej dołącznie, mniej wyraźnie — ale to wystarczy, wystarczy w zupełności.

Z drugiej jednak strony, dopóki młody chłopak sam tego naprawdę nie zrozumie, sam nie pojmie, że to, właśnie to jest pierwszorzędną ideą sodalicyj mariańskiej, póki sam, osobiście tego nie zapragnie, dopóty zawsze będzie tylko «papierowym sodalisem», choćby latami nosił medal i odznakę, ba, choćby nawet w swej sodalicyj i najwyższe piastował urzędy. I to dążenie jest jego wielką, wewnętrzną siłą w młodości, jak w ogóle w każdym okresie życia ludzkiego.

Jest siłą hamującą, jest i siłą pędną zarazem.

Hamującą w tych rozlicznych zachciankach, nieokreślonych porywach ku złemu, ku wyżyciu się, ku pozwoleniu sobie, które niestety nie omijają i najlepszych, choćby czasem tylko. Ale jest i siłą motoryczną w dziedzinie dobra, największą naszą siłą, której źródłem przedziwnym i przebogatym jest tajemnicza łaska Chrystusowa.

I znowu przez zbiór takich właśnie jednostek, cała sodalicyja staje się wielką siłą moralną. Siłą, która, nie wiedząc o tym, narzuca się, działa, wywiera swój wpływ i dowodzi prawdziwej wartości sodalicyj, jej potrzeby, nawet niezbędności dla tych przynajmniej dusz młodych, które pragną wznieść się wyżej, które chcą doskonałości, które, jak cudnie mówi Jezus Pan w swym nieporównanym kazaniu na górze: *Łakną i pragną sprawiedliwości*, czyli doskonałości chrześcijańskiej...

Wśród naszych młodych jest ich więcej, niżby można czasem przypuszczać, jeno nie ma ich kto odkryć, wyszukać. Rozkwitają one dopiero pełnią życia Bożego na sodalicyjnej glebie i w promieniach sodalicyjnego słońca... I stają się sodalicyj swojej wielką siłą, wielką wartością...

III.

Zdobycia tych wyżyn sodalicyjnych, o których mówiliśmy poprzednio, zapragnąć musi gorąco każdy chyba szczerzy i prawdziwy sodalis.

Ale jak je zdobyć, jak zdobyć wysoką wartość osobistą i podnieść przez to wartość zbiorową całej sodalicyj? Oto pytanie!

Sodalicyja mariańska jest zbyt mądrą i głęboką organizacją, by na te pytania nie dała odpowiedzi, by do tej pracy nie dostarczyła wybornych, wypróbowanych środków.

Pierwszym z nich, zaleconym przez statut, tak niesłychanie prostym i zarazem, tak niesłychanie skutecznym — to codzienny rachunek sumienia. Teoretycznie jesteśmy o jego doniosłości przekonani wszyscy najzupełniej — praktycznie — ilu sodalisów w każdej sodalicyj praktykuje go regularnie i sumiennie? Powiedzmy sobie dziś tu na Jasnej Górze całkiem po prostu: od tej chwili już się nie położę do łóżka bez rachunku sumienia! Niech to jedno postanowienie będzie realną pamiątką naszego kongresu, a cel jego dla naszej duszy będzie w dużej mierze osiągnięty!

Drugim postulatem wewnętrznego rozwoju i prawdziwego postępu jest niewątpliwie stałe kierownictwo duchowe w świętym sakramencie pokuty. Sodalis klękający co miesiąc u krates konfesjonału i co miesiąc odprawiający swą spowiedź u coraz nowego, przygodnego kierownika — to sodalicyjny absurd. I znowu statut nasz to stałe kierownictwo wyraźnie zaleca, ale w rzeczywistości — ilu sodalisów w każdej sodalicyj przechodzi taki systematyczny kurs wewnętrznego «przeszkolenia» pod wytrawną ręką stałego, doświadczonego a zaufanego ojca duchownego? Jeśli w zdobywaniu każdej umiejętności przykładamy tak wielką wagę do stałego przez parę lat nauczyciela, jeśli w zwyczajnej pedagogice taki niesłychany nacisk kładziemy na stałość oddziaływania jednego i tego samego wychowawcy, jak żebyśmy mogli na chwilę wątpić o doniosłości jej w najsubtelniejszej i najświętszej dziedzinie nadprzyrodzonego doskonalenia duszy ludzkiej i kierowania nią w postępie ku Bogu? A jednak ilu sodalisów w tę drogocenną dziedzinę wprowadza podziwu godne niedbalstwo, traktowanie dorywcze i pobieżne spraw swej duszy, odkładanie spowiedzi

na ostatnią chwilę przed nabożeństwem, a może nieraz czysto ludzkie, drugorzędne motywy i względy.

I jeszcze jeden naczelny warunek naszej wyższej wartości duchowej — to oczywiście nasze życie eucharystyczne.

Bądźmy całkiem otwarci, bądźmy szczerzy! Wszak jesteście w tej chwili w najbliższej rodzinie! Idealem sodalisa będzie zawsze chłopiec, który co dzień jest na mszy świętej i co dzień klęka do świętej komunii. Nie bójmy się tych słów, nie bójmy się tej praktyki. Minęły czasy, gdy to trąciło przesadą, bigoterią. Zdeptaliśmy już dawno resztki potwornego jansenizmu¹⁾. Bóg daje dziś światu wielką łaskę. Wracają czasy pierwszych chrześcijan! Tysiące, setki tysięcy dusz rozumieją dziś codzienną komunię świętą coraz głębiej w duchu Chrystusowym. Eucharystia coraz częściej i coraz potężniej w szeregach świeckich katolików schodzi z roli rzadkiego, odświętnego — darujcie słowo — «przysmaku», do tego, czym ją chciał mieć Jezus w Wielki Czwartek i zawsze: do roli codziennego, krzepiącego chleba dusz... *chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj!... Jeślibyście nie pożywali tego chleba nie będziecie mieć żywota!* Chleb ziemski jawi się co dzień na stole naszym — karmi ciała, umacnia, chroni — chleb eucharystyczny co dzień jawi się na stole ołtarza, by co dzień, każdego ranka karmił głodną duszę... To takie niesłychanie proste, jasne, a do ilu sodalicyjnych dusz jeszcze nie trafiło! Ilu sodalisów, jeszcze ciągle stroni od chleba dusz — i dziwuje się potem swej wielkiej, wielkiej słabości!!

Jaką potęgą i wartością byłaby wewnętrznie i zewnętrznie, w życiu swej szkoły sodalicja mariańska karmiąca stale swych członków — Bogiem!...

IV.

W tych wszystkich pracach około chrześcijańskiego, wewnętrznego wyrobienia swej duszy, które jednak wymagają od młodego sodalisa bardzo wiele systematycznego wysiłku, tak niestety rzadko spotykanego w wieku młodym, wielką, naprawdę wielką usługę oddać mu może «Kalendarzyk pracy nad sobą», który od dłuższego już czasu przynosi ze sobą każdy

¹⁾ Jansenius w XVII w. mawiał, że nikt nie jest dość godnym częstej komunii świętej.

numer naszego miesięcznika «Pod znakiem Marii». Każdy młody rozumie oczywiście, że nie idzie tu o ujęcie sprawy tak subtelnej, jak życie duchowe w «kratki i linijki», bo ono się nigdy w nich nie zmieści, lecz o coś całkiem innego. Idzie o systematyczność, kontrolę i uwidocznienie postępu lub — nie daj Boże — cofania się. I szkoda wielka, że stosunkowo tak bardzo niewielu sodalisów z tego wybornego środka korzysta! Gdybyż przynajmniej spróbować zechcieli przez jeden miesiąc! Może wtedy przekonaliby się o jego doniosłości w pracy nad sobą!

Zbierzmy teraz w kilku słowach wszystko, cośmy dotąd wspólnie rozważyli jako drogi do naszego wewnętrznego wyrobienia, a przez to podniesienia naszej osobistej wartości i znowu przez to wartości całej sodalicji.

«Mieć żywot w sobie» — czyli mieć ciągle, stale łaskę poświęcającą, dziś i jutro i za tydzień, za miesiąc, za rok, łaskę niezrywana, nieodnawiana przez rozgrzeszenia, ale stale w nas mieszkająca, bez jednego ciężkiego grzechu — oto, na czym przede wszystkim polega niezwalczona, straszliwa, największa na ziemi potęga zjednoczenia z Bogiem. Siła i wartość sodalicji z takich mocarzy złożonej jest oczywista, rzuca się w oczy, nie da się z niczym porównać... Garść takich ludzi, takich sodalisów, choćby bardzo szczupła w klasie, w szkole reprezentować będzie — nie waham się powiedzieć — ideę katolicką, ideę Chrystusa i Jego Kościoła, w sposób najdoskonalszy i zapewni jej większe znaczenie i poważanie, niż najwspanialsze nauki, czyny i sprawności organizacyjne.

I w logicznym, konsekwentnym następstwie idą zaraz potem konieczne do tego wielkiego wysiłku środki. Na pierwszym miejscu to głębokie, wewnętrzne pragnienie doskonałości, powiem nawet świętości, które ciągle mamy w sodalicji podsycać, o którym ciągle mamy myśleć i prawdziwie, z przekonania go chcieć i pożądać. Kontrolować je w codziennym rachunku sumienia, pozwalać kierować swą całą pracą i swym rozwojem stałemu, zaufanemu spowiednikowi, w końcu umacniać się przez częstą, jeśli możliwe, codzienną, czy co tygodniową komunie świętą, a w tej całej «duchowej robocie» korzystać z usług «Kalendarzyka pracy nad sobą».

Do tych wartości dążyć, sodalisi drodzy, dążyć ciągłym znojem, wysiłkiem, walką z sobą jest naszym świętym, naj-

świętszym obowiązkiem, przed którym nam się cofnąć nie wolno, jeśli naprawdę kochamy Marię i sodalicję, jeśli rozumiemy, po co jesteśmy w naszej organizacji i czego się od niej dla dusz naszych spodziewamy.

V.

Drugim, bardzo ważnym terenem, na którym powinniśmy koniecznie podnieść wyżej wartość i znaczenie sodalicji mariańskiej — to rodzina.

Już na samym wstępie moich uwag miałem sposobność zaznaczyć, że obowiązki najprostsze i najistotniejsze ulegają u ludzi najczęściej zaniedbaniu...

To samo jest ze stosunkiem młodych do rodziny.

Tyle się mówi o wielkich ideach, zadaniach, obowiązkach, o szeroko pojętej pracy społecznej, oświatowej, charytatywnej — a najbliższą nam sprawę stosunku sodalis-syna i brata do rodziców, rodzeństwa pomija się często wzruszeniem ramion i gestem znaczącym — «eh, to takie nudne».

Czy nie tak?

A przecież to wyraźnie narusza ustawy, klóci się z duchem sodalicyjnym! Tu nie pomogą żadne sofizmaty — zły syn i brat jest złym sodalisem — i koniec!

Ale to nie wyczerpuje naszego zagadnienia.

Sodalis-syn ma dziś wobec swej najbliższej rodziny i swej sodalicji dwa dalsze zadania do spełnienia.

On musi sobie uświadomić jasno i głęboko, w jak niebezpiecznym i groźnym położeniu znalazła się dziś rodzina, ten cudowny twór Boży i najpierwsza z komórek społecznych, dzięki hasłom i szalonej, niepoczytalnej agitacji wołającej za bolszewickim wzorem: Precz z rodziną, uderzającej na dwie najistotniejsze więzi rodziny: wzajemny, nierozzerwalny węzeł małżonków i drugi — węzeł między rodzicami a dziećmi... Rodzina przechodzi dziś straszliwy kryzys. Wałą się w gruzy najcenniejsze jej tradycje religijne i narodowe, zacierają się zwyczaje, wystudza się domowe ognisko, życie na zewnątrz odciąga od niego rodziców z dziećmi pospołu...

Jakże na tym tragicznym tle jasno świecić może postać sodalisa Marii, który zrozumiawszy ideę rodziny katolickiej i polskiej, staje na jej straży!

Przepiękny, prześliczny obraz lwowskich Orląt tkwi nam w pamięci chyba na zawsze... Bohater-chłopiec kładący życie w obronie *Leopolis semper fidelis*...

Ale sodalis-chłopiec na straży życia rodzinnego w Polsce! Jakież to wspaniałe, porywające!

Ofiarny z siebie, karny, chętny, oddany — może być według słów poety strojem w rozstroju, cementem spajającym węgly domowego ogniska. Sumienny i obowiązkowy stanie się chlubą i pociechą rodziców — a przez to jakże znów wiele może zrobić dla szczęścia rodzinnego, choćby sam doniosłości swego postępowania nie rozumiał i nie doceniał.

A powtóre...

Gdy rodzice poznają, że takim zrobiła go — ich syna — sodalicja mariańska, czy ta droga organizacja nasza nie nabierze w ich oczach wielkiej, rzetelnej wrtości??

Jakże to miłe i cenne słowa padają czasem z ich ust na ten temat!

Oto, co mówią niektórzy z nich w pewnej ankiecie o sodalicji, której członkiem jest ich syn w gimnazjum:

«Sodalicja mariańska wyrabia w członkach miłość rodziców i rodzeństwa... posłuszeństwo, karność, obowiązkowość»...

«S. M. jest jedynym czynnikiem w życiu młodzieży, wpływającym na nią w kierunku życia duchowego i potrzeby wewnętrznej doskonalenia się»...

«Odnoszę wrażenie, że sodalicja jest czymś nie do zastąpienia».

«Sodalicja jest sprzymierzeńcem rodziców w wychowaniu dzieci».

Niech to wystarczy!

Pamiętajcie drodzy sodalisi, że to od was i wyłącznie od was zależy, by rodzice wasi taki właśnie mieli pogląd na istotę sodalicji mariańskiej!

VI.

Przejdźmy jeszcze na chwilę na dalsze, z kolei trzecie pole, na którym powinniśmy ze szczerym wysiłkiem dążyć do podniesienia poziomu naszej sodalicji, a tym samym jej wartości i w końcu jej opinii w szkole i społeczeństwie.

Terenem tym — to nasze obowiązki szkolne.

Kto jak kto, ale sodalis, każdy sodalis powinien sobie jasno uświadomić tę oczywistą, a tak często zapomnianą prawdę, że szkoła jest instytucją naukowo-wychowawczą i wartość swoich ludzi z tego niemal wyłącznie punktu widzenia musi oceniać. Różne są wśród naszych chłopców-sodalistów zdolności, ale u wszystkich jedna i ta sama powinna być sumienna, solidna praca naukowa. Sodalisi powinni w niej celować. Podkreślam nie w rezultatach, nie w ocenach w katalogu czy na świadectwie, bo to często są rzeczy względne, ale w samej pracy szkolnej! A wtedy poza osobistą korzyścią intelektualną zyskają bardzo dużo w dziedzinie wyrobienia charakteru i zdobędą prawdziwe poważanie ze strony profesorów i kolegów. Wszak nikt z nas nie wątpi w to, że praca, rzetelne wykształcenie, obowiązkowość i sumienność pogłębiają wartość moralną człowieka. A przeto sodalicja mariańska skupiając w swych szeregach samych solidnych, sumiennych uczniów, musi się stać ważkim czynnikiem w życiu szkoły i zyskać dla siebie uznanie dyrektora (jeden mawiał często: «moi najlepsi uczniowie — to sami sodalisi), grona nauczycielskiego i społeczeństwa uczniowskiego.

Niechże przeto i ks. moderator i konsulta sodalicji śledzą bacznie postępy swych członków. Każda konferencja okresowa powinna być przedmiotem szczególnego zainteresowania zarządu, a na zebraniach ogólnych, jak to już nieraz podnosiłem w miesięczniku i referatach, powinno się podawać członkom do wiadomości wynik postępów naukowych sodalisów w porównaniu z niesodalisami. Niedobrze, jeśli te pierwsze z reguły nie wykazują wyższości.

To samo powiedzieć tu należy i o ocenach zachowania. Sodalis musi być człowiekiem zdyscyplinowanym, karnym i wiernym z przekonania przepisom szkolnym. Ustawy nasze wyraźnie tego żądają (p. § 20). Będzie nim tylko wtedy, gdy posiadzie karność wewnętrzną i panowanie nad sobą. Ale w każdym razie S. M. nie może tolerować w swym gronie członków, którzy, przeciętnie biorąc, nie mają co najmniej dobrej noty z zachowania w szkolnej ocenie. Nota «odpowiednie» może być tylko zupełnie wyjątkowo udziałem członka S. M. a ocena «nieodpowiednie» jest w S. M. w ogóle nie do pomyślenia! Zyskanie jej byłoby równoznaczne z natychmiastowym skreśleniem z listy członków! To wszystko powinno być dla zarządu

i członków bardzo wysokim ideałem i przedmiotem najserdeczniejszego wysiłku.

Wtedy kwestia wartości sodalicji na terenie szkoły będzie wybornie rozwiązana.

VII.

Ostatnia dziedzina, w której winna ujawnić się wysoka wartość naszej sodalicji, to życie organizacyjne.

Coraz częściej spotykamy się dziś z powszechnym niemal przekonaniem, że czasy ostatnie przyniosły nam przerost tego życia w społeczeństwie, co nie zostało bez wpływu na stosunki na terenie szkolnym. Mnożą się związki, koła i kółka wszelkiego autoramentu. Sodalicja mariańska o tyle jest tu bezpieczniejsza, że na tym terenie jest jedyną dziś organizacją religijną młodzieży, ale z drugiej strony jakże to właśnie poważne ściera na nią obowiązki!

Naszym hasłem i ideą w pracy organizacyjnej powinno być bezwzględnie motto: *Quodcumque catholicum — optimum!* Cokolwiek jest katolickim — powinno być najlepszym! I dlatego sodalicja mariańska powinna nieustannie zabiegać o podnoszenie swego poziomu organizacyjnego.

Jest to u nas rzecz bardzo trudna. Polacy na ogół są wielkimi indywidualistami, lubią wygodę, szeroką autonomię, nierzadko lenistwo — stąd mimo dużych zdolności brak u nas praktycznego zmysłu organizacyjnego, brak karności i posłuchu, umiejętności i chęci podporządkowania się. Z 16-letniej praktyki w naszym Związku mógłbym o tym niejedno powiedzieć... Cóż przeto dziwnego, że wiele organizacyj, także katolickich ledwo wegetuje, a często i upada. Męczą się i zdzierają w tych organizacjach jednostki, ogół chce przychodzić do gotowego, stawiać wysokie wymagania i krytykować bez litości. Nie może to zbyt zachęcać do pracy organizacyjnej w Polsce. Otóż to samo na mniejszą skalę widzimy w szkole. Wszak młodzież jest zawsze odbiciem starszego społeczeństwa.

Sodalicja mariańska tym się wyróżnia spośród innych organizacyj uczniowskich, że jej najwyższym kierownikiem z ramienia Kościoła jest ksiądz, na nieszczęście zwykle przeciążony pracą. Tym większy obowiązek współpracy i pomocy spada na konsultę i członków. Czy tak jest? Czy jest wszędzie?

Przyznać trzeba sprawiedliwie, że o ile i dzie o górę, o nadbudowę organizacyjną, zrobiliśmy od r. 1919 niewątpliwie więcej, niż inne zrzeszenia młodzieży. Mamy swoją jasno zarysowaną, o Ewangelię i Kościół Boży opartą ideologię i mamy swoje metody pracy, udoskonalamy je ciągle, mamy swoje hasła roczne, mocno zakreślony ustrój i ramy organizacyjne, dobrze obmyśloną rozbudowę sekcji i kółek. Mamy pewien zapas swoich pomocy organizacyjnych, druków, formularzy, sprawozdań, arkuszy kontowych. Gorzej jednak jest u dołu, w poszczególnych komórkach organizacyjnych. Na równi z wszystkimi szkolnymi zrzeszeniami cierpimy na ciągłą zmianę i utratę bardziej wyrobionych, uświadomionych organizacyjnie członków. Nie możemy się nikogo na dłużej «dochować». Poza tym dotyczą nas głębiej, niż inne organizacje, częste zmiany kierowników-moderatorów, tak bardzo narażające normalne życie i pracę sodalicii w delikatnym i subtelnym terenie duchowego, indywidualnego kierownictwa członkami, którzy nieodrazu ofiarują nowym kierownikom swe pełne zaufanie.

Z tym wszystkim każda sodalicia rozporządza wielkim zasobem bardzo prostych i łatwych elementów organizacyjnych, które mogą szybko postawić jej wartość i sprawność na odpowiednim poziomie, byle były stale i konsekwentnie wprowadzone w czyn i życie. Mam tu na myśli: ułożenie ścisłego, rocznego planu pracy, systematyczność i punktualność zebrzań, częstość dobrze przygotowanych posiedzeń konsulty, dużą i surową karność, ścisłość spraw kasowych, dokładność i jasność zawsze dość wczesnych zawiadomień o wszelkich zbiórkach i obowiązkach, szczegółowość kontroli frekwencji, konieczność usprawiedliwień nieobecności, sprawiedliwe stosowanie środków karnych, należytą ocenę okresów służby aspirantów i kandydatów, uzasadnione przesuwanie ich do wyższych stopni, głębokie zrozumienie i przywiązanie do organizacji, jej spistość wewnętrzną, solidarność członków w życiu szkolnym i klasowym.

To też, gdy chłopcy nienależący do sodalicii mówią o niej, że jest dobrze prowadzona, że do sodalicii warto należeć, że frekwencja jest doskonała, wszystkie księgi we wzorowym porządku, zebrania na właściwym poziomie, karność wybitna — to niewątpliwie sodalicia budzi dla siebie poważa-

nie, wykazuje wartość i wybija się na czoło organizacji uczniowskich.

Musi to być punktem honoru konsulty, (jej członkowie zresztą powinni świecić przykładem wyrobienia organizacyjnego) a przedmiotem stałej i serdecznej troski ks. moderatora. Staranie to przejdzie wtedy niewątpliwie i do sodalisów i wychowa ich na dobrych, może i wyborowych członków katolickich organizacji społecznych w przyszłości.

Oto garść uwag o rzeczach, jak na wstępie już zauważyłem, starych, znanych i prostych, a jednak czasem ulegających zapomnieniu, mimo, iż one to właśnie warunkują wewnętrzną wartość naszej umiłowanej organizacji i zdobywają dla niej przebojem uznanie często nawet niezbyt przyjaznych czynników. Oby każda sodalicja zechciała te skromne wskazówki uczynić przedmiotem swego rozważania, przyswojenia i zastosowania. Dokona przez to wielkiego czynu dla sprawy Bożej w szkole.

1935.

BÓG TAK CHCE!

Jesienią to było roku Pańskiego 1095-go.

Wielkiej pamięci papież Urban II zwołał naówczas do Clermont we Francji wielki synod, na który oprócz dostojników Kościoła przybyło ówczesnym zwyczajem mnóstwo panów, rycerstwa i szlachty. Namiestnik Chrystusa, mąż gorącego ducha i wielkiej wymowy, o władnięty potężną ideą, której poświęcił już przed paru miesiącami, bo w Wielkim Poście tegoż roku liczne i poważne zgromadzenie w Piacenzy, porwał i tutaj wszystkich swym kazaniem.

W gorących, płomiennych słowach malował po mistrzowsku niedolę świętych miejsc w ziemskiej Ojczyźnie Jezusa, wzruszał do łez i szlochów twardych rycerzy, kreśląc niedolę i męczeństwo pobożnych pielgrzymów, wstrząsał obrazami profanacji i zbezczeszczenia... A po szeregach biskupów i duchownych, po tłumie strojnym i zbrojnym, szedł pomruk i trzaskanie mieczami, aż buchnął z niego okrzyk potężny,

gromki, który niósł się echem, przez dwa blisko wieki: Bóg tak chce! Bóg tak chce!

Tak się zaczęły wiekopomnej pamięci wyprawy krzyżowe.

W życiu i w dziełach Kościoła katolickiego nieraz jeszcze bywały chwile, w których za wielkim słowem papieskim, wybuchął po okręgu ziemskim podobny okrzyk. Myśli rzucane z wyżyn Watykanu zawsze dla wiernych katolików miały wagę myśli i słów natchnionych przez samego Chrystusa...

W chwili obecnej jesteśmy świadkami równie historycznego wołania. I jakże bliskiego onym okrzykom z Clermontu.

Od Wniebowstąpienia Jezusa Pana i danego wówczas nakazu: *Idąc na cały świat nauczajcie wszystkie narody...* począł się w Kościele ruch apostołowski i misjonarski. Nie ustał nigdy. Różne i zmienne przechodził koleje. Zamierał — to znów się rozpałał. Aż przesławne Koncylium Trydenckie wlało weń nowe życie, a stworzenie w r. 1622 osobnej Kongregacji «*De propaganda fide*» i pięć lat później ogromnego misyjnego przy niej seminarium — wytknęło nowe, szerokie szlaki. I znowu minęły lata. Polityczne wstrząsy zawsze odbijały się nieszczęśliwie na misjach katolickich. Ostatnia wielka wojna poważnie im zaszkodziła, nowy zaś potężny ruch nacjonalistyczny wśród pogan wypisał istotnie przed nimi dylemat: być albo nie być...

I oto znów z watykańskiego wzgórze poszło na cały świat hasło i wołanie: Wszyscy dla misyj! A naprzeciw niemu z okręgu ziemi podniósł się odzew, jeszcze potężniejszy od onego z wieku XI: Bóg tak chce!

Bóg tak chce!

Wszyscy dla misyj!

Historyk, który kiedyś pisał będzie dzieje Kościoła katolickiego w XX w. z pewnością stanie zdumiony wobec tego wielkiego ruchu, który począł się w oczach naszych i rośnie z przedziwną potęgą. Dojrzy w nim na pierwszy rzut oka tę wspaniałą, najgłębszą myśl Kościoła, która w sposób najbardziej nowoczesny ujęła zagadnienie misyj przez stworzenie własnej, narodowej hierarchii w krajach misyjnych, już nie tylko drogą święcenia tubylczych kapłanów ale nawet najwyższych dostojników — biskupów.

Bo pokazać rosnącym wciąż zastępom pogańskiej inteligencji najzupełniejszą bezinteresowność, sprawiedliwość i wszechmiłość Kościoła, udowodnić całkowite zrozumienie po-

trzeb narodowych, okazać szacunek dla swoistej kultury i tradycji — oto wielkie dane, z którymi katolicyzm z nowym, nieugaszonym zapalem podejmuje dziś w myśl woli Chrystusa i wskazań papieży gorący, szeroki ruch misyjny.

Stanie się on bez wątpienia jasną i promienną kartą jego dziejów w XX w.

Wobec tego ruchu ani ojczyzna nasza, ani my sodalisi nie możemy stanąć na uboczu. Zbyt starymi jesteśmy katolikami w powszechnej katolickiej rodzinie! W miarę sił i zasobów duchowych czy materialnych musimy wejść w sam jego środek. Musimy w tym pochodzie Ewangelii i cywilizacji pospołu znaleźć sobie właściwe zaszczytne i godne naszej tradycji — miejsce.

Katolikami jesteśmy i nic, co katolickie, nie jest nam obce!

I dlatego każda sodalicja dziś, w tej chwili musi się zająć ideą misyjną. Zająć się przede wszystkim praktycznie.

Spytacie — jak? Będziemy się starali nie raz jeszcze dać obszerniejszą odpowiedź na to zupełnie zrozumiałe z waszej strony pytanie. Dziś rzucamy tylko kilka zasadniczych myśli, które mają was pchnąć w kierunku zainteresowania się serdecznego współczesnym ruchem misyjnym.

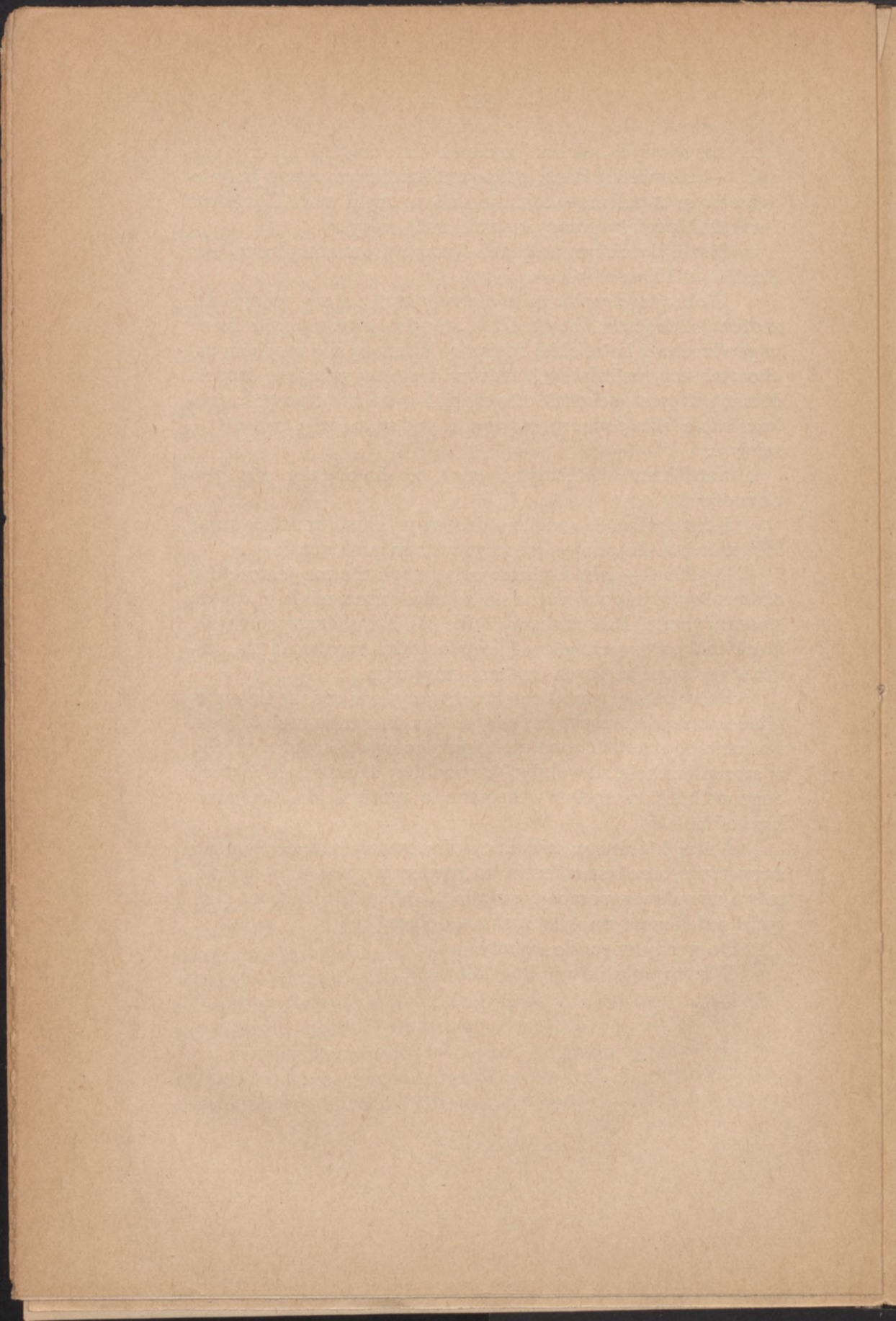
Każdy z księży moderatorów użyczy swej sodalicji niewątpliwie cennych i praktycznych w tym kierunku wskazówek. Na razie poprzestańcie na nich i przygotujcie akcję choćby w szczupłym kole, nawołując do modlitwy za misje, do lektury odpowiednich czasopism i broszur, a może i do drobniutkich ofiar.

A ten, którego w tajemnicy ofiarowania starzec Symeon nazwał proroczco «światłością na oświecanie pogan...» nie odmówi wam swej pomocy, światła i błogosławieństwa. Jak życie sodalicyjne na tym zyska — obaczycie!

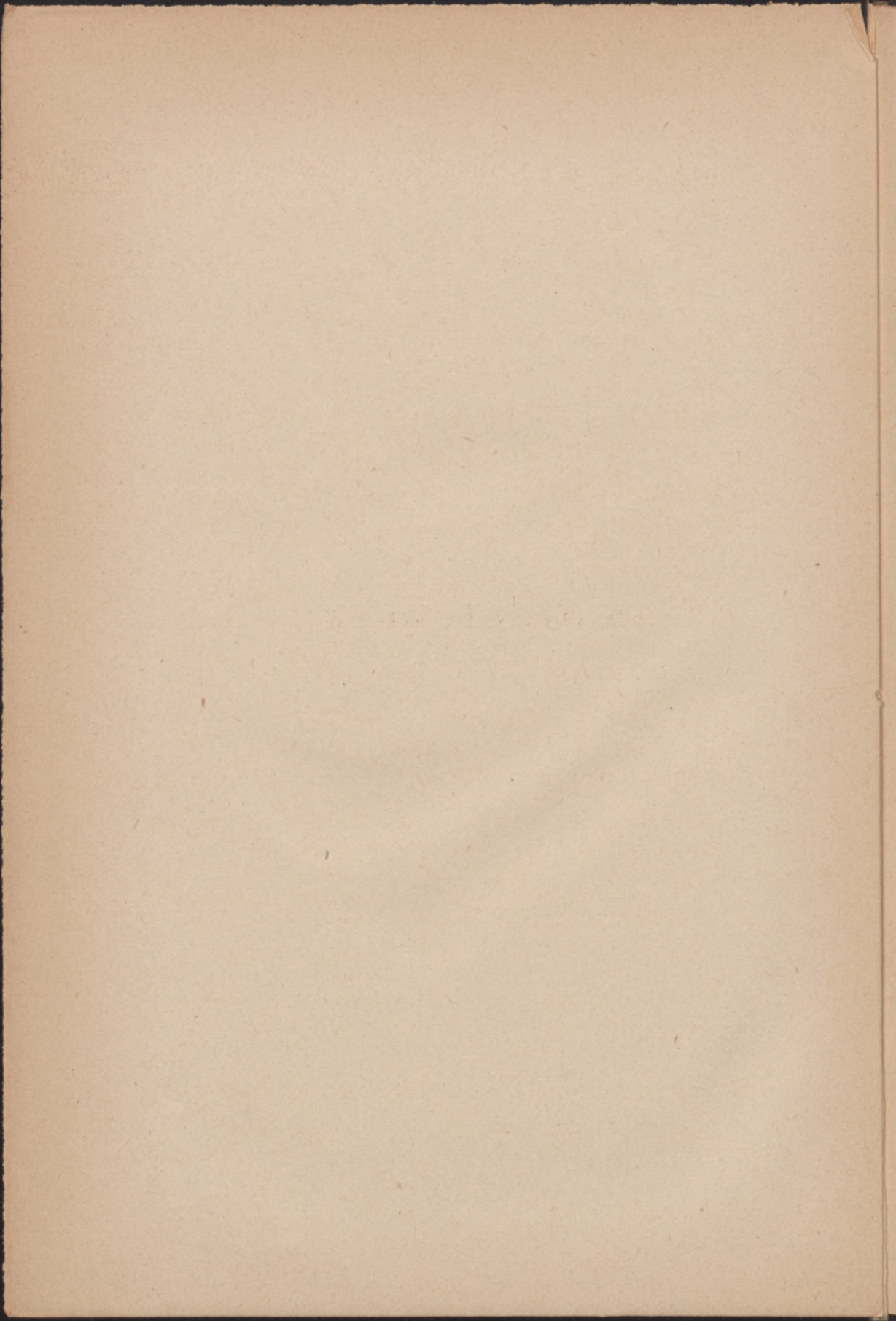
Do pracy więc, do roboty!

Wszyscy dla misyj! Bóg tak chce!

1928.



W OBRONIE WIARY



RZECZY ZASTANAWIAJĄCE ¹⁾

I.

Jak w każdej walce na świecie, tak i w walce z religią zawsze ogromną rolę odgrywali przede wszystkim przywódcy. Jeśli zaś byli to ludzie o wybitnych zdolnościach umysłowych, o wielkiej energii i wytrwałości we woli, a płomiennym uczuciu nienawiści w sercu — to istotnie pociągali ku sobie liczne szeregi zwolenników, wywierali na nich i nawet na dalsze koła potężny wpływ, a Kościołowi — rzecz jasna — poważne wyrządzali szkody. Tym poważniejsze, że stanowisko zajęte przez nich w literaturze danego narodu, nie osłabło najczęściej z ich śmiercią, lecz w coraz to nowych wydaniach ich dzieł odżywało jakby i nie przestawało w dalszym ciągu atakować religii.

Jest jednak faktem znamiennym, że jakaś tajemnicza, niesamowita siła zdała się zawsze i do dziś stać na straży tych wszystkich myśli, poglądów, wypowiedzi i okrzyków, które wydzierały się z duszy owych wodzów, już to wtedy, gdy ogarniali całość swego destruktywnego działania, już to gdy zmagali się sami ze sobą, już to gdy stawali u kresu życia i widzieli rękę śmierci wyciągającą się ku nim nieubłaganie.

Czyżby naprawdę komuś zależało na tym przemilczaniu, zduszaniu, unicestwianiu tych słów wielkich przywódców ateizmu i zwątpienia?

Nie odpowiadając wprost na to pytanie, zwróćmy dziś uwagę na kilka czołowych postaci, a dowiemy się «rzeczy zastanawiających» i zatrważających zarazem...

¹⁾ W tym cyklu korzystałem w znacznej mierze z artykułów, ogłaszanych w krakowskich «Wiadomościach Katolickich», a opartych na rozprawach w wiedeńskiej «Schönere Zukunft». Korzystałem również przygodnie z innych czasopism.

Zacznijmy od Voltaire'a ¹⁾.

Mało u nas znany, ale znakomity, nawet genialnym zwany pisarz francuski Ernest Hello — w swej druzgocącej krytyce wieku XVIII nie pominął Franciszka Marii Aroueta i wypowiedział o nim może najostrzejsze słowo oceny, gdy pisał: «Potępić go, nie przestając go cenić, to współdziałać zbrodni! Trzeba nim pogardzać, jak błotem i niech jego imię, jeśli już ma w mowie naszej pozostać, stanie się nazwą dla podłości takich, dla których już nie wystarczają znane przekleństwa» ²⁾.

Sąd to niesłychanie ostry, ale taki już był styl Hello'a, który mówił zawsze prawdę bez ogródek.

Otóż Voltaire w r. 1758 napisał w liście do d'Alembert'a, jednego z francuskich encyklopedystów, że jeśli jego pracy piarskiej nadal towarzyszyć będzie dotychczasowe powodzenie, «to za lat 20 zrobi z Bogiem, co zechce».

Przeszło lat 20. Przyszł r. 1778 i zaczął «robić, co zechce» z Voltairem — Bóg!

Strasznych rzeczy świadkiem było łożo śmiertelne filozofa. «Opuszczony jestem przez Boga i ludzi» wołał, wijąc się w boleściach konania nieszczęśny, 84-letni starzec. Przeklinał Boga i ludzi, przyjaciół-encyklopedystów: «Precz ode mnie! Wyście temu winni!» A potem zbiełałymi wargami szeptał «Jezus Chrystus, Jezus Chrystus» i znów krzyczał: «czuję rękę, która mnie porywa przed tron Sędziego». Skonał w straszliwej, bezgranicznej rozpacz. Czy świat zachwycony jego wyrafinowanymi bluźnierstwami wiedział o tej i takiej śmierci?

A oto niemiecki poeta-bluźnierca Henryk Heine ³⁾.

Nie wahał się i on napisać w triumfalnym jakby okrzyku: «Naprawdę wyzwoliliśmy się z powijaków wiary w Boga! Jesteśmy wolni i nie chcemy piorunującego tyra! Jesteśmy pełnoletni i nie potrzebujemy opieki ojcowskiej! Wiara w Boga jest religią dla niewolników, dla dzieci».

¹⁾ Voltaire, właściwe imię i nazwisko: Franciszek Maria Arouet (1694—1778), jeden z najbardziej wpływowych autorów francuskich w «wieku oświecenia», znany w całej niemal Europie.

²⁾ E. Hello, «Człowiek», Kraków 1903, str. 100.

³⁾ Henryk Heine (1797—1856), Żyd niemiecki, w r. 1825 przeszedł pod naciskiem antyżydowskich prądów na protestantyzm. Niesłychanie utalentowany poeta, nieprześcigniony w ostrości pióra satyryk, okropny bluźnierca. Ginał powolną śmiercią wśród strasznych męczarni gruźliczego porażenia kręgosłupa.

Minęło lat niewiele! Niekrepowana niczym «wolność» w używaniu życia i jego rozkoszy rzuciła prędko Heinego na łożę, z którego się nie wstaje.

I w r. 1853 pisze słowa, których jednak znowu nie zwykli są cytować jego wielbiciele; radziby je zgłuszyć, zapomnieć o nich. Daremnie, «Geständnisse» (wyznania) poety-błuźniercy wołają wielkim głosem: «Ach gdybym mógł wszystko zniszczyć, co pisałem kiedyś o filozofii niemieckiej! Przyznaję się wprost, że wszystko, co w mej książce odnosi się do Boga, jest zarówno fałszem, jak nierozwagą! Nie jest prawdą, że krytyka rozumu położyła kres istnieniu Boga. On nie umarł, a wiara w Boga (deizm) żyje swym najżywszym życiem».

A w testamencie Heinego czytamy takie wstrząsające wyznanie: «Od lat czterech pozbyłem się pychy filozoficznej i powróciłem do idei i uczuć religijnych. Umieram w wierze w jednego Boga, wszechmocnego Stwórcę świata, którego błagam o miłosierdzie dla mej duszy nieśmiertelnej. Żałuję, że wyrażałem się w pismach swoich niekiedy o rzeczach świętych bez należącego uszanowania. Jeżeli zgrzeszyłem, to przepraszam za to Boga i ludzi».

Tak, ale cóż z tymi tysiącami, które zgorszył i zatrul, a które siły nie miały ni woli, by zawrócić?...

Straszna, straszna odpowiedzialność pisarzy, filozofów i poetów za rzucane nieopatrnie idee, porywające najczęściej bezkrytyczną, niewyrobioną młodzież i wiodące ją na szlaki moralnego i fizycznego zatracenia...

I jeszcze jeden z duchowych ojców współczesnego ateizmu, filozof kompletnej negacji i bluźnierca, który nie przestaje pismami swymi zatruwać wiarę religijną i naszej inteligencji i polskiej młodzieży — Fryderyk Nietzsche¹⁾. Pieni się on w swej szatańskiej nienawiści Boga, gdy woła: «Czy nie słyszycie grabarzy, grzebiących Boga? Bóg skonał! Bóg leży martwy i myśmy go zabili... Jakże winniśmy się cieszyć!... Nasz czyn był święty, bo druzgocąc jarzmo Boga, uwolnił czło-

¹⁾ Fryderyk Wilhelm Nietzsche (1844—1900), filozof, filolog i poeta, od r. 1889 obłąkany. Błyskotliwy pisarz, świetny aforysta, twórca «nadczłowieka», zacięty wróg chrześcijaństwa i jego «moralności niewolników». Jeden z najmodniejszych filozofów XIX w.

wieka... Potomni na mocy tego czynu należeć będą do epoki wyższej ponad wszystkie epoki poprzednie¹⁾).

I jeszcze:

«Ja was nauczę, jak zostać nadludźmi!... Zaklinam, bracia, nie wiercie głosicielom nadziei nadziemskich... To są trucidacie, to wrogowie życia!... Ale Bóg umarł... Przecież go nie ma...²⁾».

Minęły lata i ten sam Nietzsche nie waha się szczerze wyznać: «Teraz żyję sam na sam... okłamujący samego siebie... niepewny... znudzony... zwarzony wszystkimi szronami... Jestem grobem dla siebie, trupem bezwładnym, skostniałym³⁾».

Więc taki koniec nadczłowieka? Nadczłowieka — o ironio — co chciał zabić Boga⁴⁾.

Byłoby to śmiesznym, gdyby nie było straszliwie tragicznym przez wpływ nietzscheańskiej filozofii, która do dziś niejedną duszę czyni «grobem dla siebie, trupem bezwładnym, skostniałym».

A te wszystkie idee głoszone z takim hałasem, z taką pewnością siebie i całym pseudonaukowym aparatem przenikały, jak wspomnieliśmy, bardzo głęboko w społeczeństwo, zabarwiały sobą szkoły filozoficzne i ruchy społeczne. Przyjął je prawie otwartymi rękami socjalizm, uchwycił je i w czyn począł wcielać w naszych oczach bolszewizm. Czyż bolszewizm nie jest straszliwym realizatorem nietzscheańskiego «grzebania Boga» wśród krwawych hekatomb ludzi, wśród wylatujących w powietrze kościołów i cerkwi, palonych obrazów, wyśmiewanych i wyszydzanych najświętszych wierzeń?

Precz z wszelką religią — jako obłudem i oszustwem!

Nie było chyba — nie było napewno na świecie kraju, gdzieby tak urzędownie, publicznie, z takim nakładem kosztów ze strony państwa zohydowano Boga i wiarę, jak we współczesnej Rosji sowieckiej!

A skutek?

Czytajcie uważnie, co w lecie 1932 r., a więc dopiero co, najświeżej — można powiedzieć — mówił na radzie naczelnego

1) Nietzsche: «Menschliches», «All zu Menschliches».

2) Nietzsche: «Also sprach Zarathustra».

3) Nietzsche: «Dithyramben des Dionysos».

4) Patrz «Wiadom. Katol.», Kraków 1930.

biura politycznego Sowietów naczelny wódz czerwonej armii, generał Woroszyłow¹⁾).

«W naszej armii mamy 70 procent komunistów i komsomolców uświadomionych, dobrze zdyscyplinowanych i obowiązkowych... Znam kadry armii nie ze sprawozdań sekretarzy, ale z osobistych obserwacji i z raportów mych podkomendnych.

«Ta moja znajomość armii każe mi powiedzieć, że związek z religią, jako związek z życiem, z rodziną, nie w naszym pojmowaniu, ale jeśli chcecie, w rozumieniu mieszczańskim, w ostatnich latach ogromnie się spotęgował. W armii obecnie częściej, aniżeli poza nią, możecie spotkać religijnego komunistę, który nie ukrywa swoich sympatyj do religii i który nie ma wcale zamiaru jej się wyrzekać, gdyż przypomina mu ona jego rodzinę, jego wieś, jego warsztat pracy.

«Za przykład niech posłuży mój rodzinny Łukańsk, gdzie przebywałem i rozmawiałem z pracownikami fabryki. Wówczas, gdy urzędowe sprawozdania sekretarzy przedstawiają bezbożnictwo 100-procentowe, w istocie rzeczy religijność wzrosła w stopniu, o jakim nie śniło się w czasach przedwojennych. Obraz tego widzę w armii...

«Dlatego ja, w imieniu całej czerwonej armii, kategorycznie protestuję przeciw organizowaniu napadów i przeszkadzaniu w nabożeństwach i żądam, aby tam, gdzie kwateruje armia czerwona, nie urządzano żadnych procesyj wyszydających religię».

Wśród członków rządu sowieckiego po tej niesłychanej mowie zapanowała kompletna konsternacja. Po 15 latach eksterminacyjnej walki z religią — takie rezultaty! Czymże więc właściwie jest ta religia i jaki musi być ten Bóg, którego dosięgnąć nie można?...

— — — — —
Tak! Niedosięgalna to, ponad światową potęgę i moc, PRAWDA, która trwa na wieki!

— — — — —
Czy to nie są «rzeczy zastanawiające»?

1) Według agencji prasowej «Krestross».

II.

W nauce współczesnej, najnowszej fizyki zaczynają się wśród olbrzymiego postępu naprzód, wykluwać bardzo jeszcze powoli i nieznacznie, ale przecież coraz wyraźniej, pewne zjawiska i pewne fakty, które — może drogą bardzo okrężną — posuwają tę gałąź wiedzy ludzkiej w pobliże myśli teologicznej, przed którą w okresie kompletnego materializmu ona się tak stanowczo, rzecz można, zacięcie wzbraniała.

Ścisłe i dokładne obliczenia najnowszych doświadczeń w świecie atomów i molekułów stwierdzają nieprzewidzianą trudność. Oto bardzo silne oświetlenie przy obserwacji mikroskopijnej tych cząsteczek materii powoduje na nie drobne ciśnienie światła, a to przeszkadza normalnemu przebiegowi danego procesu. Zdobyte więc prawo czy twierdzenie wymagać musi pewnej korektury. Ale jakiej i o ile? Oto nowa trudność.

Bez względu na ścisłe wymierzenie wszystkich danych staje się więc niepodobieństwem, a siła tego odkrycia rośnie, gdy przeniesiemy je na teren tak powszechnie głoszonego dotąd prawa o absolutnej, bezwzględnej niezmienności praw przyrody.

Przeciw jakimże to prawdom wiary naszej nie miała owa «absolutna niezmienność» służyć za taran druzgocący!!

Nie ma i nie może być cudów — bo bezwzględnie obowiązuje niezmienność praw przyrody...

Nie ma wolnej woli, bo onaby naruszała tę niezmienność...

Nie należy modlić się o zdrowie, o deszcz lubi pogodę, bo to i nielogiczne i bezskuteczne...

Ileż słabych przekonań religijnych podkopano w ten sposób, zwłaszcza u młodych!

Dziś pomaleńku, nieznacznie nauka zawraca ze swego nieprzejednanego stanowiska.

Głębokie wniknięcie w zaczarowany świat atomu i elektronu objawiło nowe, nieprzeczuwane dotąd prawdy. Oto okazało się, że w każdym zjawisku przyrodniczym uczestniczy nieskończenie wielka ilość molekułów, znajdujących się w nieustannym ruchu, w nieustannej przemianie. Obserwator nie jest absolutnie w możności wymierzyć wszystkie ru-

chy, przemiany i wszystkie molekuly. To więc, co zdobywa, jest w najlepszym razie przeciętną, średnią wartością danego procesu. Czyli wartością statystyczną i podaje też tylko statystyczną prawidłowość, nie bezwzględną.

Wiadomą jest rzeczą, ile przeciętnie bywa listów bez adresu, wrzucanych do skrzynki pocztowej przez roztargnienie piszących na każde 100.000 listów wysłanych. Wiadomo, ilu podróźnych gubi bilet jazdy na każde 100.000 pasażerów. Ale to są dane nie bezwzględne, lecz tylko statystyczne. Mają one swoją niezaprzeczoną wartość, ale nie wartość bezwzględną. I o to właśnie idzie!

Fizyka nie jest w możności bezwzględnie stwierdzić, czy jakiś proces spowodowały siły materialne czy duchowe, czy objawia się w nim celowość, czy nie. Okazuje się więc — powoli na razie — że prawa działające w przyrodzie są w większości prawami statystycznymi. Nie są więc prawami absolutnymi. Nie mogą zaś prawdopodobnie, jak twierdzi uczonego profesor Schrödinger, istnieć równocześnie obok siebie w przyrodzie prawa absolutne i nieabsolutne.

A zatem?

Jakieś nowe horyzonty otwierają się dla wspaniałego sharmonizowania wiedzy i wiary.

Oczywiście nikt rozumny nie będzie twierdził, że wobec powyższych odkryć świat wydany jest na pastwę przypadku! Bynajmniej! Wtedy musielibyśmy odrzucić wartość wszelkiej statystyki. Ale staje się widocznym to tylko, że te czynniki, które warunkują najmniejsze, najdrobniejsze części przebiegu jakiegoś procesu w molekułach, nie dadzą się uchwycić przez fizykę.

Mogą więc istnieć i istnieją niezawodnie dziedziny sil duchowych i ich wpływu na materię (oddziaływanie duszy na ciało, albo celowość rozumna w dziedzinie materii), o których przecież dotąd nieraz nawet słuchać nie chciano! I w tym cała wartość nowych odkryć na terenie do niedawna bezwzględnie uległym materialistycznemu pogładowi na świat. Zapewne! Lata jeszcze upłyną, nim on się przyzna do klęski.

Ale oto dziś już słyhać, zda się, pierwsze tony trąbienia na odwrót!

III.

Z lat swych uniwersyteckich — a będzie temu już ćwierć wieku — pamiętam doskonale, że w ruchu wolnomysłnym, niechętnym a często wprost wrogim zasadom religijnym rej wodzili zawsze studenci medycyny. Było wśród nich co prawda bardzo wielu Żydów, ale i Polacy nie potrafili się jakoś oprzeć temu prądowi skrajnego materializmu, który może najlepiej wyraził się w słynnym, a tak przecie płytkim i niegodnym prawdziwej nauki, zdaniu jednego z profesorów do młodzieutkiego medyka:

— Co? Dusza? Bierz pan skalpel i szukaj duszy! Ja jej dotąd nigdy nie znalazłem!

Nic też dziwnego, że wzrastający w takiej atmosferze świat lekarski zdobył sobie opinię wolnomysłnego i niewierzącego ośrodka inteligencji w społeczeństwie. A młodzież medyczna każdą wzmiankę o pokrewieństwie wiary i wiedzy witała — sam byłem świadkiem — salwami hucznego śmiechu i złośliwych dowcipów.

Minęło przecież lat niewiele — około 24, jak wspomniałem. I cóż za uderzająca odmiana!

Na ostatnich kongresach lekarskich w Niemczech zajmowali się najwybitniejsi uczeni lekarze sprawą stosunku wiedzy lekarskiej do religii. Wygłoszono na ten temat szereg referatów, przeprowadzono długie i ożywione dyskusje. A rezultat?

Przeważnie pełne respektu podkreślenie wartości pierwiastka religijnego dla zdrowego życia jednostki, zarówno w fizycznym jak duchowym kierunku.

Szwajcar, dr C. G. Jung z ZÜRICHU wypowiedział się energicznie przeciw wszelkiemu zwalczaniu religii przez lekarza. Stanowisko to podkreślił również w innym swym wykładzie w związku lekarzy w Monachium.

Dr Krehl, wybitny internista wskazał na znaczenie życia religijnego dla zdrowia fizycznego człowieka.

Dyrektor kliniki w Tübingen, dr O. Müller przedstawił znaczenie wiary i nauki w medycynie i po prostu odrzucił wszelki naturalizm, podkreślając, że jest on na miejscu przy badaniu co najwyżej nieożywionej natury, bo gdy idzie o człowieka, musi się uwzględniać nie tyle «prawo przyczynowo-

ści» czy «prawo celowości», ile raczej czynnik etyczny i «prawo sumienia». Przemówienie swe skończył wyrażeniem nadziei «że nauka pogodzi się z Kościołem».

Wszyscy ci uczeni nie stają jeszcze oczywiście na stanowisku katolickiego poglądu na świat, ale jakże już bardzo oddalili się od skrajnego materializmu swych poprzedników choćby z końca w. XIX.

Przyczynił się do tego głównie proces głębokiej przemiany w badaniu zagadnień biologicznych. Panujące dotąd niemal bez zastrzeżeń morfologiczne ich ujmowanie poczęło coraz i coraz więcej ustępować koncepcji funkcjonalnej. Pozytywna czysto postawa wszelkich badań medycznych i funkcji organizmu dała w rezultacie ogromny rozwój anatomii jako takiej, była jednak czysto s t a t y c z n y m ujęciem życia i choroby, wiodła zatem prostą drogą do skrajnego materializmu. Medycyna i biologia doby najnowszej oparły swe badania na dynamice organizmu. Przykładem tego mogą być tak daleko już posunięte badania nad rolą gruczołów wewnętrznych albo najnowsze poglądy na istotę i leczenie chorób nerwowych.

Dziś już i student medycyny i lekarz — a zarazem wierzący i praktykujący katolik, nie jest zjawiskiem zadziwiającym i niezwykłym, jak to było w XIX w. Terapia organizmów coraz więcej punktów stycznych znajduje z boską terapią dusz przez katolicką teologię, kapłan i lekarz spotykają się coraz częściej na ścieżce wiodącej do wiekuistego szczęścia dusz ludzkich...

Są to naprawdę «rzeczy zastanawiające» i dla młodego, inteligentnego katolika pełne radości, iż oto duch ludzki, tak buntowniczy i rewolucyjny zawracać poczyna powoli z manowców ku źródłom wiekuistej Prawdy, która jest jego radosną własnością.

IV.

Jakieś trzydzieści, czterdzieści lat temu cały świat naukowy i nienaukowy wychodził ze siebie z zachwyty nad genialną teorią Darwina. Popularyzowana przez setki pism i broszur, pochwycona oburącz przez socjalizm, przenikała do najszerszych warstw społecznych, ogarniała młodzież, entuzjasmowała ją, ukazując opowiadanie biblij o stworzeniu pier-

wszych ludzi jako politowania godzien, naiwny mit mojąszowy... Waliła w gruzy wiarę tysięcy, a materializm karmił się nią i puszył z zadowolenia, że oto przybyła mu tak potężna, «naukowa» sojuszniczka.

Aliści przeszło lat parędziesiąt i powoli przyszło otrzeźwienie. Dziś ono jest niemal zupełne.

Profesor Üxküll nie waha się określić darwinizm jako «ucieleśnienie pragnienia, które za wszelką cenę usiłuje usunąć z przyrody celowość». A tę celowość mimo wszystko z przyrody dziś usunąć coraz trudniej. Nie wiemy nic pewnego ani o przyczynach ewolucji, ani o jej przebiegu. Po długich i licznych obserwacjach dziś utrwała się w świecie przyrodniczym coraz mocniej przekonanie, że powolne, stopniowe przejście od jednego gatunku roślin lub zwierząt do drugiego staje się nieprawdopodobne.

Pozostaje więc tylko jedna możliwość, to jest, nagle ukazanie się skończonego gatunku. Mnożą się już głosy uczonych, którzy je uważają za możliwe, prawdopodobne, ba nawet — konieczne! (Prell, Nölke).

To też słusznie powiada autor artykułu w «Schönere Zukunft»: «Hipoteza pochodzenia wszystkich gatunków od jednej praioty okazała się bezpodstawną. Rzeczywiście odnalezione główne linie gatunków biegną prawie bez wyjątku równolegle. Rozwój wszystkich stworzeń żyjących od jednej praioty (ewolucja monofiletyczna) uznano dziś za wykluczony. W ten sposób odrzucono teorię (Darwina) o pochodzeniu gatunków. Należy też dodać, iż się okazało w coraz to liczniejszych wypadkach, że zewnętrzne podobieństwa form są prostą zbieżnością zjawisk, nie mających nic wspólnego z pokrewieństwem. Kilku znakomitych uczonych określiło wielkie podobieństwo małpy i człowieka, jako prostą zbieżność zjawisk. Że człowiek nie pochodzi od małpy z okresu trzeciorzędowego wykazały już staranne badania. Ostatnia nadzieja tych, którzy mimo wszystko, chcą jeszcze wierzyć w pochodzenie człowieka od małpy, opiera się obecnie na cząstce szczęki i na jednym zębie trzonowym (formy kopalne odnalezione w XIX w. — ale sporne, jeśli idzie o ich pochodzenie). Zdaje się, że związek człowieka z gatunkiem zwierząt ssących — o ile w ogóle kiedykolwiek istniał — musi być odsunięty jeszcze dalej, aż do samych początków gatunków.»

Próby naukowe, usiłujące wykazać pokrewieństwo krwi między człowiekiem a małpą, musi się także obecnie uznać za zupełnie nieudane, wobec tego, że najnowsze badania botaniczne wykazały niemożliwość wyprowadzania jakichkolwiek wniosków o pokrewieństwie na mocy reakcyj na białko.

Uczony Dacqué określa już człowieka jako pra-formę stworzenia.

Jak silny i gwałtowny i pozornie uzasadniony był atak owych teoryj i hipotez na cały świat umysłowy XIX i XX w. świadczy fakt, że uczeni katolicy tu i ówdzie (np. Mivart w Anglii) dość ustępliwie gotowi byli uznać somatyczne (pod względem ciała) pochodzenie człowieka od zwierzęcia, warując jedynie nieugięte kwestię duszy. Niewiele lat minęło, a dzisiejszy stan wiedzy przyrodniczej w tej kwestii, niemal w całości popiera naukę biblii o stworzeniu bezpośrednim pierwszych ludzi! I nawet nie ludzi tylko, ale i gatunków zwierząt i roślin!

Nie od rzeczy będzie jeszcze dla ilustracji wspomnieć o ciekawym losie jednego z ostatnich odkryć w pokładach geologicznych. W latach 1926—1929 różni badacze austriaccy, amerykańscy i chińscy dokopali się w terenie Czu-ku-tien pod Pekinem trzech zębów ludzkich, potem czaszki chłopca i jeszcze czaszki kobiety. Były to niewątpliwie kości ludzkie (*Sinantropus pekinensis* nazwane — znaczy: Chińczyk-człowiek pekiński). Ba! Ale pokłady, w których je znaleziono, uznano powszechnie za początek dyluwium (pokład potopu), w którym dotąd nigdy nie znajdowano kości człowieka. Więc jednak — o dziwo niesłychane — w najstarszym pokładzie geologicznym znaleziono już kompletnie wykształconego, niewątpliwie i zdecydowanego człowieka. A tymczasem ze znacznie późniejszej epoki (pokładu geologicznego) pochodzące szczątki kopalne w Neandertal i na Jawie, o których wspominałem wyżej, oznaczono jako szczątki «małpoczłowieka» (*pitekantroposa*). Co za konsternacja w świecie naukowo-przyrodniczym! Już się wszystko tak slichnie składało! Najdawniejszy człowiek neandertalski czy jawański to jeszcze na półmałpa! A tu masz! Znacznie wcześniejszy geologicznie człowiek pekiński — to już człowiek, całkowity, zdecydowany człowiek!

No tak — ratowano sytuację — ale i ten pekiński mógł być jeszcze tylko na pół człowiekiem i na pół zwierzęciem.

Przecież przy jego kościach nie znaleziono ani śladu jakiegoś rozwoju, jakichś narzędzi. To oczywiście jeszcze nie «homo sapiens» (człowiek myślący).

Ale jakoś dziwnie nie mieli szczęścia owi darwiniści. Pech prześladował ich najwidoczniej.

W r. 1930 w kopalisku Czu-ku-tien znaleziono kość obrobioną przy pomocy ognia i jakiegoś kamiennego narzędzia, a w rok później, w 1931 już wyraźne narzędzia pracy, na kamieniach ślady ich używania i co najważniejsze — ślady ogniska!

Więc dziś znany najdawniejszy człowiek — to istota inteligentna, myśląca — bynajmniej nie «małpolud», jak głoszono przez lat kilkadziesiąt.

Nauka stanęła ze wstrząsem, zahamowana nagle i bezwzględnie na swym dotychczas tak prostym i gładkim torze...

Kto jednak wróci wiarę utraconą wskutek teorii Darwina tym tysiącom, co żyły i umierały zahipnotyzowane jej urokiem — bez wiary w Boga Stwórcę — w duszę nieśmiertelną i odpowiedzialność za życie?

I czy nie należałoby mówić o koniecznej w obozie nauki uczciwości, która nakazuje mu najsurowszą ostrożność w głoszeniu swych przypuszczeń i hipotez??

Do tej uczciwości zdaje się pośrednio nawoływać uczony O. Hertwig, który powiada: «Znajdujemy się w wielkiej chwili przelomowej duchowego rozwoju ludzkości. Dwóchsetletnie panowanie różnych materialistycznych kierunków, przeciwko którym od czasu do czasu znakomici ludzie podnosili głos ostrzegawczy, stoi pod znakiem czasu, przed przemianą na idealistyczny pogląd na świat».

I czy to dla nas katolików nie zastanawiające — czy nie wzruszające głęboko?

V.

Od czasów Marcina Lutra zaczęła się w świecie chrześcijańskim zacięta kampania przeciw sakramentowi pokuty, a ściśle mówiąc, przeciw obowiązkowi wyznania win, przeciw spowiedzi.

Dla uzasadnienia swych ataków nie zawahali się historycy i teologowie protestanccy przed sfalszowaniem dziejów

Kościola, na rok 1215, na IV sobór laterański za Innocentego III przenosząc rzekome wprowadzenie obowiązku spowiedzi ¹⁾).

A potem jakież to pociski nie znalazły się w ich arsenale! Wszak spowiedź katolicka to poniżenie osobistej godności człowieka, to wdzieranie się w najgłębsze tajemnice, to akt despotyzmu rzymskiego, to zabobon, to zacofanie.

Zdawało się tym pisarzom, którzy — boleśnie to wyznać — znajdowali nieraz poklask i u marnych, lecz «postępowych» katolików, że w w. XIX spowiedź zniknie z powierzchni ziemi, a w XX już będzie tylko wspomnieniem.

Oczywiście była to chimera protestantyzmu wojującego. W kościele katolickim dziś i do końca świata nie może zniknąć nic z tego, co ustanowił Chrystus.

Ale nie o to idzie!

W w. XX — słuchajcie — w XX w. z dwóch naraz stron, najniespodziewaniej w świecie, poczyna się zjawiać uznanie dla spowiedzi, tęsknota za spowiedzią, ba nawet stwarzanie spowiedzi.

Czy nas uszy nie mylą?

Nie! W anglikanizmie tęsknota za spowiedzią prywatną posunęła się tak daleko, że wbrew jego oficjalnym zasadom, niektórzy pastrowie i niektóre gminy na swoją rękę wprowadziły konfesjonały do kościoła i kazały w nich składać i przyjmować wyznanie win osobistych. Tak — w zborach anglikańskich — w Londynie i gdzie indziej zobaczyć można na własne oczy spowiedników i penitentów. Oczywiście — i niestety — bez mocy i bez władzy sakramentalnej, którą anglikanizm wraz z sakramentem kapłaństwa postradał.

Ale wołanie o spowiedź słyhać dziś także u protestantów Niemców! Czy mógł się takiej klęski spodziewać od nich kiedykolwiek Luter — ten «wielki» wybawca od «więzów i katuszy» katolickiej spowiedzi?

Nie koniec jednak na tym!

W XX w., zwłaszcza w okresie po wielkiej wojnie, coraz silniejsze prawo obywatelstwa w medycynie poczęła sobie zdobywać tzw. «psychoterapia», czyli po prostu duchowe leczenie człowieka. Okazało się bowiem, że i w dziedzinie chorób

¹⁾ Jak każdemu dziecku katolickiemu wiadomo, szło tam jedynie o IV przykazanie kościelne dotyczące obowiązku spowiedzi sakramentalnej «przynajmniej raz w rok» nie zaś spowiedzi w ogóle.

psychicznych i w dziedzinie wielu słabości fizycznych źródła złego szukać trzeba przede wszystkim w chorej duszy i tę duszę przede wszystkim leczyć.

Cóż to za związek ma ze spowiedzią spytacie?

Otóż zaraz na wstępie zastrzec się muszę bardzo stanowczo przed przypuszczeniem, jakoby miał najłżejszy zamiar identyfikować psychoterapeutyczne «wyznanie» z naszą spowiedzią sakramentalną. Ale też wcale nie o to idzie!

Rzecz zastanawiająca i niesłychanie zastanawiająca w tym, że ten katolicki «akt zacofania», «akt przymusu, terroru duchowego» itd. — najbardziej postępowe koła lekarskie uznają za rzecz niezmiernie pożyteczną, niemal konieczną.

Zaiste trudno się oprzeć przekonaniu, że przecież Kościół katolicki jest w posiadaniu tej mądrości i prawdy, która trwa na wieki!

Już w jesieni 1929 r. uczoney C. G. Jung na odczucie swym wygłoszonym w Wiedniu nie wahał się wspomnieć, że istnieje w ludzkości powszechne prawo, domagające się, by każda tajemnica winy została wypowiedziana, jeśli człowiek chory duchowo ma ozdrowieć. Na pierwszym miejscu wśród okresów duchowego leczenia umieścił otwarte i dobrowolne odstąpienie tajemnic duszy.

Tak to nauka psychologii i sztuka lekarska XX w. potwierdziły Boską mądrość Twórcy sakramentu pokuty!

No i spowiedź stała się modną! A we wznoszonych dziś licznie psychoterapeutycznych sanatoriach i szpitalach lekarze i asystenci «słuchają spowiedzi» niezliczonych chorych, «wdzierają się» w ich najgłębsze, osobiste tajemnice — i nikt już słowa nie piśnie o przesadzie, zabobonie, przymusie!

Zastanawiające!

Tenże sam Jung w jednym z swych artykułów pisze: «Spowiedź katolicka jest bardzo skuteczną, zwłaszcza, gdy nie jest tylko wysłuchaniem, ale i czynnym oddziaływaniem... Środki łaski, jakimi rozporządza kapłan katolicki, mogą być bardziej skuteczne w chorobach duchowych, niż zabiegi psychoanalizy Freuda».

Istotnie z własnych przeżyć musimy stwierdzić, że penitent uświadamia sobie zupełnie inaczej swoje życie i postępowanie, swoje choroby duchowe i upadki, niżby to uczynił — o ileby w ogóle uczynił — poza przygotowaniem się do spo-

wiedzi. Tu musi raz przynajmniej spojrzeć na siebie «w prawdzie» całkowitej i szarej. Tu dalej musi stwierdzić prawdę wielkiego prawa, że w sprawach duszy człowiek sam sobie nie wystarcza. Tu wreszcie musi choć na chwilę wyrzec się pychy, korzenia wszelkiego zła, a oblec się w uzdrawiającą pokorę!

Dotąd jednak jeszcze ani słowa o nadprzyrodzonym, sakramentalnym charakterze spowiedzi katolickiej! A przecież w nim jej cała istota!

Otóż i na ten moment zwrócił uwagę dr Rudolf Allers, który na kongresie psychoterapii w r. 1929, w Bad Nauheim wypowiedział te uderzające w uszach uczonego lekarza słowa: «Znaczenie i skuteczność spowiedzi dla katolika polega nie na wypowiedzeniu jakichś męskich przeżyć i na pocieszających słowach duszpasterza, ale na sakramentalnym działaniu *Ego te absolvo* kapłana»...

Tak! Psychoterapia analizuje, ale nie rozgrzesza, sakrament pokuty — nieskończenie od niej wyższy i analizuje i leczy i rozgrzesza! Znosi winę wobec Boga i sumienia! *Gratia medicinalis*, — łaska lecząca występuje tu w całej pełni. Człowiek zostaje wewnętrznie uzdrowiony. Poczucie winy odjęte. Widać stąd jednak jakiej umiejętności i jakiej niesłychanej subtelności wymaga ta sprawa i ze strony lekarza-terapeuty i ze strony kapłana-spowiednika.

I znowu sprawdza się to, cośmy już dawniej tu pisali o współdziałaniu między medycyną a teologią!

Dziwne, dziwne sprawy.

Czyżby wiek XX miał być wiekiem tryumfu spowiedzi katolickiej — tak znieważonej i zelżonej przez wiek XVI «reformatorów» i wiek XVIII — «oświecenia»?

Zaiste rzeczy zastanawiające!

— — — — —
A my sodalisi mamy spowiedź co miesiąc! Szczęśliwiśmy!

VI.

Żyjemy niewątpliwie w okresie przemożnego panowania sportu. Wytrwała i usilna propadanda po całej już chyba kuli ziemskiej wysuwa wprawdzie na pierwszy plan możliwie największą, tężyzną i sprawność fizyczną dzisiejszej ludzkości, ale nie kryje przy tym, że ta tężyzna i sprawność nie powinna i nie może pozostać bez wpływu na jej stan moralny.

Nie przeczę, że jest w tym dużo prawdy. Już choćby tylko przez to, że uprawianie sportów przeważnie na wolnym powietrzu, na łonie zawsze pięknej i duchowo krzepiącej, czystej i szczerzej natury działa umoralniająco na każdego człowieka, a ekspansja sił fizycznych, zwłaszcza ludzi młodych, w kierunku sportowych wyczynów, broni ich niejednokrotnie przed pokusą i brudem życia. Ma oczywiście sport, jak każde dzieło ludzkie, swoje dziś i to niemałe skrzywienie w nielogicznej a namiętej rekordomanii, ale to w tej chwili nie należy do naszego tematu.

To jedno pozostaje i na zawsze pozostanie prawdą, że nawet najlepiej i najszlachetniej uprawiany sport nie zastąpi «treningu» duchowego, nie zastąpi pracy nad charakterem, nad udoskonaleniem siebie, nad duchowym postępem człowieka, może go jeno wydatnie wspomóc i ułatwić.

Wszak uczy nas życie tak często niestety, że można być wybitnym np. taternikiem, a jednak mimo cudów Bożej przyrody pozostać zupełnie nieczułym na potęgę i piękno Stwórcy... Podziwiać dzieło — nie widzieć, nie odczuć Mistrza. Można być zadziwiająco odważnym narciarzem, a grzeszyć brakiem cywilnej odwagi w najprostszych sprawach domowych czy szkolnych, można być świetnym i przemiłym towarzyszem na stadionie, a równocześnie nieznośnym, przykrym, złośliwym towarzyszem domowego pożycia, wobec rodziców, czy rodzeństwa... Karnym członkiem drużyny sportowej, a niekarnym członkiem społeczeństwa szkolnego, zwycięzcą w biegach i skokach, zwyciężonym w nauce i obowiązku.

Czy tak nie jest — i to aż nazbyt często?

Przesadzają zatem i grubo ci, którzy sądzą, że dzisiejszy nawrót do sportów da nam sam przez się wysokie podniesienie kultury duchowej jednostek i społeczeństw, że uleczy zło moralne i wykształci pierwszorzędne typy ludzkie. Dlatego coraz częściej słyhać w świecie głosy, które nawołują bardzo silnie do podjęcia «treningu» duchowego, do połączenia ze sportem koniecznie i nieodwołalnie pracy nad charakterem, nad uczciwością, czystością, karnością, obowiązkowością i tymi wszystkimi cnotami, które jako wypadkową dają nam ideał człowieka zarówno w fizycznym jak duchowym kierunku.

Stąd, gdy w dziedzinie moralnego uleczenia ludzkości, sport sam przez się, jak zresztą i inne usiłowania socjologów,

lekarzy i higienistów, nie dał spodziewanych rezultatów, zabierają się znowu ludzie do zaniedbanej tak mocno w epoce materializmu duszy ludzkiej i coraz częściej i coraz głośniejszyprowadzają o konieczności jej i przede wszystkim jej leczenia.

Psychoterapia — leczenie dusz — stała się modnym hasłem dnia.

Poświęciliśmy tej sprawie sporo uwag w ostatnim numerze naszego pisma, mówiąc o zadziwiającym dziś zwycięstwie idei katolickiej spowiedzi.

Wspominaliśmy o lekarzach, przybierających na siebie rolę lekarzy ducha — psychoterapeutów. Ale to mało, sięgają oni dziś po coś więcej — po rolę faktycznych kierowników chorych czy słabych dusz ludzkich, które podtrzymując, kojąc, wzmacniając, starają się przywrócić do stanu zupełnego, duchowego zdrowia.

I oto znów, patrząc z podziwem na te usiłowania XX w., spostrzegamy, że to, co oni głoszą, jako najnowsze zdobycze psychologii doświadczalnej i psychoterapii, to nasz Kościół katolicki posiada i praktykuje od 1900 lat swego istnienia. W szafarzach Boskiego sakramentu pokuty, w spowiednikach swoich ma on wsparty Bożą mądrością i wiekowym doświadczeniem kierowników dusz chorych i obciążonych brzemieniem moralnej przewiny.

Po oglądany przez nas poprzednio triumfie instytucji katolickiej spowiedzi — z kolei triumf katolickiego spowiednika, ojca, lekarza i kierownika dusz!

A więc znowu stwierdzenie jednej z podstawowych prawd nauki katolickiej, że w sprawach duchowych i moralnych człowiek sam sobie wystarczyć nie może.

Rzecz jasna, że jak tam, przy spowiedzi, tak i tutaj zachodzą między lekarzem-terapeutą a kapłanem-spowiednikiem istotne różnice, ale stwierdzenie zasadniczego prawa zostaje.

Spowiednik katolicki jest w swym urządzie istotą nadprzyrodzoną, ma on za zadanie przede wszystkim duszę uświęcić, wrócić jej wartości nadprzyrodzone łaski, a w tym mu nigdy, żaden na świecie terapeuta nie dorówna. Ale jakże często znowu owo nadprzyrodzone uświęcenie styka się ze zdrowiem duchowym! I stąd pokrewieństwo pojęciowe i rzeczywiste tych obydwóch kierowników-lekarzy.

I wreszcie na zakończenie tych niezmiernie interesujących kwestyj, słowo jedno o pokrewieństwie leczenia psychicznego z naszymi rekolekcjami zamkniętymi. Nie mają one za sobą wprawdzie dziewiętnastu wieków istnienia, jak spowiedź, ale przecież zrodziwszy się w wielkim umyśle i sercu św. Ignacego Loyoli w w. XVI o 400 lat wyprzedziły nowoczesne psychoterapeutyczne zabiegi.

I tu obowiązują nas oczywiście te same, co powyżej stanowcze zastrzeżenia o nadprzyrodzonym charakterze i celu tych świętych ćwiczeń duchownych, ale odnoszą się one do ich wewnętrznej treści. Idzie zaś o wykazanie, że katolicyzm i tutaj bardzo wyprzedził naukową myśl ludzką swym genialnym pomysłem ćwiczeń rekolekcyjnych.

Jakichże cudów dokazują one w milionach dusz! Ocenic to może tylko ten, kto ich udzielał lub kto im się oddawał! Ludzie ciężko, od szeregu lat chorzy duchowo, odradzali się i wychodzili z rekolekcji zupełnie innymi, niż byli przedtem. Rozum i wola i serce człowiecze przechodzą w rekolekcjach całkowitą, zdumiewającą nieraz regenerację wewnętrzną, tracą gdzieś zniechęcenie, pesymizm, gorycz życiową, odnajdują Boga, wiarę, miłość i czystość — jednym słowem odzyskują pełne zdrowie duszy.

Należałoby powiedzieć, że młody sportowiec, marzący o idealnym wyrobieniu fizycznym, o zdobyciu wszelkich możliwych «sprawności», powinien sobie za punkt honoru uważać, zdobycie podobnych «sprawności» duchowych w ćwiczeniach zamkniętych rekolekcji. Niechaj tam do wielkiej odwagi w zdobywaniu grani i wierchów dołączy wielką odwagę w wyznawaniu zasad wiary i przekonań moralnych... niech do zachwytów nad pięknem przyrody, tam nauczy się dołączyć uwielbienie i wdzięczność dla ich Stwórcy. Do wspaniałych wyczynów na stadionie czy torze sportowym niech doda, o ileż wspanialsze, wyczyny i zwycięstwa w walce ze samym sobą, w pokusie przeciw młodzieńczej czystości, karności, rzetelności w życiu, a do wymarzonych zwycięstw w zawodach z obcych narodów «mistrzami» — zwycięstwa duchowe nad cudzoziemcami w osobistej i społecznej, wyższej od ich kultury, kultury duchowej i moralnej Polaka.

To będzie dopiero ten upragniony typ człowieka-ideału

o którym już marzyli Grecy w swej «kalokagatii»¹⁾, a o którym marzy, i co ważniejsze, którego dziś coraz częściej stwarza w swych szeregach współczesny katolicyzm²⁾.

Przy potężniejącym już i u nas w Polsce ruchu rekolekcyjnym nie będzie chyba wkrótce sodalisa, któryby takich rekolekcyj przynajmniej raz w życiu — a daj Boże i regularnie częściej nie odprawiał. Przekona się wtedy o niespożytych wartościach tej, wiekową przeszłość za sobą mającej Bożej «psychoterapii», która równej sobie na świecie nie ma i nigdy mieć nie będzie!

VII.

Wracając do cyklu artykułów, które w numerze majowym naszego pisma ogłosiłem, jako zamknięty i skończony, winienem na wstępie przeprosić łaskawego czytelnika za pewną niespodziankę. Ale życie dzisiejsze tyle niesie z sobą coraz nowych zagadnień, coraz nowych faktów i zjawisk, że staje się — brzemienne nimi — silniejszym od naszych zamierzeń i wymusza sobie niejako głos tam, gdziebyśmy mu w naszych planach milczenie nakazywali.

Czyż można bowiem takim milczeniem pominąć fakt, który z jednej strony ze swej natury jest nam najbliższy, przeto, iż wkracza całkowicie w dziedzinę naszego, młodego życia, z drugiej jest w całej pełni i naprawdę «zastanawiający»?

Na pewno nie! A przeto — posłuchajcie jeszcze o nim, jakby na domówienie i zamknięcie, tym razem już ostateczne (przynajmniej w tym roku!) naszych pogadanek o «rzeczach zastanawiających»).

Ku jakiemukolwiek krajowi czy państwu obrócimy dziś nasze oczy, wszędzie zobaczymy walkę toczącą się o młodych. Społeczeństwa, narody i państwa zrozumiały znaczenie i doniosłość wychowania i urobienia młodzieży, stąd może nigdy dotąd nie wzbudzała ona, jej sprawy, jej poglądy, jej prace, radości i bóle takiego zainteresowania, jak dzisiaj.

Nie możemy oczywiście tu przemilczeć faktu, iż znacznie, znacznie dawniej ważkość tego zagadnienia i wartość młodzieży rozumiał wzorem Swego Mistrza Kościół katolicki, zro-

¹⁾ Kalos kagathos — dosłownie człowiek piękny (czyli idealny fizycznie) i dobry (czyli idealny duchowo).

²⁾ Por. porywający typ Piotra Jerzego Frassati'ego.

zumiał wtedy, gdy się o tej sprawie ludziom świeckim niemal nie śniło... Więc też dziś, on 19-to wiekowy wychowawca, opiekun i przyjaciel młodzieży miałby tu najwięcej do powiedzenia...

Miałby, gdyby mu pozwolono.

Od czasów bowiem wielkiej rewolucji francuskiej wzmagaly się w Europie, później też i w Ameryce, prądy, coraz i coraz gwałtowniejsze, zmierzające do tego, by młodzież za wszelką cenę wyrwać spod wpływu Kościoła i religii Chrystusowej. Z chwilą zaś, gdy państwo objęło w swe ręce naczelne kierownictwo i najwyższą władzę w dziedzinie nauczania i wychowania szkolnego, nic nie było łatwiejszym, jak przez odpowiednie ustawy ciał prawodawczych, względnie przez rozporządzenia ministrów oświaty usunąć np. naukę religii ze szkół, odciąć młodzież od bezpośredniego stosunku z kościołem, nabożeństwem, sakramentami, kapłanem.

Patrzyliśmy, my katolicy na to z bólem serca we Francji, we Włoszech, w Ameryce północnej, patrzymy na to dziś ze zgrozą w Meksyku, Bolszewii, ostatnio w Hiszpanii.

Idzie oczywiście o młodzież.

I kto wie, czy w niejednym sercu katolickim nie budzi się zwątpienie, niepokój serdeczny o przyszłość już nie tylko młodzieży, ale nawet całych społeczeństw chrześcijańskich i Kościoła świętego.

Otóż chcemy wykazać tu dzisiaj, że przecież pomimo wszystko ukazują się coraz wyraźniejsze objawy głębszej na tym polu reakcji, że niebywały wprost upadek moralności w świecie, rozkład społeczeństw Europy i Ameryki nasuwa ludziom, oczywiście najpierw fachowym, zawodowym, stykającym się bezpośrednio z tym zagadnieniem, bardzo poważne, niepokojące refleksje, które poczynają znajdować swój odzwiek w niezmiernie ciekawych, interesujących pociągnięciach już to kierowników rządu, już to zwierzchników oświecenia publicznego w różnych państwach i krajach.

I to jest bardzo zastanawiające!

Pominę tu znane i już dość dawne rozporządzenie Mussoliniego o wprowadzeniu na powrót nauki religii katolickiej, jako przedmiotu obowiązkowego w szkołach nie tylko powszechnych ale i średnich we Włoszech.

Ale w dniach — rzecz można — ostatnich zbiegły się ra-

zem ciekawe wiadomości z państw innych, które niewątpliwie dają nam dużo na ten temat do myślenia.

Przed laty 14 w nowopowstałej Rzeczypospolitej Austrii rząd socjalistyczny zniósł naukę religii w szkołach średnich, dwa miesiące temu minister oświaty przywraca ją jako obowiązkową we wszystkich szkołach ministerstwu temu podległych.

Rewolucyjny rząd Hiszpanii — tak wrogi zakonnym szkołom — już dziś dopuścił do uchwalenia w kortezach prawa nauczania w szkołach dla członków zakonów katolickich.

A oto, co mówi minister oświaty starej i potężnej Anglii, lord Irring: «Nie możemy dozwolić, by liberalizm deprawował młodzież, Lenin mówi, że «religia to opium dla ludu». Nie! Religia jest najgłówniejszą twierdzą i obroną cywilizacji. Naród angielski to rozumie i dlatego rodzice domagają się, by dzieci ich w szkołach jak najwięcej uczyły się religii. Rząd powinien te żądania uwzględnić i to nie tylko dla szkół początkowych»...

Już i skrajny radykał francuski, minister Herriot, nie waha się publicznie wyznać: «Prawo ustanowione dla nieletnich przestępców zbankrutowało. Jeżeli wszystko pójdzie dalej w takim tempie, jak do dziś, nie możemy zaręczyć, czy nie nadejdzie dzień, w którym będziemy zmuszeni ściąć głowę jakiemuś piętnastoletniemu chłopcu. Prawo tu nic, albo prawie nic nie zaradzi ¹⁾»...

A więc bankructwo świeckiej i państwowej moralności??

W tym arcyciekawym koncercie ministrów nie brak i głosów niemieckich!

W ostatnich dniach marca br., bawarski minister oświaty wydał okólnik, w którym zwraca się do podlegającemu mu nauczycielstwa oraz rodziców z hasłem: «Ani jednego dziecka Bawarii bez wychowania chrześcijańskiego i narodowego». «Gdyby którykolwiek z nauczycieli głosił zasady wolnej myśli lub marksyzmu, nie będzie mógł w przyszłości pełnić obowiązków nauczycielskich w szkołach bawarskich!» — I jeszcze dalej: «We wszystkich szkołach bawarskich lekcje powinny zaczynać się i kończyć modlitwą, żeby wyjednać u Pana pomysł-

¹⁾ Przypominamy tu jeszcze słowa członka Najwyższego Trybunału Stanów Zjedn. Ameryki Półn. Johna Fitzgeralda: «Żadna ludzka organizacja nie oparta na etyce chrześcijańskiej, nie jest zdolna zapewnić młodzieży odpowiedniego poziomu moralnego».

ność i wielkość narodu i ojczyzny, opiekę dla ludzi, którzy nią rządzą... Ale nauczyciel, chrześcijanin i patriota ma łączyć z tymi przewodnimi ideami modlitw codziennych te uczucia i ten zapał, które sprawiać będą, że modlitwa szkolna nie stanie się czczą formą».

I jeszcze § 8 tego rozporządzenia głosi: «Nauczanie religijne ma być pomocą i pociechą dla duszy dziecka. Wiara religijna i wartość osobista nauczyciela i wychowawcy ma objawiać się w nauczaniu zgodnym z życiem rzeczywistym i natchnionym przez religijność głęboko odczuwaną. Nie powinno też ono pomijać wysokiej wartości, jaką dla życia kulturalnego Bawarii i całych Niemiec miała w przeszłości i ma dzisiaj i zawsze mieć będzie praca naukowa wychowawcza władz religijnych».

Minister wyznań religijnych i oświaty publicznej w Hesji, w maju br. wydaje rozporządzenie wprowadzające do wszystkich szkół heskich obowiązkową naukę religii. Lekcje mają się zaczynać i kończyć wspólną modlitwą, względnie chóralnym śpiewem religijnym. «Wiara i Ojczyzna — pisze okólnik ministra — są podstawą naszego państwa i naszych szkół».

Dosyć!

Przecieramy oczy, czy to wszystko na jawie, naprawdę... Czy to naprawdę mówią ludzie świeccy, najwyżsi urzędnicy państwa?

Tyle lat eksterminacyjnej walki z religijnym wychowaniem młodzieży, z religią w szkole i w końcu taka niemal powszechno-europejska kapitulacja! W XX w., w kilkadziesiąt lat zaledwie po wypowiedzeniu wojny Kościołowi? Czyż jest na świecie człowiek przeciętnie inteligentny i przeciętnie uczciwy, któremu by te fakta nie dały do myślenia?

A przecież mimo wszystko ludzie ślepi i głusi na wymowę faktów i doświadczeń nie ustają, ponoś i w naszej ojczyźnie także, w nieprzebierającej w środkach kampanii przeciw religii i religijnemu wychowaniu w szkole... Piorunują przeciw rzekomemu fanatyzmowi religijnemu — nie bacząc, że sami innemu fanatyzmowi tak często ulegają w swych atakach.

Prawda! Pozostaje jeszcze Bolszewia. Oficjalnie, urzędowo «bezbożna»! Ale Bolszewia to jeszcze ciągle eksperyment! Nie ma ona jeszcze za sobą ani jednego pokolenia wychowanego i dochodzącego do końca życia w państwowym ateizmie. Ma ponoś parę milionów «bezbożników» — ilu wśród

nich szczerych? (i może będzie ich miała więcej), po «piatiletce» antyreligijnej spodziewa się ich 17 milionów. Są w nich falangi młodych. Ale wśród tych falang prawie nie ma już, tak stwierdzają statystyki urzędowe, młodych nie dotkniętych najstraszniejszymi chorobami z rozpustnego idącymi życia. Co będzie z tej młodzieży? Czy utrzyma się na daleką metę państwo z gangreną ateizmu i demoralizacji od dołu, od młodzieży i dzieci? Czekajmy! Eksperyment dopiero się zaczął. Kosztuje on już potwornie dużo — materialnie i moralnie — ale do końca mu daleko... Historia narodów mierzy się na wieki, a Bóg... ma czas!

1933.

CZY NAUKA ZAWSZE JEST UCZCIWA?

Cóż to znów za pytanie?

Nauka, dla której głęboki kult wyrabia w nas szkoła średnia — wiedza, która staje się dla wielu niemal bożyszczem — inteligencja, która budzi dziś tak szczere uznanie?...

I w czymże zresztą ta nauka i wiedza mogłyby okazać swoją «nieuczciwość»?

Oto zastrzeżenia, które wywoła zapewne mój tytuł.

Ale powoli! Spokojnie!

Wyjaśnijmy sobie, o co rzecz idzie.

Parę lat temu przyszedł do mnie z wizytą były uczeń naszego gimnazjum, sodalis, nawet członek konsulty, potem zaś student medycyny na jednym z polskich uniwersytetów.

W swobodnej i szczerzej pogadance opowiadał wiele o swych studiach, które odbywał z całym zapalem i prawdziwym umiłowaniem... Wspominając o zachwycających go wprost wykładach biologii i zadziwiających pracach w laboratorium, wspomniał mimochodem, że zdaniem jego profesora, nadzwyczajny postęp i najnowsze odkrycia tej gałęzi nauki już żadną miarą nie dadzą się pogodzić z dogmatami stworzenia, z nauką o duszy niematerialnej itd.

Podyskutowaliśmy nieco na ten temat, ale intuicyjnie wyczułem, że moje słowa, jako «niefachowca», wobec tamtej «sławy» uniwersyteckiej nie trafiały młodemu do przekonania. Osad niewiary, a przynajmniej poważnych wątpliwości już się

wyraźnie formował na dnie jego młodej i do wiedzy rwącej się duszy...

Zdarzenie, jakich wiele, bardzo wiele... Przeżycia, których uniwersytet dzisiejszy niestety nie szczędzi młodym katolikom na wielu, wielu katedrach.

I tu właśnie tak często zjawia się wiedza, którą nazwałbym nieuczciwą. Przez co? Najczęściej przez tendencyjne wyciąganie zbyt daleko idących wniosków, to jest wniosków sięgających dalej, niż na to pozwalają uzyskane dotąd przesłanki, przez wynoszenie hipotez do znaczenia pewników naukowych.

Ba! obiektywizm! Ten właśnie królewski przymiot prawdziwych inteligencji na świecie, jakże jednak rzadkim bywa klejnotem w diademie wspaniałej wiedzy dzisiejszej!

Rzadkim — na szczęście nie całkiem wykluczonym.

Prawdziwie wielcy uczeni, spokojni, obiektywni, ostrożni i pokorni są i będą zawsze najszlachetniejszymi stróżami prawdziwej, uczciwej wiedzy.

W ostatnich niemal dniach spotkałem się z dwoma wynurzeniami takich właśnie uczonych i jako przykład opinii naukowej zgodnej z wiarą katolicką w XX w., pragnę wam ich słowa zacytować.

Z końcem listopada 1934 odbyła się w Rzymie inauguracja XVI z rzędu dorocznego cyklu wykładów apologetycznych, głoszonych na tematy religijne przez najwybitniejszych wierzących uczonych włoskich. Przemawiał na niej wobec grona wysokich osobistości kościelnych i rządowych, w pełnionej wspaniałej auli papieskiego uniwersytetu gregoriańskiego, wielki uczoney i wierzący katolik, dr Giovanni Perez, profesor patologii chirurgicznej na wydziale medycznym królewskiego uniwersytetu rzymskiego.

Na wstępie już, wychodząc z cudownej celowości organizmu ludzkiego, nazwał go «objawicielem Boga» («rivelatore di Dio»), po czym, posuwając się do wszechświata, wykazał w nim triumf najwspanialszej jedności planu wśród najbardziej zadziwiającej różnorodności zjawisk — oczywisty dowód najwyższej Inteligencji Boga-Opatrzności. U człowieka zaś — mówił — cała struktura anatomiczna, zjawiska biologiczne i prawa rządzące oporem organizmu przed niezliczonymi czynnikami chorobotwórczymi — to dowód tej samej inteligencji w małym świecie człowieczym. — «Wszystko to — koń-

czył — nie jest wynikiem przypadku! Wszystko regulują tu prawa przewidujące i najmędrsze. W tych prawach odwiecznych, w tej opiece mądrej, przewidującej, subtelnej, ojcowskiej ja poznaję Boga. Z tym światłem, z tą czystością umysłu, z tą celowością i z uczciwymi metodami badania, z wolą silną i szczerą powinniśmy ustalać najtrudniejsze zagadnienia wiedzy i życia ludzkiego. Nie braknie nam przy tym pomocy owej nieskończonej Opatrzności, która wszystkim rządzi tak, abyśmy mogli osiągnąć nasze najwyższe, nieśmiertelne przeznaczenie»¹⁾).

— — — — —
Mówiono mi, że jeden z poważnych uczonych polskich, zdecydowany materialista, po studiach i badaniach medycznych w rzymskim uniwersytecie, po zetknięciu się z uczonymi na miarę profesora Perez'a powrócił do kraju mocno zachwiany w swych dotychczasowych filozoficznych i przyrodniczych poglądach.

— — — — —
Drugi uczony nie jest katolikiem.

Anglik, znakomity astronom, profesor uniwersytetu w Cambridge, Jeans wydał książkę pt.: «Trough Space and Time» (Przez przestrzeń i czas).

W dziele tym, publikowanym przez sławny z nauki uniwersytet w Cambridge porusza autor wiele zagadnień z dziedziny teologii i filozofii. Oto co pisze między innymi:

— Dzisiejsza fizyka i astronomia dowodzi niezbicie, że materia nie mogła istnieć zawsze; że świat został stworzony; że ta materia przedtem nieistniejąca, została powołana do istnienia przez niedającą się ludzkim rozumem objąć Inteligencję.

Kończy zaś swe rozważania słowami:

— Musimy przyznać, że nauka, rozpraszając ciemności, nie może jednak ostatecznie odpowiedzieć na pytania o bycie i przeznaczeniu ludzkości. To należy do religii!

— — — — —
Tak mówi wielka, uczciwa nauka XX stulecia. Tak mówić będzie zawsze, gdyż uczciwość inaczej mówić — nigdy jej nie dozwoli.

1935.

¹⁾ Por. «Stella Matutina», Roma 1935.

KOŚCIÓŁ A BIEDA

Jest czerwiec.

Trr... trr — trr... trr. — Telefon.

— Tutaj mówi NN, student uniwersytetu warszawskiego.

Czy ks. redaktor?

— Tak jest. Czym mogę służyć?

— Proszę księdza, przyjechałem niedawno do Zakopanego z Warszawy. Jestem w sanatorium X. Mamy tutaj pewną sprawę — czy mógłbym zjawić się dziś lub jutro u księdza? Chciałbym uzyskać pewne informacje...

— Bardzo proszę. O której godzinie?

Umówiliśmy się na czwartą, na jutro... Przyszedł punktualnie i opowiedział mi taką historię:

— Wczoraj przy stole mieliśmy mocną dyskusję. Jedna z naszych koleżanek znalazła podczas przechadzki w okolicy sanatorium strasznie biedną rodzinę. Obraz nędzy. Dzieci niemal nagie, obdarte, głodne, bez opieki... Brud, niechlujstwo skrajne. Zainteresowała się tymi nieszczęśliwymi. Ponieważ matka była na dworze, bo przepierała jakieś łachy, nawiązała z nią rozmowę. Okazało się że istotnie jest to rodzina nędzarczy... Pytała więc, czy dostają skądś jakąś pomoc... Kobieta wspomniała, że z jakiegoś katolickiego związku otrzymała całkowitą zapomogę w łącznej kwocie na rok 1.50 zł. Oburzona koleżanka opowiadała nam to wszystko i dowodziła, że katolicyzm zupełnie nie dba o biedę, że jest obojętny, egoistyczny, bez litości itd. Zdanie jej podzielało sporo akademików. Próbowałem bronić — daremnie. Ksiądz tu zna stosunki, proszę mi powiedzieć, czy ktoś pamięta o ubogich, czy możliwa taka suma zapomogi dla istotnie najnędzniejszych?... Tak mi bardzo na tym zależy, chciałbym coś odpowiedzieć.

— Proszę pana, w tej chwili oczywiście nie mogę panu dać żadnych informacji. Przypuszczam, że tu coś nie jest w porządku, ale postaram się dowiedzieć i dam panu znać telefonem za jakieś 3—4 dni.

— Bardzo będę wdzięczny...

Telefonuję wieczorem do jednej z pań, wybitnej i oddanej działaczki w Towarzystwie św. Wincentego w Zakopanem, podaję nazwiska, szczegóły i pytam, jak się ta sprawa

w Towarzystwie przedstawia. Otrzymuję obietnicę wyjaśnień. — Istotnie na drugi dzień telefon woła i... oto ta sama historia, ale z drugiej strony.

«Rodzina B. jest od szeregu lat w opiece Towarzystwa św. Wincentego. Jest istotnie bardzo biedna. Ale w tej chacie góralskiej mieszkają razem dwie rodziny: rodzice i zamężna córka z dziećmi. Oczywiście św. Wincenty wspomaga ich wszystkich jako całość, a pod nazwiskiem rodziców. I — to ważne — przy swoich skromnych środkach — wspomaga raczej od późnej jesieni do wiosny, niż w lecie, daje co tydzień bony na chleb, kaszę, czasem części ubrania. Owa kobieta przemilczała zupełnie to wszystko, podała tylko swoje nazwisko po mężu, spodziewając się oczywiście, że od obcej, litosćciwej letniczki uzyska łatwiej wsparcie... Robimy co możemy, na ile tylko pozwalają nam nasze składki, fundusze, ofiary»...

Przetelefonowałem to wszystko ucieszonemu akademikowi i wyobrażam sobie, z jaką miną powtórzył on całemu towarzystwu zdobyte przeze mnie informacje...

Ileż takich i podobnych sądów i podejrzeń, nieporozumień słyszy się dokoła i jak często spotykają się z nimi i nasi chłopcy, którzy nie mając pod ręką oczywistych dowodów, milczą może i nie umieją znaleźć żadnej odpowiedzi.

Na szczęście wskutek zmienionych warunków katolicyzm zerwał już dawno ze swą, dawniej uzasadnioną niechęcią do obliczeń i statystyk i dziś rozporządzamy sporym materiałem dowodowym i przekonywującym bezspornie, że Kościół nasz nie tylko współczuje z nędzarzami, nie tylko modli się za nich, ale z wysiłkiem wpaniałym, zadziwiającym spieszy im nieustannie z pełną miłości i oddania pomocą.

Po opisanym wyżej wypadku zacząłem bez specjalnego trudu gromadzić dowody charytatywnej działalności Kościoła i po krótkim czasie miałem ich pełną tekę. Nie ma tu miejsca na przedruk długich kolumn cyfr, zresztą znudziłyby one niejednego. Rzućmy więc tylko parę faktów i parę liczb.

W jednej tylko zimie r. 1931/2 katolicy niemieccy, dziś tak srodze prześladowani, jako obywatele gorszej klasy, zebrali i rozdali biednym 100,000.000 marek w gotówce (to jest 220 mil. zł.), rozdali 30,000.000 bezpłatnych posiłków, nie mówiąc o zdumiewających świadczeniach w naturze (431.000 cetn. ziemniaków, 46.000 cetn. zboża, 31.000 cetn. owoców, 22.000

cetn. jarzyn). Bezpłatna praca sióstr i braci zakonnych przeliczona na pieniądze wyniosłaby w budżecie państwa niemieckiego pozycję 150,000.000 marek. Możemy więc śmiało sumę ogólną pomocy Kościoła katolickiego w Niemczech w jednym tylko roku wyrazić kwotą pół miliarda marek (czyli z górą miliarda zł.)!

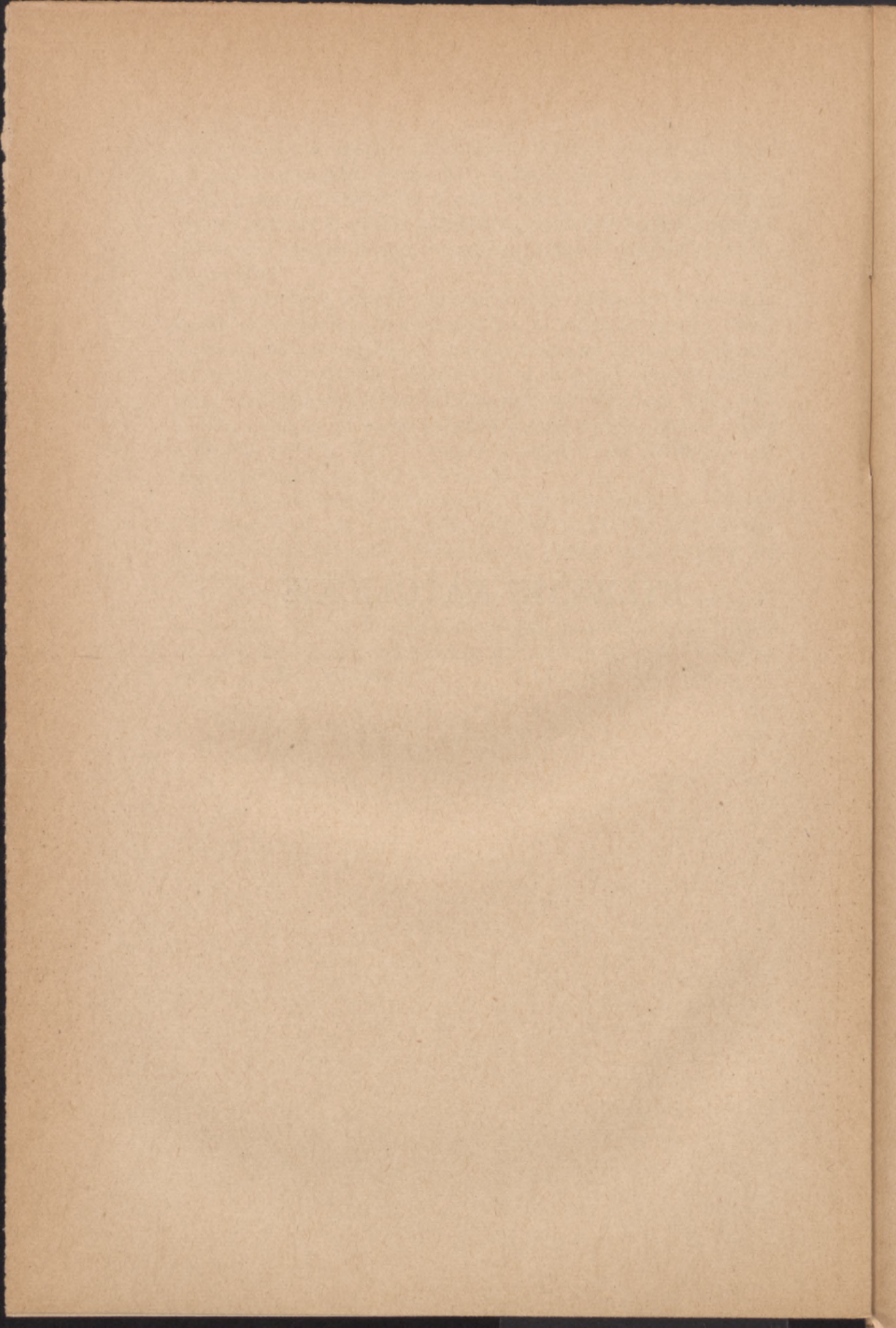
A oto parę danych z naszej Polski. Jedna tylko diecezja śląska zestawiała ofiarność katolicką w jednym tylko r. 1932. Duchowieństwo i klasztory wydały razem na biednych pół miliona złotych gotówką a 350.000 zł. w darach i naturze. Pomijamy inne pozycje, choć bardzo ciekawe. Podamy tylko całkowitą sumę tej pomocy, która wyniosła w tym jednym roku 2,500.000 złotych. Tyle musiałoby wydać na biednych na Śląsku państwo, zastąpił je Kościół.

Jest w Polsce 20 diecezji, nie wszystkie mogą tak działać jak katowicka, ale czy kwota jakichś 30,000.000 złotych dobroczynności katolickiej rocznie w Polsce całej byłaby za wielką? — nie sędzę.

Czy więc słuszne są zarzuty? Czy stawiać je na wiecach, w gazetach nie jest tą samą, odwieczną przewrotnością, z jaką się nas, katolików atakuje bez skrupułu? Pomyśl i rozważ młody katoliku-sodalisie!

1935.

SYLWETKI KATOLICKIE



LUDWIK PASTEUR

Było to 27 grudnia 1892 r.

W wielkiej, amfiteatralnej sali paryskiej Sorbony zebrał się delegaci Akademii Umiejętności, uniwersytetów i niemal wszystkich naukowych towarzystw Francji i zagranicy. Obok nich zasiedli dostojnicy senatu i parlamentu oraz wysłańcy szkoły normalnej, politechniki, szkoły centralnej, farmaceutycznej, szkół rolniczych i weterynarskich, niezliczone zaś tłumy studentów tych wszystkich szkół cisnęły się dokoła, na piętrach i galeriach. O godzinie 10^{1/2} kapela gwardii zagrała marsza triumfalnego, a oczom tych tłumów niezliczonych ukazał się prowadzony przez prezydenta republiki Ludwik Pasteur. Jego to urodzin siedemdziesiątą rocznicę czciła Francja i cały świat cywilizowany.

Rozpoczął się nieskończony niemal szereg mów uroczystych. Minister oświaty Dupuy tak kończył swe przemówienie: «Oby cię Francja przez długie jeszcze posiadała lata i mogła się przed światem szczycić tobą, jako godnym przedmiotem swej miłości, wdzięczności i chluby». Jako dar jubileuszowy zaś złożono wielkiemu uczonemu duży, szczerozłoty medal z jego artystyczną podobizną, sprawiony ze składek całego świata, istny dar międzynarodowy¹⁾.

Przed kilku tygodniami, znów dnia 27 grudnia²⁾ cała, rzec można, Francja, a z nią znów cały świat naukowy na obu półkulach, obchodził ze czcią 100-tną rocznicę urodzin wielkiego uczonego i wielkiego człowieka.

Hołd naszej pamięci niesiemy mu dzisiaj i my w sodalicjach naszej młodzieży. Dlaczego czytelnicy drodzy?

¹⁾ Por. «Życie Pasteura», wedł. René Vallery-Radot, Warszawa 1909.

²⁾ 1922 r.

Ludwik Pasteur to wielki, bardzo wielki uczony, to jedno z tych przejasnych światel, które Najwyższa Mądrość ręką Swą miłościwą zapala od czasu do czasu na firmamencie ludzkiej myśli i ludzkiego rozumu, niby te gwiazdy, które przed wiekami rozpałała nam na niebios firmamencie. Pasteur geniuszem swego rozumu, krok za krokiem, wytrwale, konsekwentnie wydzierał naturze jej najgłębsze tajemnice, stwarzając nowe gałęzie wiedzy, otwierając przed zdumionym światem nowe horyzonty, wprowadzając przewrót w niejedną gałąź nauki. Pasteur — to twórca mikrobiologii, czyli nauki o drobnoustrojach, które jak wiemy, są jednym z największych i najstraszniejszych wrogów ludzkości. Oto, co imię jego po wsze czasy niestartymi głoskami zapisało w dziejach nauki, co postawiło go tam, gdzie królują największe duchy ludzkiej mądrości. Śmiertelny wróg Francji, żelazny kanclerz Bismarck, słysząc, jak ktoś wychwalał Niemcy, iż górują nad wszystkimi krajami liczbą i powagą swych uczonych, zawołał: «Mylisz się pan, Francja ma Pasteura»¹⁾.

Przez olbrzymie swoje odkrycia wielki ten mąż stał się jeszcze może czymś więcej, stał się jednym z największych dobroczyńców ludzkości. Już za swego życia ocalił życie i zdrowie dziesiątek tysięcy ludzi, dziś cyfra ta urosła pewno w miliony. Straszliwy wróg człowieka, drobnoustrój już wytropiony, odkryty w swych niedosięgalnych dotąd kryjówkach, ubezwładniony wynalazkami surowicy (serum), które za przykładem Pasteura posuwają medycynę współczesną drogą coraz nowych triumfów.

Ludwik Pasteur to dalej wielki, gorący chrześcijanin. Niezapomnianą zostanie jego odpowiedź, jasna, męska, wspinała, dana tym, co w małości swego ducha śmieli dziwić się, jak tak wielki, przesławny uczony może być pełnym prostoty i wiary dziecięcej synem Kościoła... «Właśnie dlatego, odrzekł, iżem tak wiele rozmyślał i badał, zachowałem wiarę Bretończyka, a gdybym był jeszcze więcej badał i zastanawiał się, byłbym miał wiarę prostej Bretonki». Oddał on sprawie wiary niezmiernie doniosłą usługę, pierwszy najzupełniej dowodnie wykazując, iż wszelkie teorie samoródtwa, które tak chętnie

¹⁾ Por. «Les Amitiés Françaises Catholiques», nr 8, 15 décembre 1922. «Le Centenaire de Pasteur».

chciały ominąć dogmat Boga-Stwórcy i Jego aktu stworzenia, są w całej rozciągłości nienaukową mrzonką. A wiarę, którą w teorii najwyżej stawiał i szanował, wyznawał życiem całym i stwierdził swą prześliczną, katolicką, z krzyżem w dłoni, śmiercią. Na sławnym w świecie, wspaniałym instytucie naukowym imienia Pasteura w Paryżu widnieją na ścianie frontowej olbrzymimi literami wypisane jego złote słowa: «Szczęśliwy, kto nosi w sobie Bóstwo, — ideał piękności i daje się nim powodować, kto dąży do ideału sztuki, ideału nauki, ideału ojczyzny, ideału cnót Ewangelii». Uczcił też Kościół święty dziesięć rocznicę niezliczonymi nabożeństwami za duszę swego syna ukochanego, a jeden z najwyższych dostojników tego Kościoła we Francji, kardynał Dubois, arcybiskup Paryża ogłosił przepiękny list pasterski na dzień jubileuszu, w którym tak po prostu nazywa Pasteura «wielkim uczonym i wielkim chrześcijaninem» (Ce grand savant fut, en effet, un grand chrétien) ¹⁾.

A wreszcie ten sławny w świecie całym człowiek był w swym życiu zawsze serdecznym, gorącym przyjacielem młodzieży. Nikt nie umiał do niej tak płomiennie przemawiać, nikt nie czuł się tak dobrze, tak miło w jej towarzystwie, jak on. Kiedy w r. 1884 znalazł się wśród młodzieży akademickiej angielskiej w Edynburgu, gdzie wręczono mu wśród olbrzymiego entuzjazmu uczonych dyplom doktora, akademicy zaprosili go na bankiet osobno przez młodzież dlań wydany. Pasteur najchętniej przyjął zaproszenie i wzruszony przemówił do młodych: «Jak dawno pamięcią sięgam w mój męski wiek, nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek zbliżył się do studenta, nie powtarzając mu dwóch słów: «Pracuj i wytrwaj».

To też dziś polska młodzież katolicka, młodzież kształcąca się w szkołach średnich i dążąca wytrwale, szarą codzienną pracą, w promienną krainę wiedzy, młodzież gorąco i serdecznie przywiązana do wiary swych ojców, której Pasteur był głębokim wyznawcą, czerpie z wspomnienia setnej rocznicy jego urodzin potężne umocnienie w tej najwyższej wiedzy, która jest siostrą wiary, czerpie zapał do pracy nad umysłem i wolą i sercem, a łącząc się w duchu z bratnią, katolicką mło-

¹⁾ Por. «La Documentation Catholique», nr 179, 30 décembre 1922, p. 1295.

dzieżą drogiej Francji, wraz z nią chyli w czi głębokiej swe młode czoła przed jasną, promienną postacią jej wielkiego Rodaka.

1923.

FERDYNAND FOCH

*Bojowałem dobry bój, wiarym
dochował, zawodum dokonał, na
ostatek zachowan jest dla mnie wie-
niec sprawiedliwości, który odda mi
Pan, Sędzia Sprawiedliwy w on
dzień. (II. Tymot 4).*

Spod triumfalnego łuku napoleońskiego, od grobu Nieznanego Żołnierza, poprzez ulice i place stolicy Francji ruszył w ubiegłą niedzielę wielki i majestatyczny pochód żałobny...

Na armatniej lawecie, wśród poszumu zwycięskich, dziś kirem okrytych sztandarów francuskich, wśród bicia dzwonów i dźwięku trąb wojennych ziemskie szczątki marszałka Francji, Polski i Anglii ś. p. Ferdynanda Focha ruszyły w swoją ostatnią wędrówkę...

Otwarły się na oścież prastare wrzeciędzie katedry Notre Dame, przyjmując w mroczne głębiny świątyni zwłoki najlepszego Syna Kościoła katolickiego i najwierniejszego Syna Ojczyzny...

A w dniu wczorajszym... spoczęły one u boku cesarza Francuzów, Napoleona I, w otoczeniu marszałków i bohaterów wojennych Francji.

Żałobna wieść o śmierci Focha dotknęła do głębi serca polskie i wstrząsnęła polskimi duszami. Wielki Francuz był przecież wielkim człowiekiem i był wielkim przyjacielem Polski.

Za jego duszę złożyliśmy przed tronem Najwyższego przeświątą, Chrystusową Ofiarę, a przenosząc się w tej chwili duchem do jego grobu, chylimy czoło przed tym żołnierzem, co życiem swoim, zasadami swymi i płynącymi zawsze z zasad czynami stał się symbolem chrześcijańskiego rycerza — rycerza, jakiego stworzyło i wypiaستowało gorące i bohaterskie średniowiecze chrześcijańskie. Marszałek Foch wskrzesił go i od-

nowił po kilku wiekach — zamknął w swej osobie, w swej duszy nawskróś rycerskiej — i w tym jego wielkość!

W świetlanej jego postaci widzimy przedziwnie sharmozowane te wszystkie rysy, te wszystkie idee, które stworzyły nam rycerstwo — jeden z najpiękniejszych kwiatów na niwie dziejów rodu ludzkiego...

Czyż nie cechował rycerza chrześcijańskiego wysoki, idealny pogląd na świat i życie i ludzi, pogląd oparty niewzruszenie na odwiecznych zasadach Chrystusowej Ewangelii? Ten pogląd, który w największym rozkwicie rycerstwa umiał dokonać rzeczy prześlicznej, cudownej i jedynej w historii: spojć i złączyć ze sobą dwa najwyższe ideały życia: katolickie śluby zakonnej doskonałości w ubóstwie, czystości i posłuszeństwie z wspaniałym, rycerskim stanem i zawodem — dając nam rycerskie zakony!

Taki idealny, chrześcijański do głębi pogląd na świat posiadał marszałek Foch, chrześcijanin z całej duszy, od przecudnych tradycyí swego katolickiego, rodzicielskiego domu, poprzez zakonną szkołę, poprzez całe życie do swej ostatniej na ziemi komunii...

Jeśli kto z wielkich ludzi współczesnych, to on mógł z chlubą wyrzec o sobie wielkie słowa Pawłowe: *Non erubescó Evangelium* — *Nie wstydam się Ewangelii* (Rzym 1, 16). Ileż razy widziano go, jak na niedzielnej mszy św., której nigdy nie opuszczał, wyciągał spod generalskiego munduru swą starą, wytartą, żołnierską książeczkę do nabożeństwa i całą duszą zatapiał się w modlitwie... W czasie podróży do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, która stała się dla zwycięzcy z wielkiej wojny istic królewskim, triumfalnym pochodem, po uroczystym przyjęciu na dworcu, pierwsze swe kroki kierował do kościoła przed Najświętszy Sakrament, a pierwszą wizytę składał katolickiemu biskupowi!

Gończy czciciel Niepokalanej Panny Marii i dwóch wielkich świętych dziewic Francji — Joanny d'Arc i Teresy z Lisieux, jakże żywo i tutaj przypomina nam rycerską cześć i głębokie, chrześcijańskie poszanowanie ideału niewieściego, który w blaskach średniowiecza jawił się w aureoli matki i żony, a odbijał w sobie niedościgłą chwałę Matki Boga-Człowieka...

Rycerza chrześcijańskiego cechowało zawsze wysokie poczucie rycerskiej czci, niezłomność charakteru i zasad, niezachwiana, zaprzysiężona w dniu pasowania wierność władcy, zarówno Temu, co rządzi w niebiesiech, jak i Pomazańcowi Pańskiemu na ziemi.

Wczytując się w karty żywota zmarłego marszałka, z głębokim wzruszeniem w każdym okresie, w każdej chwili jego życia odkrywamy te przepiękne rysy jego żołnierskiej duszy. Wierny Bogu i stąd czerpiący wierność dla ojczyzny, dla rządu, który nieraz pewno ranił jego najdroższe uczucia i wierzenia; stąd czerpiący zawsze tę niezrównaną moc ducha i podziwu godny spokój w najgroźniejszych momentach i decydujących sytuacjach, męską konsekwencję, energię, niebywałą i zdumiewającą siłę ducha.

A wreszcie obowiązek obrony słabych i uciśnionych, znów jako ideał z Ewangelii Jezusowej poczerpnięty, to trzeci i ostatni naczelny rys chrześcijańskiego rycerstwa, co stał się jego puścizną duchową po długie, długie wieki dla wszystkich prawdziwych wodzów i żołnierzy, jednając im aureolę uznania, sławy i wdzięczności.

Nie mogło braknąć rysu tego w duchowej sylwecie Focha! Więc gdy uciśniona srodze ojczyzna, zagrożona i spustoszona potem pruskim najazdem woła, Foch idzie, bo w jej wołaniu słyszy głos matki krwawiącej się na olbrzymich frontach, słyszy głos milionów francuskich sierót i wdów zalewających się łzami przy łóżach śmiertelnie rannych ojców i synów, mężów i braci, grzebiących najlepsze syny w grobach wojennych okopów, bez znaku... bez śladu... bez pamiątki... I spieszy — i w wieku, który niemal wszystkim daje już chleb dobrze zasłużonego spoczynku — w chwili decydującej o losach Francji i Europy, przyjmuje na swe barki brzemię niesłychanej, ostatecznej odpowiedzialności. Przyjmuje. Idzie z Bogiem. I zwycięża. Wielki w tym zarówno dla współczesnych, jak dla potomnych.

Ale ten chrześcijański rycerz XX wieku był przy tym wszystkim gorącym, szczerym przyjacielem Polski. Umiłował naród nasz i ojczyznę naszą tą szlachetną duszą francuską, która tyle ma wspólnych rysów z polską duszą, symbolizując

w stopniu najpiękniejszym i uosabiając w sobie odwieczną przyjaźń dwóch wielkich narodów. Czasu bolszewickiej nawały śledził losy nasze wzrokiem wodza-sojusznika i wspomagał nas wszędzie swoim wielkim wpływem i — można rzec — ogólnie już światowym znaczeniem wobec nieczulej i nie umiejącej patrzeć i rozumieć grozy dnia Europy. Przed laty sześciu nawiedził nas, a jako przyjaciel węzłami wiary katolickiej, ducha rycerskiego i dziejowej tradycji z nami związany, nie szczędził słów i życzeń i rad, jak rozkaz dzienny krótkich i jasnych i jak rozkaz płomiennych:

— Niech nikt z was nie kładzie osobistego dobra i szczęścia przed dobrem wspólnym narodu...

— Hasłem waszym niech będzie: ład społeczny i praca wyteżona przede wszystkim!

— Cały naród niech staje dziś do zgodnej pracy!

Oto jego słowa z czasu niezapomnianych dla nas w Polsce odwiedzin!

A w rozmowie z biskupem polskim nie waha się z całym zapalem, z entuzjazmem wprost twierdzić, że celem i posłannictwem Polski, że racją dziejową jej bytu jest kruszyć zło moralne, a wznosić i szerzyć królestwo dobra... Jakże dziwnie bliski w tych słowach naszych wielkich wieszczów narodowych, przed innymi Mickiewicza i Krasińskiego!

Te słowa mądre i głębokie — to Focha dla Polski testament! To dziś dla nas głos przyjaciela zza grobu! Chowajmy je wiernie w pamięci i sercu. Zamieniajmy je w czyn, wielki czyn narodowy na każdy dzień, na pożytek dusz naszych, na chwałę Boga Najwyższego, na chlubę Polski!

A duszę wodza i bohatera, który je nam wyrzekł i ostawił, polecajmy Bogu, Królowi wieków i ludów...

— — — — —

Niechże cię Pan — żołnierzu serdeczny — któryś *bojował dobry bój...*, któryś *dochowwał wiary ojców* i świetnie *dokonał zawodu żywota*, nagrodi *wieńcem sprawiedliwości!*

Niechże cię w podwoje ojczyzny niebieskiej wprowadzą wielcy święci i wielkie, tak czczone przez ciebie, święte ojczyzny twojej ziemskiej...

Patronko paryskiej stolicy — święta Genowefo, przyjmij u progu nieba duszę obrońcy twojego Paryża...

Krzyżowych wypraw ostatnich wodzu, Ludwiku święty, królu i patronie francuskiej ojczyzny..

Dziewico Orleańska, bohaterko i opiekunko Francji...

I ty, przesłodka, karmelitańska dziewczeczko, Tereso z Lisieux, prowadźcie duszę waszego czciciela i sługi — pośród anielskich chórów do stóp Przczystej Panny, Niepokalanej Dziewicy z Lourdes — opodal którego stała jego kolebka — a naszej Częstochowskiej i Ostrobramskiej Pani — Francji i Polski Królowej... na odpocznienie po żołnierskim znoju i trudzie, na wytchnienie i pokój wiekuisty¹⁾.

1929.

DZIEWICA ORLEAŃSKA

(W PIĘĆSETLECIU ZGONU 1431—1931)

— «...Już się ma pod koniec starożytnemu światu... Wszystko, co w nim żyło, psuje się, rozprzega i szaleje... Bogi i ludzie szaleją. A jako Jowisz, pan na niebie, tak Rzym pan na ziemi, kona i szaleje...»

Tymi słowy genialny autor «Irydiona» zaczynał wspinały swój prolog, kreśląc tło historyczne dla wielkich zdażeń poematu...

Istotnie — Rzym szalał i konał. Na północnych granicach imperium burzyły się potężne plemiona germańskie, od wschodu nadciągała straszliwa burza wędrowek narodów, świły lony i pożogi najazdu Attyli, pękały z trzaskiem więzy łączące metropolię cesarstwa z prowincjami, a tymczasem wewnątrz szalała zaraza moralna, ginęło życie rodzinne, zamierała etyka indywidualna i społeczna... Rzym konał.

Minęło tysiąc lat i znowu zdały się rozbrzmiewać nad światem, ale innym już — słowa wieszczego Zygmunta:

— ...Już się ma pod koniec średniowiecznemu światu. Wszystko, co w nim żyło — psuje się, rozprzega i szaleje...

Przerażający istotnie obraz przedstawia nam Europa chrześcijańska u świtów XV wieku.

Ostoją prawdy i etyki, Kościołem Chrystusowym, wstrzą-

¹⁾ Kazanie na nabożeństwie żałobnym 27 marca 1929 r. w Zakopanem, drukowane w miesięczniku «Pod znakiem Marii».

snęła straszliwa schizma zachodnia, rozdzierając całodzianą szatę Chrystusową na dwa, a nawet trzy kawały i pod samą nauką Bożą ryły i kopały opokę groźne religijnie i społecznie herezje Wiclefa i Husa... Stary ustrój gospodarczy walił się w gruzy nie bez zapowiedzi głębokich wstrząsów społecznych... A od Wschodu szła, błyskając gromami, nawała turecka... janczarskie szeregi stały już... już... na przedmurzach Konstantynopola...

Od zewnątrz i od wewnątrz szło ku chrześcijaństwu nieuchronne zda się konanie. A w takiej chwili i w takiej grozie dwa stare państwa katolickie, dwie potęgi zachodniej Europy od 100 lat krwawiły się w walce, zczepiwszy się ze sobą na jakiś bój obląkańczy. Anglia i Francja toczyły wojnę stuletnią. Polityczne i narodowe, dynastyczne i ekonomiczne interesy spętały się w jakiś straszliwy węzeł nie do rozwikłania, nie do usunięcia...

Trzeba było cudu, aby w chrześcijaństwie Zachodu zapanał pokój i zgoda.

I stał się cud!

Przed zgnębnym, niekoronowanym jeszcze królem Francji, któremu strzepy tylko zostały już wspaniałej ojcowizny w rękę, przed upadłą zupełnie na duchu drużyną wodzów francuskich stanęło 6 marca 1429 roku 17-letnie dziewczę wiejskie z Domremy... Boże widzenia i Boże głosy, jak mówiła, przywiodły ją do królewskiego obozu. I była w tym dziecku niemal istotnie Boska, cudowna moc. Uznano ją. I Joanna z mieczem w rękę staje na czele Karolowej drużyny. Dnia 29 kwietnia pada Orleans, wyzwolony z angielskiej przemocy, pada Auxerres, Troyes, Chalons, Reims, w którego prastarej katedrze koronacyjnej królów Francji odbywa się koronacja króla — do niedawna tułacza, omal nie wygnańca...

Kraj cały się dźwiga, idzie po nim Boży zew bohaterskiej Dziewicy, kończy się wkrótce wojna 100-letnia pokojem i zgodą. Joanna pieczętuje ją swoją bohaterską i męczeńską śmiercią 500 lat temu z ręki zaprzedańczego trybunału poniesioną.

Dzisiaj święcimy jej rocznicę, czcząc dziewczę orleańskie już nie tylko jako bohaterkę drogiej nam Francji, ale jako świętą, kanonizowaną najwyższą powagą Chrystusowego Namiestnika.

Patrząc na wielkie, potężne postacie, które na wieki zapisały się w pamięci całej ludzkości, przyznać musimy, że podziw w nas budzą wielcy władcy i wodzowie, uwielbienie — wielcy bohaterzy, zdumienie — myśliciele, mistrzowie pędzla czy dłuta — ale miłość, oddanie się, entuzjazm budzą zawsze tylko te wielkie duchy, te wielkie postacie, które opróżniły blask ideału i wiernej do ostatniego tchu — służby ideałowi.

Taką właśnie jest Joanna d'Arc!

Idzie za głosem Bożym i poświęca się do ostatka. Służy Bogu, służy ojczyźnie, służy narodowi... I przeto porywa nas ku sobie, entuzjazmuje, rozplómienna...

Bije z niej cała potęga i urok, tego, co zawsze wzrusza serce ludzkie — potęga i urok młodości. Oblewa ją nadziejskie światło nieskalanej, śnieżnej czystości, idzie od niej zachwycające tchnienie najidealniejszego, wiekuistego dzieciństwa...

Przedziwne zrzędzenie Opatrzności Bożej, czuwającej zawsze w tajemniczy sposób nad losami świata i ludzkości, stawia nam właśnie dziś przed oczy i na ołtarzach Joannę d'Arc, aby była wzorem, aby była patronem, aby była wodzem ludzkości chrześcijańskiej, która dziś, właśnie znowu przeżywa chwile i dni, o których zda się znów za Krasińskim można powtórzyć:

— Już się ma pod koniec chrześcijańskiemu światu... Wszystko, co w nim żyło, psuje się, rozprzęga i szaleje...

Chwieje się wiara, pękają z trzaskiem fundamenty etyki, wali się w gruzy życie rodzinne, szerzy się jako pożar nienawiść narodów, państw i warstw społecznych. Przemoc zła, terror zbrodni wypełza z podziemi i próbuje panować... Idą przez strwożony świat podziemne grzmoty ciągle zapowiadanej, najstraszliwszej z wojen świata, świecą błyskawice społecznych i gospodarczych przewrotów... A tam — u wschodniej bramy Europy pali się czerwona łuna nad Kremlem i buchają płomienie, sypiąc skrami najstraszliwszego pożaru...

Czy stanie się cud?

Czy ześle Bóg ludzkości drugą Orleańską Dziewicę?

Nie wiem i nie śmiem prorokować...

Ale w tej nocy udreki i cierpienia, która zalała świat, w tych pomrukach zbrodni i zguby idącej ku nam, w tym zwątpieniu i upadku ducha ogarniającym nawet najtęższych...

słyszę ciche echa jakowejś nadzieicznej pobudki... Dostrzegam jakieś przedzierające się przez ciemność poświaty... Widzę rosnące gromady dusz — wpatrzonych w ideał Joanny d'Arc.

To młodzież!

Młodzież, która idzie dziś mimo wszystko w życie z całą swą młodością potęgą, młodzież, która wierzy i kocha, młodzież, która chce być czystą i dziewiczą, bo wie, że tylko czystości i dziewiczy — jako opanowani i potężni, odrodzą ludzkość i świat.

Niech im przewodzi Joanna!

Niech ich wiedzie z Chrystusowym mieczem w rękę na zdobycie twierdzy ciemności i zła, niech im uprasza niezłomną wiarę w zwycięstwo Prawdy, Dobra i Piękną, niech krzepi w walce i znoju o czystość własnych dusz i duszy narodu i niech im pozwoli temu narodowi, tak łatwo i tak szybko upadającemu w zniechęcenie, niewiarę, zgnębienie — śpiewać i głosić i dzwonić młodzieńcze, potężne, zwycięskie — SURSUM CORDA!

1931.

X. ADOLF KOLPING

APOSTOŁ MŁODZIEŻY

Pamiętam — przed laty z górą dwudziestu — wpadła mi do ręki książka, którą pochłonąłem niemal jednym tchem, a potem przygotowałem z niej kilka pogadanek dla grupy krakowskich czeladników, z którymi łączyły mnie serdeczne więzy pracy społecznej. Zda mi się, że widzę ich jeszcze zebranych wieczorem, po robocie, w szczupłym lokalu, zasłuchanych całą duszą w słowa tych przyjacielskich pogadanek o człowieku, który pokochał ich twarde życie, ich dolę i niedolę, który ich rozumiał i znał, jak nikt — o księdzu Adolfie Kolpingu.

I już nieraz miałem zamiar w naszym piśmie zwrócić uwagę polskiej młodzieży szkolnej na tę postać świetlaną. Niestety zawsze brakowało albo mnie czasu, albo łamom miesięcznika potrzebnego miejsca.

Odwiedzenie grobu ks. Kolpinga w czasie tych wakacyj przypomniło mi z całą siłą dawno żywione zamiary, poru-

szło po raz drugi głęboko dla niego żywione uczucia — i oto postanowiłem na karty naszego drogiego pisma rzucić garść szczegółów z życia tego niepowszedniego kapłana i człowieka.

Na ulicach Kolonii widziałem autobus z napisem Köln-Kerpen... Małe to miasteczko opodal nadreńskiej stolicy, to miejsce rodzinne Kolpinga. W roku 1813 w samo święto Niepokalanego Poczęcia, wśród huku dział napoleońskich bojów, mających zamknąć już wkrótce wielką epopeję, jako najmłodsze dziecko biednej, ale bardzo zacnej, uczciwej rodziny ujrzał on światło dzienne. Ojciec był pasterzem owiec w wielkich dobrach ziemskich, cała rodzina przeto musiała ciężko dorabiać pracą na utrzymanie licznej gromadki dzieci. Wątki od urodzenia, słabowity Dolek z natury rzeczy trzymał się matki, którą wprost uwielbiał. Skromna, uboga kobieta, mądra tą roztropnością, którą Bóg zakrył przed wielkimi, a objawił małuczkim, została na całe życie Adolfa symbolem, któremu się nigdy, nigdy nie sprzeniewierzył.

Jakże piękną apostrofą odzywa się do tej umiłowanej, zmarłej już matki w jednym ze swoich artykułów:

«Iżes mnie macierzyńską otoczyła troską, gdym już dorastał, a pęd wewnętrznego powołania porywał mnie z dala od rodzinnego domu ku moim przeznaczeniom, iż twoja opieka, nieustannie o sobie zapominając, jak przystało prawdziwej matce, nie opuściła mnie ani na chwilę aż do Twego zgonu, za to Ci Matko jeszcze w grobie dziękuję. Twoje serce umiało moje serce uczynić czułym i ciepłym, bez Ciebie było by ono zapewne twardym i zimnym, gdy się wśród samolubstwa obcych ludzi znalazło... Twoja miłość, Matko, błogosławiona, została mi na długie, pełne przejść ciężkich życie, skarbem najcenniejszym...»

Chłopca zapisano do szkoły. W Jakubie Statz'u, miejscowym nauczycielu znalazł on godnego siebie przewodnika, o którym w późne jeszcze lata odzywał się z największą wdzięcznością. Pod jego umiejętną ręką zbudził się w małym chłopczynie dziwny pęd do nauki, do studiów, który miał się tak bezlitośnie rozbić o twardziznę ubóstwa jego rodziny... A przecie mimo wszystko nie zginął, nie zamarł... Zda się, jakoby ożywiały go nieustannie tajemnicze, prorocze słowa umierającego kerpeńskiego starca-proboszcza, który małego Kolpinga wnet po jego pierwszej komunii świętej zawoławszy do swego

łóża, głęboko patrząc, w jego czyste oczy, rzekł: «Błogosławię cię, moje dziecko. Bóg zdaje się zechciał cię wybrać do wielkich rzeczy».

W 14 roku życia opuścił Adolf swą ulubioną szkołę i na życzenie rodziców wstąpił na praktykę do majstra szewskiego... Sny młodości zdawały się rozwiewać bezpowrotnie...

Terminator, potem czeladnik na drewnianym trójnogu spędza pracowite dni najpiękniejszych lat swoich w różnych warsztatach. Ale nie przestaje myśleć, rozważać, zastanawiać się, do czego zawód szewca tak szczególnie człowieka, przywiązanego godzinami do jednego miejsca, usposabia. I nie przestaje czytać. Majstrowie skarżą się na to pożeranie książek przez Kolpinga, ale uznają, że nigdy przez nie nie zaniedbuje on swych obowiązków...

Dwudziesty rok życia przynosi mu cios przebolesny. Traci na zawsze ukochaną matkę. Niedługo przed tym przenosi się do warsztatu w Kolonii, pragnąc w wielkim mieście doskonalić się w swym zawodzie i równocześnie ułatwić sobie dalsze samokształcenie.

Pobyt w Kolonii otworzył Kolpingowi oczy na duchową nędzę niemieckiego czeladnika. Spotkał on się tutaj z objawami takiego zepsucia, upadku moralnego, niewiary, pracy w niedzielę, by w «niebieski poniedziałek» nieprawnie zarobiony grosz przegrać i przehulać, że zadrżał z bólu i czuł się do samej głębi wstrząśnięty. Nikt, literalnie nikt nie troszczył się o tę, jakby wydziedziczoną w społeczeństwie warstwę młodych. Co najwyżej policja wkraczała karnie, gdy nieprawość stawała się publicznym zgorszeniem, lub jawną nieuczciwością. Podobnie majstrowie, tak chętnie dodający sobie nieraz na szyldach dopisek: paryski, zupełnie nie dbali o moralny poziom swych pracowników. Kolping czuł się bardzo nieszczęśliwym i najzupełniej osamotnionym; wszak nie mógł żyć, jak tamci, a nie żyjąc, odłączał się od nich i stawał się im zupełnie obcym...

Cierpiał więc, a w tym cierpieniu zbudziło się w duszy jego czyste uczucie dla pewnej, zacnej panienki, którą poznał w tym czasie tak ważnym i niebezpiecznym dla niego. W pamiętniku swoim wyznaje szczerze, jak ta szlachetna w pełnym słowa znaczeniu miłość, uchroniła go od upadku w bagno zepsucia, o które każdego dnia się ocierał. Szlachetna to mu-

siała być dusza kobieca, która duchowo podtrzymywała Adolfa w zmaganiu się z najgorszymi wpływami, która rozżarzała w nim postanowienie zmiany powołania, choć aż nadto dobrze wiedziała, że przez to właśnie straci go na zawsze...

I myśl poświęcenia się Bogu na służbę ołtarzy coraz silniej, coraz wyraźniej poczyna nurtować w młodym czeladniku szewskim. Zaiste w 22 roku życia mogła się ona niejednemu wydać szaleństwem. Ale czy Bóg, jak pisze Szczucka, nie ma na tej ziemi swoich «szaleńców»?

Jednym z nich niewątpliwie był Adolf Kolping!

Zamykał się w sobie, milczał i modlił się gorąco, nieustannie o moc wiary, o siłę woli, o potęgę wytrwania. Na jakiś czas, szukając rady, wybrał się w rodzinne strony.

Proboszcz jego wioski rzucił mu twarde słowo: gdyś szewc — patrz swego kopyta! Za to ojciec dodał mu odwagi i otuchy.

Nasz czeladnik wraca do Kolonii. Cały dzień spędza na trójnożnym, drewnianym stołku przy kopycie, ale marzy o chwilach wieczoru i nocy, które ma innej pracy poświęcić... A gdy od warsztatu głowę podnosi ku okienku małemu, z którego ledwo widać kawał przeciwległego domu, z goryczą stale spostrzega tam w oknie jakiegoś nudzącego się nad książkami, gimnazjalnego leniwca...

Nabywa za ciężko zapracowany grosz lacińską gramatykę i sam bez czyjejkolwiek pomocy mozoli się w swej ubogiej izdebce w długie, nocne godziny nad jej — jakże dla niego, niemal analfabety tutaj — zawilými formułkami.

O! Sodalisi drodzy, ilekroć wam pokusa lenistwa podsuwa wstręt do książki, ilekroć zbliża się do was myśl o zlekceważeniu obowiązku, o rzuceniu pracy dla przyjemności — wspominajcie tego biednego szewca przy lojowej świecy, poświęcającego chwile niemal koniecznego po ciężkiej pracy wy poczynku studiom łaciny, temu najtrudniejszemu może samouctwu — i z nową energią chwytajcie za pług codziennej waszej, w jakże odmiennych warunkach, prowadzonej roboty!

Kolpingowi bywa przy niej ciężko, och jak bardzo ciężko! — ale tam, gdzieś w przyszłości, jak we mgle świeci mu stuła kapłańska i kielich Chrystusowy... Więc krzepi się i jak w gwiazdę trzechkrólową wpatrzony, zwalcza śmiertelne zmęczenie i senność i brak podstaw i trudności i — w pół roku

po rozmowie z nielitościwym, zda się, proboszczem, staje przed nim z prośbą o... łaskawe przeegzaminowanie go z łaciny.

Zdumiony kapłan, zmienia z miejsca swe stanowisko, obiecuje serdecznie pomoc, zyskuje mu przyjaciół i dobrodziejów i w jesieni 1837 roku czeladnik szewski, Adolf Kolping, zdawszy pomyślnie egzamin, zostaje przyjęty do piątej klasy gimnazjum w Kolonii.

Radość zalewa mu serce... Idzie z nową energią w przyszłość, którą sam Bóg przed nim otwiera...

I jak się też wiodło naszemu Adolfowi w gimnazjum?

Nieświetnie oczywiście!

Dwudziestoczeroletni — więc dojrzały już człowiek — między 14-letnimi chłopcami, poddany rygorowi praw i ustaw szkolnych, skazany na wyężdżającą pracę naukową, do której jeszcze ciągle brakło mu należytych podstaw — a przy tym wszystkim biedny, naprawdę bardzo biedny... Choć go zwolniono od czesnego, choć tu i ówdzie znalazł się szlachetny dobroczyńca — życie szkolne Kolpinga nie szło różaną ścieżyną...

W walce o chleb codzienny zdierał swoje i tak niezbyt wielkie siły fizyczne, całymi popołudniami udzielał korepetycyj słabszym uczniom niższego gimnazjum, noce poświęcał własnym lekcjom, a raniutko — słuchajcie — wczas raniutko zrywał się, by za pewną, umówioną opłatą — budzić i ściągać z łóżek leniwych kolegów-śpiochów. To też już w roku 1838 zjawił się u niego straszny gość — pierwszy krwotok płucny, a w dzienniczku szewca-studenta te smutne pisały się słowa: «Doświadczyłem, co znaczy nosić w piersi własnej zapowiedź śmierci. Potoki krwi z chorego płuca nie mogły mi chyba co innego obwieszczać...»

Ale zaraz poniżej jakże cudowna z tej chorej piersi bije w niebo modlitwa:

— O, Pani! Tyś już dwukrotnie mnie w życiu wyratowała! Wierzę, że nie opuścisz mnie, póki na stopniach Twego ołtarza nie upadnę i z nadmiaru wdzięczności nie zawołam: Dzięki Ci, o Przenajświętszy! Amen!

Nie będzie tu chyba zbyt cennym, przeciwnie nawet bardzo pożytecznym dla naszych sodalisów, przyszłej inteligencji polskiej, przytoczyć z dziennika Kolpinga jeden jeszcze urywek, w którym niezwykle głęboko i trafnie ujmuje pojęcie tak

zwanego człowieka inteligentnego i jego stanowiska w społeczeństwie:

«Przez człowieka wykształconego rozumiem człowieka, który przez swą wiedzę wznosi się ponad szary tłum, który życie swe poświęca dążeniu do coraz wyższej inteligencji, który działa, nie po to, by spełnić formalną stronę czynu, lecz by pokazać, że działa z przekonania, z przeświadczenia głębokiego, że tak, a nie inaczej działać należy. Kłamstwo w słowie ma być dlań tak samo wstrętne, jak obłuda w działaniu, a myśleć winien zawsze nie tyle o sobie, ile o powołaniu, które w życiu ma spełnić. Rozważa on głęboko tak zakres swego działania i obowiązków, których wypełnienia żądają wrodzone mu zdolności, jak i słów, które wychodząc z ust jego, plenią się bujnie i żyją — o ile prawdziwą w sobie posiadają wartość».

I przyszedł już na ławie szkolnej czas, w którym Adolf miał okazać, że te słowa nie były pustym frazesem.

Dawny towarzysz Kolpinga, jakiś czeladnik szewski w Kolonii zapadł na czarną ospę. Nasz student pobiegł w tej chwili do niego i znalazł go gdzieś na poddaszu, w skrajnej nędzy i opuszczeniu. Nieszczęsny nie miał rodziny ni krewnych, a mieszkańcy domu obawiali się zakażenia straszną chorobą. Napróżno koledzy i profesorowie ostrzegali... Napróżno wskazywali na możliwą przerwę, a nawet stratę tak drogo okupionych studiów. Kolping na wszystko miał jedną odpowiedź świętą, bohaterską: «Moja pomoc jest tam konieczna. Więc muszę ją dać. O resztę Bóg się zatroszczy!»

Nie opuścił więc ani na chwilę biedaka. Otoczył go najczulszą opieką, przygotował na śmierć i jak brat zamknął mu oczy. Jeszcze nie zaczęły się na dobre bliskie wtedy wakacje, gdy sam Kolping legł, zarażony śmiertelną ospą. Przetrwał ją cudownie, ale jak stygmaty bohaterstwa na całe życie — ostały mu blizny na zeszpeconej twarzy...

Po wyteżonej pracy w gimnazjum, trwającej zamiast ośmiu — półczwarta roku — Adolf Kolping złożył egzamin dojrzałości. A tuż przed maturą, w zimie 1840 roku przeżył dziwne zdarzenie, które miało odbić się w nie małym stopniu na jego całej przyszłości.

Oto w pewną, mroźną noc zimową otrzymał on list, pisany obcą mu ręką kobietą, nieopatrzony żadnym podpisem, a wzywający go usilnie, by natychmiast pospieszył do umierającego człowieka. Zawahał się Adolf na chwilę, szybko jednak ujrzał w tym swój obowiązek i pobiegł zaraz pod tak niezwykle wskazanym mu adresem.

W jakimś starym domu, po karkołomnych schodach wspiął się aż na poddasze i tam — ujrzał młodego człowieka... już w agonii. Przy łóżku konającego klęczała jakaś pani. Gdy Kolping wszedł do izdebki podniosła się szybko, a nasz student w tej samej chwili poznał w niej ze zdumieniem córkę właściciela włości, u którego niegdyś jego ojciec służył jako pasterz owiec. Młoda owa osoba podała mu rękę na powitanie i rzekła:

— Dziękuję panu za przybycie. Ja tu nie mogę, niestety, już dłużej pozostać. Dlatego proszę pana serdecznie, byś mu przyniósł pomoc w godzinę śmierci i postarał się potem dla niego o uczciwy, chrześcijański pogrzeb. Kiedyś — później otrzyma pan wyjaśnienie wszystkiego...

Młoda kobieta odeszła natychmiast. Kolping zbliżył się do łoża chorego i z rosnącym zdziwieniem poznał w nim kleryka z swej własnej, rodzinnej wioski, który przez nieszczęsny nałóg pijaństwa stracił powołanie, włóczył się długo z miejsca na miejsce i upadał coraz niżej w otchłań zepsucia... Nie opuścił go więc w chwili śmierci, pocieszał, jak mógł — a potem dopełnił wszystkiego według życzenia tamtej osoby.

Minęła zima. W lecie znalazł się Adolf, wówczas już maturzysta, na wakacjach w rodzinnej chacie. O zdarzeniu zimowym zapomniał zupełnie. Aż tu pewnego dnia córka właściciela dóbr zjawiała się w jego domu i poprosiła go, aby zechciał jej na chwilę towarzyszyć. Wyszli nieco za wieś, aż do kamiennego krzyża, stojącego na granicy majątku ojca młodej panny, krzyża, przy którym na Boże Ciało ustawiano ostatni ołtarz... Tu kapłan Najświętszym Sakramentem udzielał zawsze błogosławieństwa ludowi... Młoda kobieta zatrzymała się z widocznym wzruszeniem i wyjaśniła Kolpingowi tajemnicę zimowej nocy.

Umierający wówczas nieszczęśliwy eks-kleryk, po opuszczeniu seminarium duchownego znalazł w domu jej ojca zajęcie, jako korepetytor młodszego rodzeństwa. Wtedy to ona

powzięła dla niego szczerą i głęboką skłonność serca, którą zachowała dlań nawet wtedy, gdy ojciec wskutek pijaństwa wypowiedział mu posadę. Jakkolwiek wiedziała doskonale, że już przed tym i z zupełnie innych powodów stracił on łaskę kapłańskiego powołania, to przecież sama myśl, że przez swe uczucie ona także może zaważyła na dziejach jego duszy, zaciężyła jej głęboko na sercu. Dlatego też, gdy doszła ją wiadomość o ciężkim stanie drogiego jej człowieka, pospieszyła bez namysłu do łóża umierającego. Gdy zaś zostawiwszy tam Kolpinga, wracała w nocy do domu, tu właśnie, u tego krzyża padłszy w śnieg na kolana, złożyła Bogu ślub, że za spokój jego duszy i na przebłaganie za jego winy, postara się z własnych środków ułatwić uniwersyteckie studia teologiczne jakiemuś ubogiemu studentowi. «Otóż ponieważ pan — kończyła głęboko wzruszona swoje opowiadanie — zamysłasz poświęcić się służbie Bożej, a znasz już dobrze całą tę, tak smutną historię, proszę, abys zechciał przyjąć tę pomoc ode mnie».

Pomoc przychodziła Kolpingowi istotnie z nieba! Była ona dlań równoznaczna z uwolnieniem od tysiąca trosk i kłopotów materialnych, gniotących go od lat bez litości. Mimo wszystko jednak, przyjął ją dopiero wówczas, gdy młoda kobieta zapewniła go najuroczyściej, że godząc się na jej życzenia, zachowa najzupełniejszą niezależność i wolność na chwilę obecną i na zawsze.

A nasz przyszły kapłan mógł istotnie całym sercem już owego pamiętnego dnia śpiewać *Te Deum*... Wolny od troski o chleb powszedni, zaopatrzony w środki na uniwersyteckie studia, mógł teraz różnym krokiem zdążać ku wymarzonemu, wysnionemu ideałowi Chrystusowego kapłaństwa... I jeszcze jedno marzenie mógł spełnić — wybrać wszechnicę w mieście, które było jego najgłębszym pragnieniem — w stolicy katolickiej Bawarii, w Monachium.

Dnia 3 marca 1841 znalazł się Kolping w upragnionym tak gorąco Monachium i pod kierownictwem znakomych, ówczesnych profesorów tamtejszego, królewskiego uniwersytetu rozpoczął studia teologiczne. Mimo, że pożerała go wprost tęsknota za ojczystą Nadrenią, oddawał się nauce z zapałem, który mu wnet zyskał uznanie i poważanie profesorów. Każdą wolniejszą chwilę poświęcał zwiedzaniu zabytków i niewyczerpanych skarbów sztuki starej, bawarskiej stolicy.

W tymże roku w lecie, dzięki pomocy swej dobrodziejki mógł podjąć daleką, pieszą wędrówkę, w której, w towarzystwie swych najbliższych przyjaciół, artysty malarza Müllera i akademika Schillera zwiedził Tyrol i dotarł aż do Wenecji.

Po półrocznym pobycie w Monachium musiał opuścić tamtejszy uniwersytet i dalsze studia prowadzić w nadreńskim Bonn, gdzie uczył się aż do marca 1844 roku, po czym wstąpił do seminarium duchownego w Kolonii, aby tu dopełnić swego ascetycznego przygotowania do kapłaństwa.

Całą też duszą oddał się swym sprawom wewnętrznym, modlitwie i rozmyślaniu.

Powoli zbliżał się dlań wyśniony moment wyższych święceń.

W tych to dniach od swego starego proboszcza z Kerpen otrzymał przepiękny list, pełen wzniosłego ducha kapłańskiego, w którym między innymi czytał z głębokim wzruszeniem te słowa:

— Zbliża się dla księdza dzień święceń kapłańskich. Ciesz się i raduj z tego, bo tak długo tęskniłeś za ową chwilą upragnioną! O jakże daleką, daleką była ona w tych czasach, gdyś to pierwszy raz siedział u mnie na plebanii w Kerpen, aby rozpocząć pierwiastki swych studiów. Jakież to góry i jakie przepaści leżały wówczas przed nami. Ale dobry Bóg, który Cię zatopionego w modlitwie przed ołtarzem w kolońskim kościele do służby kapłańskiej powołał, poniżył góry, napełnił doliny i w cudowny sposób otworzył przed Tobą drogę aż do tej bramy, przed którą stoisz w tej chwili, z drżeniem czekając, by Pan wejść Ci przez nią do Siebie dozwolił..

«Do czcigodnych święceń kapłańskich zbliż się z sercem niewinnym i najczystsza intencją. Odpraw generalną spowiedź z całego życia i potem już na zawsze złóż Bogu w ofierze nieugiętą decyzję, w świętym stanie kapłaństwa wyrzec się całkowicie świata, objąć oburącz krzyż Jezusowy, nie szukać ani sławy, ani majątku, ani przyjemności, ani wygody życia, ani własnej woli, lecz jedynie i wyłącznie chwały Bożej, pokory, ubóstwa, cierpienia i posłuszeństwa. Bo gdybyś szukał czego innego, stoczyłbyś się w przepaść upadku i uległbyś straszliwej pomyłce. Niczego byś bowiem nie znalazł!

Kto szuka Boga — ten Go wszędzie znajduje!»

W trzecią niedzielę po Wielkiejnocy, dnia 13 kwietnia

1845 roku, w kościele franciszkanów w Kolonii otrzymał Adolf Kolping święcenia kapłańskie. Bóg zażądał od niego w on dzień niezmiernie ciężkiej ofiary. W nocy bowiem poprzedzającej najświętszą chwilę jego życia powołał do Siebie jego najukochańszego ojca!

To też gdy w parę dni później, w kościółku rodzinnego Kerpen składał ks. Adolf Bogu pierwszy raz w życiu Bezkrwawą Ofiarę, boleść serdeczna musiała zalewać jego serce synowskie. Ojciec już nie doczekał jego szczęścia!

Ale Bóg w Swej nieskończonej dobroci umiał pocieszyć i ojca i syna-kapłana! Oto we śnie, niemal tuż przed śmiercią oglądał umierający starzec najdokładniej prymicje syna. Obudzony się, opowiedział swe widzenie czuwającej przy łożu córce. Podał dokładnie liczbę obecnych kapłanów, nawet ich nazwiska, opisał ozdobę kościoła i ołtarza, a w chwili zgonu wyrzekł te słowa: «O! wy już nic więcej nie zobaczycie, jak ja w tej chwili widziałem».

Okazało się, że wszystkie szczegóły późniejszych prymicj najściślej zgadzały się z dziwną wizją umierającego...

Święcenia kapłańskie otwierają dla Kolpinga zupełnie nową, wspaniałą kartę życia. Pierwszą posadę wikarego otrzymuje on w Elberfeldzie, czysto przemysłowej miejscowości Nadrenii, gdzie działać będzie przez pełne niemal cztery lata. Z działalności tej wykwitnie pierwsze stowarzyszenie katolickich czeladników i ten właśnie dział pracy katolicko-socjalnej już na całe życie stanie się jego najdroższą częścią i największą zasługą i chlubą.

Wielkie dzieła Boże zawsze z niepokąźnych wpływają źródeł.

Cóż skromniejszego nad prośbę garstki uczciwych i pobożnych chłopców elberfeldzkich o pozwolenie im, by w czasie dorocznej procesji ku czci św. Wawrzyńca w sierpniu mogli iść w pochodzie w osobnej grupie pod własnym sztandarem? A przecież stąd poszło wszystko!

I w jakim tempie!

Ks. wikary Steenaerts zgodził się najchętniej na prośbę młodzieży, zorganizował składkę na sztandar. Na procesję chłopcy ćwiczyli pieśni kościelne. Poczuli się zbierać. Przychodzili do nich to obaj wikarzy, to kierownik miejscowej szkoły. Obok śpiewu znalazły się popularne wykłady, nauka

niektórych przedmiotów, zebrania rozrywkowe. Tak powstał pierwszy w Niemczech związek katolickiej czeladzi, którego prezesurę po przeniesionym gdzie indziej ks. St. przejął rychło nasz Kolping.

W listopadzie 1846 roku stowarzyszenie było zorganizowane. Liczyło 61, a już w kilka miesięcy 102 członków.

Jak głęboko w młode dusze sięgała ta organizacja, najlepiej dowodzi fakt, że fala rewolucyjna roku 1848 nie zdołała porwać za sobą jej członków. W tym roku liczba ich osiągnęła cyfrę z górą ćwierć tysiąca. Kolping dwoił się i troił. Wikary i katecheta gimnazjum niższego, prezes związku, płomienny i głęboki pisarz, czuł jednak, że dzieło jego tak rośnie, iż trzeba mu poszukać innego terenu, jako ośrodka całej akcji. Takim terenem mogła być tylko Kolonia. W tym mieście spędził spory okres własnej młodości, znał stosunki, miał ludzi życzliwych. I oto dnia 16 marca 1849 roku ks. Adolf Kolping zostaje wikarym katedralnym w nadreńskiej stolicy biskupiej. Jak go żegnano w Elberfeldzie — trudno wypowiedzieć. W niedzielę Palmową ukochanym chłopcom swoim udzielił jeszcze komunii świętej wielkanocnej, nazajutrz wyjechał do Kolonii.

Stowarzyszenie czeladników założył tutaj z siedmioma członkami! Poza tym wszystko trzeba było zaczynać od samych fundamentów. Nawet sprawa lokalu napotykała na ogromne trudności. A młodzież garnęła się coraz liczniej. Już po paru miesiącach miał z górą 100 czeladników w swej organizacji. Znaleźli się wkrótce pomocnicy, dobrodzieje, sympatycy wspaniałej Kolpingowej roboty.

To też nie długo trzeba było czekać, a 400 młodych chłopców (18—25 lat) uszykowanych i tutaj pod własnym sztandarem kroczyło ulicami miasta na związkowe nabożeństwo w kościele.

Coraz i coraz częściej chwyta teraz Kolping za pióro. Gorący, praktyczny zawsze, rzuca ideowe i organizacyjne podwaliny ruchu, który już wkrótce miał ogarnąć całe Niemcy, a nawet wyjść poza ich granice.

Kolping zmierza jasną drogą do idealnego, zawodowego wykształcenia i wyrobienia swych ludzi. Bronić się przed złem w każdej jego postaci, zdobyć fachową wiedzę i pracować, ciągle pracować — oto naczelne hasła jego związku. A wszystko

w atmosferze szczerzej religijności, otwartości, zaufania i związkowego braterstwa.

Oczywiście z początku «Kolpingowcy» spotykali się w wielu warsztatach z drwinami i obelgami. Ale potężnego strumienia dobra, który z nich płynął, już nikt nie zdołał zatać. Jak niedziela zbierała ich wspólnie na mszy świętej, tak w poniedziałek wszyscy odważnie stawali u warsztatów, wydając młodzieńczą walkę tradycyjnemu w ten dzień próżnowaniu (Blaumontag).

To też Kolpingowa idea szła jak wicher po kraju.

Jego związki powstają już w roku 1849 w Bonn, Düsseldorfie, Akwizgranie, Essen, Gladbachu, Dürren, Koblencji, Trewirze, Monasterze, Hildesheimie, Moguncji. Wszystkie budują się na statucie kolońskim, acz wprowadzają zależnie od miejscowych warunków niektóre drugorzędne zmiany.

I już dnia 1 maja 1850 roku łączą się one wszystkie w jeden Reński Związek Czeladników, przez co cała akcja nabiera siły, jednolitości i znaczenia. Powstaje oczywiście organ Związku redagowany i wydawany przez Kolpinga, które też sam pisze w nim większość doskonałych artykułów. W tym czasie Związek w Kolonii liczy już 550 członków, w rok później zaś organizacja Kolpinga sięga już do Wrocławia, Augsburga, Wiednia, Linciu i Monachium.

Wielkie dzieło potężnieje i rośnie w drzewo, które konarami swymi obejmie wkrótce dziesiątki tysięcy dotąd zupełnie opuszczonej i społecznie i religijnie zaniedbanej młodzieży.

Kilka dłuższych i dalekich podróży po Niemczech i Austrii, powoływanie do życia coraz nowych, w dziesiątki i setki idących stowarzyszeń katolickich czeladników, nieustanna działalność pisarska, budowa domu związkowego w Kolonii — oto prace, które wypełniają życie ks. Kolpinga niezmordowanym trudem aż do samego kresu.

Gdyby nie konieczność kończenia tego szkicu biograficznego, ileż klejnotów moglibyśmy wybrać z jego bogatego żywota, ile precennych wskazań i myśli dla wszelkiej, katolickiej pracy organizacyjnej! Zaiste na tym polu był Kolping niesłychanie ciekawym i płodnym duchem, który do dziś nie stracił nic z swych wartości głębokiego, katolickiego działacza społecznego!

Słuchano go też z zapartym tchem, gdy przemawiał po

wielkich miastach swej ojczyzny, a słowa te skupiały przy jego boku i pod jego sztandarem całe gromady wybitnych, świeckich i duchownych pracowników. Należał do nich wśród wielu innych np. taki młody kapłan wiedeński, późniejszy arcybiskup i kardynał Wiednia, ks. dr Gruscha.

Oczywiście nie brakło krytyków, przeciwników, nie brakło ataków, podejrzeń, nawet oszczerstw... Któż z tych, co podjęli wielkie dzieła Boże na ziemi, był od nich wolny?

Nie one jednak — nawet w najmniejszym stopniu — nie one podkopywały zwolna, lecz nieustannie, życie wielkiego męża. Ciągły wysiłek, ciągle napięcie nerwów, trud ponad wszelkie granice w niezmożonej pracy, podróżach, posiedzeniach, kazaniach i mowach musiały odbić się na organizmie, który, jak wiemy z dziejów młodości, nigdy do żelaznych nie należał.

Umiał też tę pracę ocenić Ojciec święty, Pius IX, który w r. 1857 wystosował do ks. Kolpinga niezmiernie serdeczny list z życzeniami i błogosławieństwem apostolskim, w pięć lat później mianował go swym prałatem domowym, za co Kolping na nigdy dlań niezapomnianej audiencji osobiście mu dziękował, odbierając w darze drogocenny ornat papieski.

Stał więc nasz dawny szewski czeladnik już u szczytu swej sławy i uznania. A jakże był wielkim zawsze w niezrównanej skromności!

Gdy na Narodowym Kongresie katolików niemieckich, na posiedzeniu księży prezesów wszystkich związków Kolpingowskich cała sala powstała z stokrotnym «Niech żyje» na jego cześć, odezwał się Kolping z ujmującą prostotą: «Nie chcę okrzyków! Jeśli zdziałalem coś dobrego, niech Bogu za to wyłącznie będzie chwała i cześć na wieki! Jeśli zaś chcecie oddać mi jakąś usługę, to oszczędzajcie waszych piersi, a za to niech każdy dziś wieczór jedno «Ojcze nasz» zmówi na moją intencję. Przrzekacie mi to?»

W lipcu 1861 roku ponowił się po latach 20 krwotok płucny. Więc zakazy lekarzy, kuracja w Ostendzie, a przy tym i mimo wszystko ciągła i ciągła praca. Cóż dziwnego, że choroba postępowała naprzód i stawała się coraz boleśniejsza. Przyszły ataki sercowe, w ślad za nimi cierpienia budzące grozę. Straszliwa astma nie pozwoliła mu ani leżeć, ani stać; całych długich dni czternaście trwała męka zbliżającego się

konania, wielkodusznie ofiarowana jako zadośćuczynienie za własne i całej jego młodzieży winy... Dnia 4 grudnia 1865 roku przyszedł koniec...

Młodzież z całych Niemiec zbiegła się, by ukochane zwłoki ojca swego ponieść do grobu w umiłowanym przezeń kościele franciszkańskim.

— — — — —
W tej franciszkańskiej świątyni w Kolonii, parę miesięcy temu, z głębokim wzruszeniem ukląknęłam u jego grobu... Kamienna, prosta płyta znaczy go w posadzce... przed ołtarzem prawej nawy... Skromny napis głosi, kto pod płytą spoczywa... U ołtarza... ledwie dostrzegalnie drżą lekko i cicho dwa o związkowych barwach sztandary... a wokół płyty pęki śnieżnych bielą się kwiatów... i nie ma chwili, by u tego grobu nie klęczał jakiś młody, zatopiony w modlitwie...

Blisko 70 lat minęło od śmierci Kolpinga, a kochają go oni, ci, których on ukochał nade wszystko i dźwignął i nauczył żyć po Bożemu i nadal i na zawsze mienia go ojcem... przyjacielem... powiernikiem swej doli i niedoli... Tak żyje Kolping i żyć będzie zawsze przez swoje wielkie dzieło i przez swoich synów, którzy nie zapomną o nim nigdy... ¹⁾

1932.

FILIP VRAU

W katolickiej Francji od lat kilkunastu już można wśród różnych imion najnowszych kandydatów do beatyfikacji usłyszeć także imię i nazwisko Filipa Vrau, który jest jednym z dziwnych, a wybitnych typów nowoczesnej świętości ²⁾.

Nowoczesnej, bo umarł niespełna 30 lat temu w roku 1905, nowoczesnej, bo był bardzo bogatym i bardzo postępowym przemysłowcem w wielkim środowisku przemysłu i handlu francuskiego, w Lille.

A jednak ten człowiek, jest już, że tak powiemy, w drodze na ołtarze... Czyż sylwetka jego duchowa nie zasługuje w najwyższym stopniu na poznanie?

¹⁾ Por. Anna Rickli: «Adolf Kolping, der Gesellenvater», 3 Aufl., Kanisiuswerk 1930.

²⁾ Wedł. «Wiadomości Katolickich», Kraków 1930.

Nieraz i niejedyn młody sodalis w chwili głębszego zastanowienia się nad sobą zadaje sobie pytanie: Jak stać się świętym? I w 99% skłonny jest uznać to za rzecz niemożliwą dla siebie.

Zobaczmyż pokrótce, jak stał się świętym Filip Vrau.

Urodzony w r. 1829 jako syn niezbyt zamożnego fabrykanta dostał się w latach szkolnych do miejskiego gimnazjum w Lille.

Uczyli w nim młodzież, jak niestety niemal powszechnie w publicznych szkołach francuskich, profesorowie niewierzący, wyznawcy filozofii pozytywistycznej i materialistycznej, której ofiarą padł młody Filip.

Matka jego, kobieta niepospolita, przy tym głęboko religijna i wierząca z serdecznym niepokojem patrzyła, jak syn ukochany coraz bardziej obojętniał religijnie, zaniedbywał mszę świętą niedzielną i stronił od sakramentów świętych.

Trwało to długo, bo aż do 25 roku jego życia.

Wtedy zaszedł w nim głęboki przełom duchowy.

I to drogą zupełnie niespodzianą!

We Francji ówczesnej, stroniącej od religii objawionej, stały się modą, omal że nie religią warstw oświeconych t. zw. «stoliki wirujące». Filip dał się im pociągnąć i widział w tym bardzo przyjemną rozrywkę. Zakaz władzy kościelnej oczywiście zupełnie go nie wzruszał.

Ale zastanowiły go rzekome odpowiedzi duchów, rzekome sądy ich o dogmatach katolicyzmu. Równocześnie podziało nań nawrócenie ojca do praktyk religijnych, gorący katolicyzm przyjaciela — a nie była bez głębokiego, acz niewidzialnego wpływu żarliwa i nieustanna modlitwa jego matki.

Filip wrócił do Boga i Kościoła. I to tak całkowicie, tak zupełnie, że jego jedynym pragnieniem teraz stało się wyłączenie się służbie Bożej i wstąpienie do zakonu.

Inną jednak była wola Boga.

Ojciec Filipa popadł w tak wielkie trudności finansowe, że byt całej rodziny został poważnie zagrożony. Filip był jedynym synem, na jego barkach spoczęło wszystko. Z boleścią w sercu, ale i z gotowością złożył ofiarę z swych najserdeczniejszych zamiarów i pragnień. Oddał się zupełnie ratowaniu fabryki i rodziny. Z pomocą pospieszyła mu mądra i doskonale orientująca się w interesach matka, a nade wszystko najbliź-

szy przyjaciel, dr Kamil Fézou, lekarz, który w szczerzej życzliwości dla niego, rzucił zawód lekarski i praktykę, a oddał się zupełnie na usługi zachwianej «Firmy Vrou».

Przy usilnej pracy położenie finansowe uległo radykalnej zmianie, fabryka stanęła na silnych nogach i szła ku coraz większemu rozwojowi.

W życiu i duszy Filipa rozpoczął się teraz nowy, prześliczny okres.

Filip Vrou miał między innymi jedną cechę świętości — nic i nigdy nie robił połowicznie.

Gdy tedy raz nabrał głębokiego przekonania, że praca w przemyśle i prowadzenie fabryki po ojcu jest dla niego wolą Bożą, poświęcił się jej całym sercem. I pokazał, że nie ma na świecie stanowiska ni zawodu, w którym nie możnaby dojść do wybitnej świętości.

Ciekawą przy tym jest rzeczą, że konkurenci jego firmy, których oczywiście nie brakło, zawsze uważali go za «doskonałą głowę» do interesów i «pierwszorzędnego organizatora».

Oto znów dowód, że praca nad udoskonaleniem duszy własnej bynajmniej nie jest przeszkodą do osiągnięcia nawet najwyższych wyników w zajęciach czysto ziemskich. Owszem raczej do ich osiągnięcia pomaga! A przecież Filip był naprawdę w pierwszym rzędzie duszą kontemplacyjną i mężem modlitwy. Jeśli zaś pracował i to ciężko od wczesnego rana do późnego wieczora, to dlatego i jedynie dlatego, że pracę uważał za swój obowiązek, a duże owoce materialne tej pracy za błogosławioną możliwość czynienia dobrze.

To też szeroki zakres jego dzieł dobroczynnych i ich różnorodność jest zadziwiająca.

Po zagarnięciu Ojcu świętemu państwa kościelnego przez rząd włoski (1870 r.) Filip poważne sumy przeznaczają na dar świętopietrza.

Gdy w Lille powstaje prywatny uniwersytet katolicki, Filip należy do najhojniejszych ofiarodawców.

W roku 1880 z jego inicjatywy powstaje pierwsza i jedyna we Francji szkoła zawodowo-przemysłowa, w 1896 r. sam otwiera katolicką szkołę sztuk i rzemiosł.

A poza tym czegoż nie czyni!

Buduje kościoły, wznosi szpitale, pracuje bardzo wybitnie w towarzystwie św. Wincentego à Paulo, organizuje kluby

i związki katolickie o celach zarówno duchowych jak materialnych dla robotników, przede wszystkim oczywiście dla pracowników swej ogromnie już rozwiniętej firmy.

W dziwny też sposób ta jego serdeczna, pełna oddania działalność dla robotników miała zaważyć nad samym końcem jego życia, a zaciążyła już nad jego trumną. W dwa dni po śmierci p. Vrau, w maju 1905 r. przesłano mu z rozporządzenia władz francuskich wyrok skazujący go na miesiąc więzienia i znaczną karę pieniężną.

Za co?

Otóż wiadomą jest rzeczą, czym był rok 1905 w historii walki rządu francuskiego z Kościołem katolickim. Wspomnieliśmy o tym we wstępie. Zerwano konkordat, zamknięto klasztory, wydalono zakonników i zakonnice.

Pan Vrau popełnił wielkie przestępstwo. Już dawniej bowiem w fabryce swojej ustanowił osobny nadzór nad robotnikami i powierzył jego pełnienie siostrze zakonnej, zawierając umowę na lat trzydzieści. Przyszła kasata zakonów w r. 1905, «Siostry od Opatrzności» posłuszne wrogiemu prawu przywdziały suknie świeckie, a pan Vrau polecił im nadal pełnić dobroczynne obowiązki opiekunek i dozorczyń robotnic. I za to wytoczono mu proces i nałożono dotkliwą karę, która go już nie dosięgła, bo «jako sługa dobry i wierny» na dwa dni przed tym przed Panem swym stanął, by z rąk Jego wiekuistą otrzymać nagrodę.

I jakież było wewnętrzne, nadprzyrodzone życie tego dziwnego człowieka, którego sylwetkę kreślić dziś kończymy?

Gdy w dwa lata zaledwo po jego śmierci ks. biskup Baurard zabrał się do skreślenia jego życiorysu, nie mógł po prostu zebrać do niego materiałów, tak mało o sobie mówił i dawał znać p. Vrau.

Niepozorny, skromny zawsze i cichy pragnął przez życie swoje przejść niespostrzeżenie. W ukryciu też najgłębszym pełnił swoje dzieła miłości i miłosierdzia.

Tylko przypadkiem wychodziły one na jaw.

Oto jakiś kapłan — i pewnie niejeden — znajdujący się w ciężkim położeniu materialnym zastawał nagle w swej skrzynce na listy kopertę z 1.000 franków.

Oto niejedna wdowa nie mająca czym zapłacić czynszu

za mieszkanie otrzymywała z nieznanego źródła więcej, niż jej było na razie potrzeba.

Oto chory robotnik niespodziewanie dostawał opał, posiłek, a nawet łakocie...

A wszędzie działała ukryta ręka tego «świętego w surducie».

Najdroższym nabożeństwem Filipa była gorąca cześć i miłość Najświętszego Sakramentu. Jego to staraniem wprowadzono w Lille wieczorne adoracje, które potem rozszerzyły się stamtąd na całą Francję. On też bardzo wydatnie wspierał pannę Tamisier, inicjatorkę kongresów eucharystycznych, z których pierwszy, głównie za jego staraniem, odbył się w Lille w r. 1884 — a ostatni, jak wiadomo w Dublinie, w Irlandii w r. 1932.

Po śmierci ojca zamieszkał z matką, w starym rodzinnym domu, a gdy w r. 1888 z kolei i matkę Bóg powołał do Siebie, Filip przeniósł się do małego, ubogiego pokoju, tam żył jeszcze przez 17 lat ostatnich, jak zakonnik.

A w miarę, jak się w tych latach posuwał, rosła jego wewnętrzna świętość. Coraz bardziej pokorny, coraz cichszy, coraz więcej umartwiony przedłużał godziny swych czuwań przed Tabernakulum, zwłaszcza gdy szwagier i siostrzeniec stopniowo przejmowali w swe ręce kierownictwo dużej firmy rodzinnej.

W końcu dotknęła go długa i ciężka choroba... Całymi dniami leżał w swym ubożuchnym pokoiku, cichy, łagodny, delikatny i wdzięczny wobec tych, co go pielęgowali. Nigdy się nie skarżył, nie narzekał. Nadziemskim pokojem i światłem promieniała jego twarz, gdy codziennie rano w progu izdebki ukazywał się kapłan przynoszący mu w komunii świętej umiłowanego Zbawcę.

Dopalała się lampa jego żywota, aż zgasła w połowie maja 1905 r. wśród mariańskiego Różańca odmawianego u jego łoża...

Kościółowi przybywał jeden więcej, możny orędownik u Bożego tronu.

1933.

PROFESOR CONTARDO FERINI

W starym gmachu uniwersytetu w Modenie dzwon oznajmił zakończenie godziny wykładów. Z lektoriów i pracowni poczęli wysypywać się w długich szeregach studenci i szeroką falą wypływać na ulice miasta. Kilkunastu z nich z widoczną serdecznością otaczało opuszczającego również budynek uniwersytecki profesora. Był to mężczyzna w pełnym jeszcze rozkwicie lat młodych, których mógł liczyć niewiele ponad trzydzieści. Niezliczone szeregi akademików, wychodzące z jego sali wykładowej świadczyły dobitnie, jaką cieszył się sławą naukową, jak świetnie i wspaniale nauczał... I oto widzimy, jak z gromadką bliskich sobie słuchaczy kroki swe z uniwersytetu kieruje prosto do najbliższego kościoła. Tam przed tabernakulum pada na kolana i pogrąża się w żarliwej adoracji Utajonego Boga... Porwani jego przykładem czynią to samo młodzi prawnicy, którym ten Bóg daje wielką łaskę, iż w znakomitym mistrzu nauki znaleźć mogą również znakomitego nauczyciela cnoty i pobożności...

Któż jest ten dziwny człowiek?

Wczas rano widzieliście go słuchającego na kolanach mszy św. i potem — dziś, jak codziennie — zbliżającego się w tłumie pobożnych z najgłębszą czcią do świętej komunii... nieco później widzicie go wstępującego energicznym, sprężystym krokiem na stopnie uniwersyteckiej katedry — a teraz oto w niemym podziwieniu patrzycie, jak umiłowanych swych uczniów wiedzie do stóp Chrystusa, pomny, że przy Nim to właśnie zaczyna się i kończy wszelka wiedza i nauka ludzka...

Il Professore Contardo Ferini — chluba naukowa Włoch i chluba kościoła Bożego!

Czyż nie warto choćby w skromnych słowach nakreślić młodzieży polskiej jego sylwetkę?

Wielki uczony XX wieku — pomyślcie XX wieku — i zarazem święty, a nam przecież mówią, że dziś świętych już nie ma, że nowoczesna atmosfera ich już zrodzić i wydać nie zdolna... że istotna wiedza i głęboka inteligencja nie może się łączyć z prawdziwą wiarą i dziecięcym oddaniem się Kościołowi.

Nieprawda! I stokroć nieprawda!

Świetlana postać profesora i doktora i znakomitego uczonego zaprzecza temu z całą siłą i mocą, jak dziesiątki pokrewnych mu mocarzy ducha i intelektu już nieraz zaprzeczyły w dziejach naszego Kościoła!

Z inteligentnego wyszedł środowiska, bo synem był profesora politechniki w Mediolanie, wybitnego także znawcy i uczonego w dziedzinie nauki o ciepłe i elektryczności. Książki jego ojca, Rinalda Feriniego przekładano przecież na obce języki!

Młody Contardo uczył się świetnie — a na «prywatną lekturę» już jako uczeń gimnazjum studiował Pismo Święte, w którym tak się rozmiłował, że zgłębiał trudne języki Wschodu, hebrajski i syryjski, by je tylko lepiej i dokładniej zrozumieć.

W 17 roku życia zdał maturę i zaraz potem zapisał się na wydział prawniczy uniwersytetu w Pawii, gdzie zamieszkał w kolegium Boromejskim.

Jakże upływały lata młode, lata akademickie naszego Contarda?

Młodziutki akademik jest doskonale świadom niebezpieczeństw, które mu grożą. Szuka przeto siły i pomocy w modlitwie, we mszy świętej, której słucha codziennie, w nawiedzeniu Najświętszego Sakramentu. Z tego ścisłego zjednoczenia z Bogiem czerpie w istocie zdumiewającą siłę i odporność na zło. Na jego ustach nigdy nie jawi się żadne słowo dwuznaczne, żaden dowcip ni żart naruszający w jakiej bądź mierze młodzieńczą czystość i skromność. Oczywiście śmieją się zeń, ale to go nie wzrusza. Czyż nie jest wielkim zwycięzcą, gdy inni wloką się, jak niewolnicy za swoją żądzą przedwcześnie rozbudzoną i zakuwającą ich w najstraszniejszą niewolę zmysłów!

Wesoły, towarzyski, uczynny zyskuje sobie zresztą szczerą sympatię u wszystkich dobrych kolegów, owszem oddziaływa w subtelny, niedostrzegalny, a tak skuteczny sposób na złych i zepsutych.

W 21 roku życia kończy studia prawnicze i zdobywa stopień doktora praw, a wyniki jego pracy akademickiej są tak świetne, że rząd włoski na polecenie fakultetu prawniczego udziela mu poważnego stypendium na dwuletni pobyt dla dalszych studiów za granicą.

Niewiele czasu upłynęło od momentów opowiedzianych przez nas z życia młodzieńczego Feriniego, a oto pewnego dnia widzimy naszego młodzieńczego doktora w katolickim kościele św. Jadwigi w Berlinie ukorzonego w gorącej modlitwie o pomoc i błogosławieństwo Boże w naukowej pracy, jaką podejmował na dalekim i tak mu obcym terenie.

Wybrał berliński uniwersytet na miejsce swych dalszych studiów wyłącznie ze względu na słynny jego fakultet prawniczy, który pod wodzą profesora Karola Savigny'ego zgromadził na swych katedrach co najjętsze siły naukowe Niemiec ówczesnych, jak Mommsena, Dernburga, Bernsteina, Zachariä i innych.

Z drugiej strony stolica Prus i młodego cesarstwa odstraszała go jako gorącego katolika swym zimnym, wrogim państwu protestantyzmem.

Jakież więc głębokie i mile było jego zdziwienie, gdy w ów pamiętny pierwszy dzień pobytu w Berlinie spotkał u św. Jadwigi, równego sobie wiekiem, katolickiego studenta uniwersytetu, który nie tylko najserdeczniej go powitał, ale ułatwił wszystko w pierwszych chwilach życia na berlińskim bruku. Za jego to pośrednictwem wszedł Ferini w koła katolickie tego miasta. Były to czasy bezpośrednio po przegranej przez rząd pruski Kulturkampfie, zarazem więc czasy wielkiego ożywienia życia katolickiego, które parło wartkim prądem do wywalczenia sobie głosu i uznania w nowych, a znacznie dla siebie pomyślniejszych warunkach.

Zapał ten oczywiście ogarnął i młodzież akademicką. Ferini nie może się dość nadziwić wysokiemu poziomowi życia religijnego swych niemieckich kolegów. Imponuje mu, przybyłemu ze zradikalizowanej wówczas i wrogiej państwu Italii, pobożność tych młodych ludzi, a zwłaszcza bardzo ich liczne komunie święte niedzielne, imponuje mu pobożność katolickich żołnierzy.

To też i on sam tu daje ujście swym na wskrós katolickim przekonaniom i zasadom, i nawet sobie sprawy nie zdaje z tego, jak wiele i on, stypendysta rządu włoskiego, czyni dobrego swym przykładem. Wszak i tu, jak w ojczyźnie, nigdy w dzień powszedni nie opuści Najświętszej Ofiary, a w każdą niedzielę spieszy do Stołu Pańskiego.

A cóż słyhać z jego studiami — spytacie?

Oczywiście stoją one u niego na pierwszym miejscu w życiu. Ferini oddaje się pracy naukowej z całym zapalem młodości. Zwraca na siebie uwagę jednego ze swych najwybitniejszych profesorów, dra Zachariä von Lingenthal. Między poważnym uczonym a młodym adeptem prawa z dalekich Włoch zawiązuje się ta osobliwa przyjaźń, która tak często u warsztatów pracy naukowej łączy ludzi młodych i starych jakimś dziwnie idealnym węzłem wspólnego ukochania ściślej wiedzy i pracy dla jej zdobycia.

Dwa lata minęły szybko.

Dr Ferini opuszcza stolicę Niemiec, ale żądza wiedzy porywa go dalej i dalej. W r. 1882 i 1883 widzimy go na wszechnicach Paryża, Rzymu, Florencji. Wreszcie nadchodzi jesień roku 1883 i przynosi Feriniemu upragnioną nominację na prywatnego docenta prawa rzymskiego na uniwersytecie w Pawii, gdzie już w roku 1885 zostaje profesorem nadzwyczajnym. W dwa lata potem, więc niezmiernie szybko, otrzymuje katedrę zwyczajnego profesora tegoż przedmiotu na uniwersytecie w Messynie, skąd w jakiś czas przenosi się do Modeny, aby wreszcie jednogłośnie uchwałą wydziału prawniczego w Pawii, objąć katedrę prawa na tamtejszym uniwersytecie.

Ale Ferini jest nie tylko profesorem, nauczycielem, jest w pełnym słowa tego znaczeniu uczonym, badaczem, pisarzem. Jego działalność naukowa jest po prostu zdumiewająca. Całe mnóstwo książek, rozpraw naukowych, artykułów wychodzi rokrocznie spod jego pióra, aby ukazać się w najrozmaitszych wydawnictwach naukowych Europy we włoskim, niemieckim czy francuskim języku. W dziedzinie prawa zachodnio-rzymskiego i bizantyńskiego specjalizuje się tak świetnie, że gdy w Berlinie umiera wspomniany przez nas profesor Zachariä, Ferini według zgodnej opinii świata prawniczego zajmuje jako najwyższy w tym kierunku autorytet, jego miejsce.

To chyba dość, aby określić wartość intelektualną tego wielkiego człowieka, wielkiego człowieka — i równocześnie wielkiego katolika!

Ale wyteżająca, nieustanna i niemal nad siły praca nie mogła pozostać bez ujemnego wpływu na jego zdrowie. Już w roku 1900 zjawiają się u niego oznaki groźnej choroby sercowej, która powoli, ale skutecznie podkopuje jego siły, nagle w dwa lata później przyłącza się do niej złowrogi atak tyfusu,

który przecina pracowite dni jego żywota w pełni męskiego wieku, bo w 43 roku życia.

W roku przyszłym, 1934, spodziewa się świat katolicki szczęśliwego ukończenia wszczętego już w 1910 r. procesu beatyfikacyjnego Contarda Feriniego i ogłoszenia go błogosławionym.

Już ojciec święty Pius X wypowiedział swą głęboką radość na myśl o możliwości zaliczenia tego na wskrós nowoczesnego człowieka i wielkiego uczonego ostatnich czasów w poczet świętych.

We Włoszech zyskał on sobie popularną nazwę «święty we fraku...»

Czas nam więc już zająć się bliżej pytaniem, na czym polegała i jak się przedstawiała świętość tego niezwykłego człowieka.

Dzień jego cały był naprawdę dniem prawdziwego, głęboko wierzącego i praktykującego, świeckiego katolika.

Wczas rano zaczynał go rozmyślaniami, które w czasie roku akademickiego trwały ćwierć, podczas feryj zaś pełną godzinę. Potem msza święta, codzienna komunia święta i w ciągu dnia nawiedzenie Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie, na które, jak wspomnieliśmy na samym wstępie, zabierał ze sobą gromadkę studentów uniwersytetu. Oczywiście przed wykładem i po nim odmawiał z akademikami modlitwę, co godzinę Matkę Najświętszą witał archanielskim «Zdrowaś Mario» i często wśród dnia budził pragnienie komunii św. Po całodziennym pracy następowała znów gorąca modlitwa i dokładne przygotowanie rozmyślenia na dzień następny...

W notatkach swych i listach pozostawił Ferini prześliczne, naprawdę «złote myśli», głęboko przezeń przetrawione, przeżyte... Posłuchajmy ich, zapiszmy we własnym sercu i wprowadźmy je we własne życie...

— — — — —
Jeśli posiadam w mej duszy jakiś zaczątek charakteru — a mniemam, że mam go może w wyższym stopniu, niż wszyscy dawni, obecni i przyszli wolnomyśliciele — to zawdzięczam go jedynie modlitwie...

Jeżeli moje studia i badania naukowe przyniosły jakąś korzyść, zawdzięczam to błogostawieństwu modlitwy.

Dzięki pełnemu pociechy oddziaływaniu modlitwy nie tracę drogiego czasu na teatry, kawiarnie i inne tysiączne sposoby bezużytecznego marnowania go w nieuporządkowanym życiu...

Modlitwa daje mi zamiłowanie skupienia, samotności i pracy.

— — — — —

Życie bez modlitwy, ranne przebudzenie się z równoczesną rezygnacją z najlaskawszego błogosławieństwa Bożego, inne udanie się na spoczynek, jak w ramionach Chrystusa, jest dla mnie czymś niepojętym. Takie życie równało by się dla mnie czarnej nocy, która przynosi zwątpienie i rozpacz, na której cięży przekleństwo Boże, która nie daje żadnej siły przeciw pokusom, w której brak wszelkiej radości ducha... Jak można takie życie wytrzymać, pozostaje dla mnie całkowitą zagadką...

— — — — —

Tak myślał i tak czuł profesor Ferini.

Ciekawą jest rzeczą, że ten szczery i gorący katolik, jak całe szeregi innych, był zapalonym miłośnikiem gór i doskonałym turystą. W Alpach swych umiłowanych czuł się zawsze świetnie, tam oddychał pełną piersią po całorocznych trudach naukowych, tam krzepił się do dalszej pracy, tam przede wszystkim czuł się bliżej swego umiłowanego Boga, którego potęgę i wszechmoc i piękno całą duszą wielbił i podziwiał... jakże odmienny od tych tysięcy turystów, którzy zachwycając się pięknem górskiej przyrody, ani na chwilę nie umieją i nie chcą myślać wznieść się do jej Twórcy i Pana...

Ale Ferini umiał tego Boga odkrywać także w skarbach sztuki, uważając je za odbicie Jego wiekuistego piękna, o czym tak ślicznie pisał w słowach: «Bóg oddycha we wszystkich nieśmiertelnych dziełach wielkich mistrzów... — Jakże często, gdy podziwiałem jedno z tych arcydzieł, z oczu mego spływała łza wzruszenia, której mój Anioł Stróż chyba nie pozwolił upaść na ziemię».

Wiara jego była silna, niezachwiana, pełna najgłębszego przekonania, którym umiał skutecznie oddziaływać na tych wielu i wielu, co u niego szukali rady, wskazówki. Absurdalność niewiary umiał wykazać zawsze w sposób porywający,

zwycięzający przeciwnika, a za źródło jej — rzecz szczególna — uważał najczęściej zwyczajną pychę. Sam kochał więc pokorę i drugim ją szczerze zalecał...

Dla ludzi uprzejmy, serdeczny, uczynny, pociągał wszystkich do siebie tym dziwnym ciepłem, które zeń promieniowało nieustannie. I profesorowie i uczniowie szukali go w wielu sprawach, a Ferini nie uchylał się nawet od służby publicznej, przyjmując na prośby obywateli mandat do rady miejskiej Mediolanu.

Do jego skromnego grobowca w Suna spieszą już od lat pielgrzymki włoskiej młodzieży, by od tego męża Bożego XX wieku uczyć się, jak żyć i pracować i doskonalić się dla Boga, by potem tym pożyteczniej służyć rodzinie, narodowi, ojczyźnie...

Oby życie jego i dla polskiej młodzieży stało się wzorem świetlanym, oby i ją zapaliło do pójścia w jego ślady, a z tych jej szeregów, które w cieniu Sodalicji Mariańskiej kształcą się na nauczycieli i wychowawców, oby wzbudziło takich, jak on nauczycieli, wychowawców, uczonych i mistrzów... ¹⁾

1933.

FRYDERYK OZANAM

(1813—1853)

Nie przebrzmiało jeszcze w duszach naszych hasło pracy sodalicyjnej rzucone przez zjazd gośtyński na ubiegły rok szkolny 1932/33: Bądź miłosierny! I chociaż rok się już skończył i zaczął się rok nowy z nowym hasłem, tamto niewątpliwie zapadło dość głęboko w myśli i serca sodalisów naszych, by ciągle, by niezmiennie rodzić w nich słodkie owoce miłosierdzia.

Miłą więc i pożyteczną rzeczą będzie nawiązać nam dziś do tego wielkiego hasła i wspomnieć rocznicę, która głośnym echem odbiła się w tym właśnie 1933 roku w całym katolickim świecie. Rocznica ta — to stulecie powstania w Paryżu pierw-

¹⁾ Korzystałem z książki: C. Kempf S. J., «Die Heiligkeit der Kirche im XIX Jahrhundert», Einsiedeln, Benzinger 1914, s. 246.

szej konferencji świętego Wincentego à Paulo, powołanej do życia w skromnym kole kolegów akademików przez młodzieńckiego wówczas studenta Sorbony, Fryderyka Ozanama.

Któż to był ów założyciel dzieła, które siecią swych dobroczynnych, błogosławionych placówek miało w ciągu jednego wieku opleść całą kulę ziemską, rozrósć się do 14.000 konferencyj i zagarnąć w swoje szeregi 200.000 członków wszystkich ras i narodów?

Posłuchajcie!

Fryderyk Ozanam był synem znanego lekarza w wielkim, handlowym mieście Francji — Lionie. Tutaj to na początku wieku XIX ujrzał światło dzienne w r. 1813, jako jedno z czternaściorga dzieci swych rodziców. Ukończywszy szkołę średnią w rodzinnym mieście, przeniósł się na studia wyższe do Paryża. Bóg, który przedziwnie kierował jego życiem, zrzucił, iż mieszkanie dla siebie znalazł w domu Andrzeja Marii Ampère, jednego z najślawniejszych uczonych, specjalnie zasłużonego w dziedzinie elektryczności. Ampère był głęboko wierzącym i praktykującym katolikiem.

Na uniwersytecie paryskim zapisał się młody Fryderyk, ulegając woli ojca, wbrew swym zamiłowaniom serdecznym, na studium prawnicze, nie zaniedbywał jednak literatury, która go szczególnie zawsze pociągała. Obdarzony naprawdę wybitnymi zdolnościami zdawał świetnie swe egzaminy, które miał zakończyć uzyskaniem stopnia doktora, po napisaniu doskonałej rozprawy o stosunku Dantego do filozofii scholastycznej («Dante et la philosophie catholique au XIII-e siècle»).

W wyrobieniu swym wewnętrznym niezmiernie dużo zawdzięczał domowi hr. Karola Montalembert, który zasłynął jako jeden z najwybitniejszych działaczy politycznych i pisarzy tego okresu we Francji. W jego to salonach, w rozprawach i dyskusjach i naradach (po francusku conférences) przedstawiciele elity katolickiej francuskiej umacniały się i hartowały poglądy i zasady młodzieńczego akademika, który nie wahał się w razie potrzeby publicznie z nimi wystąpić. Smutny bowiem widok pod względem religijnym przedstawiała Francja w epoce t. zw. «restauracji Burbonów». Potężne wpływy racjonalizmu i encyklopedystów pospołu z wrogimi religii objawionej, w szczególności zaś Kościołowi katolickiemu hasłami wielkiej rewolucji, niesłychane zamieszanie w Kościele wywołane jej

ustawami jak i walką Napoleona I z papieżem, chwiejność króla mającego zawsze na karku epigonów skrajnych i radykalnych jakubinów, stwarzały dla katolików atmosferę przykłą, wprost wrogą, którą wspomagała ówczesna myśl naukowa francuska, zwłaszcza filozoficzna, zupełnie wyraźnie ateistyczna.

W takich warunkach trzeba było nie małej odwagi, by, studiując w uniwersytecie stołecznym, przyznawać się otwarcie do katolicyzmu i występować publicznie w jego obronie.

A przecież i tu prawdą się okazało, że trudne warunki życia i rozwoju Kościoła katolickiego zawsze krzeszą zeń nowe, potężne iskry, które rozpalają się w płomienie wielkich dzieł i organizacji, wynikających zresztą najczęściej ze skromnych i niepozornych początków.

Ozanam był nieraz w czasie swych studiów świadkiem zarzutów przeciw martwocie współczesnego katolicyzmu. Ucierpał się wtedy przecież zarzut, tak usilnie wspomagany przez pisarzy i historyków protestanckich, że rola Kościoła katolickiego w społeczeństwach skończyła się ze średniowieczem, a w każdym razie z wielką rewolucją i upadkiem porządku feudalnego, na którym rzekomo ten Kościół miał się opierać.

Myśl ta nie dawała spokoju Ozanamowi. Pragnął on w swoim zakresie, w granicach swoich sił stworzyć coś żywego, coś aktywnego i wtedy to kilku oddanych sobie kolegów-akademików, którzy razem z nim często urządzali tak zwane «conférences» czyli zebrania naukowo-dyskusyjne dla przygotowania się do obrony nauki i praw Kościoła katolickiego, natchnął duchem miłosierdzia chrześcijańskiego i wskazał im drogi i sposoby ratowania, tak bardzo w świetnej stolicy Francji rozpanoszonej nędzy ludzkiej.

Pięciu niezamożnych studentów Sorbony: Lallier, Lammach, le Taillandier, Olave, Devaux z inicjatywy Ozanama a pod kierownictwem redaktora pisma katolickiego Bailly, zawiązało przy kościele St. Sulpice księży łazarzystów, u nas misjonarzami zwanych, pierwszą na świecie konferencję pod wezwaniem św. Wincentego à Paulo, wielkiego i umiłowanego jałmużnika Francji.

Było to właśnie w roku 1833.

Z całą pewnością możemy twierdzić, że tych 6 młodych studentów, którzy w tym roku zawiązali pierwszą konferencję,

nigdy nawet w najśmielszych marzeniach nie przewidywało wspaniałego rozrostu swego skromnego towarzystwa. Myśl jednak, która ich złączyła, była tak wspaniała, tak na wskrós chrześcijańska, że w krótkim czasie objęło ono inne parafie Paryża, rozszerzyło się po całej Francji, przekroczyło jej granice i sięgnęło do wszystkich części świata, a na tegorocznym 100-letnim jubileuszu święconym w stolicy Francji, naczelny prezes tych konferencyj p. Verjes mógł z dumą stwierdzić: «nad obszarami dobroczynności chrześcijańskiej Towarzystwa św. Wincentego nie zachodzi słońce».

Stwarzając swoją konferencję i zwiedzając suteryny i poddasza najniezwyklejszych nędzarzy Paryża, nie zaniedbywał Ozanam ani na chwilę swej zawodowej pracy, nie schodził z terenu szerokich zagadnień katolicyzmu, nie opuszczał placówek jego obrony...

Już jako student umiał na uniwersytecie zaprotestować przeciw atakom sławnego filozofa-ateisty, Teodora Jouffroy na prawdę religii katolickiej.

Później, w roku 1848, w czasie rewolucji w Paryżu wywierał nacisk na arcybiskupa ks. Affre, by wpłynął na zrewoltowaną ulicę w duchu pokoju i miłości Chrystusowej.

W parę lat potem, w roku 1853, przedstawił arcypasterzowi stolicy prośbę o stałe wygłaszanie konferencyj religijnych dla inteligencji francuskiej na temat stosunku katolicyzmu do aktualnych zagadnień filozoficznych i społecznych. Arcypasterz przyjął najlaskawiej to życzenie, rozważył je i w dwa lata potem, już niestety po śmierci Ozanama, w roku 1855 przesławny kaznodzieja, natchniony O. Lacordaire stanął na ambonie katedry Notre Dame, by przez szereg lat porywać do Boga setki wykształconych i uczonych słuchaczy słynnymi adwentowymi i wielkopostnymi konferencjami, które do dziś z ust najwybitniejszych mówców kościelnych Francji rozlegają się co roku pod strzelistymi sklepieniami wspaniałej świątyni, a ostatnio dzięki radiu wybiegają z niej na cały kraj, ba nawet na całą Europę.

Nie pominął Ozanam w sferze swych szerokich zainteresowań i kwestii społecznej. Czuł i rozumiał, jak mało kto ze współczesnych mu katolików, że na jej terenie rozegra się wkrótce jeden z wielkich dramatów ludzkości i już na długo przed rokiem 1850 nawoływał katolicyzm do objęcia jej w krąg

swych oddziaływań, o pół wieku blisko wyprzedzając wielkie myśli encykliki papieża Leona XIII, przesławnej *Rerum novarum*. Czy jego słowa nie brzmią jak wielki apel jasnowidzącego myśliciela i społecznika: «Problem, który dzieli ludzi dzisiejszych, nie jest to już kwestia form politycznych, ale kwestia społeczna. Chodzi o to kto zwycięży: duch egoizmu czy duch poświęcenia; czy społeczeństwo stanie się jednym wielkim wyzyskiem na korzyść silniejszych, czy też współpracą wszystkich dla dobra wszystkich, a przede wszystkim dla ochrony słabych. Musimy się rzucić między te dwie armie nieprzyjacielskie».

Naukowe studia w Sorbonie, w których jednak ostatecznie, jak widzieliśmy, zwyciężyły zamiłowania filozoficzno-literackie, doprowadziły młodego uczonego na wyżyny uniwersyteckiej katedry. Rozpoczął więc swoje świetne wykłady, licząc zaledwo 27 rok życia.

Nie było ono lekkie, gdyż po śmierci ojca na niego spadł ciężar utrzymania matki i młodszego, nieletniego jeszcze rodu. I na podziw zasługuje istotnie ta jego niewyczerpana wprost pracowitość, która sprawiła, że przy tym wszystkim zawsze znalazł jeszcze dość czasu zarówno dla swych umiłowanych konferencyj świętego Wincentego, jak dla szerokiej działalności publicystycznej w redakcjach pism katolickich.

Świetne też były, jak wspomnieliśmy, jego prelekcje uniwersyteckie. Ściągały one całe tłumy słuchaczy, dla których Ozanam był nie tylko profesorem, ale wprost duchowym przywódcą. Opracowane zawsze bardzo starannie, przygotowane modlitwą i rozważaniem porywały wszystkich i działały głęboko nawet na niewierzących. W przeciwieństwie do panujących niemal powszechnie na uniwersytetach zwyczajów młody profesor zajmował się serdecznie swymi słuchaczami także poza godzinami wykładów. Oblegano go wtedy i przedstawiane mnóstwo spraw i trudności, nie tylko naukowych, ale bardzo osobistych, prywatnych.

Wszystko to sprawiło, że stanowisko uczonego katolickiego na naczelnym uniwersytecie Francji było niezwykle silne, nie tylko wśród wierzących, ale i niewierzących studentów. To też wystąpienia jego w obronie religii spotykały się najczęściej z pełnym uznaniem i przyjęciem.

Tak było, gdy jeden z młodych docentów, historyk Le-

normant po trzech latach walki wrócił do wiary i akcentował ją w swych wykładach, spotykając się w odpowiedzi na to z awanturami ze strony radykalnych słuchaczy. Ozanam śmiało wystąpił w obronie kolegi, odwołując się do modnego wówczas hasła wolności sumienia.

Tak było, gdy raz jakaś złośliwa ręka z tamtego obozu na drzwiach sali wykładowej Ozanama w napisie «prelekcje literatury zagranicznej» na miejsce słów ostatnich wpisała wyraz: «teologii». Ozanam wykladał tego dnia, jak zwykle, a na zakończenie dodał krótko: «Nie mam zaszczytu być teologiem, ale mam szczęście wierzyć, ambicję zaś służyć prawdzie z całej duszy i ze wszystkich sił moich». Te pełne godności, męskie słowa powitali słuchacze burzliwymi oklaskami i w ten sposób złośliwy żart przyczynił się jedynie do pomnożenia czci i znaczenia katolickiego profesora.

Niezmordowana jednak praca naukowa i charytatywna zwolna lecz stale podkopywała siły i zdrowie uczonego. Czuł wyraźnie ulatujące życie i wśród gorących modłów kornie przyjmował wolę Bożą, zgadzając się wielkodusznie na każdą ofiarę.

W roku 1853, jako czterdziestoletni zaledwo człowiek padł w Marsylii, zabity gruźlicą płuc, właśnie w powrocie z kuracji, odbytej we Włoszech.

Przed śmiercią użyzył mu Bóg tej wielkiej łaski, iż oglądał wspaniały wzrost swego dzieła miłosierdzia, błogosławionego przez papieży, uwielbianego przez tysiące nędzarzy, uratowanych nieraz od głodowej śmierci.

Była też konferencja św. Wincentego à Paulo najmiłszym wspomnieniem młodości Ozanama w latach jego dojrzałych i niewątpliwie w godzinie tak wczesnej śmierci. Gdy raz jako profesor, przemawiał we Włoszech na zebraniu jednej z tamtejszych konferencyj, bardzo gorąco podkreślił uczucie tej wielkiej radości, jaką rodzi w nim myśl, iż młodych lat swoich nie zmarnował, lecz zużył je na wielkie i piękne dzieło miłosierdzia chrześcijańskiego.

Świetlana postać Ozanama, którym do dziś dnia chlubi się katolicka młodzież francuska, niech będzie naszym ideałem!

Niech rzucone przezeń wielkie hasło: Bądź miłosiernym, któreśmy podjęli i poddali sodalicjom naszym właśnie w roku jubileuszowym jego konferencyj, będzie trwałym i nigdy nie-

przebrzmiałym hasłem naszej czynnej miłości bliźniego, niech opromieni i nasze młode lata aureolą miłosierdzia, a niewątpliwie i my kiedyś, wspominając czasy szkolne czy uniwersyteckie, będziemy mogli powtórzyć wielkie i radosne słowa Ozanama: Nie zmarnowaliśmy lat młodych, lecz za łaską Bożą wzbogaciliśmy je świętymi czynami miłości i miłosierdzia chrześcijańskiego, które młodości naszej i duszom i charakterom naszym przydały treści bogatej, przedziwnej wartości i niegasnącego blasku...¹⁾

1933.

DOKTOR PAWEŁ MICHAUX

(1854—1924)

Sylwetka Pawła Michaux zarysowała się nam niedawno tak jasno i tak wyraźnie w artykule dra Barbet²⁾, że zapragniemy z postacią tego naprawdę wielkiego katolika i Francuza zapoznać choć w skrócie naszą młodzież sodalicyjną. Przez swą żywą wiarę, przez gorący patriotyzm, przez zrozumienie i umiłowanie młodzieży stanie się on niewątpliwie bliższym i naszym sodalicyjnym zastępem, a przed przyszłą, katolicką inteligencją Polski otworzy z pewnością nowe i szerokie horyzonty katolickiego czynu.

— — — — —

Syn lotaryńskiego lekarza-chirurga, który po strasznej katastrofie w 1870 roku zdecydował się opuścić ukochany, ojczyzny Metz, liczył lat 16, gdy jako młody absolwent kolegium towarzyszył ojcu we wstrząsających do głębi pracach i wysiłkach lekarza wojskowego nieszczęśliwej, rozbijanej przez Niemców armii francuskiej.

Po ojcu, którego zawsze czcił serdecznie i głęboko, odziedziczył wyjątkowe wprost zdolności chirurgiczne, które zdecydowały o jego życiowym powołaniu. Na ławie szkolnej je-

¹⁾ Korzystałem z artykułów dra E. Jelonka w «Misjach» xx. misjonarzy, Kraków, nr 4/5, 1933 oraz J. Matjasika w «Przeglądzie Powszechnym», Kraków, czerwiec 1933.

²⁾ Por. «Études», Paris 1923, nr 24, décembre, p. 665, «Une belle figure catholique et française: Le Docteur Paul Michaux».

zuickiego kolegium św. Klemensa w Metz kolegowal z późniejszym marszałkiem Francji, bohaterskim Fochem, tam także zawiązała się między tymi dwoma młodzieńcami serdeczna, gorąca przyjaźń, która przetrwała aż do grobu.

Paweł wstępuje do szkoły wojskowej w Saint-Cyr i zostaje lekarzem-chirurgiem armii. Przy tym wykłada młodym elewom medycyny zasady wielkiej sztuki chirurgicznej. Uchodzi też powszechnie za niezrównanego nauczyciela. Uczniowie jego opowiadają, że miał jakiś wrodzony dar wykładu. Najtrudniejsze i najbardziej skomplikowane kwestie w ustach jego stawały się dziwnie jasne, żywe, świetliste — niezrównana zaś dobroć jego pomagała, wspierała nieraz do głębi strwożonych trudną nauką i wielkimi wymaganiami studentów.

Dr Michaux był człowiekiem, który pasjami wprost ukochał swój zawód, nim i dla niego żył i gotów był wszystko poświęcić. Opanowany w sobie do ostateczności, obdarzony zimną krwią, niebywałą energią i świetną, natychmiastową orientacją i szybkością decyzji, był pierwszorzędnym operatorem w najtrudniejszych nawet wypadkach.

A przy tym wszystkim ta niebywała, serdeczna, ojcowska dobroć! Porywała ona wprost ku niemu młodych, którzy w swym mistrzu widzieli i entuzjazm powołania i miłość nieprzebraną dla nieszczęsnych chorych i pełne zaufanie dla uczącej się młodzieży.

Cóż dziwnego, że powszechnie go zwali po prostu: «ojcem Michaux».

Nie tutaj miejsce, by wyliczać jego wartościowe metody operacyjne, chirurgiczne, które zdobywał długim wysiłkiem i wytrwałą pracą, a przez które kroczył zawsze w parze z najświeższymi odkryciami, z najnowszym postępem. To też w r. 1916 dr Michaux ogólnie szanowany przez swych kolegów, zostaje wybrany prezydentem stowarzyszenia chirurgów.

Przy tej ciągłej, wyczerpującej, pochłaniającej do ostatka pracy fachowej, dr Michaux znajduje zawsze czas na wielką akcję społeczną i to akcję nawskróś katolicką.

W połowie wieku XIX medyczny świat Francji był właściwie niemal w całości pogrążony w ateizmie. Lekarze francuscy do dziś opowiadają sobie krótką, ale jakże dobitną anegdotę na ten temat z pierwszych lat tego stulecia.

Oto papież Pius VII przybywszy do Paryża na koronację

Napoleona I poznał gdzieś grupę młodych lekarzy katolickich, wśród których znalazł się również znany później zaszczytnie dr Laënnec. Przedstawiono go Piusowi VII z objaśnieniem o silnych zasadach katolickich medyka. Papież uśmiechnął się żartobliwie i zauważył: *Medicus pius, res miranda!* Dla Pawła Michaux zdziwienie, które wywoływał swą głęboką wiarą, nie stanowiło najmniejszej przeszkody. Wkrótce wstępuje do «Związku młodych ludzi» («Reunion des jeunes gens»), który był czymś w rodzaju Sodalicji Mariańskiej, gdyż Najświętszą Pannę uznawał swą szczególną Patronką, a liczył w swym gronie takie (między innymi) sławy lekarskie, jak wspomniany wyżej dr Laënnec, genialny wynalazca auskultacji i znany przez prace w dziedzinie anatomi patologicznej, ojciec nowożytnej medycyny, dr Cruveilhier znakomity anatom, dr Récamier twórca ginekologii i świetny znawca metod klinicznych.

W roku 1872, gdy Michaux wstępował w szeregi tego związku, cała medycyna, jak wspomnieliśmy, była najzupełniej bezreligijna i do związku należało zaledwie 2 lekarzy. Ale w trzy lata później było ich już 5 czy 6 i już wtedy z inicjatywy dra Michaux powstaje osobna sekcja lekarska. W roku 1877 liczy ona 12 członków, odbywa co tydzień swe naukowe zebrania. Wreszcie w roku 1879 na uroczystym posiedzeniu przemienia się w osobny związek pod patronatem i imieniem dra Laënnec. Paweł Michaux zostaje prezydentem związku liczącego już 35 członków. Podstawą całej działalności tego stowarzyszenia katolickich medyków ma być pobożność i praca. Oddany tej wielkiej idei ks. Hubin urządza dla jego związku nabożeństwa, rekolekcje — Michaux przoduje we wszystkim. On również kieruje pracą naukową w sekcji internistów, chirurgów, studentów. Związek przynosi wspaniałe owoce. Cały szereg wybitnych ludzi nie tylko kształci się głęboko, fachowo, ale umacnia swe charaktery, wprowadza w życie i czyn swe idee religijne, zacieśnia węzły przyjaźni najserdeczniejszej i najtrwalszej. Wytwarza się przezeń we Francji silna grupa głęboko wykształconych i gorąco po katolicku wierzących i praktykujących lekarzy.

Oczywiście nie bez trudności, nawet prześladowań! Odhieranemu dwukrotnie lokal zebrania, bibliotek, zbiorów, tułali się to tu, to tam po Paryżu, ale liczba członków mimo wszystko rosła i dochodziła już do 150. W r. 1902 t. zw. «Konferencja

Laënnec» otrzymała już swego osobnego kapelana. W wojnie światowej, w obronie ojczyzny straciła ponad 50 członków na polu chwały, kapelan jej powrócił z frontu z krzyżem wojennym i wstążeczką Legii Honorowej. Dziś liczy ona 400 członków, a 2.000 lekarzy katolickich rozprószonych po całej Francji — to przesłiczny i przebogaty plon jej z górą półwiekowej działalności. Ani na chwilę nie zboczyła konferencja od swych założeń religijnych. Wspólne msze święte niedzielne i pierwszo-piątkowe, wspólne modlitwy, pielgrzymki do bazyliki na Mont-Martre, doroczne, trzydniowe rekolekcje umacniają i pogłębiają w członkach ducha żywej wiary, odwagi przekonań, synowskiego przywiązania do katolicyzmu. Praca społeczna i charytatywna, bogate współzycie towarzyskie, pełne szczerej wesołości dopełniają obrazu rozwoju tej instytucji, której duchem i motorem przez lat kilkadziesiąt był nasz doktor Michaux.

Kto z końcem ubiegłego, XIX wieku w wiosennych czy letnich miesiącach przybywał z któregoś zaboru do Krakowa, często z całym zajęciem i głębokim podziwem zwiędzał ulubiony przez krakowian, szczególnie zaś przez ich dzieci i młodzież «Park dra Jordana», rozszerzający się swymi boiskami sportowymi na kilku dziesiątkach morgów w części bloń krakowskich. W czasach, gdy o sporcie głucho jeszcze było w całej porozbiorowej Polsce, a bynajmniej niegłośno w reszcie Europy, szlachetna inicjatywa, wielka ofiarność i niestrudzony wysiłek jednego człowieka, wielkiego Polaka i wzorowego katolika, profesora medycyny Uniwersytetu Jagiellońskiego, Henryka Jordana stworzyły kolebkę, rzecz można, fizycznego odrodzenia naszej młodzieży.

Dziwna rzecz, że zupełnie współcześnie dr Paweł Michaux, wielki Francuz i wielki katolik i również lekarz podjął analogiczną ideę we Francji¹⁾.

Straszliwa klęska z roku 1870, podobnie jak u nas rozbiory i upadłe powstanie, rozżarzyła w sercach uczestników tych nieszczęsnych zmagających się Francji z pruskim barbarzyńcą nieugaszoną nadzieję nowej, tym razem zwycięskiej wojny, do

¹⁾ Kogóż tu nie uderza przedziwna łączność głębokiego katolicyzmu z żywym odczuwaniem potrzeby fizycznego rozwoju człowieka i śmiałym rzucaniem i ofiarnym realizowaniem najbardziej postępowych haseł i idei?

której trzeba młodzież francuską stale i konsekwentnie przygotowywać. Wielki patriota, naoczny świadek klęski i co najważniejsze do głębi duszy rozbolewały, lotaryński uchodźca, dr Michaux bierze się do dzieła. A dodajmy, że jako lekarz z najszerszego powołania rozumie doniosłość wychowania fizycznego dla narodu.

Tak powstaje pod jego ręką, pod jego kierownictwem: «Federacja gimnastyczna i sportowa patronatów francuskich» (La Fédération gymnastique et sportive des patronages de France).

Rozrasta się ona z patronatu paryskiego, któremu Michaux przez dwadzieścia lat z górą poświęcał swoje wszystkie niedziele, zapominając o sobie i całym Bożym świecie.

W roku 1898 Federacja łączyła już 25 związków sportowych i gimnastycznych z 700 członkami. Zawody narodowe w roku 1900 wykazały ich 2.000. W 1911 r., w Nancy 10.000 znakomicie wyćwiczonej młodzieży stanęło na olbrzymim stadionie... Za trzy lata poszli ci chłopcy z bagnetem w rękę w bój o honor i wolność Francji...

Dwa razy, w 1906 i 1908 roku kilkaset tej młodzieży z inicjatywy i dużej osobistej ofiary dra Michaux spieszy w pielgrzymkach do Rzymu z hołdem dla Piusa X i przed nim odbywa świetne pokazy gimnastyczne, a papież wzruszony do głębi, przyciska do serca trójkolorowy sztandar narodowy francuski, który wtenczas właśnie przez politykę rządu tak się odzęgnywał oficjalnie od Kościoła i papieża¹⁾).

W potężniejącym coraz bardziej Związku pod energiczną ręką założyciela idea sportowa splatała się coraz silniej i coraz głębiej z wielką ideą narodową i religijną. I właśnie dlatego Federacja nie kształciła atletów na pokaz, ani obłąkanych, jak dziś, rekordmanów, ale promieniowała w szerokie, jak najszersze warstwy młodzieży francuskiej, wszędzie niosąc swą wysoką ideologię i rzetelne wyrobienie fizyczne i duchowe.

Miał jeszcze dr Michaux i tę wybitną, a dość rzadką u organizatorów cechę, że umiał koło siebie i swej idei skupić gromadę ludzi współpracujących z nim, na polu zarówno ideowym, jak fizycznym. To też Federacja szybko rozbudowała się

²⁾ W roku 1905 Francja zerwała konkordat z Rzymem, wypędzała zakony...

w niezliczone sekcje i kluby obejmujące wszelkie rodzaje gry w piłkę, tenis, pływanie, strzelanie itd.

A wielki założyciel wierzył i ufał, że przyjdzie godzina, w której te dziarskie i dzielne drużyny pójdą na pole walki o świętą, nieprzedawnioną sprawę ojczystą, o zwalenie słupów i barier granicznych między Francją a ukochaną Lotaryngią...

I przyszła.

Gdy w r. 1914 rozbrzmiały po Europie przeraźliwe sygnały wielkiej wojny, jego Federacja liczyła już 200.000 czynnych i 100.000 współpracujących (honorowych) członków.

Z czynnych poszło w bój 60.000 w mundurze oficerów, podoficerów i szeregowców, przy końcu zaś wojny było ich nawet 110.000! Blisko jedna czwarta (25.000) padła na polu chwały, 70.000 było rannych. Jakaż to być musiała wyborowa, w pierwszych szeregach idąca armia katolickich rycerzy-patriotów! Raz jeszcze okazał katolicyzm, jak pojmuje czynną, ofiarną, bohaterską miłość ojczyzny!

Z tych, co wrócili, dziesiątki tysięcy nosły na piersiach krzyż wojenny, Legię Honorową i inne wysokie odznaczenia wojskowe.

«Ojciec Michaux» doczekał tryumfu, ale wiek i przeżyte trudy i prace zrobiły swoje...

Obok tryumfu oręża oglądał on jeszcze inny wielki tryumf — idei. Nieporównana duchowa i fizyczna tężyzna jego Federacji sprawiła, że oficjalnie czynniki państwowe, dotąd nieraz jej wrogie zupełnie wyraźnie, po wojnie zmieniły swe stanowisko, a rywalizujące z Federacją inne organizacje sportowe młodzieży francuskiej, dążyły do zawarcia porozumienia i nawiązania stosunków.

Stary, spracowany doktor marzył jeszcze o jednym. Chciał, by jego umiłowana młodzież zjawiała się wraz z nim w ukochanej Lotaryngii i ujrzała tam na własne oczy, jak zupełnie, jak doszczętnie zanikają ślady okupacji i prusactwa!

Dobry Bóg pozwolił mu doczekać i tej nagrody.

Serdeczny jego druh i powiernik, bohaterski marszałek Foch sam mu zaproponował wspólną podróż do ojczystego Metz i wspólną modlitwę w ich drogim, starym kolegium św. Klemensa.

Z tymi dwoma wielkimi mężami Francji ruszyły tam i dziarskie drużyny Fédérationi.

Wielką tę chwilę żywo i barwnie opisał dr Willemin.

Oto jego słowa:

«Było to 20 lipca 1920 r. Dr Michaux był już zbyt zmęczony, aby maszerować ulicą razem ze swymi chłopcami, stanął więc pod katedrą, wsparłszy się o jedną z jej kolumn, spokojny i pogodny, jak zawsze.

Czekał...

Nikt nie dostrzegł nic ciekawego. Ale on widział jak z miasta, ze wszystkich stron zbiegali się jego młodzi i gromadzili się na wielkim placu...

Nikt nic nie słyszał. Ale on słyszał, jak biegną, słyszał już ich kroki miarowe, bijące głucho w bruk uliczny...

Nie odzywał się ani słowem, za to jego towarzysze wspominali sobie to, co im tak często powtarzał przez lat piętnaście, powtarzał z tą przedziwną pewnością, która się wspierała na jego wierze: «Jaki to będzie piękny dzień, gdy z 10.000 chłopców z naszych patronatów zbierzemy razem w wolnym już Metz, a oni swoje sztandary wniosą w progi katedry...»

Ale oto otwierają już wszystkie jej podwoje... potężny organ huczy porywającym *Te Deum*, potoki światła zalewają nawę, dziesięć tysięcy młodych wchodzi miarowym krokiem, pięćset sztandarów powiewa nad ich głowami... Obecni nie mogą powstrzymać okrzyków wzruszenia, cisną się, rzucają się ku nim... łkają... On jeden zostaje cichy, nieporuszony... Dla niego to wszystko nie było żadną niespodzianką. Czyż przestał kiedykolwiek wierzyć? On tylko ogląda sen, który się spełnia i mija, a potem... pada na kolana, aby dziękować Bogu...»

Świetny tryumf idei dra Michaux odniesiony w Metz nie mógł minąć bez zwrócenia nań i na jego wspaniałe dzieło uwagi nawet ze strony rządu francuskiego. Przyznano mu odznaczenie Legii Honorowej.

Należało ono mu się już dawno, ale nikt w kołach katolickich nie dziwił się tak długiemu pomijaniu doktora, znanego powszechnie ze swych przekonań katolickich i narodowych, z oddania się sprawie religijnej/wyrobienia młodzieży, przez rząd o kierunku skrajnie radykalnym. Dopiero po śmierci tego wielkiego katolika i patrioty wyszedł na jaw bardzo ciekawy i charakterystyczny dowód nieugiętości jego charakteru i niezłomności jego ideologii.

Jako naczelny i zasłużony chirurg szpitali paryskich znalazł się już w r. 1904 automatycznie na liście kandydatów do tego najwyższego we Francji odznaczenia. Naczelny referent tej sprawy przygotował odpowiedni wniosek... Odznaczenie udaremnił własnoręcznym listem sam dr Michaux. Odmówił przyjęcia Legii Honorowej z rąk ministra spraw wewnętrznych Combes'a, znanego wroga i prześladowcy Kościoła katolickiego w Rzeczypospolitej Francuskiej.

Stosunki zmieniły się zasadniczo po wojnie światowej. W roku 1921 Krzyż Kawalerski Legii Honorowej mógł już spokojnie zawisnąć na piersi tego wysoce dla narodu i państwa zasłużonego człowieka. W dyplomie orderu wystawionym przez ministra wojny, czytamy o nim te słowa: «... poświęcił się od lat z górami dwudziestu wykształceniu fizycznemu młodzieży i jej przysposobieniu wojskowemu». Sam marszałek Foch, drogi, stary druh i kolega doktora wręczył mu wstęgę Legii z tymi prostymi, żołnierskimi słowami: «Tyś był jednym z najlepszych sprawców naszego zwycięstwa».

Wkrótce potem rząd francuski uznał «Federację» za organizację o użyteczności publicznej. Dalsze jej kongresy przynosiły coraz nowe tryumfy. Tak w Strassburgu w sierpniu 1921 r., gdzie 15.000 katolickiej młodzieży sportowej rozwinęło setki swych sztandarów w prastarej katedrze. Tak jeszcze bardziej w lipcu 1923 r. w Paryżu, gdzie na Polach Elizejskich stanęły jej szyki w liczbie 30.000, których postawa, wygląd, karność i sprawność budziły wprost zachwyt niezbyt doń skłonnych paryżan...

Ale dr Michaux już nie mógł uczestniczyć w tych wspańnych uroczystościach.

Jego bardzo osłabiony pracą i wiekiem organizm nie mógłby znieść głębokich wzruszeń z nimi związanych. Lekarz zatrzymał go więc w domu... Nieodstępna jego i najwierniejsza towarzyszka życia określiła to w prostych, serdecznych słowach wyrzeczonych w kole najbliższych: «Paweł złożył Bogu w ofierze swą nieobecność na kongresie w intencji jego najlepszego przebiegu i wyników...»

Wgłębiając w swój fotel śledził starzec z godziny na godzinę program zjazdu i jego szczegóły, które osobiście na długo przed terminem w najdrobniejszych szczegółach przewidział i ułożył.

Dzieło jego było już skończone i doprowadzone do doskonałości... Pracownik mógł więc już odejść na spoczynek... Ale czekała go jeszcze z woli Boga, jedna, ostatnia próba... Końcowe trzy miesiące życia były dlań jedną, wielką męczarnią, tym większą, że jako lekarz przenikał z uderzającą jasnością tajniki choroby... ale jako chrześcijanin znośił ją z pełną i pogodną rezygnacją...

Ostatnimi jego słowami przed utratą przytomności były wyrazy sercu jego najdroższe: Konferencja Laënnec i Federacja...

W dniu 24 listopada 1924 r. piękny kościół św. Tomasza z Akwinu w Paryżu tonął w żałobnych kirach i świetle setek świec pogrzebowych...

Dużą przestrzeń przed ołtarzem i dalej dokoła katafalku wypełniły niezliczone poczty sztandarowe. Owinięte czarną krepą sztandary dzierżyły krzepkie dłonie młodych, dziarskich i rosłych chorążych, tworząc swego rodzaju gwardię honorową tego, co odszedł...

Rzesza olbrzymia zaległa świątynię... skupiona i dziwnie cicha... Widziałeś wśród niej przedstawicieli wszystkich warstw i ugrupowań społecznych i ludzi wszelkiego wieku; obok najwybitniejszych członków duchowieństwa stolicy, reprezentacji władz rządowych, duża grupa generałów pod osobistą wodzą marszałka Focha pogrążonego w bólu u trumny najlepszego przyjaciela... A potem tłumy nauczycieli, wychowawców fizycznych, wybitnych lekarzy i chirurgów...

U katafalku stanął arcypasterz stolicy, kardynał świętego rzymskiego Kościoła, błagając Boga o wiekuistą światłość dla duszy Pawła.

A przed kościołem orkiestry wojskowe, żołnierskie szyki, oddziały młodzieży bez końca... i sztandary, sztandary... Ale ani jednego wieńca, ani bukietu...

U bramy cmentarza ostatnia defilada... Wysłańcy dwustu tysięcy młodzieży zorganizowanej w Federacji przechodzą koło drogiej trumny i chylą sztandar za sztandarem, żegnając Naczelnika...

I w ciszy głębokiej, nieprzerwanej żadną przemową prócz szeptu modlitw żarliwych trumna z doczesnymi szczątkami dra Michaux spoczęła w ziemi cmentarnej...

Na zakończenie tego szkicu biograficznego, który już sam przez się starczył by za najpiękniejszą charakterystykę dra Michaux, niech nam przecież wolno będzie skupić jeszcze na jego postaci parę jasnych promieni...

Słusznie mówi o nim przyjaciel-biograf, że był on przede wszystkim mężem wiary. Wiary jasnej, szerokiej, czynnej, wiary, która piętno swoje wybijała na każdym przejawie jego życia. Było ono właściwie w całości jednym, ciągłym wyznaniem wiary. Na niej budował on tę swoją niezrównaną ufność, że przyszłość musi przynieść ostateczne zwycięstwo jego idei, jego dziełu. Można nawet powiedzieć, że on nie przewidywał, ale po prostu *wiedział*, co się stanie. On wiedział, był pewny, że jego ukochana Lotaryngia odzyska wolność, że do niej wrócą znów francuskie sztandary, pewny do tego stopnia, że przekonanie jego promieniowało dokoła i porywało innych.

To jedna, wielka cnota chrześcijańska, której nam niestety tak bardzo jeszcze brakuje. Wiara, nieraz u wierzących nawet katolików aż nazbyt często spychaną bywa do rzędu spraw tylko odświętnych, czcigodnych pamiątek, ojczystych tradycji, a tak rzadko zasiada u kierownicy życia, by je prowadzić bez odchyłeń i zbroczeń szlakiem Bożego prawa na każdy, nawet najpowszedniejszy dzień!

Drugą, podziwu godną zaletą chrześcijańskiego charakteru dra Michaux była jego nieugięta stanowczość, którą umiał przedziwnie łączyć z dobrocią i słodyczą. Ileż przeszkód musiał zwyciężyć, ile trudności usunąć, gdy wznosił swoje wielkie dzieło! Czyż w jego związku nie upatrywano t. zw. «klerykalnej roboty», która dla pewnych kół we Francji była i dziś jest straszakiem? Musiał walczyć z pewnymi względami nawet we własnym obozie, bo i w nim nie brakło ludzi zacnych, ale ciasnych, pełnych przesądów i obaw, niezdolnych do zrozumienia jego idei i zamierzeń.

Opowiadają o organizowanej przezeń pielgrzymce katolickiej młodzieży sportowej do Rzymu, że była najeżoną wprost trudnościami. Państwowe koleje francuskie odmówiły ułatwień w przejazdach, właściciele hoteli w Rzymie wzbraniali się przyjąć jego pielgrzymów, ba nawet kuria papieska początkowo odmówiła audiencji! Uparty Lotaryńczyk nie dał się zrazić niczym! Ktoś może trywialnie trochę, ale trafnie powiedział, że «rogatą swą głową uderzał w brązową bramę Watykanu,

aż puściła...» I silnym, sportowym krokiem poszły francuskie chłopaki wspinałą *scala regia* na papieską audiencję!

A jaką zawsze promieniował radością!

Nie opuszczał go nigdy uśmiech pełen wesela. Był duszą zabaw i zbiórek i ćwiczeń. Gdzie on się pokazał, dzwoniły kaskady młodzieńczego śmiechu, czy go otaczali wysportowani, młodzi gimnastycy patronatu, czy poważni lekarze w kole Laënnec'a.

Przy tym wszystkim dr Michaux był niesłychanie opanowanym człowiekiem. I to całe szczęście! Bo nieprzebrane zasoby energii, które krył w swym, dość zresztą wątłym ciele, były by go nieraz poniosły do użycia gwałtu w przeprowadzaniu potężnych myśli i zamierzeń... Panując nad sobą wprost świetnie, nie dał się porwać do czynów nieprzemyślanych, gorączkowych, ani zatracić owej wewnętrznej dobroci i słodyczy, które zawsze przychodziły do głosu.

A miłość bliźniego? Jeśli przykazanie Chrystusowe nakazywało go kochać jak siebie samego, to w życiu Pawła Michaux przybierała ona zawsze formę nakazu: kochaj go więcej, niż siebie samego! Rozdawał swój głos, rozdawał swój czas, swoje serce, swoje siły — wszystko! Nie miał syna, nad czym bolał, ale wszystkich swych chłopców kochał jak synów rodzonych. I gdy ich stracił 20.000 na wielkiej wojnie niepokieszony był i zgnębiony jak ojciec!

Ponad to wszystko był pokorny. Jakże chętnie mówił o zasługach swych współpracowników, jak ich wysuwał, sam kryjąc się w cieniu. Często go też uważano za niepozornego człowieka, nigdy nie prostował tych sądów — czyż zresztą wszystkiego nie przypisywał Bogu?

«Przyszedł raz dzień — wyznał w kole zaufanych — w którym całe moje dzieło zachwiało się poważnie. Upadłem na kolana i zacząłem się modlić. Na drugi dzień już otrzymałem pieniądze, których mi gwałtownie brakowało, powrócili ludzie, którzy mnie opuścili, sprawa, która zdała się umarłą, zmartwychwstała. Był to prawdziwy cud. Przecież nie ja go dokonałem, lecz Bóg. Wierzę w to i wierzę w Boga».

Ta pokora nauczyła go ufać bezgranicznie miłosierdziu Bożemu. Więc gdy przyszły ostatnie chwile życia, wargi jego tę jedną nieustannie, we dnie i w nocy szeptały modlitwę: Boże mój zmiłuj się nade mną!

Takim był dr Paweł Michaux! Takim pozostał na zawsze w pamięci swych uczniów, swych wychowanków, swych chłopców. Godziło się tu jasną postać wielkiego Francuza i wielkiego katolika ukazać i naszej, polskiej młodzieży, by w kształtowaniu swego chrześcijańskiego charakteru, w swej pracy i wysiłku dla Boga i ojczyzny brała zeń wzór i przykład promienny dla siebie.

1934.

DR ENGELBERT DOLLFUSS

KANCLERZ AUSTRII — SODALIS

Jest sobota, 28 lipca po południu... ¹⁾

Zapalam lampy odbiornika. Przesuwam podziałkę kondensatora... Szukam Wiednia... Chwytam szum i gwar wielkiej rzeszy ludzkiej zebranej przed ratuszem stolicy... Dolatują mnie słowa komendy wojskowej... klaksony aut... dźwięki orkiestry... Nagle robi się cisza, w którą wpada wstrząsające, pogrzebowe *De profundis* kapłanów...

Po modłach żałobnych na mównicę wstępuje prezydent Rzeczypospolitej austriackiej, dr Miklas i wyraźnie wzruszonym głosem zaczyna proste, gorące słowa pożegnania...

Kogoż to chowają tak wspaniale i uroczyście... Kto odchodzi na wieczny spoczynek...?

Kanclerz Rzeczypospolitej, naczelnik rządu, dr Engelbert Dollfuss w pełni lat męskich, bo w 42 roku życia, zamordowany okrutnie, bezlitośnie przez politycznych bandytów dnia 25 lipca 1934 r.

Po kilku przemówieniach rusza głównymi ulicami stolicy olbrzymi pochód żałobny, kierując się wśród jęku dzwonów całego miasta ku prastarej św. Stefana katedrze...

Po dwóch godzinach radio wiedeńskie podejmuje transmisję...

Tum gotycki tonie w kirze żałoby... Chór potężnym *Requiem* Mozarta wita szczątki śmiertelne wielkiego męża stanu i wielkiego katolika, a po wstrząsającym *Libera me Domine*, wstępuje na ambonę kardynał Innitzer, ksiądz arcybiskup sto-

¹⁾ 1934 r.

licy i z trudem opanowując silne wzruszenie, sławi w mocnych słowach zmarłego tragicznie kanclerza. Powiada o nim:

...«Był Dollfuss katolikiem nie z imienia tylko, lecz z najgłębszego przekonania i z życia. Jakże często widzieliśmy go tutaj, w tej katedrze zatopionego w modlitwie... a na kilka dni przed zgonem, tu, u tego ołtarza wraz z uczestnikami zjazdu katolickich organizacyj rolniczych Austrii 18 lipca przyjmującego Chrystusa w świętej komunii... Żył z Chrystusem zjednoczony, i jak Chrystus opuszczony umierał... Ani kapłana, ani lekarza doń nie dopuścili... a w ostatnich słowach powtarzał jakby słowa Zbawiciela: «Dążyłem do zaprowadzenia pokoju; przebaczam tym, którzy do mnie strzelali...»

Słowa arcybiskupa potwierdza ojciec św. Pius XI, który na wiadomość o zbrodni w swym piśmie kondolencyjnym głosi: «Składamy hołd pamięci prawdziwego chrześcijanina, wiernego syna Kościoła, dzielnego obrońcy swej ojczyzny... Zmarły poświęcił najwyższe napięcie energii swego umysłu i swego serca służbie idei prawdziwego chrześcijanina i szczeremu pokojowi między narodami...»

Tym prawdziwym chrześcijaninem był Dollfuss przez całe swe, krótkie niestety życie.

I w skromnym domu rodzinnym, w którym przyszedł na świat jako syn chłopskiej, góralskiej rodziny, i w latach szkolnych w gimnazjum w Hollabrunn, w Austrii Dolnej, gdzie w r. 1907 wstąpił do Sodalicji Mariańskiej uczniów i przez lat pięć gorliwie w niej pracował, i w czasie studiów uniwersyteckich... i zawsze.

Gdy bawił w Rzymie, nie omieszkał odwiedzić «Prima Primarii», a sekretarzowi generalnemu wszystkich sodalicji świata katolickiego, ks. Vilaret złożył w darze swą fotografię z własnoręcznym podpisem i życzeniami świąt Bożego Narodzenia, którą w tym numerze reprodukuje.

To też rok rocznie pobożną pielgrzymkę odbywał do austriackiej Częstochowy, uroczego Mariazell, a jednym z ostatnich czynów tego wielkiego sodalisa-kanclerza było rozporządzenie o wybiciu nowych monet srebrnych, pięcioszylingowych z wizerunkiem Matki Najświętszej i napisem: *Magna Mater Austriae*.

Gdy prezydent Rzeczypospolitej zawezwał dra Dollfussa do siebie i nalegał nań, aby przyjął godność kanclerza Austrii,

młody polityk wyczerpawszy wszystkie argumenty odmowne, zażądał w końcu pewnego czasu do namysłu i jak mówił «poradzenia się». Po dwóch godzinach wrócił i wyraził zgodę.

Po dłuższym dopiero czasie wyszło na jaw, że te dwie godziny spędził Dollfuss w cichym kościółku wiedeńskiego przedmieścia na żarliwej modlitwie przed tabernakulum... «Radził się» Boga, co ma uczynić w tak ważnym, decydującym momencie życia...¹⁾

Taki był początek jego kanclerstwa i ta jego narada z Bogiem Utajonym wybiła niewątpliwie swe najgłębsze piętno na całej późniejszej polityce niezłomnie chrześcijańskiego kanclerza Austrii...

Prześlicznie też pisze o nim w jednym z ostatnich numerów «Przeglądu Powszechnego» redaktor, ks. Jan Rostworowski: «Do swej wielkiej roli przygotowywał on się najpierw zupełnie niepospolitym, duchowym wyrobieniem. Do samej głębi duszy religijny i żarliwie pobożny, osiągnął on w swym niedługim życiu ten stopień cnót chrześcijańskich, który na jego stanowisku i przy jego rodzaju zajęć musi budzić podziw. Absolutnie bezinteresowny, w prywatnym i publicznym życiu kryształowo czysty, skromny, łagodny, uprzejmy dla wszystkich, a tylko w wymaganiu od siebie nieubłagany — takim był ten człowiek i ten chrześcijanin doprawdy w niejednym z tych szczegółów, które dziś licznie wychodzą na światło dzienne, przypominający świętych.

...A ten drobny, cichy człowiek, o łagodnym, a czasem niemal figlarnym uśmiechu, to był nie tylko pierwszorzędnny mąż stanu, ale jeden z tych, co potrafią w najtrudniejszych chwilach stać się wodzami i zbawcami całego narodu. Bystry umysł, jasny sąd w ocenie sytuacji, umiejętność decyzji, a nade wszystko żelazna i konsekwentna wola, to wszystko miał dr Dollfuss w stopniu bardzo wysokim i to wszystko oddał bez zastrzeżeń w służbę najwyższych ideałów.

...Setki tysięcy ludzi powtarzały jeszcze za życia jego z najgłębszym przekonaniem to, co jest miarą pozycji zdobytej przezeń w narodzie: *Oesterreich ist Dollfuss und Dollfuss ist Oesterreich*. Niewielu ludzi na świecie odważyłoby się po-

¹⁾ Według «Osservatore Romano».

wiedzieć: Ja i naród to jedno, ale może mniej jeszcze było takich, o których powiedział by to sam naród»¹⁾).

I ten naród po śmierci o nim nie zapomina. Do jego grobu na cmentarzu dzielnicy XIII Wiednia, Hietzing, nie ustają pielgrzymki. Służba cmentarna opowiada, że w niektórych dniach modli się przy trumnie Dollfussa do 40 tysięcy pielgrzymów, często nawet z zagranicy... Dla uczczenia jego pamięci rozpoczęto już wznosić kościół, w którym obok niezapomnianego kanclerza, ks. dra prałata Seipla spoczną zwłoki jego wielkiego następcy.

W pamięci zaś katolickiego świata pozostanie zamordowany kanclerz państwa austriackiego jako typ — a może i ideał — nowożytnego do głębi polityka, który ustroj państwa XX wieku postanowił oprzeć na granitowym fundamencie chrześcijańskiej nauki społecznej, ujętej genialnie w encyklikach dwóch wielkich papieży, Leona XIII i Piusa XI, i jako typ nowożytnego człowieka, który swoją osobistą kulturę umysłową i moralną, polityczną i społeczną zaczerpnął z katolickiego poglądu na świat, a przez to stwierdził, że i w dzisiejszych czasach pogląd ten nic nie stracił ze swej, prawdziwie wielkich ludzi kształtującej i wychowującej wartości... byle tylko był w całości do głębi i życiowo przeżyty i przyjęty...

Boleśnie odczuła zgon kanclerza, tragiczny i niespodziany, katolicka młodzież Austrii. Miał on przecież dla niej zawsze szeroko otwarte serce, rozumiał ją, kochał i zawsze swą radą i wpływem wspomagał...

Wzruszający też obmyśliła dlań pomnik, znak pamięci i wdzięczności na zawsze²⁾).

Ze składek ufundowała pamiątkową, potężną świecę do narodowego sanctuarium Marii we wspomnianym Mariazell... Świeca Dollfussa ma płonąć co rok w dzień jego śmierci i świadczyć, iż sodalisem był Marii, katolikiem *uczynkiem i prawdą*, męczennikiem Bożej idei, której służył wiernie, najwierniej...

1934.

1) «Przegląd Powszechny», nr 9, wrzesień 1934.

2) «Oesterreichisches Kolpingblatt», Wien.

O. EDWARD GEMELLI

— Ksiądz dyrektor prosi o nieco cichszą rozmowę — odezwał się z przyjaznym uśmiechem służący biblioteczny do dwóch mężczyzn rozmawiających z całym ferworem na korytarzu tak zawsze cichego i uroczystego gmachu — przesławnej Biblioteki Ambrozjańskiej w Mediolanie... Rozmawiający jednak nie zwrócili najmniejszej uwagi na jego słowa. Podeszedł więc bliżej i już z całym naciskiem oświadczył:

— Proszę panów, nieco ciszej, wszystko słychać w pracowni księdza dyrektora...

Ocknęli się...

— Czyjej? — zapytał głośno, jakby przez sen, jeden z nich w sukni kapłańskiej...

— No, ks. prałata Ratti, przecież zupełnie nie może pracować — mówił już zniecierpliwionym głosem, woźny...

— Ah, tak! Bardzo przepraszamy...

Usunęli się na drugi koniec korytarza i wnet w ognistej dyskusji zapomnieli znów o Bożym świecie, o dyrektorze Ambrosianum i jego słudze.

I któż to taki?

Były prawnik, obecnie ks. Giandomenico Pini dyskutuje z młodzieńcem, świeżo doktoryzowanym lekarzem, drem Edwardem Gemelli. Dysputa toczy się po raz nie pierwszy, omawia zagadnienia filozofii i teologii, a jak bardzo roznamiętna dwóch młodych ludzi... widzieliśmy przed chwilą.

Uwagę naszą pochłania jednak raczej młody lekarz... Dwudziestoczteroletni zaledwie, znany już jest szeroko. Doktor medycyny i chirurgii, nadzwyczaj zdolny, pracuje od szeregu lat w laboratorium biologicznym sławnego profesora, Camillo Golgi.

Jest niewierzącym.

Cóż dziwnego? Wychował się w domu zamożnym, ale właściwie zupełnie obojętnym religijnie. Ojciec — zapalony wielbiciel rewolucjonisty i radykała Garibaldi, współzdobywca państwa kościelnego, nie mógł oczywiście służyć chłopcu przykładem religijnego życia. W latach gimnazjalnych Edwarda spadły na całą rodzinę poważne straty finansowe i ojciec oświadczył chłopcu, iż sam musi myśleć o sobie. Wybitnie zdolny uczeń zaczął więc dla swych kolegów opracowywać

rozmaite zadania domowe i szkolne, ćwiczenia, wykresy. Niosło mu to pewne zyski materialne, ale przede wszystkim rozwijało bardzo wielostronnie jego zdolności. Po maturze poświęcił się medycynie, do której, a raczej do biologii, czuł od dawna nieprzeparty pociąg, wszak już jako szesnastoletni chłopiec opracował faunę jezior lombardzkich i system nerwowy owadów.

Gdy Gemelli w r. 1896 zapisywał się na wydział lekarski uniwersytetu w Pawii, świat umysłowy Włoch oddychał w pełni materializmem i pozytywizmem. Na wielu katedrach zasiadali zdecydowani wyznawcy takich filarów materialistycznego poglądu na świat, jak Tyndall, Büchner, Moleschott. Zdawało się, że wszelka metafizyka zostanie na zawsze i nieodwołalnie pogrzebaną, a takie «mocarne duchy», jak Darwin, Haeckel, Comte, Spencer ogłoszone będą prorokami nowych czasów, wyzwolonych zwycięsko z oparów religijnego na świat poglądu.

Młody student medycyny znalazłszy się w takiej atmosferze, mógł się tylko utwierdzić w swym ateizmie i kompletnym indyferentyzmie religijnym. Zdawało mu się, że studia przyrodnicze, biologiczne i medyczne sprawę tę przesądzą już na zawsze. A do czysto intelektualnego czynnika dołączył się wnet inny, równie groźny i wrogi religii.

Oto gorąca natura Gemellego nie zadawała się samą nauką i szuka upustu swej energii w zaciętych walkach politycznych i społecznych. Doktor jest zdeklarowanym socjalistą. Od dawna walczy słowem na wiecach i zebraniach, piórem w płomiennych artykułach różnych radykalnych dzienników. Zwalcza szczególnie nienawistnie organizację katolickich studentów. To wszystko sprawia, że w ówczesnych włoskich kołach rządzących uważany jest za człowieka przyszłości i bardzo wybitnej kariery naukowej i politycznej...

Nagle rozchodzi się po całym Mediolanie wiadomość? — Nie! plotka, zwyczajna plotka, której nikt nie wierzy, a każdy stara się zwalczać, że podobno — ale to niemożliwe — dr Gemelli, którego jakiś czas nie było w mieście, wstąpił do klasztoru Franciszkanów w Rezzato i już przywdział habit świętego Biedaczyny z Assyżu...

Plotka! Oczywiście plotka, ukuli ją ci niecni klerykali, by podkopać prestige młodego uczonego....

Gemelli w habicie!!

Słyszał kto większe głupstwo?

On, który — jak mawiali przyjaciele — «na śniadanie polykał co dzień jednego księdza, a na obiad dwóch mni-
chów»... który nieszczęsnym siostronom miłosierdzia w klinice
zatrwał nieustannie życie, tylko dlatego, że nosiły habit —
on w habicie?? Ha, ha, ha...

A przecież to nie była plotka.

Więc cała sympatia — o jakże blisko nienawiść chadza
koło miłości! — prysła, zmieniona w niekończący się szereg
oskarżeń, zarzutów, podłych insynuacyj. Nie szczędził ich na-
wet prof. Golgi, który tak liczył na Gemellego, nie szczędzili
koledzy — lekarze, ani dawni towarzysze partyjni. Co więcej
i co najboleńsze — zerwała z nim najbliższa rodzina, która
nie mogła znieść myśli o złamaniu kariery i szaleństwie doj-
rzałego przecież, bo wówczas, w r. 1903 dwudziestopięciole-
tniego już Edwarda.

A on?

W marcu 1907 r. kończy studia teologiczne i otrzymuje
szczyt swych obecnych marzeń — święcenia kapłańskie. Te-
goż samego roku składa śluby wieczyste... A po nich podej-
muje przerwana pracę naukową, ale już w służbie Kościoła
i w obronie jego dogmatów najnowszą, najnowocześniejszą
metodą. Przełożeni zakonni poznali się wnet na jego nad-
zwyczajnych uzdolnieniach i gruntownym wykształceniu. Wy-
syłają go więc na studia zagraniczne. O. dr Gemelli pracuje
w biologicznych laboratoriach w Bonn, Frankfurcie nad Me-
nem, w Monachium. Wzywany na katedry obcych uniwersy-
tetów, jako świetny już uczony w habicie, stale odmawia.
Czasu wielkiej wojny światowej służy ojczyźnie, zakładając
pierwszy wojskowy szpital psychiatryczny, a nawet psychofi-
zyczne laboratorium przy naczelnej komendzie armii, którym
sam kieruje.

Gdy cichną grzmoty armat, z woli tego samego X. Ratti,
któremu niegdyś przeszkadzał w Ambrosianum, a który przez
tych lat kilka z cichego pracownika nauki przedzierznął się
w pierwszego nuncjusza w wyzwolonej Polsce, potem w kar-
dynała św. Kościoła, by w końcu zasiąść na Apostolskiej Sto-

licy, podejmuje olbrzymie dzieło zorganizowania katolickiego uniwersytetu w Mediolanie ¹⁾).

Zaiste — przedziwne drogi Boże...

Od szeregu lat O. Eduardo Gemelli stoi na trudnym a zarazem świetnym posterunku pierwszego rektora tej sławnej już uczelni. Jest też w niej profesorem psychologii doświadczalnej i dyrektorem laboratorium psychologicznego.

A jest jeszcze czymś większym... Jest oczywistym dowodem zwycięstwa łaski i prawdziwości wiary i takim zostanie na zawsze — ten Wielki Nawrócony.

1936.

KSIĄDZ SKARGA

Zdawać by się mogło, że postać i działalność X. Piotra Skargi już z samej natury rzeczy dość odległe będą szczeremu i serdecznemu zainteresowaniu młodzieży, zwłaszcza dzisiejszej. Zakonnik i kapłan, religijny pisarz i kaznodzieja, polityk i działacz społeczny... nie są to te strony życia i osobowości ludzkiej, które przemawiają do młodych serc i umysłów..

A przecież zdaje mi się, — więcej: jestem przekonany, że w tym hołdzie, jaki Mu dziś z całą Polską składamy, nie drga ani jedna nuta fałszywa, obca duszy dzisiejszego, młodego Polaka.

Zapewne, możnaby w długim życiu i niezmqordowanej, a tak wszechstronnej działalności X. Skargi doszukać się tych momentów, które go przecież zbliżają do młodych, by tylko pracę nauczycielską w kilku kolegiach jezuickich właśnie dla młodzieży i nad młodzieżą, by tylko jego rektorat, pierwszy rektorat organizowanej przez niego Wszechnicy wileńskiej wymienić, by wspomnieć o tak popularnych w tysiącach domów polskich i tak do dziś ulubionych Żywotach Świętych, nieraz pierwszej lekturze polskiego dziecka...

Ale jest u Skargi coś więcej, jest silniejsza nić, która Go czyni nam młodym bliskim, bardzo bliskim.

Skarga przez całe swe życie idzie wpatrzony w przyszłość. Widzi ją jasno, jak nikt ze współczesnych, lęka się jej

¹⁾ Por. «Wiadomości Katolickie», Kraków 1934.

i boleje w samych głębinach serca, we wnętrznościach swej na wskrós polskiej, oddanej ojczyźnie duszy. — A przecież tą cząstką, najdroższą cząstką narodu, która na starym pniu coraz i coraz świeże wypuszcza pędy i rwie się nimi w przyszłość swoją, ojczyzny i państwa — to młodzież.

I dlatego ten człowiek, który rozumiał przyszłość, jest i musi być bliskim dla tych, co sami idą w przyszłość i tworzą przyszłość... swoją i Polski...

Ale u Skargi nie skończyło się na ostrzeżeniach i prorocत्वach.

W całej swojej olbrzymiej pracy wychowującej ówczesny naród polski, a raczej niestety tylko jedną jego warstwę, dzierżącą wówczas w swym ręku ster rządu i wpływów politycznych — wielki ten kapłan-nauczyciel pragnie pośród niezliczonych innych przymiotów i cnót koniecznych dobremu obywatelowi postawić na pierwszym miejscu jeden z najpotrzebniejszych i jeden z najrzadszych i jeden z najtrudniejszych — oto poczucie odpowiedzialności za Polskę!

Były to czasy — wiemy dobrze — w których mnóstwo ludzi rwało się do władzy, do wpływów, do korzyści — ale nie było w tej gromadzie polskich suwerenów niemal nikogo, ktoby w umyśle swym, w duszy swojej miał poczucie odpowiedzialności, straszliwej odpowiedzialności za losy kraju i narodu i państwa, za losy i przyszłość Rzeczypospolitej.

Wysła Skarga swój genialny umysł, spala na popiół swoje serce, krew zda się gotów wytoczyć z żył do ostatka, by oni «wielmożni panowie» — oni «bogowie ziemscy» — senatorowie i posłowie, zrozumieli, przyjęli, ponieśli na swych barkach odpowiedzialność za Polskę...

Głos Skargi nabrzmiały najgorętszą krwią serca, olśniewający blaskiem politycznego rozumu uderzał w próżnię...

Wzruszali się — słuchając i — zapominali o wszystkim w straszliwym wirze piekielnej prywaty, walki o osobistą czy partyjną korzyść, walki zaślepiającej, szaleńczej.

Nikt nie chciał «pożytków własnych zapomnieć», nikt nie chciał zdobyć się «na serce szerokie», nikt nie chciał rzucać się do ratunku tonącego okrętu, nikt nie chciał ponosić odpowiedzialności za Ojczyznę.

Czterdzieści lat po śmierci Skargi, w 1652 r. jeden człowiek w Polsce dwoma słowami zdołał zerwać po raz pierwszy

pracę, wysiłki, uchwały Sejmu Rzeczypospolitej. Przy końcu życia wielkiego Sobieskiego rwano już te sejmy z reguły, a za blisko 30-letniego panowania Augusta III już tylko jeden jedyny sejm zdołał ukończyć normalnie obrady. Zapomniano o Skardze, zapomniano o jego wołaniach najserdeczniejszych. Poczucia odpowiedzialności za przyszłość nie miał w Polsce nikt...

I przyszła katastrofa. Przyjść musiała.

Minęło od niej półtora wieku, straszego wieku.

Cudem zmiłowania Bożego wspierającego wielki wysiłek narodu odzyskailiśmy niepodległość i wolność.

Niewola, rozdarcie i ucisk nauczyły nas wiele — czy nauczyły nas jednak pierwszego niemal warunku utrzymania niepodległości, potęgi, mocarstwowości Polski — czy nauczyły nas tego, czego bezskutecznie przed półczwartą wiekiem uczył Polaków Ojciec Skarga? Czy nauczyły nas poczucia odpowiedzialności, odpowiedzialności nas wszystkich za tę ziemię, za jej granice, za jej wiarę i siłę moralną, za jej język, za materialne skarby, za jej przyszłość w dalekich wiekach i pokoleniach?

Czy Polak XX w. budzi się rano i zasypia wieczorem z poczuciem odpowiedzialności za Polskę?

Sodalicja mariańska młodzieży, która dziś święci pamięć Skargi, poza wieloma innymi wartościami, jakie wnosi w życie młodych, daje tę właśnie jedną, tak doniosłą dla narodu, dla państwa — kształci w nich poczucie odpowiedzialności.

Odpowiedzialności najpierw za własną, nieśmiertelną, bezcenną duszę, w której głąb prowadzi w codziennym badaniu sumienia, odpowiedzialności za drugich, dzięki swej wielkiej idei apostołstwa, odpowiedzialności za organizację, później za społeczeństwo, za państwo, za Polskę.

I to się jej nieraz wspaniale udaje.

Przed laty już wielu przychodzi do mnie delegacja zarządu potężnej Bratniej Pomocy Uniwersytetu Jagiellońskiego, posiadająca już wówczas ogromny majątek i prezes ustępujący powiada: «Kolego, zbliżają się wybory do zarządu Bratniej Pomocy, wy macie w sodalicji ludzi odpowiedzialnych, dajcie nam jednego na generalnego skarbnika towarzystwa. Potrzeba nam uczciwego człowieka».

Przed laty powiada do mnie matka dziewczęcia, uko-

chanej córki, którą wydaje za wzorowego b. sodalisa w gimnazjum: «Mam do pana M. bezgraniczne zaufanie». A przy uczcie weselnej, gdy ktoś z rodziny panny młodej pyta go: «No dobrze, panie drogi, ale powiedz pan, przez co stałeś się takim, jakim jesteś. — Ah, to tajemnica — odpowiada pan młody, ale ją zdradzę, wszystko zawdzięczam sodalicji mariańskiej w zakopiańskim gimnazjum!»!

W codziennym trudzie, w cichej znoej pracy, w walce z niebezpieczeństwami młodości wyrabiamy w sodalicji ludzi, charaktery, wyrabiamy w nich wysokie poczucie odpowiedzialności a patronem tej pracy i nauczycielem będzie w tym roku jubileuszowym On — wielki nauczyciel i wychowca narodu. Niechaj w pełni ma tę pociechę, że młodzi Polacy czcząc Jego pamięć, wsłuchując się w Jego naukę, w takt Jego gorącego serca, biorą na swe młode barki odpowiedzialność za przyszłość Polski i nie poskąpią znoju, wysiłku, potu choćby i krwi, by z nich byli kiedyś męże jako Skarga, by wyrósł z nich, jak mówi poeta:

*Naród duży
Wierny Bogu
I dobry na bliźnie!*

1936.

PAPIEŻ MŁODYCH

— *Młodzież to źrenica mego oka, to najczulsze uderzenie mego serca...*

W tych cudnych, głębokich słowach zamknął Pius XI wszystko, co żywi i czuje w Swej ojcowskiej duszy dla nas.

Gdy w dniach nadchodzących rocznic Jego wyboru i koronacji serdecznie strwożone o Jego zdrowie i życie myśli, modlitwy, życzenia milionów skierują się ku Watyńskiemu Wzgórz, popłyną tam także nasze myśli, nasze gorące modlitwy i z najgłębszych warstw duszy życzenia, a nadto wyrazy hołdu, czci, miłości i wdzięczności za to, że w Swym sercu pasterskim obejmującym świat cały tyle miejsca, tyle oddania zachował zawsze dla nas młodych.

Zawsze, bo ta miłość jak złota nić przewija się przez całe, długie już Jego życie, przez całe Jego kapłaństwo.

Gdy z Polski przybywał do ukochanego przez się Mediolanu, by z woli Swego Poprzednika objąć jedną z najczci-
godniejszych w całej Italii stolic biskupich, młodzież otoczyła
Go zwartym tłumem i pełna uniesienia i entuzjazmu wiwa-
towała:

— *Niech żyje Kardynał młodzieży!*

A X. Ratti ze swoim przedobrym, przemiłym uśmiechem
wzniósł mocny okrzyk:

— *Niech żyje młodzież Kardynała!*

I potem jako namiestnik Chrystusa pozostał zawsze
wierny tej swojej wielkiej miłości.

W jego pismach papieskich, w jego przemówieniach
pełno słów znamionujących to najszczerze przekonanie i naj-
gorętsze ojcowskie oddanie...

Zbawiciel nasz — mówi Pius XI — *z młodzieży tak po-
niżonej wśród ludów pogańskich uczynił coś świętego...*

W r. 1925 przemawiając do uczestników IV-go Między-
narodowego Kongresu młodzieży katolickiej w Rzymie, okre-
ślił ją jako *coś dlań najpiękniejszego, najdroższego, coś, co
kryje w sobie największe bogactwo obietnic dla przyszło-
ści... — Słów mi brakuje, by wypowiedzieć wszystko, co moje
serce chciałoby wyrazić...*

W parę lat potem nie waha się przed wyznaniem:

Wy jesteście Mną, a Ja jestem wami.

Dla nas młodych Polaków na zawsze zostaną pamiętne
i drogie słowa, które napisał w liście do Prymasa Polski, J.
Em. X. Kardynała Hlonda:

*Kościół katolicki szukał zawsze młodzieży i przygarniał
ją ze szczególną troskliwością, bo ona zawsze jest najbardziej
skłonną iść z pełną czci uległością za jego zbawiennymi wska-
zaniem¹⁾.*

Dziś nad tą młodzieżą na całym niemal świecie gromadzą
się czarne, ponure chmury...

Prawda, że z jednej strony czyni się dla niej tak wiele,
jak nigdy dotąd w dziedzinie kształcenia, wychowania, uspra-
wniania, zdrowotności, rozrywki, zabawy... ale z drugiej, jak
nigdy znowu, wydziera się jej z serca wszelki ideał, zatruwa

¹⁾ Słowa papieskie cytowane z artykułu «Pie XI, le Pape des
Jeunes» w «Jeunesses du monde», Lille, avril 1934

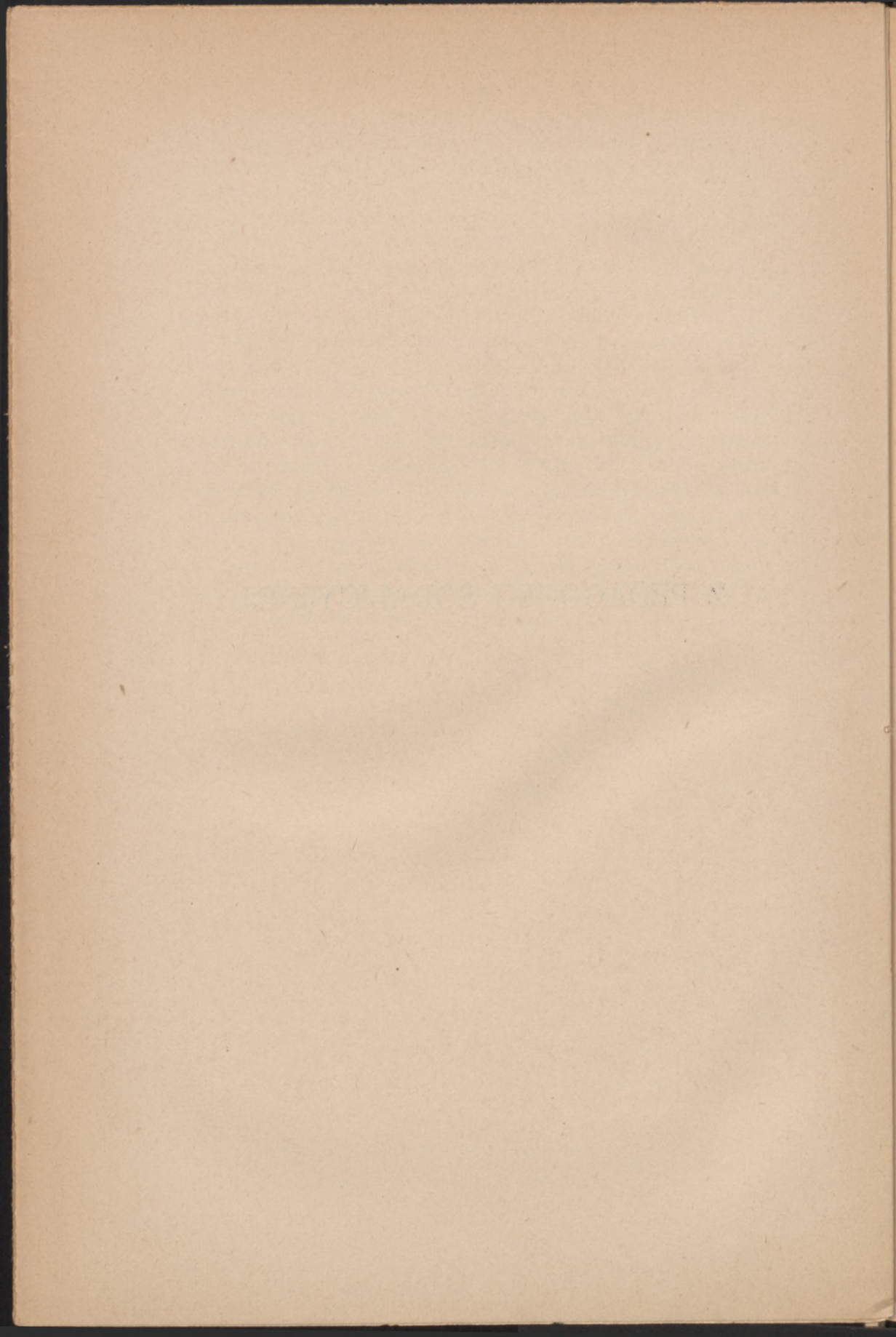
się jej czysty entuzjazm, uczy się jej nienawiści, sprowadza się ją na drogi zepsucia, ułatwia się jej z szatańską przebiegłością i potwornie udaną przyjaźnią nurzanie się w bagniskach życia... A tę, która wierzy, miłuje, broni się i walczy o swą wiarę i czystość, prześladowuje się w sposób mrozący nieraz krew w żyłach... Ku tym cierpiącym, prześladowanym w Rosji, Meksyku, Hiszpanii a poniekąd i w Niemczech zastępom wrywa się dziś serce papieskie i razem z nimi cierpi i łzawi się i krwawi.

Ale nie upada, bo wie, że z nich wyrasta pokolenie Chrystusowych bohaterów, godnych następców Pankracjusów i Tarsycjusów, Hermenegildów i Wenancjusów.

Do tego papieża młodych, powalonego na łożę boleści przenieśmy się duchem, my młodzi sodalisi polscy i w kornej modlitwie błagajmy Boskiego Zbawiciela, by nam Go zachować raczył, by Mu dał siłę i wytrwanie pod krzyżem, by Jego cierpienia przyjął za dusz zbawienie, za Kościół cały, za prześladowanych Jego synów, zwłaszcza tych najmłodszych i za nas samych wreszcie, byśmy wytrwali na służbie Boga i Marii, byśmy ustrzegli wiary i czystości, byśmy wyrosli na pożytek i chlubę Kościoła i Ojczyzny naszej...

1937.

Z PEDAGOGIKI SODALICYJNEJ



KSZTAŁĆMY SUMIENIE SODALICYJNE

Jedną z najgłębszych psychologicznie scen, uwiecznionych w nieśmiertelnych *Wyznaniach św. Augustyna* jest niewątpliwie opis walki wewnętrznej toczącej się w jego duszy w momentach poprzedzających ostateczny krok nawrócenia.

Kreśli w nim ten wielki zwycięzca samego siebie obraz nacierających nań z całą siłą dawnych przywiązań i nawyków, niby drobnostek, jak sam je nazywa, ale jakże silnych i natarczywych.

— *Chwytały one za cielesną suknię moją i szeptały mi: Opuszczasz że to nas? A od tej chwili i aż na wieki nie będziemy z tobą? Od tej chwili aż na wieki nie będzie tobie wolno i tego...??*¹⁾

Cisnie się na myśl uwaga, że ta właśnie, tak długa i wyczerpująca walka ze sobą, ze złem, pozostając w prostej proporcji z mocą decydującego kroku, sprawiła, że nawrócenie augustynowe było tak trwałe, tak konsekwentne, tak naprawdę wspaniałe....

Zaglądnął on do głębin swej duszy, do najtajniejszych skrytek, wszystko rozważył i wszystko ocenił. Gdy więc wymówił wielkie słowo nawrócenia — miał pewność, że w żaden kompromis nie wejdzie, żadnej połowiczności nie dopuści, niewiernością żadną się nie splami.

Został świętym.

To tak po prostu leżało na linii jego dalszej duchowej ewolucji...

Jeśli wolno te wielkie i głębokie przejścia świętego męża porównać z naszym, małym przecież życiem, to pragnąłbym bardzo mocno zaznaczyć, iż jednym z głównych powodów słabego nieraz pulsu życia wewnętrznego w naszych sodalicjach jest ten fakt, że nasi chłopcy nie umieją czy nie chcą rozu-

¹⁾ «Wyznania», ks. VIII, rozdz. 11.

mieć faktu wstąpienia do SM jako faktu głębokiego, wewnętrznego nawrotu i bardzo cennego, osobistego przeżycia.

A zapisując się nieraz — ot tak sobie, bez zdania sprawy z doniosłości kroku, bez pewnego chociaż, moralnego wstrząsu, idą potem drogą normalnej służby aż do ślubowania, składają je i... zostają nadal, może na całe życie nieprzemienieni wewnętrznie, zostają «dyplomowanymi sodalisami» bez sodalityjnego ducha i sumienia.

I dlatego wołam: *Kształćmy w sobie sumienie sodalityjne!*
Kształćmy je najpierw negatywnie.

Zgłaszający się do SM aspirant, choćby to był chłopiec bardzo jeszcze młody, powinien to jedno zrozumieć, że przedstawia ster swojego życia. Że i jemu, jak Augustynowi, pewnych rzeczy od chwili zgłoszenia już nie będzie wolno.

Tak! I tego... i tego...

To niepodobnym, niemożliwym jest, aby członek sodalicji zapominał o swym codziennym pacierzu, aby na nabożeństwie szkolnym nie dawał najlepszego przykładu pobożności i uszanowania dla Domu Bożego i jego świętych tajemnic...

To niemożliwym jest, aby należąc do sodalicji, był niezdolnym w domu, nieposłusznym, nieuprzejmym, nieofiarnym dla swoich najbliższych...

To niemożliwym jest, aby sodalis przychodził na lekcje nieprzygotowany, aby obowiązki swoje zbywał, aby odpisywał, ściągął, żył z podpowiadania...

To jest wykluczonym, aby sodalis pozwalał sobie na słowa, rozmowy, żarty, od których rumieńcem wstydu pokrywa się jego medal sodalityjny, którym hańbi swój dyplom, mniejsza z tym, czy ten, który już dostał, czy ten, do którego dąży... Aby szukał sobie towarzyszków i kolegów o niskiej wartości moralnej, aby z nimi tracił czas i cnotę...

Biada mu, jeśli do dziś nie umiał, nie chciał sobie powiedzieć: Tego mi już nie wolno, nie wolno absolutnie, bezwarunkowo i na zawsze!... Jeśli połową swej duszy tylko wyrzywa się ku sodalicji i jej ideałom, ale drugą tkwi jeszcze ciągle w przeszłości, w dawnych nawykach, przywiązaniach...

Nic nie może być niebezpieczniejszym, nic bardziej zabójczym, jak taki kompromis moralny. Chrystusowa etyka kompromisów nie znosi, aż do wylupania oka, aż do odcięcia ręki, nogi.

Komu te słowa: Tego ci nie wolno — ciążą nad miarę, kto je stale wymija i tłumi, ten nawet nie zaczął jeszcze kształcić w sobie sodalicyjnego sumienia, ten dla sodalicji jest nie druhem rycerskim, lecz obozowym ciurą i dla swego i jej dobra powinien ją dziś jeszcze opuścić, albo — nawrócić, zerwać z dwulicowym kompromisem i powtórzywszy zdecydowane słowa Wielkiego Nawróconego — Ojca Kościoła, iść za nim od dziś zdecydowanym, męskim, rycerskim krokiem.

A cóż znaczy pozytywnie kształcić nasze sodalicyjne sumienie?

To znaczy do wszystkich myśli, uczuć, pragnień, słów i czynów, przykładać miarę wyższą od przeciętnej. W myśl przyjętych i za swoje uznanych ideałów sodalicyjnych żądać od siebie dużo, sądzić się surowo i... dawać z siebie jak najwięcej.

Ciężka służba — ale trudno. Albo — albo.

Więc praca nad sobą, ale z nieustanną kontrolą postępu czy — nie dopuść Boże — cofania się. Codzienny rachunek sumienia, to nieodzowny, konieczny warunek i środek tego kształcenia sumienia sodalicyjnego i wydelikatniania go w możliwie wysokim stopniu.

Tak! Bo czym dla innych byłby dopiero grzech śmiertelny, tym dla sodalisa Marii jest już powszedni. Trzeba sobie to bardzo jasno uświadomić i bardzo wyraźnie sumienie swe pod tym względem badać.

A drugi krok tej pracy to duch apostołstwa i dobrego przykładu.

To nie jest zostawione do woli. To jest nasz obowiązek, najbliższy po tamtym.

Czy chcesz, czy nie chcesz — żyjesz w szklannym domu To znaczy, że twoje postępowanie, zachowanie, życie całe prywatne, rodzinne, szkolne jest pod obserwacją. Czy chcesz, czy nie — budujesz lub gorszysz mój drogą sodalisie rodzeństwo, kolegów, służbę.

Jak wygląda twój rachunek sumienia z tego faktu?

Wiesz już, co znaczy tutaj kształcić swoje sumienie. Żyć stale na wysokim poziomie moralnym, być po prostu nieświadomie wzorem życia młodzieńczego czystego, szlachetnego, dzielnego dla drugich.

I w końcu winniśmy kształcić sumienie nasze na tle obowiązków organizacyjnych.

I tutaj jedno tylko pytanie: Czy ty mój drogi kochasz, czy naprawdę kochasz swoją sodalicję? Bo, jeśli tylko «należysz» — «chodzisz» — «pracujesz w SM.», ale jej nie kochasz, nie jesteś do niej ze wszystkich organizacyj szkolnych najwięcej przywiązany — nie mamy właściwie o czym mówić.

Ale — jeśli opuszczenie nabożeństwa, zebrania uważasz za swoją osobistą przykrość, za stratę niepowetowaną. Jeśli boli cię zarzut przeciw SM., jak przeciw tobie samemu, jeśli na zew SM. z radością poświęcasz swój czas, rozrywkę, przyjemność, sport i najchętniej przygotowujesz jakąś uroczystość, referat, porządkujesz bibliotekę, archiwum, jeśli od deski do deski musisz przeczytać miesięcznik związkowy, jeśli z chęcią płacisz swoją wkładkę — o wtedy, tak, wtedy kochasz swoją sodalicję, wtedy twoje sumienie sodalicyjne daleko posunęło się w swym wyrobieniu...

Czy się z tego rachujesz co dzień przy wieczornym rachunku sumienia?

Jeśli nie — zacznij od dziś. Takie sumienie nie zawiedzie cię nigdy. A takie sumienie mieć to — wierzaj mi — szczęście, naprawdę szczęście i wielka łaska naszej Matki Najdroższej.

Życzę ci jej z serca...

1936.

JAK SIĘ UCZĄ WASI SODALISI?

Ostatni zjazd związku naszego w Lublinie zalecił w swej 11-tej rezolucji stałe kontrolowanie postępów sodalisów w nauce, a w 12-tej skreślanie tych, którzy przez dłuższy czas zaniedbują się w spełnianiu obowiązków szkolnych.

Najsłuszniej w świecie!

Nie trzeba tego dowodzić, zwłaszcza wobec naszego rocznego hasła: Bądź konsekwentny!

Na ogół jednak niewiadomo, czy sodalicje nasze stosują tę uchwałę w praktyce. Jeśli ją zaniedbały, to istotnie wielka szkoda, gdyż kontrola ta z wszelką pewnością wpływa na podniesienie się obowiązkowości, a w ślad za tym i wydajności pracy naukowej w naszych sodalicjach.

Oto właśnie jedna z nich, jak dotąd pierwsza, przesyła nam wielce ciekawe zestawienie postępów pracy szkolnej swych członków za dwa pierwsze okresy konferencyjne bieżącego roku szkolnego 1929/30. Zamieszczona poniżej tabela ujmuje wyniki klasyfikacji w punkty, które uzyskuje się przez zliczenie wszystkich not u klasyfikowanych uczniów każdej klasy według następującej zasady: nota bardzo dobra = 0, dobra = 1, dostateczna = 2, niedostateczna = 3. Stąd im mniejsza suma punktów, tym lepszy postęp. Uczeń, któryby uzyskał same noty bardzo dobre osiągnie 0 punktów. Suma punktów całej klasy podzielona przez cyfrę jej uczniów da przeciętną ogólnoklasową; suma punktów u sodalisów dzielona przez ich sumę w klasie da przeciętną sodalicijną. Powinna ona bezwarunkowo być lepsza od klasowej. W sodalicji, która nam podaje swoje wyniki, widać najpierw ogólny lepszy stan pracy i pilności sodalisów, po wtóre stopniowanie coraz większych wysiłków po pierwszej konferencji okresowej.

Trzeba bowiem dodać, że w sodalicji tej stale na zebraniach ogólnych ks. moderator podaje do wiadomości członków wynik każdej konferencji okresowej, przyjmowany przez nich ze zrozumiałym zaciekawieniem i — jak stwierdza praktyka i cyfry — z podniesieniem poziomu pracy i osiągniętych wyników.

Byłoby ze wszech miar pożądanym, aby wszystkie sodalicje związkowe w myśl uchwał lubelskich wprowadziły u siebie podobne urządzenie. Nic tak nie umacnia stanowiska sodalicji w szkole, zarówno wobec profesorów jak i współuczniów, jak właśnie wybitnie wyższy poziom naukowy i obyczajowy (noty z zachowania).

1930.

CZY UMIESZ SIĘ UCZYĆ?

1.

- Znowu dziś nie nauczyłeś się lekcji!
- Panie profesorze, ja się uczyłem, naprawdę się uczyłem...
- Może! Ale faktem jest, że nie umiesz! Siadaj!

— Panie profesorze, ja to trzy razy przeczytałem...

Prawda? że to dialog, jakich wiele w naszych szkołach? Czasem drga w nim nuta życiowej prawdy, czasem proste «bujanie»... bo nuż się uda «go» wzruszyć... przekonać...

O tym drugim wypadku mówić nie chcę. Wszak to zbyt techniczne zupełnie. Ale pierwszy! Ale ta niezaradność naszych chłopczyków, ta wzruszająca naiwność w zdobywaniu wiedzy, to beznadziejne, nie mądre «wkuwanie» — czy nie zasługuje, aby im podać rękę z dobrym, życzliwym uśmiechem i — choć w innym sensie — użyć słów dziecięcego bajkopisarza: *Przeście dzieci, bo się źle bawicie?*...

Podać ją tym więcej, im częściej te fatalne metody uczenia się nie są naprawdę winą młodych. Ot po prostu nikt nigdy tak naprawdę, tak jasno tego im nie powiedział... a uczniowska recepta... no wiadomo! — prosta i jasna: albo wkuwaj, albo bujaj!

A tu idzie o naukę naprawdę, naukę rzetelną, przygotowanie nieraz wielu i trudnych lekcyj, oszczędzenie energii umysłowej i skierowanie jej we właściwe koryto, by — jak woda w kamienną cembrowinę brzegu ujęta — szła nam na rozpędowe koło umysłowej pracy i kultury, a nie rozlewała się w liczne i kręte strugi bezsilne, lub — co gorsza — nie szła na marne na piaskowych mieliznach...

— Więc, jak ja mam się uczyć?

Jestem sodalisem przecież! Po obowiązkach moich względem Boga i rodziców na pierwszym miejscu muszę położyć obowiązek szkolny! Nie wolno mi być przeciętnym, marnym uczniem, przeciskającym się z trudem z klasy do klasy. Wstyd to byłby dla mnie, hańba dla sodalicji! Ja chcę się uczyć — tylko ja tej sztuki nie umiem!

— Poczekajże więc mój drogi! Pogadajmy nieco na ten temat.

Czy słyszałeś już coś o tak głośnym dziś haśle: organizacji pracy? Czy może miałeś w ręku «Pamiętniki Forda» — króla automobilów, który zasadę organizacji pracy technicznej, fabrycznej doprowadził do zadziwiającej doskonałości? Jeśli nie, przeczytaj je kiedyś. Ale widzisz, — jak praca techniczna, więc fizyczna, tak i praca umysłowa winna być zorganizowana — a organizatorem masz być ty sam!

— Jakto? Ja? — zapytasz mnie, pewnie zdumiony.

— Tak jest, stanowczo ty.

— Ależ ja pojęcia o tym nie mam!

— Więc słuchaj, albo raczej czytaj uważnie!

Są na świecie różne talenty organizacyjne, może ty sam, może kolega organizował już samorząd klasowy, może jakiś występ, wieczorek, a może wspólną wycieczkę? I na czymże jego organizacja polegała? To jasne! Miał w pamięci cel przedsięwzięcia, dobierał środki odpowiednie, przemyślał, radził się, szukał pomocników. Sprawa dobiegła końca — mówiliście w klasie: — «to było doskonale zorganizowane», albo odwrotnie: «organizacja mocno kulała»...

Podobnie jest i w pracy naukowej. Musisz jej cel uświadomić sobie jasno, bardzo jasno, obmyśleć i oznaczyć środki, zużyć je logicznie i konsekwentnie, aby cię do celu, więc do wykształcenia, do ujęcia materiału danego doprowadziły.

Przypuszczam, żeś sobie cel dawno uświadomił — ale te środki, ta metoda, ta organizacja uczenia się!

Otóż to!

Więc pierwsza rzecz, pierwszy punkt — to podział i ekonomia czasu.

Czas na naukę! Gdy mówię, czy piszę te słowa, od razu, w tej samej chwili staje mi przed oczyma ta uczniowska, barbarzyńska gospodarka, a raczej barbarzyński bałagan, marnujący bezcenny czas lub obchodzący się z nim tak okropnie niezaradnie, nieekonomicznie...

— Kiedyż ja się mam uczyć?

— Nigdy zaraz po obiedzie, gdy pełny żołądek trawi, a mózg nosi jeszcze niewyprostowane rysy i jakby zagięcia po rannym w szkole wysiłku! Ale też nigdy po nadmiernym wybieganiu się, po dalekiej przechadzce, długiej ślizgawce, nartach i w dodatku jeszcze dość lub bardzo obfitym podwieczorku — i nigdy także późnym wieczorem, tuż przed — lub co gorsza — dopiero po kolacji, bo wtedy sprawność umysłu już z natury rzeczy słabnie i nauka po prostu nie idzie do głowy.

— Więc?

— Powiedzmy tak: tuż po obiedzie godzina, półtorej — odpoczynku zupełnego, nawet nie czytanie książki. Potem od 3-ej lub 3 i pół nauka do piątej lub piątej i pół, ale już intensywnie i bez przerwy. Może być godzina teraz, godzina lub dłu-

żej po podwieczorku, ale to ma być z całą energią i siłą woli czas przeznaczony na naukę.

Czas nietykalny, nieomal święty.

Niech sobie kolega nęci do dalszej zabawy, niech sobie puka do drzwi twojej izdebki¹⁾, niech ciągnie niedokończona powieść, nierozegrana partia... Nic to! Powiedz sobie głośno, z naciskiem skanduj każde słowo twojego własnego nakazu: Teraz się uczyć i wyłącznie się uczyć! Nie uznaję obok siebie nikogo, nikogo nie widzę i nie słyszę. Zagłębiam się w absolutne «sam na sam» ze sobą, z moją lekcją, zadaniem, pracą...

Przyznaj mój drogi, młody przyjacielu, że ty sam i mnóstwo twoich kolegów tak właśnie pracy nie organizujecie. Zabierasz się do książki, ale wszystko dokoła dalej cię interesuje. Nadśluchujesz każdego szeptu, szmeru i dźwięku. Zrywasz się od stołu, biegniesz do okna, do drzwi... A nawet, nawet — zdradzę ci twoją tajemnicę — ty w głębi duszy wzdychasz, żeby tak ktoś przyszedł, żeby coś zaszło, żeby się coś zdarzyło, co by cię — oczywiście, no tak — wbrew twojej woli — oderwało od książki, od pracy, wyrwało z pokoju, na ulicę, na miasto... na zbiórkę...

Jeśli w takim nastroju, a raczej rozstroju, chcesz się uczyć, chcesz studiować, pojmować, zgłębiać — toś podobny nieszczęsnym Danaidom, co wodę w przetaku czy beczce bez dna nosiły.

Postaraj się o dno i wierzch twojej beczki, zalep kitem otwory przetaku, zdobądź się na bezwzględny nakaz samotności, spokoju i ciszy. — Oto pierwszy krok do organizacji twojej naukowej pracy domowej, pierwszy i bodaj najważniejszy.

O dalszych pomówimy za miesiąc — jeśli Bóg pozwoli, a ciebie szczerze zajmie temat naszej przyjacielskiej pogadanki.

2.

Na wstępie mała ilustracja do naszej ostatniej pogadanki.

Miałem w gimnazjum ucznia — dawno to już było — takiego sobie lenia nad lenie. Zdolny, żywy — nazwijmy go Zbyszkiem — sam się nic nie uczył i drugim, jak mógł, przeskadzał w pracy. Niemal każdego popołudnia miał do swych

¹⁾ Doskonale robią ci chłopcy, którzy sobie stanowczo wymawiają u kolegów wszelkie odwiedziny w «świętym» czasie osobistej nauki.

kolegów dziesiątki ważnych i zwłoki niecierpiących spraw i interesów. Brat jego starszy, obdarzony niezłym głosem, ćwiczył się nieraz w śpiewaniu przeróżnych aryj operowych, więc nasz Zbyszek, chłopczyk wcale muzykalny, pochwycił szybko melodię sławnej arii z kurantami ze «Strasznego dworu» Moniuszki, niedawno tak wspaniale śpiewanej przez Jana Kiepurę na krakowskim koncercie — słyszeliście ją może przez radio? — I otóż pierwsze takty kurantów starego zegara, melodia tak zgoła niewinna, stała się Zbyszkowym sygnałem. Bał się z nim zbliżyć pod drzwi, więc delikatnie, ale silnie gwizdał ją pod oknem «zauzonego» kolegi. Mieszkałem wtedy w pobliżu pewnej stacji i prawie w każde popołudnie słyszałem te «kuranty». Patrzyłem, jak ukryty za rynną Zbyszek gwizdał je ku pierwszemu piętru, po chwili uchylało się okno, ukazywała się w nim jedna, druga czupryna, jeszcze chwila — klap, klap... po schodach zwiewał koleżka od nudnej książki na interesującą pogadankę i wyprawę na zakopiańskie Krupówki. Wreszcie wmieszała się w to czujna władza domowa. Kuranty na jakiś czas ustały, aż nagle usłyszałem inny sygnał, początek arii z «Halki» *Szumią jodły na gór szczycie*. Zanim się pani gospodyni stacji domyśliła, co znaczy ta nowa melodia, doszedł do skutku szereg nowych, popołudniowych od książki ucieczek...

Jak wyglądały postępy Zbyszka i jego «grandy» — lepiej mnie nie pytajcie. A jak przedstawiał się poziom umysłowego wyrobienia — rozumiecie.

No, ale o takiej «metodzie» uczenia się szkoda mówić. Wszak właśnie przed miesiącem wspominaliśmy tutaj o «ekonomii czasu» w popołudniowej nauce. Pomówmy dziś słów kilka o «ekonomii porządku» w tej pracy.

— Cóż to takiego? — spytasz mój drogi.

— Posłuchaj chwilkę cierpliwie. Masz zapewne nad stołkiem do nauki przybity do ściany rozkład lekcyj. Oto wracasz do domu, wsuwasz obiad z dodatkami, wypoczywasz przez czas jakiś, ale ostatecznie zabierasz się do lekcyj. Rzucasz okiem na rozkład... Aha! Jutro środa. Co to mamy?... Matematyka, polskie, łacina, niemieckie, religia. Oj — ciężki dzień. Najmniej zadane z polskiego, i to jeszcze wcale zajmujący ustęp, bierzmy się więc do polskiego. Ta lekcja posłuży mi niejako za odskocznnię... Zawilą matematykę, nieznośnego Niemca zostawmy na koniec, może po kolacji czas się znajdzie...

Czy to rozumnie?

Powiedzmy, że na początku pracy twój umysł, jak lampka, pali się jasnym światłem zdolności skupienia, dobrych chęci, może zapala... Ale jak lampka, i on powoli się wypala, słabnie w natężeniu. Jeśli ten pierwszy ogień zużyjesz przy rzeczach łatwych, z czym przerobisz trudne i jeszcze może przykre, nielubiane?

Rozumiesz więc, że trzeba brać się do rzeczy odwrotnie. Najpierw przedmioty najtrudniejsze, ciężkie, niemile, potem lżejsze, miłsze. Mężczyzną jesteś i nie możesz w pracy kierować się nastrojem, sentymentem... Spróbuj zresztą, a sam się przekonasz, że nawet w przedmiotach, które ci dotąd jakoś «nie idą», zrobisz ku swemu zdziwieniu duże postępy.

I jeszcze jedna rzecz.

Obok rozkładu lekcyj umieść sobie na ścianie taki prosty, ścienny kalendarzyk, jaki niemal każda gazeta za darmo na Nowy Rok ofiarowuje swym odbiorcom. W kalendarzyku tym czerwonym ołówkiem zaznacz «dni trudne», aby choć jeden przedmiot na nie przygotować sobie po południu przed dniem lekkim (np. z 2 godzinami gimnastyki). Zaznacz w nim także termin oddania zadań domowych, danych zwykle na kilka dni przedtem. I w taki dzień lżejszy zacznij pracę nad zadaniem. Jednego dnia nakreśl dyspozycję i szkic, drugiego napisz na brudno, na ostatni zostanie ci tylko przepisanie na czysto... Zadzawisz profesora!

A ile przez to zaoszczędzisz wysiłku, czasu, może i nerwów. Wszak chyba nigdy w życiu nie powątpiewałeś o wartości pracy planowej, uporządkowanej? Inna rzecz, czyś ją sam kiedy praktykował. Powtarzam więc moją serdeczną radę: Spróbuj, przez miesiąc, dwa, przekonasz się, jak ci pójdzie nauka i ile zyskasz nie tylko dla szkoły, ale przede wszystkim dla twojej własnej, młodej inteligencji.

3.

Z kolei winniśmy się zająć bodajże najważniejszym zagadnieniem w zakresie umiejętności uczenia się, to jest sprawą skupienia się i uwagi.

Nie ma ucznia, który by nie był o tym najgłębiej przekonany. Teoretycznie! Tak! Niestety, gdy idzie o praktykę??...

Wystarczy rzucić okiem po klasie podczas lekcji szkolnej, aby się przekonać, jak wielka liczba chłopców nie przykłada wagi do skupienia, do skoncentrowania całej myśli, całego rozumowego wysiłku na danym przedmiocie. Skutki tego już na następnej lekcji bywają oplakane.

To samo jest w pracy domowej.

Zabierasz się do niej, otwierasz książkę, zeszyt, bierzesz do ręki pióro... Zamierzasz pracować. Ale ponieważ nie posiadasz sztuki skupienia się nad jakimś przedmiotem, twoja uwaga pierzcha za lada podmuchem z zewnątrz, a nawet z wewnątrz ciebie. Młoda, nieopanowana wyobraźnia ucieka ci gdzieś nieustannie i z uporem wariatki naprowadza ciągle i ciągle obrazy z życia; pamięć rzuca się łapczywie na jakies wynurzające się z przeszłości, może najświeższej, wspomnienia... I książka leży... lampa się świeci... ty siedzisz przy stoliku do nauki... ale uczenie się... za górami, za lasami.

Może zbędne przykłady, ale pozwól choć kilka...

Szukasz pilnie w słowniku znaczenia słowa, ale po drodze do niego zauważyłeś inne, zaciękało cię, już myślisz o jego znaczeniu, łączysz z tym szeregi dalszych wyobrażeń, potykasz się o nowe słówka... Dobrych kilkanaście minut minęło, nim się ocknąłeś...

Na stoliku leży jakiś drobiazg sportowy... Bierzesz go do ręki, oglądasz tak sobie... Już jesteś na stadionie, na ślizgawce, na nartach... Jeden obraz wywołuje drugi, trzeci, dziesiąty...

Przypominasz sobie nagle, że dziś w gazecie była ciekawa wiadomość, którą nie dość dokładnie przeczytałeś. Przecież muszę wiedzieć, jak to było właściwie. Bierzesz gazetę do ręki na minutę, na dwie... Oho, co tu ciekawych rzeczy... Mijają minuty za minutami... Ty się uczysz?... Prawda?

I tak dalej i dalej bez końca. A co najciekawsze, ty wierzysz święcie, że «nauce» poświęcasz w domu dużo czasu.

Oto widzisz, sodalisie drogi, co znaczy umiejętność skupienia. Nie masz jej, nie starasz się o nią, nie zdobywasz jej w pocie czoła — dlatego przegrywasz w gimnazjum i będziesz przegrywał na wyższych studiach.

Oczywiście ogromną rolę odgrywa tu kwestia silnej, zdecydowanej, wyrobionej woli. Kto pracuje nad wolą, musi po mału dojść do umiejętności skupiania uwagi.

Ale jest jeszcze jedna, głęboka i subtelna kwestia.

Czytałeś pewnie i nieraz słyszałeś o tym, że jeden z największych geniuszów świata, gwiazda naukowa chrześcijaństwa — św. Tomasz z Akwinu mawiał często, że więcej wiedzy zdobył na modlitwie u stóp Chrystusa, niż z uczonych ksiąg, wykładów i badań...

Czy to tylko takie sobie ładne powiedzenie świętego...?

Czy to tylko dopływ przez modlitwę światła i łaski z góry...?

Oczywiście, że to drugie najpewniej w świecie. Ale jest jeszcze coś innego. Umiejętność modlitwy — to umiejętność skupienia umysłu, woli, uczucia, wyobraźni i pamięci przed Bogiem. To skoordynowanie wszystkich władz ducha w jednym celu, w jednym punkcie. To sprawa także przyrodzona, psychologiczna...

Umiesz się modlić?

To w lwiej części umiesz się także i uczyć!

A jakie twoje pacierze w domu, szkole, kościele...? Umiesz się skupić przed twoim Bogiem? Patrz, ilebyś zyskał! Łaskę i pomoc w pracy, a zarazem umiejętność skupienia się.

Rozumiesz teraz, że znane ci polecenie i hasło: *Módl się i pracuj!* zawiera w sobie całą głębię treści, wiąże cudownie Boga z tobą, modlitwę z pracą... Oby i dla ciebie stało się naczelnym hasłem twej nauki w szkole i w domu.

Wszak jesteś sodalisem!

4.

— Więc skarżysz się, że odcinki mojego artykułu są zbyt krótkie, że nie możesz się doczekać następnego numeru i spotyka cię zawód, bo ledwo mały urywek o uczeniu się znajdujesz? — Cieszy mnie, że te praktyczne uwagi tak ci się podobają, ale niestety, nie mogę nimi przeciążać numeru, gdyż jako gospodarz-redaktor winienem pierwszeństwa ustąpić gościom piszącym i dać im miejsca jak najwięcej. Żądają tego zresztą liczni czytelnicy. Sądzę jednak, że i te skąpe wskazówki należyście wyzyskane w praktyce mogą ci wiele przynieść korzyści, byleś tylko starał się je zawsze wprowadzać w życie przy domowej nauce...

Dziś zajmiemy się jedną bardzo ważną dla przygotowania lekcyj sprawą, to jest uwagą na godzinie w szkole.

Jest rzeczą uderzającą — wspomniałem o tym w marcowym artykule — jak małą wagę przykładają uczniowie do tej elementarnej sprawy. Czy nie wiecie, jak to bywa w klasie?

Ogólnie lekceważy się t. zw. «powtórzenie starej lekcji», z którego przecież wiele można skorzystać dla siebie. Jest pytany kolega... Jak on ujął to zagadnienie? Jak tłumaczy to zdanie? W czym popełnia i jakie błędy? — Jeśli mnie to naprawdę interesuje, jeśli zwracam uwagę na poprawki nauczyciela, czy wyrwanych kolegów, to tę t. zw. starą lekcję przeżywam niejako po raz trzeci, umacniam ją w pamięci, utrwalam tak, że już chyba stamtąd nie wypadnie...

Ale cóż?

Połowa klasy co najmniej nie uważa, bo — «myśmy się tego przecież w domu już nauczyli».

Podobnie jest z lekcją nową. Tu już uwagi rzecz prosta więcej, ale i tu jeszcze ten rozmawia, tamten ukradkiem studiuje coś na następną godzinę, ów odpisuje jakieś notatki, inny wreszcie pod ławką czyta książkę lub gazetę... I jacy są zadowoleni, gdy się nauczyciel nie spostrzeże. Jakby to była jego sprawa!

Brak uwagi w szkole jest kardynalnym błędem naszej młodzieży w całości jej szkolnego wykształcenia, błędem, którego konsekwencje mają znacznie szerszy zasięg, niżby się to nawet większości uczniów zdawać mogło.

I jeszcze coś!

Uwaga w szkole uczy nas jednej, ważnej a zaniedbanej sztuki — umiejętności słuchania i pracy słuchania. To też sztuka. Mało kto ją posiada. Widać to na różnych odczytach, referatach, dyskusjach, zebraniach, także sodalicyjnych. Ludzie, nawet dojrzały, nie potrafią ująć istoty rzeczy, ani podziału treści, ani wyodrębnić spraw drugorzędnych i trzeciorzędnych... Można o nich z całą pewnością powiedzieć, że w szkole nie nauczyli się słuchać. Nie nauczyli się też cierpliwości w wysłuchaniu poglądów cudzych, w nieprzeszkadzaniu przeciwnikowi w dyskusji, póki nie skończy przemawiać. Tego wszystkiego uczy nas doskonale każda lekcja szkolna, tylko, że my z niej korzystać nie chcemy.

W tej pracy słuchania znakomitą pomoc daje nam zawsze obudzenie szczerego zainteresowania się danym przedmiotem czy daną kwestią. Niestety i tutaj mnóstwo chłopców

ulega najwyczejniejszemu kaprynowi. Lubią historię, więc słuchają, nie lubią matematyki — wystarczy, by jej nie słuchali. To «nielubienie» przedmiotu jakiegoś, tak niegodne mężczyzny, wyciska swe piętno na pracy szkolnej nieraz przez całe gimnazjum. Co gorsza, czasem spływa na przedmiot z nauczyciela. Nie lubię profesora niemieckiego, zrobił mi kiedyś przykrość, był zbyt wymagający — i już całe niemieckie przypadło w mojej opinii. Nie lubię go i nie będę się go uczył...

Takiemu uczuciowemu czysto stanowisku przeciwstawić trzeba koniecznie rozum i męską wolę pracy i pokonywania wszelkich trudności. Wychodząc rano do szkoły, powinniśmy wzbudzać w sobie postanowienie pracy rzetelnej, skupionej uwagi na każde słowo lekcji, mocną wolę wyniesienia z dzisiejszych godzin jak największego zasobu wiedzy i jak największej korzyści. Żadna, nawet najmniej udana godzina lekcji bez tej korzyści dla nas wtedy nie pozostanie. A jak to niesłuchanie ułatwi każdemu pracę domową, przekona się tylko ten, kto od dziś moje wskazówki w pełni spróbuje jutro zastosować w szkole.

5.

Jedną z zasadniczych cech dobrego i racjonalnego uczenia się będzie zawsze gruntowność. Niestety jednak rzadko spotykamy ją w studiach szkolnych. Na palcach można by wskazać w klasie, nawet bardzo licznej, uczniów pracujących nad lekcjami w całym tego słowa znaczeniu gruntownie. To też skutki powierzchowności odbijają się potem uderzająco we wszystkich przedmiotach.

Powtarzam zawsze moim uczniom, że wiedzieć coś, to znaczy wiedzieć na pewno, na pewno do tego stopnia, iż powinni gotowi być klócić się do upadłego z samym nawet nauczycielem, że jest tak, a nie inaczej. Tymczasem nauka szkolna aż nadto często przedstawia obraz «szkoły pływania». Wszystko chwajne, wszystko możliwe, przypuszczalne... Najlepiej widać to w fakcie podpowiadania. Na 100 pytanym uczniom 75, jeśli nie więcej, jest święcie przekonanych, że kolega podpowiadający jest nieomylny i wie pewniej i lepiej od całej, całej wiedzy wezwanego do odpowiedzi. To ślepe poleganie na podpowiadaniu, ta rozpaczliwa niewiara w wartość własnej odpo-

wiedzi pochodzi wyłącznie z powierzchniowego, niegruntownego uczenia się.

I pół biedy jeszcze w szkole. Profesor sprostuje, pustkę umysłową naświetli, wpisze złą notę... ale w życiu, gdzie rozmaite względy chronić będą owego «pustaka» przed zasłużoną krytyką, wytworzy się z niego typ «półmędrka», rezonera, frazesowicza — typ najniebezpieczniejszy, a dość częsty w naszym, tak skłonnym do powierzchowności społeczeństwie.

Ucz się przeto gruntownie!

Staraj się zgłębić każde zagadnienie, każdą formułę gramatyczną czy rachunkową, każdy proces czy zjawisko fizyczne, historyczne...

Nie chwytaj się za głowę i nie mów: tażbym ja musiał do północy co dzień siedzieć nad książką! Co najwyżej z początku, gdy zapragniesz przejść na tę jedyną metodę uczenia się. Ale potem pójdzie ci coraz łatwiej, coraz przyjemniej. Bo cóż to za satysfakcja umieć coś gruntownie! Wiedzieć na pewno, bez wahania!

Spróbuj więc od dziś!

Czytasz ustęp łaciński, masz go sobie przetłumaczyć. Poznaj wszystkie słówka i zwroty, nie idź nigdy na domyśły. Tu intuicja bowiem lubi płać fatalne figle. Zbadaj wszystkie formy gramatyczne i wszystkie prawidła. W końcu poszukaj objaśnień rzeczowych, jeśli ustęp zawiera coś z historii, biografii, archeologii, geografii, co dla ciebie nie jest zupełnie pewnym i jasnym.

I teraz na moment jeden przystaw do tak przerobionej lekcji — gotowe tłumaczenie z «bryka»!

Samobójstwo inteligencji!

Rozumiesz?

A to samo, choć nie tak samo, w innych przedmiotach.

W historii staraj się zawsze nawiązać do okresów poprzednich, wysledź związek pragmatyczny między zjawiskami, które cię w tej chwili interesują, a tymi, które znasz w wiekach minionych, zapytaj się, co też w tym samym czasie działo się gdzie indziej, zwłaszcza w Polsce; pomyśl nad analogią faktów poznanych w przeszłości z obecnymi wypadkami i stosunkami politycznymi, społecznymi, kulturalnymi... Jakże to rozszerzy twój horyzont historyczny, jak wzbogaci inteligencję.

Przy zadaniu matematycznym, stosując znane już prawi-

dła, zagładnij wstecz, czy pamiętasz ich udowodnienie, które było może tak dawno; pomyśl, dlaczego tej a nie innej winieś użyć drogi; jak w życiu praktycznym mógłbyś daną formułę czy obliczenie zastosować i do czego...

Powtóre zaś ucz się zawsze z planem i spokojem. Nie gorączkuj się i nie denerwuj pozorną trudnością zagadnienia. Staraj się je spokojnie przemyśleć i rozwiązać. Pośpiech i niepokój są wrogami rzetelnej wiedzy!

Tak zwane «wkuwanie» przed konferencją okresową, przed zdawką, wkuwanie starające się nadrobić wszystkie stracone chwile, zmarnowane lekcje, lekkomyślne luki w poprzednim materiale, to robota «fuszarska». Może się udać ostatecznie przy pytaniu, ale co z niej zostanie na przyszłość? Gwałtowna ulewa spływa wielkimi masami wody po powierzchni ziemi, mały z niej pożytek dla korzenia, co najwyżej z prochu obmywa listowie... Drobny, długi deszczyk życie niesie całej przyrodzie, wnikając głęboko i nawadniając równomiernie wszystkie warstwy gleby.

Świetnym tego sprawdzianem bywa egzamin maturalny. Gruntownie, systematycznie przerobione działy, przetrawiony materiał odświeża się całkiem łatwo w pamięci i rekonstruuje się posłusznie na wezwanie... Gwałtowna, pełna sztucznego rozmachu robota, nieraz podsycana czarną kawą po nocy lub kłębam tytoniowego dymu zawodzi fatalnie w decydującym momencie i niejednego abiturienta «kładzie na łopatki».

6.

Pozostaje nam jeszcze zająć się chwilę samym przygotowaniem zadanej lekcji. Tutaj może najczęściej i w najbardziej rażący sposób ujawnia się nieumiejętność uczenia się. Bezcelowość, bezmyślność, mechaniczność — oto najczęstszy wrogo wie solidnej nauki, więc i samego ucznia.

Po tym wszystkim, cośmy poprzednio o tej sprawie powiedzieli, zwróćmy jeszcze krótko uwagę na kilka dodatkowych, nie mniej jednak bardzo ważnych momentów.

Przed zabraniem się do jakiegokolwiek przedmiotu powinieś sobie bardzo jasno uświadomić, do jakiego celu na jego terenie dziś właśnie zmierzasz, jakie zjawisko językowe masz zgłębić, jakie fakty historyczne i w jakim związku sobie

przyswoić, jakie zagadnienie matematyczne czy fizyczne opracować i przećwiczyć. Następnie jakie miejsce te wszystkie fragmenty danej wiedzy zajmują w jej znanym ci już całokształcie. Jest to niezmiernie ważne, gdyż świadomość celu zawsze decyduje o doborze środków. I na odwrót brak uświadomienia celu powoduje zupełną chaotyczność uczenia się, nieraz karygodne pomijanie najważniejszych a przygodny wybór pierwszych z kraja środków, nie tylko z dużą stratą czasu, ale co gorsze z przyzwyczajeniem do fałszywej i zawodzącej metody uczenia się.

A teraz jasna, zdecydowana wola zrozumienia przedmiotu. «Ja to muszę zrozumieć» — oto hasło, które powinno panować w języku, zarówno jak w historii, matematyce czy przyrodzie.

By nie mnożyć interesujących przykładów, weźmy pod uwagę tylko dwa fakty: oto jakiś ustęp z obcego języka. Czytasz go raz i drugi, nie rozumiesz jeszcze szczegółów, ale zadajesz sobie pytanie, o czym autor tu mówi, jaka jest myśl przewodnia tego rozdziału czy ustępu? Jest rzeczą uderzającą, jak przy takim zastanowieniu wiele się rzeczy po prostu samych przez się wyjaśnia, jak się układają i szeregują pojęcia, jak do owej myśli głównej, niby opiłki do magnesu, przyskakują coraz nowe myśli uboczne, więc zdania poboczne i wszystko się powoli w umyśle krystalizuje, zwłaszcza przy użyciu pomocy słownika i gramatyki. A jak ta metoda kształci inteligencję, samodzielność myślenia i wnioskowania!

I to samo jest z historią. Masz przed sobą np. pewien wy-cinek dziejów jakiegoś konfliktu. Co tu stanowi istotę jego? Które momenty są decydujące? i pierwszorzędne, grupujące około siebie wszystko inne? Wydzielasz je po namyśle i notujesz na kartce, one też przede wszystkim zapisujesz w swej pamięci. A teraz, które należy im podporządkować, jako drugorzędne, które wreszcie uznać za całkiem podrzędne? Takie przestudiowanie faktu dziejowego utkwii ci już na długo w pamięci, zrekonstruuje się w razie potrzeby z dużą łatwością i zasadniczo nigdy nie zawiedzie.

Opanowawszy zagadnienia czy zjawiska częściowe (partykularne), chciej i umiej je zawsze powiązać z poprzednimi i sąsiednimi w pewną całość.

Typowym tego przykładem może być historia. Oto np.

studiujesz w dziejach powszechnych jakiś wycinek średniowiecza w Niemczech. Wycinek niemiecki skończony, po nim przychodzą fakty z Francji czy Włoch. Powoli gdzieś ci się gubią Niemcy. W następnym czy dalszym rozdziale wracają, ale tyś już zdołał zapomnieć, co to było w poprzednim okresie czy epoce. Jeśli nie powiążesz zajmującego cię stulecia z poprzednim, zamiast silnej, dobrze związanej sieci historycznej w umyśle twoim wirować będą oderwane od siebie nitki i może dopiero przy powtórzeniu całej partii, przekonasz się, jak wiele doszczętnie zapomniałeś. Jest to niezmiernie częste zjawisko w szkole — i nie tylko przy historii.

Pamiętaj więc na zakończenie tych wskazówek, że wiedza musi być całością, musi być zwartym w sobie kompleksem logicznie powiązanych wiadomości, pewnych, przyswojonych, zrozumianych. Taka wiedza nie zawiedzie, taka wiedza stanie się nieugiętą podstawą pełnej i wartościowej inteligencji. Droga do niej wiodąca jest i dalsza i mozolniejsza i bardziej niepozorna od szybkiego i powierzchownego «uczenia się», o ile je tak w ogóle nazwać można, ale rezultaty przynosi wyborne — dla szkoły i całego życia.

Tę drogę wybieraj zawsze — napewno nie zbłądzisz ¹⁾!

1935.

ZATRWAŻAJĄCE CYFRY

W pierwszych dniach lipca ub. r. ²⁾ święciliśmy w gronie naszych b. profesorów i kolegów szkolnych, niegdyś uczniów VIII klasy państwowego gimnazjum polskiego w Cieszynie jubileuszową uroczystość 25-lecia matury. Jak zwykle w takich okolicznościach obchód cały rozpoczął się nabożeństwem odprawionym w naszym, dawnym, «szkolnym» kościele przez jednego z księży-kolegów, nastąpiło zebranie w dawnym gmachu gimnazjalnym, odczytanie katalogu, wspomnienie żałobne o tych, co na zawsze już «nieobecni», opowieści o własnych

¹⁾ Miejscami korzystałem z pracy ks. Czesława Oraczewskiego: «Jak się uczyć?» — metodyka pracy umysłowej, Warszawa, Arct, oraz z artykułu w «Stella Malutina», Roma 1929: «Organizzare lo studio».

²⁾ 1931.

przeżyciach, w końcu wspólna fotografia i uroczysty, pełen toastów obiad.

Na honorowym miejscu przy stole, obok naszego dawnego dyrektora gimnazjum, zasiadł najstarszy wiekiem z naszych b. mistrzów, dr W., który już za moich lat szkolnych uczył w gimnazjum jako emeryt, a dziś jest 86-letnim starcem. Trzyma się jednak dzielnie, o własnych siłach przybył na uroczystość i w czasie uczy wypowiedział piękne, dłuższe przemówienie na cześć swoich byłych uczniów. Ponieważ zaś starym zwyczajem było to «wzniesieniem zdrowia», rozwiódł się przeto na mocy swych własnych, blisko wiekowych doświadczeń o wartości zdrowia dla rodziny i społeczeństwa i życzeniem pełni, obfitości zdrowia dla nas i naszych rodzin zakończył swój serdeczny toast...

Prawda, olśniewająca prawda słów naszego czcigodnego profesora, stanęła mi całą siłą przed oczyma, gdy przygotowując do druku tegoroczny Kalendarzyk sodalicyjny, a w nim krótki artykułik o Polsce współczesnej, zagłębiłem się na chwilę w lekturę jednej z najbardziej na świecie dla Polaka interesujących książek — to jest *Rocznika Statystyki Rzeczypospolitej Polskiej za r. 1929*¹⁾.

Z niego to wyjąłem, także cyfry zamieszczone obok innych we wspomnianym Kalendarzyku na str. 37, a dotyczące doniosłego zagadnienia zdrowotności młodzieży szkolnej.

Utarł się już w świecie frazes, że «cyfry mają swoją wymowę». Zdanie niewątpliwie słuszne, tylko, że w wybujałościach współczesnego popędu statystycznego same cyfry bez komentarzy ogromną część tej «wymowy» straciły. Czytamy je po prostu z większym lub mniejszym zaciekawieniem — uśmiechamy się lub oburzamy i na tym — «ho, ho, kto by to pomyślał», wszystko się najczęściej, przynajmniej u przeciętnego czytelnika, kończy.

Otóż nie chcę, aby to, wyżej wspomniane zestawienie statystyczne przeszło wśród nas młodych bez głębokiego wrażenia, może nawet wstrząsu i dlatego, okazując się raz jeszcze w życiu powolnym uczniem czcigodnego starca-profesora z mej szkolnej ławy, chciałem dać wam do nich dziś mały komentarz i nazwać je w tytule «cyframi zatrważającymi».

¹⁾ Warszawa, nakładem Głównego Urzędu Statystycznego, str. 474.

Czy słusznie?

Przypatrzmy się najpierw raz jeszcze temu małemu ustępowi zamieszczonemu w naszym tegorocznym Kalendarzyku:

W roku szkolnym 1927/8 w szkołach średnich ogólnokształcących i seminariach nauczycielskich ogółem zachorowało 29.068 uczniów, z tego na:

szkarlatynę	776	tyfus brzuszny	276
odrę	1798	zapalenie płuc	963
ospę wietrzną	774	grypę	12795
koklusz	370	gruźlicę	7353
dyfteryt	183	jaglicę	1149
świnke	1778	inne	953

Zmarło 208 uczniów.

Przy zestawieniu dodaje Urząd Statystyczny bardzo ciekawą uwagę, że cyfry powyższe dotyczą tylko $\frac{2}{3}$ części młodzieży wspomnianych wyżej szkół, tj. średnich ogólnokształcących oraz seminariów nauczycielskich. Pochodzą one tylko ze szkół mających już stałą opiekę lekarską, one bowiem jedynie mogły podać dokładnie ilość i rodzaj zachorowań. W cyfrach wygląda to tak: na 248.002 uczniów i uczenie tych szkół dane lekarskie dotyczą tylko 167.519.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że w pozostałej $\frac{1}{3}$ części szkół pozbawionych stałej opieki lekarskiej stosunki zdrowotne młodzieży z natury rzeczy przedstawiają się o wiele gorzej. Zadowolmy się jednak tutaj czysto mechanicznym uzupełnieniem naszej statystyki tylko o jedną trzecią, a otrzymamy tabelę, która w przybliżeniu przedstawi nam stan faktyczny we wszystkich szkołach:

Otóż wtedy wypadnie:

Zachorowało w r. 1927/8 ogółem 43.602.

Z tego na:

szkarlatynę	1164	tyfus brzuszny	414
odrę	2697	zapalenie płuc	1445
ospę wietrzną	1161	grypę	19182
koklusz	555	gruźlicę (!)	11030
dyfteryt	275	jaglicę	1722
świnke	2667	inne	1280

Zmarło (proporcjonalnie) 312 uczniów

Przyjmując w sumie cyfrę młodzieży na 248.002 otrzymamy na 1.000 uczniów 175 wypadków zachorowań czyli 17,5%, zgonów zaś na 1.000 — 1,2%.

Są to cyfry bardzo wysokie, cyfry naprawdę zatrważające (p. gruźlica!), jeśli stwierdzimy choćby to jedno, że ogólna śmiertelność mieszkańców Polski w województwach zachodnich wynosi przeciętnie 1,5% na każdy tysiąc.

Oplakany stan zdrowotności młodzieży naszych szkół średnich, który nakreślił wstępnie do tych uwag, musi oczywiście mieć swoje poważne przyczyny.

Gdzie ich szukać?

Nie pomyłę się, gdy na pierwszym wśród nich miejscu postawię — biedę.

Szeroko rozsiała się ona po naszych szkołach i ogromnym zastępem młodzieży stała się nieodstępną towarzyszką przez cały czas nauki. Ona to nie pozwala na dostateczne i zdrowe pożywienie, ani mieszkanie, a nieraz i do odzieży i obuwia bezlitośnie się dobiera, narażając na tak niebezpieczne przeziębienia, ona wreszcie nieraz i na nadmierną pracę zarobkową za marnym wynagrodzeniem skazuje. Jak na tym wszystkim wychodzi zdrowie młodych — nie trzeba osobno dowodzić.

Zwróćmy tylko uwagę na liche, oplakane wprost «stancje» po naszych miastach i miasteczkach, które urągają nieraz elementarnym wymogom higieny. Te ciemne, zatęchłe, duszne nory, gdzieś od podwórca lub na samym poddaszu, gdzie ani słońce, ani powietrze, ani światło, jak rok długi niemal, nie dochodzi. Stłoczona gromada lokatorów chowa się i żyje w możliwie najgorszych warunkach. Potężny problem mieszkaniowy XX wieku bynajmniej nie oszczędza młodzieży. Tylko może mało kto ma odwagę spojrzeć mu otwarcie w oczy...

Znam te stancje w takim Krakowie z czasów jeszcze przedwojennych. Zwiedzałem je z ramienia sodalicji akademickiej, jako przedstawiciel jej sekcji opieki nad młodzieżą szkół średnich — i chyba ich nigdy nie zapomnę.

Tu pokoik niemal bez okna. — Jest wczesne popołudnie wiosenne, ale na stole już kopci naftowa lampka, przy której uczy się kilku chłopców... Tu siennik rzucony na ziemię w zupełnie ciemnym przedpokoju, obok wyszczerbany dzbanek

z wodą i niedojedzona kromka czarnego chleba, a na sienniku — poważnie chory chłopiec z II klasy gimnazjalnej, syn góralski spod Myślenic. To «stancja» za 4 korony miesięcznie! Tu znów na III piętrze, w oficynach «na Groblach», blisko gimnazjum I-go, w małej izdebce 6 chłopców, ale tylko 2 łóżka. Bo «stancja z łóżkiem» kosztuje miesięcznie 5 koron, a spanie na wymarznętym i wilgotnym sienniku, wnoszonym co wieczora z ganku i układanym na drewnianych kuferkach studenckich, lub wprost na ziemi, tylko 4 korony. Co za powietrze w tej izbie, zwłaszcza w zimie, gdy się pali w żelaznym piecyku, a obok w małej kuchni wszystkie odory z gotowania lub co gorsza — przykra para mydlana z prania u «pani gospodyni»... Wspomnę nawiasem, że za skromną uwagę o zdrowiu chłopców spotkała mnie od niej piekielna awantura i pogroźki za nachodzenie «uściwego domu»...

Może... może dziś zmieniły się te stancje po wojnie, może szkoły otoczyły większą opieką swą młodzież. Nie wiem. Choćby nawet tak — to skąd fundusze na poprawę jej bytu? Można jednak mocno w tę sprawę wątpić, gdy się zważy, że nasze warunki życia uległy ekonomicznie zmianie na gorsze i bieda po wsiach jeszcze większa, jak była przed laty dwudziestu pięciu.

A pożywienie? Aż 120 tych uczniów karmiła co rano, bezpłatnie nasza sodalicja akademicka garnuszkami ciepłego mleka i 2 bułkami, czerpiąc fundusz, jak mówił ś. p. O. Bratkowski, nasz moderator od «dobrego, świętego Stasia Kostki»; na obiad więcej niż skromny, szło to bractwo znów do sławnej w Krakowie s. Samueli felicjanki... a wieczera? To kawałek chleba, herbata za 2 grosze w herbaciarni miejskiej — i na siennik! Hulała też gruźlica i wszystkie jej najbliższe krewne, choroby... Czy dziś jest lepiej! Oby, oby — lecz nie bardzo chce mi się wierzyć w zbyt głęboką tego stanu poprawę.

Drugi powód tej tragedii «zatrważających cyfr» chorób i śmiertelności w naszych, młodych szeregach upatruję w bardzo dziś rozpowszechnionym, zwłaszcza w niektórych okolicach Polski «dojeżdżaniu» do szkoły. Na największą skalę odbywa się ono w szerokim okręgu wielkich miast oraz w okolicach przemysłowych, jak Zagłębie Dąbrowskie czy Górny Śląsk. Wiadomo mi, że w niektórych gimnazjach śląskich liczba dojeżdżających uczniów przekracza 50% ogółu. Jak zaś

wyglądają podmiejskie pociągi Warszawy czy Krakowa między 7 a 8 godziną rano, wie każdy, kto w tym czasie znalazł się choć raz podczas roku szkolnego na kolei. Pod pewnym względem gorzej jeszcze przedstawia się sprawa «dojeżdżania» na głębokiej prowincji, gdzie rozkłady kolejowe często zupełnie nie liczą się z niezbyt dużymi grupami podróżującej do szkół młodzieży i doprowadzają pociągi do miejsca przeznaczenia nieraz na 2 z górą godziny przed rozpoczęciem nauki, a więc w zimie wśród zupełnie ciemnej nocy!

A tak niezmiernie mało ludzi, jak widać choćby z prasy, która prawie nie dotyka grozy tego zagadnienia, zwraca uwagę na tę prawdziwą plagę dla zdrowia naszych dzieci szkolnych, na ten prawdziwie tragiczny moment ich młodości.

Gdy wszyscy jeszcze w głębokim zazwyczaj śnie spoczywamy, śnie tak słodkim w przedrannych właśnie godzinach, w chatach i domkach, przede wszystkim w mieszkaniach kolejarzy wszelkiego stopnia, od godziny czwartej, piątej rano, jesienią, zimą, już pali się światło. Dzieci już wstały! Spieszno im na stację, na pociąg. Piją na gwałt śniadanie, często zimne, bo nie było czasu ognia dostatecznie rozpalić, a na «primusy» nie stać każdego. Na dworzec nieraz kawał drogi piechotą, bywa i 2 i 3 kilometry. Pociąg zajeżdża. Z ostrego zimna, czasem mrozu wielkiego w rozpalone wagony wsiadają całe gromady uczniów. Któżby z nich zdejmował płaszcz czy kożuch? Nie warto — «nie oplaci się». Za pół godziny, za godzinę czasem nawet — wysiadają — odwrotnie z gorąca na mróz. Dobrze jeszcze, jeśli pociąg przyszedł w okolicy godziny ósmej, ale jeśli znacznie wcześniej... koło 7-mej, nawet 6-tej?... Błąkają się po dworcu, po dusznych, zadymionych poczekalniach, gdzie często wtedy zamiata się podłogi, po zimnych peronach, po ulicach, rzadziej po korytarzach zamkniętej jeszcze przecież szkoły.

Wszystko z tymi samymi szczegółami powtarza się po godzinach lekcyj. Przyjazd do domu koło trzeciej, czasem czwartej, więc w zimie znów już po ciemku. Obiad odgrzany, jeśli nie wyziębły. A potem nauka przy sztucznym świetle przez połowę co najmniej roku. Koło 8-ej oczy kleją się do snu, a tu jeszcze tyle lekcyj i lektur...

Podobna, a może jeszcze gorsza dola «dochodzących» ze wsi, nie położonych przy kolejowej linii. Czasem 3, 4, bywa

nawet 6 i 8 kilometrów, zimą i latem piechotą, w dobrze nieraz podartym obuwiu, bez dość ciepłego płaszcza.—Dzień w dzień, w deszcz i wiatr i zawieje...

O zdrowie! zdrowie! — jakże słabniecie w tych wycieńczonych, niedożywionych organizmach, niemal dziecięcych, gdyś właśnie miało się mnożyć i składać i budować na cały życia czas!

To są ofiary, które pierwsze padają czasu niby niewinnej, a tak bardzo groźnej grypy, to są szerokie rozłogi, na których przede wszystkim pleni się gruźlica, to punkty wyjścia owego ponurego pochodu, «zatrważających cyfr», które przytoczyłem na samym wstępie mych uwag.

Znalazłyby się oczywiście jeszcze dalsze przyczyny tak poważnego zapadania na zdrowiu rocznie z górą 43.000 uczniów polskich szkół średnich, ale powyższe wystarczą aż nadto do oświetlenia całej grozy ich zdrowotnej sytuacji.

Jest ona złą — i z punktu widzenia higieny społecznej jeszcze ciągle zatrważającą.

I po cóż to wszystko piszemy w naszym sodalicyjnym miesięczniku? Czy w naszej mocy zmienić oplakane warunki, które młyńskim kamieniem zaciążyły na społeczeństwie i jego młodzieży, zwłaszcza w ostatnich latach powszechnego «kryzysu»? Na pewno nie! Zbyt słabi jesteśmy, zbyt biedni i nie «wpływowi». Ale uważamy za święty obowiązek ostrzegać i wołać na cały głos do naszych drogich sodalisów, naszej nadziei na przyszłość, naszej pociechy i chluby: Chłopcy szanujcie zdrowia, chrońcie zdrowie, nie narażajcie go bez potrzeby w tak bardzo już, bez tego ciężkich warunkach zdrowotnych.

Wyzyskajcie każdy moment, każdą prawdziwie wolną chwilę dla zdrowia! Poznajcie jeden, drugi podręcznik codziennej higieny płuc, serca, narządów trawienia, wypoczynku. Wyzyskajcie dla tej sprawy nade wszystko każde wakacje, aby odetchnąć czystym powietrzem, użyć ruchu, natchwytać w siebie słońca i jego cudownej energii, której w wielkich miastach i przemysłowych ośrodkach tak znikome dostajecie dawki. Nie nadużywajcie tak zresztą wskazanych sportów, gdyż to mści się okrutnie na rozwoju młodego organizmu, który — aby intensywnie ćwiczyć się sportowo, musi mieć zabezpieczony z góry dostatek koniecznego i silnego pożywienia, inaczej spala się po prostu, nie odnawiając paliwa. Do re-

kordów i wielkich wyczynów sportowych musi się już przynosić zdrowie silne i pewne, przez sumiennego stwierdzone lekarza, inaczej miast wzmacniać — podkopuje się je bez litości i nieraz na całe życie! (Z doświadczeń bardzo przykrych i naocznych to piszę).

Rozważając to wszystko — uznajcie także wielką myśl naszej własnej, sodalicyjnej kolonii! Wszystko to, coście w tych uwagach przeczytali — wszystko to, było i jest ideową podwaliną tego dzieła. Dać w możliwej pełni całym gromadom naszym powietrze, słońce, kryniczną wodę, zdrowy posiłek, wytchnienia, spokój — szczególnie wam, sodalisi wielkich miast i przemysłowych środowisk — to wołanie, którym szumią nasze buki i jodły na szerokiej, zielonej Śnieżnicy...

Zrozumienie kolonii, odczucie jej wielkiego zadania — to jedyna rękojmia jej rozwoju i jej poparcia.

Jeśli za łaską Boga i z pomocą Marii umniejszą ona choć trochę w naszych sodalicyjnych gromadach «zatrważające cyfry» — cel swój osiągnie w zupełności i owoc przyniesie upragniony przez nas najgoręcej.

1932.

O ZDROWY SPORT

W krakowskim «Przeglądzie Powszechnym» za styczeń 1927 ukazał się artykuł p. Emilii Reicher, doktorki medycyny i filozofii, pt.: «Znaczenie i granice sportu», który zasługuje na naszą uwagę zarówno dla głębokiego ujęcia tematu jak i fachowej powagi autorki.

Jesteśmy na przelomie dwóch nierównej zresztą wagi sezonów sportowych. Sport zimowy, więc narciarstwo, ślizgawka i saneczkowanie jest przystępny stosunkowo znacznie mniejszej ilości młodzieży, jak niezliczone sporty letnie. Tym więcej zatem sprawie tej, porywającej dziś aż do namiętności ogół ludzi, nie tylko młodych, wypada poświęcić nieco miejsca w organie sodalicyjnym, któryby gorąco pragnął poruszać wszelkie aktualne kwestie.

Pozwólmy sobie najpierw streścić główne zapatrywania wymienionego artykułu.

Przed wszystkim zupełnie słusznie podnosi on wyższe

znaczenie sportów kształcących harmonijnie cały ustrój człowieka nad te, które jak kolarstwo, piłka nożna jednostronnie kształcą pewne organy, ze szkodą innych.

Niezmiernie ważną jest uwaga, najzupełniej przeoczana przez młodzież, że sport jednak nie jest wypoczynkiem lecz pracą organizmu, zużywającą olbrzymie ilości energii i ciepła, zwłaszcza u początkujących, nieracjonalnie wytrenowanych sportowców. Dla młodych uprawiających sport z namietnością, z pasją, aż do ostatniego tchu nieraz w przekonaniu najmylniejszym, że to wzmacnia i hartuje, tkwi w tej uwadze lekarki, groźne memento i przestroga przed nadużyciem, które jak każde inne, mści się, nieraz okrutnie na organizmie i jego przyszłości.

Tak więc praca mięśni, ćwiczenie sportowe oddziaływa bardzo wybitnie na obieg krwi i ciężar serca. Z ssaków np. najcięższe serce ma szybkożonna i płochliwa sarna, u ludzi zaś atleci, kowale itp.

Tak więc dalej, każda praca mięśniowa wzmaga procesy spalania w organizmie i to tak dalece, że już zwykle poruszenie palcami wzmaga przemianę gazową o 12.5%, pozycja siedząca w stosunku do leżącej o 7.5%, stojąca wyprężona o 20%. Przechadzka na przestrzeni 50 metrów wzmaga zużycie tlenu trzykrotnie, szybki chód na tej samej długości pięciokrotnie, wejście stromą ścieżką nawet dziewięciokrotnie. Oczywiście przy należytych, stopniowym treningu strata powyższa zmniejsza się bardzo poważnie. Ale też w tym cała rzecz, aby trening był racjonalny, gdyż inny zwiększa jeszcze szkody, miast je usuwać.

Z tego, co wyżej powiedziano, wynika inna bardzo ważna prawda, odnosząca się do odżywiania organizmu. Jeżeli jest on z natury wątki, słabowity lub nie należycie odżywiony, nie wystarczają przy wysiłku sportowym węglowodany i tłuszcze czerpane z pożywienia, lecz zużywa się i drogocenne białko. I oto nieracjonalny sport przynosi z sobą upadek sił, wyczerpanie organizmu, wyniszczenie ustroju.

Widzimy zatem, jak wielkie znaczenie w uprawianiu sportu, jak wszędzie w życiu, zajmuje rozsądek, przestrzeganie praw przyrody i granic przez nie nakreślonych. Wszelkie nadużycie mści się. A któż zaprzeczy, że takie następstwo sportu byłoby jego karykaturą, dziwolągiem.

Jeżeli źle pojęty sport sprowadza tego rodzaju następstwa, to bynajmniej nie znaczy i znaczyć nie może, by sport zasługiwał na potępienie lub nawet na lekceważenie.

Trzeba go tylko pojmować zdrowo, rozumnie, prawdziwie po ludzku. I o to właśnie idzie.

Racjonalny, systematyczny trening nie tylko wyrabia sam organizm i udoskonala go, nie tylko dostarcza wybornej rozrywki i najmiłszego wypoczynku, ale oddziałują znakomicie i na duszę człowieka. Bo sport szlachetnie pojęty uczy powściągliwości zmysłów, panowania nad sobą, zdolności wysiłku, wstrzymania się od alkoholu i tytoniu, uczy karności i dyscypliny, zbliża do natury i jej cudów, rzuca więc potężną podwalinę pod wychowanie moralne człowieka.

Lecz, aby był takim, nie wystarcza sama racjonalność. Trzeba, aby sport rozwijający ciało pamiętał o koniecznym, nieuniknionym rozwoju ducha. Sport czysto cielesny jest znów karykaturą. On musi służyć duchowi, duszy ludzkiej, jej udoskonaleniu, jej celowi i wiekuistemu przeznaczeniu. Inaczej staje się czysto pogańską kulturą ciała, panowaniem mięśni, zdeptaniem wartości i praw duszy, a przez to niepowetowaną szkodą zarówno jednostek, jak społeczeństw, jak całej ludzkości.

Dodajmy na zakończenie tej pierwszej części uwag opartych niemal wyłącznie na cytowanym artykule «Przeglądu Powszechnego» piękny wiersz J. Eismonda pt.: «Nowoczesna Sparta». Świetnie, choć nie bez goryczy ujmuje on te właśnie dobre i złe strony sportu, u nas niestety, jak jeszcze zobaczymy, dość silnie już spaczonego w swej zasadniczej idei i celu ostatecznym, najwyższym. Oto słowa poety:

*Minęły bezpowrotnie rycerskie Mohorty.
Polska dzisiejsza sięga od Sparty po sporty.
Niczego nie uznaje na świecie pozatem.
Skok o tycze podobno jest też poematem.*

*Minęła przeszłość dziarska... Rumak nie zaparska...
Teraźniejszość bokserska jest oraz pięściarska.*

*Nikt z charty nie wyjeżdża na łowy sokole,
Następcy Sparty wolą rugby i fott-ball'e.*

*Miał orły ścigać wzrokiem po niebiosów stropie,
Dzisiejszy Polak, niemal od kolebki kopie.*

*Zdrowy duch ideałem bywa w zdrowym ciele
Lecz jedno zauważyć tutaj się ośmielę:
Ażeby stąd spłynęła na człowieka chwała,
Konieczne jest potrzebna dusza oprócz ciała.*

Ale wróćmy jeszcze na chwilę do wspomnianego poprzednio artykułu «Przeglądu Powszechnego».

Najsluszniej w świecie autorka jego zwraca w dalszym ciągu swych wywodów uwagę na charakterystyczne pomieszanie pojęć, jakie zapanowało niepodzielnie we współczesnym uprawianiu sportu, zdaje się, w całym świecie.

Teoretycznie rzecz biorąc, nikt chyba nie zaprzeczy, że sport jako ćwiczenie ze wszech miar polecenia godne, jest i może być tylko *ś r o d k i e m* do osiągnięcia pewnych szlachetnych celów w dziedzinie ciała i ducha; że ma on być *ś r o d k i e m* racjonalnego wypoczynku, odświeżenia sił fizycznych i psychicznych, ale nigdy i w żadnym rozumieniu sport, jako taki, nie może sam w sobie stać się celem.

Otóż zamieszanie pojęć doszło dziś do tego właśnie zupełnie fałszywego wniosku, iż uczyniło sport celem w sobie i spaczyło, skrzywiło rzecz dobrą i naprawdę polecenia godną.

Bożkiem, ideałem w dziedzinie sportu stał się rekord.

Drogę do rekordów otwarły zawody. I oto sport dziś przetrada się właściwie w «zawodnictwo», w «rekordomanie», które prędzej czy później mogą sport prawdziwy tylko zabić.

I nie tylko sport.

Mogą zabić po prostu człowieka jako takiego, zabijając w nim wszelkie wyższe i szlachetniejsze zainteresowania umysłowe, estetyczne, literackie, filozoficzne i religijne. Czy nie staje się jasnym, że tak, jak dziś pojęty, sport może człowieka po prostu «odczłowieczyć»??

To w dziedzinie duchowej, kulturalnej.

Ale i w dziedzinie czysto fizycznej musi sport być ściśle uregulowanym przez troskliwą opiekę lekarza, przez kierunek fachowego, uczciwego trenera. W przeciwnym razie, sport puszczony bez żadnej kontroli na falę młodzieńczej, tak zwyczajnej w tym wieku przesady w każdym kierunku, da wyniki

wprost odwrotne od zamierzonych. Dziś już jest powszechnie wiadomym, że forsowny trening, miast hartować, osłabia młody organizm, że atakuje płuca, serce, ustrój nerwowy i mięśniowy. Szał footballowy dał tyle przerostów serca i osłabienia płuc, że dziś poważną troską zaciążył na życiu młodzieży. To też musimy się domagać ścisłych pomiarów lekarskich i niejako «poświadczeń» fachowych, do jakiego sportu i w jakich granicach zdolny jest dany organizm młodego, aby sport nie minął się z celem i nie wychował nam wprost cherlaczego, wyczerpanego zbytym wysiłkiem pokolenia.

Kończy autorka swój świetny artykuł zapowiedzią bardzo pocieszającą, że nad badaniami naukowymi sportu i jego kulturą pracuje już w Polsce grono doskonale do tego przygotowanych specjalistów. Oby jak najprędzej okazały się pożądane skutki ich pracy i badań w tej dziedzinie.

Czas już najwyższy!

Bo dodając teraz jeszcze słów kilka do wspomnianego artykułu, musimy niestety dorzucić gorzką uwagę, iż dzisiejszy sport przeradzając się w jakieś bałwochwalcze uwielbienie mięśni, mięśni, mięśni, siły i sprawności fizycznej, nie pytając zupełnie, ale to zupełnie o umysłową czy moralną wartość zawodników, wykoleja całe szeregi młodych ludzi życiowo i etycznie. Rekord w skoku, w footballu, czy pływaniu, wystarcza dziś najzupełniej do sławy, nieraz wszechświatowej. Człowiek, który nie umie pisać ortograficznie w ojczystym języku — staje się bohaterem, bożyszczem tłumów. Dzienniki przynoszą jego fotografie — oczywiście nie życiorysy, bo to byłoby bardzo ryzykownym, opisują szczegółowo śmieszne drobiazgi, podają skwapliwie jego słowa, opinie i wypowiedzi... Młody chłopak staje się w niepojęty dla normalnych ludzi sposób «naszą sławą» — «chlubą narodową», «przyszłością polskiego sportu» — dobrze, że nie przyszłością ojczyzny! Tysiące ludzi czyta podobne bzdury i banialuki i wierzy im, śmiejąc się równocześnie z prostego chłopaka, który święcie wierzy w to «co stoi wydrukowane w gazecie»...

Nie wierzycie może?

Oto przykład. Niedawno prasa polska podała w kronikach sportowych «wzruszający» zaiste obrazek z życia takiej «przyszłej sławy Polski» niejakiego chłopca góralskiego z Zakopanego — X. To pozakonkursowy rekordzista w skokach

narciarskich na ostatnich międzynarodowych zawodach. I czytamy w «poważnej» prasie polskiej taki, jeden z wielu szczegółów o tej «chlubie»: «Młodziutki 13-letni X., syn gazdy z Zakopanego, jest uczniem II klasy szkoły powszechnej, ale naukę zimą zupełnie zaniedbuje, nie pokazując się zupełnie w szkole. Fenomenalnym narciarzem zainteresowały się obecnie zakopiańskie sfery sportowe, a sekcje narciarskie Twa Tatrzańskiego i «Sokoła» wzajem go sobie wydzierają, sprawiając mu ubranie, buty, sprzęt narciarski i t. d.» (cyt. z «Młodego Polaka» nr 4, marzec 1927, na okładce).

Kogóż to sobie wydzierają? Czytelnicy — zdejmijcie na chwilę okulary «sportowe» i popatrzcie na to bolesne zjawisko zdrowym okiem — jasnym i rozumnym. Chłopca, który mając lat 13 jest w II klasie szkoły powszechnej. To znaczy jednostkę nieobowiązkową, opuszczającą lekcje, zapewne nie umiejącą do dziś porządnie czytać, pisać, rachować. I to jest «mistrz»! Po cóż miałby się uczyć, wyrabiać charakter, zasady życiowe — on bez tego jest «sławą», «chlubą», «przyszłością». A jest takich więcej i nie tylko w narciarstwie. Wystarczy porozmawiać z księżmi i nauczycielami szkół w danych miejscowościach i zapytać o bezstronną, wychowawczą opinię o tych gazetowych «sławach i mistrzach».

Przez tak pojęty sport, przez takie «wydzieranie» sobie młodzieży niewyrobowanej, przez takie reklamowanie tanio zarobionej sławy, przymnaża się narodowi, społeczeństwu całe pokolenie darmozjadów, wykolejeńców, rozbitków życiowych i moralnych, a społeczeństwo jest tak silnie zahypnotyzowane sportowym, chorobliwym zupełnie prądem, że po prostu nikt nie ośmieli się nawet w poważnej prasie zwrócić uwagę na krzywdę, jaka się dzieje i tym dzieciom i całej bezkrytycznej młodzieży, upatrującej ideały życiowe tak nisko i tak fałszywie — i ostatecznie, całej duchowej sferze narodu, w którym już nie zasługa rzeczywista, nie praca uczonych latami całymi prowadzona ofiarnie w laboratoriach i uczelniach, nie dzieła mistrzów sztuki — ale «fenomenalny» skok, kopnięcie, pływanie zyskuje powszechne uwielbienie, uznanie, oklaski!

Czy tak się kształci poziom etyczny narodu, czy tak się pomaga rozwojowi kultury polskiej, czy tak się idzie z uznaniem i pomocą dla cichych pracowników, uczonych, literatów, myślicieli?

Pomyślcie, jaka zagraża nam stąd katastrofa!

Miejmy odwagę przeciwstawić się fali, nie wiem jak potężnej fali opinii «kół sportowych» i dziennikarskich, która hucząc frazesami, mieści w sobie tyle mułu, piasku i błota. Miejmy odwagę własnego zdania, własnej opinii i nie obawiajmy się szerzyć je w kołach młodzieży, w kołach koleżeńskich. Ktoś musi zacząć wylamywać się pierwszy z błędnego i obłądnego koła. Ktoś musi powiedzieć zdrową, jasną prawdę. Uczynimy to my! To też wielki obowiązek sodalicyjny i dodam — wielka zasługa!

Bo my kochamy sport! My oceniamy jego doniosłość zwłaszcza dla nas młodych. Ale my chcemy w Polsce «sportsmenów» z tytułem doktorskim, z dyplomem inżynierskim, my chcemy sportowców — wybitnych mistrzów w swoim fachu życiowym, my chcemy sportowców z wyrobionymi jak stal mięśniami i z wyrobionym jak stal charakterem, ale my chcemy również ochronić Polskę przed sławą podejrzaną wartości, jaką roznosić będą po świecie «mistrze-nieuki», «rekordowcy-analfabeci» umysłowi i moralni, i chcemy ochronić przed taką «chlubą» nasze tak niezasobne jeszcze w «ludzi» społeczeństwo!

1927.

Z KRAINY SREBRNEGO EKРАНU

1.

Czterdzieści lat temu...

Dzień 28-go grudnia 1895 roku.

Jesteśmy w Paryżu.

Na ruchliwym «Boulevard des Capucins» przed kawiarnią «Grand Café» gromadzą się niewielkie grupy ludzi. Stoi kilka dorożek konnych, od czasu do czasu ktoś wysiada z staroświeckich (po dzisiejszemu mówiąc), piętrowych omnibusów. Wszyscy kierują się gdzieś do sali w suterrenach. P. M. Volpini, właściciel kawiarni wynajął bardzo niechętnie ten lokal, nie miał żadnego zaufania ani do samego przedsięwzięcia, ani do jego wynalazcy, ani wreszcie — oczywiście — do zapłaty za wynajem sali. Niebardzo się zresztą pomylił w tej

ostatniej kwestii, bo po przedstawieniu doliczono się w kasie aż 35 franków czystego dochodu.

Ale cóż to takiego było? — spytacie wreszcie mili czytelnicy.

To było pierwsze na świecie wyświetlenie «żywych fotografii» wynalazku P. Louis Lumière.

Dziś, w czterdzieści lat po tym skromnym i niedocenianym początku obliczenia wykazują zawrotne cyfry rozwoju.

Dzienny targ kas kinowych na świecie wynosi 125.000.000 franków.

Kapitały inwestowane w przemysł kinematograficzny dochodzą 50 miliardów.

62.000 kin czynnych na kuli ziemskiej.

Odwiedza je w jednym tylko tygodniu przeciętnie 20.000.000 ludzi.

Urzędników, funkcjonariuszów, kasjerów, operatorów, służby stale zajętej 500.000.

Półtora miliarda wydawnictw wszelkiego rodzaju rocznie.

600.000.000 metrów taśmy filmowej zużytej w jednym roku — gdyby to był jeden gigantyczny film, opasałby piętnaście razy naszą kulę ziemską.

A możecie ciekawi, jaki też był program pierwszego «seansu». Odczytajmy go z plakatu pana Lumière: *Wyjście z zakładów Lumierowskich — Przyjazd pociągu — Łódź wpływająca z portu — Jak polano podlewacza kwiatów? — Podwieczorek synusia...*

Ale dość cyfr i wspomnień!

W czasie uroczystości jubileuszowej w Paryżu, odbytej przed dwoma miesiącami tłumy młodzieży akademickiej i publiczności zebrane w olbrzymim, uniwersyteckim amfiteatrze Sorbony oddały pod wodzą ministra oświecenia hołd wielkiemu wynalazcy, o którym jeden ze współczesnych pisarzy francuskich nie wahał się powiedzieć: «Ten człowiek dał nam pokarm, który po chlebie powszednim cieszy się dziś największym popytem»¹⁾.

Kino ośwładnęło świat. Stało się potęgą niezaprzeczoną. Zdołało olbrzymie wpływy.

Jak je i w jakim kierunku wywiera?

¹⁾ «A la Page» (tygodnik), Paris 1936.

Niestety musimy stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że stało się ono źródłem dochodów i spekulacji. Zamiast prowadzić wzwyż, samo zniżyło się do płytkich, nieraz bardzo niewybrednych, by nie rzec, najniższych upodobań przeciętnego widza, tak że film dobry, szlachetny, podnoszący duchowo i moralnie stał się bardzo, bardzo rzadkim gościem na srebrnym ekranie.

Kino poczęło ludzkości przynosić niepowetowane szkody moralne, oddając swą zdumiewającą technikę, niezrównane piękno, genialne nieraz pomysły na usługi pospolitej żądy, niezdrowej sensacji i taniego poklasku tłumów.

Trzeba było wielu lat, aby to wielkie niebezpieczeństwo dostrzeżono i aby poczęto szukać dróg i środków zaradczych. I poszło przez świat zrazu jeszcze ciche i niewyraźne, z każdym dniem jednak potężniejące wołanie o odrodzenie filmu, o odrodzenie kinoteatru.

Nie będziemy się dziwić wcale, że hasło to wyjść musiało z kół szczerze katolickich, zaniepokojonych moralnym spustoszeniem, szerzonym z ekranów, a zrodzić się w kraju par excellence kinowym, jakim jest jeszcze ciągle Ameryka Północna i jej Stany Zjednoczone.

Bardzo to ciekawa i pouczająca inicjatywa katolicka!

Z początku zlekceważona, przyjęta uśmiechem politowania przez potężne koncerty takiego Hollywood czy Paramount, a potem i to dość szybko już doceniona, gdy dzień za dniem zdobywając tysiące i tysiące zwolenników-obywateli, zapukała bezwzględną dłońią bojkotu i uderzającej obniżki frekwencji do kas i biur sprzedaży kinowych biletów.

Warto się jej pokrótce przypatrzeć. Wszak wiele, bardzo wiele i my młodzi katolicy polscy możemy się z niej nauczyć.

2.

Jak to się stało, jak to się mogło stać, że potężne Hollywood poczuło się zaniepokojone? Hollywood, rozporządzające milionami dolarów, olbrzymimi wpływami w prasie, radiu i na tysiącach ekranów?

Kto był sprawcą tego zaniepokojenia?

Oto amerykańscy katolicy, którzy znowu dowiedli tej odwiecznej prawdy, że katolicyzm jest potęgą drzemiącego

lwa. Ale oczywiście katolicyzm zorganizowany, karny, zjednoczony. Trzeźwy i czujny mimo wszystko.

Bo przecież właśnie chyba dla jego uspienia jeden z potentatów w krainie filmu, urzędowy cenzor obrazów kinowych stale powtarzał, że «uznawać należałoby jedynie filmy o charakterze wzniosłym, uczciwym i moralnym». Ale, jak mówi się dosadnie po naszymu: cenzura do lasa, a film do sasa! I z tego samego powodu przedsiębiorcy filmowi powtarzali aż do znudzenia: «Filmy niemoralne? — to przecież nie nasza wina! To publiczność takich właśnie się domaga! Jaka publiczność — taki film». Co za przewrotność! Najpierw zepsuć smak, zdeprawować widza, a potem go oskarżać o niemoralność!

I zdawało się, że wyjścia nie ma z rozpaczliwej sytuacji. Że dalej i dalej ze srebrzystych ekranów cuchnące pomyje gloryfikacji zmysłów, zbrodni, bandytyzmu, a poniżenia i wyśmiania uczciwości, cnoty, szlachetności wylewać się będą dzień w dzień w Ameryce na głowy i dusze milionów.

Jedno było przecież jasnym ludziom trzeźwo myślącym:

To publiczność, właśnie publiczność i jedynie publiczność może i powinna okazać, jakich filmów chce i jakich nie zniesie!

I okazała!

Kinematograficzny bandytyzm moralny wpadł we własne sidła.

Zaczęło się!

I to było może najwspanialsze «kino».

Naprzeciw potężnego Hollywood i jego władców wystąpił «zbudzony lew» katolicki.

A nielada miał siłę.

W 18.250 kościołach rozległy się z ambon kazania przeciw złemu filmowi — i to w niejedną niedzielę. Dzienniki, tygodniki i miesięczniki katolickie w liczbie 310 z nakładem 7,000.000 egzemplarzy ruszyły na front. W szkołach katolickich od najniższych, poprzez gimnazja i uniwersytety własne uświadomiono 3,000.000 młodzieży.

Armia katolicka ruszyła w bój!

Jej śladem poszła najokropniejsza broń — bojkot niemoralnych filmów i teatrów świetlnych.

W Hollywood uśmiechano się na to wszystko.

«Nic nam nie zrobicie. Hałasujcie dalej! Przetrwamy!»

Ale potęga ruchu katolickiego oddziaływała i na wierzących protestantów. Narodowe kluby kobiece w liczbie 2,000.000 członkiń przyłączyły się do akcji katolików.

I wtedy Holywood przestało się uśmiechać...

A z frontu zaczęły nadchodzić wieści dlań niepokojące.

To tu, to tam sale pustoszały coraz więcej. Kilka, kilkanaście kinoteatrów upadło wskutek zupełnego bankructwa.

W Holywood poczęto marszczyć brwi. Walka ruszyła nie na żarty.

W odpowiedzi na zakaz arcybiskupa Filadelfii, ks. kardynała Dugherty, właściciele zamknęli na znak protestu 450 kinoteatrów, a tysiącom funkcjonariuszy, którym groziło wyrzucenie na bruk, wołali: «Idźcie do arcybiskupa, to jego sprawa!»

Równocześnie jednak poczęły się dziać rzeczy dotąd całkiem niezwykle. Dwa wielkie «superfilmy» «It ain't no Sin» (To nie grzech) i «Madame Dubarry» pełne pornograficznych epizodów wróciły z próby do studia dla rewizji i usunięcia najbardziej krzyżujących scen. Dwa inne filmy zbojkotowane przez katolików zdjęto w ogóle z afisza ¹⁾.

Świetna organizacja naszej akcji nie ustępowała.

Z frontu przychodziły fatalne depesze: Frekwencja spada, spada... W niektórych kinoteatrach spadła w krótkim czasie o 66%. To znaczy o 66% mniej dochodu. To boli.

Została jedyna nadzieja, że «katoliki» w słomianym ogniu ostygną i znudzą się.

Czy się sprawdziła — zobaczymy niedługo. Na razie śmiało otrąbmy zwycięstwo naszych amerykańskich braci.

3.

Bywają w świecie uderzające paradoksy.

Jeden z nich obserwujemy właśnie w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Przyzwyczailiśmy się uważać je za kraj do dna zmaterializowany, kraj business'u i dolara, bezwyznaniowości, a nawet nowoczesnego pogaństwa.

A przecież w tej właśnie Ameryce, jak czytaliście przed

¹⁾ P. «Wiadomości Katolickie», Kraków 1936.

miesiącem, podniósł się wysoce antymaterialistyczny, ideowy ruch walki ze złym filmem, i to podniósł się, przynajmniej w tym stopniu, bodaj po raz pierwszy na kuli ziemskiej.

Zapewne, powie ktoś, Ameryka najwięcej ucierpiała z tej strony. Upadek obyczajów, wszelkiego rodzaju występki i zbrodnie, nawet już nieletnich, przepelnione więzienia, straszliwa plaga rozwodów i rozbijanie rodzin. Wszystko to prawda, niemniej ruch ten z jednej strony przynosi zaszczyt obywatelom Stanów, z drugiej świadczy dobitnie, jakie wartości państwowe reprezentuje właśnie katolicyzm, kryjący w sobie święty znicz idealizmu w każdym narodzie i państwie, gdzie tylko wolno mu swobodnie rozwijać się i przychodzić do głosu i do czynu.

Wyraziliśmy obawę, czy nasi bracia amerykańscy zdołają wytrwać w walce.

Z głęboką radością stwierdzamy, że tak!

I w tym dla nas wielka, głęboka nauka.

Ruch się nie tylko, jak mu wróżono, nie załamał, ale począł z czasem przybierać formy organizacyjne i to coraz bardziej zdecydowane. Niebezpieczeństwo chwilowego tylko odruchu znikło.

Z inicjatywy katolickich biskupów w Stanach powstaje «Liga Przyzwoitości» (League of Decency). Ogłasza ona treść przyrzeczenia składanego publicznie w kościołach przez całe rzesze katolików. Oto jego tekst:

«Potępiam filmy nieprzyzwoite i niemoralne, jak również gloryfikujące zbrodnie i przestępców. Zobowiązuję się zrobić wszystko, co w mych siłach, by umocnić opinię publiczną przeciw produkcji filmów nieprzyzwoitych i niemoralnych i łączyć się z tymi, którzy przeciw nim protestują. Uważam za swój obowiązek wyrabiać sobie właściwą opinię o filmach niebezpiecznych dla mego życia moralnego. Jako członek «Ligi Przyzwoitości» zobowiązuję się unikać takich filmów. Zobowiązuję się dalej do unikania takich miejsc rozrywkowych, gdzie zwykle filmy tego rodzaju bywają wyświetlane».

Wiecie, ile osób zapisało się do «Ligi» i złożyło przyrzeczenie?

Szesnaście milionów!

To imponujące.

Stały katolicki komitet cenzuralny ogłasza co pewien czas «czarną listę» złych filmów w przedśionkach wszystkich ko-

ściółów katolickich (18.250) i we wszystkich katolickich czasopiśmiech (7,000.000 nakładu). Oczywiście podaje także filmy wolne od zarzutu (grupa A), następnie niepewne i w każdym razie niedopuszczalne dla dzieci (grupa B). Ciekawą jest rzeczą, że w każdej z tych grup zamieszczono po trzydzieści kilka filmów. A zatem dobrych i pewnych znaleziono zaledwie $\frac{1}{3}$ całej produkcji w danym okresie!

Tak więc, przyszły dla złego filmu «ciężkie czasy». Ale nie tylko w Ameryce. Zaczęło mu być ciasno na ekranach i w innych częściach świata ¹⁾.

4.

Biskup zrywający plakat kinowy?...

Tak!

A było to już nie w Ameryce, lecz we Francji, dokąd przenieśmy się dziś na chwilę, bo i tam walka ze złym filmem zawrzała nie na żarty.

Bo też to był pomysł swego rodzaju, aby reklamę niemoralnego filmu nalepiać na pałacu biskupim w Meaux (czytaj: Mo), w tym starym, czcigodnym Meaux, gdzie niegdyś władał duszami nieśmiertelny Bossuet, kaznodzieja i pasterz z Bożej łaski.

Niemalą się też musiał zdziwić p. dyrektor kinoteatru «Majestic», gdy dnia 28 kwietnia 1935 znalazł wśród poczty na swym biurku taki oto list ks. biskupa:

Szanowny Panie Dyrektorze!

Wczoraj wieczorem własną ręką zerwałem afisz umieszczony na czcigodnych murach gmachu kapituły katedralnej, a zapowiadający przedstawienie, którego sam tytuł już jest prowokacją.

Przyjmuję pełną odpowiedzialność za mój czyn i za wszystkie podobne, których dopełnili inni za moją doradą.

Winienem przy tym dodać, że jestem do głębi dotknięty na widok pożałowania godnej drogi, na jaką zszedł Pański teatr.

¹⁾ P. «Wiadomości Katolickie», Kraków; nadto: komunikaty Katol. Agencji Pras., Warszawa.

Zaledwo przed paru dniami ogłosił Pan inny film, którego tytułu nawetbym się tutaj nie odważył wymienić.

Wobec tych faktów uprzedzam Pana, że wszystkim związkom i stowarzyszeniom, na które mam wpływ, zabronię korzystać z Pańskiej sali na jakiegokolwiek zebrania czy uroczystości.

Miasto Meaux zasługuje na coś lepszego z Pańskiej strony. W chwili, gdy okazuje się paląca potrzeba odrodzenia moralnego społeczeństwa, jest istotnie bolesną rzeczą stwierdzić, że Pan współdziała w demoralizowaniu dusz, spełnia Pan czyn, którego nie mogą nie napiętnować uczciwi ludzie i Francuzi, patrzący z lękiem w przyszłość swej Ojczyzny.

Protestuję jako biskup, ale protestuję także jako obywatel Rzeczypospolitej, jako były żołnierz z wielkiej wojny, jako obywatel miasta Meaux, które zawsze chcę widzieć godnym szacunku.

Zechce Pan, Panie Dyrektorze, przyjąć wyrazy mego poważania.

† FRYDERYK LAMY

Biskup Meaux

Kawaler Legii Honorowej.

Czyn biskupa i list tak pełen godności, powagi i surowości wzbudził entuzjazm wśród katolickiej młodzieży francuskiej, która podjęła żarliwą walkę ze złym kinem i prowadzi ją z całym zapalem młodzieży, idącej w bój o czystość duszy własnej i duszy narodu¹⁾.

Czy wy też o nią walczyście?

1936.

PALIĆ CZY NIE PALIĆ?

1.

Przemawiając w ostatnim dniu obrad IX zjazdu Związku w Lublinie w lipcu ub. roku²⁾, pozwoliłem sobie wyrazić moje głębokie przekonanie, iż sodalicje mariańskie młodzieży naszej, podejmując wielką ideę umiłowania i spełniania obowiązku, powinny wśród innych środków baczną i szczerą

¹⁾ «A la Page», j. w.

²⁾ 1928.

uwagę zwrócić także na wzorowe spełnianie wszystkich przepisów szkolnych, na pogłębianie tak malej u nas karności szkolnej, upatrując w tym wszystkim pierwszorzędne drogi do wyrobienia przyszłych obywateli, przyszłych mężów obowiązku. Wspomniałem wtenczas w jednym czy dwóch zdaniach o tym także przepisie szkolnym, który wyraźnie zabrania młodzieży palenia tytoniu, a który niestety w szkołach naszych na całej niemal linii spotyka się z uderzającym lekceważeniem, wywołującym w wielu dziedzinach wprost opłakane skutki¹⁾. Wspomniałem o przygotowaniach podjętych w tym kierunku przez sodalicję zakopiańską i natychmiast spotkałem się już na tym zebraniu z pewnym protestem ze strony kilku delegatów sodalicyjnych, odwołujących się do ustaw sodalicji mariańskiej, w których sprawa palenia szczegółowo jest pominięta, a tylko przestrzeganie przepisów szkolnych bardzo wyraźnie jest podkreślone²⁾.

Już wtedy postanowiłem sprawę tę omówić spokojnie i obiektywnie na łamach miesięcznika, niestety brak czasu aż do dziś odwłókl wykonanie zamiaru.

Myszę, że wszyscy sodalisi i kandydaci zechcą chwilę uwagi poświęcić zagadnieniu, które uważam za jedno z najważniejszych w naszej szkolnej, wychowawczej i organizacyjnej dziedzinie. A może inaczej będą na całą sprawę odtąd spoglądać.

Z góry zaznaczam, iż mimo podkreślenia znaczenia karność i posłuchu dla przepisu naszej, własnej, polskiej szkoły, nie w tym przecież upatruję punkt ciężkości zagadnienia: «Palić czy nie palić?»

Widzę go gdzie indziej.

Jestem zdania, że jeśli jaka organizacja młodzieży, to sodalicja powinna nam wychować ludzi twardych, ludzi opanowanych, ludzi wolnych!

Hołdowanie jakimukolwiek nałogowi, niemożność opar-

¹⁾ «Przepisy Szkolne», nakł. Kuratorium Okr. Szk. Krakowskiego, Kraków 1926. § 9. Dbałość o zdrowie: «Palenie tytoniu jest uczniom szkoły średniej, jako niewątpliwie dla młodego organizmu szkodliwe, bezwarunkowo wzbronione».

²⁾ «Každy sodalis... w szkole przestrzegając ściśle «Przepisów Szkolnych», wtyży usiłowania swoje, aby być przykładnym, sumiennym uczniem i t. d.» Ustawy Sodalicji Mar. uczniów szkół średn. w Polsce, str. 23, § 20.

cia się mu uważam za dowód miękkości charakteru, za większą lub mniejszą słabość, która czyni poważny wylom w urobieniu duchowym młodego człowieka i odbija się później fatalnie na jego charakterze.

Czy zgodzicie się ze mną na ten punkt widzenia?

Nie wątpię!

Sodalis, który «nie może wytrzymać bez papierosa», sodalis, który czuje się przygnębiony, rozdrażniony, zdenerwowany bez ulubionego dymka, sodalis, który może być nawet głodnym, ale nie może wyrzec się tytoniu, sodalis, który poniża się do palenia w ukryciu wbrew woli rodziców i władzy szkolnej, który daje przez to zły przykład młodszym kolegom — czy to naprawdę materiał na człowieka przyszłości, na człowieka zaparcia się, ofiary choćby i bohaterskiej?

Nie można dojść do prawdziwej wartości duchowej inną drogą, jak przez odmawianie sobie i przewycięzanie siebie. Foerster mówi gdzieś, że człowiek tyle wart, ile się przewycięży¹⁾.

I to jest moment pierwszorzędnej wagi. Nie móc się bez czegoś obejść, nie zdobyć się na słowo: «dziękuję ci, ale ja nie palę», poddawać się bezmyślnie i bez oporu opinii kolegów, to w każdym razie nie stanowi zadatku głębokiego wyrobienia duchowego i siły wewnętrznej, której w pierwszym rzędzie domaga się od swych członków-rycerzy sodalicja²⁾.

Powiedział jeden z zagranicznych wybitnych pedagogów w rozmowie z polskim, równie wybitnym wychowawcą: Nie znam narodu, który by tak miękko chował swoją młodzież, jak wy Polacy! I zdaje się w znacznej mierze miał rację... Ale, czy przypadkiem echem stwierdzenia tego faktu nie jest owa rozpaczliwa już u nas skarga na brak «ludzi» i wołanie coraz powszechniejsze o nich?

Czy myślicie, że z tych tłumów młodzieży zaciągającej się upojnym dymem tytoniowym od wczesnej młodości — ja-

¹⁾ Fryderyk Wilhelm Foerster, filozof i najwybitniejszy współczesny pedagog, urodz. 1869 r. w Berlinie, prof. uniw. w Zürichu, potem w Wiedniu, w końcu w Monachium, autor licznych, sławnych dzieł w zakresie swych umiejętności.

²⁾ Opowiadał mi sodalis, uczeń kl. VII, że był przeciwnikiem palenia papierosów, jako rzeczy nierozumnej, w drodze na święta B. Narodzenia koledzy poczęstowali go papierosem i już zaczął palić na dobre, dochodząc do 30 i więcej papierosów dziennie.

wnie, a jeszcze częściej tajnie, że z tych tłumów młodzieży zaglądających niestety i do butelki z alkoholem, wyjdą ci upragnieni, ci wyczekiwani «ludzie»?

A przecie sodalicja właśnie wzięła sobie za swoje zadanie, za swój punkt honoru takich ludzi wychować!

Zali przymykając oczy na ich słabostki, nałogi, lękając się poważnej utraty członków, nie działa przeciw swęj naczelnej zasadzie, nie wypiera się swego ideału?

Oto jest zasadniczy, podstawowy punkt widzenia w zajmującej nas w tej chwili kwestii.

Z chwilą ustalenia go na samym wstępie, możemy pójść dalej w dziedzinie używania tytoniu, ale to już odłożmy do następnej pogadanki.

2.

W prześliczny, niemal letni, kwietniowy dzień wybrała się gromadka pięciu trzecioklasistów gimnazjum króla Sobieskiego w Krakowie na «naukową» wycieczkę botaniczną, na ulubiony przez krakowską młodzież Sikornik. Na soczystych, zielonych łąkach, ciągnących się dość ostro w górę pod kopiec Kościuszki, w brzozowych, później w czasie wojny światowej bez litości dla celów strategicznych wyciętych gajach, budziła się wiosna do życia z tą żywiołową potęgą, która zachwyca i nęci i czaruje każdego chłopca i z murów miasta ciągnie z nieprzepartą siłą w ciepły, słoneczny, wilgotny, upajający świat.

Było nas pięciu, co najlepsi przyjaciele w klasie... Jak dziś pamiętam, dwóch Adamów, Jędreka, Romek i ja! Na dobrze już zielonej miedzy rozłożyliśmy się rozkosznie do słońca i patrzyli przed siebie w dal, ku północy, gdzie na linii kolejowej do Wiednia posuwały się małe, czarne, szare, czerwone gaśieniczki pociągów... i dalej ku Michałowicom... ku nieszczęsnej, tak bliskiej granicy rosyjskiej i dalej jeszcze ku szarzącym nieco na zachód pagórkom i lasom Ojcowa i gwarzyliśmy tak dobrze, serdecznie, po koleżeńsku...

Nagle Romek — tak zdaje się on — wyciągnął z poważnym gestem metalową papierośnicę i począł częstować z tym ruchem, naśladującym starego, nałogowego palacza, który... no właściwie... to pali już przecież od kolebki i papieros jest mu — oczywiście — rzeczą samą przez siebie zrozumiałą...

Wszyscy skwapliwie wyciągają ręce...

Jak dziś pamiętam swoją pierwszą, wewnętrzną walkę na tle palenia. Odmówić? Przyznać się przed najbliższymi kolegami, że ja nie palę «już od pierwszej klasy» — okropność! Przyjąć i dławiąc się i łzawiąc, a może i gorzej... okazać, że pierwszy raz mam ten instrument w ustach — druga okropność!

Ale przecież ojciec tyle razy zakazywał i ostrzegał... A w pierwszej klasie taką straszną awantura była o papierosa z Zygmuntem D. Sam pan radca Sołtysik, straszliwy dyrektor przyszedł wtenczas do klasy i wydalil do domu po ojca naszego biedaka...

Siódme poty uderzyły na mnie. Zdawało mi się, że radca w swoich złotych okularach, już, już wychyla się zza karłowatej wierzby, co rosła tuż przy nas.

I — pomyślcie sobie — zdobyłem się na akt szalonej, heroicznej odwagi, z miłym uśmiechem wyszeptalem: «dziękuję ci bardzo, ale ja nie palę»!

Dziś przyznam się szczerze, że wówczas nie bardzo jeszcze rozumiałem, dlaczego właściwie odmówilem i naraziłem się na parę gorzkich docinków od tych «dorosłych i dojrzałych ludzi». A jednak to drobne, pierwsze zwycięstwo okazało się błogosławionym w skutkach na całe życie! Papieros na zawsze stracił swój urok — nawet, nawet w dzień zdania matury!

Zakaz palenia był w szkole austriackiej ostry, w domu także mniej więcej surowy. Słyszało się ogólnikowo, że to «podobno szkodzi», ale nie przypominam sobie nigdy w ogóle, w całym życiu, aby ktoś tak poważnie, serdecznie nam młodym wyjaśnił, na czym to uszkodzenie polega, co w tym wszystkim jest zdrowego, a przeciwnie cała opinia koleżeńska, cała atmosfera klasowa uważała papierosa i palenie, zwłaszcza z «zaciąganiem się» za dowód prawdziwej męskości i dojrzałości.

I tak, zdaje się, zostało do dziś. Zakaz jest, pouczeń na ogół brak, więc dymią nasze szkoły, jak dymiły, albo i więcej, a szkody rosną i rośnie krzywda młodych organizmów i co gorsze — młodych charakterów.

Więc może i dobrze rzecz tę spokojnie po przyjacielsku a rzeczowo omówić. I nie suchym jeno zakazem, jak już przed miesiącem wspomniałem, przeciwdziałać, ale przyjaznym pouczeniem i serdeczną przestrogą nieco wyjaśnić i pogłębić.

Musimy się na jedno zgodzić. Jeśli i dziś przepis szkolny, obowiązujący młodzież polską, nazywa palenie tytoniu rzeczą «niewątpliwie dla młodego organizmu szkodliwą», to motyw ten żadną miarą nie może być czczym, gołosłownym twierdzeniem. Chyba tyle zaufania musimy mieć do naszych władz i naszych wychowawców i lekarzy, że nie dla jakiegoś widzimisię wstawili te słowa w sprawę tak poważną, jak polskie «Przepisy Szkolne».

Na dziś zatem stwierdzmy tylko to jedno. Medycyna uznaje z całą pewnością, że objawy towarzyszące zwykle, owszem niemal zawsze pierwszemu zapaleniu tytoniu, objawy zawrotu czy bólu głowy, zimnych potów, pociemnienia w oczach, szumu w uszach, silnego krztuszenia i wymiotów, bladeści twarzy i osłabienia są typowymi objawami zatrucia organizmu; zatrucia spowodowanego w tym wypadku wprowadzoną weń po raz pierwszy jadowitą parą nikotynową¹⁾.

Że nikotyna jest trucizną, dziś nikomu nie potrzeba dowodzić. Trzeba to raczej przypomnieć. Doświadczenia wykazują, że pałeczka szklana zmaczana w nikotynie i włożona do jamy ustnej kota, powoduje śmierć zwierzęcia po krótkim czasie. Nikotyna w formie dymu tytoniowego wprowadzona do ustroju człowieka, zwłaszcza człowieka młodego, wywiera nań powoli, lecz stale swoje niszczące działanie, które odezwie się kiedyś niewątpliwie w rozmaitych organach układu krwionośnego, nerwowego lub narządów trawienia. Nie należy przeto nigdy sądzić, że pozorny brak ujemnych następstw, po ustąpieniu objawów pierwszego zatrucia, już dowodzi przyzwyczajenia się organizmu do używania tytoniu i uodpornienia się na jego szkodliwe skutki. To nastąpiła tylko chorobowa zmiana tkanki dróg oddechowych i ich błony śluzowej, trucizna dalej wnika w organizm i dostaje się do krwi. Tak więc pozorne zubożenie ustroju nie dowodzi wcale, by tam, w głębi nie dokonywały się maleńkie, lecz trwałe spustoszenia, które kiedyś zsumowane odezwą się z wielką nierzadko siłą.

Ale powrócimy jeszcze do tej ciekawej kwestii w następnej pogadance.

¹⁾ Dr Włodz. Koskowski, docent uniw. we Lwowie: «O nikotynie i paleniu tytoniu», Lwów 1925, «Książnica-Atlas».

3.

Dziwna rzecz!

Palenie tytoniu uchodzi u mężczyzn, a dziś już niestety i u wielu kobiet, za rzecz niezmiernie drobną, najzupełniej niewinną, a przecież gdy się chce w takiej, jak moja pogadance, określić wysoce ujemne skutki tego nałogu, gdy się chce choć trochę rozczytać w literaturze fachowej, lekarskiej, «antytytoniowej»¹⁾, naprawdę nie wiadomo od czego zacząć i co przede wszystkim podkreślić, tyle ujemnych, powiedzmy więcej, groźnych skutków, kryje w sobie ów «niewinny» papieros dla organizmu człowieka.

Zwróćmy więc dziś, pokrótce chociaż, uwagę na najgorsze.

Może najważniejszym będzie dla nas wpływ nikotyny na system krążenia krwi. Otóż fizjologia stwierdza, że krew płynie w organizmie pod pewnym, stałym ciśnieniem, wytworzonym cudowną pracą serca. Drobną ilość nikotyny wprowadzona w organizm podwyższa to ciśnienie, zwłaszcza w łukowatych zagięciach naczyń, powstają tam więc uszkodzenia, stwardnienia, które mają wszelkie cechy zmian «arteriosklerotycznych»²⁾. Czy dzisiejszy, niezmiernie wysoki procent chorych i umierających, nieraz przedwcześnie, na «sklerozę» nie jest w prostym związku z niesłychanie rozszerzonym od wczesnej młodości paleniem tytoniu?

Ale i serce, napotykając na te uszkodzenia i stwardnienia, musi zwiększać swą pracę, z wysiłkiem pompować krew poprzez organizm, musi się więc samo zwiększyć i oto mamy dziś znowu tak częsty «przerost» serca.

A nerwy? I te nikotyna, krążąc w ustroju poraża, stąd znów cały szereg zaburzeń, tak częstych u nałogowych palaczy.

Groźnym niezmiernie jest również związek, jaki dziś wykryto między paleniem a jedną z najstraszliwszych chorób na

¹⁾ Dz Włodz. Koskowski, dz. przytocz.; dr Stan. Ciechanowski, prof. uniw.: «Tytoń a alkohol»; J. Polański: «Zatrucie nikotyną» (artykuł).

²⁾ Jedno cygaro lub 3 papierosy już podwyższają ciśnienie krwi o 20 mm słupa rtęci w instrumencie mierniczym, a tętno o 20 uderzeń na minutę! Trwa to 20—30 minut po wypaleniu papierosa. Palenie nałogowe utrzymuje tę wyższą oczywiście niemal przez cały dzień.

świecie, to jest rakiem! Zwłaszcza rakiem warg i języka. Z chorych nań 75% to nałogowi palacze!

Wspomnijmy jeszcze tylko króciutko o częstych, przewlekłych zapaleniach gardła, osłabieniu mięśni, biciu serca, katarach krtani, zaburzeniach wzrokowych i słuchowych, zaburzeniach w trawieniu, ciężkości odczuwanej w żołądku, obłożeniu języka, bólach głowy i bezsenności. Oczywiście nie wszystko u wszystkich i nie zaraz występuje. Młode organizmy pod wpływem dymu tytoniowego rozwijają się gorzej i wolniej, opóźnia się też w nich rozwój umysłowy.

Dla uczniów, więc chłopców pracujących umysłowo niezmiernie ważne będą i ciekawe wyniki badań lekarzy amerykańskich, którzy stwierdzili całymi szeregami doświadczeń, iż tytoń, wbrew powierzchownym twierdzeniom, jest «wielką trucizną zdolności psychicznych». W niezmiernie ciekawych doświadczeniach okazało się ponad wszelką wątpliwość, iż tytoń zmniejszał precyzję czynności psychicznych.

Jeśli przełożymy to na prosty, szkolny język, otrzymamy w rezultacie fakt, iż uczeń-palacz, który na przerwie między lekcjami wypalił papierosa (najczęściej z lichego tytoniu) wraca na godzinę do klasy podniecony nerwowo, lecz w pewnym stopniu ogłupiały psychicznie. Jego odpowiedzi, rozumowania będą mętne, niejasne, jakby je otaczała faktycznie chmura nieszczęsnego, niebieskawego dymu. Rozmawiałem z wielu profesorami, baczными obserwatorami młodzieży i wszyscy godzili się na to jednogłośnie. To też istnienie (podobno?) w niektórych szkołach «palarni» dla klas najwyższych uważać trzeba za rzecz wprost niepojętą z higienicznego i psychicznego punktu widzenia.

Dodajmy, iż często przytaczane przez palaczy twierdzenie, jakoby dym odkażał jamę ustną i bronił jej przed zarazkami, nie wytrzymuje zupełnie naukowej krytyki.

Na zakończenie zaś stwierdzmy, że dym tytoniowy oprócz nikotyny zawiera w sobie jeszcze inne składniki trujące, jak związki cjanu, który jest jedną z najgwałtowniejszych trucizn oraz tlenek węgla, który jak wiadomo przy t. zw. zaccadzeniu sprowadza często śmierć, a którego jeden spalony gram tytoniu daje już 20—80 cm sześciennych. Ilość to mała — prawda — ale w sumie urasta i ona do groźnych dla zdrowia organizmu wielkości.

Zaiste jest nad czym podumać młodemu palaczowi, a jeśli on wskutek nałogu i słabości woli, jest już może — choć kto wie? — nie do uratowania, to przynajmniej temu, który zaczyna próbować tej, niby pożądania godnej rozkoszy.

4.

Ostatnią naszą pogadankę przyjacielską poświęciliśmy temu zagadnieniu ze strony higienicznej. I niewątpliwie niejeden młodociany palacz zastanowił się głębiej nad szkodą, jaką wyrządza owym «niewinnym dymkiem» swemu delikatnemu jeszcze organizmowi, niejeden skłaniający się ku namowom, może nawet naleganiom kolegów, pomyśli poważniej nad niebezpiecznym, grożącym mu nałogiem...

Dziś na zakończenie zwrócę jeszcze uwagę waszą na kilka doniosłych punktów, które najczęściej pomija się w tej sprawie milczeniem, a które przecież z wszelką pewnością zasługują na głębsze rozważenie.

Nie wiem, czy kiedykolwiek nasi chłopcy «palący», ale także i «niepalący» zastanowili się nad tym, że właściwie palenie tytoniu, jest jednym z bardziej brutalnych nałogów!

A to dlaczego, pytacie?

Pomyślcie!

Każdy człowiek z natury, z ustanowienia Bożego ma przyrodzone prawo do życia i do zdrowia. Wśród elementarnych zaś warunków zdrowia, jedno z pierwszych miejsc zajmuje konieczność oddechania świeżym, niezsutym, niezanieczyszczonym powietrzem. Jest to przyrodzone prawo człowieka! Oczywiście, jeśli ktoś chce koniecznie wdechać przez swoje narządy oddechowe powietrze zakażone dymem tytoniowym i nikotynową trucizną, ponosi sam za to pełną odpowiedzialność, ale jeśli zmusza do tego innych? Jeśli brutalnie każe im wdechać dym nikotynowy, często zupełnie bez pozwolenia z ich strony, bez zapytania nawet, a zresztą — choćby i pytał, czyż nie wiadomo, że najczęściej jest to pustą formalnością, na którą biedni niepalacze z góry są przygotowani i potakują, choć czują, że im to szkodzi, sprowadza ból głowy i t. d.

I weźcie teraz pod uwagę życie rodzinne i to nieustanne oddechanie dymem przez żonę, dzieci małe lub w wieku roz-

woju! Pomyślcie, że dym przenika meble, tkaniny, potem wskutek rozkładu chemicznego kwaśniej, staje się wprost obrzydliwością... Pomyślcie o biurach i rozlicznych lokalach, warsztatach, w których niepalący zmuszeni są twardą koniecznością życiową pracować całymi godzinami razem z palaczami; pomyślcie o tych niezliczonych posiedzeniach, zebraniach, przyjęciach towarzyskich, na których unoszą się w powietrzu, w źle wentylowanym lokalu całe chmury dymu tytoniowego; o tych kawiarniach i restauracjach, gdzie nikt się innymi nie krępuje i truje powietrze... a może... może... zrozumiecie i przyznacie, że palenie tytoniu potrafi nawet dobrze skąd inąd wychowanego i delikatnego człowieka zrobić dziwnym samolubem i brutalem w stosunku do bliźnich, którzy nie uznając nierozumnego i szkodliwego nałogu, chcą oddechać czystym powietrzem i ustrzec się wyliczonych wyżej następstw palenia.

To też stwierdza cytowany już przez nas profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, dr Ciechanowski, że istotnie szcześnie ta wysoka i skąd inąd nie do pojęcia niedelikatność palaczy wzrasta i daje się coraz więcej we znaki otoczeniu. Z biegiem lat stają się oni pod wpływem działającej trucizny coraz więcej «nerwowi», niecierpliwi, niewyrozumiali, w stosunkach z ludźmi nierówni, a nawet wprost nieobliczalni. Ileż stąd przykrości, a może i wielkich kłopotów w pożyciu rodzinnym, społecznym, towarzyskim! Kto wie, może jednak kiedyś przyjdzie czas, w którym ten niepozorny papieros spotka się nareszcie z potępieniem nauki, jako jeden z bardzo wielkich szkodników w całokształcie życia ludzkiego.

To, cośmy o nim w tej krótkiej pogadance powiedzieli, już dziś wystarcza, aż nadto do takiego potępienia, zwłaszcza, gdy idzie o wiek młody.

Ale cóż *gdyby rozum był przy młodości...*

I pomyśleć teraz, że na ten tytoń wydaje nasze ubogie społeczeństwo takie olbrzymie sumy!

Urzędowa statystyka polskiego monopolu tytoniowego podaje takie niesłychane cyfry:

w roku 1925	wypalono w Polsce tytoniu za 371,141.000 zł
w roku 1926	już za 475,033.000 zł
w roku 1927	za 559,462.000 zł

W przeciągu 3 lat poszło więc w Polsce przeszło 1 miliard 400 milionów złotych z dymem!

Ileż by za to można wybudować szkół! Ile kolonij letnich! Ile łez osuszyć! Ilu głodnych nakarmić!

Powiecie: — tak! ale monopol państwowy czerpie stąd olbrzymi dochód dla skarbu i państwa. Złudna to pociecha! Ta sama, co z alkoholem! Oplakany i tragiczny ten dochód, ze szkodą dusz i organizmów obywateli, a zwłaszcza młodzieży tak nierozdzielnie związany. W rezultacie daje nieobliczalny deficyt duchowy i fizyczny dla narodu.

I cóż na to wszystko — wy, bracia sodalisi ukochani?

Czy naprawdę dla sodalicji mariańskiej w polskiej szkole średniej nie przyszedł jeszcze czas, by rozwiązała tę kwestię w swoim oczywiście zakresie, tak jak rozwiązana być powinna?

Wielki Mussolini, który może jak nikt w Europie, troszczy się o młodzież swego narodu i cały ustrój faszystowski, z którym wiąże mocarstwową przyszłość Włoch, opiera i buduje na młodzieży, rozumiał, jakim wrogiem młodych charakterów i organizmów jest tytoń. I w roku ubiegłym, w sierpniu wyszło rozporządzenie naczelnej władzy faszystowskiej zakazujące stanowczo wszystkim członkom organizacyji faszystowskich młodzieży palenia tytoniu.

Czy sądzicie, że taki dekret w niejednym chłopcu włoskim nie wywołał gorącej walki wewnętrznej, może oporu i buntu. Ale to «dla Italii», dla ojczyzny najdroższej, która potrzebuje silnych, hartownych, zdrowych synów! I nakaz przyjęto z karnością. A u nas? A nasze przepisy polskiej, narodowej władzy szkolnej?

Czy sądzicie, że Włochy z trudem doprowadzające do równowagi swój budżet państwowy nie potrzebują również, i to w bardzo wysokim stopniu, podatku tytoniowego? A jednak wyższy, idealny wzgląd zwyciężył. I znowu pytam, a u nas?

Chwałą byłoby i chlubą sodalicji mariańskiej młodzieży, gdyby zdobyła się na czyn i odważyła się być mądrą i stanąć w poprzek opinii i sprzeciwić się nierozumnemu, głupiemu i szkodliwemu paleniu tytoniu przez naszą polską młodzież szkolną.

Sodalicja mariańska uczniów gimnazjum państwowego

w Zakopanem porwała się u siebie na ten czyn i przeprowadziła go w ciągu jednego bieżącego roku szkolnego, nie bez trudności. Wszyscy członkowie, którzy chcieli zostać w sodalicyj, podpisali deklarację przechowaną w archiwum sodalicyjnym. Deklaracja ta brzmi całkiem po prostu: *Zobowiązuję się, jako członek sodalicyj mariańskiej, nie palić tytoniu aż do ukończenia studiów gimnazjalnych.* Data i podpis własnoręczny.

Związek posiada na składzie drukowane deklaracje. A może, może znajdują się w Polsce sodalicyje uczniowskie, które podejmą z nami razem walkę ze szkodnikiem i wrogiem młodzieży?

Czekamy i ufamy!

1929.

PRZYGOTUJMY SIĘ DO „SPOŁECZNYCH WAKACYJ“

— Czy ksiądz dobrodziej jest kierownikiem tutejszego Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej?

— Tak jest. Czym mogę służyć?

— Jestem N. uczeń VIII kl. gimnazjalnej. Należę od 3 lat do sodalicyj mariańskiej. Przyjechałem tu do moich krewnych na wakacje. Czy mógłbym czymś przysłużyć się Stowarzyszeniu?

— Ależ nam pan jak z nieba spadł! Mamy w programie festyn na dochód Stowarzyszenia w lipcu. Na sierpień marzą chłopcy o przedstawieniu amatorskim. Zdałby się też po żniwach choć jeden odczyt w jaką słotną niedzielę. Roboty huk, jak pan widzi, a pomocników prawie nie mam.

— Doskonale. W miarę sił postaram się dopomóc. Wakacje bywają takie nudne, banalne, przez to może i trochę niebezpieczne...

— Otóż to! Więc zapraszam na jutro, wieczorem do naszej izby związkowej obok Kółka Rolniczego i serdecznie dziękuję.

— Będę z pewnością i bardzo się cieszę...

— — — — —
Czy to bardzo wyjątkowa rozmowa — jak myślicie? Bo ja sędzę, że w tej czy owej formie powinna by się na progu

wakacyj w kilkuset przynajmniej wydaniach powtórzyć. W mieście, miasteczku i na wsi tylu jest młodych Polaków, braci naszych, choć nie ze szkolnej ławy, którym młody inteligent z gimnazjum może coś niecoś ze swego użyzyć... — Ze swej wiedzy, ze swego czasu, z swej pracy, pomysłowości — no i z gorącego, sodalicyjnego serca!

Mały referacik, pogadanka, ostatecznie przeczytanie głośne, wzorowe ustępu czy rozdziału z dobrej, ciekawej książki, jakieś opowiadanie, wspólny śpiew, pomoc w jakiejś imprezie... Byle się zgłosić, zacząć, nie zrażać się początkiem, przelamać pierwsze lody — a można zrobić tyle dobrego. Odznaka sodalicyjna stanie się legitymacją, a serce złote o reszcie zdecydjuje.

Ale już dziś przygotujcie sobie pewien program, dobierzcie z pomocą ks. moderatora pewne książki czy broszury, poznajcie się ze statutem S. M. P. czy Krucjaty Eucharystycznej, czy innego katolickiego związku młodzieży, by nie tracić potem czasu i nie iść całkiem po omacku. A może pomówicie o tym na majowym zebraniu sodalicyjnym?

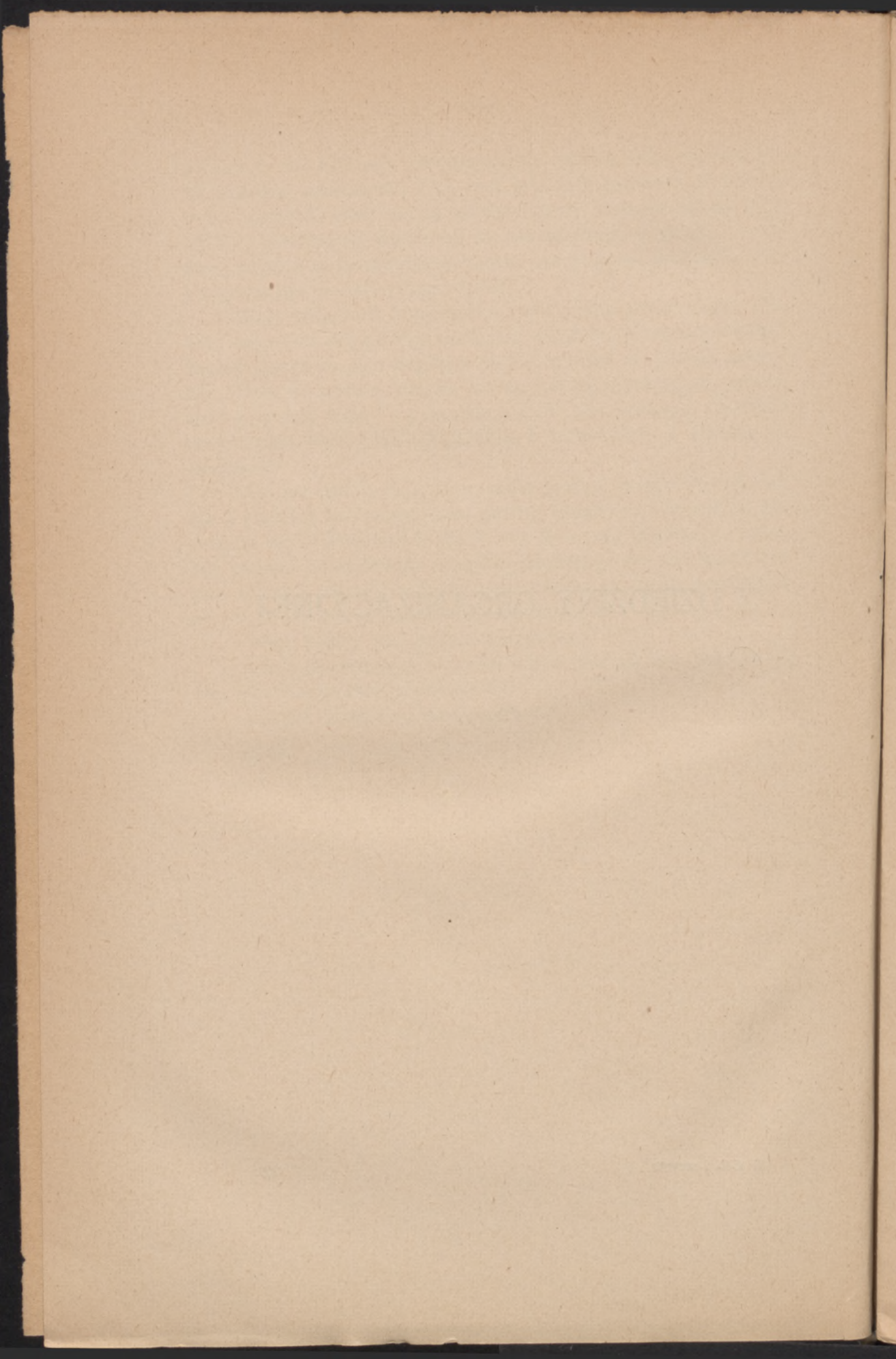
Więc któż z was będzie pierwszym?

A kto po wakacjach coś do nas o tym napisze, jak mu się «na niwie społecznej» powiodło?

Czekać będziemy niecierpliwie!

1934.

Z DZIEDZINY ORGANIZACYJNEJ



CZY MASZ POCZUCIE ORGANIZACYJNE?

Do centrali Związku idą i płyną listy z całego kraju. Przy-
nosi je nareęczami każda poczta... Listonosz oddycha lżej, gdy
minie Łukaszówkę i złoży już brzemień druków, pism i przesy-
łek... Ot — jak w centrali wielkiego, potężnego Związku, co
liczy sobie około 150 kół i ponad 7.000 członków... ¹⁾

A listy, jak listy. Jedne mile, drogie, uśmiechnięte, inne
przykre, kłopotliwe, męczące... jeszcze inne zwykłe kupieckie,
suche, bezbarwne zamówienia, czy reklamacje...

Między pierwszymi są te, co zawierają nieraz słowa szcze-
rego uznania dla pracy, cennych pochwał... Nie gorszcie się
czytelnicy... I pochwała potrzebna na świecie i uznanie, zwa-
szcza gdy szczere. Boć nie zdolne ono chyba «zawrócić nam
w głowie», raczej tym jaśniej ukazać braki, tym silniej zachę-
cić do postępu... ulepszeń...

Powiedzcie, jak się nie cieszyć, gdy — na przykład — po-
ważny, doświadczony kapłan, jeden z członków Rady Naczel-
nej i moderator diecezjalny pisze nam w swym urzędowym
sprawozdaniu takie słowa: «Podziwiam robotę centrali... Uwa-
żam, że pracuje ona tak, jak rzadko spotkać za granicą —
chyba w Niemczech...»

I co też — pomyślicie — wzbudzają takie ważne słowa?
Myśl o niniejszym artykule.

Wszak chyba nikt tak dobrze, tak głęboko, nie zna wad
i braków naszej organizacji i naszych «ludzi», jak kierownik
centrali... A ten — wiercie najmocniej — nie chce, nie znosi,
aby choć cień nieprawdy jawił się w sądzie nas samych o nas,
abyśmy kiedykolwiek mieli stanąć, czy spocząć i sądzić, że do-
skonałość osiągnięta...

Jakże nam bardzo do niej daleko... daleko...

A to, co nas najbardziej jako Związek, jako sodalicję

¹⁾ W r. 1926.

od doskonałości oddala, to nie co innego, lecz brak owego poczucia organizacyjnego, o które pytam w tytule tej gawędy.

Czy masz poczucie organizacyjne?

Rozumiesz to pytanie?

Nie.

Poczekaj! Zaraz ci wyjaśnię.

Jesteś członkiem sodalicyj. Prawda? Jesteś może dopiero kandydatem, może sodalisem. Pytam cię, czy jesteś nim zawsze, wszędzie, w każdej sytuacji życia domowego, szkolnego, koleżeńskiego, towarzyskiego?

Czerwienisz się? Milczysz?

Nic ci nie pomoże. Pytaj się w sumieniu i w sumieniu i według sumienia daj sobie odpowiedź.

Czy jesteś do dna duszy, do głębi przejęty duchem, ideą sodalicyj mariańskiej?

Czy jej ustawy są ustawą twojego życia, czy jej obowiązki są punktem twojego honoru? Czy stały stan łaski uświęcającej, możliwie częsta gościna u Chrystusowego Stołu Komunii św., a przez to ciągły postęp, ciągle doskonalenie się — są twoją ulubioną myślą, pragnieniem, ideałem?

Czy raczej, czy może jesteś członkiem sodalicyj na nabożeństwie, na zebraniu, na wieczornicy, na uroczystości sodalicyjnej... więc na papierze!

A potem wracasz do codziennego życia; «sodalicyjność» twoją ze złości wieszasz na kołku i zostawiasz ją tam do następnej uroczystości, zebrania...? I wracasz między rodzinę, między ludzi, kolegów — jako jeden z nich, jako zwykły, najprzeciętniejszy śmiertelnik. I myślisz, jak oni. I mówisz, jak oni. I zaniedbujesz swe obowiązki, i szukasz wykrętów i ugniasz za «linią najmniejszego oporu», jak oni. I na ustach twych goszczą słowa, dowcipy, opowiadania bardzo «niesodalicyjne» i na co dzień bardzo «niesodalicyjny» jest twój stosunek do ojca, matki, nauczycieli, kolegów...

Czy twoja «sodalicyjność» jest istotnie tylko szatą zwierzchnią, którą się wkłada na święto, jest mundurem «od parady»?

Czy twój egzemplarz ustaw sodalicyj już naprawdę od dawna proch i kurz pokrywa?

To pocóżes kochany zabłądził do sodalicyj? Tak, zabłą-

dził, bo ty się nie czujesz do dzisiaj jej członkiem, choć masz nawet medal i dyplom sodalisa.

Więc zostać — czy wystąpić?

Zostać!

Ale od dziś pogłębiać w sobie, umacniać poczucie przynależności do organizacji, ale rozpocząć na każdy dzień pracę nad sobą. Ale we wszystkim starać się być lepszym, sumieniejszym, głębszym od ludzi i kolegów «przeciętnych», ale wypowiedzieć walkę na śmierć i życie wszelkiej miernocie, płytkości, powierzchowności. I zawsze, zawsze i wszędzie, wszędzie pamiętać, że wielu, wielu rzeczy nie godzi się temu, co przystał na służbę Marii, że wiele, wiele rzeczy musi być znacznie lepszych, porządniej zrobionych, rozważniej pomyślanych, powiedzianych, jeśli od sodalisa pochodzą, ale od p r a w d z i w e g o, nie papierowego sodalisa.

A przeto sodalisie drogi mój i ty kochany kandydacie, gdy rano budzisz się, wspomnij zawsze, kim jesteś i jak masz spędzić ten nowy dzień i skreśliwszy jeszcze na posłaniu znak krzyża świętego, nim twój pacierz rozpoczniesz, zawołaj sobie wesoło: Dzień dobry sodalisie! Marii towarzyszu pancerny — oto znów dzień pracy i służby przed tobą. Służ i czyn! Aż do wieczora służ!

Dzień dobry sodalisie!

1926.

I ŚĆ M U S I !

Wiosną pracy rocznej dla każdej sodalicji to początek nowego roku szkolnego. Moment to niesłychanie ważny, najważniejszy. Jeśli przy końcu roku w upalnym czerwcu z przykrością patrzycie w rok miniony i sami nie wiecie, na czym on zeszedł w sodalicji i czujecie, że właściwie praca nie szła, że się nic nie zrobiło, to wierzcie mi konsultorzy kochani i drodzy sodalisi, wina najczęściej w tym, żeście razem prześlepiłi moment początku roku. We wrześniu i w październiku rozstrzyga się los i wartość naszej całorocznej pracy. A więc?

Postawcie sobie przed pierwszym zebraniem konsulty i przed pierwszym zebraniem miesięcznym jasne, konkretne

pytanie: Czego chcemy w tym roku dokonać w sodalicyi i przez sodalicję w szkole? Rozważcie, pomyślcie, podyskutujcie. Odpowiedź na to pytanie musi być jasna, krótka, jędrna i bardzo, bardzo konkretna. Niech obejmuje jeden punkt, jedno zdanie, ale ono niech będzie dewizą, hasłem co dzień przypominanym przez całoroczną pracę, zbiórki, dyskusje, posiedzenia.

Powtóre postawcie drugie pytanie: w jaki sposób urzeczywistnić nasze założenia? Weźcie do ręki spis waszych ludzi i kalendarzyk nasz związkowy i ułóżcie dokładnie daty wszystkich bez wyjątku zebrań, tematy pogadanek i referatów, nazwiska referentów (z tymi należy się przedtem ułożyć i upewnić). Jak to aż do końca roku? Tak aż do końca czerwca! Sekretarz sodalicyi wpisze to wszystko w księgę protokółów posiedzeń konsulty, a prezes, konsultorzy, przewodniczący kółek czy sekcji porobią dokładne odpisy. Prezes wykrzesa z siebie wszelką energię, aby dopilnować, skontrolować, czy plan nie zostaje na papierze — «weźmie za łeb» (delikatnie) przewodniczących i referentów, by się trzymali dat i tematów i nie doje, nie dośpi, aż wszystko, o ile tylko ludzkie siły pozwolą, pójdzie należytym torem. Ba nawet jeden taki odpis może posłać do prezydium Związku, czym silniej zwiąże swoich «ludzi».

Zebrań, na których debatuje się «o czym tu dziś mówić», «co dziś będziemy robić», na które jaby pierwszy nie przyszedł, gdyby tak być miało nie daj Boże w naszej sodalicyi, muszą zniknąć w Związku bezwzględnie. A wtedy praca pójdzie — zobaczycie — iść musi! Zatem konsultorzy, sodalisci do dzieła!

1924.

KONSULTA

Czym jest w sodalicyi — określają, dokładnie, choć więzłe ustawy w rozdziale V § 51—58. Nie o to też chodzi mi tutaj, aby powtarzać, co tam już raz miałem sposobność powiedzieć, lecz o zwrócenie uwagi na pewne momenty niezmiernie ważne w sodalicyi i podkreślenie ich znaczenia ze względu na jej rozwój i intensywne życie na wewnątrz, zarówno jak na zewnątrz.

Przede wszystkim liczba konsultorów. Podwójne w tej

sprawie spotykamy w sodalicjach naszych zapatrywanie. Jedni powiadają: konsulta niech będzie najszczuplejsza ze względu na łatwiejsze jej zwołanie i funkcjonowanie i powołują się na zgubne skutki zbyt obszernych zarządów w wielu instytucjach. Drudzy stają na odmiennym stanowisku i radziby konsultę o ile możliwości rozszerzyć. Któż ma rację? W sodalicji normalnej, to znaczy w obrębie jednego zakładu, stanowczo ci ostatni. Cóż więc przemawia za konsultą liczniejszą? Pomijam względ czysto praktyczny, że w sodalicji obejmującej młodzież kilku klas wyższych, wypadaloby, aby one miały swych przedstawicieli w wydziale dla łatwiejszego komunikowania się z kolegami, ale chodzi mi o coś znacznie ważniejszego. Jeżeli sodalicję w ogóle pojmujemy jako zaczyn dobra i chrześcijańskiego wyrobienia całej szkoły, to konsulta ma być takim zaczynem w sodalicji. I oto dlaczego powinna zebrać w swym gronie możliwie liczny zastęp tych, którzy tym zaczynem stać się mogą. Wniknięcie najgłębsze w ducha, w ideę sodalicyjną, zaznajomienie się z akcją organizacyjną, zmuszenie siebie do najlepszego spełniania obowiązków statutu, to wszystko momenty pierwszorzędnej wartości moralnej, które z konsultorów czynią i czynić mają wzorowych, powiem nawet, idealnych, sodalisów, gorąco przywiązanych do kongregacji i gotowych dla niej na wszystkie ofiary. A takich, któraż sodalicja nie chciałaby mieć jak najwięcej? W zależności zatem pewnej, choć nie zupełnej, od ogólnej liczby sodalisów, konsulta śmiało liczyć może 10—12 a nawet 15 ludzi, ale rzecz prosta tylko takich, którzy by nie byli ani balastem ani hamowidłem, jeno motorem i ogniskiem umiłowań świętych i zapału.

Wybór konsulty określa dokładnie regulamin. Należy wszakże pamiętać, że ze względów praktycznych bardzo ważny tutaj jest § 52 ustaw, a raczej uwaga przy nim pod linią umieszczona «konsulta ma prawo kooptacji nowych członków, o ile to uzna za konieczne». Wynika stąd, że nie jest wskazanym na dorocznym walnym zgromadzeniu wybierać wszystkich członków konsulty, zwłaszcza, jeśli ono odbywa się przy końcu roku szkolnego. Po wakacjach mogą się okazać nowe potrzeby i nowe zdolności w pewnych jednostkach, wtedy też bardzo dogodnym okazuje się wprowadzenie ich do konsulty drogą kooptacji. Na walnym zgromadzeniu przeto należy wybierać zawsze ilość mniejszą o jakie 2—3 jednostek od stale

przyjętej. Sodalisi nie będą mieć nic przeciw temu, małemu zresztą, uszczupleniu ich praw wyborczych, bo łatwo zrozumieją, że tu chodzi o dobro i rozwój ukochanej przez nich sodalicji.

Jak często zebrania? Ustawy mówią o dwóch tygodniach, o trzech co najmniej. Dużo tu zależy od wolnego czasu ks. moderatora, bez którego konsulta odbyć się nie może i nie powinna, istotnie jednak przeciąganie terminu posiedzeń poza odstęp 3 tygodni byłoby i niebezpieczne i świadczyłoby ujemnie o żywotności naszej sodalicji. W każdym razie sodalicje, organizujące dopiero swe życie i działalność, niech pamiętają, że u nich konsulta co tydzień powinna być normą i podstawą rozwoju.

Lecz, jeśli konsulty często, cóż na nich tak dalece omawiać? Schodzić się i czas tracić, to znaczyłoby przecież podcinać w korzeniu byt sodalicji. Całkiem słusznie. I oto kwestia najważniejsza. Jak każde bez wyjątku zebranie sodalicji, tak i konsulta, owszem ta przede wszystkim, powinna być dokładnie przygotowana i z góry obmyślona. Oto wdzięczne zadanie prefekta i konsultorów. Prefekt przed każdym zebraniem powinien bezwarunkowo odbyć naradę z ks. moderatorem w przedmiocie tematu obrad, który sam powinien sobie przez baczną obserwację życia sodalicyjnego przygotować. Jest to jeden z jego najważniejszych obowiązków. To samo, lubo w mniejszym zakresie powinni uczynić dwaj jego zastępcy, w końcu wszyscy inni konsultorzy. Wtedy płonną będzie obawa, że na posiedzenie braknie materiału. Owszem, nieraz przeciągnię się ono aż nazbyt długo i będzie niezmiernie ciekawe i pouczające zarazem. Pewno wtedy braknie czasu na czytanie i wyjaśnianie Ustaw, co jednak choć niekiedy powinno koniecznie mieć miejsce. W każdym razie za normę powinno uchodzić posiedzenie konsulty w pobliżu przed zebraniem miesięcznym, ogólnym całej sodalicji, na którym uchwały konsulty, spostrzeżenia, kary będą ogółowi podane do wiadomości. Wiemy z doświadczenia, że te sprawy tak zwane «bieżące», w każdej sodalicji cieszą się największym zainteresowaniem członków, jeden powód więcej, aby jak najsumienniej były przez konsultę rozpatrzone i przygotowane.

Nie ulega wątpliwości, że intensywne posiedzenia konsulty są miarą intensywności życia całej sodalicji. W jakim zaś

kierunku mają iść same obrady, wystarczająco określa § 57 Ustaw.

W sodalicjach już starszych i zupełnie normalnie żyjących pełnią życia i wyrabiania się wewnętrznego członków, położyłbym wielki nacisk na wprowadzenie w życie skromnego i niepokąźnego na pozór w swym brzmieniu § 64 Ustaw. Mało sodalicji o nim pamięta w praktyce, a przecież kryje on w sobie dla nich niezmierne korzyści. Gdzie dobry duch panuje w sodalicji, tam te nieoficjalne, serdeczne, koleżeńskie gawędy nieraz większy plon przynoszą, niż długie narady i debaty. Tam mówi przede wszystkim umiłowanie sodalicji i jej haseł, miłość kolegów i ich dobra, tam powstają te projekty godne wszelkiego uznania i pochwały ze strony ks. moderatora, bo przecież już przed wielu wiekami św. Paweł powiedział o miłości, że «przemyślna jest».

Niech garść tych uwag naprawdę na wskróś praktycznych będzie ku największemu pożytkowi naszych drogich mariańskich drużyn i z Ustawami pospołu wytyczy nie tyle nowe, ile może głębsze tory konsultorskiej pracy.

1921.

ROLA I ZNACZENIE KONSULTY W SODALICJI MARIAŃSKIEJ UCZNIÓW

Na jednym ze swoich ostatnich posiedzeń uchwalił Wydział Wykonawczy Związku, aby w programie każdego zjazdu znalazł się zawsze jeden referat metodyczny z zakresu pracy i życia organizacyjnego sodalicji uczniowskiej. W roku ubiegłym na zjeździe warszawskim miałem zaszczyt przedstawić rolę i działalność sekcji sodalicyjnych, dziś pozwalam sobie omówić po krótko rolę konsulty czyli wydziału.

I. Każdemu członkowi jakiegokolwiek organizacji znanym jest bez wątpienia znaczenie zarządu, mniej natomiast prawdopodobnie uświadomioną bywa wewnętrzna racja jego bytu i istota jego pracy. Wszak zarząd to nie jest tylko reprezentacja zewnętrzna danego zrzeszenia, za co niestety tak często i niemal wyłącznie uchodzi, to nie jest tylko ów przysłowiowy «koziół ofiarny» wszelkich niepowodzeń, zarzutów i ataków,

ale zarząd to przede wszystkim ukryty motor, sprężyna całej działalności, nieustanne źródło podniety, energii i to zawsze czujne i otwarte oko kontroli, to wreszcie możliwie czuła i wrażliwa igła magnetyczna ideowego kierunku organizacji, względnie zachodzących odchyłań.

Cokolwiek inaczej przedstawia się rola konsulty w sodalicyi, która, jak wiemy, tym zasadniczo różni się od wszelkich innych związków, że jest instytucją kościelną, której właściwym i najwyższym kierownikiem jest Kościół przez swego moderatora, że jak z tego wynika konsulta z natury rzeczy stanowi tego moderatora przyboczne ciało doradcze.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że wskutek takiego ujęcia prawnej formy bytu i działania wydziału sodalicyjnego znaczenie jego spada do minimum, do zera.

Nic podobnego. Konsulta w sodalicyi i jako ciało zbiorowe i rozpatrywana w każdym z osobna z swych członków, ma do spełnienia zadanie nadzwyczaj dla sodalicyi doniosłe, zadanie sięgające do samych głębin jej życia i wartości. Tego właśnie zadania określenie ma być przedmiotem naszych dzisiejszych rozważań.

II. Przede wszystkim, jeżeli chodzi o dotknięty już powyżej stosunek konsulty do moderatora, muszę zaznaczyć z całym naciskiem, że powinien on być obustronnie oparty na głębokim zaufaniu i serdecznej przyjaźni. Ksiądz musi być pewnym swoich ludzi, a oni muszą mu wierzyć i ufać bezwzględnie. Wierzyć i ufać, że on jak i oni, chcą zawsze prawdziwego dobra sodalicyi i sodalisów. Zawiązką zaś i podstawą wzajemnych węzłów ma być szczerą, prawdziwą miłość. Takie ujęcie stosunku tych dwóch organów sodalicyjnych rozwiązuje samo przez się wszystkie trudności i komplikacje, jakieby mogły wyniknąć z literalnego stosowania sodalicyjnych ustaw, lub z tych przeróżnych wydarzeń, zajęć, nieprzewidzianych sytuacji, jakie niesie ze sobą wiecznie ruchliwe, niespokojne, gorączkowe życie młodych.

To też sam przez się nasuwa się tutaj wniosek praktyczny o doniosłym znaczeniu listy kandydatów do konsulty, jak i samych wyborów. Trzeba ją według mądrego i na doświadczeniu wiekowym już opartego regulaminu wyborów do głębi przemyśleć i przewidująco ułożyć.

Nie ma być, broń Boże, konsulta przybocznym orszakiem

ks. moderatora, ani jeszcze stokroć broń Boże, zbiorem jego «zaufanych», ale każdy z nas doskonale rozumie, jakie znaczenie w wyżej nakreślonym pojęciu konsulty mają istotnie sodalicyjne wybory i jak rozważnie, oględnie i mądrze trzeba je za każdym razem przeprowadzać, jak dość wcześniej trzeba ludzi na konsultorów upatrywać i wychowywać i nie spuszczać się nigdy i za żadną cenę na los przypadku.

III. Liczbę konsultorów zatem w myśl powyższej zasady dobrze jest w każdej sodalicyj tak określić, aby część ich wchodziła na walnym zgromadzeniu z wyborów, druga część wchodziła do zarządu przez kooptację. Ustawa na to wyraźnie pozwala, a bardzo często, zwłaszcza w niedość jeszcze wyrobionej i pozbawionej pewnej tradycji sodalicyj, jest to jedyna droga zapewnienia sobie dopływu do wydziału pożądaných i potrzebnych jednostek.

Ogólna ich liczba zależeć winna od ogólnej liczby członków sodalicyj, przy czym warto zwrócić uwagę na wysoką wartość organizacyjno-wychowawczą dobrze postawionej konsulty dla wszystkich jej członków. Niechże zatem liczba ich nie będzie zbyt szczupłą, ale też niech nie będzie zbyt wielką, by maszyna zarządu mogła sprawnie pracować, a zbyt częste absencje nie hamowały jej biegu.

Baczyć więc trzeba, by każda klasa przynajmniej od V-tej w górę (i każdy oddział, jeśli istnieje) miała swego przedstawiciela w wydziale. Przyjmijmy zatem jako normę liczbę 6—12 członków konsulty.

Ale — ale to muszą być jednostki bezwzględnie najlepsze, najwięcej wartościowe, że tak powiem, firmowe. Oni to dźwierzą w swych rękach sztandar znaczenia, powagi, wartości sodalicyj, oni nadają ton sodalicyj całej i każdej klasie, z nimi ten sztandar podnosi się, z nimi też pada, i biedną jest sodalicyja, która takich jednostek z siebie nie zdoła wydać, ni ich sobie wychować.

IV. Zebrania konsulty. Nie można określać szczegółowo ich częstości ze względu na swoiste warunki każdej z osobna sodalicyj. Jako normę można ustalić 2 zebrania na miesiąc, w nowopowstałej sodalicyj 3—4 na ten sam okres czasu, ponadto zaś zawsze w razie koniecznej potrzeby. Na konsultcie stale powinien być obecny ks. moderator. Próby tu i ówdzie

czynione odbywania posiedzeń bez księdza, prawie zawsze pozostały bez pomyślnego rezultatu.

Przed każdym posiedzeniem prezes sodalicyi powinien w porozumieniu z ks. moderatorem przygotować materiał i ułożyć porządek obrad, który ma być zawsze konkretny i poważny, zasługujący na to, aby bardzo z pewnością zajęty kapłan i kilku wzorowych uczniów poświęcało dlań stosunkowo dość często 1—2 godzin drogiego czasu i wysiłku myśli. Materiał ten zbierze prezes z osobistych obserwacyj życia sodalicyjnego w najbliższym przed zebraniem okresie oraz ze swych rozmów koleżeńskich, jak niemniej ze spostrzeżeń konsultorów. Poza tym treścią posiedzenia ma być bardzo ściśle i surowe rozpatrzenie frekwencji wszystkich ostatnich zbiórek sodalicyi, jak i wniesionych przez członków na ręce klasowych konsultorów usprawiedliwień. Dalej kontrola kalendarza zajęć i prac sodalicyi na najbliższy okres czasu, kontrola działalności i obowiązkowości poszczególnych konsultorów, jak i przewodniczących kółek czy sekcij. Jakież to wdzięczne, ale i mozolne pole pracy dla prezesa, jeśli nie chce być malowaną figurą w swej organizacji. Gdyby czas pozwolił, zalecałoby się przy końcu, co lepsze, na początku zebrania, po protokóle odczytać kilka paragrafów Ustaw zasadniczych sodalicyi mariańskiej, do których moderator dodałby kilka praktycznych i wyłącznie konsultorów dotyczących wskazówek. Bezwarunkowo należy na konsultacie przygotować treść i przebieg najbliższego zebrania miesięcznego całej sodalicyi, którego wartość i owocność dla członków od tego właśnie omówienia będzie niemal wyłącznie zależeć.

V. Plan pracy. Najważniejszą czynnością konsulty na początku nowego roku szkolnego, względnie tuż po nowych wyborach będzie ułożenie dokładnego planu pracy na cały rok. Pisałem już o tym w miesięczniku, dziś powtarzam to z całą stanowczością. Dla zarządu sodalicyi sprawa ta powinna być równie doniosłą i zasadniczą, jak dla rządu państwa kwestia budżetu i dyskusja nad nim w sejmie czy parlamencie.

Na to musi konsulta odżalować swój czas i trud. I odpowiedziawszy sobie na pytanie, co my właściwie chcemy osiągnąć w tym nowym roku w sodalicyi i przez sodalicyę, wyrobić sobie i ukształtować pogląd ideowy na całoroczną pracę, wytyczyć jej ideę przewodnią, zarówno jak formę ujęcia tej

idei w praktyczne ramy wykonania. A potem z kalendarzem w rękę, dzień za dniem określić daty nabożeństw, wspólnych komunij świętych, zebrań, posiedzeń konsulty, kółek itd.; zre-dagować to wszystko w całość, spisać, rozdać odpisy wszystkim konsultorom i święcie przestrzegać. Spróbujcie tylko zastosować to raz, choćby w jednym roku szkolnym, a już nie będziecie mogli pojąć życia sodalicji bez tego planu. Opracowanie jego zbudzi w konsulcie ducha inicjatywy, którym ona powinna się i jako całość i w poszczególnych jednostkach wybitnie odznaczać. Na sodalicji przecież i jej wartości wewnętrznej, a zewnętrznej u profesorów, rodziców i młodzieży opinii, na jej pracy i tężyźnie powinno im bardzo, istotnie, naprawdę gorąco zależeć. A przeto winni mieć oczy i uszy otwarte na każdy jej brak i każdą potrzebę i każdą zaletę i każdą wadę, a z tego właśnie wypłynie i zrodzi się ów duch inicjatywy w konsulcie. Ks. moderator, obarczony mnóstwem zajęć i prac i z natury swej stojący trochę ponad życiem szkolnym, nie zdoła mimo najlepszych chęci i wysiłków wnikać we wszystko. Oto zadanie konsultorów, uświadomionych, gorących chłopców, którzy rozumiejąc, iż sodalicja jest ich sodalicją, nie jakimś organem księdza, wnoszą życie, ruch, tysiączne projekty, pomysły gorące, płomienne, coraz i coraz nowe, jak coraz nową jest ich bujna, serdeczna młodość, a kapłan doświadczony i serdecznie, by ojciec, życzliwy kierownik, dodaje swe uwagi, rady, wskazówki, powściąga zbytnie zapaly, miarkuje poloty i w ten sposób cała konsulta, ten ideał i wzór zarządu w organizacji, spełnia w możliwie doskonałym stopniu swoje zadanie. Rozumiemy już jasno, iż sprzeniewierzyłaby się racji swego bytu w sodalicji, gdyby zatracając swe indywidualne oblicze, chciała się tylko bezwładnie zdać na sąd, zdanie i wolę ks. moderatora.

VI. Na zakończenie kilka praktycznych domówień.

Konsulta powinna wybrać ze swego grona wspomnianych już wyżej, t. zw. odpowiedzialnych konsultorów dla członków sodalicji, każdej z osobna klasy, których rzeczą będzie w granicach zdrowo pojętego koleżeństwa zająć się członkami sodalicji, kolegami ze swej klasy. I tak, konsultor odpowiedzialny będzie ich zawiadamiał i to wyłącznie drogą zbierania podpisów o każdym nabożeństwie, posiedzeniu i zebraniu, po odbytych zaś zbierze troskliwie od wszystkich nieobecnych uspra-

wiedliwienia, by postawić odpowiednie wnioski na najbliższym posiedzeniu konsulty. On też będzie odpowiadał za każde w uwiadomieniach czy usprawiedliwieniach zaniedbanie.

Dalej, jak już wyżej nadmienilem, członkowie konsulty powinni doskonale znać wszystkich sodalisów nie tylko z nazwiska, ale i osobiście i po przyjacielsku.

Chwile oczekiwania na zebranie czy nabożeństwo, wspólny powrót z tych zbiórek, nie mówiąc już o zebraniach czysto towarzyskich i wycieczkach czy pielgrzymkach, dostarczą aż nadto wiele sposobności do zadzierżgnięcia tych serdecznych węzłów sodalicyjnej przyjaźni, niwelującej różnicę wieku i klas w sodalicyj i sprzegającej wszystkich w jedną kochającą się rodzinę mariańską.

Wreszcie konsultorowie muszą w życiu sodalicyjnym świecić przykładem sumienności, punktualności, pobożności i karności. Ich nie może brakować nigdzie, ale przede wszystkim przy Komunii świętej sodalicyjnej, na zebraniach miesięcznych, na posiedzeniach kółek. Wszystkich oczy przecież na nich się najpierw zwracają. Jako uczniowie w szkole najlepsi, najmniej będą mieć trudności z tym żywym udziałem w życiu swej sodalicyj; jako najbardziej wewnętrznie wyrobieni, będą żywym wzorem służby Najsw. Pannie, idei sodalicyjnej i koleżeńskiej. Oni to będą najskuteczniej, bo czynem i przykładem uczyć wszystkich, jak sodalicyję kochać należy i jak w niej pracować i jak się dla niej poświęcać, a sodalicyja, która taką będzie miała konsultę, może być pewną coraz głębszego życia wewnętrznego wszystkich członków i owocnej, rzetelnej działalności na zewnątrz.

1924/5.

SODALICYJNY SENAT

Jeżeli od każdego sodalisa wymagamy głębokiego poczucia przynależności do sodalicyj, cóż dopiero mówić o tych, których zaufanie powszechne, po należytej rozwadze powołało do sodalicyjnego senatu — o konsultorach?

W nich już nie poczucie tylko, ale gorąca, szczerą, płomienna miłość, ukochanie sodalicyj powinno palić się i roz-

grzewać sodalicję, jako ono ognisko obozowe, co światłem i ciepłem darzy skupione koło siebie namioty wojowników.

Konsultor kocha sodalicję, jak swoją drugą matkę. On o niej nieustannie myśli, przeczuwa jej potrzeby, przewiduje usługi, niesie jej w ofierze swój czas, swój wysiłek, ofiarę z siebie i znowu wszędzie i zawsze pamięta, że nie tylko sodalisem jest, ale i konsultorem, opiekunem kolegów-sodalistów swej klasy, pomocnikiem moderatora, przykładem dla wszystkich.

Sodalicja i umiłowanie jej każe mu najsumienniejszemu spełniać wszystkie obowiązki szkolne, konsultor to wzorowy uczeń swej szkoły. Ono każe mu być najlepszym kolegą, wzorem uczynności, miłości, taktu koleżeńskiegogo. Ono wreszcie każe mu idealnie spełniać obowiązki sodalisa i konsultora. Nie może być zbiórki sodalicyjnej, na którąby nie przyszedł, na którąby się spóźnił, nie może być obowiązku nałożonego Ustawą czy tradycją miejscową, któryby zaniedbał, przy którymby nie szedł w pierwszym szeregu.

Nie będę tu omawiał oczywiście obowiązku poszczególnych urzędników sodalicji. Są od tego Ustawy czy Księga Podręczna. Ale nie mogę, nie chcę przemilczeć posiedzeń samej konsulty, które bezwarunkowo najmniej raz w miesiącu powinny się odbywać.

A przeto pytam was, konsultorzy najmiłsi, czy istotnie każde wasze zebranie pod kierownictwem ks. moderatora jest dowodem, że sodalicyjny senat czuwa, działa, miłuje?

Co przynosicie ze sobą na posiedzenie? Ducha apatii, bierności? Kiwanie głową w takt słów księdza czy prezesa? Czy też ducha inicjatywy, energię czynu, moc projektów, porywów gorących, serdecznych umiłowań? Czy i o ile i jak gorąco zabieracie głos, co mówicie o sprawach najdroższej wam organizacji mariańskiej, jakie przynosicie spostrzeżenia o jej życiu i stanie od ostatniego waszego zebrania? Otwórzcie księgę protokółów — czytajcie sprawozdanie z przebiegu posiedzenia, wyliczcie nazwiska przemawiających. Ponoś najczęściej odczytacie słowa: «Ks. moderator zaleca... Ks. moderator zwraca uwagę... Ks. moderator wyraża życzenie...» albo «Prezes zawiadamia... Prezes zapowiada... Prezes odczytuje... itd. itd. itd.».

To źle! To bardzo źle! To znaczy, że posiedzenie jest nieprzygotowane przez was. Niewyczekiwane przez was. Nieoży-

wione przez was. Jesteście śpiącymi konsultorami, a przeto może i sodalicja «związkiem braci śpiących»...

Budzę was! Wstrząsam was! Zerwijcie się i pocznijcie być «żywą konsultą». Tak żywą, aby ks. moderator naprawdę musiał «moderować» czyli powściągać zbytnie zapaly młodzieńcze i «miarkować» buchającą energię.

To jedno życzenie pod adresem sodalicyjnego senatu.

A drugie?

To jego stosunek do Związku, do centrali.

Jeżeli każdemu sodalisowi wystarczy poczucie przynależności organizacyjnej do jego własnej sodalicji, to konsultor musi mieć w wysokim stopniu poczucie przynależności do całego Związku. I tu pole dla każdego urzędnika konsulty bardzo szerokie.

Ujmę znów kwestię moją w pytania.

Prezesie! Czy prowadzisz «Księgę Podręczną», czy pamiętasz o przyszłości sodalisów-maturzystów, o ich rekolekcjach, o wręczeniu im listów polecających, kart dla maturzystów? Czy to wszystko sprowadzone z centrali leży gotowe u ciebie, gdy oni poczną się żegnać z sodalicją szkolną po maturze? Czy interesuje cię znajomość dokładna Ustawy Związku, obowiązki twej sodalicji względem Związku? Sprawozdania Związku? Czy pamiętasz o funduszu na wysłanie delegata na zjazd. Czy wasza sodalicja była zawsze na każdym, czy zdaje sobie sprawę z ich doniosłości?

Sekretarzu! Jak i kiedy odchodzą kwestionariusze? Zgłoszenia, sprawozdania? Doniesienia o zmianach w zarządzie? Czy materiał do sprawozdania przygotowujesz powoli, systematycznie przez cały rok? Czy i ty prowadzisz «Księgę Podręczną»?

Skarbniku! Jak z wkładkami do Związku, z prenumeratą miesięcznika, z rachunkami składnicy? Czy kwitnie u was kolportaż naszych wydawnictw groszowych? Czy w ogóle w kwestiach pieniężnych skrupulatność, punktualność jest wzorowa, idealna? Czy nie przychodzą upomnienia, które tyle czasu, trudu, pieniędzy kosztują Centralę?

Czy cała konsulta czyta dokładnie całą część organizacyjną miesięcznika, komunikaty, sprawozdania sodalicji innych? Czy żyje naprawdę życiem związkowym w całej pełni? Czy urzędnicy zdają sobie sprawę, że już nawet forma listu

czy kartki i jej data opowiadają centrali jasno, dobitnie, jaki jest stan danej konsulty i sodalicji?

Niechże odpowiedź na te pytania będzie dla was dowodem, miarą i wartością poczucia organizacyjnego konsulty i wszystkich jej członków, niech też będzie wskaźnikiem, kogo do konsulty wybierać, jak do niej ludzi wyszukiwać, przygotowywać i wychowywać już w kółkach młodszych, już w klasie IV czy V-tej, bo konsulta bez poczucia organizacyjnego, konsulta bierna, «kiwająca głową» i «śpiąca» — to chyba największe nieszczęście w sodalicji, to jej «fatum» wskazujące niechybnie początek usychania, zamierania tej organizacji, która z tym poczuciem właśnie u członków i konsultorów może świat zadziwić swą niebywałą żywotnością, zapalem, entuzjazmem młodzieńczym.

I nie tylko zadziwić, ale porwać za sobą, odrodzić i zbawić!...

Co niechaj wam zdarzy Bóg i Najświętsza Jego i wasza Matka!

1927.

KILKA UWAG O KARNOŚCI

Duch czasu, wzmagająca się walka o ideały chrześcijańskie w świecie, a w niemalym stopniu i ostatnia służba wojskowa naszych sodalisów, sprawiły, że w szeregach naszych coraz więcej i coraz szerzej i głośniejszą mówi się o pierwiastku rycerskim w sodalicji, zwłaszcza, rzecz prosta, w sodalicji młodzieży. Nie ma jednak rycerstwa bez karności, bez zwartości, bez posłuchu. I oto powód, dlaczego w narodzie z tradycji i krwi niby bardzo rycerskim, jak nasz, trudno o rycerskość istotną i prawdziwą. Zwróćmyż dziś nieco uwagi na jej podstawę, na karność drużyn naszych mariańskich, obaczmy, czego im brak, co im zalecić, by coraz silniejszym stawały murem w obronie i walce.

Grzeszą nasze sodalicje brakiem karności, bo grzeszą brakiem poczucia obowiązku. Musimy zatem zasadniczo na tę stronę życia sodalicyjnego zwrócić najbaczniejszą uwagę. I tu zaraz spotykamy się z wiecznie pokutującą u nas kwestią liczebności sodalicji. Młodzi konsultorowie, szczerze i serdecz-

nie przywiązani do swej sodalicyi, wdzięczni jej za prawdziwie macierzyńskie dary, za istotny postęp i wyrobienie własne, pragnęliby gorąco widzieć coraz większe szeregi kolegów skupione «pod znakiem Marii», pragnęliby coraz więcej jednostek skupić przy ożywczej krynicy łaski. A tymczasem sodalicyja już zawsze tym być będzie, że nie liczna, ale wewnętrznie silna, spełni jedynie swe zadanie. Wyrabiać jednostki — to jej cel i zadanie, nigdy wyrabiać gromady. Więc już i poznaliśmy pierwszą zasadę karność: nie ilość, lecz jakość. Od razu też określimy, że sodalicyja, licząca ponad 100 członków, staje się już «gromadą» i woła o podział wielkim głosem, jeśli ma wyrabiać i jeśli ma być karną. Zgłaszających się aspirantów przebierać, kandydatów długo badać i sumiennie próbować — to nieodzowny warunek dojścia do celu i spełnienia wielkiej misji sodalicyi mariańskiej.

Doskonałe wyniki pod tym względem we wielu już sodalicyjach dało podzielenie czasu próby, przeciętnie jednego, pełnego roku, na dwa nierówne okresy, trzymiesięcznej aspirantury, jako czasu najogólniejszego przygotowania się do sodalicyjnej służby i dziewięciomiesięcznej kandydatury, jako czasu próby właściwej. Zdaje się, że nie było jeszcze sodalicyi, któraby kiedy żałowała dłuższego czasu przygotowania u swego kandydata, natomiast znam wiele, które zawiodły się nieraz, czas zbytnio skracając. Spyta ktoś, jaki to ma związek z karnością sodalicyjną. Bezpośredni — nie, ale pośredni ma i wielki. Najpierw aspirant ma pewien czas, w którym bez żadnych jeszcze zobowiązań może rozpatrzyć się w sodalicyi i bez najmniejszych trudności wystąpić, po wtóre zarządowi sodalicyi przybywa, jak zaraz zobaczymy, jeden z ważnych środków utrzymania karność i wdrożenia do niej późniejszych sodalisów. Wreszcie, kandydat nasz, który rok cały gotuje się do przyjęcia owego pasowania na rycerza Marii, cenić sobie musi bardzo ten zaszczyt, uważać sodalicyję za rzecz bardzo poważną, szanować ją, więc, szanować i jej ustawy i polecenia jej zarządu, a tym samym sumiennie spełniać swe obowiązki. Jak bardzo wpływa to na zwartość więc i karność sodalicyi, nie trzeba dowodzić. Wiele, wiele kar przy tym ogólnym szlachetnym podkładzie stosunku członka do sodalicyi staje się zupełnie zbytecznymi. A przecież nam właśnie na tym powinno zależeć!

Wprowadzając zatem dwie kardynalne zasady w nasze

stosunki sodalicyjne, zasadę jakości nie ilości członków, powtóre zasadę aspirantury i kandydatury przeciętnej, rozwiązujemy zasadniczo kwestię karności. Dodajmy jeszcze ciągle podkreślanie wysokiego szczytu służby mariańskiej przez ks. moderatora na nabożeństwach i zebraniach, dodajmy zawsze najlepszy przykład członków konsulty, a kwestia nasza będzie w zasadzie wyczerpaną.

Cóż robić jednak, jeśli mimo to ludzka słabość członków naszych lub może zdawna zakorzenione niedopatrzienia powodują przekraczanie statutu, obniżenie frekwencji, gdy ta ostatnia przy komuniach św. wspólnych, na zebraniach spada wskutek opieszałości członków (czasem niedbalstwa wydziału), do jakich 60 lub nawet 50%? A — wtedy choć z wielką przykrością i ostrożnością, trzeba stosować kary. Czy rozporządza nimi kodeks sodalicyj naszych, jak one wyglądają i jaka ich wartość i skuteczność?

Wyliczmy je po prostu, idąc za statutem (§ 46). Więc zanotowanie wykroczenia, np. nieusprawiedliwionego dostatecznie opuszczenia zebrania sodalicyjnego, nieodpowiedniego na nim zachowania, w t. zw. «czarnej księdze» i odczytanie nazwisk z niej na najbliższym zebraniu ogólnym (zawsze po uchwale konsulty, zwłaszcza jej członków z danej klasy), upomnienie przez zebraną specjalnie w tym celu (np. po lekcjach w szkole) konsultę, upomnienie w cztery oczy przez prefekta sodalicyj, wreszcie przez ks. moderatora. U aspirantów zbawienne skutki widzimy po karnym przedłużeniu im czasu aspirantury np. o jeden miesiąc, w cięższym wypadku zupełnie unieważnienie czasu aspirantury i liczenie go na nowo, podobnie u kandydatów; w wyjątkowych wypadkach zawieszenie na pewien czas w prawach i obowiązkach (aż do poprawy). Ta ostatnia kara stosowana być musi bardzo ostrożnie i wyjątkowo tam, gdzie daje pewną rękojmię skuteczności, bo ostatecznie przez nią chłopiec dużo traci (zebrania, referaty, pożycie bratnie), a naraża się na odsunięcie się od sodalicyj na stałe. Wreszcie za niezwykle ciężkie wykroczenia lub powtarzanie się uchybień ustawie mimo kilkakrotnych lżejszych kar i upomnień, wykluczenie z sodalicyj (§ 48 i 49).

Wartość kar i ich skuteczność zależy przede wszystkim od wysoce umiejętnego ich stosowania. Karany musi być

w głębi duszy przekonany, że zasłużył, a kara winna być (zwłaszcza cięższa) nakładana z wielką miłością. Ks. moderator, gdzie to uzna za stosowne, z pewnością dorzuci od siebie kilka słów, uwag, osłodzi prywatnie przykrość, gdy na- zbyt wielka, ułagodzi przesadną drażliwość ambicji. Wielki cel nasz: w y c h o w a n i e d u s z, świecąc przed wszystkimi członkami jasno, a nieustannie, nauczyci ich rozumieć konieczność karność w sodalicji dziś, a w przyszłości w społeczeństwie, które tej cnoty tak bardzo potrzebuje.

1922.

O PRACY W SEKCJACH SODALICJI MARIAŃSKIEJ UCZNIÓW

Referat, który w tej chwili mam przedstawić¹⁾, pozostaje w ścisłym związku z tematem obrad porannych. Pracę społeczną bowiem w sodalicji, jakkolwiek ściśle związaną ze zasadniczym, statutowym jej celem, t. j. apostołstwem, pojmować możemy jedynie jako pracę sekcijną, dla której sodalicja w swym łonie zakłada osobną sekcję lub kółko.

Sodalicje nasze na ogół rwą się coraz więcej do pracy społecznej, a w szczególności do pracy w kółkach i sekcjach. Stwarzają też coraz nowe, jak świadczy wczorajsze sprawozdanie, w bardzo różnorodnym zakresie; jeszcze tylko młodsze, świeżo powstałe sodalicje sekcyj, choć i tu nie wszystkie, nie posiadają.

Problem ten zatem nasuwa się nam z coraz większą siłą do zbadania i omówienia. Chodzi o to, by sekcje szły, by przez nie nie cierpiała sama sodalicja, lecz owszem, by w nich znajdowała teren rozwoju i ekspansji, by energia ludzka, duchowa i fizyczna nie szła, przez fałszywe i błędne postawienie kwestii na marne i odwrotnie, by się nie ludzono, iż sekcje i kółka, to już cała sodalicja.

I. Stosunek sekcyj do sodalicji to stosunek części do całości, a może lepiej gałęzek i latorośli do pnia rodzicielskiego. A zatem sodalicja i jej idea zasadnicza, jej cele muszą być

¹⁾ Na V zjeździe Związku S. M. w Warszawie, dnia 3 lipca 1923 r.

przede wszystkim i na pierwszym planie. Cześć Marii, własne wyrobienie, apostołstwo wśród drugich, oto sodalicja. I stąd logicznym rzeczą porządkiem czas właściwie wtedy na sekcje przychodzi, gdy sodalicja stała się wewnątrz silna i wyrobiona, gdy sekcyjne gałązki mogą już czerpać soki żywotne z pnia macierzyńskiego. Wtedy mogą powstawać i rozwijać się normalnie. I odwrotnie, rozumiemy wszyscy, gdy pień słaby, gdy pień choruje, może próchnieje już, sekcje muszą chorować, karmione zatrutym sokiem, choćby się powierzchownie patrzącym zdawało, iż są zdrowe i rozwijają się doskonale. Darmo — organizmy społeczne mają swoje prawa, podobnie jak fizyczne, i praw ich, jak tamtych, bezkarnie naruszać nie wolno. Dlatego, jako pierwszorzędne postulaty pracy sekcyjnej wysuwam:

1) możliwie najgłębsze życie wewnętrzne sodalicji, możliwie najwyższy jej rozwój duchowy, dośrodkowy,

2) ściśle złączenie sekcji z duchem, ideą zasadniczą, z całością sodalicji,

3) zakładanie sekcji z głęboką rozważą i w miarę istotnej, rzeczywistej potrzeby życia wewnętrznego, rozwiniętego już do tego stopnia, iż szuka sobie ujścia na zewnątrz.

II. Założenie sekcji. W myśl poprzednich wywodów wyobrażam sobie założenie sekcji czy kółka w sodalicji mniej więcej w następujący sposób:

Kilku członków, już wyrobionych, poważnych, a więc nie w pierwszym zaraz roku istnienia sodalicji, bo to jeszcze niemożliwe, odczuwa potrzebę skupienia pewnej liczby sodalisów względnie kandydatów dla podjęcia wspólnej pracy w pewnym kierunku, dla pogłębienia pewnej idei, zawartej, względnie dającej się zawrzeć w ideologii sodalicyjnej. Jeśli między nimi będzie, jak się to zwykle zdarza, konsultor, dzieli się on projektem z konsultą i ks. moderatorem. Ci rozważają wszystkie momenty przemawiające za powstaniem sekcji i powstaniu temu przeciwnie, obliczają ilość przypuszczalnych członków, omawiają ich zdolność pracy, omawiają sam projekt w głównych zarysach, w końcu wyrażają swą zgodę na założenie sekcji lub jej odmawiają, albo wreszcie odkładają ostateczną decyzję, aż projekt dojrzeje lub stosunki ulegną potrzebnej zmianie. Jeśli nastąpiła zgoda, projektodawcy, czy konsulta zwołuje zebranie organizacyjne, na którym omówić trzeba program

ideowy sekcji, uchwalić jej regulamin lub wybrać do tego komisję z wyznaczeniem jej terminu do przygotowania projektu, przeprowadzić wybory, przynajmniej tymczasowego, — do przyjęcia regulaminu, zarządu sekcji i to możliwie szczupłego (przewodniczący, zastępca i sekretarz zupełnie wystarczą), wreszcie ułożyć program pracy ścisły i dokładny do końca roku szkolnego. Po tym zebraniu organizacyjnym nowa sekcja rozpoczyna intensywną, bo dobrze przygotowaną pracę.

III. Jakie sekcje zakładać w sodalicii? Wyróżnię tutaj dwa rodzaje. Jeden w kierunku czysto wewnętrznym, dośrodkowym, drugi w zewnętrznym, odśrodkowym. Przy jednym i drugim musimy koniecznie pamiętać o nieustannej zmianie w członkach sodalicii uczniowskiej, która sprawia, że i sekcje nie dadzą się pojmować, jako coś bardzo stałego w swej istocie i pracy. Członkowie nasi ulegają nieustannie zmianie zewnętrznej, bo, jako potok rwący, przepływają przez szkołę, by po kilku latach wypłynąć na szerokie morze życia, ale ci sami członkowie, co ważniejsza, ulegają nieustannie zmianom wewnętrznym, bardzo subtelnym, niemal niedostrzegalnym dla zwykłego oka; w nich dokonywa się ewolucja duchowa i to bardzo głęboko sięgająca. I już z tego widać, że nadzwyczajnie, doskonale, wprost idealnie musiałaby być prowadzona sekcja, by w łonie swym utrzymała z niesłabnącym zainteresowaniem chłopca przez lat kilka, powiedzmy od IV—VIII klasy, gdy jego poziom intelektualny, etyczny, religijny, gdy jego poglądy, uczucia, potrzeby duchowe zmieniają się nieustannie wewnątrz. Czy te uwagi nie otwierają nam przy padkiem oczu na liczne niedomagania naszych sekcji i kółek? Gdybyśmy o nich zechcieli pamiętać w sodalicii, zwłaszcza zaś w konsulcie, los naszych sekcji, ich zastój, upadek i może przeciwnie niespodziewany, choć okresowy rozwój, nie byłby dla nas, jak nieraz dotąd, zagadką.

Przejdźmy już jednak do rodzajów sekcji. Podzielę je tutaj, jak przed chwilą wspomniałem, na wewnętrzne i zewnętrzne.

Do pierwszych zaliczę: czysto religijne, jak eucharystyczną, szczególnej czci Marii Panny itp., następnie uświadomienia religijnego: więc apologetyczną, literacko-religijną i pokrewne.

Do drugich: sekcję miłosierdzia, społeczną i wszystkie tym podobne.

Gdyby chodziło o ich ważność, na pierwszym miejscu postawiłbym przede wszystkim eucharystyczną, najdonioślej-
sze mającą znaczenie w urobieniu charakterów młodzieży, przyznam jednak wysoką wartość i wszystkim innym, ponieważ pod kątem potrzeb młodzieży jedne uzupełniają drugie i wszystkie razem stwarzają dopiero miłą, harmonijną całość pracy sodalicyjnej.

Jeśli jednak chodzi o porządek w ich zakładaniu, żadnej z nich bezwzględnie nie przyznałbym pierwszeństwa. Sekcja musi odpowiadać istotnym, wewnętrznym potrzebom członków sodalicyj i to tak dalece, że jak wspomniałem, nigdy nie powinna być uważaną za instytucję stałą i nietykalną. Jeśli gdzie, to w sodalicyj uczniowskiej, sekcja może się «przeżyć», czyli stracić przynajmniej na razie swą aktualność. Sztuczne jej podtrzymywanie, galwanizacja za wszelką cenę, nieraz olbrzymim nakładem młodzieńczej energii, byłaby bardzo niefortunna. Raczej przeczekać, sekcję na czas jakiś zawiesić, czy zamknąć, do chwili, aż nowa, istotna potrzeba zbudzi ją do nowego, rzeczywistego życia.

IV. Praca sekcji. Powodzenie jej zależy w pierwszym rzędzie, jak widzieliśmy, od wewnętrznego przekonania, jeśli nie wszystkich członków, to przynajmniej ich znakomitej większości, o potrzebie istnienia sekcji, o jej rzeczywistych, nie urojonych korzyściach. Wtedy praca idzie. Członkowie z prawdziwą satysfakcją zabierają się do niej. Oni układają program, regulamin, wybierają spośród siebie przewodniczącego, który nigdy nie powinien być z góry naznaczony przez konsultę czy moderatora. Zarząd sodalicyj powinien dać sekcji możliwie największą swobodę i autonomię. Do jednej tylko rzeczy powinien nieomal zmusić sekcję, to jest do przedłożenia zupełnie konkretnego programu pracy na cały rok. Nasze nieszczęsne polskie: «jakoś to będzie» w sekcji, jak w sodalicyj całej, powinno być bezwzględnie wykluczone, jako zabójcze dla organizacji samej i dla charakterów młodzieńczych. Układa zatem prezydium sekcji kalendarz jakichś 8—10 zebrań na rok z dokładnie oznaczonymi datami, których bez ważnej przyczyny nie powinno się zmieniać, wyznacza tematy referatów i nazwiska referentów, owszem o ile możliwości przygotowuje dysku-

sję i rezolucje. Z całej tej pracy przewodniczący zdaje z obowiązku relację przed konsultą sodalicji.

A jak się powinna w szczegółach ta praca przedstawiać. Pozwolę sobie tutaj naszkicować ją w zarysie.

I tak sekcja eucharystyczna. Konieczny w niej udział ks. moderatora. Strona teoretyczna działalności sekcji powinna objąć poznanie głębsze dogmatu Eucharystii, jego dziejów, jak i dziejów kultu Najśw. Sakramentu w Kościele katolickim, czytanie Pisma św. i objaśnianie, zwłaszcza tekstów łączących się z ideą sekcji, studium liturgii, mszału, lekturę odpowiednio dobraną, np. sprawozdań z międzynarodowych kongresów eucharystycznych. Praktycznie zaś adorację Najśw. Sakramentu, wspólną lub kolejną na zmianę w 1-szy piątek i 1-szą niedzielę miesiąca; słuchanie Mszy św. prywatnie, np. w soboty, częstą Komunię św., rozumie się w ścisłym połączeniu z intensywniejszą pracą nad sobą. Te same uwagi dotyczyć będą sekcji ściśle religijnych, zbliżonych do poprzedniej.

Sekcje naukowe, więc apologetyczne, literackie itp. I tutaj niemal że konieczny, przynajmniej pośredni udział ks. moderatora. Poza tym sam plan działalności jasny. Powinien obejmować o ile możliwości pewien cykl referatów i korreferatów, z dobrze przygotowaną dyskusją, lekturę dzieł i czasopism polskich i zagranicznych oraz fachowe odpowiedzi na zadawane przez członków pytania (t. zw. «skrzynkę pytań»).

Sekcje, działające na zewnątrz, to najczęściej miłosierdzia i społeczna. Pierwsza z nich powinna przede wszystkim szukać działalności na terenie samej sodalicji, wszak przywileje nasze za uczynki miłosierdzia udzielają nawet odpustów, np. za nawiedzenie chorego sodalisa, potem dopiero przy odpowiednich warunkach na terenie całej szkoły, wyjątkowo zaś tylko także i poza szkołą. Tutaj zatem zebrania regularne, choć może rzadsze, niż w poprzednich, zdawanie sprawy z akcji miłosierdzia przez poszczególnych członków, lektura żywotów wielkich jałmużników ludzkości, jak św. Wincentego a Paulo, troska o zdobycie koniecznych funduszy drogą jałmużny, składek, koncertów szkolnych. Gotowość tak piękna do ofiar w bezinteresownej pomocy naukowej, bezpłatnych lekcjach czy korepetycjach, jednym słowem kultura serca chrześcijańskiego, dziś niestety po wojnie tak zapomniana, tak przygluszone skrajnym egoizmem, oto niezrównanie pociągający

przedmiot pracy sekcji miłosierdzia w sodalicji, której miłość bliźniego coraz i coraz nowe wskazywać będzie szlaki.

Pomijam w końcu omówienie działalności sekcji społecznej, ponieważ poranne referaty i ożywiona dyskusja nadto dostatecznie ją wyświeśliły.

V. Wspomnę na zakończenie o chorobach sekcji w sodalicji.

Na pierwszym miejscu wymienię błąd bardzo często się zjawiający. Oto działalność sekcji, ich idee, plany zasłaniają sobą sodalicję. Zdarza się to zwłaszcza w ostatnim rodzaju, tj. przy sekcjach o charakterze zewnętrznym, więc przy społecznych, ekonomicznych, rozrywkowych, sportowych i t. d. Może to być wprost groźnym, jak wspominałem na samym wstępie. Sekcje nie zapewnia trwałości, sodalicję głęboko podkopie i ducha jej spaczy, a działalność skrzywi na długo.

Inny błąd to uważanie sekcji za magnes, mający przyciągać sodalicji większą ilość członków, którzy potem rzekomo mają przyłgnąć i do poważniejszych postulatów idei sodalicyjnej i ustaw. I to niebezpieczna choroba, bo może wypełnić sodalicję po prostu nie sodalisami, przynajmniej z ducha, i dać jej wiele jednostek płytkich, zewnętrznie tylko do niej należących, dla miłej rozrywki, dla dobranego towarzystwa itd., a nigdy dla czci Marii, pracy nad sobą i apostołstwa.

Sekcji jest za wiele. Zabierają mnóstwo czasu, przeszkadzają w nauce, porywają nieliczne, ale zawsze te same, bardziej czynne jednostki, słabną przez to w wartości wewnętrznej i w końcu poczynają zaledwie wegetować. W sodalicji niedawno założonej i przeciętnie dobrej jedna sekcja, dwie najlepiej powinny na długo wystarczyć.

Sekcje słabną naprawdę i chylą się ku upadkowi. Zbadać w takim razie przyczyny, na konsulcie, na którą powołać do wyjaśnień członków zarządu sekcji, wytknąć braki, podać środki zaradcze, i albo sekcję z miejsca ruszyć i ożywić, albo zawiesić jej działalność, a nawet i zamknąć.

1923.

JAK ODBYWAĆ OBRADY?

1.

Wśród tematów, które na pewno obudzą silne zainteresowanie wszystkich naszych czytelników, jedno z pierwszych miejsc zajmować będzie wielka istotnie sztuka obradowania. Całe dziesiątki, nawet setki lat parlamentaryzmu europejskiego złożyły się na nią, dając nam pewnego rodzaju arcydzieło, któremu niestety rzadko kiedy sprostać umie zarówno prezydium, jak i członkowie zebrań, gromadzących wszędzie i niemal bez ustanku mnogie zastępy uczestników. Wielkiej tej sztuki uczyć się trzeba zatem teoretycznie i praktycznie zarazem, aby już od najmłodszych lat zebrania prowadzić na poziomie parlamentarnym i na tymże poziomie w nich uczestniczyć. Niech sodalicje nasze i pod tym względem staną się dobrą, rzetelną szkołą dla swych członków, a zyskają z pewnością ich trwałą wdzięczność dziś i jeszcze bardziej w długich latach przyszłego, obywatelskiego życia i społecznej, chrześcijańskiej działalności.

Jakież to wielkie szkody dla przebiegu i owocności obrad powoduje tak często nieudolność przewodniczącego, zarówno jak brak wykształcenia parlamentarnego ich uczestników. Mówcy zbaczają od tematu, nie zachowują porządku, nieraz wyrażają się nieodpowiednio, zebranie uchwała nieformalne wnioski, przewodniczący nie umie opanować silnego nieraz podniecenia obecnych, lub je sam wywołuje swą stronnictwością i nietaktem i tak dalej i dalej, cały szereg błędów i wad mających dla wielkiej i wzniosłej pracy naszej głębsze i dotkliwsze następstwa, niżby się to na pierwszy rzut oka zdawać mogło. Chcąc przed nimi nasze kochane sodalicje, ich zebrania, sekcje, kółka ochronić, przejdziemy w kilku krótkich artykułach najważniejsze zasady obrad, opierając się na znakomitej książce jednego z naszych autorów, zarówno jak na kilkunastu latach własnej w tym przedmiocie praktyki¹⁾.

Sprawą, która zaraz na początku zasługuje na naszą bliższą uwagę, to kwestia t. zw. «porządku dziennego» zebrania²⁾.

¹⁾ Lutosławski Marian: «O sztuce obradowania i przewodniczenia obradom». Warszawa, Gebethner i Wolff.

²⁾ Niejednokrotnie podnoszono u nas i całkiem słusznie zarzuty przeciw temu germanizmowi «porządek dzienny» (Tagesordnung), który

Cóż on ma obejmować? Najczęściej odczytanie protokołu z ostatniego zebrania, poprzedzone w sodalicji zawsze krótką modlitwą, wykład, referat lub pogadankę, dyskusję i uchwały, w końcu sprawy bieżące, względnie wnioski i interpelacje członków czy uczestników zebrania, zwane gdzie indziej «wolne głosy». Ustalony poprzednio porządek odczytuje przewodniczący lub zwołujący zebranie i zapytuje obecnych, czy się na taki porządek zgadzają. Obecni przyjmują projekt bez dyskusji lub zgłaszają poprawki, które muszą być poddane pod głosowanie.

Nieco inaczej przedstawia się sprawa, jeżeli samo zebranie ma sobie wybrać przewodniczącego. W sodalicji rzadko się to zdarza, ale może być nam potrzebne gdzie indziej. Otóż w tym wypadku, zagaja zebranie ktoś z komitetu, czy grupy zwołującej je i przeprowadza wybór przewodniczącego przez głosowanie obecnych, zwykle jawne (przez podniesienie rąk), wyjątkowo tylko tajne, kartkami. Wybrany obejmuje natychmiast przewodnictwo i przeprowadza wybory swego zastępcy i dwóch lub więcej nawet sekretarzy zebrania. Osoby winny być z góry upatrzone, by czasu nie tracić na ich wyszukiwanie i kwestię, czy ewentualny wybór przyjmą. Zwykle lista ich przechodzi «en bloc», to znaczy wybiera się od razu całą listę nazwisk, nie pojedyncze osoby. Teraz dopiero przewodniczący ogłasza porządek obrad i postępuje, jak podano wyżej.

Wypadnie nam się tu chwilę zatrzymać nad osobą przewodniczącego. Uwagi, które mu poświęcimy, powinny odegrać pewną rolę w naradach konsult naszych nad desygnacją t. zw. terna przed dorocznymi wyborami prefekta (prezesa) sodalicji.

Bez wątpienia słuszną jest rzeczą, że na przewodniczących zebrań powołuje się nieraz wśród hucznych oklasków ludzi starszych, zasłużonych lub zajmujących poważne stanowisko w państwie czy społeczeństwie. W tym tylko cała bieda, że to wszystko nie bywa równoznaczne z umiejętnością prowadze-

w dodatku zupełnie fałszywie na język polski przetłumaczono i temu dziwolągowi nadano pełne prawo językowego obywatelstwa. Niemiecki wyraz «Tagesordnung» (od słowa tagen — wiecować, radzić, stąd Reichstag — rada państwa), nie oznacza bowiem żadnego «porządku dziennego», lecz porządek wiecu, obrad, zgromadzenia. Niestety dziś zdaje się będzie bardzo trudnym, jeśli nie niemożliwym, wyrugować termin powyższy, który głęboko wrósł w nasze słownictwo parlamentarne.

nia obrad, dlatego one, jak i sama sprawa, nieraz na tym wiele cierpią. I to nowy powód, aby zawczasu tej umiejętności nabierać.

Jakież zatem przymioty powinny odznaczać owego kierownika, sternika zebrania? Umysł jasny, logiczny, lotna pamięć, łatwość wysłowienia. Bystra orientacja w treści przemówień i wytworzonej przez nie sytuacji. Stanowczość nieugięta, połączona z wysokim taktem i uprzejmością, możliwie najzupełniejsza bezstronność, silne nerwy, donośny głos, dobry wzrok i słuch, w końcu, co niezmiernie ważne, doskonała znajomość przepisów parlamentarnych. Wysoki to ideał, nie przeczę, tym więcej starajmy się w szkolnych latach doń przybliżyć.

A członkowie zebrania? Pominę tu w tej chwili ich przymioty, które od kulturalności począwszy, są chyba jasne zupełnie, a zwrócę tylko uwagę na ich liczbę. Jest to t. zw. kwestia «quorum». Przestrzega się tego ogólnie, aby na zebraniach, gdzie mają zapadać jakiegokolwiek uchwały znajdowała się więcej niż połowa uprawnionych do głosowania. Często jednak, zwłaszcza w związkach liczniejszych, postanawia się już w akcie zwołania czy ogłoszenia zebrania, że w godzinę po terminie w razie braku przepisanego statutem kompletu, rozpocznie się zebranie drugie, już bez względu na komplet, i przez to uchwały zyskują moc prawną. W tej kwestii zresztą dokładnie rozstrzygają poszczególne statuty różnych stowarzyszeń, które tę rzecz zwykle bliżej określają. W sodalicyi może ona mieć zasadnicze znaczenie co najwyżej raz tylko, to jest na walnym dorocznym zgromadzeniu, gdzie się dokonywa wyborów prezesa i zarządu.

Punktem zasadniczym każdego zebrania musi być referat i dyskusja nad wnioskami, kwestią tą jednak zajmiemy się już w następnym numerze.

2.

Przechodzimy dziś do kwestii referatu i dyskusji.

Jak wspomnieliśmy w ostatnim numerze, referat stanowi istotną, zasadniczą część każdego zebrania. Dlatego też należyte obsadzenie i przygotowanie go powinno być prawdziwą troską konsulty sodalicyjnej, a przede wszystkim jej prezesa.

Wypada nam tutaj zwrócić uwagę na jeden ważny szcze-

gól. Skarżą się często sodalicje nasze, że po referatach w żaden sposób nie mogą dojść do rozwinięcia dyskusji, że mimo wszelkich usiłowań idzie to jak po grudzie, lub raczej — wcale nie idzie. Gdzie powód? Najczęściej, acz niesłusznie przypuszczamy, że winę tu ponosi brak wyrobienia dyskusyjnego członków, ich nieśmiałość, nieumiejętność publicznego przemawiania i t. d. Bywa jednak inaczej. Główny powód tkwi w referacie. Musimy bowiem wyraźnie rozróżnić dwa rodzaje referatów: ściśle pouczające i dyskusyjne. W pierwszym wypadku najczęściej do dyskusji nie dochodzi, albowiem członkowie wysłuchawszy referatu, w pewnej, bliżej sobie nieznannej kwestii, nie mają po prostu nic do powiedzenia, a wszelkie zachęty do dyskusji kończą się w najlepszym razie kilkoma uwagami krytycznymi co do opracowaniu tematu. I dlatego referaty tego rodzaju nadają się raczej na ściślejsze posiedzenia kółek, gdzie rozwija się prawdziwa praca wszystkich członków, gdzie przez podanie z góry cyklu odczytów i dzieł pomocniczych pozwala się członkom, owszem ułatwia się im przygotowanie fachowej dyskusji naukowej. Na naszych zebraniach miesięcznych zatem, jak praktyka wskazuje i doświadczenie uczy, przeważać winny referaty drugiego rodzaju, to jest dyskusyjne, bo przez nie zebrania zyskują na żywości, stają się interesujące dla wszystkich sodalisów.

Tematy referatów winno się tu czerpać, o ile możliwości z życia codziennego, szkolnego, społecznego, które zda się być niewyczerpaną ich skarbnicą. Pozwolę sobie niektóre z nich przytoczyć: sodalicja a harcerstwo, stanowisko sodalicji w naszej szkole, młodzież a polityka, nasza lektura, sztuka a etyka, jak pracować społecznie na szkolnej ławie, praca nad kolegami z klas najniższych i t. p. Każdy referent powinien bezwarunkowo ująć treść ogólną swej pracy w kilka bardzo krótkich rezolucyj i przedstawić je zebranim do dyskusji i uchwały. Rezolucje te będące, jak widać, poglądami referenta, z pewnością wywołają odmienne sądy i zapatrywania na kwestie tak aktualne, rozbudzą wymianę zdań, ścieranie się opinij, uczynią zebranie czymś żywym, ciekawym, pożądanym i wyglądanym, przez co nie mało wpłyną i na frekwencję.

Spróbujmy zatem zastosować te uwagi w naszej sodalicyjnej praktyce, a przekonamy się, że fizjognomia naszych zebrań od razu się zmieni i ożywi.

Z chwilą zgłoszenia wniosku zaczyna się znojna praca przewodniczącego, który teraz kieruje dyskusją. Że winien on najuważniej słuchać referatu, ewentualnie notować swoje spostrzeżenia i uwagi do dyskusji, jest rzeczą zrozumiałą samo przez się.

Przewodniczący zebrania zatem otwiera dyskusję nad referatem, a raczej nad postawionymi wnioskami, przy czym już tutaj kategorycznie zaznaczyć należy, że przewodniczący sam od siebie nigdy wniosków stawiać nie może, co jest niestety powszechnym błędem naszych zebrań. Zgłoszony przez kogośkolwiek wniosek powinien być koniecznie przedstawiony na piśmie i złożony do rąk przewodniczącego, który go potem oddaje sekretarzowi zebrania, celem zaprotokółowania.

W ożywionej dyskusji zdarzyć się może, iż wpłynie w tym samym przedmiocie kilka wniosków. Wtedy pierwszy ze zgłoszonych (wniosek referenta) uważa się za wniosek główny, inne zaś za jego poprawki. Czy jakiś wniosek uznać za poprawkę głównego, czy też za nowy samodzielny wniosek, osądzić musi i zdecydować przewodniczący zebrania. Rzecz jasna, że to drugie, to jest określenie wniosku jakiegoś jako samodzielnego, odrębnego, zajęć może tylko wtedy, gdy on nie wyklucza swą treścią ani całości, ani części wniosku głównego. Wtedy też wchodzi on pod obrady jako ich punkt nowy, osobny i osobną też nad nim w swoim czasie trzeba otworzyć dyskusję.

Każdy wniosek zgłoszony do dyskusji i głosowania musi uzyskać poparcie kogokolwiek z obecnych, nadto musi być postawiony i powtórzony przed samym otwarciem dyskusji przez przewodniczącego i to w formie nadającej się do rozstrzygnięcia przez głosowanie. Z chwilą, gdy to się już stało, wniosek taki stał się własnością zebrania i nie może być właściwie cofnięty przez wnioskodawcę.

Gdy wniosek został już prawomocnie postawiony i przez przewodniczącego odczytany głośno i wyraźnie całemu zebraniu, otwiera tenże nad wnioskiem dyskusję i pierwszego głosu po wnioskodawcy udziela w zasadzie temu, kto jego wniosek poparł, a potem kolejno zgłaszającym się do głosu. Jest to obowiązkiem sekretarza, a nie zaszkodzi, gdy czyni to i sam przewodniczący, by najbezsronniej notować nazwiska proszących o głos, ściśle w kolejnym następstwie zgłoszeń. Dlatego prze-

wodniczący powinien uważać na zgłaszających się, by nikogo nie pominąć, a zgłaszający się, wymawiając zwykłą formułę «proszę o głos», powinien równocześnie wymienić wyraźnie swoje nazwisko. Bardzo to uprości całą formalność, ułatwi prezydium prowadzenie obrad i zaoszczędzi wiele kłopotu i czasu.

Dodajmy na zakończenie dzisiejszych uwag, że dowodem złego wychowania parlamentarnego, lub właściwie brakiem zupełnego wychowania jest: przemawiać bez udzielenia głosu przez przewodniczącego, przemawiać siedząc (wyjąwszy poufne posiedzenia w małym kółku, n. p. konsulty), wreszcie przemawiać nie będąc zwróconym w formie mowy i w postawie do przewodniczącego zebrania, który je niejako uosabia i reprezentuje.

3.

Jesteśmy jeszcze ciągle przy kwestii dyskusji. Spytajmy dziś, czy i kiedy wolno przewodniczącemu udzielić członkowi zebrania głosu poza kolejną zapisanych?

Wolno, ale tylko wtedy, gdy chodzi o tak zwaną a) kwestię sprostowania lub krótkiego wyjaśnienia faktu mylnie czy fałszywie przedstawionego przez poprzedniego mówcę; b) kwestię zapytania przewodniczącego lub mówcy i krótkiej odpowiedzi na pytanie o pewien szczegół; c) kwestię formalną, to jest nie mającą nic wspólnego z właściwą treścią (meritum) dyskusji, a dotyczącą samego tylko sposobu dyskutowania lub co najwyżej czynności i spraw ubocznie z nim związanych; są to tak zwane «wnioski formalne». Należą tutaj wnioski o zamknięcie dyskusji, o przejście do porządku, o odesłanie do komisji, o odroczenie dyskusji, o podjęcie głosowania bez dyskusji, o zmianę porządku obrad, o nieformalne prowadzenie obrad, w sprawie nagłej, o przywołanie do porządku.

Trzeba tu jeszcze nadmienić, że w sprawach formalnych nie można nigdy otwierać dyskusji. Po wnioskodawcy wolno zabrać głos jego przeciwnikowi i to tylko jednemu (o ile się taki znajdzie wśród zebranych) i jeszcze raz ostatni wnioskodawcy, przemówienia te nie mogą przekraczać trzech minut i zaraz musi nastąpić głosowanie nad wnioskiem formalnym.

Tutaj uczynić wypadnie dwie uwagi dodatkowe, a bardzo ważne. Najpierw o jakości wyżej podanych trzech kwestyj może, owszem musi, zdecydować energicznie i kategorycznie sam przewodniczący. Żle na tym wyjdzie on i zebranie, jeśli mu braknie potrzebnej bystrości, orientacji, energii. Bardzo łatwo przy jednej takiej kwestii ster zebrania i panowania nad nim może mu się wysunąć z rąk i to już do końca.

Powtóre zaś — i ta uwaga odnosi się już zarówno do przewodniczącego, jak do uczestników zebrania, wszyscy czuwać muszą pilnie nad tym i przestrzegać tego, by owe trzy kwestie nie były nadużywane. Zdarza się bowiem niezmiernie często, zwłaszcza na tych zebraniach, gdzie ścierają się rozbieżne poglądy, gdzie do głosu przychodzą antagonizmy społeczne czy polityczne, że uczestnicy zebrania proszą o głos z tytułu jednej z tych kwestyj i, zrećźnie wyzyskując udzielenie głosu, prześlizgują się nieraz genialnie do «meritum» sprawy czy dyskusji (to jest do samej treści obrad), w której by już albo wcale nie otrzymali głosu albo dopiero po wielu poprzednikach wcześniej zapisanych, i najspokojniej i długo przemawiają w sprawie samej rzeczy, będącej na porządku obrad, postępując całkiem nieformalnie. Rzecz jasna, że, o ile niedołężny przewodniczący w tej samej chwili nie zorientuje się w nadużyciu «kwestii formalnej», czy «wyjaśnienia», czy wreszcie «odpowiedzi» i nie odbierze mówcy głosu, lub też będzie się lękał to uczynić z różnych ubocznych względów (n. p., by się mu nie narazić i t. p.) cała dyskusja zejdzie na fałszywe tory albo też zebrani poczną mówcy przeszkadzać, a nawet żądać usunięcia prezydium. I to znowu jeden więcej, faktyczny powód do głębszego zastanowienia nad tym, komu przez wybory na początku zebrania powierzamy jego ster i losy.

4.

Dziś pomówimy o wnioskach. Referent, kończąc swe przemówienie, ujmuje zwykle jego treść i cel ostateczny w formę wniosków. Przewodniczący otwiera dyskusję, w której najczęściej pojawiają się albo zupełnie nowe wnioski, albo poprawki do wniosków referenta czy wniosków innych mówców. Rzecz jasna, iż nierzadko z tego powodu wytwarza się na

zebraniu niesłychany chaos w dyskusji, tak że nieraz i najdzielniejszy przewodniczący nie zdoła się w nim zorientować. A jednak musi on śledzić bacznie cały tok obrad, za nic nie stracić wątku kwestyj poruszonych, a zwłaszcza referatu i głównego wniosku, jeśli ma w ogóle odpowiedzieć zadaniu.

W myśl tej zasady przewodniczący zwróci uwagę na stosunek t. zw. poprawek do wniosku głównego, sam rozstrzygnie, czy są one rzeczywiście tylko poprawką czy też całkiem nowym wnioskiem, nad którym musi otworzyć osobną dyskusję.

Czegóż żądają poprawki? Albo wykreślenia z wniosku głównego pewnych wyrazów, albo dodania nowych, albo zastąpienia, zmiany, podanych przez wnioskodawcę głównego na inne, wskazane przez danego mówcę. Poprawki te w każdym razie powinny być do prezydium podane na piśmie.

Przewodniczący decyduje sam, w jakiej kolei mają być dyskutowane zgłoszone poprawki. Kolej ta według jego uznania zależy może albo od pierwszeństwa zgłoszenia, albo od stosunku poprawki do ustępów wniosku głównego, albo wreszcie od znaczenia poprawki wobec innych poprawek, które ta pierwsza uczyniła by bezprzedmiotowymi. Zwykle trzymamy się tego trzeciego, ostatniego względu, stawiając t. zw. «wniosek (właściwie poprawkę) najdalej idący» pod dyskusję, a potem pod głosowanie. Ale też, jak widzimy, jest to osądzenie najtrudniejsze i wymaga wielkiej bystrości w orientowaniu się przewodniczącego.

Każdy rozumie, że jedyny czas do dyskusji dla wszelkich poprawek jest wyłącznie przed przegłosowaniem wniosku głównego. Do jednej zaś i tej samej poprawki wolno każdemu tylko jeden raz głos zabierać.

Ściśle biorąc, staje się każda poprawka na chwilę, w której się nad nią dyskutuje, jakby wnioskiem głównym, a przeto i do niej wolno zgłaszać nowe poprawki. Będą to «poprawki do poprawki», czyli nowy kłopot dla biednego przewodniczącego, a nowe niebezpieczeństwo dla istotnych rezultatów przewlekającego się w ten sposób w nieskończoność zebrania, które wtedy zwykli opuszczać powoli znudzeni uczestnicy. Ostrożnie zatem z wszelkimi «poprawkami», bo chyba nie mówimy tu o zorganizowanej opozycji i rozbijaniu przez nią zebrania.

W każdej dyskusji wnioskodawca (referent) ma głos ostatni, a wolno mu zabierać głos do każdej z podanych poprawek.

5.

Pozostają nam jeszcze trzy kwestie do szczegółowego omówienia: zamknięcie dyskusji, karność na zebraniu i głosowanie.

Widzieliśmy poprzednio, że przeciąganie dyskusji wprost bez końca przy średniej nawet gadatliwości zebranych, może zdarzać się niezmiernie często i po prostu uniemożliwiać zgromadzenia, względnie ich realne korzyści. Jedyńm środkiem na to, oczywiście poza obywatelskim wyrobieniem uczestników, będzie zawsze umiejętnie i w porę zgłoszony wniosek o zamknięcie dyskusji. Przypuśćmy, że oto ktoś stawia ten wniosek i znajduje na zebraniu poparcie. W tej samej chwili przewodniczący przestaje już przyjmować zapisy do głosu lub też przyjmuje tylko warunkowo. Wniosek ten może poddać pod głosowanie zaraz, lub też, raczej, po wyczerpaniu zapisanych już do głosu mówców. Stawianie wniosku o zamknięcie dyskusji bez uwzględnienia zapisanych poprzednio do głosu zdarza się wprawdzie czasem, ale nie jest ono właściwie zgodne z pojęciem swobody parlamentarnej i wygląda mocno na przymusowe kneblowanie ust; nie odejmię mu tego wyglądu nawet wymagana zwykle większość $\frac{3}{4}$ głosów; rozumiemy, jak łatwo może być on nadużywany.

Jeżeli wniosek o zamknięcie dyskusji uzyskuje większość, przewodniczący bezzwłocznie zamyka ją, a wnioski zgłoszone poddaje pod głosowanie. O ile upadnie, dyskusja toczy się swobodnie dalej.

Podobny nieco do poprzedniego jest wniosek o t. zw. «przejście do porządku dziennego» nad jakąś sprawą. Wniosek ten musi zaraz być poddany pod głosowanie, jeśli przejdzie, sprawa jest tym samym skreślona i już w niej nikt nie może otrzymać głosu.

Tutaj jeszcze słów kilka o t. zw. «mówcach generalnych». Gdy dyskusja bardzo się przeciąga lub gdy roznamiętnienie wzrasta, może ktokolwiek z obecnych postawić wniosek o wybór mówców generalnych, jak zwykle mówimy «pro» i «contra». O ile wniosek ten (zaliczany do formalnych) przejdzie,

przewodniczący zarządza krótką pauzę (5—10 minut) celem porozumienia się zwolenników i przeciwników wniosku co do osoby swego mówcy. Wybór mówców już jest tylko prostą formalnością. Po jego dokonaniu przemawiają wybrani mówcy w imieniu wszystkich dotąd zapisanych do głosu i to zwykle najpierw «pro», potem «contra». Referent czy wnioskodawca ma jeszcze głos ostatni i już bezpośrednio następuje głosowanie. Upraszcza to i przyspiesza znacznie wynik dyskusji, więc i rezultat całego zebrania. Zaznaczyć tu trzeba, iż przewodniczący ma prawo sam wyznaczyć mówców generalnych, o ile nie ma zgody i o ile na zebraniu przeszedł wniosek o przystąpienie do głosowania bez dyskusji, wybory jednak tutaj są również zupełnie dopuszczalne.

W końcu dziś jeszcze parę słów o karności. Utrzymanie jej na zebraniu jest ważnym zadaniem przewodniczącego. Rozporządza on tutaj wcale poważnymi środkami, którymi doskonale może się posługiwać. Są to tak zwane «przywołania do porządku». Regulamin obrad przewiduje je czterokrotnie. Powoduje je: nieparlamentarne zachowanie się, osobiste dotknięcie uczestników zebrania i t. d. Pierwsze «przywołanie» jest czysto formalne, drugie jest już protokółowane, trzecie pozbawia prawa głosu do końca zebrania, a czwarte powoduje opuszczenie sali obrad. Może się to stać również drogą wniosku, zgłoszonego przez kogoś z uczestników. Przewodniczący wtedy ma prawo albo poddać wniosek pod głosowanie — co jeśli przejdzie, liczy się od razu za dwa przywołania do porządku (ważna broń w ręku przewodniczącego) — albo też może przywołać wprost, nie odwołując się już do głosowania wniosku.

6.

Zbliżamy się do końca naszych krótkich uwag, naszej, że tak powiem, propedeutyki życia i postępowania parlamentarnego. I mamy dziś słów kilka poświęcić jeszcze tej kwestii, która z natury rzeczy zjawia się przy końcu zebrania czy posiedzenia i zamyka w sobie jego konkretny, a zwykle i praktyczny wynik, to jest kwestii głosowania.

Wspomnieliśmy już dawniej, że z chwilą, gdy przewodniczący wygłosi formułę «przystępujemy do głosowania», wszelka dyskusja ustaje, zapisy do głosu zamknięte, na głoso-

waniu skupia się obecnie cała uwaga zebranych i prezydium. Przewodniczący winien przede wszystkim doprowadzić do absolutnej ciszy na sali, potem wyraźnie, powoli, z odpowiednią akcentacją odczytać zgłoszony wniosek i zarządzić głosowanie. Ktokolwiek ośmieliłby się przeszkadzać w tej ważnej chwili, winien być bezzwłocznie przywołany do porządku. Głosowanie może być jawne lub tajne. Pierwsze odbywa się zwykle przez podniesienie rąk, najpierw tych, co są za przyjęciem wniosku, po czym może, lecz nie musi, nastąpić, dla próby głosowanie przeciwników. Często bowiem zliczenie głosów «za», przy znanej liczbie obecnych najzupełniej wystarczy. Kto ma liczyć głosy? Na mniejszych zebraniach sam przewodniczący, na większych powołani przezeń z grona zwolenników i przeciwników dwaj lub nawet czterej skrutatorzy; podają oni sumę głosów, z których wyciąga się liczbę przeciętną, o ile nie zachodzą zbyt uderzające i rodzące podejrzenie o stronniczość liczących różnice.

Przewodniczący ogłasza wynik głosowania, który jest już obowiązujący. Jeśli jednak ktoś zgłosi wątpliwość (kwestia formalna) głosowanie musi być powtórzone.

Wstrzymanie się od głosu jest niedopuszczalne, jeśli ktoś uczestniczy w zebraniu, nie jako prywatna jednostka, lecz na zasadzie mandatu (tak bywa n. p. na naszych zjazdach Związku sodalicyj).

Głosowanie tajne musi być zarządzane tam, gdzie chodzi o wszelkie sprawy osobiste. Odbywamy je zwykle na kartkach, pisząc na nich «tak» lub «nie», albo wrzucając do urny kulki o odmiennej barwie.

Gdy chodzi o wybory tajne, przewodniczący musi dokładnie wyjaśnić w jakim porządku i na kogo należy głosować. Rozstrzyga bezzwzględna większość głosów, jeśli jej brak, następuje wybór ściślejszy między tymi, którzy nie doszedłszy do większości bezzwzględnej, otrzymali najwyższą ilość głosów, i to powtarza się aż do osiągnięcia potrzebnej większości.

NASZE REFERATY

Cóż nam daje właściwie sodalicja mariańska? Nabożeństwa, zebrania, referaty, miesięczną spowiedź i komunię świętą. Wszystko pozornie nadto poważne, trudne, połączone z niemałym wysiłkiem, a przez to wszystko, czy naprawdę, czy do głębi zgodne z psychologią młodzieży, z jej istotnymi potrzebami, zainteresowaniami, zwłaszcza dziś — w epoce sportów, rekordów, radia i kina...?

Pytanie na pozór dla sodalicji niebezpieczne, ale na pozór tylko. Sodalicja jasno i otwarcie stawia przed młodzieżą swoją ideologię. Nic nie tai, nic nie ukrywa. Wiedzie do pracy nad sobą, do wyrobienia charakteru w służbie Boga i Marii, czyli ze wszystkich możliwych celów i ideałów stawianych młodzieży, żąda najwięcej, stawia postulaty najtrudniejsze, stąd też głosi zawsze i wszędzie, że nie jest i być nie może dla wszystkich, że skupia i zrzesza tylko dusze głębsze, zdecydowane do pracy nad sobą, upatrujące w ideale sodalicjnym prawdziwy i szczerzy ideał osobisty. A takich nie mogą być tłumy.

To jasne!

Ale z tego bynajmniej nie wypływa, by sodalicja mariańska w miarę wszystkich swych sił i środków nie starała się być możliwie żywotną, możliwie «interesującą» dla młodzieży XX wieku. By nie starała się najusilniej wszystko, co robi, robić jak najlepiej, jak najmilej, jak najgłębiej.

Sodalicja daje dużo, bardzo dużo, ale też dużo, bardzo dużo wymaga i tyle daje w owocach pracy, ile dostaje w uprawie i znoju na roli.

Sodalicja, która «zbywa» robotę, nie daje nic, owszem nawet odstrasza do siebie; sodalicja, która pracuje intesywnie, posiada prawdziwą siłę atrakcyjną, której jej żadna organizacja nie odbierze, dopóki w młodzieży będą — a będą zawsze — dusze żadne wyrobienia i doskonałości, większej od poziomu przeciętnych, miernych, tuzinkowych jednostek.

Więc jeśli sodalicja urządza nabożeństwo, niech to będzie z jak największym podniesieniem dusz i porwaniem ich ku Bogu i Marii; jeśli urządza spowiedź, niech to będzie spowiedź tak ułatwiona i pokierowana, by sięgnęła jak najgłę-

biej w dusze; jeśli urządza zebranie, niech to zebranie będzie żywotne, interesujące, ciekawe.

I tu dochodzimy do podstawowej kwestii referatów i ich przygotowania, która albo idzie «na zbywanego» — co jest fatalne, albo sprawia moderatorowi i konsulcie, nie mówiąc o nieszczęsnych referentach, niepokonalne trudności.

Jak pokierować sprawą referatów?

Z praktyki własnej, z życia, nie z suchej teorii — uwag kilka.

W miesiącu kwietniu wybiera konsulta sodalicji komisję z trzech najodpowiedniejszych ludzi, którzy mają do końca maja przygotować projekt tematów z rozmaitych dziedzin na cały następny rok szkolny i to w ilości mniej więcej trzykrotnie większej niż liczba referatów, aby było w czym wybierać. Tematy znajdują w «Naszycy Sprawozdaniach», zamieszczanych w każdym numerze miesięcznika. Jest ich tam w 11-tu rocznikach paręset i bardzo ciekawych. Komisja nadto przy pomocy ks. moderatora podaje w miarę możliwości do każdego tematu źródła (książki, broszury, artykuły w czasopismach i t. p.). Gotowy wykaz przychodzi pod obrady konsulty w maju. Ustala się ostatecznie 10 wybranych tematów, nieznanych jeszcze w sodalicji, lub przynajmniej od lat 4 niedotkniętych. Układa się ich plan na poszczególne miesiące oraz proponuje referentów. Po pertraktacjach z nimi, ustala się ostatecznie cały cykl przyszłoroczny w połowie czerwca. Każdy referent dostaje temat i datę ogłoszenia na kartce, oddaje zaś drugą taką kartkę z własnoręcznym podpisem na znak przyjęcia referatu, do rąk konsulty. Ma teraz przez całe wakacje czas do namysłu, zbierania źródeł, dyskusji na swój temat, co wyjdzie napewno tylko na pożytek przyszłej jego pracy¹⁾.

Zaczyna się rok szkolny. Konsulta sprawdza raz jeszcze tematy, obecność referentów w sodalicji (mogli wyjechać na stałe) i przypomina im terminy.

We wrześniu odbywa się z ks. moderatorem zebranie wszystkich referentów, którzy teraz dostają wskazówki o opracowaniu referatów, ich długości, aktualności, ogłoszeniu. Można z wielkim pożytkiem przeczytać na tym zebraniu

¹⁾ Nie wyklucza to oczywiście koniecznych zmian w razie nadzwyczajnych i więcej aktualnych okoliczności.

(w skróceniu) znakomite artykuły dra Niesiołowskiego zamieszczone w nrach 4—7, 1930 «Przewodnika Społecznego», Poznań, Podgórna 12 b. («o wykładzie i słuchaczach», «o przygotowaniu wykładu»).

Każdy referent oddaje swoją pracę najzupełniej gotową do rąk ks. moderatora na 10—14 dni przed zebraniem, ten czyta uważnie pracę, robi swoje uwagi, które komunikuje referentowi. Po czym referat idzie do rąk wybitniejszych sodalisów, którzy studiując go, przygotowują się do dyskusji, już to każdy z osobna, już to w kółku 2—3 bliżej z sobą żytych kolegów¹⁾. Przez tych 10 dni temat nabywa życia, w martwe jego myśli wpływa strumień gorącej, życiowej krwi, nabiera rumieńców, staje się aktualnością przynajmniej dla kilku sodalisów. Na dzień przed zebraniem referat wraca do rąk autora.

Po odczytaniu musi wywołać dyskusję, wymianę zdań, poglądów nieraz tak ożywionych, gorących, że interwencja ks. moderatora staje się koniecznością. Ma on zresztą ostatnie słowo w dyskusji, którą też każdej chwili kieruje na właściwe tory.

A po zebraniu — myśli referatu i dyskusji dalej żyją. Mówi się o nich, dyskutuje w sodalicji, a często i poza sodalicją. Zebranie pozostawia i owoc i miłe wspomnienie. W szkolnej gwarze nazywa się to po prostu: «klawo było na zebraniu sodalicji» i już z góry następne zebranie budzi pełny interes członków, którzy coraz bardziej wyrabiając się, zdobywając wielką, cywilną odwagę w publicznym zabieraniu głosu, lubią, naprawdę lubią zebrania, nie chcą ich opuszczać, a przez nie lubią i cenią sodalicję, której wysoką wartość kształcą człowieka duchowo, religijnie, obywatelsko w pełni poczynają rozumieć.

Oczywiście takie postawienie referatów kosztuje nie mało trudu, ale — podkreślmy raz jeszcze — bez tego trudu nie ma mowy o prawdziwej wartości i zebraniach miesięcznych sodalicji²⁾.

1931.

¹⁾ Można im także dać do ręki «źródła», z których korzystał referent. Można komuś polecić przygotowanie korreferatu.

²⁾ Przytaczam dla ilustracji cykl tematów z roku 1930/31: Sprawozdanie z II Kongresu (wrześ.) — Potrzeba idei w życiu młodzieży i urzeczywistnienie jej przez sodalicję (paźdz.) — Sodalis wobec służby

KILKA UWAG O DYSKUSJI

W organizacjach młodzieży szkolnej, a czasem nawet jeszcze i uniwersyteckiej stałą bywa skarga na nieudolność, czy nieumiejętność, a czasem nawet na zupełny brak dyskusji na najrozmaitszych posiedzeniach i zebraniach. Od skargi tej nie są wolne i nasze sodalicje. Nie można się jej znowu co prawda zbyt dziwić, gdy weźmiemy pod uwagę tę okoliczność, iż na ogół dyskusja stojąca na wyższym poziomie jest rzeczą niezmiernie trudną i — prawda każe to przyznać — rzadką nawet na zebraniach bardzo inteligentnych, dojrzałych ludzi. Więc się pocieszymy. Ale nie wynika z tego, by do takiej dyskusji i u nas nie dążyć — i oto powód do skreślenia tych kilku krótkich, praktycznych uwag, bo przecie umiejętnie przeprowadzona dyskusja, to jedno z najbogatszych źródeł życiowego wykształcenia i wyrobienia duchowego. Zdolność logicznego myślenia, szybka orientacja w przedmiocie obrad, możliwie krótkie a doskonale wyrażenie i sformułowanie własnego poglądu, uprzejmość i uszanowanie wobec przeciwnika, w końcu ośmielenie do publicznego wygłaszania swych poglądów i zapatrywań z gotowością poddania ich rzeczowej krytyce — oto kilka najważniejszych, a jakże organizacyjnie i życiowo kształcących i doniosłych korzyści dobrej, wartościowej dyskusji. Niechaj to wszystko stanie za powód skreślenia tych kilku praktycznych uwag.

I. Dlaczego u nas trudno rozwinąć dyskusję, dlaczego z wysiłkiem nawiązana nie idzie?

Pierwszą przyczynę tego podałem już w zarysie powyżej. Młodzieży naszej szkolnej brak jeszcze tego szerszego wykształcenia, ogólnych poglądów, życiowych przeżyć i doświadczeń, które pozwalają czerpać z siebie i innym w należytej, interesującej formie swe myśli podawać. Z bliższego punktu rzecz biorąc, brak znajomości bezpośredniego przedmiotu

wojskowej (listop.) — Współczesne niebezpieczeństwa dla życia religijnego (grudz.) — Idea współczesnego nacjonalizmu wobec etyki katolickiej (stycz.) — O modlitwie (luty) — Czy i w jakim zakresie możemy rozpoznać pracę społeczną jako uczniowie szkoły średniej (marz.) — Znaczenie życia eucharystycznego w sodalicji (kwiec.) — Sodalis jako przyszły obywatel Polski (maj) — O doborze książek i umiejętnym ich czytaniu (czerw.).

dyskusji, mającej się rozwinąć na tle często zbyt trudnego dla ogółu tematu przemówienia czy referatu.

Drugi powód milczenia po owej sławnej już u nas formule przewodniczącego: «otwieram dyskusję, kto z kolegów zapisuje się do głosu?», to jednak niestety lenistwo uczestników zebrania, które nieraz starają się ukryć i osłonić bardzo przemyślnymi (na to nie brak im twórczości!) pozorami i wymówkami. Usłyszysz zatem: «temat dzisiejszego referatu leży poza sferą moich intelektualnych zainteresowań» (co za znakomity frazes!), albo: «dziś czuję się niedysponowany», albo: «temat zbyt dziecinny», lub wreszcie: «ależ tak, tak, w zupełności podzielam zapatrywania prelegenta, tu nie ma nic do dodania». Sami dodacie łatwo dziesiątki innych. A na dnie tego wszystkiego? Lenistwo własnej myśli, lęk przed wysiłkiem, którego domaga się wysnucie nowych myśli i przyodzianie ich w odpowiednią szatę. A przecie wystarczy inteligentnemu chłopcu wysłuchać z uwagą referatu i zadać sobie w czasie wykładu pytanie: jakbym ja tę rzecz ujął i opracował, aby doskonale i rzeczowo uczestniczyć w dyskusji.

Wreszcie na trzecim i ostatnim miejscu kładę nieśmiałość u wielu, zwłaszcza młodszych kolegów, którzy przerażeni czasem, rzekomo wysokim poziomem dyskusji, nawalem obcej terminologii i zalewem błyskotliwych acz pustych frazesów, a może i docinkami lub uśmiechami «starszych» (oby się to nigdy nie zdarzało!), milczą uparcie i skromnie w kąciку i ańi ust nie otworzą na zebraniu.

II. Jakżeż temu zaradzić, co zrobić, aby dyskusja szła?

1) Wszyscy wybierajcie na zebrania tematy niezbyt trudne, proste, a przede wszystkim zajmujące ogół, aktualne i starajcie się, aby z nimi zapoznała się już przed zebraniem choć część uczestników. W kółkach i sekcjach, jako mniej licznych, dajcie im nawet książkę z tematem do ręki. Niech przegładną, niech sformułują sobie pewien pogląd na daną kwestię. A już koniecznie, niech się dokładnie z tematem zapozna sam przewodniczący, który ma dyskusję pokierować umiejętnie i taktownie.

2) Referenci — opracujcie wasz temat jasno, przejrzysto, interesująco, nie szczydźcie czasu ni pracy, nie piszcie nigdy «na kolanie», a zawsze w zakończeniu, dając rekapitulację całości, poddajcie kilka konkretnych punktów dyskusyj-

nych. (Mały przykład: jest referat o koleżeństwie, punkty dyskusji byłyby: jak stoi na ogół prawdziwe koleżeństwo w naszej szkole, w poszczególnych klasach, w sodalicyi, jakie spotykamy u nas błędy, mylne zapatrywania, wykroczenia; jak im zaradzić, zwłaszcza przez sodalicyę?). Ucząc dyskusji młodszych na ich kółkach, muszą przewodniczący obmyśleć wprost pytania dyskusyjne i przygotować je z góry do postawienia członkom.

3) Kierownicy i sekretarze — ogłaszajcie zebrania i tematy przemówień na kilka dni naprzód, aby się o nich wszyscy mogli zawczasu dowiedzieć i do dyskusji przez lekturę lub prywatne dysputy koleżeńskie przygotować.

4) Przewodniczący zebrań — utrzymujcie w każdej dyskusji pewien logiczny porządek, podając do omówienia najpierw stronę formalną referatu i jej krytykę, potem krytykę treści i poglądów, wreszcie otwórzcie wolną dyskusję nad zagadnieniami poruszonymi przez referenta lub przeznaczonymi przezeń do dyskusji. Ponadto zaś przestudiujcie raz i drugi podręcznik parlamentarnego prowadzenia obrad i uczestniczenia w nich. W miesięczniku naszym z r. 1922/3 znajdziecie cykl artykułów na ten właśnie temat ¹⁾.

Spróbujcie tych kilka uwag wprowadzić w życie, a przesyłając sprawozdania z waszej działalności, zaznaczcie w jednym, dwóch zdaniach, jak się przedstawia u was sprawa dyskusji na zebraniach sodalicyi i jej kólek (sekcji) i podajcie zwięzłe wasze uwagi i spostrzeżenia na ten temat.

1924.

KU PRZEBUDOWIE ZEBRAŃ SODALICYJNYCH

1.

W całokształcie życia sodalicyjnego zajmują zebrania członków niewątpliwie miejsce naczelne. Oczywiście nie przez swoją wartość wziętą bezwzględnie, gdyż tą wartością wyprzedzają je wszystkie akty czy praktyki o charakterze nadprzyrodzonym, a nawet tylko liturgicznym, jak msza święta, sakramenta, adoracje, nabożeństwa, pielgrzymki, ale jako te elementy życia organizacyjnego, w których ono się koncentruje,

¹⁾ W tym zbiorze p. str. 362.

pogłębia, nasświetla i nasila, aby w tym jakby rezerwoarze spiętrzone i sprężone, mogło szukać sobie ujścia w różnorodnych, bujnych i owocnych kierunkach.

Pod tym kątem widzenia patrząc na zebrania sodalicyjne, możemy śmiało zaryzykować twierdzenie, że nimi sodalicja żyje i z ich upadkiem upada.

Stanowisko nasze znajduje pełne potwierdzenie w tak zwanych *Ustawach zasadniczych sodalicji mariańskiej*, które nie tylko każdy ks. moderator winien mieć nieustannie pod ręką, ale których treść powinna stać się duchową własnością każdego przynajmniej członka konsulty, kierownika sekcji (kółka), a o ile możności także każdego wybitniejszego sodalisa. Otóż w tych Ustawach czytamy o zebraniach co następuje: «Sodalicje Mariańskie powinny urządzać swoje zebrania przynajmniej raz na tydzień. Raz obranych zebrań bez szczególnego powodu opuszczać nie należy, nawet w miesiącach letnich, chyba że nieobecność sodalisów lub inna ważna przyczyna każe od tej reguły odstąpić» (rozdz. II, 5) ¹⁾.

To też nic dziwnego, że jeden z najwybitniejszych niemieckich moderatorów, ks. Löffler, nie zawahał się sprawie zebrań poświęcić w jednej ze swych doskonałych rozpraw takich gorących słów: «Zebranie sodalicyjne to święto dla całej rodziny sodalisów. Wspólna modlitwa i pieśni, duchowne czytanie, a potem swobodna dyskusja o sprawach sodalicji. Doprawdy podziw ogarnia, jaka przez to wzajemne zbliżenie i życie się członków sodalicji wywiązuje się głęboka solidarność wszystkich między sobą i wszystkich z sodalicją, jak pierwiastek katolicki wnika w domowe i rodzinne życie, niosąc w nie ziarna pobożności i cnót chrześcijańskich.

Właściwe tętno życia sodalicyjnego stanowią ogólne zebrania wszystkich członków. Skutki ich są zdumiewające.

«Deszcz czy śnieg, burza czy zawierucha... mniejsza o to: dziś zebranie, nikogo brakować nie może! — Po skończonym zebraniu mogą już dla tych ludzi rozpocząć się pracowite dni po warsztatach, pracowniach, salach szkolnych czy biurach...» ²⁾.

¹⁾ P. «Ustawy Zasadnicze Sodalicji», ks. J. Rostworowski T. J.: «Przewodnik sodalicji mariańskiej», Kraków 1927, str. 321.

²⁾ P. ks. Filip Löffler T. J.: «Kongregacja mariańska, jej istota, rzut oka na jej dzieje», «Sodalis Marianus», rok. 1910, str. 292.

Podobnie pisze w doskonałym artykule swoim ś. p. ks. Haduch, jeden z najwybitniejszych znawców życia sodalicyjnego w Polsce.

«Na zebraniach sodalis przekonywa się naocznie, czuciowo, że się tak wyrażę, iż on nie jest sam, ale za nim i przy nim, w każdej dobrej sprawie stoją inni, stoją ich dziesiątki. To daje samowiedzę i poczucie siły. Jeden za wszystkich — wszyscy za jednego. Ale, aby to hasło potęgi przeszło w czyn, nie wystarczy teoria, ono musi mieć grunt realny, a tym gruntem są zebrania. Zabójczy duch miernoty do ducha solidarności nie ma przystępu».

Trafnie wykazując zasadniczą przyczynę rozluźnienia związku z sodalicją i zatory sodalicyjnych ideałów w lekkomyślnym zaniedbaniu i opuszczaniu zebrań, nie waha się stwierdzić w mocnych słowach: «Nieprzesadzonym jest tedy zdanie, że zebrania są tętnem życia sodalicyjnego, są znakiem jej zdrowia lub choroby. Im częstsze są zebrania, tym pełniej, tym głębiej i wszechstronniej płynie to wielkie Boże i apostołskie życie sodalicyjne»¹⁾.

Stąd kontrola obecności bardzo ścisła i bardzo surowa, stąd nawet odrzucanie zgłoszeń do sodalicyj takich członków, którzy z góry wiedzą, że z różnych, może nawet bardzo ważnych, istotnych powodów, będą zmuszeni zebrania sodalicyjne opuszczać, stąd wreszcie usuwanie tych, którzy obowiązek ten zaniedbują.

Dla naszych sodalicyj szkolnych, uczniowskich jest rzeczą jasną, że zarówno wskutek naczelnego obowiązku rzetelnej pracy szkolnej, jak wskutek pewnego przerostu życia organizacyjnego na szkolnym terenie, zebrania sodalicyjne napotykać na dość znaczne trudności, jeśli bez szkody dla uczniów i bez kolizyj z innymi organizacjami mają się zmieścić w ramach szkolnego życia. To też z góry już musimy przynajmniej dla olbrzymiej większości naszych sodalicyj wykluczyć zebrania częstsze, jak raz na miesiąc odbywane (nie wliczam w to oczywiście comiesięcznych, wspólnych, osobnych nabożeństw sodalicyjnych z egzortą ks. moderatora). A jeśli tak, to konieczność wyzyskania tych nielicznych zebrań,

¹⁾ P. ks. Henryk Haduch T. J.: «Zebrania sodalicyjne», «Sodalis Marianus», rok 1913, str. 265.

wyczerpania możliwie do dna wszystkich mogących z nich płynąć korzyści jest oczywista.

Zebrania więc tylko miesięczne i w dodatku bezduszne, beztreściwe, nieprzygotowane w najdrobniejszych szczegółach, nieobmyślane z miłością i troską najserdeczniejszą o ich przebieg, wynik, owoce — to parodia zebrań, to ciężka krzywda dla życia sodalicyjnego, jego poziomu i duchowego wyrobienia sodalisów.

Tym więcej, gdy idzie o zebranie sodalisów-uczniów. Dla tych każde zebranie musi być tak postawione, aby budziło nie tylko żywe zainteresowanie członków, ale było nawet pewną przyjemnością szkolnego i organizacyjnego życia, aby wartością swoją przewyższało niewątpliwie zebrania innych organizacyj. Zebranie sodalicyjne, na które wpełzła nuda, jest stracone, a większa ilość takich nudnych, suchych zebrań zabije sodalicję.

Jeśli dla zebrania chłopiec opuszcza dużą przyjemność towarzyską czy sportową, jeśli wyrzeka się ciepłego w południe posiłku, jeśli mi przychodzi czy przyjeżdża na zebranie z miejscowości odległej o kilka kilometrów, jeśli po zebraniu ukradkiem spędza noc w szkolnej sali na twardej ławie, bo mu już wracać wieczór w zimie do domu jest niemożliwością (cytuje fakt dla przykładu, ale oczywiście nie zalecam z różnych względów), jeśli wraca piechotą 5, 6, 8 km — to mam przekonanie głębokie, że zebrania nie są stracone dla sodalisów, a duży trud włożony i stale wkładany w ich przygotowanie nie idzie na marne.

I oto pytanie zasadnicze i niezmiernie ważne, jak zorganizować zebranie sodalicyjne, aby przy maximum włożonej w nie pracy, przyniosło dla członków maximum korzyści?

Postaram się na to pytanie w dalszym ciągu mych uwag odpowiedzieć.

2.

Jakkolwiek Ustawy sodalicyjne podają pewne ramy dla zwyczajnego zebrania miesięcznego członków, to przecież każdemu wiadomo nazbyt dobrze, że są to tylko i wyłącznie ramy, a moderator i konsulta poszczególnych sodalicji mają bardzo dużą swobodę w ich wypełnianiu. Z drugiej jednak strony wrodzona każdej chyba organizacji na świecie skłon-

ność do pewnej mechanizacji życia i pracy, czy do rutyny, sprawiała i sprawia, że i zebrania nasze sodalicyjne często i chronicznie chorują na brak żywości, świeżości myśli i zagadnień, owocności dyskusji, a wady te dla sodalicji wprost zabójcze, jak widzieliśmy z rozważań w poprzednim artykule, zakorzeniają się zwykle tak silnie i tak głęboko, że usunięcie ich staje się czasem wprost niemożliwością. Jak na tym cierpi cała sodalicja, nie potrzeba chyba dowodzić.

Jeśli dziś idzie mi, jak w tytule zaznaczyłem o «przebudowę zebrań sodalicyjnych», to konkretnie omówić z wami pragnę dwa zasadnicze na tym terenie zagadnienia. Pierwsze z nich odnosi się do członków uczestniczących w zebraniu, drugie zaś do samej struktury zebrania.

Pomówmy dziś nieco obszerniej o pierwszym.

Wobec tego, że sodalicja mariańska uczniów szkół średnich w Polsce w przygniatającej większości obejmuje młodzież gimnazjalną (83%), bo seminaria nauczycielskie są już w stanie likwidacji (13%), a średnie szkoły zawodowe obejmują tylko 3%, oprę się w tych uwagach wyłącznie na stosunkach gimnazjalnych. Wprawdzie w najbliższej przyszłości ulegną one poważnej zmianie przez aktualną już reformę szkolnictwa i stworzenie liceów, ale sprawa ta zasadniczo w ustroju sodalicji nie odegra, jak z dalszego ciągu moich rozważań wynika, jakiejś przełomowej roli, co nie znaczy bynajmniej, by poważnie nie wpłynęła na tok, treść i poziom pracy sodalicyjnej.

Otóż w tej chwili ciągle jeszcze stosunki na terenie gimnazjum układają się dla sodalicji w ten sposób, że przeciętnie i normalnie lepsi, pobożniejsi uczniowie nasi, którzy w klasach niższych I—III (dawnego typu) przeszli wstępne przygotowanie w kółkach młodszych (zwykle pod wezwaniem św. Stanisława Kostki) w klasie IV-tej w II półroczu wchodzi jako aspiranci w szeregi sodalicyjne. Sodalicja zatem liczy w swym gronie aspirantów (kl. IV i V), kandydatów (kl. VI) do maja, względnie do grudnia, w końcu sodalisów z kl. VII i VIII. Praktyka wykazała bardzo silnie konieczność opóźnienia uroczystego przyjęcia do sodalicji (dyplom, medal, odznaka) dla dokonania możliwie ścisłej selekcji, o ile idzie o członków rzeczywistych (sodalisów). Ten stosunek klas przekładając na liczby wieku, otrzymalibyśmy w sodalicji młodzież

mniej więcej od 13^{1/2} do 19 roku życia. Rozpiętość znaczna, nie waham się powiedzieć: ogromna i dlatego w bardzo wysokim stopniu utrudniająca tak głęboką i subtelną pracę, jak właśnie praca sodalicyjna. Ponieważ zaś praca ta, jak w pierwszym rozdziale wskazałem, ogniskuje się w bardzo wysokim stopniu na zwykłym zebraniu sodalicyjnym, przeto z natury rzeczy ono w pierwszym rzędzie padało ofiarą tego, że tak powiem, anormalnego składu członków sodalicyji, więc i uczestników zebrań.

Jest rzeczą jasną, że idąc za przyjętym już od chwili powstania sodalicyji w danym gimnazjum zwyczajem, nic łatwiejszego, jak co miesiąc ogłaszać obowiązkowe zebranie wszystkich jej członków. Mniejsza lub większa karność danej organizacji sodalicyjnej sprawi, że ostatecznie stawią się, nawet w poważnym procencie na zebranie. Nie będę też nigdy twierdził, że z tego zebrania nie odniosą pewnych, może nawet nie małych korzyści, ale nam przecież idzie o to i iść musi, aby odnieśli korzyść pełną, o ile to możliwe stuprocentową!

Różne sodalicyje różnie (w szczegółach) kształtują swoje zebrania miesięczne, przecież jednak bodajże nie ma takiej, któraby w jego zwykły porządek nie wprowadziła referatu (czy pogadanki), dyskusji i przemówienia czy uwag (resumé) ks. moderatora.

Jeśli zaś stwierdzimy, zda się ponad wszelką wątpliwość, że ciągle zapełnianie zebrań uczniowskich referatami (poza ściśle naukowymi pracami kółek w specjalnych dziedzinach wiedzy) już mocno nudzi i zraża starszych chłopców, to cóż dopiero powiedzieć o kandydatach i aspirantach, których pięć lub cztery, a choćby i trzy lata rozwoju i umysłowego i moralnego dzieła od starszych sodalisów. Ogromna większość młodszych wprost nie słucha uczonego (jak twierdzą) i nudnego (jak czują) referatu, wzdychając, aby referent co rychlej skończył, licząc każdą odwróconą kartkę i pragnąc przyniknąć ilości dalszych jeszcze zapisanych i do odczytania pozostałych stronic. Z tego samego powodu, jak i dla zrozumiałej w takim gronie u nich nieśmiałości, żaden młodszy nie odważa się odezwać w dyskusji, czyli po prostu traci najistotniejszą część zebrania, na które przyszedł nieraz może z dużym wysiłkiem i ofiarą z czasu i trudu (daleko mieszkający, dojeżdżający), albo też lekkomyślnie opuszcza po prostu ze-

branie, mówiąc sobie w duchu (czy nie słusznie?): «i tak niewiele straciłem».

Otóż sodalicja mariańska, jako organizacja bardzo poważna, idąca w głąb młodych dusz, nie powinna bezwarunkowo na takie straty pozwalać. Jeśli istotna część jej życia i pracy, jaką jest zebranie miesięczne, dla kilku choćby tylko (jeśli nie więcej) członków właściwie przepada, to należy wyczerpać wszystkie siły, aby straty te albo całkowicie usunąć, albo przynajmniej do minimum sprowadzić.

Dziś sprawa ta, jak wyżej wspomniałem, interesuje nas ze względu na skład uczestników zebrania, a przeto rzecz jasna, nie można z naszkicowanej wyżej, trudnej sytuacji znaleźć innego wyjścia, jak zmiana składu członków zebrań, innymi słowy, rozbitcie ich na dwie grupy: starszych i młodszych i na dwa, odrębnie zwoływane, zwyczajne zebrania miesięczne.

Z niezmiernie interesujących (dla umiejących głębiej czytać!) sprawozdań drukowanych w każdym numerze miesięcznika naszego, łatwo się i nieraz już można było dowiedzieć, że niejedna sodalicja związkowa takiego podziału zebrań próbowała¹⁾. Oczywiście nie podziału na t. zw. «kółka młodszych» (z kl. I—IV) i właściwą sodalicję mariańską starszych (V—VIII), ale w łonie samej już sodalicji. Zdarzało się to jednak tak rzadko i tak niemal zupełnie bez określenia stron dodatnich i ujemnych tej zmiany, że niestety na tej podstawie trudno było mi coś konkretnego na ten temat napisać.

To jedno jest pewne, że obok wielkich i zasadniczych korzyści, o jakich z naciskiem wyżej wspomniałem, wysunie się tutaj także cały szereg poważnych trudności.

Pierwsza zaraz z brzegu i zupełnie oczywista, to wielkie pomnożenie pracy ks. moderatora. Już nie tylko przez odbywanie dwóch miesięcznie zebrań zamiast jednego, ale co znacznie ważniejsze i cięższe, przez ich dokładne obmyślenie i przygotowania. To też nie taję wcale, że te podwójne zebrania tam tylko będą możliwe, gdzie moderator, obliczywszy się z czasem i siłami, będzie mógł ten nowy ciężar na swoje barki przyjąć i stale mu już podolać.

¹⁾ Przeprowadziły dotąd sodalicje: Kielce I, Warszawa I, Zakopane, Inowrocław.

Inna trudność również poważna, to niemożliwienie pewnego wychowawczo-sodalicyjnego wpływu starszych na młodszych, który w wielu wypadkach niewątpliwie działał bardzo dodatnio przez śmiałe wygłaszanie w referatach i dyskusjach poglądów katolickich, przez ujawnianie przywiązania do sodalicyj, zaufania do ks. moderatora, przez wpajanie form parlamentarnego obradowania i dyskutowania. Nie przeczę bynajmniej doniosłego znaczenia tych walorów zebrań ogólnych (wspólnych), boleję nad ich utratą na skutek podziału i uważam, że tę szkodę zrównoważyć może jedynie bardzo wysoki poziom i doskonale przygotowanie zebrań rozdzielonych.

Inną trudność w niektórych szkołach bardzo poważną, będzie stanowić samo wyszukanie wolnego dnia i odpowiedniej pory na to drugie zebranie. Przy niezaprzeczonem przeroście życia organizacyjnego w naszych gimnazjach i nadmiarze przeróżnych zajęć w godzinach pozaszkolnych, może ta trudność okazać się istotnie bardzo dużą i niełatwo będzie ją zarządowi sodalicyj przewyciężyć. Wynik tych usiłowań zależeć tutaj będzie od szeregu czynników raczej nieuchwytnych (osobista pozycja ks. moderatora w szkole, ilość sodalisów i ich znaczenie w zarządach poszczególnych organizacyj, wpływ i znaczenie sodalicyj w szkole w ogóle itp.), których tu ani rozważać, ani tym mniej rozwiązywać nie mogę.

Spotykałem się także ze strony starszych chłopców z zarzutem natury, że tak powiem, uczuciowej. Oto liczne zebranie członków ze wszystkich klas działa samą ilością, siłą, nastrojem. Jest w tym pewna racja, ale jakkolwiek nie zwykły jestem lekceważyć pierwiastki uczuciowej w pracy organizacyjnej, przecież zdaje mi się, że ta trudność z wymienionych dotąd jest może najmniejszej wagi i da się w pewnej mierze rozwiązać przez wspólne całej sodalicyj nabożeństwa, gremialne komunie św. miesięczne, nie wspominając już o takim dorocznym walnym zgromadzeniu, opłatku czy święcynym, czy wreszcie publicznych występach całej sodalicyj na procesji Bożego Ciała, w jakiejś imprezie, pielgrzymce, wycieczce itd.

I jeszcze jedna trudność (jak widać nie brak ich w tym zagadnieniu). Oto zdarza się, że do sodalicyj zgłosi się ktoś

dopiero w VI, a może nawet i w VII klasie. Zostaje więc aspirantem, potem kandydatem sodalicii. Na które zebrania ma uczęszczać? Może młodszych, bo tam są niemal wyłącznie aspiranci i kandydaci — ale on poziom zebrań tych swym wiekiem i rozwojem przerasta. Więc?? Nie ulega wątpliwości, że należy go przeznaczyć na zebrania starszych, lecz dopilnować, by jak najdokładniej zaznajomił się z ustawami sodalicii, a może nawet z «Przewodnikiem» ks. Rostworowskiego.

W zestawieniu końcowym pożytków i braków nie waham się bez zastrzeżeń przechylić na stronę podziału zebrań. Nie waham się tym więcej, że od dwóch lat przeprowadziłem go w mojej sodalicii i stwierdziłem na mocy doświadczenia przewagę pierwszych nad drugimi.

Gdzie to więc tylko możliwe, zalecam z całym naciskiem podzielenie zwyczajnych, miesięcznych zebrań sodalicyjnych, choćby rodzajem próby na przeciąg jednego roku, i jestem pewien, że w ogromnej większości wykażą one już po kilku miesiącach wyraźnie dodatnie rezultaty.

Jakie? Pragnąc szczegółową odpowiedź na to pytanie zostawić każdej z osobna sodalicii, która zgodzi się na taką próbę, odpowiem tutaj tylko w najogólniejszym zarysie.

Treść zebrań zaktualizuje się dla członków, nabierze rumieńców życia, straci swą suchość i nudę. W ślad za tym wzrośnie więc i wpływ sodalicii na członków i bardzo wydatnie poprawi się frekwencja zebrań. Ożywi się niewątpliwie dyskusja i wciągną się do niej powoli nawet najbardziej «niemi» członkowie. Zebrania młodszych pozwolą na systematyczne przerobienie z nimi w formie pogadarek czy dyskusji elementów ducha i życia sodalicyjnego. Jednym słowem, zebrania poczną przynosić realny pożytek i wywierać wpływ, którego może dotąd albo wcale nie miały, albo miały tylko w bardzo ograniczonej mierze.

I może wtedy dopiero staną się naprawdę motorem życia i terenem wyrobienia sodalicyjnego w naszych mariańskich organizacjach.

3.

Omówiwszy już skład uczestników zebrania sodalicyjnego, przejdziemy z kolei do rzeczy najważniejszej, do jego treści.

Gdy o treści mowa, niewątpliwie każdemu z mych czytelników staje niemal spontanicznie w oczach ów stary, jak świat schemat zebrania organizacyj ideowych: protokół, referat, dyskusja, sprawy bieżące, zamknięcie zebrania. Czasem... no czasem jeszcze jakieś urozmaicenie. Odczytanie ciekawszego artykułu z prasy katolickiej, może jakaś deklamacja, może skrzynka zapytań. Ale na ogół — wszyscy to wiemy — poza dyskusją toczoną zwykle przez tych samych kilku słownych, mniej lub więcej wygadanych szermierzy, przeważa w większości zebranych całkowita bierność, czasem może nuda i zniechęcenie — zwłaszcza, gdy, jak w pierwszej pogadance podkreśliśmy, udział w zebraniu jest dla nich połączony ze znacznym wysiłkiem czy ofiarą.

Oto, co trzeba koniecznie zmienić!

W zebrania nasze sodalicyjne trzeba wpuścić silny strumień aktywności, czynnego udziału możliwie wszystkich członków; wszystkich zajęć, zainteresować i zagrzać.

Jak dojść do takiej przebudowy?

Przyznać musimy, że w organizacjach katolickich Zachodu zrozumiano już dawno tę konieczność, metody zebrania zmieniono gruntownie i bierność słuchania przepędziwszy za siódmą rzekę, zdołano młodzież zorganizowaną niejako zmusić moralnie do osobistego przejęcia się zebraniem i dyskusją.

Metoda ta, zwana metodą «pogadank ankiety» dała tam znakomite rezultaty, dotarła też niedawno i do Polski i zapaściła już wcale silne korzenie w naszych S. M. P. (Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej), które — przyznać to trzeba — nieraz już umiały w swych pracach organizacyjnych korzystać z najlepszych wzorów zagranicznych. Kto uważnie i stale czyta ich organ «Przyjaciel Młodzieży» (względnie dla żeńskich: «Młoda Polka»), mógł się o tym dowodnie przekonać.

W poprzednim roczniku naszego miesięcznika zwróciłem w dziale: Nowe książki i wydawnictwa — uwagę naszych sodalicyj uczniowskich na doskonale broszurki wydane właśnie wówczas na ten temat przez Zjednoczenie S. M. P. w Poznaniu. Nie wiemy oczywiście, czy i w jakim stopniu sodalicyje z tych prac skorzystały, ale jasnym jest dla mnie, że sama sucha recenzja w rzeczy tak poważnej i trudnej nie wystarczy.

I dlatego dziś, jedynie powołując się na nią, pragnę sa-

mej sprawie poświęcić chwilę dłuższej i głębszej uwagi. Miałem ten zamiar już od dawna, ale nie chciałem być gołosłownym. Chciałem sodalicjom naszym służyć chociaż małym materiałem, opartym już na pewnym doświadczeniu. Dziś mam za sobą szereg pogadań ankietowych, przeprowadzonych na zebraniach starszego (VII, VIII kl.) i młodszego (V, VI kl.) oddziału sodalicji zakopiańskiej, mogę przeto teorię ilustrować praktyką i tak może łatwiej trafić do chętnych i pragnących iść za nowymi myślami sodalicji uczniowskich.

Wspomniane wyżej broszurki, do których uważnego przeczytania radbym bardzo i czcigodnych księży moderatorów i prezesów sodalicji naszych zachęcić, niezależnie od krótkiego ich tu omówienia, to Felicji Żurowskiej: «Metoda pogadań ankietowych» i te same autorki: «Kółka wychowawcze w S. M. P.»¹⁾). Zwłaszcza pierwsza z nich zasługuje bezwzględnie na bliższe studium i ona też głównie dostarczyła mi wątku do teoretycznej części dzisiejszego artykułu.

Jeśli autorka mówi w niej o metodzie pogadań ankietowych, to ma najzupełniejszą rację. Poznanie bowiem i przyswojenie sobie możliwie najlepsze całej metody postępowania i pracy w tej dziedzinie zapewnić może jedynie jej powodzenie.

Myliłby się ten, kto by punkt ciężkości pogadań umieszczał w samym zebraniu i dyskusji jego uczestników. Przeciwnie. Punkt ciężkości leży w przygotowaniu zebrania. I to trzeba bardzo mocno podkreślić. Przygotowanie to zaś ma jakby dwa etapy.

Pierwszy — to dokładne przemyślenie tematu przez kierownika, ujęcie go i na pewien czas przed właściwym zebraniem podanie czy przedłożenie członkom; drugi — to praca przygotowawcza członków, którzy na zebranie przychodzą już z możliwie bogatym materiałem obserwacyjnym i dyskusyjnym.

Pomówmy o pierwszym.

Ksiądz moderator, bo oczywiście niemal wyłącznie o niego tu idzie, musi dobrze zorientować się w wyborze tematu pogadanki, tematu aktualnego, żywotnego, interesującego, jeśli nie wszystkich, to przynajmniej prawie wszystkich uczestni-

¹⁾ Poznań 1932, nakład Zjednoczenia S. M. P., do nabycia Księg. «Ostoja» Poznań, Poczta 15.

ków zamierzonego zebrania. Takich tematów życiowych jest oczywiście mnóstwo; nie trzeba ich szukać daleko, są pod ręką i może właśnie dlatego tak bardzo uchodzą naszej uwagi. A jakież w nich tkwi bogactwo treści, jaka żywotność, jaka wartość kształcąca i wychowawcza!

Gdy temat już schwycony, najlepiej na gorąco, trzeba go ująć w pytania, w ankietę (enquête — badanie, dochodzenie). Nie trzeba się tym zrażać, że struktura ankiety będzie na pozór schematyczna, zawsze ta sama. To ramy tylko, które ma wypełnić wiecznie żywe, bujne życie, tak chętnie je rozsadzające i poza nie się przelewające.

Nie zapominajmy ani na chwilę, że celem ankiety jest wyrobienie należytego poglądu na kwestię i przekonanie o niej, a zaraz potem wyrobienie silnego aktu woli do wprowadzenia zasady w czyn i życie. Jedno i drugie na wyraźnej zasadzie katolickiego poglądu na świat i katolickiej etyki.

Dyspozycja pogadanki zatem wspierać się będzie na 5 zasadniczych punktach przekazanych członkom do przeprowadzenia ankiety ¹⁾.

Oto one:

1. Zebranie i omówienie **faktów** życiowych,
2. Zbadanie **przyczyn** tych faktów,
3. Wyśledzenie ich **skutków**,
4. Wyszukanie **sposobów zaradczych** przeciw złemu, a wspomagających dobro,
5. Powzięcie **postanowień**, osobistych i wspólnych (organizacyjnych).

Zbieranie faktów i zjawisk życiowych związanych bezpośrednio z tematem pogadanki jest oczywiście dla niej punktem wyjścia. Zarówno głęboka refleksja osobista, jak lektura, jak obserwacja, rozmowa, wszelkiego rodzaju stosunki z ludźmi mają tu dostarczyć przeobfitego materiału, zróżniczkowanego wysoce w zależności od struktury psychicznej, umysłowej, od społecznego położenia i osobistych stosunków każdego z członków przysłego zebrania.

Rzecz jasna, że dużo tu zależeć będzie po prostu od ich

¹⁾ Oczywiście nie idzie tu o żadną formalną «ankietę», co zresztą jasno z następnych uwag wyniknie.

dobrej woli, od przejścia się tematem, od wysiłku w kierunku zebrania naprawdę wartościowego materiału. Ale też jasnym, ile tu można tego bogactwa apercpepcji nagromadzić i ile żywotnych kwestyj dotknąć i poruszyć.

Już więcej wnikliwości i pewnego pogłębienia wymagać będzie punkt drugi i trzeci. Ale w tym znów właśnie wysoce kształcąca i wyrabiająca wartość metody pogadanek ankietowych.

Młody chłopiec zebrać ma duży materiał drogą osobistego namysłu i obserwacji i musi teraz sięgnąć do prawa przyczynowości, aby sobie, a potem także i innym, uświadomić przyczyny zauważonych przez siebie i zdobytych zjawisk, posegregować je na dobre i złe, pożyteczne i szkodliwe, rozpatrzyć dokładnie skutki jednych i drugich i szukać potem dróg, sposobów do usunięcia zła, a utrwalenia dobra w sobie i dookoła siebie.

Praca ta konsekwentnie musi zakończyć się zdecydowanym aktem woli, postanowieniem praktycznym, które będzie mieć nieocenioną wartość, jako rezultat całej pracy przygotowawczej i końcowej już na zebraniu.

Trzeba mi na dziś kończyć, ale już dziś, w tym ogólnym poglądzie chciałbym od razu dać naszym sodalicjom jakiś konkretny przykład takiego ankietowego tematu. Z pogadań już w mojej sodalicji (oddział starszych) przeprowadzonych wybieram ze względu i na aktualność samego zagadnienia i na pomyślny rezultat całego zebrania, pogadankę właśnie z przed roku p. t. *Sodalis a życie towarzyskie i karnawał*.

Oto jej pięć zasadniczych punktów:

1. **Fakty:** Czy nasza młodzież chętnie bawi się w towarzystwie? Jak się bawi? Z kim najlepiej? Towarzystwo męskie czy mieszane? Jak ocenia zabawy towarzyskie, taneczne? Jaką do nich przykładą wagę? Jakie upatruje cele rozumne? A ty czy ich pragniesz, nie lubisz, są ci obojętne? Co o nich mówią twoi rodzice, koledzy? Lepiej wcześniej czy później zacząć «bywanie» w towarzystwach?

2. **Przyczyny:** Dlaczego lubi, wzgl. nie? Dlaczego korzyści, szkody? U jednych brak umiarkowania, u innych obojętność, stronienie? Czy tu rolę odgrywa brak pieniędzy, obycia towarzyskiego, powodzenia, wrodzona nieśmiałość, zazdrość?

3. S k u t k i: Jaki wpływ ma życie towarzyskie umiarkowane, nadmierne, zaniechane, dla życia w młodości i dla rozwoju charakteru, a dla dalszej przyszłości? Jakie grożą niebezpieczeństwa?

4. Ś r o d k i z a r a d c z e: Jeśli są skutki ujemne, jak im zaradzić u siebie, u drugich? Kto i co może tu oddziaływać? Kiedy, przy jakiej sposobności, jaką drogą?

5. P o s t a n o w i e n i e: Jak się mają sodalisi zapatrywać na życie towarzyskie i zabawy karnawałowe? Zupełnie zaniechać czy używać umiarkowanie? Jakie konkretne postanowienia, indywidualne i społeczne pod kątem katolickiego ujęcia tej sprawy?

4.

Jakże przedstawia się praktyczne i techniczne przygotowanie i przeprowadzenie «pogadanki ankietowej»?

Normalnie biorąc, program i tematy pogadank powinny być przygotowane z góry na cały rok, jak to jest, a przynajmniej być winno i z tematami referatów. W sodalicy zakopiańskiej t. zw. «komisja referatowa» powoływana stale w połowie drugiego półrocza do opracowania projektu planu pracy na następny rok szkolny ustaliła dla oddziału starszych (kl. VII—VIII) na 10 ogólnych zebrań miesięcznych w ciągu roku, na przemian 5 referatów i 5 pogadank. Zarówno dla referatów, jak dla pogadank zaprojektowała łącznie około 30 tematów tak, aby «programowe» posiedzenie konsulty w maju miało odpowiedni wybór.

Z chwilą, gdy konsulta pod przewodnictwem ks. moderatora zdecydowała program zebrań w następnym roku szkolnym i zaprojektowała przyszłych referentów, prezes sodalicy przeprowadza z nimi rozmowy, po uzyskaniu zaś ich ostatecznej zgody podaje do podpisania deklarację, zawierającą własnoręcznie podpisane zobowiązanie się do opracowania referatu na wskazany temat, oraz zobowiązanie oddania referatu zupełnie wykończonego i przepisane czytelnie do rąk ks. moderatora w dniu oznaczonym na deklaracji (najlepiej oznaczyć tę datę na 4 tygodnie przed terminem danego zebrań, aby sodalisi mogli się z nim zapoznać wcześniej i przygotować do dyskusji). Deklarację wystawia się w 2 egzemplar-

rzach (przez kalkę) jeden wręcza się referentowi, drugi zostaje w przechowaniu u ks. moderatora.

Ciężar obmyślenia i szczegółowego przygotowania «pogadanki ankietowej» (na drugich 5 zebraniach miesięcznych) spada oczywiście — i niestety — na samego moderatora.

Ponieważ jednak temat jest z góry ustalony (naturalnie może on ulec zmianie w ciągu roku, jeśli zajdzie coś aktualnego) nie przedstawia to większych trudności. Przygotowanie zatem polegać będzie na ujęciu całego tematu w pewien schemat rozdzielony na pięć zasadniczych punktów dyskusyjnych. Wzór takiego schematu podałem w poprzednim artykule. Kilka innych już w Zakopanem przedyskutowanych z dobrym wynikiem dołączę na zakończenie tych uwag.

Schemat ten podyktuje ks. moderator członkom sodalicyj na zebraniu poprzedzającym o miesiąc «pogadankę ankietową». Należy im przeto zapowiedzieć, by na zebranie przynieśli ołówki i papier do zanotowania schematu.

I teraz rozpocząć się winna samodzielna praca członków nad przygotowaniem punktów ankiety. Jeśli sodalicyja poprzednio już uchwaliła jako *conditio sine qua non* przesunięcia aspiranta na kandydata, a dopuszczenia kandydata do sodalicyjnego ślubowania — osobisty, żywy udział w dyskusji na zebraniach, każdy z członków będzie się starał sumiennie do niej przygotować, opracuje przeto pogadankę ankietową według swych najlepszych sił i możliwości, i będzie miał niewątpliwie wiele do powiedzenia na zebraniu.

Praca ta, to przede wszystkim sama, ściśle wzięta ankieta, czyli wywiad. Mając w ręku podyktowane przez moderatora pytania, zwłaszcza odnoszące się do pierwszego punktu «fakty», a przed sobą cały miesiąc czasu, sodalis nasz przez głębszy namysł nad samym sobą, przez obserwację innych (rodziny, kolegów), przez umiejętne pytania, rozmowy i dyskusje, przez lekturę, w końcu przez osobiste, krytyczne refleksje przygotowuje sobie bogaty i interesujący materiał ankietowy.

Dla przykładu weźmy wspomnianą w poprzednim artykule pogadankę na temat: *Sodalis a życie towarzyskie i karnawał*. Ileż tam poglądów, opinij, upodobań, zjawisk można nagromadzić z życia własnego, rodziny, klasy, towarzystwa, w którym bywamy! Cóż dopiero, gdy na taki wywiad złożą

się dane kilkunastu czy kilkudziesięciu jednostek, różnych temperamentów i charakterów, różnych sfer i środowisk społecznych.

Zebrawszy dużą ilość faktów, stara się chłopiec je przemyśleć i jakoś uporządkować. Odrzucić nic nie mówiące, zachować w pamięci i notatce bardziej charakterystyczne i w treść bogatsze, a potem zastanowić się nad ich przyczynami i skutkami, obmyśleć jakich środków użyć dla propagowania dobrych, a zapobieżenia złym i jakieby najwłaściwsze były do powzięcia postanowienia...

W ten sposób kilkutygodniowa praca przygotowawcza byłaby ukończona.

Nadchodzi dzień wyznaczony na zebranie sodalicyjne. Odbywa się ono możliwie nie w ławkach, lecz n. p. przy dużym stole, tak, aby dyskutujący mogli się wzajemnie widzieć i mieć pełne wrażenie przyjacielskiej pogadanki. Przy stole też zajmuje miejsce ks. moderator, który osobiście obejmuje przewodnictwo zebrania, gdyż i ono musi spoczywać w rękach wytrawnych, doświadczonych. Od kierownictwa, od prowadzenia dyskusji zależy w bardzo dużej mierze owocność i wartość całości. Czy to przyjdzie sprostować jakiś błędny pogląd, czy skierować dyskusję na tor właściwy, czy uniknąć szablonu i połączyć ze sobą dwa punkty schematu, czy pominąć rzeczy drugorzędne, czy wreszcie dopomóc do wyprowadzenia konkretnych wniosków i postanowień, wszędzie i zawsze poważny, serdeczny głos ks. moderatora odzywa się z całą gotowością i roztropnością i z tym odczuciem celowości dysputy, którą trudno osiągnąć nawet najbardziej wyrobionym sodalisom.

Wypowiada się tyle zdań, nieraz sprzecznych ze sobą, przytacza się tyle zjawisk, ocenia się tyle rodzajów postępowania..., któreż są słuszne, etyczne, szlachetne i dlaczego? — a które nie i z jakich powodów? — oto zasadniczy cel pogadanki, kierownik jej zaś ma pomóc członkom do wytworzenia sobie możliwie jasnego, zgodnego z zasadami etyki katolickiej poglądu na daną sprawę. Ma naświetlić trudności, a pouczyć, jak usuwać przeszkody, zachęcić do konkretnego postępowania w myśl zasady moralnej i powoli doprowadzić do powzięcia postanowień, które winny być wypadkową i rezultatem tej całej indywidualnej i zbiorowej, przez pełny miesiąc trwającej pracy.

Praktyczne postanowienie zatem i czyn za nim idący — oto cel, do którego zmierza każda «pogadanka ankietowa».

Jakaż tu wielka różnica w porównaniu z referatem. Tam praca jednego, lub co najwyżej kilku, stale tych samych dyskutujących — tu praca wszystkich. Tam dużo, nieraz bardzo dużo bierności, tu aktywność zainteresowania, jeśli nie wszystkich, to dużej większości zebranych. Tam najczęściej bezpłodność — tu bogaty, samodzielnie wypracowany owoc etycznego poglądu katolickiego i idącego po jego myśli praktycznego postanowienia.

Czy jednak ta forma zebrań sodalicyjnych nie nasuwa pewnych obaw, zastrzeżeń i trudności? Ależ naturalnie! — jak wszystko, co jest ludzkim, ale o nich już na następnym raz.

5.

Z kolei mamy dziś pomówić o pewnych obawach, zastrzeżeniach i trudnościach, jakie ze swej natury nasuwa nam metoda pogadań ankietowych i ankietowe zebranie sodalicyjne. Jest ich kilka.

Pierwsza dotyczy samego tematu. Musi on być najściślej związany z życiem młodzieży, więc z tym, co ona sama przechodzi, co może zaobserwować i przemyśleć. Musi być przystosowany do środowiska, w którym żyje i poziom, jakiego dosięga jej rozwój intelektualny i moralny. Tematy abstrakcyjne, niezyciowe, nieaktualne nie tylko nie rozwiną ożywionej dyskusji, ale mogą od niej wprost odstraszyć. To samo trzeba powiedzieć o tematach zbyt trudnych. Jeśli chłopiec nie może sam przeniknąć zasadniczej idei, jeśli nie rozumie tematu, jeśli jego dotychczasowe życie nie może mu dostarczyć odpowiedniego materiału do przygotowania do pogadanki — znak to nieomyślny, że temat był za trudny, nieodpowiedni dla uczestników zamierzonej dyskusji.

Dalszą trudność i poważną obawę widzę w samym zbieraniu materiału ankietowego. Trzeba chłopców bardzo usilnie przestrzec przed obserwacjami drugich, zwłaszcza starszych, wiodącymi do możliwego hiperkrytycyzmu, o który w młodym wieku tak niesłychanie łatwo, a którego skutki przy nadwrażliwej spostrzegawczości młodych mogłyby być wprost oplakane dla nich samych i dla ich zdrowego rozwoju

wewnętrznego. Trzeba również przestrzec przed formą natrętnego, zbyt wnikliwego wywiadu u drugich, zwłaszcza jeśli chodzi o kwestie drażliwe i delikatne, których sondowanie mogłoby wywołać nieuzasadnione, ale jakże łatwo się zjawiające podejrzenia o rzekomej, ukrytej tendencji sodalicyjnego «wywiadowcy». Zwłaszcza gdyby ten wpadł w wielki zapal ankiety i chciał osiągnąć «rekord» w mnogości i różnorodności zebranego materiału.

To samo dotyczy przebiegu pogadanki, która przy pominięciu odpowiednich ostrożności łatwo mogłaby się przemienić w pospolite obgadywanie kolegów czy znajomych, a możemy sobie wyobrazić, jaką by ten fakt wyrządził samym sodalisom szkodę duchową i jaką by wywołał wrzawę, jakie ataki, gdyby przedostał się do wiadomości szkoły i okazał się (niestety!) faktem rzeczywistym. To też zastrzeżenie pełnej dyskrecji odnośnie do wypowiedzi uczestników będzie w każdym razie bardzo wskazanym przeciwdziałaniem możliwym i przewidzianym zarzutom.

Nie kryję też szczerzej obawy o rozbudzenie szkodliwego gadulstwa wśród naszych ankietowców. Jeśli tak bardzo zależy na tym, by każdy głos zabierał, jeśli mamy mówić dużo, dużo — no! to mówmy, choćby «przelewać z pustego w próżne». Ilość zgłaszających się do głosu będzie przecież imponująca! Zdaje mi się, że jednak na to łatwo będzie znaleźć delikatny, ale sztuczny hamulec.

I jeszcze w tej nielitościwej, ale zupełnie obiektywnej krytyce metody ankietowej upatruję pewne niebezpieczeństwo dla niej samej, a więc i dla wszystkich uczestników w wypadku, gdyby nieumiejętne kierownictwo dopuściło do powstania bezdusznego szablonu, zabójczego dla wszelkich przejawów życia! Stereotypowe powtarzanie punktów, mechaniczne przestrzeganie ich zakresu i następstwa, tłumienie dyskusji jedynie dlatego, że «teraz mówimy o drugiej części trzeciego punktu», to wszystko wnet zamroziło by wszelką swobodę tej przyjacielskiej rozmowy i zraziło by do niej wszystkich uczestników...

I jeszcze jedno — darujcie, że się tak rozwodzę — ale jakże pominąć niebezpieczeństwo płynące z braku serdecznej wyrozumiałości bardziej wprawionych w tej metodzie członków dla początkujących, bardziej inteligentnych dla mniej

rozwinętych, bardziej wygadanych dla małomównych, z trudem i niepotocznie się wyrażających. Pamiętajmy, pamiętajmy, że pogadanki nasze są szkołą braterskiej wymiany myśli, szkołą dyskusji, odwagi publicznego odezwania się ze swym zdaniem nawet ze strony najbardziej nieśmiałych i zawsze milczących kolegów, a wtędy z niekłamanym zainteresowaniem, serdecznym nadsluchiowaniem, uwagą i skupieniem wyjdziemy im naprzeciw i może oddamy przez to wielką, życiową, koleżeńską usługę!

No! powie teraz niejedyn z was — cóż to za mnóstwo trudności wytoczył ks. prezes przeciw metodzie, którą nam poprzednio tak gorąco zalecał! To już może lepiej pozostać przy starych, poczciwych referatach! Niech będzie wszystko po dawnemu!

Nie! Kochani!

Przytoczenie trudności i obaw, to tylko uprzedzenie niebezpieczeństwa i ostrzeżenie przed nim.

Wszystkie te obawy usunąć, zastrzeżenia rozwiązać, niebezpieczeństwa pomniejszyć musi kierownik pogadanki. Książd moderator, doświadczony i wytrawny znawca życia i ludzi, zapewni jej uniknięcie najeżonych raf podwodnych i doprowadzi spokojnie i szczęśliwie do końca. Zmęczy się przy tym nie mało, ale plon, jaki pocnie wschodząc w sodalicji, ozłoci mu i stokrotnie nagrodzi to zmęczenie!

Nie piszę tych uwag zasadniczo dla księży moderatorów, więc oczywiście pomijam wyliczenie tych cech i przymiotów kierownika, które są rękojmią pomyślnego przebiegu pogadanki. Jestem zresztą głęboko przekonany, że znajomość psychologii, wykształcenie i doświadczenie życiowe z łaską Bożą pospołu wskażą każdemu ks. kierownikowi odpowiednią drogę i środki.

Na zakończenie zaś tej dzisiejszej instrukcji pragnę teraz — i da Bóg jeszcze w następnym numerze posłużyć sodalicjom konkretnymi tematami i punktami kilku takich pogadanek, które to mają za sobą, iż przeszły już przez próby życia i były faktycznie z mniejszym lub większym powodzeniem przeprowadzone w mojej sodalicji zakopiańskiej.

W drugim artykule przytoczyłem dyspozycję pogadanki na temat *Sodalis a życie towarzyskie i karnawał*. Była to pogadanka przeprowadzona na stopniu wyższym (kl. VII i VIII).

Należy się więc dziś coś niecoś stopniowi niższemu. Weźmy na pierwszy ogień pogadanki dla młodszych (kl. IV, V i VI) oparte na kilku prawach sodalicyjnych. (p. Ustawy S. M. ucz. szk. średn. w Polsce, wyd. VII—XII, str. 41: *Nasze prawo sodalicyjne*).

Z III-go prawa: Obowiązek.

1. *Fakty*: Co mówi religia o obowiązku? Przykłady z życia Pana Jezusa i N. Marii Panny. Jak chłopcy zapatrują się na obowiązek? Jaką rolę gra on w ich życiu? Czy go raczej pełnią, czy zaniedbują? Czy mają obowiązek często w swej codziennej świadomości? Czy i jak często kierują się ideą obowiązku ja, moi koledzy, znajomi? Co utrudnia to, co ułatwia?

2. *Przyczyny*: Dlaczego jedni chłopcy idą zawsze za głosem obowiązku, nawet z wielką ofiarą z siebie (nie mają tu żadnej wątpliwości), a inni depczą obowiązek nieraz z najbłahszych przyczyn?

3. *Skutki zaniedbania obowiązku dla jednostki, rodziny, społeczeństwa, organizacji (S. M.)*. Małe czy poważne? Wyliczyć, omówić.

4. *Środki*: Jak spotęgować poczucie obowiązku i dobre skutki, jak zaradzić złym? Co ja mogę tu zrobić w sobie, u kolegów, w S. M.? W jaki sposób, kiedy?

5. *Postanowienie*: Co zrobić, co zrobimy wszyscy od dziś. Ująć to w krótkie hasło i wzajemnie sobie przypominać.

Z V prawa: Odwaga cywilna.

1. *Fakty*: Czy Polak typem człowieka odważnego? Fizycznie czy cywilnie? Znasz fakty z życia, otoczenia? A fakty tchórzostwa cywilnego? Jak się na nie zapatrują chłopcy? Jakie to wywiera wrażenie? Czy jest o tym opinia klasy zdrowa czy nie, jak się tworzy? Co mówi nam religia, przykład Chrystusa Pana?

2. *Przyczyny*: odwagi i tchórzostwa jakie? Tu wyrobienie charakteru, tam brak zasad, woli silnej. A może inne? Podajcie!

3. *Skutki*: Brak silnych charakterów, brak zdrowej opinii moralnej. Panowanie względu ludzkiego i opinii narzuconej przez ludzi małej wartości. Niski poziom moralny klasy, szkoły, życia koleżeńkiego i towarzyskiego.

4. Ś r o d k i: Praca nad sobą. Silna wiara, nieugięte zasady moralne, lektura żywotów wielkich świętych. Zmuszanie się do wystąpienia, wyznania, obrony zasad religijnych, moralnych. (Unikać afiszowania się z nimi).

5. P o s t a n o w i e n i a: Moje jako katolika, sodalisa, w jednej dziedzinie najpierw, a potem?

Uwaga: W notatkach moderatora znajduję zapisek: przemawiało 30 chłopców z kl. IV—VI, gorąca dyskusja.

Z VI prawa: Czystość.

1. F a k t y: Czy zastanawiam się częściej nad swoim stosunkiem do bezwzględnej nakazu i obowiązku czystości? Wkoło siebie spostrzegam atmosferę pomocną czy raczej szkodliwą dla pracy w tym kierunku? Co pomocą, co przeszkodą? Rola Sakramentów św. Jaki jest ogólny poziom mojej klasy, szkoły?

2. P r z y c z y n y: Ogólne i szczegółowe lepszego lub gorszego poziomu moralnego młodzieży w naszej szkole. Wpływ środowiska. Rola sodalicji. Odwaga cywilna lepszych chłopców.

3. S k u t k i. Czy wyciągam konsekwencje z należenia do sodalicji, jakie, jak często, z jakim rezultatem? Jak poziom ogółu odbija się na mnie? W naszych warunkach łatwiej o postęp czy cofanie się?

4. Ś r o d k i, by podnieść poziom, umocnić dobro, zwalczać zło w sobie, klasie, szkole, zwłaszcza rozmowy, dowcipy. Jak najlepiej?

5. P o s t a n o w i e n i e: Co zrobię ja, co sodalicja?

Z VIII prawa: Rachunek sumienia.

1. F a k t y: Czy chłopcy nasi na ogół robią rachunek sumienia? A sodalisi? jakie o tym zdanie? Czy widzę postęp u kogoś, kto robi stale rachunek sumienia? Czy sam zdaję sobie sprawę z tego ważnego obowiązku w SM? Czy umiem to robić? Czy korzystam z Kalendarzyka pracy na okładce «Pod znakiem Marii»?

2. P r z y c z y n y, dla których robi się, względnie zaniedbuje rachunek sumienia (lenistwo, brak uświadomienia, chęci poprawy).

3. Skutki stałego rachunku sumienia lub zaniedbywania go. Indywidualne, społeczne.

4. Środki poprawy, pamiętania, zdobycia się na wysilek.

5. Postanowienie: Od dziś zacznę bezwarunkowo i stale robić codziennie rachunek sumienia. Zdam sprawę na miesięcznej spowiedzi. Zapiszę w Kalendarzyku na okładce «Pod znakiem Marii».

Uwaga: W notatkach moderatora zapisek: dyskusja nadspodziewanie ożywiona, obfita, przemawiało 37 chłopców z klas V i VI, niektórzy uderzająco trafnie, widać, że starali się sumiennie przemyśleć temat.

6.

Miłą jest niewątpliwie dla każdego autora rzeczą, jeśli już w ciągu ogłaszania pewnych artykułów dochodzą go wyrazy uznania i podzięków za poruszany temat. Widać, że był on na czasie, że przyniósł czytelnikom jakieś realne korzyści lub przynajmniej trafił im do przekonania.

Listy, jakie z różnych stron Polski doszły mnie w ostatnich tygodniach z podziękowaniem za praktyczne uwagi o «pogadankach ankietowych» były dla mnie niewątpliwie taką dużą przyjemnością. Szereg sodalicji wprowadza je z całym zapałem, członkowie są nimi podobno aż «zachwyceni» — czegoż można więcej żądać w nagrodę za skromną pracę publicystyczną? Muszę ją jednak niewątpliwie podzielić z autorką broszury cytowanej przeze mnie na wstępie tych uwag, gdyż ona to właśnie nasunęła mi zamiar napisania o «pogadankach» także w naszym miesięczniku.

Trzeba jednak koniecznie zmierzać ku ich końcowi, by przez nadmiar słów nie zaszkodzić przypadkiem rzeczy samej, tak jasnej i prostej.

Więc na zakończenie słów jeszcze kilkoro o pożytkach pogadank ankietowych.

Omówię je w ślad za wspomnianą już autorką owej zasadniczej broszury.

Najpierw podkreślę w ich przeprowadzeniu to, co je czyni, że tak powiem «nowożytnymi» — to poczucie rzeczywistości życia i jego zjawisk. Wiemy z doświadczenia, że t. zw.

«referaty» aż nazbyt często obracają się w świecie abstrakcji, teorii, aby nie powiedzieć — frazesu. Stąd to ściągnęły na siebie tyle zarzutów, z których «nudność» nie jest chyba najrzadszym. Pogadanka ankietowa i materiałem swoim i konstrukcją i udziałem członków jest najrzeczywistszą rzeczywistością, daleką od abstrakcji, od suchej teorii, od wszelkiego frazesu. A ponieważ dzisiejszy człowiek wszędzie tej rzeczywistości z pasją szuka, taka właśnie dyskusja szczególnie mu przypada do smaku i zmysł rzeczywistości wybornie zaspakaja.

Ten zmysł rzeczywistości opierać się musi na obserwacji. Idzie więc pogadanka ankietowa w parze z najnowszymi metodami naukowymi i wychowawczymi, które może aż do przesady owej osobistej, wnikliwej obserwacji się domagają. Zbieranie materiału do pogadanki powoli, lecz stale uczy młodego chłopca szeroko otwartymi oczami patrzeć na świat, wypadki, ludzi. Jak to zaś głęboko kształci, zbytecznym byłoby dowodzić.

Obok patrzenia na «fakty» pogadanka uczy dociekać ich przyczyn, nieraz tak głęboko ukrytych, przewidywać skutki, obmyślać środki zaradcze przeciw złemu lub wspierające dobro. To zaś prostą drogą prowadzi do wybitnych aktów woli, więc postanowień i czynów. Nam trzeba przede wszystkim ludzi o logicznym myśleniu, żelaznej woli i konsekwentnym czynie. Pogadanka ankietowa sama przez się jeszcze takich ludzi nie stworzy, to pewne, ale jakże ułatwi ich wykształcenie, jak przybliży ich zjawienie się na terenie Akcji Katolickiej.

Dodam od siebie, że dla S. M. widzę jeszcze w tym ogromną doniosłość «pogadank», że one powoli przyuczają członków żyć przez dłuższy okres czasu zebraniem sodalicyjnym i żyć przez to samą sodalicją. Nie waham się powiedzieć, że przekleństwem naszych prac religijno-wychowawczych jest i będzie zawsze ich «doraźność», zwłaszcza dla młodzieży.

Zapowiedziano zebranie. Poszliśmy. Byliśmy, wysłuchaliśmy, jak pięknie do nas mówiono. Wyszliśmy. Zapomnieliśmy. Koniec. Spokój mamy znów na cały miesiąc.

Pogadanka ankietowa ogłoszona na zebraniu kwietniowym trwa przez cały kwiecień w świadomości członków (trzeba im to oczywiście przypominać). Oni pracują, zbierają materiał. Przygotowują się. Nawet rywalizują z sobą w zbieraniu tego materiału. Przygotowują się nieraz z zapalem do kampanii

dyskusyjnej. Wkładają w to duszę. A to już korzyść olbrzymia! Ale oni także dochodząc samodzielnie do pewnych wyników, spostrzeżeń, wniosków, postanowień, żyją znów nimi i po zebraniu. Przez analogię żywych faktów przypominają je sobie, odświeżają przy rachunku sumienia, przy miesięcznej spowiedzi. To też zdaje mi się, że wprost trudno docenić należycie ogromną, wychowawczą, kształcącą wartość tej właśnie metody.

Zresztą niech czcigodni księża moderatorzy i drodzy sodalisi sami jej spróbują, ale po bardzo solidnym, rzetelnym przygotowaniu, a będą mieli możliwość ocenić prawdę powyższego twierdzenia.

Na zakończenie, stosownie do danego w marcu przyrzeczenia jeszcze kilka, już przerobionych przeze mnie tematów do łaskawego wykorzystania.

A) TEMATY DLA STARSZYCH.

1. Kłamstwo w szkole:

1. **Fakty:** Początek kłamstw i oszustw szkolnych. Ich objawy i rodzaje. Opinia o nich wśród uczniów. Przyuczanie i przymus do kłamstw szkolnych.

2. **Przyczyny:** Lenistwo, słabość charakteru, brak poczucia uczciwości, honoru, zły przykład, podejrzliwość nauczyciela, chęć łatwości i wygod w życiu. Może jeszcze inne?

3. **Skutki:** Niski poziom wiedzy, zanik bystrości myślenia, samodzielnej orientacji, inteligencji wypracowanej, niewiara we własne siły i zdolności, opieranie się zawsze na innych, bezkrytycyzm. Szkody moralne w charakterze, zła opinia, zły przykład.

4. **Środki:** Praca nad charakterem, kształcenie poczucia honoru, samodzielności, zamiłowania prawdy, uczciwości, prostej drogi w życiu, odwagi cywilnej w przyznaniu się do winy, do szkody, odpowiedzialności za siebie. Rachunek sumienia. Wielkie wzory, ideały prawdy, szczerości, prawości (święci).

5. **Postanowienia:** Indywidualne, koleżeńskie, klasowe, sodalicyjne. Moim obowiązkiem usunąć to zło z duszy, z klasy, szkoły. (Na zebraniu sodalicyjnym na ten temat przemawiało 18 mówców z kl. VII i VIII).

II. Wpływ sodalisa na kolegów:

1. **Fakty:** Dowody wpływu lub braku wpływu sodalisów na kolegów a praca SM. w klasie, szkole. Dobre sposobności i ich zaniedbanie. Metody wpływania dodatnie i ujemne.

2. **Przyczyny** wpływu lub jego braku w sodalisach, w sodalicji, w tamtych kolegach, w środowisku szkolnym. Trudności, ułatwienia.

3. **Skutki** dobre i złe wpływu lub jego braku, dla jednostek, klasy, szkoły, sodalicji, przyszłego życia.

4. **Środki:** Pośrednie i bezpośrednie. Postawienie wysoko znaczenia i wartości SM. w szkole. Dobór członków, ich poziom religijny, etyczny, koleżeński.

5. **Postanowienie:** zależne od miejscowych warunków. (19 mówców z kl. VII i VIII).

III. Wakacje sodalisa:

1. **Fakty:** Pojęcie wakacyj, ich celu, sposobu spędzenia dobrego lub złego wśród nas, kolegów, rodziców. Obowiązki sodalicyjne na wakacjach. Trudności, ułatwienia. Stosunek do rodziny, rodzeństwa, kolegów, towarzystwa (mieszanego). Więcej pożytku czy szkody dla sodalisa? Sposobności dobrego wpływu względnie niebezpieczeństwa zgorszczenia (sporty, kąpiele, plaże).

2. **Przyczyny** postępu, upadku, zaniedbań, niepowodzeń w apostołstwie. Trudności.

3. **Skutki** dla sodalisa, rodziny, naszego ogółu sodalicji.

4. **Środki:** Wierność zasadom, sumiennosc w obowiązkach religijnych, sodalicyjnych, korespondencja z ks. moderatorem, lektura, kolonia czy obóz sodalicyjny.

5. **Postanowienia** na najbliższe wakacje.

B) TEMAT DLA MŁODSZYCH (trudniejszy!)

I. Teoria a praktyka w życiu:

1. **Fakty:** Zgodność czy niezgodność zasady z życiem u mnie, u drugich? Jakich zasad przede wszystkim? Jakie objawy zauważyłem i u kogo?

2. **Przyczyny:** Wewnętrzne (w charakterze) u mnie i u innych; zewnętrzne (środowisko, wpływy, pokusy), omówić szczegółowo.

3. S k u t k i: W życiu osobistym, rodzinnym, społecznym (klasa, szkoła, nasze organizacje).

4. Ś r o d k i: Praca nad sobą, jaka, przez co? Szukanie wielkich wzorów. W kim? Przykłady.

5. P o s t a n o w i e n i e: Jak będę postępował, o co się starał, kogo naśladował?

Uwaga: Temat był szczególnie troskliwie przygotowany na pierwszym zebraniu, przypominany co tydzień. Samą pogadankę poprzedzało jeszcze krótkie wyjaśnienie ks. moderatora. Przebieg i poziom pogadanki, żywość dyskusji przeszła oczekiwanie. Zabierało głos 60 chłopców. Trudno było zakończyć zapaloną dyskusję.

7.

Od czasu do czasu, choć na ogół dość rzadko, w sprawozdaniach naszych sodalicyj, zamieszczanych w każdym numerze miesięcznika, czytamy o zaprowadzeniu t. zw. «skrzynki zapytań». Raz nawet bawiąc w gościnie w pewnej sodalicyj gimnazjalnej, słyszałem na zebraniu, jak ks. moderator odpowiadał na kilka pytań, jakie w ciągu miesiąca złożyli sodalisi do skrzynki. Były one powyrywane z najrozmaitszych dziedzin religijnych, a odpowiedzi na nie, krótkie i spieszne, przypomniały mi od razu artykułiki z jakiejś podręcznej encyklopedii.

Zapewne, że i tak postawiona «skrzynka zapytań» ma swój sens i może zrobić trochę dobrego. Pomieszenie jednak całego szeregu zupełnie nie łączących się z sobą pytań i to pytań interesujących z małymi wyjątkami tylko pewne, dane jednostki czyni i tę «trochę» dość problematyczną, bo pomyślmy tylko taki przypadkowy szereg zapytań: — Czy msze św. gregoriańskie napewne wybawią duszę z czyśca? — Czy ślubowanie sodalicyjne obowiązuje pod grzechem? — Kto to byli właściwie centuriatorzy? — Czy można wysłuchać w niedzielę końca jednej a początku następnej Mszy św., by spełnić przykazanie?

Przepraszam pięknie, ale mimo wszystko trąci to mocno przysłowiowym «grochem z kapustą» i zdaje mi się, że do rozwiązania tych zagadnień nie trzeba aż zebrania sodalicyjnego.

Nie o taką więc «skrzynkę» dziś mi tu idzie. W ruchli-

wej i pełne zawsze inicjatywy poznańskiej spółce wydawniczej «Ostoja» (ul. Pocztowa 15) ukazała się niedawno broszurka dra Mariana Wachowskiego p. t. «Skrzynka zapytań» (str. 24). Właściwie wystarczyłoby może polecić zarządom sodalicyjnym dokładne zapoznanie się z jej treścią i dyskusję nad możliwością powszechnego wprowadzenia takiej właśnie «skrzynki» na nasze zebrania. «Przebudowa» ich byłaby już przez to na długi czas dokonana i zamknięta. Spieszę też od razu broszurkę powyższą najgoręcej polecić, czynię to zaś tym chętniej, że w przeciwieństwie do «pogadank ankietyowych» nie miałem jeszcze wcale sposobności wypróbować tej nowej metody we własnej sodalicyj. Ale mam poważną i uzasadnioną obawę, że tylko bardzo nieliczne sodalicyje, mimo wszystko, tę groszową książeczkę zakupią i przestudiują.

I dlatego o niej i o «skrzynce» dziś i może jeszcze w czerwcu słów kilkoro!

Zasadniczo idzie u dra W. o teren nieco odmienny od zebrań sodalicyjnych, bo o kurs oświatowy, prowadzony w jakiejś organizacji przez fachowego kierownika. Temat wykładów i dyskusji jest z góry znany, związane z nim ściśle zagadnienia wypisują uczestnicy (imiennie lub anonimowo) na kartkach i wrzucają do skrzynki. Kierownik je sam czyta, układa w pewną tematową całość i przygotowuje wyczerpujące odpowiedzi, przy czym może je opracowywać także razem z uczestnikami kursu. Skrzynka przez swą anonimowość ośmiela ich do wysuwania kwestyj, zwłaszcza nieco drażliwych, kierownika zaś orientuje w terenie i poziomie intelektualnym i moralnym słuchaczy.

Na zebraniu sodalicyjnym sytuacja jest odmienna. Odpada ciągłość stałego kursu, gdyż zebranie jest faktem doraźnym, raz na miesiąc się zdarzającym, trudniej przeto tutaj taką skrzynkę uczynić instrumentem ciągłej, systematycznej pracy.

Mimo to — mam takie «teoretyczne» wrażenie — od czasu do czasu możnaby w sodalicyjach organizować nowe, «skrzynkowe zebrania», co przy kilku zebraniach z referatami i kilku z pogadankami ankietyowymi, wniosłoby ogromne ożywienie w nasze zbiórki sodalicyjne.

Jakże te zebrania sobie wyobrazić?

Temat wybrany do omówienia przez ks. moderatora (my-

śle, że jedynie ks. moderator może kierować zebraniem «skrzynkowymi», podobnie jak «pogadanką ankietową») powinien być podany członkom na miesiąc naprzód, na zebraniu poprzednim, z tą zapowiedzią, że wszystkie kwestie, jakie ich w bliższym czy dalszym związku z tematem mogą interesować, winni w formie jasnych i konkretnych zapytań wrzucać do skrzynki w terminie określonym (jakieś 7—10 dni ostatnich powinno już być rezerwowanych dla księdza celem przygotowania zebrania). Anonimowość lub imiennosc kartek można zostawić członkom do woli. Wybrać należałoby imiennosc, zastrzegając oczywiście zupełną dyskrecję.

Kartki zabiera ks. moderator i przemyślawszy dokładnie ich treść, układ logiczny, kreśli sobie szczegółowy program omówienia tematu i dyskusji.

Przypuściwszy, że na zebranie sodalicyjne przychodzi stale 25 członków, przyjąć należy, że 10—15 z nich żywo zainteresuje się tematem i pospieszy z pytaniami. Gdyby każdy ograniczył się tylko do 2 pytań (przypuśćmy, że będzie pewna ilość identycznych), można liczyć na 20—25 punktów. Jest to już wcale bogaty materiał do bardzo interesującego, bardzo aktualnego i pożytecznego zebrania. Oczywiście niektóre pytania trzeba będzie pominąć, inne nieco rozszerzyć, pogłębić, wczuwając się w zamiar i zainteresowanie młodego chłopca, a może nawet od siebie dorzucić parę kwestyj pominiętych przez członków, zwłaszcza, gdy chodzić będzie o logiczne powiązanie punktów dyspozycyjnych, wkońcu zdaje mi się, nic nie powinno być stać na przeszkodzie, aby już w czasie zebrania nie dopuścić zgłaszania nowych, dodatkowych pytań, nasuwających się logicznie w toku omówienia lub dyskusji. Oczywiście, gdyby któreś z nich zaskoczyło kierownika (nie może on być przecież «chodzącą encyklopedią»), trzeba je spokojnie i szczerze odłożyć na następne zebranie, by mieć czas odpowiedź należycie przygotować. Z metody zebrania «skrzynkowych» wszelka dorywczosc powinna być stanowczo usunięta, gdyż nic im na pewno tak jak ona, nie zaszkodzi. Powaga kierownika i sodalicyjki wymaga, aby odpowiedzi były ściśle i rzeczowe pod względem treści, a jasne, proste i wartościowe pod względem formy. Trud to niemały dla kierownika, ale owoce zebrania niewątpliwie mu go wynagrodzą.

8.

Ostatnie słowa jeszcze poświęćmy kwestii samych pytań. Z natury rzeczy dadzą się one podzielić na pytania, że tak powiem «osobiste», które nie nadają się do publicznego omawiania na zebraniu, chyba, żeby ich treść była istotnie interesująca dla ogółu, a osoba pytającego mogła bezwzględnie pozostać w ukryciu, i pytania ogólne, do których zaliczamy wszystkie niemal pozostałe.

Otóż czy wszystkie uwzględniać, czy na wszystko wyczerpująco odpowiadać?

Podzielałam w zupełności stanowisko autora broszurki «Skrzynka zapytań», dra Wachowskiego, który radzi pewne pytania pozostawiać nierozwiązane, te mianowicie, na które przy pewnym wysiłku może znaleźć dostateczną odpowiedź sam pytający, nie należy go bowiem pozbawiać wartościowej sposobności do samodzielnej pracy; następnie i te, na które odpowiedzi mogą zbiorowym wysiłkiem i dociekaniem dyskusyjnym dać sami uczestnicy zebrania. Poza tym oczywiście pomijać należy pytania drażliwe, zwłaszcza te, które umyślnie chcą «zaskoczyć» nieprzygotowanego kierownika (więc jakieś kwestie polityczne, drażliwe wypadki z lokalnego terenu itp.). Nie znaczy to jednak, aby o tych pytaniach z pełnym spokojem i wyrozumiałością nie wspomnieć i nie zaznaczyć, dlaczego to one traktowane w odpowiedziach nie będą. Wreszcie przy niektórych pytaniach, np. zbyt obszernych, wskazaną rzeczą byłoby podać pytającemu odpowiednią literaturę, wskazać źródła, byle wartościowe, pewne i najświeższe, w którychby sam mógł znaleźć wyjaśnienie interesujących go zagadnień.

W pewnych, powiem, wyjątkowych wypadkach, gdy ogłasza się temat specjalny, możnaby na zebranie zaprosić jakiegoś fachowca w danym zagadnieniu, uprzedzając go dość wcześniej o naszym zamiarze, by się do dyskusji mógł przygotować. Wprowadziłoby to na zebranie pewną nowość i zwiększyłoby zainteresowanie członków.

Kierownik «skrzynki pytań» w każdym razie obok gruntownej wiedzy, dużego taktu i znajomości psychologii musi posiadać jeszcze w wysokim stopniu cnotę wyrozumiałości.

Wszak doświadczenie dydaktyczne i pedagogiczne stwierdza niemal na każdym kroku, jaką trudność niezdyscyplino-

wanym jeszcze w logicznym myśleniu, młodym umysłem nasuwa ujęcie jakiejś kwestii w pytanie. Może nawet nie tylko młodym. Otóż i pytania, wrzucane do naszej «skrzynki», aż nadto często grzeszyć będą naiwnością, niedołąstwem, wyolbrzymieniem lub przeciwnie ogromnym zacieśnieniem zakresu danego zagadnienia. Nie można ich, nie wolno skwalifikować jako nieudane, bezwartościowe i wrzucić do kosza. Przeciwnie, uzupełnić niedołązną formę, dopowiedzieć brakujące słowo czy pojęcie, wczuć się w zamiar i stanowisko autora — i odpowiedzi udzielić. Jakie dobroczynne skutki dla niejednego chłopca może przynieść ten właśnie sposób ustosunkowania się do jego intelektualnej, a przecież pełnej dobrej woli niezaradności!

Czas nam kończyć ten przydługi cykl pogadank, zmierzających «ku przebudowie zebrań sodalicyjnych».

Podałem w nim, jak łaskawy czytelnik może pamiętać, następujące punkty: a) wyrobienie u ogółu członków pełnej świadomości i wysokiej oceny wartości zebrań sodalicyjnych dla całego życia i istoty sodalicyjności mariańskiej, b) zalety podziału ich na zebrania młodszych i starszych, c) zmniejszenie ilości referatów, a wprowadzenie w ich miejsce «pogadank ankietyjnych», d) wprowadzenie «skrzynki zapytań».

Wszystkie te uwagi miały na celu, jak to jest oczywistym, ożywienie zebrań, podniesienie ich rzeczywistej wartości dla członków, a przez to pociągnięcie ich do czynnego udziału, do pełnego osobistego «przeżywania» zebrań i w następstwie życia ich treścią, ich refleksjami i postanowieniami. Wtedy dopiero, zdaje mi się, życie sodalicyjne tak niesłychanie ściśle zrosnięte z tymi zebrańmi, uderzy tętmem silnym i z teorii wejdzie na drogi tak pożądaną, tak konieczną praktyki osobistej i zbiorowej.

Co niech zdarzy Bóg i Matka Najświętsza!

1933/4.

LISTY DO PREZESA, KTÓRY SIĘ MARTWI...

1.

Zakopane, w grudniu 1927.

Serdecznie dziękuję Ci, Drogi mój, za list ostatni pełen takiej prostoty i szczerości. Wypowiadasz się w nim ze wszystkimi zmartwieniami, jakie opadły Twą duszę już w parę tygodni po wyborze na prezesa Waszej sodalicyj. Współczuję z Tobą serdecznie, niegdyś — tak — przed wielu, wielu laty przechodziłem sam to wszystko.

I prosisz tak gorąco o radę i wskazówkę, bo tak naprawdę kochasz Twą sodalicję i takbyś bardzo chciał przez ten rok coś zrobić dla niej i dla kolegów, którzy Ci okazali zaufanie, a przede wszystkim dla Tej, której przyrzekłeś służbę wierną, synowską...

Postaram się możliwie krótko i po prostu rzucić Ci kilka uwag, na życiu i doświadczeniu opartych. Może Ci one istotnie dopomogą w położeniu, które trochę zbyt pesymistycznie oceniasz.

A zacznijmy od Ciebie samego.

Mój Drogi Prezesie, wybacz, że Cię spytam, jak przyjaciel, czy dzień Twego wyboru na pierwsze wśród sodalisów stanowisko, tam, w głębi Twojej duszy zaznaczył się choćby drobnym, wewnętrznym przełomem?

Bo widzisz, jeśli komu, to Tobie nie wolno ani na chwilę spuszczać z oka zasadniczego celu sodalicyj mariańskiej: udoskonalenia siebie przez cześć i miłość Marii, abyś zdolny był drugich do Boga i dobra pociągnąć. Uznajesz ten cel bez zastrzeżeń! Złożyłeś na to Twoje ślubowanie kiedyś — pamiętasz? A więc jeśliś stanął tak wysoko wolą Twych kolegów, to Ty, przede wszystkim Ty, tego celu musisz być wcieleniem, na sobie samym żywym przykładem, nieustannym, choćby milczącym wzorem.

Oni — koledzy i przyjaciele Twoi w sodalicyj — muszą sobie mówić: nasz prezes to żywa idea sodalicyjna — żywa we wszystkim. W modlitwie, pracy, nauce, koleżeństwie, zabawie... Czyś o tym pomyślał? Czyś nad tym zaczął pracować? Jeśli tak — a sumienie Ci niemylnie odpowie — doskonale!

Bądź najlepszej myśli! Wszystko pójdzie dobrze i pójść musi. Jeśli nie, Drogi mój — zamiast narzekać na śpiączkę kolegów, na brak czasu u księdza, na wyjątkowo ciężkie warunki w gimnazjum, zacznij pracę od siebie! A ręczę Ci, że skrzydła Ci u ramion urosną i dusza palić się będzie w sodalicyjnej służbie. Zresztą spróbuj, sam się przekonasz.

Pisałbym więcej jeszcze, ale widzisz, już czeka korekta z drukarni i kończyć muszę. Może Bóg pozwoli za miesiąc znów się do Ciebie odezwać, zwłaszcza jeśli mi zechcesz szczerze odpisać. Masz miesiąc czasu, by spokojnie pomyśleć o sobie i program tej najważniejszej pracy w sodalicyj, osobistej pracy wewnętrznej nakreślić. Nie wątpię, że to uczynisz. Z mej strony towarzyszy Ci najserdeczniejsze życzenie błogosławieństwa Bożego i wytrwania. Jak szczerze i gorąco pragnę Ci dopomóc, tak szczerze i gorąco radzę, zacznij od siebie. Bóg z Tobą i Najświętsza Panna, Ukochany mój.

Twój szczerze oddany
Ksiądz.

2.

Zakopane, w styczniu 1928.

Nie będę tał przed Tobą, mój Drogi, że z dużą niecierpliwością wyczekiwałem odpowiedzi Twojej na mój list grudniowy. Wszak doświadczenie uczy, że rozmowa listowna często zawodzi. Tyle słów zostaje niewypowiedzianych, tyle niedopowiedzeń z braku czasu i miejsca, tak zmienne nastroje człowieka młodego... Trudności co niemiara. Tym milej było mi czytać Twoje uwagi. Bóg Ci zapłać za radość, którąś mi sprawił Twą odpowiedzią.

Ująłeś sprawę osobistą bardzo konkretnie, praktycznie. Postanowiłeś w życiu wewnętrznym większy nacisk położyć przede wszystkim na osobisty i sodalicyjny, codzienny rachunek sumienia. Oto wyborna i niemylna droga. A wybranie jej, tak trafne z Twojej strony, dowodzi, że Pan Bóg użył Ci wielkiego daru, który nazywamy autokrytycyzmem, a który dla każdego człowieka jest bez wątpienia podstawą pracy nad sobą.

Ale dość o tym, gdyż muszę przejść dziś jeszcze do dal-

szego spełniania danej obietnicy i udzielić Ci znów parę wskazówek odnoszących się do Twego prezesowskiego urzędu.

Nie wiem, czy zastanowiłeś się kiedy głębiej nad tym, że sodalicja, jako organizacja składa się z trzech niezmiernie ważnych czynników: z ks. moderatora, z konsulty z prezesem na czele i z członków. Harmonijne współdziałanie tych czynników tworzy wzorową i silną sodalicję. Dziś powiedzmy sobie słów kilka o pierwszym z nich t. j. o księdzu.

Skarzyłeś się przede mną w Twym pierwszym liście, że wasz moderator jest tak nadmiernie zapracowany, iż mimo szczerych chęci nie może poświęcić się zupełnie sodalicji. Skutki tego są naturalnie przykre i cały Twój i konsulty wysiłek nieraz idzie na marne. Wierzę najzupełniej, głęboko współczuję i doskonale to rozumiem. Ale — choć mała to pociecha — stwierdzam, że tak mniej więcej jest w całej Polsce i co gorsze, długo jeszcze nie może być inaczej.

Wykazuje to bardzo prosty rachunek.

W krajach zagranicznych wypada przeciętnie jeden kapłan na 400—500 wiernych. W Polsce na 2.000—3.000. Przyjmując przeciętną normę zagraniczną, na 20.000.000 katolików w Polsce powinny być około 40.000 księży. A jest? Około 8.000. Wiesz co to znaczy? Oto, że każdy z nas musi pracować za pięciu. Rozważ to, w świetle tej okropnej prawdy spojrzysz teraz na waszego księdza moderatora. Ale to za mało. Módl się, módlmy się wszyscy razem w sodalicjach o liczne i święte powołania kapłańskie wśród naszej młodzieży, aby nasze «krainy, białe ku żniwu», jak mówi Pan Jezus, doczekały żeńców w obfitości.

W tych warunkach sam widzisz, że musisz być najgorliwszym prezesem, aby stać się prawdziwie «prawą ręką» księdza, aby go zastąpić wszędzie, gdzie się tylko da. A ileż jest takich drobnostek, które Ty z konsultorami możesz przewidzieć, przygotować i potem zdać relację moderatorowi. Aby tak było, trzeba znowu, abyś z nim był w stałym kontakcie. Nie ciąglym, bo i tu brak czasu, ale stałym. Uproś sobie u księdza $\frac{1}{2}$ godziny rozmowy przed każdym posiedzeniem konsulty czy przed zebraniem miesięcznym. Ale idąc doń, miej wszystko, o co chcesz pytać, lub radzić się, porządnie spisane, abyś czego nie zapomniał i niepotrzebnie czasu nie zabierał.

A ponad wszystko miej do ks. moderatora waszego pełne

zaufanie nie tylko urzędowe, sodalicyjne, ale osobiste. Pamiętaj, że kapłan-przyjaciel to skarb w życiu młodzieży, skarb przedziwnej wartości, którą ocenisz dopiero po latach. Więc korzystaj z tego, że możesz się częściej i bardziej zbliżyć do kierownika sodalicyj, doświadczonego wychowawcy i sternika dusz, a dla siebie i dla ukochanej przez Cię sodalicyj wynieśiesz bogate owoce...

Matce Najświętszej z serca Cię oddaję. W tym miesiącu stawia nam Ją Kościół przed oczy, jako Matkę Przedziwną, która z rozkoszą serca i uniesieniem ducha patrzy w Nazarecie na wzrost Jezusa «w mądrości i w latach i w łasce u Boga i u ludzi». Spraw tej Matce Najlepszej tę wielką radość, Drogi mój, abyś i Ty w Jej oczach za wzorem Boskiego Synaczka coraz i coraz pomnażał się w łasce Bożej, a miłości i złotej przyjaźni ludzkiej. Tego Ci życzę i serdecznie pozdrawiam

oddany Ci w Jezusie Panu
Ksiądz.

3.

Zakopane, w marcu 1928 r.

Czy wiesz mój Drogi, że nasza korespondencja zainteresowała niektórych prezesów sodalicyj? Dostałem od nich listy i pytania, niestety z braku czasu trudno mi odpowiadać na nie, raczej pisząc do Ciebie, uwzględnię i przez nich poruszone kwestie, na czym chyba nie stracisz?

Z kolei rzeczy należało by Ci się dziś parę uwag o konsultacie. Nie chciałbym jednak poruszać spraw omawianych w «Księdze Podręcznej» i dlatego odsyłam Cię do zamieszczonego tam artykułu, który zawiera wszystko, co w tej kwestii miałbym Ci do powiedzenia. Niemal wszystkie sodalicyje nasze wprowadziły już u siebie «Księgę» i wiem od nich, że z tą chwilą poziom życia sodalicyjnego bardzo się w nich podniósł, szczególnie przez ścisłą kontrolę frekwencji na wszelkich zbiórkach i dokładny plan pracy. Zapewne i Ty u siebie zauważyłeś to samo.

Wszystkie sodalicyje normalnie pracujące, kładą na sprawę frekwencji nadzwyczajny nacisk. Niedawno widziałem się z prezesem jednej z nich, który nawet był łaskaw zostawić mi specjalny regulamin, ułożony przez konsultę dla tej wła-

śnie sodalicyj i normujący bardzo surowo karność i obowiązkowość członków. Bardzo się tym objawem szczerzej troski o życie sodalicyjne ucieszyłem i myślę, że mało chyba znalazlibyśmy w Związku sodalicyj, które by nie zabiegały usilnie o podniesienie poziomu tych wielkich cnót w swoim gronie. Doświadczenie wskazuje, że poświęcenie kilku opieszłych członków i usunięcie ich stanowcze z sodalicyj, przynosi dla reszty doskonale rezultaty, w postaci zwiększonej obowiązkowości tych, którym na sodalicyj naprawdę zależy.

W końcu na dziś jedna jeszcze i ostatnia uwaga. Skarżyłeś się na ustawiczny kłopot ze ściąganiem wkładek, z którymi skarbnik sobie rady dać nie może, a potem rosną zaległości w centrali i nowy szereg niemiłych następstw.

Możebyście zastosowali u siebie godny opatentowania system przyjęty w mojej sodalicyj. Mieliśmy to samo. Wiecznie na zebraniach skargi skarbnika, wyliczanie zalegających członków, stąd ich niezadowolenie, obraza i t. d. Od roku wprowadziliśmy inny zwyczaj. Oto konsultor «klasowy» jest również skarbnikiem klasowym. Zbiera on nieustannie według swego wykazu wkładki i oddaje na posiedzeniu konsulty. Wyniki są znakomite. Rozumiesz, jak taki skarbnik w tej samej klasie, mający w wykazie tylko swych własnych kolegów, potrafi zatruć im życie. Następuje na pięty, przemawia w wszelki możliwy sposób, wie, kiedy kto ma pieniądze i ostatecznie władkę wydusi. Bo i tego doświadczenie nas nauczyło, że ta niby skrajna bieda uczniowska jest skrajną przesadą. Wszak wiemy, że na kino zawsze się ów złoty znajdzie, znajdzie się na czekoladę i karmelki i na gazetę, niestety czasem i na papierosa — nie ma tylko nigdy groszy na wkładkę, na miesięcznik. Spróbujcie mianować skarbników klasowych, a ręczę, że wkładki zaczną regularnie zapełniać kasę sodalicyjną.

Bardzo serdecznie Cię pozdrawiam i przy zbliżających się świętach Zmartwychwstania z serca życzę wielu, wielu łask od Chrystusa Pana Zwycięzcy.

Szczerze Ci oddany

Ksiądz.

1927/28.

ZERWANE NICI

Na biurku prezesa stos papierów. W szarej okładce piętrzą się kwestionariusze nadesłane przez sodalicje związkowe każdej jesieni, a do tej pory jeszcze nie skompletowane, a obok cała paczka kopert zielonych, pokreślonych niemożliwie przez pocztę i wróconych, po długiej wędrówce, do Zakopanego...

W kwestionariuszach brak wielu, wielu adresów naszych zeszłorocznych sodalisów- maturzystów, w ich miejsce suchy dopisek: «adres nieznany», albo: «prześlemy później» (co zwykle nigdy się nie spełnia), na innych jeszcze, przede wszystkim tych z sodalicji seminaryjnych, bezlitosna uwaga: «maturzyści otrzymali posady nauczycielskie, adresu ich nie znamy...»

A koperty? Tych kilkadziesiąt kopert wróconych — to z powodu fałszywego adresu podanego Centrali przez sodalicje związkowe...

Tak! Bolesny to zbiór.

Zerwane nici...

I już zwykle przepadło! Chyba jakiś nadzwyczajny wypadek mógłby je nawiązać. Zerwane nici tych młodych sodalisów z ich własną sodalicją, zerwane ze Związkiem, który z braku adresu już do nich trafić nie może. Szkoda dla akcji sodalicyjnej już nie tylko w szkole średniej, ale śmiem twierdzić w Polsce — niepowetowana, strata wielka, kosztowna, co roku około 200 ludzi i to tylko tą drogą!

I gdzie wina? To najważniejsze pytanie.

Gdy sobie je zadaje ze smutkiem niemalym i szukam odpowiedzi, myślę, że ta wina tkwi bardzo głęboko.

Tkwi w braku żywej idei sodalicyjnej w danych sodalicjach, tkwi w braku przywiązania ich członków do sodalicyjki szkolnej, w braku przejścia się do samej głębi duszy i serca sodalicyjki. Tak! to niewątpliwe. I dlatego z ilości i jakości odpowiedzi w kwestionariuszu tak łatwo można sobie wyrobić zdanie o tężyznie wewnętrznej życia sodalicyjnego w każdym ośrodku.

To trzeba uleczyć, trzeba zmienić koniecznie i za wszelką cenę.

Wtedy konsulta sodalicyjki nie będzie się biedzić nad zdobyciem adresów tych, co poszli w świat, bo oni sami, zżyci

z sodalicją, z konsultą, z ks. moderatorem, odezwą się natychmiast po zapisaniu na uniwersytet, technikę, czy po objęciu nauczycielskiej posady. Stanie się to potrzebą ich duszy.

Ale i konsulta musi tu coś także uczynić. Czemu nie wszystkie sodalicje gimnazjalne zaopatrują swych maturzystów w listy polecające do sodalicji akademickich? Wydał je Związek i leżą, zaledwo kilkanaście sodalicji zgłasza się po nie co roku! A czemu nie wszystkie sodalicje, i gimnazjalne i seminarialne i inne zaopatrują tych maturzystów w karty adresowe, na których mają tylko wpisać swe nowe mieszkanie i za 15 groszy odesłać do ks. moderatora? I one w 2 wydaniach, dla gimnazjów i seminariów od kilku lat leżą gotowe, a ogłaszane w każdym numerze (na okładce). Niestety konsulty same nie troszczą się o sodalicijną przyszłość swych członków po wyjściu ze szkoły, stąd tych nici zerwanych z każdym rokiem jest więcej.

Kończąc, wzywam gorąco zarządy sodalicyjne, aby dla swych najstarszych członków jeszcze przed końcem kwietnia urządziły zebranie informujące ich zarówno o konieczności odbycia rekolekcji zamkniętych przed wyborem stanu, jak i o obowiązkach po maturze; aby zamówiły potrzebne druki i wręczyły je maturzystom i aby już teraz używały wszelkich możliwych środków, by sobie od nich zapewnić nie tylko odesłanie kartki z adresem, ale i dłuższy list o nowym życiu po maturze i o ich sodalicyjnych obowiązkach.

Oby przyszedł rok szkolny przyniósł jak najmniej dowodów, że serdeczne, długoletnie nici sodalicyjnej łączności z dawnymi członkami zrywają się przez egzamin dojrzałości i opuszczenie murów szkolnych.

Wyteżmy ku temu wszyscy swe siły!

1928.

CZYTAJMY MIESIĘCZNIK

W ubiegłym roku szkolnym znalazłem się w gościnie u jednego z sodalisów, który izdebki swej ciasnej, lecz miłej na krótko mi ustąpił. Skromny, zaciszny pokoik, nad łóżkiem dyplom sodalisa miło mnie witał. Książki i zeszyty w mnogiej ilości na półkach, mapa Polski na ścianie. Wszystko tworzyło

razem tę niedostrzegalną, zda się, a tak przecie wyraźną atmosferę szkolnej, powszedniej pracy, co stanęła na dni kilka świątecznych, zwalniając młodego pracownika na wyjazd w strony rodzinne. I gdy z prawdziwą radością rozglądałem się po jego gościnnych kątach, wzrok mój rozjaśniony dojrzał na wierzchu półki ułożone w porządku numery naszego drogiego miesięcznika... «Pod znakiem Marii» jaśniało wyraźnymi, ostrymi czcionkami na tytule. Kocham serdecznie nasz sodalicyjny organ i z radością zawsze biorę go do ręki, więc i tu chwyciłem za pierwszy z kraju numer, by do środka zaglądnąć. I zasmuciłem się serdecznie, boleśnie jakoś. Numer był nierozcięty. Drugi i trzeci także.

O! pocóżes tu tak daleko, na krańce Polski biegła gazetko nasza, z sodalicyjną wieścią, z gorącym słowem bratnim, którego nie dano ci nawet wymówić. Pocoś tak gorączkowo wrywała się tutaj z redakcyjnego biurka, spod prasy drukarskiej i ekspedycji, kiedy powitanie zamarło ci na ustach wobec niechęci czy lenistwa przyjaciela. Widzisz stracony trud, wzgardzony znój serdeczny!

Upłynęło kilka miesięcy, ale oto spotykam się w lecie z młodziutkim maturzystą-sodalisem z innego wielkiego miasta Polski. Przedstawia się, wymawiając nazwisko. Znanie mi ono skądś już i wiem, że je gdzieś słyszałem lub czytałem. W rozmowie potwierdza się me wrażenie. Schodzimy na miesięcznik. Sodalis ów napisał przecież artykułik, który «Pod znakiem Marii» zamieściło w jednym ze swoich numerów. Ale tu się zaczyna tragedia. Autor bowiem skarży się, że redakcja odrzuca wiele artykułów, że i jego utwór pominęła, choć sądził, że na to nie zasługiwał. (No — pomyślałem, sobie, iluż na świecie autorów jest o tym najmocniej przekonanych i obraża się na biedne redakcje, iż chcą drukować tylko to, co istotnie najlepsze!) I cóż powiecie? — okazało się ostatecznie, iż miesięcznik wydrukował artykuł, lecz autor prenumerując pismo, również stron nie rozcinał, a umiał się tylko obrazić. Nie do wiary, a jednak prawdziwe.

Ale i smutne. Może to wyjątki, może ogół czyta pismo swoje od deski do deski, może je nawet kocha i cieszy się nim. Świadczyłyby o tym niejedne słowa i wynurzenia. Ale wyjątków stanowczo jest za dużo. Dlatego dziś, gdy sodalisci-uczniowie pismo stworzone i utrzymywane z najwyższym wy-

siłkiem pobierają w kilku tysiącach egzemplarzy, gdy przez delegatów swoich na zjazdach Związku z całą gotowością godzą się na podwyżki prenumeraty, gdy nie skąpią darów i zasiłków ze składek i wieczorków, dziś tę gorącą prośbę kierujemy ku nim, wierząc, iż posłuchają: Sodalisi czytajcie wasz miesięcznik!

On was pouczy o wielu, wielu sprawach sodalicyjnych, przemówi do was słowem braterskim sodalisów-kolegów, czy przyjacielskim, ojcowskim, kapłanów, on wam powie, co się dzieje w katolickim świecie, co słyhać w Związku i jak nam idzie praca, on przyniesie wam sprawozdania sodalicyj uczniowskich z całej Polski i powie, co i jak robią gdzie indziej, a przez to zachęci do podobnej pracy i u was. Czyż więc nie zasługuje na poświęcenie mu odrobiny czasu i uważne przeczytanie? Nie przerzucajcie go w czasie pauzy (przerwy) szkolnej tuż po nadejściu poczty i rozdaniu gazetki przez sekretarza czy skarbnika, by doń już raz drugi nie wrócić. Pamiętajcie, że to wasze, wasze własne pismo, które chce wam służyć, jak umie, jak zdoła najlepiej, tylko pozwólcie mu, by służyło, by mówiło do was przy uważnym, spokojnym czytaniu, a pokochacie je z pewnością szczerze i serdecznie, jak kocha się wiernego przyjaciela, co do nas z radością raz w miesiąc z pozdrowieniem bratnim zagląda.

Więc sodalisi drodzy od pierwszego numeru dziś przez cały nowy rok szkolny i zawsze już: Czytajmy nasz miesięcznik.

1923.

WYSTĘPUJĘ Z SODALICJI...

Uczyniono mi kiedyś, już dawno, przed laty zarzut, że w naszych sodalicyjnych Ustawach nie ma właściwie paragrafu o wystąpieniu z sodalicyj.

Czy słusznie.

Chcąc odpowiedzieć na to pytanie, trzeba jasno uprzytomnić sobie, że sodalicyja mariańska jest może jedyną organizacją, która tak niezwykle silny nacisk kładzie na zagadnienie samego wstąpienia w jej szeregi.

Uznaje przecież aż trzy kategorie członków: aspirantów,

kandydatów, sodalisów. Na aspiranta nie można «się zapisać», trzeba być przez Wydział przyjętym, trzeba być przez dwóch sodalisów poleconym (§§ 13, 14 Ust. sod.). Po trzech dopiero, a nawet więcej, miesiącach gorliwej służby, uchwałą konsulty, zatwierdzoną zawsze przez ks. moderatora, aspirant zostaje wpisany na listę kandydatów sodalicji i znowu zaczyna się dlań dalszy, nieraz dłuższy od roku, okres przygotowania i próby.

Oto niebывała gdzie indziej sposobność, by organizację sodalicijną wybornie poznać, by się w obowiązkach zorientować, swoje siły, dobrą wolę, zapał ocenić, aby decyzję złożenia ślubów sodalicyjnych powziąć już zupełnie stanowczo i z całkowitym namysłem.

I Ustawa nasza zupełnie szczerze i uczciwie powiada w § 29: *Kandydat, który po bliższym zapoznaniu się z ustawami i duchem sodalicji uzna, że obowiązki przerastają jego siły, winien szczerze i otwarcie oświadczyć to ks. moderatorowi i prosić o wykreślenie.*

Nie można więc Ustawie naszej, o ile idzie o aspirantów i kandydatów, stawiać zarzutu, że nie otwiera im drogi do uczciwego opuszczenia sodalicji. Uczciwego, to jest opartego na głębokim namyśle i sumiennej próbie wytrwania.

Ale czy może z sodalicji wystąpić sodalis już po złożeniu ślubowania, otrzymaniu dyplomu i medala sodalisa?

Oczywiście, że i on, gdy tego zażąda stanowczo, może sodalicję opuścić, w jakże przecież innym świetle po przejściu całego, długiego okresu aspirantury i kandydatury wygląda to wystąpienie i jakie światło rzuca ono na charakter i postępowanie i honor owego «sodalisa». Udowodniać należytej oceny tego kroku chyba nie trzeba.

Na jedno wszakże zwrócić muszę uwagę.

Jeśli sodalicja nie jest jakimś sobie zwyczajnym «kółkiem uczniowskim», lecz bardzo poważną i świętą, kościelną instytucją, założoną przez arcypasterza diecezji, obdarzoną błogosławieństwami i łaskami niezliczonych Namiestników Chrystusa; jeśli przyjęcie uroczyste do niej, najzupełniej świadome i dobrowolne, po przyjęciu Najświętszego Sakramentu polega na rycerskim ślubowaniu wiekuiestej służby Niepokalanej Pani i Królowej, jeśli o tym wszystkim kandydat po tylu zebraniach i pogadankach, po egzaminie z ustawy doskonale wie i dobrze rozumie, co czyni, o! jakże doprawdy wielką odpo-

wiedzialność i jaką plamę ściąga na siebie i swoje całe życie za opuszczenie sodalicyjnego sztandaru, któremu wierność przyrzekał, o ile w tym postępku nie grają roli jakieś nadzwyczajne, istotne i bardzo poważne, przez kierownika duszy poznane i ocenione powody.

Nie może sodalicja więc w Ustawach swoich otwierać prostej i wygodnej drogi do wystąpienia sodalisom swoim, bo przez to obniżałaby świadomie i już z góry wartość ich przekonań, leżącą w ich ślubach, obniżałaby świętą ideę wiekuistej służby Matce Boga, przypuszczałaby z góry albo niezupełną czystość i siłę intencji, albo niemożność wytrwania w dotrzymaniu słowa, nad które, chyba nikt z sodalisów nie składa donioślejszego, świętszego, przynajmniej w latach młodości.

Lękam się czegoś, bardzo się lękam o duszę chłopca, który dla obawy przed wysiłkiem, dla niechęci do walki ze sobą i światem, a tym więcej dla jakichś czysto ziemskich pobudek obrazy, upokorzenia, może kary sodalicyjnej, zdejmuje z piersi medal Marii, oddaje dyplom Jej rycerza, przekreśla własnoręcznie napisany i podpisany, przechowany w archiwum sodalicji akt Jej poświęcenia się, i wmawia w siebie i w sodalicję, że inaczej nie mógł postąpić. Oby dobrze i głęboko rozważył, co znaczy ślubować wierność, życie i pracę w sodalicji samej Matce Najświętszej aż po życia kres, a potem dla drobnych, najczęściej nieprzemysłanych, niezwalczanych powodów, czy tylko pokus, ślub ten deptać i służbę swoją Jej wymawiać ¹⁾.

Łatwiejsza sprawa z wystąpieniem aspirantów czy kandydatów, ale i ci, o ile im wiek, jeszcze zwykle bardzo niedojrzały, wobec dojrzałych i wysokich ideałów sodalicyjnych pozwoli, nigdy nie powinni w tej sprawie kierować się niegodnymi uczciwego i rozważnego chłopca motywami.

«Występuję z sodalicji — bo wystąpił mój kolega, z którym bliżej żyję, bo namawia mnie inny, który z sodalicją «nie sympatyzuje», bo wolę swobodnie używać sportów w czasie, gdy sodalicja miewa swoje zbiórki, bo rzekomo brak mi na nie czasu, bo spotkała mnie za zaniedbanie się w obowiązkach

¹⁾ W chwilach takiej pokusy zalecam wam gorąco uważne przeczytanie «Ceremoniału przyjęcia do sodalicji». Wszak tak się odbyło niegdyś i wasze przyjęcie!

sodalicyjnych jakaś kara, bo w razie braku poprawy zagrożono mi wykluczeniem...»

«Występuję z sodalicji — przecież bez niej i poza nią mogę być porządnym chłopcem». — Możesz niewątpliwie, ale czy będziesz? Czy nie widzisz, co się dzieje wokół ciebie? Czy nie widzisz, jak setki i setki już toną w błocie zepsucia, marnują łaski Boże, rujną zdolności, tracą uczciwość i wiarę i czystość...

Sodalicja, to matka najlepsza, która w najcięższych chwilach i walkach młodości wyciąga do ciebie rękę i podaje moc Bożą i siłę do boju i zwycięstwa; to przewodniczka, która przeprowadzić cię pragnie przez kładkę rzuconą nad zawrotną przepaścią lat dojrzewania, na której dnie huczy i pieni się potok obfity w zdradliwe wiry i głębiny...

Długo, głęboko, uczciwie rozważ, dlaczego ci w sodalicji czasem niedobrze, kto temu właściwie winien... i na gorącej modlitwie prosz Marię ukochaną, abys zwyciężył pokusę, został i wytrwał na Jej służbie aż do śmierci, błogosławionej śmierci wiernego do ostatka rycerza Niebieskiej Pani i Królowej.

1931.

Z DIALOGÓW SODALICYJNYCH

— Cześć Jaśku!

— Cześć! Jak się masz?

— Ja doskonale, ale ty!

— Jakto «ja» — niby co?

— Winszuję! Nie chciałbym być dziś sekretarzem sodalicji!

— Cóż ty kpisz, czy co? Tłumacz się jaśniej, o co ci idzie? Czy może ks. moderator...?

— Nic ks. moderator, ale sam prezes Związku! Czytałeś ostatnie sprawozdanie Wydziału?

— Naturalnie! Od deski do deski! Z całym zajęciem.

— No i nic?

— Nie rozumiem!

— Poczekajno, zdaje się mam je jeszcze przy sobie. O! patrz, jakie pomięte, bo już przeszło przez ręce prawie całej

naszej konsulty. Dobrze, że nam trzy przysłali... Przecież to, co tu piszą na str. 14 — po prostu skandal!

— Pokaż! Może nie zauważyłem...

— Powtarzam skandal sekretarski! Jak wy wypełniacie sprawozdania!?

— Mój kochany, żadne «wy»! Wypraszam sobie! Ja nic nie mam na sumieniu.

— Nic? Dajmy na to, ale to plama na honorze wszystkich sekretarzy. Czy pamiętasz, ile mamy sodalicyj szkół średnich w Polsce?

— Oczywiście! 246!

— Doskonale. Patrz teraz uważnie na pierwszą kolumnę cyfr na stronie 14, pod rubryką: «*Podano sodalicyj*».

— No patrzę!

— Bądź łaskaw czytać te cyfry, jedną po drugiej.

— Czytam! 208, 222, 231, 217, 205, 225...

— No dość, dość! Powtarzam — to czysty skandal!

— (*sekretarz spuszcza głowę ku ziemi i milczy zgnębiony*).

— Ani w jednej kwestii nie dostali potrzebnych szczegółów od wszystkich sekretarzy. Brakło 38, albo 24, albo 15, 29, 41 i tak dalej, tak dalej. Jakież stąd braki w całości obrazu naszej pracy w Polsce! Przyznam ci się, że mnie zawsze przykro, jak naszym ludziom brak dokładności, systematyczności, ścisłości!

— No nie moralizuj! Nie jesteś jeszcze moderatorem!

— Moderatorem, niemoderatorem — mniejsza z tym! Dzięki Bogu — nie sekretarzem!

— Zbyszek! Hamuj się, nie dogaduj!

— Ale, bo taki «kolega sekretarz» wypełnia ci kwestionariusz, ot — aby zbyć! Braknie mu jakiejś cyfry, wali kreskę. Co mu tam! Aby podać, ile było nabożeństw, posiedzeń konsulty, czy komunij świętych, trzeba poszukać w kronice, protokółach, zapytać tego, owego. Czyż on ma na to czas? Czy mu się chce? Najprościej wykreskować takie pytanie i ...koniec. A skutki oplakane... Wstyd!

— E! Przesadzasz! Na co to wszystko z takimi dokładnościami? Ks. prezes też przesadza. To mi zakrawa na biurokrację!

— Otóż to właśnie! Biurokracja! Nie mój kochany! Pol-

ski wstręt do dokładnej, ścisłej roboty. Wszak tu idzie o całość kształt naszej kochanej pracy! Cóż by to było za «sprawozdanie», gdyby nie dawało możliwie dokładnego i ścisłego poglądu na nasze «sprawy». Wszak wykładnikiem ich są właśnie te suche na pozór, a tak wymowne cyfry. A jeśli ktoś postronny, albo nawet obcy, katolik-cudzoziemiec chce nabrać poglądu na tę robotę sodalicyjną, czyż nie będzie jej szukał właśnie w sprawozdaniu! I co sobie pomyśli o naszej solidności? Niech Bóg da zdrowie prezesowi, że jej się domaga, że nas jej uczy, że nam na pięty następuje, a piętnuje niedbalstwo, lenistwo, może nawet zbyt łagodnie i grzecznie? Jabym się tak przejechał po sekretarzach w innych słowach, żeby popamiętali!

— Wiesz co, może ty i masz rację! Ja sam nie myślałem, że to może mieć takie znaczenie dla całości...

— A widzisz! Teraz patrzysz inaczej...

— No pewno! A jak teraz nam z Zakopanego pošlą jakiś kwestionariusz, to już się przyłożę porządnie!

— No to rozumiem! Wtedy napewno będę wołał: górą sekretarzel!

1933.

PO CO ZWIĄZEK?

1.

W ostatnim roku otrzymaliśmy z kilku stron już to zapytania o istotną rolę Związku w życiu naszych sodalicyj szkół średnich, już to nawet oznaki pewnych wątpliwości o jego istotnym dla nich pożytku.

«Zestawiamy dla Związku różne wykazy i kwestionariusze, wysyłamy delegatów na zjazdy, wplacamy stałe wkładki, ale co my właściwie mamy za to?» Tak można by mniej więcej ująć myśli kryjące się w pewnych wypowiedziach czy listach — zastrzegamy się jednak z całym naciskiem, że bardzo nielicznych w stosunku do ćwierci tysiąca naszych sodalicyj i w dodatku pochodzących przeważnie od sodalicyj, względnie z diecezyj pod względem organizacyjno-związkowym mało aktywnych.

Zdaje się, że dwa powyższe momenty mogłyby nas uwol-

nić od roztrząsania całego zagadnienia na łamach miesięcznika.

Jeśli mimo to zabieramy się tutaj do krótkiej rozprawy słownej z nielicznymi i naprawdę «mało sodalicyjnymi» przeciwnikami, to dlatego, aby uprzedzić dalsze, niewykluczone wątpliwości, a sodalicjom olbrzymiej «większości» jasno uświadomić, czym się dla ogólnego ruchu sodalicyjnego na terenie szkół średnich stał i czym jest dotąd Związek.

W lipcu 1933 roku, więc za trzy miesiące, obchodzić on będzie 14-tą rocznicę swego powstania w rodzącej się, dopiero co wskrzeszonej Polsce. Nie jest tu jednak naszym zamiarem omawiać jego dzieje i zasługi. Chcemy rzetelnie i konkretnie odpowiedzieć na pytanie tytułowe, czy to powstanie miało rzeczywisty sens, czy wytrzymało próbę czasu, czy w końcu Związek ma za sobą istotnie wartościowe fakty i dzieła.

A najpierw, jak się ów Związek i jego zarząd ustosunkował do autonomii poszczególnych sodalicyj, którą one mają przecież zastrzeżoną w zasadniczych Ustawach sodalicyj mariańskiej?

Zapewne, że sodalicja, wstępując w grono sodalicyj związkowych w pewnej części rzeka się swej autonomii, ale naprawdę, jakże ta częśćka jest znikoma! Kierownikiem jej życia wewnętrznego i zewnętrznego pozostaje nadal ks. moderator wspierany przez konsultę. Cały prąd jej działania na własnym terenie jest najzupełniej swobodny i dowolnie się kształtuje. Czyż nie wystarczy wziąć do ręki choćby bogaty dział sprawozdań sodalicyjnych w tym piśmie, aby tę wolność, tę swobodę wykryć i podziwiać?

Więc ta, że tak powiem, «żrenica wolności» sodalicyjnej pozostaje właściwie nienaruszona. A w czym rezygnacja i z czego?

Przystosowanie pracy sodalicyj w miarę możliwości do uchwał zjazdów i do dyrektyw prezydium, mających na celu jedynie dobro sodalicyj, obowiązek prenumeraty pisma sodalicyjnego, wysłania co jakiś czas delegata na zjazd i małe wkładki (obecnie 4 grosze miesięcznie od głowy), w końcu dwa razy w roku nadesłanie wypełnionego formularza sprawozdawczego i sprawozdania do miesięcznika.

To wszystko!

Tak niewiele, bardzo niewiele.

A co w zamian?

Dziś wymienimy tylko wartości ogólnego znaczenia, a między nimi na pierwszym chyba miejscu potężną ideę jedności, sodalicyjnego braterstwa, które uczy jednego chcieć i jednako czuć i do tych samych celów dążyć w jedności dusz i serc. To przecież nie drobnostka w tej pracy najcięższej, najtrudniejszej, pracy nad wewnętrzną przemianą młodego człowieka czuć koło siebie 11.000 w bratnim uścisku zjednoczonych dłoni i tyleż serc bijących razem w takt miłości Boga i Marii i wierności wiekiustym ideałom chrześcijaństwa i Polski.

Kto sobie z potęgi tego poczucia pracy sodalicyjnej nie zdaje sprawy, ten niestety nigdy, chyba nie starał się wniknąć w jej tajniki, nigdy nie odczuł potęgi zjednoczenia ludzi we wspólnej służbie i ofierze z siebie na każdy dzień.

Związek — dalej — przypomina, nieustannie przypomina swym sodalicjom kompas życia sodalicyjnego i tego, co o nim stanowi: służbę Marii, pracę nad sobą, ducha apostołstwa, bo natura ludzka skłonna jest do zapomnienia o rzeczach istotnych, a uwikłania się w nieistotne, czysto zewnętrzne, które nieraz paczą i krzywią ducha najidealniejszych organizacji na świecie.

Związek, ogarniając całość życia młodzi sodalicyjnej, daje dyrektywy i zachęty do pracy, nowopowstającym sodalicjom służy radami, pomocą, dłużej istniejącym wyjaśnia nieraz trudności, udziela wskazówek, o czym nawet mało się mówi, mniej jeszcze się pisze u nas.

Związek, zdaje się godnie i wysoko reprezentuje ideę i pracę sodalicyjną szkolną wobec najwyższych władz kościelnych, wobec naszych Arcypasterzy, którym składa dokładne relacje o swej pracy, z którymi łączy się jakby nieustannie przez moderatorów diecezjalnych, ducha Kościoła Chrystusowego szczerząc od nich w ten sposób we wszystkie swe poczynania.

Reprezentuje Związek tę pracę wobec społeczeństwa, które krzepi na duchu, jak świadczą liczne pisma i listy, jej wspaniałymi wynikami, które uczy z otuchą patrzeć w lepszą przyszłość, skupiając najlepszą młodzież w swych hartownych, karnych szeregach mariańskich.

I w końcu Związek — bo on jeden przecież tylko zrobić

to może — reprezentuje sodalicyjny ruch najmłodszych Polaków wobec katolickiej zagranicy i wyrabia mu to dobre i dobrze zasłużone imię, którym nasza «robota» cieszy się, jak świadczą znów listy i artykuły od czasu do czasu kreślone, w Austrii i Czechosłowacji, we Francji i na Węgrzech i we Włoszech, a nawet, jak nam donoszą, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Dokłada więc przez swój stan, przez swe rezultaty małą cegielkę do dobrego imienia katolickiej Polski w dalekim świecie i może to jego także nienajmniejsza zasługa.

Oto względy czysto ideowe, moralne. O innych słów kilka w następnym numerze.

2.

Gdyby nasz Związek tylko tyle miał przemawiających za nim momentów, ile wykazaliśmy ich w pierwszej części tych uwag, to już zdaje się znaczenie jego, przynajmniej ideowe, byłoby nieocenionym czynnikiem w całokształcie sodalicyjnego ruchu szkolnej młodzieży polskiej.

Ale to przecież część tylko jego prac i zasług.

Zwróćmy uwagę na dalsze, już z natury rzeczy bardziej konkretne, praktyczne.

Związek ma za sobą w czternastoleciu istnienia 11 ogólnych, świetnie udanych zjazdów sodalicyjnych, w tym dwa kongresy na Jasnej Górze, pięć zjazdów prowincyj kościelnych i cały szereg (kilkanaście) zjazdów diecezjalnych. Oczywiście wartość tych zlotów ocenić mogą tylko te sodalicje, które miały na nich swych przedstawicieli, — mało — które potem owocami tych zjazdów nasyciły swoje życie sodalicyjne, rozplłomieniły sodalicyjnego ducha i pracom swym nadały wskazany przez zjazdy i najwybitniejszych nieraz sodalicyj mariańskich znawców, kierunek.

Czyż te zjazdy, którym zawdzięczamy niewątpliwie więcej, niż dziś nawet ocenić zdołamy, byłyby możliwe bez naszej związkowej organizacji?

Na drugim miejscu stawiamy zaraz nasz ruch rekolekcyjny dla maturzystów. Suche cyfry mówią o 70 z górą seriach tych świętych ćwiczeń duchownych i o jakichś 2.500 uczestników. Ależ czyż same cyfry zdołają wyrazić ogrom

wartości i doniosłości tego dzieła iście Bożego dla młodych dusz na rozstaju życia?

Zapewne, dziś po 12 latach wyęźniającej pracy w tym kierunku, rekolekcje maturzystów stały się rzeczą całkiem naturalną i mogą być, może nawet powinny być organizowane po diecezjach bez osobnej interwencji naszego Związku, naszej Centrali. Ale po wszystkie czasy pozostanie jej zasługą inicjatywa rzucona bodaj po raz pierwszy w Polsce i zwalczenie pierwszych, najcięższych przeszkód i torowanie nowych, nieznanych po prostu dróg.

Któżby to zdołał osiągnąć bez Związku?

A pismo sodalicyjne, nasze, własne, że tak powiem fachowe. Pismo wychodzące od lat 13, mające za sobą już blisko 800.000 wydanych egzemplarzy, od samego początku oparte o organizację związkową i jako pismo związkowe wydawane. Jeśli «Pod znakiem Marii» przetrwało tyle lat wśród bardzo ciężkich nieraz, — jak i dziś warunków — jeśli rozszerzyło swe łamy i udoskonalilo się pod każdym względem, to tylko i wyłącznie dzięki Związkowi i obowiązkowi prenumeraty przez poszczególne sodalicje.

A w końcu Kolonia. To dzieło nasze najmłodsze. Trudno dziś już mówić o jego realnym znaczeniu stwierdzonym już równie realnymi owocami (dotąd 3 sezony, 63 kolonistów i ogółem około 2000 dni pobytu). Ale i to, co się zrobiło dla Śnieżnicy i na Śnieżnicy do dziś, wielkim głosem stwierdza wartość organizacji związkowej.

Dodajmy jeszcze w jednym zdaniu naszą Składnicę, dostarczającą sodalicjom wszystkich potrzebnych wydawnictw i przedmiotów, których nakłady idą w dziesiątki tysięcy i bez Związku są nie do pomyslenia — a zyskamy bardzo krótki i treściwy, ale naprawdę pełen życia, akcji, energii obraz i zarazem odpowiedź na pytanie — po co Związek?

Dziw — tak! wielki dziw, że w Polsce istnieją, a nawet rosną w liczbę sodalicje, które żyją i działają poza Związkiem, ba! występują zeń z najbliższych powodów — zupełnie osobliwy i chyba tylko polskim indywidualizmem i szczególnym zamiłowaniem w pracy «na swoją rękę» dający się wytłumaczyć objaw. Nie można wątpić ani na chwilę, że będzie on zanikał w miarę uspołecznienia się poszczególnych sodalicji i ich zarządów, a za tym przypuszczeniem świadczyły już nie-

mały szereg sodalicyj, które z braku silnego kontaktu z Centralą całkiem zesłabły i upadły, a nowe życie odzyskiwały stale po jego ponownym nawiązaniu — jak gdyby od macierzy czerpały soki żywotne, organizacyjną energię i ducha.

1933.

O FINANSACH SODALICYJNYCH SŁÓW KILKA

— Kolega skarbnik ma głos! — oświadcza prezes sodalicji na III posiedzeniu konsulty.

— Zbieranie wkładek od członków napotyka na okropne trudności. Wszyscy się wymawiają, obiecują na pierwszego, nie płacą... Zaległości rosną, mamy długi za miesięcznik «Pod znakiem Marii», za dyplomy i medale...

— Wczoraj chciałem od skarbnika — dorzuca sekretarz — 75 groszy na zeszyt, bo nie mam już w czym napisać dzisiejszego protokołu i nie chciał mi dać, bo w kasie pustki.

— Tak! Mam zaledwo 37 groszy, po zapłaceniu za przedwakacyjne numery miesięcznika. Stary skarbnik zdał maturę i wyjechał, rachunków mi porządnie nie oddał, tylko jakieś złote w pudełku z cukierków. A tu administracja przysłała ponaglenie. Ja już mam tego za dużo, możebyście wybrali innego skarbnika? Energiczniejszego sodalisi prędzej słuchają. Możeby obniżyć wkładki? Odmówić prenumeratę «Pod znakiem Marii»?

— — — — —
Tak, czy trochę inaczej bywa na konsultach, bywa po sodalicjach.

I dlatego Centrala chce zabrać głos w sprawie gospodarki finansowej w naszych organizacjach.

Rzecz interesująca nie tylko dla skarbników.

I zaraz z brzegu pierwsze pytanie: czy jesteśmy wszyscy na dnie kryzysu i takiego zubożenia członków, że o normalnej gospodarce finansowej w sodalicji nawet w najskromniejszym zakresie ani marzyć?

Otóż jest ciężko, jest trudno — ale beznadziejnie? Absolutnie nie!

Stańmy przy bufecie szkolnym na dużej przerwie. Zobaczymy ciekawe obrazki naszych «bardzo biednych»...

Zobaczymy kiosk sprzedający «Stadiony», «Wiadomości sportowe», «Raz, dwa, trzy»...

Przypatrzmy się publiczności na porankach kinowych i różnych seansach dla młodzieży szkolnej...

A może, może nawet stańmy przy biało-czerwonej wywieszce jakiejś traficzki...

Albo inne dowody.

Kończy się rok szkolny. Dzień rozdania świadectw, wydania kart niżkowych na kolej. Kancelaria gimnazjum wstrzymuje dziesiątkom uczniów jedne i drugie, bo swoich zobowiązań, zaległości nie wyrównali. Czy myślicie, że świadectwa i niżki przeleżą całe wakacje w dyrekcji — niepodjęte?

Nic podobnego!

Zaczyna się «bieg płaski» do domów, jeszcze przed uderzeniem dwunastej w południe pieniądze spoczywają w kasie szkolnej, a dokumenty w kieszeni byłych dłużników!

I jeszcze inny przykład. Sodalicja w Iksowie ma zaległość w Centrali na 35 zł. Ale zbliża się 3 maja, dzień uroczystych ślubowań sodalicyjnych. Skarbnik zamawia w Składnicy lepsze medale, barwne dyplomy, odznaki... wcale obficie!

Centrala niepewna swych dawnych należności wysyła pakiet za pobraniem pocztowym. Za pięć dni wpływa cała należna kwota do kasy w Zakopanem.

A więc?

Nie mnożymy przykładów. Powtarzamy raz jeszcze z naciskiem: Jest ciężko, jest trudno, nie jest beznadziejnie, byle było w sodalicjach głębokie przekonanie, że katolicka organizacja nie może istnieć bez środków pieniężnych, że uczciwość i sumiennosc w sprawach finansowych jest moralnym obowiązkiem każdego sodalisa, że dla umiłowanej naprawdę idei musimy zdobyć się na duże ofiary, odmówienie sobie niejednej godziwej przyjemności, a nawet na wielkie zaparcie się siebie.

1935.

JAKIE TO BOLESNE!

Olbrzymia drukarnia katolicka w Budapeszcie tzw. «Apostolska Drukarnia», którą podziwiałem przed 3 laty w stolicy Węgier, która była chlubą jej Akcji Katolickiej, zbankrutowała, a jej właściciel p. Haller stanął przed sądem za niepełnione grzechy.

Dlaczego się stało to nieszczęście?

«Są ludzie, którzy prowadzą życie uczciwe i czyste, nie kradną, nie mordują, nikogo nie szkalują, gorliwie się modlą, pilnie chodzą do kościoła, ale nie płacą swoich długów. Przy tym nawet nie myślą o tym, że przez to popełniają grzechy, które w swoich skutkach nie różnią się wcale od wyżej wymienionych występków».

Tak pisał — najsluszniej w świecie — katolicki tygodnik węgierski «A Sziw» z okazji tej «katolickiej tragedii»¹⁾.

A co mówił dyrektor drukarni p. Hedry przed trybunałem sądowym? Warto zapamiętać jego słowa, będące jednym wielkim oskarżeniem katolickich współbraci:

«Jako drukarnia katolicka mieliśmy większość zamówień od księży, instytucyj religijnych i katolickich organizacyj. Bardzo wiele z nich nie spełniło swoich zobowiązań płatniczych wobec nas. Gdy żądaliśmy zapłaty, odpowiadali, że od drukarni katolickiej spodziewali się więcej zrozumienia i względności, że powinniśmy na pierwszym miejscu uwzględnić katolickość, nie interesowność. Pewna instytucja zalegająca z długami, napisała nam, że się za nas modlą i zawsze modlić się będą...»

Świetnie uchwycona charakterystyka nastrojów finansowych naszych katolickich organizacyj!

I sodalicyj!

Wszak niedawno otrzymaliśmy w odpowiedzi na kilkakrotne upomnienia o nasze długi bardzo niegrzeczny list, w którym dosłownie napisano: «Centrala żąda tylko składek, pieniędzy... niesłusznymi żądaniem głosłownych sum podrywa zapal do pracy organizacyjnej w tak ciężkich czasach...»

Księża moderatorzy piszą, że sodalicja obniża z kilkudziesię-

¹⁾ P. «Gazeta Kośc.», nr 48 z 27 XI 1932 r., str. 570.

sięciu do kilku liczbę miesięczników, bo sodalisi grożą wystąpieniem, bo nowi nie chcą się zapisać...

Pytamy, czy nawet w najcięższych czasach można dopuścić do tego, by młodzież, nawet naprawdę biedna, nie rozumiała, nie czuła głęboko obowiązku nawet największej ofiary, by utrzymać swoje jedyne, szkolne pismo katolickie, swoją centralę sodalicyjną? Jest ciężko, nawet bardzo ciężko, ale tym cięższa musi być ofiara. Na Bożą sprawę powinien się znaleźć ostatni grosz, bo znajduje się, i napewno, na sport i kino i słodycze! Wyrabiać więc trzeba zrozumienie, odczucie, głębokie przekonanie o konieczności ofiary z siebie i głęboką uczciwość w pokrywaniu zobowiązań. Bo inaczej walić się będą w gruzy i u nas dzieła katolickie, bankrutować czasopisma katolickie, a przed sądami stawać będą za niewypłacalność ludzie najczystszych rąk, najczystszej idei, ze stosem listów i kartek: «Prosimy przysłać mniej o 20 egzemplarzy», «Prosimy o umorzenie naszych zaległości», czyli za to — że zawierzyli!

Czy ten los nie czeka i nas?

Czy wasza sodalicja, czy ty sodalisie Marii nie gotujesz go dziełu Bożemu przez ciasnotę swego serca i dłoni?

Odpowiedzcie!

1933.

CZY ZAWSZE „KATOLICKA DARMOCHA“

GARŚĆ UWAG O BRZYDKIM TYTULE

Co parę miesięcy po wysłaniu przez Centralę zestawień zaległości kasowych te same listy...

— ...Prosimy przeto umorzyć zaległości z lat poprzednich, gdyż obecny zarząd nie ponosi za nie żadnej odpowiedzialności...

— Z powodu ujemnego stanu kasy sodalicyjnej nie możemy pokryć wykazanego nam salda, prosimy o umorzenie długu...

— Obecny zarząd nie otrzymał od poprzedników swoich żadnych kwitów, ani rachunków, z pustej kasy nie możemy pokryć ich należności...

I tak dalej i dalej... aż do znudzenia. Im większy kryzys, tym więcej tych prośb i listów beznadziejnych...

Nie!

Stanowczo w niektórych sodalicjach naszych panuje jeszcze zła gospodarka finansowa, a nawet — co gorsze — fatalne zapatrywanie na stosunek organizacji katolickiej, «ideowej» do spraw materialnych!

Różne czynniki złożyły się na to, że u nas w Polsce, po prostu z największym wysiłkiem wspomina się o tym, iż Kościół, iż organizacja katolicka, prasa katolicka — także jednak potrzebują i to koniecznie pieniędzy. Utarło się przekonanie, niemal we wszystkich warstwach społecznych — że «wszystko, co dotyczy religii, kultu, organizacji, prasy, składnic — powinno być albo «za bezcen» — albo «za darmo». — Bo jakżeż? Przecież to sprawy ideowe! Więc można prenumerować dziennik katolicki — i nie płacić prenumeraty — «oni się i tak utrzymają» — można zamówić książki, obrazki, medaliki etc. — i nie zapłacić — «niech Pan Bóg opatrzy».

Czy to nie jedna z przyczyn, dla których nasza katolicka robota tak nieraz utyka i upada?

Przed paru laty byłem na sumie w kościele parafialnym — ongiś katedralnym — w Lisieux, w sławnym św. Teresą Lisieux we Francji. Kościół olbrzymi, z braku konserwacji robił przykre wrażenie zaniedbania... Wiernych stosunkowo niewielu. Ławki były pełne, poza nimi kościół dość świecił pustkami. Patrzyłem ze zdziwieniem, jak przed epistołą dwie zakonnice wyszły z tacką z zakrystii i poczęły zbierać na ofiarę. Posypały się małe pieniążki, ale sporo było sous, a nawet monet frankowych na tacy. Uwinęły się dość szybko. Ledwo przy ołtarzu kapłan rozebrał kielich na offertorium, już znowu dwóch chłopców w czerwonych sutannach i komeżkach bez rękawów wysunęło się z tacą... Ba! Ale zaraz po Podniesieniu to samo zrobiły trzy sierotki... I pobożni Francuzi, ludzie jak wiadomo skrajnie oszczędni, nawet skąpi, dawali i dawali. Rozumieli, że dać trzeba, bo kościół zamkną jako rudere, bo upadnie ochronka, szkoła zakonnice czy żłóbek dla niemowląt, czy tygodnik parafialny... I tak tu podobno wszędzie.

Niechby tak w Polsce!

«Opinia katolicka» tu i ówdzie trzęsła by się z oburzenia...

I w niejednej naszej SM podobne panują poglądy. Nie mówię już o regularnym wpłacaniu wkładek, przed którymi nieraz i «wzorowi sodalisi» potrafią się bronić na wszelki sposób, ale weźmy takie popieranie miesięcznika własnego. Mamy SM, w których ta sprawa wygląda wprost wspaniale, można o nich czytać w ostatnim, XVI Sprawozdaniu Związku, ale czyby ktoś uwierzył, że mamy 40 sodalicyj, które wbrew swej deklaracji biorą za ledwo 5, 4, 3, a nawet tylko jeden, jedyny dla wszystkich członków egzemplarz?

«Przecież miesięcznik i tak się utrzyma»!

Więc jeszcze jedno wspomnienie.

Za czasów uniwersyteckich, jako członek SM akademików w Krakowie, pracowałem wśród katolickiej młodzieży rękodzielniczej. Ciągłe słyszałem żale tych czeladników katolickich, krawców, szewców, introligatorów, stolarzy, ślusarzy... na przymus należenia do organizacji zawodowej, socjalistycznej z centralą w Wiedniu. Bez tego ani mowy nie było, by się utrzymać w warsztacie i nie narazić na najgorsze represje. A organizacja ta świetnie pomyślana z głodowej płacy takiego czeladnika regularnie co tydzień ściągała pewne kwoty; «książeczki» członkowskie miały 52 rubryk tygodniowych, skarbnicy zawodowi a raczej partyjni, socjalistyczni działali niesłychanie sumiennie, ściągali pod warsztatami i fabrykami w sobotę wieczór, tuż po wypłacie pieniędzy... Fundusze rosły w setki tysięcy, miliony koron. Agitacja dobrze płatna szalała, uniwersytety robotnicze, prasa, kluby sportowe wszystko wyrastało spod ziemi.

I musiało być!

Po katolicku — «wszystko za darmo». «To przecież nie wypada! — Podrywa się zaufanie! — Podkopuje się ideę. — Taki materializm! — Co za pole do domysłów!...» I tak dalej i dalej!

A długi?

«Prosimy umorzyć»!

Trzeba raz z tym zerwać. Przede wszystkim u nas młodych, u nas tak naprawdę biednych, bardzo biednych nieraz! Na sprawę Bożą, na pracę katolicką, na pismo sodalicyjne, na zjazd muszą się znaleźć grosze — choćby i głodować! Ale my musimy raz w to uwierzyć, że miłość dla Sprawy — to

ofiara dla Sprawy! A kto wierzyć w to nie chce, może kiedyś spojrzeć w oczy katastrofie!

Doskonały znawca stosunków w Hiszpanii pisze w jednym z zagranicznych, katolickich dzienników o obecnej przegranej katolików w tym katolickim dotąd kraju, gdzie znów płonąć poczynają bezcenne kościoły i arcydzieła sztuki podpalane żagwią w Moskwie żarzoną — iż gdy przywódca partii katolickiej, Gil Robles w swym politycznym programie zaznaczył konieczność dobrowolnego przeprowadzenia reformy rolnej z pewnym odszkodowaniem, katolicycy właściciele ziemscy odwrócili się od niego i odmówili mu poparcia przy wyborach. Poszło hasło — «nie głosujemy, nie damy ziemi, żadnych ofiar»!

W wyborach lewica zwyciężyła przygniatającą większością.

Idą z dymem kościoły, walą się od bomb lokale Akcji Katolickiej, związków katolickich robotników... szkoły katolickie i zakłady dobroczynne.

A rząd radykalno-komunistyczny jako jedną z pierwszych ustaw wydaje — rozporządzenie o... konfiskacie majątków ziemskich bez odszkodowania!

Czy to dopiero musiało się stać, by otworzyć oczy i zaciśnięte dłonie?

Czy jeszcze trzeba pytać?

Musimy sprawę katolicką uczynić sprawą naszą! Musimy ją ukochać jako sprawę Bożą, musimy się uczyć od młodych lat ofiarności dla naszych celów, ofiarności niewymuszonej, nie niechętnej, skrzywionej — ale tej prostej, serdecznej, gotowej...

Musimy uczyć się także jak najsumienniejszej gospodarki organizacyjnej, surowej kontroli rachunków, ścisłego ściągania dobrowolnie zadeklarowanych wkładek, płacenia prenumeraty pisma sodalicyjnego!

Musimy jak najściślej odbierać urządowanie z rąk ustępujących zarządów, prowadzić ściśle «arkusze kontowe», pociągać do odpowiedzialności złych gospodarzy sodalicyjnym mieniem.

Musimy zrozumieć potrzebę materialnej podstawy dla wszelkiej, nawet najbardziej ideowej pracy i dlatego musimy o tych sprawach ciągle radzić na konsultach, mówić na zebra-

niach i nie wahać się choćby wykluczać członków, którzy swych minimalnych zobowiązań względem skarbu sodalicyjnego, miesięcznika, składnicy nie chcą, choć mogą, dotrzymać.

Musimy powoli, lecz stale i systematycznie zwalczać w naszym młodym, uczniowskim społeczeństwie szkodliwe, krzywdzące sprawę i upokarzające nas przekonanie, że tylko «darmocha katolicka» winna panować w katolickiej pracy, a ofiara, wkładka i zapłata — to coś przeciwnego wielkości i wzniosłości idei.

Na groszu czy złotym my nigdy nie będziemy opierać całości czy wartości naszej pracy, nigdy nie będziemy zdobywania ich uważać za rzecz pierwszorzędną, skrajnie biednych zawsze zwolnimy od ciężarów aż do ostatecznych granic możliwości, ale szerzyć będziemy wśród młodych katolików polskich to najgłębsze przekonanie, że Sprawa potrzebuje koniecznie poparcia, że może przyjść czas, gdy katolicy będą musieli sami sobie wystarczyć i Kościół własnymi siłami utrzymać...

A tego musimy się już dziś i to koniecznie w sodalicjach nauczyć!

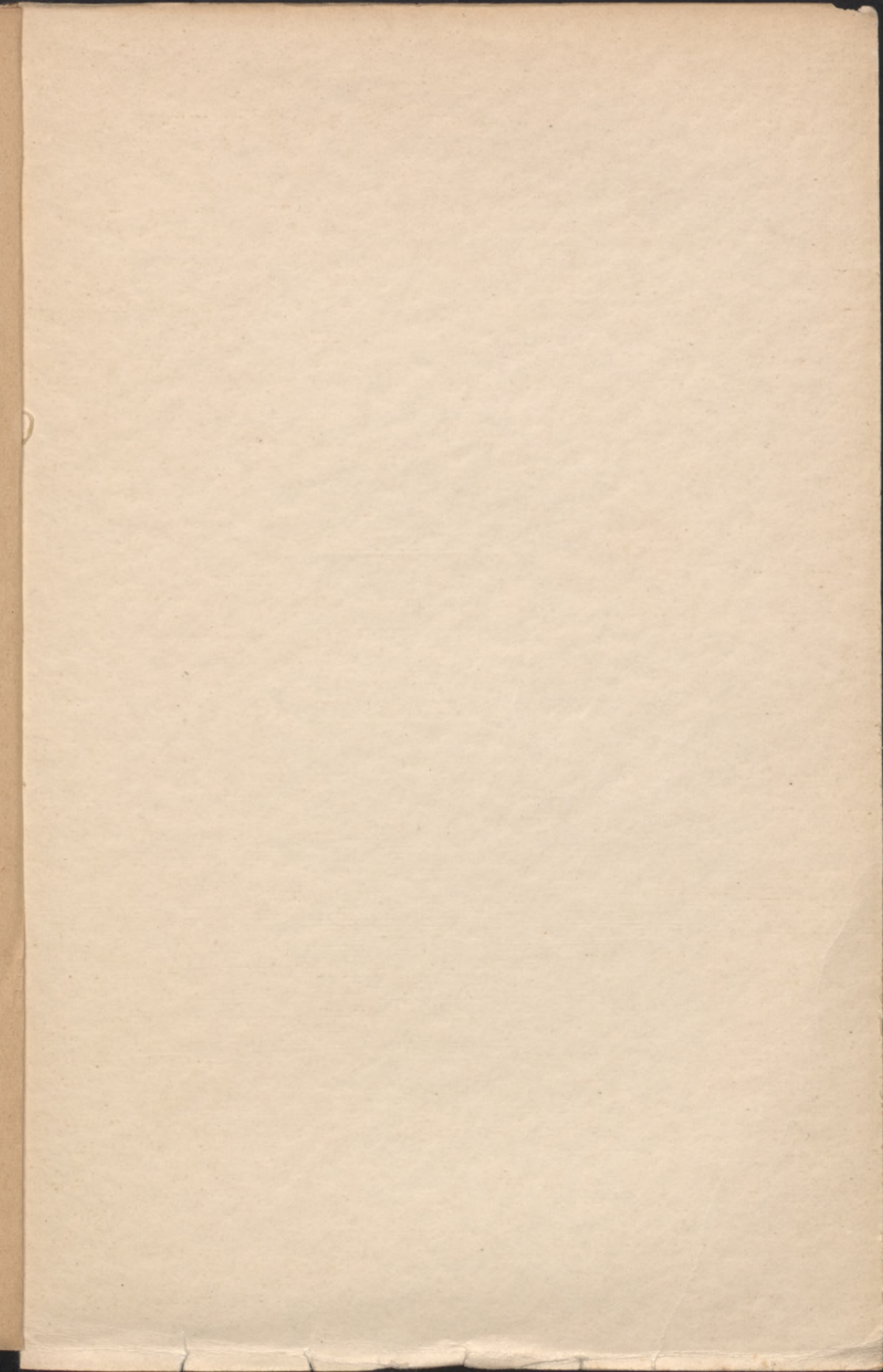
1936.



Biblioteka Główna UMK



300052019012



59

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

598068

040 241/86

Biblioteka Główna UMK



300052019012

